

ROBERT JORDAN



VÉRÓG  
VALERE

**Robert Jordan**

# **RÓG VALERE**

**(Przełożyła Katarzyna Karłowska)**

# Spis treści

STRONA TYTUŁOWA

ROZDZIAŁ 1 NOWI PRZYJACIELE I STARZY WROGOWIE

ROZDZIAŁ 2 CAIRHIEN

ROZDZIAŁ 3 WAŚŃ

ROZDZIAŁ 4 CIENŃ POŚRÓD NOCY

ROZDZIAŁ 5 NOWY WĄTEK WZORU

ROZDZIAŁ 6 SEANCHANIE

ROZDZIAŁ 7 DAES DAE'MAR

ROZDZIAŁ 8 PO ZAPACHU

ROZDZIAŁ 9 NIEBEZPIECZNE SŁOWA

ROZDZIAŁ 10 PRZESŁANIE Z MROKU

ROZDZIAŁ 11 KOŁO OBRACA SIĘ

ROZDZIAŁ 12 STEDDING TSOFU

ROZDZIAŁ 13 WŚRÓD STARSZYCH

ROZDZIAŁ 14 CO MOŻE BYĆ

ROZDZIAŁ 15 NAUKA

ROZDZIAŁ 16 UCIECZKA Z BIAŁEJ WIEŻY

ROZDZIAŁ 17 DAMANE

ROZDZIAŁ 18 NIEPOROZUMIENIA

ROZDZIAŁ 19 FALME

ROZDZIAŁ 20 PLAN

ROZDZIAŁ 21 POJEDZIE PIĘCIU

ROZDZIAŁ 22 MISTRZ MIECZA

ROZDZIAŁ 23 WYJŚĆ Z CIENIA

ROZDZIAŁ 24 NIE JEST GRÓB PRZESZKODĄ NA MOJE WEZWANIE

ROZDZIAŁ 25 PIERWSZE ROSZCZENIA

ROZDZIAŁ 26 CO MIAŁO BYĆ

ROZDZIAŁ 27 POTEM

GLOSARIUSZ

# ROZDZIAŁ 1

## NOWI PRZYJACIELE I STARZY WROGOWIE

Egwene, prowadzona przez Przyjętą, wędrowała korytarzami Białej Wieży. Ściany, równie białe jak zewnętrzne mury wieży, pokrywały gobeliny i malowidła, posadzkę tworzyły wzorzyste ceramiczne płytki. Biała szata Przyjętej w zasadzie nie różniła się niczym od jej ubioru, wyjąwszy siedem wąskich, barwnych pasków przy kraju i mankietach. Egwene krzywiła się, gdy jej spojrzenie padało na tę suknię. Właśnie taką od wczoraj nosiła Nynaeve, wyglądało jednak, że bynajmniej nie sprawiła jej radości, podobnie zresztą jak złoty pierścień - wąż pożerający własny ogon - oznaka rangi. Podczas tych kilku okazji, gdy Egwene mogła zobaczyć Wiedzącą, oczy tamtej wypełniał mrok, jakby zobaczyła coś, czego całym sercem pragnęła nie widzieć nigdy.

- To tutaj - powiedziała oschle Przyjęta, wskazując gestem drzwi. Pedra, tak ją przynajmniej przedstawiano, niska, żylasta kobieta, nieco starsza od Nynaeve, zawsze przemawiała ostrym tonem. - Tym razem ci darowano, bo to twój pierwszy dzień, ale spodziewam się zobaczyć cię w pomywalni, gdy gong zabrzmie na primę. Ani chwili później.

Egwene dygnęła, po czym pokazała język oddalającym się plecami Przyjętej. Od pierwszej chwili, gdy tylko Sheriam umieściła jej imię w księdze nowicjuszek, Egwene wiedziała, że nie lubi Pedry. Otworzyła teraz z rozmachem drzwi i weszła do środka.

Wystrój niewielkiej izby był niewyszukany, wewnątrz okalała biel ścian, a na jednej z dwóch twardych ław siedziała młoda kobieta o rudozłotych włosach opadających na ramiona. Posadzka była goła, nowicjuszek raczej nie przyzwyczajano do pomieszczeń z dywanami. Egwene stwierdziła, że dziewczyna jest mniej więcej w jej wieku, tyle że godność i opanowanie, jakie od niej biły, powodowały, iż wydawała się starsza. Na niej prosto skrojona suknia nowicjuszki prezentowała się jakby lepiej. Elegancko. O właśnie!

- Mam na imię Elayne - przedstawiła się i przekrzywiwszy głowę, zaczęła się Egwene przyglądać. - A ty jesteś Egwene. Z Pola Emonda w Dwu Rzekach.

Wypowiedziała to takim tonem, jakby w tym stwierdzeniu kryło się coś ważnego, zaraz jednak przeszła do innego tematu.

- Stałym obowiązkiem tych, którzy przebywają tu już od jakiegoś czasu, jest udzielanie pomocy nowym, dopiero co przybyłym nowicjuszkom. Mamy im pomóc odnaleźć się w tym miejscu. Usiądź, proszę.

Egwene przysiadła na drugiej ławie, wprost naprzeciwko Elayne.

- Myślałam, że Aes Sedai będą mnie uczyć, skoro już jestem nowicjuszką. Ale jak dotąd zdarzyło się tylko tyle, że Pedra obudziła mnie na dobre dwie godziny przed pierwszym brzaskiem i kazała zamiatać korytarze. Twierdzi, że będę też musiała pomagać przy zmywaniu naczyń po obiedzie.

Elayne skrzywiła się.

- Nienawidzę zmywania. Nigdy dotąd mnie nie zmuszano... zresztą nieważne. Będziesz pobierała nauki. W rzeczy samej, począwszy od dzisiaj, będziesz codziennie pobierała nauki właśnie o tej porze. Od śniadania do primy, a potem znowu od obiadu do tercji. Jeśli okażesz się wybitnie zdolna, względnie wybitnie tępa, być może zagospodarują ci również czas między kolacją a kompleta, zazwyczaj jednak będą to zwykłe posługi. - Błękitne oczy Elayne przybrały zamyślony wyraz. - Ty się urodziłaś z Jedyną Mocą, prawda?

Egwene przytaknęła.

- Tak, zdawało mi się, że ją czuję. I ja się z tym urodziłam. Nie czuj się zawiedziona, że się nie poznałaś na tym. Nauczysz się jeszcze wyczuwać zdolności u innych kobiet. Ja mam tę przewagę, że wychowałam się w otoczeniu Aes Sedai.

Egwene miała ochotę zapytać: "Kogóż to wychowują w otoczeniu Aes Sedai?" - ale Elayne nie przestawała mówić.

- Nie czuj się zawiedziona, jeśli trochę potrwa, zanim cokolwiek osiągniesz. To znaczy w korzystaniu z Jedynej Mocy. Nawet najprostsza rzecz wymaga nieco czasu. Cierpliwość jest cnotą, której trzeba się uczyć. - Zmarszczyła nos. - Sheriam Sedai zawsze to powtarza i dokłada wszelkich starań, abyśmy wszystkie też się tego nauczyły. Spróbuj pobiec, gdy ona rozkaże ci iść, a nawet nie zdążysz mrugnąć, jak cię wezwie do swego gabinetu.

- Już miałam kilka lekcji - powiedziała Egwene, starając się, by to zabrzmiało skromnie.

Otworzyła się na *saidara* - ta partia nauk stawała się coraz łatwiejsza - i poczuła, jak ciepło wypełnia jej ciało. Postanowiła, że spróbuje jednej z najbardziej efektywnych rzeczy, którą nauczyła się robić. Wyciągnęła rękę i ponad powierzchnią dłoni utworzyła kulę płonąca czystym światłem. Płomień chybotął się - wciąż nie potrafiła utrzymać go nieruchomo - ale był.

Elayne spokojnym ruchem wyciągnęła rękę i pojawiła się nad nią świetlna kula. Też migotała.

Po chwili wokół całego ciała Elayne rozblęskło blade światło. Egwene jęknęła ze zdumienia, a jej płomień zniknął.

Elayne ni stąd, ni zowąd zachichotała, emitowane przez nią światło zagasło, zarówno kula, jak i poświata.

- Widziałaś? Widziałaś, jak mnie otoczyło? - spytała podnieconym głosem. - Ja je dookoła ciebie widziałam. Sheriam Sedai obiecała, że je w końcu zobaczę. To był pierwszy raz. Dla ciebie też?

Egwene skinęła głową, śmiejąc się razem ze swoją towarzyszką.

- Podobasz mi się, Elayne. Myślę, że się zaprzyjaźnimy.

- Ja też tak myślę, Egwene. Jesteś z Dwu Rzek, z Pola Emonda. Czy znasz może chłopca, który się nazywa Rand al'Thor?

- Znam go. - Egwene nagle przypomniała sobie historię opowiedzianą jej przez Randa, historię, w którą ani trochę nie wierzyła, o tym, jak spadł z muru do jakiegoś ogrodu i poznał... - Jesteś dziedziczką tronu Andoru? - wykrztusiła.

- Tak - odparła z prostotą Elayne. - Gdyby Sheriam Sedai wpadło w ucho, choćby dalekim echem, że w ogóle o tym wspomniałam, to pewnie wezwałaby mnie do gabinetu, jeszcze zanim skończyłabym gadać.

- Wszystkie wkoło opowiadają o wezwaniach do gabinetu Sheriam. Nawet Przyjęte. Czy aż tak dotkliwie potrafi zbesztać? Na mnie sprawia wrażenie dobrotliwej.

Elayne zawahała się, a odezawszy się, mówiła wolno, nie patrząc Egwene w oczy.

- Trzyma wierzbową różgę na biurku. Twierdzi, że jeśli nie potrafisz nauczyć się przestrzegać reguł w cywilizowany sposób, to ona nauczy cię ich inną metodą. Nowicjuszeki związane są tyłoma regułami, że bardzo trudno jest którejs z nich nie złamać - zakończyła.

- Ależ to..., to potworne! Nie jestem dzieckiem, ty też nie. Nie dam się traktować jak dziecko.

- A właśnie, że jesteśmy dziećmi. Aes Sedai, pełne siostry, to dorosłe kobiety. Przyjęte są młodymi kobietami, dostatecznie dojrzałymi, by można im było ufać i nie patrzeć bezustannie przez ramię. Zaś nowicjuszeki są dziećmi, które trzeba chronić i otaczać opieką, wskazywać im kierunek, w którym winny się udać, a także karać, gdy uczynią coś, czego nie powinny. W taki właśnie sposób wyjaśnia to Sheriam Sedai. Nikt cię nie ukarze podczas lekcji, o ile nie będziesz próbowała zrobić

czegoś, czego ci nie wolno. Czasami trudno jest się powstrzymać, sama się przekonasz. Masz ochotę przenosić Moc równie mocno, jak oddychać. Jeśli jednak zbijesz zbyt wiele naczyń, bo coś ci się zarozi w głowie podczas zmywania, jeśli okażesz lekceważenie którejś z Przyjętych, opuścisz Wieżę bez zezwolenia, albo przemówisz do jakiejś Aes Sedai, nie czekając aż ona odezwie się do ciebie pierwsza albo... Wszystko, co powinnaś robić, to dokładać wszelkich starań. Nic innego robić nie wolno.

- Tak to brzmi, jakby one usiłowały nas zmusić, abyśmy zapragnęły opuścić to miejsce - zaprotestowała Egwene.

- Wcale nie, choć jednocześnie tak właśnie jest. Egwene, w Wieży przebywa zaledwie czterdzieści nowicjuszek. Tylko czterdzieści i nie więcej jak siedem albo osiem wejdzie do grona Przyjętych. To za mało, powiada Sheriam Sedai. Jej zdaniem jest teraz za mało Aes Sedai do zrobienia tego, co musi zostać zrobione. Jednak Wieża nie... nie może... zaniżyć swoich wymogów. Aes Sedai nie mogą uznać żadnej kobiety za swoją siostrę, jeśli brak jej zdolności, siły i woli. Nie mogą ofiarować pierścienia i szala takiej, co nie potrafi dostatecznie dobrze przenosić Mocy, daje się zastraszyć albo rezygnuje, gdy droga robi się wyboista. Od przenoszenia są nauki i próby, jeśli zaś idzie o siłę i wolę... Cóż, jeśli będziesz chciała odejść, pozwolą ci, ale wtedy, gdy już nauczysz się tyle, by nie umrzeć z powodu swej ignorancji.

- Wydaje mi się - wolno powiedziała Egwene że Sheriam już trochę nam o tym napomykała. Ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że mogłabym być w niedostatecznym stopniu Aes Sedai.

- Ona głosi pewną teorię. Twierdzi, że dokonałyśmy selekcji gatunku ludzkiego. Czy wiesz, co to jest selekcjonowanie? Usuwanie ze stada zwierząt, których cechy ci się nie podobają.

Egwene przytaknęła z rozdrażnieniem: każdy, kto wyrastał w otoczeniu hodowców owiec, musiał się znać na selekcji stad.

- Sheriam Sedai mówi, że dzięki Czerwonym Ajah, które od trzech tysięcy lat polują na mężczyzn zdolnych do przenoszenia Mocy, wytrzebiłyśmy w nas zdolność do przenoszenia. Na twoim miejscu nie wspominałabym o tym w towarzystwie Czerwonych. Sheriam Sedai uczestniczyła w niejednej awanturze na ten temat, a zresztą jesteśmy tylko nowicjuskami.

- Nie powiem ani słowa.

Elayne umilkła, po czym dodała:

- Czy Rand ma się dobrze?

Egwene poczuła nagłe ukłucie zazdrości - Elayne była bardzo piękna - lecz zaraz potem jeszcze silniejsze drgnienie serca, które oznaczało strach. Przywołała na myśl te strzępy wspomnień, które zachowała z opowieści Randa na temat spotkania z dziedziczką tronu i jej niepokój rozproszył się: Elayne raczej nie mogła wiedzieć, że Rand potrafi przenosić Moc.

- Egwene?

- Ma się jak najlepiej.

"Mam nadzieję, że ten wełnianogłowy idiota ma się dobrze".

- Ostatnim razem, jak go widziałam, odjeżdżał konno w towarzystwie shienarańskich żołnierzy.

- Shienarańskich żołnierzy! Mnie powiedział, że jest pasterzem. - Potrząsnęła głową. - Zdarza mi się o nim myśleć w najdziwniejszych momentach. Zdaniem Elaidy on jest z jakiegoś powodu ważny. Wprawdzie nie powiedziała tego otwarcie, ale rozkazała go szukać i wpadła w furję, gdy się dowiedziała, że wyjechał z Caemlyn.

- Elaida?

- Elaida Sedai. Doradczyni mojej matki. Należy do Czerwonych Ajah, ale mimo to moja matka zdaje się ją lubić.

Egwene zaszcło w ustach.

"Czerwona Ajah, która interesuje się Randem".

- Ja... nie wiem, gdzie on teraz jest. Opuścił Shienar i nie sądzę, by miał tam wrócić.

Elayne obdarzyła ją krytycznym spojrzeniem.

- Nie zdradziłabym Elaidzie, gdzie ma go szukać, gdybym to wiedziała, Egwene. Nic mi nie wiadomo, aby uczynił coś złego; obawiam się nadto, że ona chce go w jakiś sposób wykorzystać. W każdym razie nie widziałam jej od dnia, w którym tu przybyłyśmy, wlokąc za sobą Białe Płaszczce, które niczym gończe psy szły naszym śladem. Wciąż jeszcze obozują na zboczu Góry Smoka. - Poderwała się z nienacka na równe nogi. - Porozmawiajmy o czymś weselszym. Są tu jeszcze dwie inne dziewczyny, znające Randa, chciałabym, abyś poznała jedną z nich.

Ujęła Egwene za rękę i wyciągnęła ją z pokoju.

- Dwie dziewczyny? Rand najwyraźniej poznaje wiele dziewczyn...

- Hmmmm? - Elayne przyjrzała się jej bacznie, nadal ciągnąc za sobą w głąb korytarza. - Tak. No cóż. Jedna z nich to leniwa dzierlatka, nazywa się Else Grinwell. Moim zdaniem nie pobędzie tu długo. Wymiguje się od codziennych posług i wiecznie wykrada, by móc podpatrywać Strażników przy ich ćwiczeniach z mieczami. Twierdzi, że Rand trafił do farmy jej ojca razem ze swym przyjacielem, Matem. Niechybnie nakładli jej do głowy wyobrażeń o świecie, który leży za następną wsią, więc uciekła z domu, żeby zostać Aes Sedai.

- Mężczyźni - mruknęła Egwene. - Jak ja podaruję kilka tańców jakiemuś miłemu chłopcu, to Rand zaraz zaczyna się bocyć niczym pies, którego bolą zęby, a on...

Urwała, w dalszej części korytarza pojawiła się bowiem ludzka sylwetka. Elayne też przystanęła w pół kroku i ścisnęła mocniej dłoń Egwene.

Mężczyzna nie miał w sobie nic takiego, co mogłoby wywołać niepokój, jedynie to jego niespodziane pojawienie się mogło zaniepokoić. Był wysoki i przystojny, wchodził już w średni wiek, miał długie, ciemne, wijące się włosy, jednakże garbił ramiona, a w jego oczach czaił się smutek. Nie wykonał ani jednego ruchu w stronę Egwene i Elayne, stał tylko i patrzył na nie, aż w końcu za jego ramieniem pojawiła się jedna z Przyjętych.

- Nie powinno cię tu być - powiedziała do niego tonem nie pozbawionym uprzejmości.

- Chciałem się przejść. - Mówił głębokim głosem, równie smutnym jak oczy.

- Mogłeś się przejść po ogrodzie, tam gdzie ci kazano przebywać. Słońce dobrze ci robi.

Mężczyzna parsknął gorzkim śmiechem.

- Przy czym dwie albo trzy z was będą pilnowały każdego mojego kroku? Boicie się po prostu, że znajdę jakiś nóż. - Widząc wyraz oczu Przyjętej, znowu się zaśmiał. - Dla siebie, kobieto. Dla siebie. Prowadź mnie do waszego ogrodu i waszych czujnych oczu.

Przyjęta ujęła go lekko za ramię i poprowadziła przed siebie.

- Logain - powiedziała Elayne, gdy mężczyzna zniknął już z korytarza.

- Fałszywy Smok!

- Został poskromiony, Egwene. Nie jest już bardziej niebezpieczny niż inni mężczyźni. Pamiętam jednak, jak wyglądał przedtem, kiedy aż sześć Aes Sedai musiało go pilnować, by nie wykorzystał Mocy i nie zniszczył nas wszystkich.

Zadygotała.

Egwene też poczuła, jak przeszywa ją dreszcz. Właśnie to Czerwone Ajah mogły zrobić z Randem.

- Czy zawsze trzeba ich poskramiać? - spytała.

Elayne zapatrzyła się na nią z ustami otwartymi ze zdumienia, więc szybko dodała:

- No, bo mogłabym pomyśleć, że Aes Sedai znajdują jakiś inny sposób na radzenie sobie z nimi. Anayia i Moiraine mówiły, że największe dzieła Wieku Legend wymagały współdziałania mężczyzn i kobiet przy korzystaniu z Mocy. Po prostu wydawało mi się, że będą próbowały znaleźć jakąś inną drogę.

- Cóż, nie dopuść, by jakaś Czerwona siostra słyszała, jak głośno o tym myślisz. Egwene, one istotnie próbowały. Próbowały przez trzysta lat od czasu zbudowania Białej Wieży. Poddały się, ponosiły kolejne porażki. Chodź. Chcę, żebyś poznała Min. Na szczęście nie w ogrodzie, do którego udał się Logain, dzięki Światłości.

Imię to wydawało się Egwene dziwnie znajome, a gdy zobaczyła młodą kobietę, wiedziała już dlaczego. W ogrodzie płynął wąski strumyk, przez który przerzucony był niski kamienny mostek. Na ograniczającym go murze siedziała na skrzyżowanych nogach Min. Była ubrana w obcisłe męskie spodnie i workowatą koszulę, dzięki krótko przyciętym włosom mogła nieomal uchodzić za chłopca, jakkolwiek bardzo urodziwego. Obok niej, na zwieńczeniu muru, leżał szary kaftan.

- Znam cię - powiedziała Egwene. - Pracowałeś w karczmie w Baerlon.

Powierzchnię wody płynącej pod mostkiem marszczył lekki wiatr, wśród drzew rosnących w ogrodzie ćwierkały szaropiórki.

Min uśmiechnęła się.

- A ty byłeś z tymi, którzy sprowadzili Sprzymierzeńców Ciemności, co to usiłowali nas spalić. Nie, nie przejmuj się. Posłaniec, który przybył mnie zabrać, przywiózł z sobą dość złota, by pan Fitch mógł odbudować karczmę, i to dwukrotnie większą niż miał uprzednio. Dzień dobry, Elayne. Nie ślęczysz przy swoich naukach? Ani przy jakichś garnkach?

Zostało to wypowiedziane żartobliwym tonem, jakby obydwie kobiety przyjaźniły się ze sobą i mogły przekomarzać się, nie wywołując urazy. Uśmiech Elayne to potwierdził.

- Widzę, że Sheriam nie potrafiła cię jeszcze zmusić, byś ubrała się w suknię.

W śmiechu Min zabrzmiała złośliwa nuta.

- Nie jestem nowicjuską.

Zaczęła mówić piskliwym głosem:

- Tak, Aes Sedai. Nie, Aes Sedai. Czy mogę zamieść jeszcze którąś podłogę, Aes Sedai? Ja - dodała, powracając do swej zwykłej, niskiej barwy głosu - ubieram się tak, jak chcę. - Zwróciła się do Egwene. - Czy Rand ma się dobrze?

Egwene zacisnęła usta.

"On powinien nosić rogi jak jakiś trollok" - pomyślała ze złością.

- Bardzo mi było przykro, gdy wasza karczma stanęła w płomieniach i cieszę się, że pan Fitch mógł ją odbudować. Po co przyjechałaś do Tar Valon? Najwyraźniej wcale nie chcesz zostać Aes Sedai.

Min wygięła brwi w łuk, Egwene była pewna, że czyni to z rozbawienia.

- Ona go lubi - wyjaśniła Elayne. - Wiem.

Min zerknęła na Egwene, której przez chwilę wydawało się, że widzi w jej oczach smutek - a może żal?

- Jestem tu - odparła dobitnie Min - bo przysłano po mnie i dano mi wybór, że albo usiądę samodzielnie na końskim grzbiecie, albo przywiążą mnie do niego, zapakowaną w worek.

- Ty zawsze przesadzasz - skarciła ją Elayne. Sheriam Sedai widziała ten list i powiada, że to była prośba. Min widzi rzeczy, Egwene. Dlatego właśnie tu jest, by Aes Sedai mogły zbadać, jak ona to robi. To nie polega na korzystaniu z Mocy.

- Prośba - zachnęła się Min. - Kiedy jakaś Aes Sedai prosi o twoje przybycie, to przypomina to



rozkaz wydany przez królową, rozkaz, za którym kryje się stu żołnierzy.

- Każdy człowiek przecież widzi rzeczy - zauważyła Egwene.

Elayne potrząsnęła głową.

- Nie tak jak Min. Ona widzi... poświaty, które otaczają ludzi. Ma także wizje.

- Nie zawsze - wtrąciła Min. - Nie przy każdym. - Potrafi też z nich różne rzeczy wyczytywać, choć ja nie jestem pewna, czy zawsze mówi prawdę. Powiedziała mi, że będę musiała dzielić męża z dwoma innymi kobietami, i że nigdy się z tym nie pogodzę. Nie podoba mi się to, ale ona tylko się z tego śmieje i mówi, że jej samej nigdy nie interesowało dbanie o rozwój spraw. Ale powiedziała, że ja zostanę królową, jeszcze zanim się dowiedziała, kim jestem. Mówiła też, że widzi koronę i to była Różana Korona Andoru.

Wbrew sobie Egwene spytała:

- Co widzisz, gdy na mnie patrzysz?

Min zerknęła na nią.

- Biały płomień i... och, różne rzeczy. Nie wiem, co one znaczą...

- Często to powtarza - powiedziała Elayne cierpkim tonem. - Jedną z rzeczy, które zobaczyła, gdy na mnie spojrzała, była odcięta dłoń. Nie moja dłoń, orzekła. Twierdzi też, że nie wie, co ona oznacza.

Chrzęst butów na ścieżce kazał im się odwrócić. Zobaczyły dwóch młodych mężczyzn, koszule i kaftany nieśli przewieszane przez ramię, ukazując obnażone, okryte potem torsy, w dłoniach trzymali schowane do pochew miecze. Egwene mimo woli zagapiła się na najprzystojniejszego mężczyznę, jakiego widziała w życiu. Wysoki i szczupły, a przy tym mocno zbudowany, poruszał się z kocią gracją. Nagle zauważyła, że młodzieniec pochyla się nad jej dłonią - nawet nie poczuła, kiedy ją ujął - musiała poszukać w myślach imienia, którym się przedstawił.

- Galad - powtórzyła półgłosem.

Ciemne oczy wpatrywały się w jej oczy. Był od niej starszy. Starszy od Randa. Na myśl o Randzie otrząsnęła się i przysłała do siebie.

- A ja jestem Gawyn. - Drugi młodzieniec uśmiechał się szeroko. - Zdaje się, nie dosłyszałaś za pierwszym razem.

Min również się uśmiechała, tylko Elayne zmarszczyła czoło.

Egwene nagle przypomniała sobie o swej dłoni, wciąż pozostającej w uścisku Galada, i uwolniła ją.

- Jeśli nasze obowiązki nam pozwolą - powiedział Galad - pragnąłbym cię zobaczyć raz jeszcze, Egwene. Moglibyśmy udać się na przechadzkę albo, jeśli uzyskasz zezwolenie na opuszczenie Wieży, zrobić sobie piknik za murami miasta.

- To... byłoby bardzo przyjemnie. - Poczowała się skrępowana obecnością Min, która wciąż uśmiechała się z tym samym rozbawieniem, Elayne, z grymasem wokół ust i Gawyna. Próbowwała odzyskać spokój, myśleć o Randzie.

"On jest taki... piękny".

Drgnęła, trochę przestraszona, że wypowiedziała tę myśl na głos.

- Do zobaczenia zatem. - Galad, który wreszcie oderwał wzrok od jej oczu, uklonił się Elayne. - Siostro!

Sprężysty niczym ostrze miecza wszedł na mostek.

- On będzie zawsze czynił to, co należy - mruknęła Min, ukradkiem odprowadzając go wzrokiem - nie zważając, kogo tym zrani.

- Siostro? - zapytała Egwene.

Grymas na twarzy Elayne zelżał tylko odrobinę.

- Myślałam, że to twój... Chodzi mi o to skrzywienie na twojej... - Przyszło jej do głowy, że Elayne jest zazdrosna i nadal nie była pewna, czy nie ma racji.

- Nie jestem jego siostrą - oświadczyła surowym tonem Elayne. - Nie życzę sobie nią być.

- Nasz ojciec był również jego ojcem - wtrącił sucho Gawyn. - Nie możesz temu zaprzeczyć, chyba że pragniesz kłam zarzucić matce, a coś takiego, jak sędzę, wymagałoby więcej tupetu, niż w sumie razem posiadamy.

Egwene dopiero teraz zauważyła, że Gawyn ma takie same rudawozłote włosy jak Elayne, pociemniałe teraz i sklezione od potu.

- Min ma rację - orzekła Elayne. - Galadowi brakuje choć krztyny ludzkich odruchów. Stawia prawo ponad miłosierdziem, litością czy bodaj... Nie jest bardziej człowiekiem niż trollok.

Na twarz Gawyna powrócił szeroki uśmiech.

- Nic mi o tym nie wiadomo. W każdym razie nie wynika to ze sposobu, w jaki patrzył się tutaj na Egwene. - Pochwycił jej spojrzenie, a także spojrzenie swej siostry i wyciągnął przed siebie rękę, jakby chciał się przed nimi osłonić mieczem schowanym do pochwy. - A poza tym w życiu nie widziałem lepszej ręki do miecza. Wystarczy pokazać mu coś tylko raz, a on z miejsca to umie. Jeśli chodzi o mnie, to omal nie kazali wypocić się na śmierć, bym się nauczył bodaj połowy tego, co Galad umie od razu, wcale wcześniej nie ćwicząc.

- Czyżby umiejętność posługiwania się mieczem starczała za wszystko? - zadrwiła Elayne. - Mężczyźni! Egwene, jak się zapewne już domyśliłaś, ten haniebnie obnażony tuman to mój brat. Gawyn, Egwene zna Randa al'Thora. Pochodzi z tej samej wsi.

- Doprawdy? Czy on naprawdę urodził się w Dwu Rzekach, Egwene?

Egwene zmusiła się, by spokojnie mu przytaknąć.

"Co on wie?"

- Oczywiście, że tak. Dorastaliśmy razem.

- Oczywiście - wolno powtórzył Gawyn. - Cóż za dziwny człowiek. Mówił, że jest pasterzem, ale zupełnie nie wyglądał ani nie zachowywał się jak wszyscy pasterze, których dotąd widywałem. Dziwny. Stale napotykam najróżniejszych ludzi, którym zdarzyło się poznać Randa al'Thora. Niektórzy nawet nie znali jego imienia, ale opis nie mógłby pasować do nikogo innego, a nadto on wprowadził zmianę w życie każdego z nich. Był taki jeden stary rolnik, który przybył do Caemlyn po to tylko, by zobaczyć, jak będą tamtędy wiedli Logaina do Tar Valon i ten rolnik został w mieście, by wesprzeć matkę, kiedy zaczęły się rozruchy. Został za sprawą młodego człowieka wędrującego po świecie, który pokazał staremu, że może w życiu zobaczyć coś jeszcze niż tylko swoją zagrodę; za sprawą Randa al'Thora. Można by nieomal pomyśleć, że on jest *ta'veren*. Elaida z pewnością się nim zainteresowała. Ciekaw jestem, czy to, że go poznaliśmy, przemieści nasze pozycje we Wzorze?

Egwene popatrzyła na Elayne, potem na Min. Była przekonana, że nie mają podstaw, by sądzić, że Rand jest rzeczywiście *ta'veren*. Nigdy wcześniej nie zastanawiała się nad tym elementem całej historii. Był Randem i dotknęło go przekleństwo, jakim jest umiejętność przenoszenia Mocy. Jednakże *ta'veren* istotnie przemieszczali przypisane ludziom przez Wzór pozycje, całkowicie niezależnie od ich woli.

- Naprawdę was lubię - wyznała znienacka, obejmując przyjaznym gestem obydwie dziewczyny.

- Pragnę być waszą przyjaciółką.

- I ja chcę być twoją przyjaciółką-przyrzekła Elayne. Egwene uściskała ją impulsywnie, a potem Min zeskoczyła z muru i wszystkie trzy objęły się na samym środku mostu.

- My trzy jesteśmy z sobą związane - oświadczyła Min - i nie możemy dopuścić, by jakiś

mężczyzna przerwał tę więź. Nawet on.

- Czy któraś z was zechciałaby mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? - spytał łagodnie Gawyn.

- Nie zrozumiałbyś - wyjaśniła jego siostra i wszystkie trzy dziewczyny zachichotały.

Gawyn podrapał się w głowę, potem potrząsnął nią.

- Cóż, jeśli to ma coś wspólnego z Randem al'Thorem, to dopilnujcie, by nie dowiedziała się o tym Elaida. Już trzy razy od naszego przyjazdu napadała mnie niczym śledczy Białych Płaszczy. Nie sądzę, by ona uważała go za... - Drgnął, przez ogród szła jakaś kobieta, kobieta w szalu z czerwonymi frędzlami. - "Wezwij Czarnego - zacytował - a wnet się zjawi". Nie mam ochoty na kolejny wykład o obowiązku noszenia koszuli, gdy jestem poza dziedzińcem ćwiczeń. Życzę wam wszystkim dobrego dnia.

Elaida ledwie raczyła spojrzeć w stronę oddalającego się Gawyna, powoli zbliżała się do mostka. Zdaniem Egwene była kobietą raczej przystojną niżli piękną, jednakże pozbawiony wieku wygląd naznaczał ją równie nieomylnie jak szal - szali nie nosiły jedynie świeżo upieczone siostry. Gdy objęła ją wzrokiem, zatrzymując go jedynie na chwilę, Egwene dostrzegła nagle, ile srogości jest w Aes Sedai. W Moiraine zawsze widziała siłę, stał ukrytą pod jedwabiem, Elaida natomiast obywatela się bez jedwabiu.

- Elaido - powiedziała Elayne - to jest Egwene. Ona też urodziła się z załążkiem talentu. I już zostało jej udzielonych kilka lekcji, więc zaawansowana jest zapewne w takim samym stopniu jak ja. Elaido?

Twarz Aes Sedai pozostała obojętna, nieodgadniona.

- W Caemlyn, dziecko, jestem doradczynią panującej tam królowej a twojej matki, tutaj zaś znajdujemy się w Białej Wieży, natomiast ty jesteś nowicjuską.

Min wykonała taki ruch, jakby zbierała się do odejścia, jednakże Elaida powstrzymała ją, mówiąc ostrym tonem:

- Stój, dziewczyno. Będę z tobą rozmawiała.

- Znam cię od urodzenia, Elaido - powiedziała Elayne tonem niedowierzania. - Patrzyłaś, jak dorastam i sprawiałaś, by ogrody rozkwitały zimą, dzięki czemu mogłam się w nich bawić.

- Dziecko, tam byłaś dziedziczką tronu. Tutaj jesteś nowicjuską. Musisz się tego nauczyć. Któregoś dnia będziesz dysponowała potęgą, ale najpierw musisz się uczyć!

- Tak, Aes Sedai.

Egwene była zdumiona. Gdyby ktoś zrugął ją w taki sposób w obecności innych osób, wpadłaby w furję.

- A teraz odejdźcie stąd obydwie.

Rozległo się brzmienie gongu, głębokie i dźwięczne, Elaida przekrzywiła głowę. Słońce osiągnęło zenit swej wędrówki.

- To na primę - powiedziała Elaida. - Musicie się pośpieszyć, jeśli nie chcecie wysłuchiwać kolejnych nagan. A Elayne? Po wypełnieniu swych obowiązków idź do gabinetu mistrzyni nowicjusek. Nowicjuszka nie odzywa się pierwsza do Aes Sedai, o ile jej nie rozkażą. Biegnijcie obydwie. Spóźnicie się. Biegnijcie!

Pobiegły, zadzierając spódnice do góry. Egwene spojrzała na Elayne. Elayne miała dwie barwne plamy na policzkach, wyraz determinacji na twarzy.

- Zostanę Aes Sedai. - Elayne wypowiedziała to cichym głosem, ale zabrzmiało to jak przyrzeczenie.

Egwene usłyszała jeszcze dobiegające ją z tyłu pierwsze słowa Aes Sedai:

- Dano mi do zrozumienia, dziewczyno, że zostałam tu sprowadzona przez Moiraine Sedai.

Miała ochotę przystanąć i posłuchać, sprawdzić, czy Elaida będzie wypytywała o Randa, jednakże Białą Wieżę przepełniło brzmienie dzwonu na primę i było to dla niej jak wezwanie do obowiązków. Biegła, gdyż rozkazano jej biec.

- Zostanę Aes Sedai - warknęła.

Na twarzy Elayne rozbrzmiał przelotny uśmiech zrozumienia, teraz obie popędziły jeszcze szybciej.

Koszula Min dokładnie oblepiała ciało, gdy wreszcie zeszła z mostka. To nie słońce wycisnęło z niej pot, lecz żar pytań Elaidy. Obejrzała się przez ramię, chcąc się upewnić, czy Aes Sedai nie idzie jej śladem, jednakże w zasięgu wzroku nigdzie tamtej nie było.

Skąd Elaida wiedziała, że to Moiraine ją wezwała? Min żywiła przekonanie, że jest to sekret znany wyłącznie jej, Moiraine i Sheriam. I wszystkie te pytania o Randa. Trudno zachować niezmażone oblicze i nie mrugnąć powieką, gdy mówiła Aes Sedai prosto w twarz, że nic o nim nie słyszała, że ani trochę go nie zna.

"Czego ona od niego chce? Światłości, czego chce od niego Moiraine? Kim on jest? Światłości, ja nie chcę kochać się w człowieku, którego widziałam tylko raz w życiu i który na dodatek jest prostym wiejskim chłopcem".

- Moiraine, niech cię Światłość oślepi - mruknęła - nieważne po co mnie tu ściągnęłaś, wyjdź stamtąd, gdzieś się ukryła, i powiedz; powiedz a będę mogła stąd wreszcie odejść!

Odpowiedziała jej tylko słodka melodia wyśpiewywana przez szaropiórki. Krzywiąc się, ruszyła na poszukiwanie miejsca, w którym mogłaby ochłonąć.

# ROZDZIAŁ 2

## CAIRHIEN

Gdy Rand po raz pierwszy zobaczył miasto Cairhien - od strony północnych szczytów, w świetle południowego słońca - jego wzrok ogarnął otaczające je wzgórza i rzekę Alguenya. Wrażenie, że Elricain Tavolin i pięćdziesięciu cairhieńskich żołnierzy stanowi jego straż, wciąż nasilało się, a wzmogło szczególnie, odkąd przekroczyli most na Gaelin - im dalej jechali na południe, tym bardziej napuszeni się stawali - ponieważ jednak Loialowi i Hurinowi najwyraźniej to nie przeszkadzało, więc on też starał się na nich nie zważać. Przypatrywał się miastu, największemu z wszystkich, jakie do tej pory widział. Rzekę wypełniały brzuchate statki i rozłożyste barki, a wzdłuż przeciwległego brzegu rozciągał się szereg wysokich spichlerzy, natomiast samo Cairhien zdawało się ułożone podle siatki wytyczonej precyzyjnie w obrębie wyniosłych, szarych murów. Same mury tworzyły idealny kwadrat, którego jeden z boków biegł równoległe do brzegu rzeki. Jakby pobudowane zgodnie z określonym z góry wzorem wznosiły się za nimi wieże, po dwadzieścikroć od nich wyższe, szybujące prosto ku niebu, Rand jednak ze swego stanowiska na wzgórzu widział, że każda z nich kończy się nierównym, wyszczerzonym szczytem.

Poza murami miasta rozpościerała się - aż do samego brzegu rzeki - wypełniona rojem ludzi płatanina ulic, krzyżujących się pod najrozmaitszymi kątami. Rand wiedział od Hurina, że to miejsce to podgrodzie; kiedyś przy każdej bramie wiodącej do miasta znajdowała się wioska targowa, a w miarę upływu lat wszystkie te wioski zlały się w jedną, tworząc labirynt ulic i alejek, rozrastających się we wszystkich kierunkach.

Kiedy Rand wraz z eskortą wjechał między błotniste ulice, Tavolin nakazał kilku swoim żołnierzom utorować ścieżkę przez ludzką ciżbę. Pokrzykiwali i poganiali konie, niemalże chcąc stratować każdego, kto w porę nie ustąpi drogi. Ludzie schodzili na bok, poświęcając im tylko przelotne spojrzenia, jakby takie epizody były na porządku dziennym. Rand mimo woli musiał się uśmiechnąć.

Mieszkańcy podgrodzia przeważnie mieli na sobie obszarpane ubrania, z reguły jednak barwne, a miejsce wokół nich tętniło zgrzytliwym gwarem życia. Straganiarze okrzykami zachwalali swoje wyroby, właściciele sklepów namawiali ludzi, by kosztowali towarów wyłożonych na stołach ustawionych na ulicy. Wśród tłumu płatali się fryzjerzy, sprzedawcy owoców, ostrzący noże, mężczyźni i kobiety oferujący dziesiątki usług i setki przedmiotów na sprzedaż. Z niejednej budowli dobiegała wplatająca się w zgiełk muzyka, z początku Rand sądził, że to karczmy, jednakże wszystkie tablice wywieszane na frontach przedstawiały ludzi grających na fletach albo harfach, wykonujących akrobacje czy żonglujących, i mimo że domy były duże, nie miały żadnych okien. Większość budynków podgrodzia wyglądała na drewniane, niezależnie od wielkości, a całkiem sporo najwyraźniej postawiono niedawno i na dodatek dość niedbale. Rand gapił się z niedowierzaniem na niektóre, liczące siedem i więcej pięter, jednakże ludzie, którzy pośpiesznie do nich wchodzili lub wychodzili, zdawali się nawet nie zauważać, że ich ściany chwieją się nieznacznie.

- Wieśniacy - mruknął Tavolin, patrząc przed siebie z niesmakiem. - Patrzenie na nich, zepsuci cudzoziemskimi obyczajami. Nie powinno ich tu być.

- A gdzie być powinni? - spytał Rand.

Cairhieński oficer zmierzył go groźnym spojrzeniem i pognął konia do przodu, harapem chłostając tłoczących się przechodniów.

Hurin dotknął ramienia Randa.

- To przez Wojnę o Aiel, lordzie Rand. - Sprawdził wzrokiem, czy żaden z żołnierzy nie jest dostatecznie blisko, by móc cokolwiek posłyszeć. - Wielu wieśniaków bało się powrócić do swych ziem położonych przy grzbiecie świata, a przyjechali tu, bo mieli względnie blisko. Dlatego właśnie Galldrianowi trafiło się, że ma rzekę pełną barek ze zbożem, płynących tu z Andoru i Łzy. Z zagród na wschodzie plony nie docierają, bo żadnych zagród już tam nie ma. Lepiej jednak nie napomykać o tym żadnemu Cairhieninowi, mój panie. Oni wolą udawać, że wojny nigdy nie było, albo że ją wygrali.

Mimo harapa Tavolina zmuszeni byli się zatrzymać, bowiem drogę przecięła im dziwaczna procesja. Kilka postaci, uderzających w tamburyny i tańczących, wiodło za sobą szereg ogromnych marionetek. Każda z nich była o półtora raza większa od niosących je na długich tykach ludzi. Ogromne figury męskie i kobiece, z koronami na głowach, okryte długimi, zdobnymi szatami, kłaniały się tłumowi spomiędzy kształtów baśniowych zwierząt. Lew ze skrzydłami. Dwugłowy kozioł, idący na zadnich nogach - obydwie głowy najwyraźniej udawały, że zioną ogniem, bowiem z ich paszczy powiewały szkarłatne wstążki. Stwór, który zdawał się w połowie kotem, a w połowie orłem; jeszcze inny, z łbem niedźwiedzia wyrastającym z ludzkiego ciała, którego Rand uznał za trolloka. Tłoczący się ludzie witali tę paradę owacjami i śmiechem.

- Ten, który to wykonał, na oczy nie widział trolloka - burknął Hurin. - Łeb za wielki, cielsko zbyt wychudłe. Pewnie w ogóle w nie nie wierzył; mój panie, podobnie jak w te inne stwory. Jedyne monstra, w które ludzie z podgrodzia wierzą, żyją na Pustkowiu Aiel.

- Czy tu się odbywa jakieś święto? - spytał Rand.

Wprawdzie nie widział żadnych innych oznak prócz tej procesji, ale uznał, że nie została zorganizowana bez powodu. Tavolin nakazał żołnierzom ruszyć dalej.

- Tylko zwykły dzień, Rand - odpowiedział mu Loial. Ogir idący obok konia, który wciąż dźwigał okrytą kocem, przywiązaną rzemieniami do siodła szkatułę, przyciągał tyle samo spojrzeń co kukły. - Obawiam się, że Galldrian utrzymuje spokój wśród ludzi, dostarczając im rozrywek. Ofiarowuje bardom i muzykantom królewski gościniec, hojną zapłatę w srebrze, by występowali na podgrodziu. Finansuje także wyścigi konne, które odbywają się codziennie nad rzeką. Często też wieczorami odbywają się pokazy fajerwerków. - Mówił to z wyraźnym niesmakiem. - Starszy Haman powiada, że Galldrian poprzez swoje zachowanie okrywa się niesławą.

Zamrugnął, uświadomiwszy sobie, co właśnie powiedział i pośpiesznie rozejrzał się, by sprawdzić, czy nie usłyszał tego któryś z żołnierzy. Najwyraźniej jednak żaden nie zwrócił uwagi.

- Fajerwerki - powiedział Hurin, kiwając głową. Słyszałem, że iluminatorzy wybudowali tu sobie kapitularz, taki sam jak w Tanchico. Nawet mi nie powstało w głowie, żeby oglądać fajerwerki, jak tu byłem ubiegłym razem.

Rand pokręcił głową. Nigdy nie widział fajerwerków tak wyszukanych, by wymagały pracy bodaj jednego iluminatora. Słyszał, że opuszczali Tanchico tylko po to, by urządzać pokazy dla władców. Do dziwnego miejsca trafił.

Pod wysokim, kwadratowym sklepieniem miejskiej bramy Tavolin zarządził postój i zsiadł z konia przy przysadzistym pomieszczeniu, wbudowanym we wnętrze muru. Zamiast okien miało szczeliny strzelnicze, do środka wchodziło się przez ciężkie, okute żelazem drzwi.

- Jedną chwilę, lordzie Rand - powiedział oficer.

Cisnął wodze jednemu z żołnierzy i zniknął w środku.

Czujnie oglądając się na żołnierzy - ustawili konie w dwa długie, znieruchomiłe szeregi - Rand zastanawiał się, co by zrobili, gdyby on wraz z Hurinem i Loialem próbowali teraz odjechać i korzystał z okazji, by ogarnąć spojrzeniem rozciągające się przed nim miasto.

Właściwe Cairhien stanowiło ostry kontrast wobec chaotycznego harmideru podgrodzia. Przestronne, brukowane ulice, tak szerokie, że ludzi na nich wydawało się mniej, niż ich było w istocie, przecinały się z sobą pod prostymi kątami. Dokładnie tak jak w Tremonsien, w zboczach wzgórz wyrzeźbiono tarasy zakończone równymi liniami. Po ulicach nieśpiesznie przemieszczały się obudowane lektyki, niektóre wyposażone w proporce z herbami rodów, wolno toczyły się powozy. Milczący ludzie wędrowali w ciemnych strojach, zdobionych żywszą barwą pasków na piersiach kaftanów i sukien. Im więcej tych pasków było, tym dumniej poruszał się noszący, nikt jednak nie śmiał się w głos, ani nawet nie uśmiechał. Wszystkie budynki na tarasach wykonano z kamienia, zaś ich ornamentacje podle prostych linii i ostrych kątów. Na ulicach nie było ani straganiarzy, ani przekupniów, nawet sklepy wyglądały na wyciszone, ogłaszały się niewielkimi tablicami, na zewnątrz nie wystawiono żadnych towarów.

Mógł teraz przyjrzeć się dokładniej wielkim wieżom. Otaczały je rusztowania z powiązanych z sobą pali, uwijali się na nich robotnicy, dokładający nowe kamienie, które miały podbić wierzchołki wież jeszcze wyżej.

- Niebotyczne wieże Cairhien - mruknął smutno Loial. - Cóż, ongiś były tak wysokie, że uzasadniały swą nazwę. Gdy Cairhien opanowali Aielowie, mniej więcej wtedy, gdy ty się urodziłeś, wieże stanęły w ogniu, popękały i rozpadły się. Nie widzę żadnych ogirów wśród mularzy. Żadnemu ogirowi praca w takim miejscu nie mogłaby przypaść do gustu, mieszkańcy Cairhien chcą mieć wszystko zgodnie ze swymi życzeniami, bez upiększeń, niemniej, gdy byłem tu poprzednio, widziałem ogirów.

Z budynku wyłonił się z powrotem Tavolin, w ślad za nim szedł jeszcze jeden oficer i dwóch urzędników, jeden niósł wielką, oprawną w drewno księgę, drugi tacę z przyborami do pisania. Oficer miał czoło wysoko wygolone, podobnie jak Tavolin, jakkolwiek to raczej postępująca łysina ujęła mu włosów niżli brzytwa. Obydwaj oficerowie powiedli wzrokiem od Randa do szkatuły ukrytej pod prążkowanym kocem Loiala, po czym ponownie spojrzeli na niego. Żaden nie zapytał, co jest pod kocem. Tavolin nierzadko spoglądał w tę stronę w drodze z Tremonsien, ale też nigdy nie zadał pytania. Łysiejący mężczyzna popatrzył również na miecz Randa i przez chwilę wydymał wargi.

Tavolin podał, że oficer nazywa się Asan Sandair, po czym głośno obwieścił:

- Lord Rand z domu al'Thor, z Andoru i jego człowiek, zwany Hurmem, oraz Loial, ogir ze Stedding Shangtai. Urzędnik z księgą rozłożył ją sobie na wyciągniętych ramionach i Sandair wpisał tam wymienione imiona rondowym pismem.

- Jutro, o tej samej porze, będziecie musieli powrócić do wartowni, mój panie - oświadczył Sandair, pozostawiając zadanie osuszenia liter piaskiem drugiemu urzędnikowi - i podać nazwę karczmy, w której się zatrzymacie.

Rand popatrzył na stateczne ulice Cairhien, a potem obejrzał się w stronę ożywienia panującego na podgrodzium.

- Czy możecie mi podać nazwę jakiejś dobrej gospody, którą tam znajdę? - Skinieniem głowy wskazał podgrodzie.

Hurin wydał z siebie dramatyczne "psst" i nachylił się w jego stronę.

- Nie uchodzi, lordzie Rand - wyszeptał. - Jeśli zatrzymasz się na podgrodzium, mimo że jesteś lordem, oni nabiorą przekonania, że coś knujesz.

Rand widział, że wężyciel ma rację. W odpowiedzi na to pytanie Sandair rozdziawił szeroko usta, a Tavolin uniósł brwi; obydwaj wciąż przyglądali mu się natarczywie. Miał ochotę oświadczyć, że nie bierze udziału w ich Wielkiej Grze, lecz zamiast tego powiedział:

- Wynajmiemy pokoje w mieście. Czy możemy już ruszać?

- Rzecz jasna, lordzie Rand. - Sandair wykonał ukłon. - Ale co z... karczmą?

- Powiadomię was, gdy już jakąś sobie znajdziemy. - Rand zawrócił Rudego, po czym zatrzymał się. W kieszeni zaszeleścił mu list od Selene. - Muszę odnaleźć pewną młodą kobietę z Cairhien. Lady Selene. W moim wieku, bardzo piękna. Nazwy rodu nie znam.

Sandair i Tavolin wymienili spojrzenia, po chwili Sandair powiedział:

- Zasięgnę informacji, mój panie. Być może będę w stanie coś ci powiedzieć, gdy stawisz się tutaj jutro.

Rand przytaknął i powiódł Loiala oraz Hurina ku centrum miasta. Nie przyciągali większej uwagi, mimo iż dookoła niewielu było konnych. Nawet Loial nie przykuwał niemalże niczyich spojrzeń. Ludzie wydawali się wręcz ostentacyjnie zajmować wyłącznie własnymi sprawami.

- Czy oni mogą niewłaściwie przyjąć - spytał Rand Hurina - moje wypytywanie o Selene?

- Kto zrozumie Cairhienina, lordzie Rand? Oni najwyraźniej myślą, że wszystko ma związek z *Daes Dae'mar*.

Rand wzruszył ramionami. Miał wrażenie, że ludzie patrzą się na niego. Nie mógł się doczekać, kiedy znowu przywdzieje mocny, zwyczajny kaftan i przestanie wreszcie udawać kogoś, kim nie jest.

Hurin znał kilka karczm w mieście, jakkolwiek poprzedni pobyt w Cairhien spędził głównie w podgrodziu. Węszyciel zawiódł ich do karczmy zwanej "Obrońca Muru Smoka", jej godło przedstawiało ukoronowanego mężczyznę, który trzymał nogę na piersi i miecz przy gardle drugiego człowieka. Leżący miał rude włosy.

Pojawił się stajenny, by zabrać ich konie i kiedy zdawało mu się, że nikt go nie obserwuje, ciskał szybkie spojrzenia w stronę Randa i Loiala. Rand stwierdził, że musi wyzbyć się urojeń, nie wszyscy w tym mieście musieli się bawić w tę ich grę. A jeśli nawet tak było, to on przecież nie brał w niej udziału.

Wnętrze głównej izby było schludne, stoły uszeregowano tak równo jak całe miasto, siedziało przy nich zaledwie kilku gości. Podnieśli wzrok na widok nowo przybyłych i natychmiast wbili go z powrotem w swoje wino, Rand jednak miał uczucie, że nadal ich obserwują i podsłuchują. W palenisku ogromnego kominka płonął skąpy ogień, mimo że dzień był ciepły.

Karczmarz był przysadzystym, tłustym mężczyzną, ubranym w ciemnoszary kaftan z biegnącym przezeń pojedynczym paskiem zieleni. Z początku przestraszył się na ich widok, czym Rand wcale nie był zdziwiony. Loial, z owiniętą w pasiasty koc szkatułą w ramionach, musiał pochylić głowę, by przejść przez drzwi. Hurin uginał się pod ciężarem sakiew i tobołów, a jego czerwony kaftan mocno się wyróżniał na tle ponurych barw, które nosili ludzie siedzący przy stołach.

Karczmarz odebrał od Randa kaftan i miecz, na jego twarz powrócił oleisty uśmiech. Ukłonił się, zacierając gładkie dłonie.

- Wybacz mi, mój panie. To dlatego, że przez chwilę wzięłem cię za... Wybacz mi. Mój mózg nie pracuje już tak jak dawniej. Chcecie wynająć pokoje, mój panie? - Dodał jeszcze jeden, nie tak głęboki ukłon w stronę Loiala. Zwą mnie Cuale, mój panie.

"Jemu się wydawało, że jestem Aielem" - pomyślał z goryczą Rand.

Miał wielką ochotę wyjechać już z Cairhien. Ale to było jedyne miejsce, w którym *mógł* ich odszukać Ingtar. Ponadto Selene obiecała, że będzie na niego czekała w Cairhien.

Przygotowanie pokoi zabrało trochę czasu, Cuale wyjaśnił, nieco zbyt skwapliwie okraszając wypowiedź uśmiechami i ukłonami, że trzeba przenieść łóżko dla Loiala. Rand i tym razem chciał, żeby wszyscy dzielili tę samą izbę, lecz pod wpływem zgorszonych spojrzeń karczmarza i nalegań Hurina - "Musimy pokazać temu Cairhieninowi, że równie dobrze jak oni wiemy, co wypada, lordzie



Rand" ulokowali się ostatecznie w dwóch izbach (jedna przypadła jemu samemu) połączonych z sobą wspólnymi drzwiami.

Pokoje były mniej więcej takie same, tyle że u nich stały dwa łóżka, jedno dopasowane do rozmiarów ogira, natomiast u niego stało tylko jedno łóżko i to nieomal równie wielkie jak tamte dwa, z masywnymi, kwadratowymi postumentami, które prawie dosięgały sufitu. Wyściełane krzesło z wysokim oparciem i umywalka również były kwadratowe i masywne, szafa zaś, stojąca pod ścianą, została wykonana w ciężkim, monumentalnym stylu, co powodowało wrażenie, iż zaraz zwali się na niego. Dwoje okien, pod którymi ustawione było łóże, z wysokości dwu pięter wyglądało na ulicę.

Zaraz po wyjściu karczmarza Rand otworzył drzwi i wpuścił Loiala i Hurina do swojej izby.

- To miasto mnie przygniata - powiedział im. Wszyscy patrzą na człowieka w taki sposób, jakby uważali, że coś przeskrobał. Zresztą, wybieram się na podgrodzie, wrócę za jakąś godzinkę. Tam przynajmniej ludzie się śmieją. Który z was zechce pierwszy objąć wartę przy Rogu?

- Ja zostanę - szybko odparł Loial. - Chciałbym skorzystać z okazji i trochę poczytać. To, że nie widziałem żadnego ogira, wcale nie oznacza, że nie ma tu mularzy ze Stedding Tsofu. To niedaleko stąd.

- Mogłaby się wydawać, że miałbyś ochotę się z nimi spotkać.

- Ach... nie, Rand. Ostatnim razem zadawali dość pytań o powody, dla których włóczę się samotnie po świecie. Jeśli dostali jakieś wieści ze Stedding Shangtai... Cóż, chyba jednak wolę sobie odpocząć i poczytać.

Rand pokręcił głową. Często zapominał, że Loial, aby zobaczyć świat, w istocie uciekł z domu.

- A ty co, Hurin? Na podgrodziu gra muzyka i ludzie się śmieją. Założę się, że tam nikt się nie bawi w *Daes Dae'mar*.

- Ja osobiście nie byłbym tego taki pewien, lordzie Rand. W każdym razie, dziękuję za zaproszenie, ale nie mam chęci. Na podgrodziu odbywa się tyle bójek, a także morderstw, że to miejsce prawdziwie cuchnie, o ile rozumiesz, panie, co mam na myśli. Nie to, że byliby skłonni zadzierać z lordem, rzecz jasna, w takim przypadku zaraz mieliby na karku żołnierzy. Jeśli jednak nie masz nic przeciwko, chętnie bym się napił w głównej izbie.

- Hurin, na nic nie potrzebujesz mojej zgody. Wiesz przecież.

- Jako rzeczesz, mój panie. - Węszyciel wykonał ruch, który wyraźnie należało odebrać jako ukłon.

Rand zrobił głęboki wdech. Jeśli wkrótce nie opuszczą Cairhien, Hurin zacznie kłaniać się na lewo i prawo, szurając przy tym nogami. A jeśli Mat i Perrin to zobaczą, nigdy nie pozwolą mu zapomnieć.

- Liczę, że nic nie zatrzyma Ingtara. Jeśli nie pojawi się tutaj odpowiednio szybko, wówczas będziemy musieli sami zawieźć Róg do Fal Dara. - Dotknął listu Selene przez poję kaftana. - Będziemy zmuszeni. Loial, ja wrócę, żebyś ty mógł obejrzeć choć część miasta.

- Wołałbym nie ryzykować - odparł Loial.

Hurin towarzyszył Randowi na dół. Ledwie dotarli do głównej izby, a Cuale już kłaniał się przed Randem, podsuwając mu tacę. Na tacy leżały trzy zwoje zapieczętowanego pergaminu. Rand wziął zwoje, jako że z taką najwyraźniej intencją podszedł do niego karczmarz. Pergamin był wybornego gatunku, miękki i gładki w dotyku. Kosztowny.

- Co to takiego? - spytał.

Cuale znowu się ukłonił.

- Zaproszenia, ma się rozumieć, mój panie. Z trzech szlacheckich domów.

- Kto mógłby mi przysyłać zaproszenia? - Rand obrócił zwoje w dłoniach. Żaden z gości

siedzących przy stołach nie podniósł wzroku, Rand miał jednak uczucie, że i tak go obserwują. Pieczęcie nie były mu znajome. Żadna nie przedstawiała półksiężycy i gwiazd, których używała Selene. - Kto mógł się dowiedzieć, że tu jestem?

- Do tego czasu wszyscy, lordzie Rand - cicho odparł Hurin. Najwyraźniej on też czuł obserwujące go oczy. - Strażnicy przy bramie nie trzymają w tajemnicy przybycia do Cairhien cudzoziemskiego lorda. Stajenny, karczmarz... wszyscy mówią to, co wiedzą, wszędzie tam, gdzie ich zdaniem to może im się najbardziej przydać, mój panie. Krzywiąc się, Rand zrobił dwa kroki i cisnął zaproszenia do kominka. Natychmiast ogarnęły je płomienie.

- Nie bawię się w *Daes Dae'mar* - oświadczył tak głośno, by wszyscy to usłyszeli. Nawet Cuale na niego nie spojrział. - Nie mam nic wspólnego z waszą Wielką Grą. Czekam tu tylko na swoich przyjaciół.

Hurin złapał go za ramię.

- Proszę, lordzie Rand. - Mówił błagalnym szeptem. - Proszę, nie rób tego więcej.

- Więcej? Naprawdę myślisz, że dostanę następne?

- Jestem pewien. Światłości, na twój widok przypomina mi się, jak Teva tak się wściekł z powodu szerszenia, który brzęczał mu nad uchem, że kopnął gniazdo. Najprawdopodobniej właśnie przekonałeś wszystkich w tej izbie, że jesteś mocno zaangażowany w grę. W ich oczach owo zaangażowanie musi być naprawdę wielkie, skoro zapierasz się swego w nim udziału. W niej uczestniczą wszyscy lordowie i wszystkie damy w Cairhien. - Węszyciel zerknął na zaproszenia, już pokarbowane czernią przez płomień i skrzywił się. - I z pewnością narobiłeś sobie wrogów w trzech domach. Nie są to znaczące rody, bo inaczej nie działałyby tak szybko, ale bez wątpienia zacne. Będziesz musiał odpowiedzieć na wszystkie inne zaproszenia, jakie otrzymasz, mój panie. Odmów, jeśli chcesz, ale oni będą się czegoś dopatrywali w zaproszeniach, które odrzucisz. A także w tych, które przyjmiesz. Oczywiście, jeśli odmówisz wszystkim, albo wszystkie przyjmiesz...

- Nie będę brał w tym udziału - cicho powiedział Rand. - Wyjedziemy z Cairhien, najszybciej jak się da.

Wepchnął zaciśnięte w pięści dłonie do kieszeni kaftana, poczuł, że gniecie list od Selene. Wyciągnął go i rozprostował, używając przodu kaftana jako podkładki.

- Jak tylko się da - mruknął, chowając list z powrotem do kieszeni. - Możesz teraz się napić, Hurin.

Gniewnie wycofał się z izby, niepewny, czy czuje gniew na samego siebie, na Cairhien i Wielką Grę, na Selene za jej zniknięcie czy wreszcie na Moiraine. To ona wszystko zaczęła, kradnąc mu kaftany i ofiarowując w zamian strój lorda. Nawet teraz, gdy uznał, że uwolnił się od Aes Sedai, znowu jakiejś udało się dokonać ingerencji w jego życie i na dodatek wcale nie musiała być tu, na miejscu.

Wyszedł z miasta tą samą bramą, którą do niego wjechał, bo tylko tę drogę znał. Mężczyzna stojący przed wartownią zauważył go - jaskrawym kaftanem, a także wzrostem odróżniał się mocno od mieszkańców Cairhien - i pośpiesznie wbiegł do środka, natomiast Rand nie zwrócił na niego uwagi. Ciągnęły go śmiech i muzyka podgrodzia.

O ile czerwony kaftan haftowany złotem sprawiał, że rzucał się w oczy w obrębie murów miasta, o tyle do podgrodzia pasował znakomicie. Wielu ludzi, połowa mniej więcej, kłębiących się na tłocznych ulicach, odzianych było równie buro jak ci z miasta, lecz inni ubrali się w kaftany czerwonej, niebieskiej, zielonej albo złotej barwy - niektóre tak jaskrawe, że ujść mogły za odzienie druciarzy - natomiast zdecydowana większość kobiet miała haftowane suknie i kolorowe przepaski albo szale. Stroje przeważnie były podarte i źle dopasowane, jakby pierwotnie uszyto je na inne

osoby, o ile jednak niektórzy z noszących je lustrowali wzrokiem jego wspaniały kaftan, nikt nie zdawał się patrzeć nań krzywo.

Raz musiał przystanąć, aby przepuścić kolejną procesję ogromnych marionetek. Artyści wybijali rytm na tamburynach i płaśali w podskokach, a trollok o świńskiej twarzy obdarzonej kłami walczył z mężczyzną w koronie. Po kilku bezładnych ciosach trollok zwałił się na ziemię, wywołując wybuch śmiechu i owacje gapiów.

Rand sarknął w duchu.

"One tak łatwo nie giną".

Spojrzał na jeden z wielkich, pozbawionych okien budynków, zatrzymał się, by zajrzeć przez drzwi do środka. Ku własnemu zdziwieniu zobaczył tylko jedną, ogromną izbę, otwartą na gołe niebo, otoczoną balkonami, z dużym podium w jednym końcu. Nigdy nie widział ani nie słyszał o niczym takim. Na balkonach i podłodze tłoczyli się widzowie, którzy przypatrywali się ludziom występującym na podwyższeniu. Po drodze zaglądał do innych domów i widział żonglerów, muzyków, niezliczonych akrobatów, a nawet jednego barda, w płaszczu uszytym z łątek, który dźwięcznym, wzniosłym głosem recytował jedną z opowieści wziętych z *Wielkiego Polowania na Róg*.

To sprawiło, że przypomniał sobie o Thomie Merrilinie i pośpiesznie ruszył dalej. Wspomnienia o Thomie zawsze zasmucały. Thom był przyjacielem. Przyjacielem, który za niego zginął.

"A ja uciekłem i pozwoliłem mu umrzeć".

W innej wielkiej budowli kobieta w obszernych, białych szatach sprawiała, że przedmioty schowane do jednego koszyka ginęły i pojawiały się w drugim, po czym znikwały z jej rąk w asyście wielkich kłębow dymu. Obserwujący ją tłum wydawał głośnie "ooch!" i "aach!"

- Dwa miedziaki, łaskawy panie - powiedział szczerowaty człowieczek, stojący w drzwiach. - Dwa miedziaki, jeśli chcesz obejrzeć Aes Sedai.

- Nie sędzę. - Rand obejrzał się raz jeszcze na kobietę. W jej dłoniach pojawił się właśnie biały gołąb.

"Aes Sedai?"

- Nie. - Ukłonił się nieznacznie szczerowatemu człowieczkowi i wyszedł.

Przepychał się przez ciżbę, nie mogąc zdecydować, co teraz obejrzeć, gdy zza drzwi, nad którymi wisiała tablica

przedstawiająca żonglera, dobiegł go tubalny głos, wspomagany dźwiękami harfy.

- ...chłód przynosi wiatr, co wieje przez Przełęcz Shara, chłód bije od nie oznakowanego grobu. Alści co roku, w niedzielę, na tych spiętrzonych kamieniach pojawia się samotna róża, pojedyncza kryształowa łza niczym kropla rosy na płatkach kwiatu, ułożona tam białą dłonią Dunsinin, bo dotrzymuje ona targu ubitego przez Rogosha Sokole Oko.

Głos ciągnął Randa ku sobie niczym powróż. Wepchnął się do środka w momencie, gdy zerwały się owacje.

- Dwa miedziaki, łaskawy panie - powiedział szczerowaty mężczyzna, który mógł być bratem bliźniakiem tamtego. - Dwa miedziaki, jeśli chcesz zobaczyć...

Rand wygrzebał jakieś monety i wcisnął mężczyźnie. Szedł przed siebie oszołomiony, wpatrzony w człowieka, który ukłonami dziękował z podwyższenia za oklaski słuchaczy, tuląc harfę pod jednym ramieniem, a drugą rozpościerając po łąciatego płaszcza, jakby chciał w nią schwytać wszystkie odgłosy owacji. Wysoki mężczyzna, wynędzniały i niemłody, miał długie wąsy, równie białe jak włosy na głowie. A kiedy się wyprostował i spostrzegł Randa, oczy, które rozwarły się

szeroko, załśniły przenikliwie, niebiesko.

- Thom. - Szept Randa zginął w hałasie panującym w izbie.

Nie odwracając wzroku od oczu Randa, Thom Merrillin skinął nieznacznie głową w stronę niewielkich drzwiczek za podwyższeniem. Potem znowu się kłaniał, uśmiechając się i pławiąc aplauzem.

Rand przedarł się do drzwi, potem wszedł. Za nimi był tylko wąski korytarzyk, z trzema stopniami wiodącymi na podwyższenie. Po przeciwległej stronie Rand zobaczył zonglera, który ćwiczył podrzucanie kolorowych piłeczek, i sześciu wyginających się akrobatów.

Na stopniach pojawił się Thom, kulał, jego lewa noga wyraźnie utraciła dawną sprawność. Spojrzał czujnie na zonglera i akrobatów, z pogardą wydał wasy i zwrócił się do Randa.

- Oni chcą tylko słuchać *Wielkiego Polowania na Róg*. Wydawać by się mogło, że dzięki tym wszystkim wieściom, które napływają z Haddon, Mirk i Saldaei, ktoś mógłby poprosić o *Cykl Karaethon*. Cóż, może nie za to, ale zapłaciłbym sam sobie, by móc opowiedzieć cokolwiek innego. - Wzrokiem zmierzył Randa od stóp do głów. - Wyglądasz, jakby dobrze ci się wiodło, chłopcze. - Dotknął palcami jego kołnierza i wydał wargi. - Bardzo dobrze.

Rand nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

- Opuściłem Whitebridge przekonany, że zginąłeś. Moiraine twierdziła, że ty żyjesz, ale ja... Światłości, Thom, jak dobrze znowu cię zobaczyć! Powinienem był wtedy zawrócić, żeby ci pomóc.

- Dopiero byłbyś głupcem, gdybyś to zrobił, chłopcze. Tamten pomor - rozejrzał się dokoła, nie było w pobliżu nikogo, kto by mógł go słyszeć, ale na wszelki wypadek zniżył głos - nie zainteresował się mną. Pozostawił mi drobny upominek w postaci sztywnej nogi i pobiegł w ślad za tobą i Matem. Jedyne, co mogłeś wtedy zdziałać, to umrzeć. - Urwał, popadając w zamyślenie. - Moiraine twierdziła, że ja żyję, tak? Czy więc jest teraz z tobą?

Rand pokręcił głową. Ku jego zdziwieniu, Thom wyglądał na rozczarowanego.

- To niedobrze, w pewien sposób. To wspomniała kobieta, nawet jeśli jest... - Nie dokończył. - A więc chodziło jej o Mata albo Perrina. Nie będę pytał, o którego. To dobrzy chłopcy, dlatego nie chcę wiedzieć.

Rand niespokojnie przestąpił z nogi na nogę i wzdrygnął się, gdy Thom dźgnął go kościstym palcem.

- Chcę natomiast spytać, czy masz jeszcze moją harfę i flet? Pragnąłbym je odzyskać. Na tym, co mam teraz, proszę nie potrafiłoby grać.

- Mam je, Thom. Przyniosę ci je, obiecuję. Wciąż nie potrafię uwierzyć, że żyjesz. I nie rozumiem, dlaczego jeszcze nie jesteś w Illian. Rusza Wielkie Polowanie. Nagroda dla tego, który najlepiej opowie *Wielkie Polowanie na Róg*. Umierałeś z chęci pojechania tam.

Thom parsknął.

- Po Whitebridge? Gdybym tam pojechał, to tak jakbym rzeczywiście zginął. Nawet gdyby mi się wtedy udało dotrzeć do łodzi, zanim odpłynęła, Domon i cała jego załoga rozpuściliby po całym Illian opowieść o tym, jak to ściagały mnie trolloki. Gdyby zobaczyli pomora albo o nim usłyszeli, zanim Domon zdążył odciąć cumy... Większość mieszkańców Illian wkłada trolloki i pomory między bajki, ale dość jest takich, którzy chcieliby znać powód, dla którego te stwory kogoś ściagały, sprawiając, że Illian stałoby się miejscem co najmniej niewygodnym.

- Thom, mam ci tyle do opowiedzenia.

Bard przerwał mu.

- Później, chłopcze. - Na przestrzał sali wymienił ponure spojrzenia z człowiekiem o wąskiej twarzy, który stał przy drzwiach. - Jeśli nie wrócę i nie opowiem jeszcze czegoś, bez wątpienia pośle

na podium żonglera i wtedy ten motłoch rozwali całą budę. Przyjdź do "Kiści Winogron", za Bramą Jangai. Wynajmuję tam izbę. Każdy ci powie, gdzie to jest. Będę tam mniej więcej za godzinę. Jeszcze jedna opowieść powinna im wystarczyć. - Ruszył na górę po schodach, rzucając przez ramię:  
- I przynieś moją harfę oraz flet!

# ROZDZIAŁ 3

## WAŚŃ

Rand przemknął przez główną izbę "Obrońcy Muru Smoka" i wbiegł pędem na górę, uśmiechając się szeroko na widok zaskoczonego spojrzenia, którym obdarzył go karczmarz. Miał ochotę uśmiechać się do wszystkich.

"Thom żyje!"

Gwałtownie otworzył drzwi swojego pokoju i ruszył prosto do szafy.

Loial i Hurin wytknęli głowy z sąsiedniej izby, obydwaj byli w samych koszulach, z fajkami w zębach, a z fajek unosiły się rzadkie smużki dymu.

- Czy coś się stało, lordzie Rand? - spytał z niepokojem Hurin.

Rand przewiesił przez ramię tobołek zwinięty z płaszcz Thoma.

- Wyjawszy przybycie Ingmara, nic lepszego nie mogło nas spotkać. Thom Merrillin żyje. I jest tutaj, w Cairhien.

- Ten bard, o którym mi opowiadałeś? - powiedział Loial. - To wspaniale, Rand. Chciałbym go poznać.

- To chodź ze mną, jeśli Hurin zechce przez jakiś czas pełnić wartę.

- To będzie przyjemność, lordzie Rand. - Hurin wyjął fajkę z ust. - Ta zgraja w głównej izbie cały czas usiłowała ze mnie wydusić, nie zdradzając oczywiście, co robią, kim jesteś, mój panie, i po co przyjechaliśmy do Cairhien. Wyjaśniłem im, że czekamy tu na przyjaciół, ale jako rdzenni mieszkańcy Cairhien uznali, że coś ukrywam.

- Niech sobie myślą, co chcą. No chodź, Loial.

- Chyba nie. - Ogir westchnął. - Naprawdę wolałbym zostać tutaj. - Podniósł książkę, wetkniętym do niej grubym palcem zaznaczał miejsce, w którym skończył czytać. - Mogę poznać Thoma Merrillina innym razem.

- Loial, nie możesz się tu gnieździć w ukryciu przez całą wieczność. Nawet nie wiemy, jak długo będziemy w Cairhien. A zresztą nie widzieliśmy żadnych ogirów. A nawet gdybyśmy ich spotkali, to przecież nie mogą cię szukać, nieprawdaż?

- Niezupełnie szukać, ale... Rand, być może opuściłem Stedding Shangtai w zbyt pochopny sposób. Gdy wreszcie wrócę do domu, mogę popaść w poważne tarapaty. Uszy mu oklapły. - Nawet jeśli będę już wtedy tak stary jak Starszy Haman. Być może mógłbym poszukać sobie jakiegoś porzuconego *stedding*, by tam przeczekać do tego czasu.

- Jeśli Starszy Haman nie pozwoli ci wrócić, będziesz mógł zamieszkać w Polu Emonda. To ładne miejsce.

"To piękne miejsce".

- Jestem tego pewien, Rand, ale to się nigdy nie uda. Widzisz...

- Porozmawiamy o tym, gdy przyjdzie czas, Loial. A teraz idziesz poznać Thoma.

Wyprostowany ogir był półtora raza wyższy, jednak Randowi udało się wcisnąć na niego długą tunikę i płaszcz, a potem sprowadzić go na dół. Gdy szli łomoczącymi krokami przez główną izbę, Rand mrugnął do karczmarza, a potem roześmiał się na widok jego zaskoczonej miny.

"Niech sobie myśli, że idę się bawić w tę jego przekłętą Wielką Grę. Niech sobie myśli, co chce. Thom żyje".

Za Bramą Jangai, we wschodniej części miejskich murów, wszyscy zdawali się wiedzieć, gdzie jest "Kiść Winogron". Rand i Loial szybko tam trafili, docierając do ulicy, która jak na podgrodzie

była całkiem spokojna. Słońce zawisło w połowie swej drogi przez popołudniowe niebo.

Liczący trzy piętra budynek był stary, drewniany i rachityczny, lecz w głównej izbie panowała czystość i tłok. W jednym kącie kilku mężczyzn grało w kości, w innym kobiety zabawiały się grą w rzutki. Połowa, szczupła i blada, wyglądała na mieszkańców Cairhien, lecz Rand postłuszał tam również akcent z Andoru i inne, których nie znał. Wszyscy jednak nosili ubrania typowe dla podgrodzia, stanowiące mieszkankę mód z kilku krain. Parę osób obejrzało się, gdy z Loialem weszli do środka, ale zaraz powrócili do tego, czym się akurat zajmowali.

Karczma należała do kobiety, siwej tak samo jak Thom, obdarzonej przenikliwymi oczyma, które spjrzały badawczo nie tylko na Loiala lecz również Randa. Sądząc po ciemnej skórze i sposobie mówienia, nie była rodowitą Cairhienianką.

- Thom Merrillin? A tak, ma tu pokój. Na samej górze, pierwsze drzwi na prawo. Pewnie Dena każe wam tutaj poczekać na niego - zmierzyła wzrokiem czerwony kaftan Randa, z czaplami na wysokim kołnierzu i złotymi gałązkami wyhaftowanymi na rękawach, oraz jego miecz - mój panie.

Schody zatrzeszczały pod butami Randa, nie wspominając już o odgłosach, jakimi zareagowały na stopy Loiala. Rand miał spore wątpliwości, czy budynek jeszcze długo postoji. Znalazł drzwi i zapukał, zastanawiając się, kim jest Dena.

- Wejść - odpowiedział mu kobiecy głos. - Nie mogę ci otworzyć.

Rand z wahaniem otworzył drzwi i wsunął głowę do środka. Pod jedną ścianą stało wielkie łóże z pościelą w nieładzie, pozostała część izby była całkowicie zastawiona przez dwie szafy, kilka okutych mosiądzem kufrów i skrzyń, stół oraz dwa drewniane krzesła. Na łóżu, skrzyżowawszy nogi, siedziała szczupła kobieta, spódnicę miała podwiniętą pod siebie, a między jej dłońmi wirował krąg utworzony przez sześć kolorowych piłeczek.

- Cokolwiek to jest - powiedziała, nie odrywając oczu od piłeczek - pozostaw to na stole. Thom ci zapłaci, kiedy przyjdzie.

- Czy to ty jesteś Dena? - spytał Rand.

Złapała piłeczki w powietrzu i obróciła się, by zlustrować go wzrokiem. Była zaledwie kilka lat starsza od niego, urodziwa, obdarzona jasną cairhieńską karnacją i ciemnymi włosami, które spadały jej luźno na ramiona.

- Nie znam cię. To jest mój pokój, mój i Thoma Mernlina.

- Karczmarka powiedziała, że może pozwolisz nam zaczekać na Thoma - odparł Rand. - O ile to ty jesteś Dena?

- Nam?

Rand wszedł dalej, dzięki czemu Loial mógł wsunąć głowę do środka. Młoda kobieta uniosła brwi.

- A więc ogirowie wrócili. To ja jestem Dena. Czego chcecie? - Spojrzała na kaftan Randa tak ostentacyjnym wzrokiem, że brak słów "mój panie" na końcu wypowiedzi musiał być celowy, po chwili brwi uniosły się ponownie na widok czapli na pochwie i rękojeści miecza.

Rand uniosł w górę tobołek.

- Odnoszę Thomowi jego harfę i flet. Chciałem mu także złożyć wizytę - dodał pośpiesznie, Dena najwyraźniej zamierzała powiedzieć, że ma to wszystko zostawić i wyjść. - Dawno go nie widziałem.

Zmierzyła wzrokiem tobołek.

- Thom wiecznie utyskuje, że stracił najlepszy flet i najlepszą harfę, jakie w życiu posiadał. Tak się nosi, że można by uznać go za nadwornego barda. No dobrze. Możecie poczekać, ale ja muszę ćwiczyć. Thom twierdzi, że pozwoli mi wystąpić w przyszłym tygodniu. - Pełnymi gracji ruchami

wstała i wzięła jedno z krzesel, gestem nakazując Loialowi usiąść na łóżku. - Zera zmusiłaby Thoma, by zapłacił za sześć krzesel, gdybyś połamał choć jedno, przyjacielu ogirze.

Rand podał ich imiona, gdy już się usadowił na drugim krześle, które zatrzeszczało niepokojąco pod jego ciężarem, i spytał tonem niedowierzania:

- Jesteś uczennicą Thoma?

Dena uśmiechnęła się nieznacznie.

- Można to tak określić. - Znowu zajęła się zonglowaniem, jej spojrzenie przyłgnęło do wirujących piłeczek.

- W życiu nie słyszałem o kobiecie występującej jako bard - odezwał się Loial.

- Ja będę pierwszą. - Pojedynczy, obszerny krąg przemienił się w dwa mniejsze, krzyżujące się z sobą. Zobaczą cały świat, jak już się wszystkiego nauczę. Thom twierdzi, że jak będziemy mieli dość pieniędzy, to pojedziemy do Łzy. - Zaczęła zonglować, wyrzucając po trzy piłeczki z każdej ręki. - A potem może na wyspy Ludu Morza. Atha'an Miere dobrze płacą bardom.

Rand rozejrzał się po zastawionej skrzyniami i kuframi izbie. Nie wyglądało to na wnętrze zamieszkałe przez kogoś, kto niebawem rusza w podróż. Na parapecie stała nawet doniczka z kwiatem. Jego wzrok padł na jedyne, wielkie łóżko, na którym siedział Loial.

"To jest mój pokój, mój i Thoma Merrilina".

Dena obdarzyła go wyzywającym spojrzeniem przez na powrót utworzony, wielki krąg. Randowi poczerwieniała twarz.

Chrząknął.

- Może powinniśmy poczekać na dole - zaczął, ale w tym momencie otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Thom, płaszcz oplatał mu kostki i furkotał łątkami. Na plecach niósł flet i harfę, schowane do futerałów z czerwonego drewna, wypolerowanego do połysku od ciągłego dotykania.

Piłeczki Deny zniknęły pod suknią, ona sama podbiegła do Thoma i zarzuciła mu ramiona na szyję, stając na czubkach palców, by móc to zrobić.

- Tęskniłam za tobą - powiedziała i pocałowała go.

Pocałunek trwał pewien czas, był tak długi, że Rand zaczął się zastanawiać, czy on i Loial nie powinni raczej stąd wyjść, ale Dena westchnęła i w końcu opuściła pięty na podłogę.

- Czy wiesz, co ten pozbawiony rozumu Seaghan zrobił, dziewczyno? - powiedział Thom, spoglądając na nią. - Zatrudnił bandę prostaków, którzy mienią się "aktorami". Szwendają się po mieście, udając, że są Rogoshem Sokole Oko, Blaesem, Gaidalem Cainem i... Fuj! Wieszają strzęp pomalowanego płótna, dzięki któremu widownia ma niby wierzyć, że ci durnie są na Dworze Matuchin albo na wysokich przełęczach Gór Przeznaczenia. Ja sprawiam, że słuchacz widzi każdy proporzec, czuje zapach bitew, przeżywa wszystkie emocje. Ja pozwalam im uwierzyć, że to oni są Gaidalem Cainem. To będzie oznaczało koniec sali Seaghana, jeśli po moich występach wystawi teraz tę szajkę.

- Thom, mamy gości. Loial, syn Arenta syna Halana. Ach, i jeszcze chłopiec, który twierdzi, że nazywa się Rand al'Thor.

Thom spojrział ponad jej głową na Randa, zmarszczył czoło.

- Zostaw nas na chwilę samych, Dena. Masz. - Wcisnął jej do ręki kilka srebrnych monet. - Twoje noże są gotowe. Może byś tak poszła zapłacić za nie Iwonowi? Potarł jej policzek sękatym kłykiem. - No idź. Wynagrodzę ci to.

Obdarzyła go mrocznym spojrzeniem, narzuciła jednak płaszcz na ramiona, mruczając pod nosem:

- Lepiej dla Ivona, żeby te noże okazały się dobrze wyważone.



- Któregoś dnia zostanie minstrelem - powiedział po jej wyjściu Thom z wyraźną dumą. - Wystarczy, że posłucha opowieści jeden raz, zwróćcie uwagę, tylko jeden raz!, a wnet ją zapamiętuje, nie tylko słowa, ale każdy niuans, każdą zmianę rytmu. Ma dobrą rękę do harfy, a na flecie grała lepiej niż ty kiedykolwiek, już wtedy, gdy ją znalazłem.

Odstawił drewniane futerały z instrumentami na wieko jednego z większych kufrów, po czym usadowił się na właśnie zwolnionym krześle.

- Gdy przejeżdżałem przez Caemlyn w drodze do tego miasta, Basel Gill powiedział mi, że wyjechałeś w towarzystwie jakiegoś ogira. Między innymi. - Ukłonił się w stronę Loiala, zdołając nawet zamasyścić wywinąć połą płaszcz, mimo że na nim siedział. - Miło mi cię poznać, Loialu, synu Arenta syna Halana.

- A mnie poznać ciebie, Thomie Merrillin. - Loial wstał, by odwzajemnić ukłon. Kiedy się wyprostował, omal nie uderzył głową o sufit, więc szybko usiadł z powrotem. - Ta młoda kobieta powiedziała, że chce być bardem.

Thom lekceważąco potrząsnął głową.

- To nie jest życie dla kobiety. Nawet mężczyźni nie jest łatwo. Wędrówka od miasta do miasta, od wsi do wsi, głowiąc się, jak cię tym razem oszukają albo jaką drogą zdobyć następny posiłek. Nie, wybije jej to z głowy. Jeśli już, zostanie nadwornym bardem, u jakiegoś króla albo królowej, jak już się wszystkiego nauczy. Aaaach! Nie przyszliście tu rozmawiać o Denie. Moje instrumenty, chłopcze. Przyniosłeś je?

Rand pchnął tobolek przez blat stołu. Thom rozwinął go pośpiesznie - zamrugał, gdy zobaczył, że to jego stary płaszcz, taki sam jak ten, który miał na sobie, ozdobiony kolorowymi łatkami - i otworzył futerał z twardej skóry, kiwając głową na widok spoczywającego w nim srebrnozłotego fletu.

- Po tym jak się rozłączyliśmy, zarabiałem z jego pomocą na łóżko i jedzenie - wyznał Rand.

- Wiem - odparł sucho bard. - Zatrzymywałem się niekiedy w tych samych karczmach, ale musiałem radzić sobie samym żonglowaniem i kilkoma prostymi opowieściami, jako że ty... Nie dotykałeś harfy? - Otworzył futerał z ciemnej skóry i wyjął zeń złoto-srebrną harfę, równie zdobną jak flet, tuląc ją w ramionach niczym małe dziecko. - Przeznaczeniem twych niezdarnych palców pasterza nigdy nie była gra na harfie.

- Nie tknąłem jej - zapewnił go Rand.

Thom trącił dwie struny, krzywiąc się.

- Przynajmniej mogłeś ją stroić - burknął.

Rand pochylił się w jego stronę przez stół.

- Thom, chciałeś jechać do Illian, żeby zobaczyć wymarsz Wielkiego Polowania i być jednym z pierwszych, którzy ułożą o nim nowe opowieści, ale nie mogłeś. Co byś powiedział, gdybym ci przyrzekł, że nadal możesz mieć w tym swój udział. Znaczący udział?

Loial poruszył się niespokojnie.

- Rand, jesteś pewien...?

Rand gestem ręki nakazał mu milczeć, nie odrywając oczu od Thoma.

Thom zerknął na ogira i zmarszczył czoło.

- To by zależało od tego, jaki to udział i na czym będzie polegał. Jeśli masz podstawy, by sądzić, że któryś z polujących tutaj przybywa... Przypuszczam, że do tej pory mógł już opuścić Illian, ale nawet jeśli jedzie prostą drogą, dotrze tu dopiero za kilka tygodni, a zresztą po co miałby to robić? Czy to jeden z tych, którzy nigdy nie byli w Illian? Bez tego błogosławieństwa nigdy nie zasłużą, by stać się bohaterem opowieści, jakkolwiek by się nie starał.

- To nieważne, czy Polowanie opuściło już Illian czy jeszcze nie. - Rand usłyszał, jak Loial głośno łapie oddech. - Thom, to my mamy Róg Valere.

Przez chwilę panowała martwa cisza. Przerwał ją Thom, zanosząc się rubasznym rechotem.

- Wy dwaj macie Róg? Pasterz i ogir żółtodziób mają Róg... - Zgięty w pół, walił pięścią w kolano. - Róg Valere!

- Kiedy my naprawdę go mamy - oświadczył z powagą Loial.

Thom zrobił głęboki wdech. Nie mógł się opanować od słabnących, lecz wciąż targających nim wybuchów śmiechu.

- Nie wiem, co znaleźliście, ale mogę was zaprowadzić do dziesięciu tawern, gdzie zawsze znajdzie się jakiś człowiek, który zna człowieka, który już znalazł Róg i on wam także opowie, jakie były okoliczności odnalezienia Rogu, o ile będziecie stawiali mu piwo. Mogę was zaprowadzić do trzech ludzi, którzy sprzedadzą wam Róg i będą przysięgali na swoje dusze pod Światłością, że to ten jedyne, najprawdziwszy. Żyje nawet w tym mieście pewien lord, który zarzeka się, że Róg jest ukryty bezpiecznie w jego pałacu. Twierdzi, że ten skarb został przekazany jego rodowi po Pęknięciu. Nie wiem, czy polujący kiedykolwiek odnajdą Róg, ale przedtem będą musieli iść śladem dziesięciu tysięcy kłamstw, które napotkają na swej drodze.

- Moiraine mówi, że to jest ten Róg - odparł Rand.

Rozbawienie Thoma zniknęło w mgnieniu oka.

- Ona mówi, mówi? Zdawało mi się, żeś powiedział, że jej z tobą nie ma.

- Nie ma jej, Thom. Nie widziałem jej od wyjazdu z Fal Dara, ze Shienaru, a przedtem nie wypowiedziała do mnie więcej jak dwa słowa przez cały miesiąc.

Nie potrafił mówić tego bez gorzkości.

"A kiedy już coś mówiła, to wolałem, żeby dalej mnie ignorowała. Już nigdy nie zatańczę tak, jak ona mi zagra, niechaj Światłość spali ją i wszystkie inne Aes Sedai. Nie wszystkie. Bez Egwene. I Nynaeve".

Zauważył, że Thom przypatruje mu się uważnie.

- Jej tu nie ma, Thom. Nie wiem, gdzie ona jest i nie obchodzi mnie to.

- No cóż, przynajmniej miałeś dość rozumu, żeby zachować wszystko w tajemnicy. W przeciwnym razie wieść o Rogu rozniosłaby się po całym podgrodzium i połowa Cairhien czaiłaby się, żeby go zdobyć. Połowa świata.

- Och, zachowaliśmy to w tajemnicy, Thom. A ja muszę go zawieźć z powrotem do Fal Dara i nie dopuścić, by Sprzymierzeńcy Ciemności albo ktoś inny go ukradł. Ty byłeś wszędzie, znasz się na rzeczach, jakich ja nawet nie umiem sobie wyobrazić. Loial i Hurin wiedzą więcej niż ja, ale wszyscy trzej ugrzęźliśmy po pas.

- Hurin...? Nie, nie mów mi, w jaki sposób. Nie chcę wiedzieć. - Bard odepchnął krzesło i podszedł do okna, by wyrzucić na ulicę. - Róg Valere. To oznacza, że zbliża się Ostatnia Bitwa. Kto to zauważy? Widziałeś roześmianych ludzi na tutej szych ulicach? Niech tylko barki z ziarnem przestaną przyplływać przez tydzień, a zaraz przestaną się śmiać. Galldrian pomyśli, że oni wszyscy przemienili się w Aielów. Szlachetnie urodzeni będą się zabawiali i snuli intrygi, jak zbliżyć się do króla, jak zdobyć jeszcze więcej władzy niż ma król, jak obalić Galldriana i zostać następnym królem. Albo królową. Będą myśleli, że Tarmon Gai'don to tylko część gry. - Odwrócił się od okna. - Ty chyba nie masz zamiaru zwyczajnie pojechać do Shienaru i wręczyć Róg... komu?... Królowi? Dlaczego Shienar? Wszystkie legendy łączą Róg z Illian.

Rand spojrzał na Loiala. Ogirowi oklapły uszy.

- Dlatego Shienar, bo wiem, komu go tam oddać. A poza tym ścigają nas trolloki i

Sprzymierzeńcy Ciemności.

- Czy to mnie dziwi? Nie. Może jestem starym głupcem, ale będę starym głupcem na swój własny sposób. Sława należy do ciebie, chłopcze.

- Thom...

- Nie!

Zapadła cisza, którą zakłóciło jedynie skrzywienie łóżka, bowiem Loial się poruszył. W końcu odezwał się Rand:

- Loial, czy mógłbyś zostawić mnie i Thoma na chwilę samych? Proszę.

Loial wyglądał na zdziwionego - kępki na uszach stanęły mu nieomal dęba - ale skinął głową i wstał.

- Gra w kości w głównej izbie wyglądała na interesującą. Może pozwolą mi się przyłączyć.

Gdy za ogirem zamknęły się drzwi, Thom spojrzał podejrzliwie na Randa.

Rand zawahał się. Były rzeczy, które musiał wiedzieć, rzeczy, które jego zdaniem Thom na pewno wiedział - kiedyś bard wydawał się wiedzieć mnóstwo na temat zaskakującej liczby rzeczy - nie był tylko pewien, jak o nie pytać.

- Thom - powiedział w końcu - czy istnieją księgi, w których zawarty jest *Cykl Karaethon*?

Ten tytuł łatwiej przechodził przez usta niż Proroctwa Smoka.

- W wielkich bibliotekach - wolno odpowiedział mu Thom. - Niezliczona ilość przekładów, nawet na Dawną Mowę, tu i ówdzie.

Rand już chciał spytać, w jaki sposób mógłby taką księgę zdobyć, ale bard mówił dalej.

- Dawna Mowa zawiera w sobie muzykę, jednakże w obecnych czasach zbyt wielu, nawet szlachetnie urodzonych, niecierpliwili się podczas jej słuchania. Uważa się, że wszyscy arystokraci powinni władać Dawną Mową, jednak wielu z nich opanowuje ją tylko w takim stopniu, by robić wrażenie na tych, którzy jej nie znają. Przekłady nie brzmią tak samo, o ile nie wygłosi się ich Wzniosłym Głosem, i to bywa powodem jeszcze większej zmiany znaczenia niż sam przekład. Jest w *Cyklu* taka jedna strofa, rytm ma kiepski, jako że przetłumaczono ją słowo w słowo, ale znaczenie nie zostało zatracone. Brzmi następująco:

Dwa razy podwójnie będzie naznaczony,

dwakroć na życie, dwakroć na śmierć.

Raz czapłą, która drogę mu wyznaczy.

Drugi raz czapłą, by miano zyskał prawdziwe.

Raz Smoka, przez pamięć utraconą.

Drugi raz Smoka, przez cenę, którą musi zapłacić.

Wyciągnął rękę i dotknął czapli wyhaftowanej na wysokim kołnierzu Randa.

Przez chwilę Rand był zdolny tylko gapić się na niego z rozdziawionymi ustami, a kiedy wreszcie odzyskał mowę, jego głos brzmiał niepewnie.

- Razem z tymi na mieczu jest ich pięć. Rękojeść, pochwa i ostrze. - Obrócił dłoń wnętrzem do blatu stołu, ukrywając piętno. Poczul je po raz pierwszy, odkąd maść Selene dokonała swego dzieła. Nie bolało, ale wiedział, że tam jest.

- A więc są. - Thom zaniósł się urywanym śmiechem. - Oto jeszcze jeden, który przychodzi mi na myśl.

Dwakroć dzień świta, gdy rozlana jest krew,

Raz na żałobę, drugi raz na narodziny.  
Czerwień na czerni, krew Smoka znaczy  
Shayol Ghul skały.  
W otchłani potępienia krew jego uwolni  
ludzi z Cienia.

Rand potrząsnął głową, pragnąc zaprzeczyć, Thom jednak zdawał się tego nie zauważać.

- Nie rozumiem, w jaki sposób dzień może dwukrotnie zaświtać, ale w ogóle mało co w tej strofie ma sens. Kamień Łzy nigdy nie padnie, dopóki Smok Odrodzony nie ujmie *Callandora*, ale przecież Miecz Którego Nie Można Dotknąć spoczywa w samym Sercu Kamienia, więc jakim cudem on miałby go najpierw ująć, ha? Cóż, niech się stanie, co ma się stać. Podejrzewam, że Aes Sedai chciałyby na siłę dopasować wydarzenia do proroctw. Zginąć gdzieś na Przeklętych Ziemiach to wysoka cena, którą przyszłoby zapłacić za przystanie do nich.

Randowi udało się zachować spokojny ton głosu, mimo że kosztowało go to sporo wysiłku.

- Żadna Aes Sedai do niczego mnie nie wykorzystuje. Powiedziałem ci, ostatni raz widziałem Moiraine w Shienarze. Twierdziła, że mogę odejść dokąd chcę, więc wyjechałem.

- I teraz nie towarzyszy ci żadna Aes Sedai? Absolutnie żadna?

- Żadna.

Thom pogładził kłykciami swe obwisłe, siwe wąsy. Wyglądał na zadowolonego i jednocześnie zaniepokojonego.

- Po cóż więc pytałeś o proroctwa? Dlaczego odprawiałeś ogira z izby?

- Ja... nie chciałem go niepokoić. Już dość jest zdenerwowany z powodu Rogu. O Róg właśnie chciałem spytać. Czy jest wzmianka o Rogu w... w proroctwach? Nadal nie potrafił wydusić z siebie tej nazwy do końca. Jakby nie dość było wszystkich tych fałszywych Smoków, a teraz jeszcze odnalazł się Róg. Każdy sądzi, że przeznaczeniem Rogu Valere jest wezwać poległych bohaterów, by stanęli do walki podczas Ostatniej Bitwy, a... Smok Odrodzony... ma walczyć z Czarnym podczas Ostatniej Bitwy. To chyba dość naturalne, że zapytałem.

- Myślę, że tak. Niewielu wie o walce Smoka Odrodzonego podczas Ostatniej Bitwy, a ci którzy wiedzą, uważają, że będzie walczył po stronie Czarnego. Niewielu czytało proroctwa, by poznać prawdę. Co takiego mówiłeś o Rogu? Że ma "przeznaczenie"?

- Dowiedziałem się kilku rzeczy po naszym rozstaniu, Thom. Oni przybędą na wezwanie każdego, kto zadmie w Róg, nawet Sprzymierzeńca Ciemności.

Krzaczaste brwi Thoma uniosły się tak wysoko, że nieomal zetknęły się z linią włosów.

- O tym nie wiedziałem. Rzeczywiście dowiedziałeś się kilku nowych rzeczy.

- To wcale nie znaczy, że pozwoliłbym Białej Wieży wykorzystać siebie jako fałszywego Smoka. Nie chcę mieć nic wspólnego z Aes Sedai, fałszywymi Smokami, Mocą, albo... - Rand ugryzł się w język.

"Wściekasz się i zaczynasz paplać, co ślina na język przyniesie. Dureń!"

- Przez jakiś czas, chłopcze, myślałem, że to ty jesteś tym, którego szuka Moiraine i nawet mi się wydawało, że wiem dlaczego. Widzisz, żaden mężczyzna nie przenosi Jedynej Mocy z własnej woli. Jest to coś, co go nawiedza, zupełnie jak choroba. Nie można nikogo winić za to, że jest chory, nawet jeśli z tego powodu miałby umrzeć ktoś inny.

- Twój siostrzeniec też potrafił przenosić, prawda? Powiedziałeś, że dlatego nam pomagasz, bo twój siostrzeniec miał kłopoty z Białą Wieżą i nie znalazł się nikt, kto mógł mu pomóc. Istnieje tylko jeden rodzaj kłopotów, jakie mężczyźni mogą mieć z Aes Sedai.

Thom wpatrywał się uporczywie w blat stołu, wydymając wargi.

- Sądzę, że wszelkie zaprzeczanie nie będzie miało sensu. Rozumiesz, posiadanie krewnego, który potrafi przynosić, nie jest czymś, o czym się opowiada. Aaaach! Czerwone Ajah nigdy nie dały Owynowi szansy. Poskromiły go, a potem umarł. Po prostu odechciało mu się żyć... - Westchnął smutno.

Rand zadrżał.

"Dlaczego Moiraine nie zrobiła mi tego?"

- Szansy, Thom? Czy to oznacza, że istniał jakiś inny sposób, w jaki mógł sobie poradzić? Nie popaść w obłąd? Nie umrzeć?

- Owyn borykał się z tym przez blisko trzy lata. Nigdy nikogo nie skrzywdził. Korzystał z Mocy tylko wtedy, gdy musiał i to tylko po to, by pomóc swojej wiosce. On... Thom wyrzucił ręce w górę. - Sądzę, że nie było wyboru. Ludzie, którzy mieszkali tam gdzie on, powiedzieli mi, że przez cały ostatni rok zachowywał się dziwnie. Nie chcieli za bardzo o tym rozmawiać i omal mnie nie ukamienowali, gdy się dowiedzieli, że byłem jego wujem. Przypuszczam, że popadł w obłąd. Ale łączyła nas ta sama krew, chłopcze. Nie mogę kochać Aes Sedai za to, co mu zrobiły, nawet jeśli musiały. Skoro Moiraine cię puściła, to już z tym skończyłeś na dobre.

Rand milczał przez chwilę.

"Dureń! Jasne, że nie istnieje sposób na poradzenie sobie z tym. Popadniesz w obłąd i umrzesz, choćbyś nie wiem, co robił. Ale Ba'alzamon powiedział..."

- Nie! - Poczzerwieniał pod wpływem badawczego wzroku Thoma. - Chciałem powiedzieć... skończyłem z tym, Thom. Ale nadal mam Róg Valere. Pomyśl o tym, Thom. Róg Valere. Inni bardowie mogą opowiadać o nim bajki, a ty będziesz mógł powiedzieć, że trzymałeś go w rękach. - Uświadomił sobie, że przemawia dokładnie tak samo jak Selene, co z kolei mu przypomniało, że nadal nie wie, gdzie ona jest. - Gdyby już ktoś miał nam towarzyszyć, to tylko ty, Thom.

Thom zmarszczył czoło, jakby rozważał całą kwestię od nowa, w końcu jednak zdecydowanie pokręcił głową.

- Chłopcze, naprawdę cię lubię, ale wiesz równie dobrze jak ja, że przedtem pomagałem, bo była w to zamieszana Aes Sedai. Seaghan nie próbuje oszukiwać mnie bardziej niż się tego po nim spodziewam, a jak jeszcze doliczyć Królewski Gościniec, to występami po wsiach nigdy bym tyle nie zarobił. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu Dena chyba mnie rzeczywiście kocha, a ja, co równie dziwne, odwzajemniam jej uczucia. Pomyśl, po co miałbym to wszystko rzucać, w zamian zmieniając się w ofiarę pościgu trolloków i Sprzymierzeńców Ciemności? Róg Valere? Och, to jest pokusa, przyznaję, ale nie. Nie, nie dam się już więcej w to wciągnąć.

Pochylił się nad stołem, by wziąć do ręki jeden z drewnianych futerałów, długi i wąski. Otworzył go. W środku był flet, zwyczajny, lecz ozdobiony srebrem. Zamknął futerał i pchnął go przez stół.

- Może któregoś dnia znowu będziesz musiał zarobić na wieczerzę, chłopcze.

- To całkiem możliwe - odparł Rand. - Ale przecież możemy chociaż pogadać. Będę w...

Bard pokręcił głową.

- Najlepsze jest całkowite zerwanie, chłopcze, bo za każdym razem jak się pojawisz, będę myślał o Rogu, nawet jeśli nie wspomnisz o nim ani słowa. Ja się nie dam w to wmieszać. Nie dam.

Po wyjściu Runda, Thom rzucił płaszcz na łóżko i usiadł przy stole, wspierając się na łokciach.

"Róg Valere. W jaki sposób ten chłopak znalazł..."

Przerwał ten strumień myśli. Jeśli za długo będzie myślał o Rogu, to nawet się nie obejrzy, jak pomknie w drogę z Randem, by zawieźć Róg do Shienaru.

"Z tego to by dopiero była opowieść, jak się wiozło Róg Valere do Ziem Granicznych, z trollkami i Sprzymierzeńcami Ciemności na karku".

Sposępniały przypomniał sobie o Denie. Nawet gdyby go nie kochała, takiego talentu jak u niej nie znajduje się co dnia. A poza tym rzeczywiście kochała, mimo iż jeszcze nie dociekł, z jakiego właściwie powodu.

- Stary głupiec - mruknął.

- A jakże, stary głupiec - powiedziała Zera od drzwi.

Wzdrygnął się, tak go pochłonęły własne myśli, że nie usłyszał, jak otwierają się drzwi. Znał Zerę całe lata, z przerwami na wędrówki, i ta kobieta zawsze w pełni wykorzystywała ich przyjaźń, by powiedzieć, co myśli.

- Stary głupiec, który znowu zaczął się bawić w grę prowadzoną przez poszczególne Domy. O ile mnie uszy nie zawiodły, w mowie tego młodego lorda słychać dźwięki właściwe dla Andoru. Nie pochodzi z Cairhien, to rzecz oczywista. *Daes Dae'mar* jest i tak niebezpieczna, nawet jak człowiek nie pozwala, by cudzoziemscy lordowie wplątywali go w swoje intrygi.

Thom zamrugał, po czym zastanowił się nad wyglądem Runda. Każdy lord bez wahania włożyłby taki wyborny kuf tan. Musiał się starzeć, skoro takie rzeczy umykały jego uwadze. Przyszła mu do głowy smętna myśl, że nie wie, czy powiedzieć karczmarce prawdę, czy też pozwolić jej myśleć po swojemu.

"Dość bodaj pomyśleć o Wielkiej Grze, a już człowiek bierze w niej udział".

- Ten chłopiec to pasterz, Zero, z Dwu Rzek.

Zaśmiała się lekceważąco.

- A ja jestem królową Ghealdan. Powiadam ci, w ciągu ostatnich kilku lat, w Cairhien, gra zrobiła się niebezpieczna. Niczego takiego w Caemlyn nie poznałeś. Już padają trupy. Poderżną ci gardło, jeśli nie będziesz się pilnował.

- Powtarzam ci, nie biorę już udziału w Wielkiej Grze. Będzie ze dwadzieścia lat, jak z tym skończyłem.

- A jakże. - Powiedziała to takim tonem, jakby mu nie wierzyła. - Mniejsza o to i o młodych lordów, zacząłeś występować we dworach.

- Dobrze płacą.

- I wciągną cię do swych spisków, jak znajdą sposób. Oni ledwie spojrzą na człowieka, a już się głowią, jak go wykorzystać, tak naturalnie, jakby oddychali. Ten twój młody lord ci nie pomoże, oni zjedzą go żywcem.

Zrezygnował z dalszych prób przekonywania karczmarki, że cała sprawa go nie dotyczy.

- Czy to właśnie przyszłaś mi powiedzieć, Zero?

- Tak. Zapomnij o Wielkiej Grze, Thom. Ożeń się z Deną. Ona cię weźmie, choć to świadczy o jej głupocie, boś kościsty i siwy. Ożeń się z nią, zapomnij o tym młodym lordzie i *Daes Dae'mar*.

- Dziękuję za radę - odparł oschle.

"Ożenić się z nią? Obarczyć ją starym mężem. Nigdy nie zostanie bardem, gdy moja przeszłość zaciąży jej u szyi".

- Jeśli mi wybaczysz, Zero, chciałbym chwilę pobyć sam. Występuję dziś wieczorem dla lady Arilyn i jej gości, muszę się przygotować.

Karczmarka prychnęła w odpowiedzi, potrząsnęła głową i hałaśliwie zatrzasnęła za sobą drzwi.

Thom zabębnił palcami po stole. Kaftan nie kaftan, Rand to nadal tylko pasterz. Gdyby był

czymś więcej, tym, o co kiedyś Thom go podejrzewał - mężczyzną, który potrafi przenosić Moc - wówczas ani Moiraine ani żadna inna Aes Sedai nigdy nie pozwoliłaby mu odejść wolno, nie poskramiając go uprzednio. Róg nie Róg, ten chłopiec to tylko pasterz.

- On już z tym skończył - powiedział głośno - i ja też.

# ROZDZIAŁ 4

## CIEN POŚRÓD NOCY

Nic nie rozumiem - oświadczył Loial. - Prawie cały czas wygrywałem. A potem przyszła Dena, przyłączyła się do gry i natychmiast wszystko wygrała. Każdy rzut. Nazwała to krótką lekcją. Co chciała przez to powiedzieć?

Rand i ogir wędrowali przez podgrodzie, zostawiając za sobą "Kiść Winogron". Słońce, czerwona kula do połowy skryta za horyzontem, stało nisko na zachodniej stronie nieba, rzucając za nimi długie cienie. Na ulicy nie było nikogo oprócz jednej z wielkich kukieł, trolloka o koźlim pysku z mieczem zatkniętym za pas, która nadciągała w ich stronę w otoczeniu pięciu mężczyzn, niosących ją na długich tykach, wciąż jednak słychać było odgłosy zabawy, z tych części podgrodzia, gdzie znajdowały się domy rozrywki i tawerny. Dookoła wszak drzwi były już zaryglowane, a okiennice zatrzaśnięte.

Rand przestał obracać w dłoniach drewniany futerał z fletem i przewiesił go sobie przez plecy.

"Raczej nie należało się spodziewać, że rzuci wszystko i przyłączy się do mnie, ale przynajmniej mógł porozmawiać. Światłości, niech ten Ingtar pojawi się wreszcie".

Wepchnął ręce do kieszeni i wymacał list Selene.

- Chyba nie sądzisz, że ona... - Loial urwał speszony. - Chyba nie sądzisz, że ona oszukiwała, prawda? Wszyscy się tak uśmiechali, jakby robiła coś wyjątkowo sprytnego.

Rand narzucił na siebie płaszcz.

"Muszę wziąć Róg i jechać. Jeśli będziemy czekali na Ingtara, wszystko może się zdarzyć. Prędzej czy później zjawi się Fain. Muszę się trzymać z dala od niego".

Mężczyźni z kukłami już prawie zrównali się z nimi.

- Rand - powiedział nagle Loial. - To chyba nie jest...

Raptem mężczyźni rzucili z łomotem tyki w udeptane błoto ulicy, trollok zamiast runąć na ziemię, skoczył na Randa z wyciągniętymi rękami.

Nie było czasu na myślenie. Instynktownie wyrwał miecz z pochwy lśniącym łukiem. Księżyc Wschodzący nad Jeziorami. Trollok zachwiał się w tył z bulgotliwym okrzykiem, szczerząc kły jeszcze wtedy, gdy już leżał.

Przez chwilę wszyscy stali jak zamurovani. Potem mężczyźni - niechybnie Sprzymierzeńcy Ciemności przenieśli wzrok z trolloka leżącego na ulicy na Randa, z mieczem w rękach i Loialem stojącym u boku. Gawrócili i uciekli.

Rand też wpatrywał się jak oniemiały w trolloka. Pustka otoczyła go, jeszcze zanim dłoń dotknęła rękojeści miecza, w umyśle zabłysła *saidin*, przywoływał, przyprawiał o mdłości. Z nie lada wysiłkiem postarał się, by pustka zniknęła i oblizał wargi. Bez niej pod skórą mrowił się strach.

- Loial, musimy wracać do karczmy. Hurm jest sam, a oni... - Stęknął głucho, gdy grube ramię, tak długie, że mogło objąć oboje jego ramion, uniosło go w górę i przycisnęło do piersi.

W gardło Randa wczepiła się włochata dłoń. Przelotnie dostrzegł wyszczerzony kłami pysk, tuż nad swoją głową. Nozdrza wypełnił mu cuchnący zapach, mieszanina kwaśnego potu i chlewa.

Tak samo szybko jak go chwyciła, dłoń puściła gardło. Kompletnie oszołomiony Rand wytrzeszczył oczy, wpatrując się w grube palce ogira ściskającego przegub trolloka.

- Wytrzymaj, Rand! - Głos Loiala był jakby zduszony. Z drugiej strony pojawiła się druga ręka ogira, chwyciła ramię wciąż trzymające Randa w powietrzu. - Wytrzymaj!

Ciałem Randa wciąż wstrząsało z lewa na prawo, z prawa na lewo, a tymczasem ogir i trollok



mocowali się z sobą.

Dyszący z wysiłku Loial stał za plecami trolloka o pysku dzika, rozciągał jego ręce na boki, ściskając za nadgarstek i przedramię. Trollok warknął coś gardłowo w swojej chropawej mowie, odrzucił głowę w tył, usiłując trafić Loiala kłębem. Podeszwy ich butów głośno szurały po ubitym błocie ulicy.

Rand próbował ugodzić trolloka w taki sposób, by nie zranić przy tym Loiala, jednakże ogir i trollok obracali się w swym nieporadnym tańcu tak szybko, że Rand nie mógł znaleźć sposobnej okazji.

Pochrzążając, trollok wyswobodził lewe ramię, ale zanim uwolnił się cały, Loial owinał ramię wokół jego karku, ciasno oplatając stwora. Trollok usiłował rozcapierzonymi pazurami sięgnąć miecza, podobne do sierpu ostrze wisiało po niewłaściwej stronie, by mogło zostać użyte lewą ręką, jednakże cał po calu czarna stal wysuwała się z pochwy. Walczyli z sobą, trwali spleceni, więc Rand nie mógł zadać ciosu, nie ryzykując, że trafi Loiala.

"Moc".

Ona mogła pomóc. W jaki sposób, nie wiedział, ale nie przychodziło mu do głowy nic innego. Trollok zdołał już do połowy wyciągnąć miecz z pochwy. Gdy zakrzywione ostrze wyswobodzi się do końca, zabije Loiala.

Przepelniony niechęcią Rand utworzył pustkę. *Saidin* zabłysnął, zaczął wabić. Raiło mu się, że mgliście pamięta, jak kiedyś śpiewał dla niego, teraz jednak jedynie mamił go, tak jak woń kwiatu kusi pszczołę, jak smród śmietnika przyciąga muchę. Otworzył się, sięgnął. Niczego nie znalazł. Równie dobrze mógł sięgać do światła prawdy. Oblała go, zabrudziła skaza, ale światło nie chciało przepłynąć. Wiedziony niejasno wyczuwaną rozpaczą, próbował i próbował. I za każdym razem była tam tylko skaza.

Loial nagle natężył się i pchnął trolloka w bok, z taką siłą, że stwór potoczył się, na łeb na szyję, na ścianę najbliższego budynku. Z donośnym łomotem uderzył głową, i osunął się na ziemię, z karkiem wykręconym pod nieprawdopodobnym kątem. Loial wyprostował się i zapatrzył na niego; ze zmęczenia falowała mu pierś.

Rand dobrą chwilę patrzył zza skorupy pustki, zanim pojął, co zaszło. Wtedy pozbył się pustki, skażonego światła i pośpiesznie przypadł do boku Loiala.

- Nigdy przedtem... nikogo nie zabiłem, Rand. - Ogir wciągnął drżący oddech.

- On by ciebie zabił, gdybyś pierwszy tego nie zrobił - uspokajał go Rand. Niespokojnie objął wzrokiem najbliższe uliczki, zatrzaśnięte okiennice i zaryglowane drzwi. Skoro napotkali już dwa trolloki, to wokoło mogło czaić się więcej. - Przykro mi, że musiałeś to zrobić, Loial, ale on mógł nas zabić obydwóch albo posunąć się do jeszcze gorszych rzeczy.

- Wiem. Ale wcale mi się to nie podoba. Mimo że to trollok. - Wskazując na stronę zachodzącego słońca, ogir złapał Randa za ramię i rzekł. - Tam jest jeszcze jeden.

Oślepiiony słońcem Rand nie potrafił wyróżnić szczegółów, ale wyraźnie widać było jeszcze jedną grupę ludzi, niosących ogromną kukłę, nadchodzili w ich stronę. Lecz wiedział już teraz, na co ma zwracać uwagę. Kukła stawiała kroki w zbyt naturalny sposób, obdarzony ryjem pysk unosił się, by węszyć i nikt nie niósł tego stwora na tyce. Nie sądził, by trollok i Sprzymierzeńcy Ciemności widzieli wśród wieczornych cieni jego, ani też co się znajduje najbliżej - zbyt wolno się poruszali. Nie miał jednak wątpliwości, że polują na nich, że są coraz bliżej.

- Fain wie, że gdzieś tu jestem - powiedział, pośpiesznie wycierając miecz o kaftan martwego trolloka. - To on kazał im mnie znaleźć. Boi się jednak, by ktoś nie zauważył trolloków, bo inaczej by ich tak nie przebrał. Jeśli uda nam się dotrzeć do jakiejś ulicy, na której są ludzie, będziemy

bezpieczni. Musimy wrócić do Hurina. Jeśli Fain go znajdzie, samego z Rogiem..

Pociągnął Loiala do następnego rogu i skręcił w stronę, z której dobiegały najgłośniejsze odgłosy śmiechu i muzyki, dużo jednak wcześniej, zanim tam dotarli, naprzeciwko nich, na wyludnionej ulicy, pojawiła się jeszcze jedna grupa ludzi z kukłą, która nie była kukłą. Razem z Loialem skręcili za następnym rogiem w ulicę wiodącą na wschód.

Za każdym razem, gdy Rand usiłował dotrzeć w otoczenie muzyki i śmiechu, drogę zagradzał mu trollok, często wciągając powietrze do nozdrzy, by zwęszyć zapach. Niektóre trolloki polowały, kierując się węchem. W miejscach, gdzie nie było nikogo, kto mógłby go zauważyć, trollok skradał się w pojedynkę. Nieraz Rand był przekonany, że to ten sam, którego widział już wcześniej. Osaczali ich z wszystkich stron, pilnując, by on i Loial nie wymknęli się z labiryntu opustoszałych ulic, gdzie okiennice były zatrzaśnięte. Stopniowo zmuszano ich, by szli na wschód, z dala od miasta i Hurina, z dala od innych ludzi, wąskimi, z wolna ciemniejącymi ulicami, które biegnęły we wszystkich kierunkach, w górę i w dół. Z niemałym żalem Rand badał wzrokiem mijane domy, wysokie budynki pozamykane szczelnie na noc. Nawet gdyby zaczął łomotać do czyichś drzwi i zaczekał, aż mu otworzą, albo nawet wpuszczą jego i Loiala do środka, to żadne z tych drzwi by nie stanowiły przeszkody dla trolloka. W ten sposób narażałby więcej ludzi niż tylko siebie i Loiala.

- Rand - stwierdził wreszcie Loial - już nie mamy dokąd pójść.

Dotarli do wschodniego skraju podgrodzia, otaczające ich z obu stron wysokie budynki były ostatnimi. Światła w oknach wyższych pięter wabiły, jednakże dolne poziomy pozostawały szczelnie zamknięte. W oddali przed nimi wznosiły się wzgórza, spowite w pierwszym mroku, na nagich zboczach nie było widać żadnych chłopskich zagród. Ale nie były zupełnie puste. Spozstrzegł blade mury otaczające jedno z wyższych wzniesień, oddalone o jakąś milę, a za nimi domy.

- Jak już tam nas zagnają - powiedział Loial - nie będą się musieli przejmować, że ktoś ich zauważy.

Rand wskazał mury otaczające wzgórze.

- One powinny zatrzymać trolloka. To pewnie posiadłość jakiegoś lorda. Może wpuszczą nas do środka. Ogir i cudzoziemski lord? Prędzej czy później ten kaftan musi się na coś przydać. - Obejrzał się na ulicę. Trolloki jeszcze się nie pokazały, ale i tak pociągnął Loiala za róg domu.

- To chyba kapitułarz Iluminatorów, Rand. Iluminatorzy ściśle strzegą swych sekretów. Moim zdaniem nie wpuściliby do środka nawet samego Galldriana.

- Jakiej to biedy tym razem sobie napytaliście? - spytał znajomy kobiecy głos. Znienacka w powietrzu roztoczyła się woń korzennych perfum.

Rand wytrzeszczył oczy. Zza rogu, który właśnie minęli, wyłoniła się Selene, w sukni jaśniejszej bielą na tle mroku.

- Jak się tu znalazłaś? Co ty tu robisz? Musisz stąd natychmiast zniknąć. Uciekaj! Ścigają nas trolloki.

- Zauważyłam. - Mówiła zmatowiałym głosem, chłodnym jednak i opanowanym. - Znalazłam się tutaj, żeby was odszukać i okazuje się, że pozwoliliście, by trolloki zaganiały was niczym stado owiec. Jak człowiek, który wszedł w posiadanie Rogu Valere, może dopuszczać, by traktowano go w taki sposób?

- Nie mam go przy sobie - zachnął się - i nie wiem, na co mógłby mi się przydać, gdybym go miał. Martwi bohaterowie nie po to mają powstawać z grobu, żeby mnie ratować przed trollokami. Selene, musisz stąd uciekać. I to zaraz!

Wyrzwał ostrożnie zza rogu.

W odległości nie większej niż sto kroków pojawił się rogaty łeb trolloka, nos łowił zapachy

nocy. Towarzyszący mu wielki cień z pewnością należał do drugiego trolloka, były też z nimi mniejsze cienie. Sprzymierzeńcy Ciemności.

- Za późno - powiedział półgłosem Rand. Przesunął futerał z fletem, by ściągnąć z siebie płaszcz i otulić ją nim. Płaszcz był tak długi, że zakrył całkowicie białą suknię i włókł się po ziemi. - Będziesz musiała go zadrzeć, aby pobiec - wyjaśnił. - Loial, jeśli oni nas tam nie wpuszczą, będziemy musieli wślizgnąć się do środka w jakiś inny sposób.

- Ależ Rand...

- Czy wolisz raczej poczekać na trolloki? - Popchnął Loiala, wprawiając go w ruch i ujął Selene za rękę, by pobiec w ślad za nim. - Wyszukaj jakąś ścieżkę, na której nie połamiemy karku, Loial.

- Dajesz się wytrącić z równowagi - zauważyła Selene. Najwyraźniej bieg za Loialem w blednym świetle przychodził jej z mniejszym trudem niż Randowi. - Poszukaj Jedności i zachowaj spokój. Ten, który kiedyś będzie sławny, winien być zawsze spokojny.

- Trolloki mogą cię usłyszeć - skarcił ją. - Nie pragnę sławy.

Wydało mu się, że słyszy zirytowane fuknięcie. Niekiedy kamyk obsunął się pod stopą, jednak drogę pod górę utrudniały jedynie cienie zmierzchu. Już dawno temu ludzie poszukujący drewna na opał ogołocili te wzgórza z drzew, a nawet krzaków. Nic na nich nie rosło z wyjątkiem sięgającej do kolan trawy, szeleszczącej cicho pod stopami. Podniósł się łagodny, nocny wiatr. Rand zaniepokoił się, że może zanieść ich zapach trollokom.

Loial zatrzymał się, gdy dotarli do muru, który był dwakroć wyższy, a kamienie, z których go pobudowano, były otynkowane na biało. Rand obejrzał się ostrożnie w stronę podgrodzia. Ponad murami miasta, niczym szprychy koła, sterczały snopy światła padających z okien.

- Loial - szepnął. - Widzisz ich? Idą za nami?

Ogir spojrział w kierunku podgrodzia i skinął głową, robiąc nieszczęśliwą minę.

- Widzę tylko kilka trolloków, ale idą właśnie tą drogą. Biegną. Rand, naprawdę nie sędzę...

Przerwała mu Selene.

- Jeśli on chce gdzieś wejść, *alantynie*, to potrzebne mu są drzwi. Takie jak te.

Wskazała ciemną plamę, znajdującą się nieco dalej na murze. Wbrew jej słowom, Rand wcale nie był przekonany, że to rzeczywiście są drzwi, jednak otworzyły się, gdy Selene podeszła do nich i pchnęła.

- Rand... - zaczął Loial.

Rand pchnął go w stronę drzwi.

- Później, Loial. I cicho. Pozostajemy w ukryciu, zapamiętasz?

Wprowadził ich do środka i zamknął drzwi. W futrynę wbite były podpórki na sztabę, żadnej sztaby jednak nie było. Drzwi nie mogły stanowić dla nikogo przeszkody, jednak była szansa, że trolloki zawahają się, zanim wejdą między mury.

Stali w alejce wiodącej w górę wzgórza, między dwoma długimi, pozbawionymi okien budynkami. Z początku wydawało mu się, że i one zostały zbudowane z kamienia, ale po chwili zauważył, że biały tynk położono na drewnie. Było już tak ciemno, że dzięki odbijającym się od nich promieniom księżycy, mury zdawały się promieniować światłem.

- Lepiej dać się aresztować Iluminatorom, niż zostać pojmanym przez trolloki - mruknął, zaczynając się wspinać w górę zbocza.

- O tym właśnie usiłowałem ci przypomnieć, Rand zawołał Loial. - Słyszałem, że Iluminatorzy zabijają intruzów. Są nieubłagani w strzeżeniu swych sekretów.

Rand stanął jak wryty i obejrzał się na drzwi. Za nimi wciąż były trolloki. Gdyby jednak miało

przyjść do najgorszego, lepiej mieć do czynienia z ludźmi niż z trollkami. Iluminatorów może uda mu się namówić, żeby wpuścili ich do środka, trollki zaś nie słuchały, tylko zabijały z miejsca.

- Wybacz, że cię w to wmieszałem, Selene.

- Niebezpieczeństwo to rzecz nieuchronna - powiedziała miękko. - A jak dotąd, dobrze sobie z nim radzisz. Może sprawdzimy, co tam jest dalej?

Minęła go na ścieżce, ocierając się. Rand ruszył za nią, z nozdrzami pełnymi korzennej woni jej ciała.

Na szczycie wzgórza ścieżka przechodziła w rozległą połąc równo wygładzonej gliny, nieomal równie jasnej jak tynk, otoczoną białymi, pozbawionymi okien budynkami, które przedzielały cienie wąskich uliczek. Budowla stojąca po prawej ręce Randa posiadała okna, światło z nich padało na bladą glinę. Wycofał się z powrotem w cienie zalegające ścieżkę, gdy pojawiła się nagle para ludzi, jakiś mężczyzna z kobietą, szli wolno przez pustą przestrzeń.

Po ubraniach sądząc, z całą pewnością nie pochodzili z Cairhien. Mężczyzna miał na sobie spodnie równie workowate jak rękawy koszuli, jedno i drugie jasnożółtego koloru, z haftem na nogawkach i na piersi. Kobieta ubrana była w zdobioną kunsztownie przy staniku suknię, barwy bodaj jasnozielonej, włosy jej uczesano w nieskończoną ilość krótkich warkoczyków.

- Wszystko w pogotowiu, powiadasz? - dopytywała się kobieta. - Jesteś pewien, Tammuz? Wszystko?

Mężczyzna rozłożył ręce.

- Ty zawsze przeprowadzasz kontrolę za moimi plecami, Alluro. Wszystko w pogotowiu. Pokaz może się odbyć w każdej chwili.

- Bramy i drzwi, czy wszystkie zaryglowane? Wszystkie...? - Jej głos zaczął stopniowo cichnąć, gdy odchodzili w stronę przeciwległego krańca oświetlonego budynku.

Rand zbadął wzrokiem plac, nie dostrzegając na nim nieomal nic znajomego. Pośrodku, na wielkich drewnianych podstawach wspierało się kilkadziesiąt ustawionych pionowo rur, każda nieomal równie wysoka jak on, grubości mniej więcej stopy. Od każdej rury odchodziła ciemna, skręcona wstęga, która ginęła z drugiej strony niskiego murku, długości około trzech kroków. Na całym placu panował galimatias stworzony przez drewniane rynny ustawione na stojakach, rury, rozdwojone pręty i całe mnóstwo innych rzeczy.

Wszystkie fajerwerki, jakie do tej pory widział, dałoby się policzyć na palcach jednej ręki. Wiedzy o nich posiadał też niewiele, tyle wiedział, że wybuchały przy akompaniamencie donośnego ryku, pomykały ze świstem przy samej ziemi, rozsyłając spirale iskier albo niekiedy wybijały się prosto w niebo. Iluminatorzy zawsze opatrywali je ostrzeżeniem, że przy odpalaniu może nastąpić wybuch. Fajerwerki były skądinąd kosztowne i Rada Wioski nie godziła się, by odpalał je ktoś niedoświadczony. Doskonale pamiętał, jak pewnego razu Mat usiłował coś takiego właśnie zrobić, a potem musiał upłynąć prawie tydzień, zanim ktokolwiek prócz rodzonej matki odezwał się do niego. Jediną znajomą rzeczą, którą Rand w tym miejscu rozpoznał, były wstęgi - lonty fajerwerków. Wiedział, że to właśnie one służą do odpalania.

Obejrzał się teraz na nie zaryglowane drzwi, dał znak Loialowi i Selene, że mają iść za nim i zaczął okrążyć ustawione pionowo rury. Skoro mieli znaleźć jakąś kryjówkę, chciał, by była jak najdalej od bramy.

Oznaczało to, że muszą przejść między stojakami. Wstrzymywał oddech za każdym razem, gdy trącił któryś. Najłżejsze dotknięcie powodowało, że przedmioty na nich spoczywające drgały, poszczekując. Wszystkie stojaki wyglądały na zbudowane całkowicie z drewna, bez kawałka metalu. Wyobrażał sobie huk, jaki by powstał, gdyby któryś z nich się przewrócił. Spojrzał czujnie na

wysokie rury, przypomniał sobie, jak głośno detonował fajerwerk wielkości jego palca. Żle, że tak blisko nich szedł, jeśli to naprawdę były fajerwerki.

Loial bezustannie coś do siebie mamrotał, szczególnie wtedy, gdy wpadł na jeden ze stojaków i zaraz cofnął się tak gwałtownie, że z miejsca zderzył się z innym. Brnął do przodu, zostawiając za sobą odgłosy szczękań i pomruków.

Zachowanie Selene było nie mniej denerwujące. Szła krokiem tak beztruskim, jakby się znajdowali na ulicy w samym środku miasta. Na nic nie wpadała, nie wydawała żadnych dźwięków, ale z kolei nie raczyła zapiąć szczelnie płaszcz. Biel jej sukni wydawała się jaśniejsza niż biel wszystkich murów razem wziętych. Zerkał lękliwie w stronę oświetlonych okien, oczekując, że lada chwila ktoś się w nich pojawi. Wystarczyłaby jedna osoba - Selene nie można było nie zauważyć - i alarm gotowy.

Okna jednak pozostały puste. Rand właśnie wzdychał z ulgą - podchodzili już do niskiego murku i rozpościerających się za nim uliczek oraz budynków - gdy Loial otarł się o następny stojak, ustawiony tuż przy ścianie. Mieścił dziesięć prętów, miękkich z wyglądu, długich jak ramię Randa, a z czubków unosiły się cieniutkie smużki dymu. Stojak upadł nieomal bezgłośnie, zaś tłące się kije runęły na jeden z lontów. Zapalił się z trzaskiem i sykiem, a płomień pomknął w stronę rur.

Przez ułamek sekundy Rand wpatrywał się w to wytrzeszczonymi oczyma, potem spróbował krzyknąć szeptem.

- Kryć się za murem!

Selene wydała gniewny okrzyk, przeskakując bowiem przez murek, pociągnął ją za sobą na ziemię. Zrobił to zupełnie bezwiednie. Usiłował nakryć ją opiekuńczo własnym ciałem; Loial przycupnął tuż obok nich. W oczekiwaniu na wybuch, zastanawiał się, czy coś potem zostanie z ich osłony. Rozległ się głuchy łomot, który nie tylko usłyszał, lecz również poczuł echem w ziemi. Ostrożnie uniósł się z ciała Selene na tyle, by móc wyrzeć ponad krawędzią. Z całej siły zdzieliła go pięścią w żebra i wywinęła się, ciskając przekleństwo, którego nawet nie zauważył, mimo iż znał ten język.

Z czubka jednej z rur uchodził strumień dymu. I to było wszystko. Pokręcił głową z niedowierzaniem.

"Jeśli tylko na tym to polega..."

Razem z łoskotem, przypominającym grom, wysoko ku pociemniałemu już niebu wykwitł olbrzymi, czerwono-biały kwiat, po czym zaczął się wolno rozwiewać w postaci iskier.

W trakcie gdy wpatrywał się w niego otwartymi szeroko oczyma, w oświetlonym budynku wybuchł zgiełk i wrzawa. Okna wypełniły się tłumem pokrzykujących mężczyzn i kobiet - starali się wzrokiem przebić nocny mrok i wymachiwali rękoma.

Rand tęsknie spoglądał ku skrytej w mroku ścieżce, oddalonej od nich o zaledwie kilkanaście kroków. Gdyby dał choć jeden krok, ukazałby się ludziom stojącym w oknach w całej krasie. Z budynku dochodził odgłos łomoczących stóp.

Rand przycisnął Loiala i Selene do muru, miał nadzieję, że wyglądają jak zwykłe cienie.

- Nie ruszajcie się i milczcie - szepnął. - To nasza jedyna nadzieja.

- Czasami - cicho odparła Selene - jak człowiek zamrze nieruchomo, nikt go zupełnie nie widzi.

- W jej głosie nie słychać było ani cienia zdenerwowania.

Po drugiej stronie muru rozległ się łomot ciężkich butów, biegających tam i z powrotem, a także głosów podniesionych w gniewie. Szczególnie wyróżniał się wśród nich głos, po którym Rand rozpoznał Aludrę.

- Ale z ciebie bałwan, Tammuz! Świnia! Twoja matka była kozą, Tammuz! Któregoś dnia

pozabijasz nas wszystkich.

- Ja nie jestem temu winien, Aludra - zaprotestował mężczyzna. - Sprawdziłem, czy wszystko odłożyłem na miejsce, hubki leżały...

- Nawet się do mnie nie odzywaj, Tammuz! Taka świnia jak ty nie zasługuje, by ją wysłuchano jak człowieka! - Ton głosu Aludry zmienił się, odpowiadała pytaniem na pytanie. - Nie ma teraz czasu na nowe przygotowania. Galldrian musi się zadowolić tym, co pozostało. Ej ty, Tammuz! Przygotujesz wszystko jak należy, a jutro wyjedziesz razem z wozami kupować gnój. Jak jeszcze coś pójdzie źle dzisiejszej nocy, to nie pozwolę ci nawet zajmować się gnojem!

Kroki ścichły, oddalając się w stronę budynku, wraz z nimi milkło zrzędenie Aludry. Tammuz pozostał na miejscu, burkliwie skarżąc się pod nosem na ogólną niesprawiedliwość.

Rand wstrzymał oddech, gdy mężczyzna zbliżył się, by postawić przewrócony stojak. Wciśnięty w cienie padające na murek, widział plecy i ramię Tammuza. Wystarczyło, by mężczyzna odwrócił głowę, a z pewnością nie przeoczyłby całej ich kompanii. Tammuz, nadal uskarżając się, ułożył dymiące patyki na stojaku, a potem wylęknięty powędrował niepewnym krokiem w stronę budynku, we wnętrzu którego zniknęli pozostali.

Rand pozwolił sobie na głęboki wdech i szybko wyrzwał w ślad za mężczyzną, po czym zaraz wycofał się w cień. W oknach wciąż stało kilku ludzi.

- Więcej szczęścia tej nocy spodziewać się nie możemy - szepnął.

- Mówi się, że wielcy ludzie sami stwarzają swoje szczęście - odparła łagodnie Selene.

- Może wreszcie przestaniesz o tym gadać - rzekł Rand znużonym głosem. Bardzo pragnął, by jej zapach przestał wreszcie wypełniać mu głowę: przezeń trudno mu było jasno myśleć. Pamiętał jej ciało pod palcami, gdy pchnął ją na ziemię - niepokojące połączenie miękkości i sprężystości - i to też wcale nie pomagało.

- Rand? - Loial wyrzwał teraz zza tego krańca murku, który był bardziej oddalony od oświetlonego budynku. - Myślę, że przydałoby się jeszcze trochę szczęścia.

Rand przesunął się, by popatrzeć ponad ramieniem ogira. Za placem, na ścieżce wiodącej od drzwi w zewnętrznym murze, skryte w cieniach trzy trolloki ostrożnie wyciągały głowy w stronę oświetlonych okien. W jednym stała kobieta, które prawdopodobnie stworów nie widziała.

- I w ten sposób - powiedziała cicho Selene wpadłeś w pułapkę. Ci ludzie mogą cię zabić, jeśli cię pojماją. Trolloki robią to z całą pewnością. Może jednak uda ci się zabić trolloki szybciej, niż one zdążą wydać choć jeden okrzyk. Może uda się nie dopuścić, by ci ludzie cię zabili w obronie swych mizernych sekretów. Może nie pragniesz sławy, ale do dokonania takiego dzieła potrzeba wielkiego człowieka.

- Nie musisz mi tego oświadczać takim radosnym tonem - odparł Rand.

Próbował przestać myśleć o tym, jak ona pachnie, jaka jest w dotyku, i omal nie otoczył się pustką. Odepchnął ją gwałtownie. Trolloki najwyraźniej jeszcze ich nie wypatrzyły. Oparty o murek, badał wzrokiem najbliższą, pogrążoną w mroku ścieżkę. Wystarczy, że wykonają bodaj jeden ruch w tym kierunku, a wtedy trolloki z pewnością ich zauważą, podobnie kobieta w oknie. Stawka pościgu będzie polegała na tym, kto pierwszy ich dopadnie, trolloki czy Iluminatorzy.

- Twoja chwała mnie uszczęśliwi. - Wbrew tym słowom Selene chyba się złościła. - Może powinnam cię zostawić, byś przez jakiś czas szukał własnej drogi. Skoro nie chcesz sięgnąć po sławę, gdy ona znajduje się w zasięgu twojej ręki, to być może zasługujesz na śmierć.

Rand nie chciał na nią patrzeć.

- Loial, czy widzisz może jakieś drzwi przy tej ścieżce?

Ogir pokręcił głową.

- Tu jest za jasno, tam jest za ciemno. Gdybym stanął na ścieżce, to bym widział.

Rand przejechał palcem po rękojeści miecza.

- Zabierz Selene. Jak tylko zobaczysz jakieś drzwi... jeśli je rzeczywiście zobaczysz... to tylko zawołaj, a zaraz do was dołączę. Jeśli zaś tam na końcu nie ma żadnych drzwi, to będziesz musiał ją podnieść, by mogła sięgnąć szczytu muru i przejść przez niego.

- W porządku, Rand. - W głosie Loiala słychać było niepokój. - Ale jak tylko wykonamy ruch, trolloki zaraz zaczną nas ścigać, nie bacząc, czy ktoś patrzy. Nawet jeśli tam są drzwi, będą nam deptały po piętach.

- Kłopotanie się trollokami pozostaw mnie.

"Są trzy. Z pomocą pustki może sobie poradzę".

Myśl o *saidinie* rozstrzygnęła za niego. Zbyt wiele dziwnych rzeczy się wydarzało, gdy dopuszczał do siebie męską połowę Prawdziwego Źródła.

- Dołączę do was najszybciej, jak się da. Ruszajcie. - Odwrócił się, by zza muru spojrzeć na trolloki.

Kątem oka złowił zarys poruszającego się ogromnego cielska Loiala, białej sukni Selene, częściowo skrytej pod jego płaszczem. Jeden z trolloków, zaczajony za rzędem rur, wskazał ich z wyraźnym podnieceniem, jednakże wszystkie trzy zawahały się, patrząc na okno, z którego wciąż wyglądała kobieta.

"Trzy. Musi istnieć jakiś sposób. Tylko nie pustka. Nie *saidin*".

- Tu są drzwi! - dobiegło go ciche wezwanie Loiala.

Jeden z trolloków wystąpił na krok z cienia, pozostałe ruszyły za nim gromadą. Jakby z oddali Rand usłyszał krzyk kobiety w oknie, potem Loial coś zawołał.

Nie myśląc wiele, Rand poderwał się na równe nogi. Musiał w jakiś sposób zatrzymać trolloki, bo inaczej mogły dogonić nie tylko jego, ale również Loiala i Selene. Pochwycił dymiący pręt i cisnął nim w stronę najbliższej rury. Przechyliła się, już miała upaść, gdy przytrzymał drewnianą podstawę i wycelował prosto w trolloki. Zwolniły niepewnie - kobieta w oknie krzyczała przeraźliwie - a Rand przyłożył dymiący koniec prętu do lontu, dokładnie w miejscu, w którym lont przymocowany był do rury.

Natychmiast rozległ się głuchy łoskot i gruba, drewniana podstawa zwała się na niego całym swym ciężarem, obalając go na ziemię. Huk przypominający uderzenie pioruna zakłócił noc, ciemności rozdarł wybuch oślepiającego światła.

Rand podniósł się chwiejnie na nogi, targał nim kaszel wywołany przez gęsty, gryzący dym. Dzwoniło w uszach. Ze zdumienia wytrzeszczył oczy. Połowa rur i wszystkie stojaki leżały poprzewracane, natomiast róg budynku, obok którego stały trolloki, przestał po prostu istnieć, brzegi dachówek i krokwi lizał ogień. Po trollokach nie było ani śladu.

Mimo dzwonienia w uszach Rand wychwycił okrzyki Iluminatorów dobiegające z budynku. Pobiegł chwiejnym krokiem i wpadł na ścieżkę. W połowie drogi potknął się o coś, zauważył, że to poła płaszcza. Zagarnął ją i biegł dalej. Noc przeszywały krzyki Iluminatorów.

Loial podskakiwał niecierpliwie w miejscu, obok otwartych drzwi. Był sam.

- Gdzie jest Selene? - spytał zdenerwowanym głosem Rand.

- Zawróciła, Rand. Usiłowałem ją złapać, ale wyslizgnęła mi się z rąk.

Rand obrócił się w stronę, z której dobiegała wrzawa. Ledwie mógł odróżnić treść okrzyków z powodu nieustającego szumu wypełniającego mu uszy. Płomienie rozjaśniały mrok.

- Wiadra z piaskiem! Natychmiast przynieść wiadra z piaskiem!

- To katastrofa! Katastrofa!

- Kilku pobiegło tędy!

Loial chwycił Randa za ramię.

- Nie możesz jej pomóc, Rand. Na pewno nie, jeśli sam dasz się złapać. Musimy uciekać.

Na końcu ścieżki pojawiła się jakaś postać, cień na tle łuny płomieni, która pokazywała ich ręką.

- Chodź, Rand!

Rand pozwolił się pociągnąć za drzwi, w ciemność. Pożar, który zostawili za sobą, teraz zbladł, stając się jedynie blaskiem rozjaśniającym noc. Zbliżyli się za to do świateł podgrodzia. Rand nieomal zapragnął zobaczyć następne trolloki, kogoś, z kim mógłby walczyć. Jednakże tylko nocny, lekki wiatr marszczył trawę.

- Usiłowałem ją zatrzymać - tłumaczył się Loial.

Zapadło dłuższe milczenie.

- Naprawdę nic nie mogliśmy zrobić. Mogli nas też złapać.

Rand westchnął.

- Wiem, Loial. Zrobiłeś, co mogłeś. - Cofnął się o kilka kroków, wpatrując się w łunę.

Wyraźnie przybladła, Iluminatorzy z pewnością skutecznie gasili płomienie.

- Muszę jej jakoś pomóc.

"Jak? *Saidin*? Moc?"

Zadygotał.

- Muszę.

Minęli oświetlone ulice podgrodzia, pogrążeni w milczeniu, które odcinało ich od otaczającej ich wesołości.

Gdy zaszli pod "Obronę Muru Smoka", karczmarz podał Randowi tacę z zapieczętowanym pergaminem.

Rand wziął go i zagapił się na białą pieczęć. Półksiężyc i gwiazdy.

- Kto to zostawił? Kiedy?

- Jakaś staruszka, mój panie. Niespełna kwadrans temu. Służka, ale nie powiedziała, z jakiego domu. - Cuale uśmiechnął się, jakby zapraszał do poufnych zwierzeń.

- Dziękuję - odparł Rand, nadal wpatrzony w pieczęć.

Karczmarz odprowadzał ich czujnym spojrzeniem, gdy udawali się na górę.

Na widok Randa i Loiala wchodzących do izby, Hurin wyjął fajkę z ust. Ułożył swój krótki miecz i łamacz mieczy na stole i polerował je naoliwioną szmatką.

- Długoś zabawił u barda, mój panie. Czy on dobrze się miewa?

Rand wzdrygnął się.

- Co? Thom? Tak, on... - Rozerwał pieczęć kciukiem i zaczął czytać.

"Zawsze, gdy mi się wydaje, że wiem, co masz zamiar zrobić, robisz coś innego. Jesteś niebezpiecznym człowiekiem. Może niebawem znowu będziemy razem. Pamiętaj o Rogu. Pamiętaj o sławie. I pamiętaj o mnie, bo zawsze będziesz mój".

I tym razem pod spodem nie było żadnego podpisu, tyle że list napisała ta sama dłoń, zamasztytymi pociągnięciami pióra.

- Czy wszystkie kobiety są szalone? - zapytał Rand, kierując to pytanie w sufit.

Hurin wzruszył ramionami. Rund zwałił się na drugie krzesło, to, które wielkością pasowało do ogira, stopy zadyndały ponad podłogą, ale nie zważał na to. Wpatrywał się w okrytą kocem szkatułę



wystającą spod łoża Loiala.

"Pamiętaj o sławie".

- Niech Ingtar już wreszcie przyjedzie.

# ROZDZIAŁ 5

## NOWY WĄTEK WZORU

Podczas jazdy Perrin z niepokojem przyglądał się Sztyletowi Zabójcy Rodu. Droga nadal pięła się w górę, jakby miała się tak wznosić w nieskończoność, choć jego zdaniem do grzbietu przełęczy nie mogło już być daleko. Po jednej stronie szlaku teren opadał stromo do płytkiego górskiego strumienia, pieniącego się na ostro zakończonych skałach, z drugiej strony góry wzbijały się ku niebu szeregiem strzępiastych szczytów, przywodzących na myśl zamarźle wodospady. Sam szlak biegł między głazami, czasem wielkości ludzkiej głowy, niekiedy tak dużymi jak fura. Nie trzeba było szczególnych umiejętności, by móc się wśród nich ukryć.

Wilki powiedziały, że w górach są ludzie. Perrin zastanawiał się, czy to Sprzymierzeńcy Ciemności z grupy towarzyszącej Fainowi. Wilki tego nie wiedziały, a może ich to nie obchodziło. Wiedziały jedynie, że gdzieś w przedzie są Wykoślawieni. Nadal mieli szmat drogi przed sobą, mimo że Ingtar bezlitośnie poganiał kolumnę. Perrin spostrzegł, że Uno lustruje otaczające ich góry podobnie uważnie jak on.

Mat, z łukiem przewieszonym przez plecy, jechał z pozoru beztroski, zonglując trzema kolorowymi piłeczkami, ale był teraz o wiele bledszy niż przedtem. Verin badała go dwa, a czasem i trzy razy dziennie, marszcząc przy tym czoło. Perrin przekonany był, że przynajmniej raz próbowała uzdrawiania, nie spowodowała jednak żadnej poprawy, którą umiałby zauważyć. W każdym razie zdawała się pochłonięta czymś, o czym nie mówiła.

"Rand" - pomyślał Perrin, spoglądając na plecy Aes Sedai. Zawsze jechała na czele kolumny, obok Ingtara, i zawsze domagała się, by jechali jeszcze szybciej niż shienarański lord pozwalał.

"Jakimś sposobem dowiedziała się o Randzie".

W głowie migotały mu wizje przesyłane przez wilki kamienne chłopskie domostwa i usadowione na tarasach wioski, wszystko za górami. Wilki nie postrzegały ich inaczej niż wzgórze albo łąki, tylko odnosiły przy nich wrażenie, że to zanieczyszczona ziemia. Przez moment czuł, że dzieli z nimi żal, wspomniawszy miejsca, które dwunodzy dawno temu opuścili, przypomniawszy sobie chyży pęd powietrza wśród drzew i trzask przerywanych ścięgien w uścisku szczęk, udaremniający jeleniowi ucieczkę i... Z wysiłkiem wyparł wilki ze swoich myśli.

"Te Aes Sedai jeszcze zniszczą nas wszystkich".

Ingtar zwolnił konia, chcąc zrównać się z Perrinem. Półksiężyc na hełmie Shienaranina czasami jawił się oczom Perrina jako rogi trolloka.

- Powtórz jeszcze raz, co powiedziały wilki - poprosił spokojnym głosem Ingtar.

- Mówiłem ci to już dziesięć razy - burknął Perrin.

- Powtórz jeszcze raz! Wszystko, co mogłem przeoczyć, wszystko, co mogłoby mi pomóc w odnalezieniu Rogu... - Ingtar wciągnął powietrze do płuc i wolno je wypuścił. - Muszę odnaleźć Róg Valere, Perrin. Powtórz mi raz jeszcze.

Po tylu powtórkach Perrin nie musiał już niczego układać w myślach. Wyrzucił to z siebie beznamyślnym głosem.

- Ktoś, albo coś, zaatakował Sprzymierzeńców Ciemności w nocy i zabił te trolloki, które znaleźliśmy. - Żołądek przestał mu się wreszcie przewracać na to wspomnienie, bo kruki i sępy z natury pożywiają się niechlujnie. - Wilki nazywają tego kogoś albo to coś Zabójcą Cienia. Moim zdaniem to człowiek, ale one nie chciały podejść bliżej, aby sprawdzić. One nie boją się Zabójcy Cienia, on przepelnia je raczej zgrozą. Mówią, że trolloki podążają teraz w ślad za Zabójcą Cienia.

Twierdzą też, że jest z nimi Fain - na samą myśl o zapachu Faina jeszcze po tak długim czasie wykrzywiały mu się usta - więc muszą też być pozostali Sprzymierzeńcy Ciemności.

- Zabójca Cienia - mruknął Ingtar. - Istota wywodząca się od Czarnego, tak jak Myrddraal? W Ugorze widywałem stwory, które dałoby się nazwać Zabójcami Cienia, jednakże... Czy nie zauważyły jeszcze czegoś?

- Nie chciały podchodzić blisko. To nie był pomor. Powiedziałem ci, one zabiłyby pomora jeszcze prędzej niż trolloka, nawet gdyby miały utracić połowę stada. Ingtar, te wilki, które widziały, przekazały to innym, które z kolei podawały to następnym, aż w końcu wiadomość dotarła do mnie. Mogę ci tylko powiedzieć to, co przekazały, a ponieważ podawano to tyle razy... - Pozwolił słowom zamrzeć, jako że przyłączył się do nich Uno.

- Aiel na skałach - powiedział cicho jednooki mężczyzna.

- Tak daleko od Ugoru? - spytał z niedowierzaniem Ingtar. Zapytanemu udało się w jakiś sposób, bez zmiany wyrazu twarzy, zademonstrować, że czuje się obrażony, więc Ingtar dodał: - Nie, nie powątpiewam w twoje słowa. Po prostu dziwię się.

- Ten przekłety chciał, żebym go zobaczył, bo inaczej by mi się to nie udało. - Uno oświadczył to z wyraźnym niesmakiem. - A jego cholerna twarz nie była osłonięta, czyli nie wyprawił się mordować. Ale jak człowiek zauważy jednego przekłatego Aiela, to wiadomo, że jest z nim więcej, których nijak nie widać. - Raptem jego oko rozszerzyło się. - Niech szczenę, jeśli nie wygląda na to, że on chce czegoś więcej, niż żeby go tylko zobaczono.

Wyciągnął rękę - w oddali na drodze pojawiła się sylwetka człowieka.

Lanca Masemy natychmiast pochyliła się, a on sam wbił pięty w boki wierzchowca, który poderwał się do galopu na łeb na szyję. Nie tylko on - cztery stalowe ostrza leciały w stronę stojącego na ziemi człowieka.

- Wstrzymajcie się! - krzyknął Ingtar. - Wstrzymajcie się, powiedziałem! Oberwę uszy każdemu, kto nie zatrzyma się tam, gdzie właśnie jest!

Masema ze złością zatrzymał konia, z całej siły ściągając wodze. Pozostali również przystanęli, w tumanie pyłu, w odległości zaledwie dziesięciu kroków od mężczyzny, wciąż celując czubkami lanc w jego pierś. Obcy podniósł rękę, by przegnać nadlatujący w jego stronę kurz, dopiero wtedy poruszył się po raz pierwszy.

Był wysoki, o skórze ogorzalej od słońca i krótko przystrzyżonych, rudych włosach, nad karkiem miał pozostawioną długą kitę, spływającą mu na plecy. Począwszy od miękkich sznurowanych do kolan butów, a skończywszy na skrawku materii udrapowanej luźno wokół szyi, cały jego przyodziewek utrzymany był w odcieniach brązów i szarości, które mogły stapiać się z kolorem skał czy ziemi. Znad ramienia wзираł koniec krótkiego, wykonanego z rogu łuku, przy pasie jeżył się kołczan pełen strzał. Przy drugim boku wisiał długi nóż. W lewej ręce ścisnął okrągłą, skórną tarczę i trzy krótkie włócznie, długości nie większej niżli połowa jego wzrostu, z grotami równie długimi jak te przy shienarańskich lancach.

- Nie mam kobziarzy, którzy mogliby odegrać melodię - obwieścił z uśmiechem mężczyzna - lecz j e ś l i m a c i e chęć zatańczyć...

Nie zmienił pozycji, jednakże Perrin czuł zbudzoną, nagłą czujność.

- Nazywam się Urien, pochodzę z klanu Dwóch Iglic Reynu Aiel. Należę do Czerwonych Tarcz. Zapamiętajcie mnie.

Ingtar zsiadł z konia i ruszył do przodu, zdejmując hełm. Perrin wahał się tylko chwilę, zanim również stanął na ziemi, by dołączyć do niego. Nie mógł stracić szansy zobaczenia Aiela z bliska, kogoś zachowującego się jak zamaskowany Aiel. We wszystkich opowieściach, co do jednej,

Aielowie byli równie zabójczy i niebezpieczni jak trolloki niektórzy nawet powiedali, że oni są Sprzymierzeńcami Ciemności - jednakże uśmiech Uriena jakoś wcale nie przestrzegał przed niebezpieczeństwem, mimo że stanął tak, jakby zaraz miał poderwać się do skoku. Miał błękitne oczy.

- Wygląda zupełnie jak Rand.

Perrin obejrzał się i zobaczył, że Mat również się do nich przyłączył.

- Może Ingтар ma rację - dodał cicho Mat. - Może Rand jest Aielem.

Perrin pokiwał głową.

- Ale to niczego nie zmienia.

- Nie, nie zmienia. - Mat wygłosił to takim tonem, jakby miał coś innego na myśli niż Perrin.

- Obydwaj znajdujemy się daleko od domów - powiedział Ingтар do Aiela - i naszym, przynajmniej, celem jest co innego niż walka.

Perrin zmienił swoje zdanie odnośnie do uśmiechu Uriena - mężczyzna wyglądał w istocie na rozczarowanego.

- Jak sobie życzysz, Shienaraninie. - Urien zwrócił się w stronę Verin, właśnie zsiadającej z konia, i wykonał dziwaczny ukłon, wbijając czubki włóczni w ziemię i unosząc prawą dłoń, wnętrzem w jej stronę. W jego głosie zabrzmiał szacunek. - Rozumna, moja woda należy do ciebie.

Verin podała wodze jednemu z żołnierzy. Podeszła bliżej do Aiela i przyjrzała mu się badawczo.

- Dlaczego tak mnie nazwałś? Uważasz, że należę do Aielów?

- Nie, Rozumna. Ale wyglądem przypominasz te, które wyprawiły się do Rhuidean i przeżyły tę wyprawę. Lata nie dotyczą Rozumnych w taki sam sposób jak inne kobiety, ani tak jak dotyczą mężczyzn.

Na twarzy Aes Sedai pojawiło się poruszenie, w tym jednak momencie odezwał się niecierpliwym głosem Ingтар.

- Gonimy Sprzymierzeńców Ciemności i trolloków, Urienie. Czy widziałeś gdzieś ich ślady?

- Trolloki? Tutaj? - Oczy Uriena pojaśniały. - To jeden ze znaków, o których mówią proroctwa. Kiedy trolloki ponownie przybędą na Ugór, opuścimy Ziemię Trzech Sfer i na powrót obejmiemy w posiadanie nasze dawne krainy.

Od strony konnych dobiegł pomruk. Urien zmierzył ich spojrzeniem pełnym dumy, zdawało się, że patrzy na nich z góry.

- Ziemia Trzech Sfer? - powtórzył Mat.

Perrinowi wydało się, że przyjaciel jest jeszcze bledszy, nie całkiem jak ktoś chory, ale jakby przebywał nazbyt długo z dala od słońca.

- Wy nazywacie to Ugorem - odparł Urien. - Dla nas jest to Ziemia Trzech Sfer. Ziemia kamiennego budulca, który służy naszemu stworzeniu, odpornej gleby, byśmy udowodnili, cośmy warci, i kary za grzech.

- Jaki grzech? - spytał Mat.

Perrin wstrzymał oddech, czekając na błysk jednej z włóczni, które Urien trzymał w ręku.

Aiel wzruszył ramionami.

- To się stało tak dawno, że nikt już nie pamięta. Z wyjątkiem Rozumnych i wodzów klanów, a oni nie chcą mówić. Musiał to być wielki grzech, skoro nie potrafia nam go wyznać, jednakże Stwórca karze nas dotkliwie.

- Trolloki! - obstawał przy swoim Ingтар. - Czy widziałeś trolloki?

Urien pokręcił głową.

- Gdybym je zobaczył, pozabijałbym, ale nie widziałem nic prócz skał i nieba.

Ingтар potrzęsnał głową, tracąc zainteresowanie rozmową, odezwała się natomiast Verin, głosem ujawniającym głęboką koncentrację.

- To Rhuidean. Co to jest? Gdzie to jest? W jaki sposób wybiera się dziewczęta, które tam muszą pójść?

Z twarzy Uriena znikł wszelki wyraz, oczy skryły się za powiekami.

- Nie mogę o tym mówić, Rozumna.

Mimo woli dłoń Perrina zacisnęła się na trzonku topora. Ton głosu Uriena spowodował, że Ingтар również znieruchomiał, gotów sięgnąć do miecza. Wśród ludzi na koniach zapanowało poruszenie. Jednakże Verin podeszła do Aiel, tak blisko, że nieomal dotknęła jego piersi, i spojrzała mu w twarz.

- Nie jestem Rozumną, Urien - powiedziała dobitnie. - Jestem Aes Sedai. Powiedz mi to, co ci wolno, o Rhuidean.

Człowiek, który był gotów stawić czoło dwudziestu ludziom, wyglądał teraz tak, jakby miał ochotę uciec przed tą jedną, pulchną kobietą o siwiejących włosach.

- Mogę... ci powiedzieć tylko tyle, co jest wszystkim wiadome. Rhuidean leży na ziemiach należących do Jenn Aiel, trzynastego klanu. Mogę tylko wymienić ich nazwę i nic więcej. Nikomu nie wolno tam się wyprawiać z wyjątkiem kobiet, które pragną zostać Rozumnymi, albo mężczyzn, którzy chcą zostać wodzami klanów. Być może Jenn Aiel dokonują wśród nich wyboru, nie wiem. Wielu tam się wyprawia, niewielu powraca i zyskują oni miano tego, czym są: Rozumnych albo wodzów klanów. Nic więcej powiedzieć nie mogę, Aes Sedai. Nic więcej.

Verin nie przestawała na niego patrzeć, wydymając wargi.

Urien spojrzał na niebo takim wzrokiem, jakby chciał je zapamiętać.

- Czy zabijesz mnie teraz, Aes Sedai?

Zamrugnęła.

- Co takiego?

- Czy teraz mnie zabijesz? Jedno z dawnych proroctw powiada, że jeśli kiedykolwiek znowu zawiedziemy Aes Sedai, to one nas zabiją. Wiem, że posiadasz większą moc niż Rozumne. - Aiel roześmiał się nagle, bez śladu rozbawienia. W jego oczach zatańczyło dzikie światło. - Sprowadź swe błyskawice, Aes Sedai. Zatańczę z nimi.

Aiel był przekonany, że zaraz umrze i wcale się nie bał. Perrin zorientował się, że usta ma szeroko otwarte, więc zamknął je ze słyszalnym niemalże trzaskiem.

- Czego ja bym nie dała - mruknęła Verin, podnosząc wzrok na Uriena - żeby cię ściągnąć do Białej Wieży. Albo żebyś zwyczajnie zechciał mówić. Och, uspokój się, człowieku. Nic ci nie zrobię. Chyba że to właśnie ty swoim gadaniem o tańcu dajesz do zrozumienia, że coś mi zrobisz.

Urien wyraźnie się zdumiał. Spojrzał na shienarańskich żołnierzy, siedzących dokoła na koniach, jakby podejrzewał jakiś podstęp.

- Nie jesteś Panną Włóchni - powiedział wolno. - Jak mógłbym zaatakować kobietę, która nie została poślubiona włóchni? To zabronione, chyba że w obronie życia, a wówczas i tak dałbym się zranić, żeby tego uniknąć.

- Dlaczego się tutaj znalazłeś, tak daleko od swoich ziem? - spytała. - Dlaczego do nas podszedłeś? Mogłeś pozostać na skałach i nigdy byśmy cię nie zobaczyli. - Aiel wyraźnie się wahał, dodała więc: - Powiedz tylko tyle, ile chcesz. Nie wiem, co robią te wasze Rozumne, ale ja nic ci złego nie zrobię, nie będę też próbowała do czegokolwiek zmuszać.

- To samo mówią Rozumne - odparł sucho Urien - jednakże nawet wódz klanu musi mieć silne

trzewia, by nie postępować zgodnie z ich wolą. - Wyraźnie starannie dobierał słowa. - Ja kogoś... szukam. Pewnego mężczyzny. - Zmierzył wzrokiem Perrina, Mata, Shienaran, eliminując wszystkich. - Tego Który Nadchodzi Ze Świtem. Mówi się, że jego przyjsciu będą towarzyszyły wielkie znaki i cuda. Po zbrojach twojej eskorty zorientowałem się, że przybywasz ze Shienaru, a z wyglądu przypominałaś Rozumną, więc pomyślałem, że może znasz wieści o wielkich wydarzeniach, wydarzeniach, które być może zapowiadają jego przyjscie.

- Mężczyzna? - Głos Verin brzmiał łagodnie, lecz oczy miała ostre jak szpilety. - Cóż to za znaki?

Urien potrząsnął głową.

- Mówi się, że rozpoznamy je wtedy, gdy je usłyszymy, tak samo jak jego poznamy, gdy go zobaczymy, będzie on bowiem naznaczony. Przybędzie z zachodu, zza grzbietu świata, lecz będzie w nim płynęła nasza krew. Uda się do Rhuidean i wyprowadzi nas z Ziemi Trzech Sfer.

Przełożył jedną włócznię do prawej dłoni. Rozległo się skrzywienie metalu i skóry, żołnierze sięgnęli bowiem do swych mieczy, a Perrin zauważył, że sam ponownie chwycił topór, jednakże Verin nakazała im gestem i zirytowanym spojrzeniem zachować spokój. Urien czubkiem włóczni wyrysował w pyłe koło, następnie przekreślił je falistą linią.

- Mówi się, że będzie zwyciężał pod tym znakiem.

Ingтар zmarszczył brwi na widok symbolu, wyraźnie go nie rozpoznając, natomiast Mat mruknął coś do siebie chrapliwie, a Perrin poczuł, jak zasycha mu w ustach.

"Starożytny symbol Aes Sedai".

Verin zamazała znak w pyłe czubkiem stopy.

- Nie mogę ci powiedzieć, gdzie on jest, Urien oświadczyła - nie słyszałam też o żadnych znakach albo cudach, które mogłyby cię do niego poprowadzić.

- Wobec tego będę kontynuował swoje poszukiwania.

Nie było to pytanie, jednakże Urien zaczekał, dopóki nie skinęła głową i dopiero wtedy spojrzął dumnie, wyzywająco na Shienaran, a potem odwrócił się do nich plecami. Odszedł sprężystym krokiem i zniknął wśród skał, nie oglądając się ani razu za siebie.

Paru żołnierzy zaczęło pomrukiwać. Uno powiedział coś o "stukniętych, przeklętych Aielach", a Masema warknął, że powinno się wydać Aiel na pastwę kruków.

- Zmarnowaliśmy nasz cenny czas - obwieścił głośno Ingтар. - Będziemy jechać szybciej, żeby odrobić zwłokę.

- Tak - zgodziła się Verin - musimy jechać szybciej.

Ingтар zerknął na nią, lecz Aes Sedai wpatrywała się w smugę na drodze, tam gdzie jej stopa zamazała symbol.

- Z koni - rozkazał. - Załadować zbroje na juczne konie. Jesteśmy już na ziemiach Cairhien. Lepiej, by Cairhienowicze nie pomyśleli, że przybywamy z nimi walczyć. Pośpieszcie się z tym!

Mat podszedł bliżej do Perrina.

- Czy ty...? Myślisz, że on mówił o Randzie? Wiem, że to szaleństwo, ale nawet Ingтар uważa, że on jest Aielem.

- Nie wiem - odparł Perrin. - Odkąd wplątaliśmy się w tę aferę z Aes Sedai, wszystko oszalało.

Verin odezwała się, cicho, jakby mówiła do siebie, nadal wpatrzona w ziemię.

- To na pewno łączy się z całą resztą, tylko w jaki sposób? Czy Koło czasu wplata do Wzoru wątki, o których nic nie wiemy? A może Czarny znowu dotknął Wzoru?

Perrin poczuł, jak przeszywa go dreszcz.

Verin podniosła wzrok na żołnierzy zdejmujących zbroje.

- Pośpieszcie się! - rozkazała, z taką oschłością w głosie, na jaką nawet Ingtara i Uno razem wziętych nie było stać. - Musimy się spieszyć!

# ROZDZIAŁ 6

## SEANCHANIE

Geofram Bornhald ignorował swąd płonących domów i widok ciał rozciągniętych w błocie ulicy. Byar i stu strażników w białych płaszczach, czyli połowa całej towarzyszącej mu grupy, wjechali tuż za nim do wioski. Nie bardzo mu było w smak, że jego legion uległ takiemu rozproszeniu i że śledczy wydawali tyle rozkazów, jednakże instrukcje dostał wyraźne: okazywać śledczym posłuszeństwo.

Opór stawiano tu raczej niewielki, zaledwie połowa z kilkunastu domostw dymiła kolumnami ognia. Zobaczył, że karczma wciąż stoi, bielony kamień, z którego budowano nieomal wszystko na Równinie Almoth, był nietknięty.

Przed samą karczmą ściągnął wodze, powiódł wzrokiem od więźniów, pilnowanych przez jego żołnierzy, do długiej szubienicy, zakłócającej widok na wioskową łąkę. Została sklecona pośpiesznie, z długiego słupa ustawionego na stojakach, ale pomieściła trzydziestu ludzi, którym lekki wiatr rozwiewał ubrania. Wśród starszych wisały też małe ciała. Nawet Byar zapatrzył się na nie z niedowierzaniem.

- Muadh! - ryknął.

Od grupy strzegącej więźniów podbiegł siwy mężczyzna. Muadh wpadł kiedyś w ręce trolloków, na widok jego pokancerowanej twarzy cofali się nawet najodporniejsi.

- To twoje dzieło, Muadh, czy Seanchanów?

- Żadnego z nas, lordzie kapitanie. - Głos Muadha, chrapliwy, niewyraźny pomruk, był jeszcze jedną pamiętką po Sprzymierzeńcach Ciemności. Nic więcej nie powiedział.

Bornhald spojrział z dezaprobatą.

- Z pewnością nie mogła zrobić tego ta zgraja stwierdził, wskazując więźniów. Synowie z jego oddziału nie mieli już takiego schludnego wyglądu jak wtedy, gdy przeprowadzał ich przez Tarabon, jednakże w porównaniu z dziczą, która przycupnęła pod ich czujnymi oczyma, sprawiali wrażenie gotowych do parady. Mężczyźni odziani w łachmany i fragmenty zbroi, o ponurych twarzach. Niedobitki armii, którą Tarabon wysłało przeciwko uczestnikom inwazji na Głowę Tomana.

Muadh zawahał się, po czym odparł, wyrażając się oględnie:

- Wieśniacy powiadają, że mieli na sobie tarabońskie płaszcze, lordzie kapitanie. Był wśród nich jakiś rosły mężczyzna, o szarych oczach i długich wąsach: pasuje to jak ulał do Syna Earwina, a także młody chłopak, próbujący skryć twarz za jasną brodą, który walczył lewą ręką. To brzmi jak opis Syna Wuana, lordzie kapitanie.

- Śledczy! - rzucił z pogardą Bornhald.

Earwin i Wuan należeli do tych, których musiał oddać pod rozkazy śledczych. Już przedtem miał możliwość zaobserwować, jaką taktyką posługują się śledczy, niemniej jednak po raz pierwszy widział na własne oczy dziecięce ciała.

- Skoro lord kapitan tak twierdzi. - Muadh wymówił to takim tonem, jakby całym sercem się z nim zgadzał. - Odciać ich - powiedział zmęczonym głosem Bornhald. - Odciać i powiadomić wieśniaków, że nie będzie więcej egzekucji.

"Chyba że jakiś dureń postanowi wykazać się swoją odwagą, ponieważ będzie na niego patrzyła jego kobieta, a ja będę musiał uczynić zeń przykład dla innych".

Zsiadł z konia, znowu przypatrując się więźniom, natomiast Muadh oddalił się pośpiesznie, wołając, by szykowano drabiny i noże. Miał już dosyć rozmyślania o gorliwości śledczych, całą



duszą pragnął w ogóle przestać myśleć o śledczych.

- Oni specjalnie nie garną się do walki, lordzie kapitanie - powiedział Byar - ani ci z Tarabonu, ani ci ostatni, pozostali przy życiu z Arad Doman. Kąsają niczym osaczone szczury, ale uciekają, jak tylko ktoś ich ukąsi w odwecie.

- Sprawdźmy, jak postępować z najeźdźcami, Byar, zanim obejrzymy tych ludzi, zrozumiane?

Na obliczach jeńców odznaczały się ślady pogromu, który przeżyli tu jeszcze przed przybyciem jego ludzi.

- Każ Muadhowi wybrać jednego z nich dla mnie.

Sama twarz Muadha wystarczyła, by zmiękczyć opór większości ludzi.

- Najlepiej niech to będzie oficer. Taki, który wygląda dość inteligentnie, by mógł powiedzieć to, co widział bez upiększeń, a przy tym młody, o jeszcze nie w pełni ukształtowanym charakterze. Każ Muadhowi, by nie obchodził się zbyt łagodnie, zrozumiane? Niech ten człowiek uwierzy, że za moimi zamiarami kryją się gorsze rzeczy, niż mu się kiedykolwiek śniły i zgotuję mu je, o ile nie przekona mnie, bym postąpił inaczej.

Cisnął wodze w ręce jednego z Synów i wszedł do karczmy.

O dziwo, karczmarz był na miejscu, płaszcący się, spocony, brudna koszula opinała mu brzuch tak ciasno, że zdobiący ją pas czerwonego haftu wyglądał, jakby zaraz miał pęknąć z głośnym trzaskiem. Bornhald odprawił go machnięciem ręki, kobiet i grupki dzieci tłoczących się w drzwiach byłby nawet nie zauważył, gdyby tłusty karczmarz ich stamtąd nie przepędził.

Ściągnął rękawice i usadowił się przy jednym ze stołów. Niewiele wiedział o najeźdźcach, inaczej nazywanych obcymi. Nieomal wszyscy tak ich nazywali, ci którzy nie pletli, o Arturze Hawkwingu, co im ślina na język przyniosła. Wiedział, że oni sami przedstawiają się jako Seanchanie, albo *Hailene*. Znał w dostatecznym stopniu Dawną Mowę, by wiedzieć, że to oznacza Tych Którzy Przybyli Wcześniej albo Zwiastunów. Przedstawiali się także jako *Rhyagelle*, Ci Którzy Wracają, mówili także o *Corenne*, Powrocie. Było tego dość, by omal nie uwierzył w opowieści o powrocie armii Artura Hawkwinga. Nikt nie wiedział, skąd się wzięli Seanchanie, prócz tego, że przybyli na statkach. Prośby Bornhalda o informacje skierowane do Ludu Morza przyjmowano milczeniem. Amador nie przepadał za Atha'an Miere i odwzajemniano mu tym samym. Wszystko, co wiedział o Seanchanach pochodziło od takich ludzi, jak ci na zewnątrz karczmy. Złamana, pokonana tłuszcza, która z rozszerzonymi oczyma, złana potem, opowiadała o wojownikach, którzy do bitwy przybyli na grzbietach potworów, u boku których walczyły potwory i którzy sprowadzili Aes Sedai, by wrywały ziemię spod stóp ich wrogów.

Słyszając łomot ciężkich butów w drzwiach, uzbroił twarz w wilczy grymas, jednakże Byarowi nie towarzyszył Wuadh, Synem Światłości, który stał obok niego, z rękoma założonymi na plecach i hełmem pod pachą, okazał się Jeral, o którym Bornhald sądził, że jest z dala od nich o sto mil. Młodzieniec miał na zbroję narzucony płaszcz skrojony zgodnie z modą panującą w Arad Doman, oblamowany błękitem, nie zaś płaszcz Synów.

- Muadh rozmawia w tej chwili z jakimś młodym człowiekiem - powiedział Byar. - Syn Jeral przybył właśnie z posłaniem.

Bornhald gestem zezwolił Jeralowi przemówić.

Młodzieniec nie wyzbył się sztywnej postawy.

- Wyrazy szacunku od Jaichima Carridina - zaczął, patrząc prosto przed siebie - który kieruje Ręką Światłości w...

- Niepotrzebne mi wyrazy szacunku śledczych warknął Bornhald i zobaczył zdziwienie na twarzy posłańca. Jeral był jeszcze młody. Zresztą Byar również wyglądał na zmieszanego. - Sam mi

przekażesz wiadomość od niego, zrozumiane? Nie słowo w słowo, chyba że tego zażądam. Po prostu powiedz mi, czego on chce.

Syn, gotów recytować, przełknął ślinę, nim zaczął.

- Lordzie kapitanie, on... powiada, że prowadzisz za wielu ludzi nazbyt blisko Głowy Tomana. Twierdzi, że trzeba wyplenić Sprzymierzeńców Ciemności z Równiny Almoth, a ty, wybacz mi lordzie kapitanie, masz natychmiast zawracać i ruszać do samego serca równiny.

Stał sztywny, wyczekujący.

Bornhald przypatrzył mu się dokładnie. Twarz Jerala, jak również jego płaszcz i wysokie buty, pokrywał kurz równiny.

- Idź i znajdź sobie coś do zjedzenia - powiedział mu Bornhald. - W jednym z domów powinna być jakaś woda, jeśli chcesz się umyć. Wróć do mnie za godzinę. Dam ci wtedy odwrotną wiadomość.

Odprawił młodzieńca gestem ręki.

- Śledczy mogą mieć rację, lordzie kapitanie - powiedział Byar po wyjściu Jerala. - Po całej równinie rozsianych jest wiele wiosek i Sprzymierzeńcy Ciemności...

Bornhald wszedł mu w słowo, uderzając dłonią o stół.

- Jacy Sprzymierzeńcy Ciemności? W żadnej z wiosek, które on nakazał przejść, nie widziałem nic prócz chłopów i rzemieślników, zamartwiających się, że spalimy im ich bydło, a także kilka starych kobiet doglądających chorych.

Twarz Byara mogła być przykładem na brak wyrazu i zawsze było mu pilniej szukać Sprzymierzeńców Ciemności niż Bornhaldowi.

- A te dzieci, Byar? Czyby tutejsze dzieci były Sprzymierzeńcami Ciemności?

- Za grzechy matki odpowiadają dzieci w piątym pokoleniu - zacytował Byar - a za grzechy ojca w dziesiątym.

Wyraźnie jednak się zmieszał. Nawet Byar w życiu nie zabił dziecka.

- Czy ci nie przyszło do głowy, Byar, by się zastanowić, dlaczego Carridin zabrał nam sztandary a płaszcze ludziom, których prowadzą śledczy? Nawet sami śledczy zdjęli biel. To daje do myślenia, nieprawdaż?

- Musi mieć swoje powody - wolno odparł Byar. - Śledczy zawsze mają swoje powody, mimo że nie zawsze o nich mówią nam pozostałym.

Bornhald przypomniał sobie, że Byar jest dobrym żołnierzem.

- Synowie na północy noszą tarabońskie płaszcze, Byar, a ci na południu domańskie. Nie podoba mi się, czymś to pachnie. Są tutaj Sprzymierzeńcy Ciemności, ale w Falme, nie na równinie. Gdy Jeral wyruszy w drogę, nie ma jechać w pojedynkę. Posłania mają dotrzeć do wszystkich zgrupowań Synów, które wiadomo, jak znaleźć. Chcę poprowadzić legion na Głowę Tomana, Byar, i sprawdzić o co chodzi tym prawdziwym Sprzymierzeńcom Ciemności, Seanchanom.

Byar wyglądał na zakłopotanego, lecz zanim zdążył coś powiedzieć, pojawił się Muadh z jednym z jeńców. Spocony młody mężczyzna w powyginanym, strojnym napierśniku, ciskał ukradkowe spojrzenia w stronę szpetnej twarzy Muadha.

Bornhald wyciągnął sztylet i zaczął czyścić nim sobie paznokcie. Nigdy nie udało mu się pojąć, dlaczego niektórych wprawiało to w zdenerwowanie, niemniej stale uciekał się do tego wybiegu. Mimo dobrodusznego uśmiechu brudna twarz więźnia zbielała.

- Nuże, młody człowieku, opowiadaj wszystko, co wiesz o tych obcych, tak? Jeśli uznasz, że musisz się zastanowić nad swoimi słowami, odeślę cię z powrotem do Syna Muadha, żebyś je sobie przemyślał.

Więzień spojrział szybko rozwartymi szeroko oczyma na Muadha. Po chwili słowa zaczęły wylewać się z niego prawdziwą rzeką.

Głębokie fale wód oceanu Aryth wprawiały "Spray" w gwałtowne kołysanie, jednak kapitan Domon utrzymywał równowagę na szeroko rozstawionych stopach i przyłożywszy długą tubę ze szkłem powiększającym do oka, obserwował ścigający ich wielki statek. Ścigał ich i stopniowo doganiał. Wiatr popychający "Spray" nie był ani specjalnie przyjazny ani też najsilniejszy, natomiast tam, gdzie ten drogi statek pruł dziobem wzburzone fale, przekształcając je w zwałowiska piany, nie mógł dąć lepiej. Na wschodzie majaczył zarys wybrzeża Głowy Tomana, ciemne klify i wąskie łąchy piasku. Wcześniej nie zadbał, by "Spray" wypłynęła głębiej w morze i teraz obawiał się, że przyjdzie mu za to zapłacić.

- Obcy, kapitanie? - Głos Yarina wydobywał się z trudem i jakby przedzierał się przez coś. - Czy to statek obcych?

Domon opuścił szkło powiększające, miał jednak wrażenie, że oko wciąż wypełnia mu całkowicie wysoki, jakby kwadratowy statek wyposażony w dziwaczne, żebrowane żagle.

- Seanchanie - odparł i usłyszał tylko jęk Yarina. Zabębnił tłustymi palcami po relingu, po czym rozkazał sternikowi: - Steruj do brzegu. Ten statek nie odważy się wpłynąć na płytkie wody, a "Spray" da radę po nich żeglować.

Yarin wydał krzykiem komendy i członkowie załogi pobiegli wciągać maszty, natomiast sternik przechylił rumpel, nakierowując dziób w stronę wybrzeża. "Spray" zaczęła płynąć wolniej, ustawiona teraz pod wiatr, Domon był jednak pewien, że zdąży dotrzeć na płytsze wody, zanim dogoni ich tamten statek.

"Nawet gdyby miała pełne ładownie, i tak dałaby radę utrzymać się na płyciznach, podczas gdy temu wielkiemu kadłubowi to się nigdy nie uda".

Łódź miała teraz nieco mniejsze zanurzenie niż w drodze do Tanchico. Jej ładunek zmniejszył się o trzecią część, to znaczy fajerwerki, które zabrał w tamtą stronę i sprzedał w wioskach rybackich na wybrzeżu Głowy Tomana, jednakże srebru, które spłynęło w zamian za ten towar, towarzyszyły niepokojące wieści. Ludzie opowiadali o wizytach wysokich, kanciastych statków najeźdźców. Gdy statki Seanchan zarzuciły kotwice, wieśniaków, którzy organizowali się do obrony domostw, trafił piorun, a tymczasem małe łódki wciąż dowoziły najeźdźców do brzegu i ziemia stawała w ogniu pod ich stopami. Domonowi wydawało się, że opowiadają jakieś brednie, dopóki nie pokazano mu szerniałej ziemi i to w zbyt wielu wioskach, by dalej wątpić w te opowieści. U boku seanchańskich żołnierzy walczyły monstra, mimo że nie napotykali na poważniejszy opór, twierdzili wieśniacy, a niektórzy nawet upierali się, że sami Seanchanie to też monstra, z głowami, które nadawały im wygląd ogromnych insektów.

W Tanchico nikt przedtem nie wiedział, jak nazywają samych siebie, a Taraboni chętni się, że ich żołnierze przepędzają najeźdźców na morze. Jednakże w każdym miasteczku na wybrzeżu sytuacja była inna. Seanchanie mówili zdumionym ludziom, że muszą na nowo złożyć zapomniane przysięgi, jakkolwiek nie raczyli wyjaśnić, kiedy to o nich zapomnieli albo, jakie jest znaczenie owych przysięg. Młode kobiety, jedne po drugich, zabierano na przesłuchania, a niektóre wsadzano na pokłady statków i wszelki ślad po nich ginał. Zniknęło również kilka starszych kobiet, wśród nich parę Przewodniczek i Uzdrowicielek. Seanchanie wybierali nowych burmistrzów i nowe rady, a każdy, kto powążył się na protest w sprawie znikania kobiet albo niemożności wzięcia udziału w wyborach, mógł być powieszony, stanąć nagle w płomieniach albo zostać zignorowany, niczym

ujadający pies. Nie było jak przewidzieć, co się stanie, dopóki nie okazywało się, że jest za późno.

I gdy ludzie zostali już gruntownie zastraszeni, gdy już wprowadzono im taki zamęt do głów, że nauczyli się klękać i składać przysięgi, okazywać Zwiastunom posłuszeństwo, oczekiwać Powrotu i oddawać własne życie za Tych Którzy Wracają, Seanchanie odpływali, by na ogół już nigdy więcej się nie pojawić. Powiadano, że Falme to jedyne miasto, którego nie wypuścili z rąk.

W niektórych, opuszczonych już przez nich wsiach, mężczyźni i kobiety ukradkiem powracali do swego uprzedniego trybu życia, przebąkując nawet o dokonaniu ponownych wyborów do rad, większość jednak spozierała nerwowo na morze i z pobladłymi licami zarzekała się, że dochowają przysięg, do złożenia których ich zmuszono, nawet jeśli ich nie rozumieją.

Na tyle, na ile da się tego uniknąć, Domon nie miał zamiaru poznawać żadnego Seanchanina.

Właśnie przykładał szkło do oczu, by obejrzeć, co się dzieje na zbliżającym się pokładzie Seanchan, gdy nagle, przy akompaniamencie ogłuszającego ryku, w odległości mniejszej niż sto kroków od bakburty, ponad powierzchnię oceanu wytrysnęła fontanna wody i ognia. Zanim w ogóle zdążył wytrzeszczyć oczy na to zjawisko, taka sama płonąca kolumna wybiła się z morza po drugiej stronie, a gdy odwrócił się, by tam spojrzeć, jeszcze jedna wyskoczyła od przodu. Wybuchy zamierały równie szybko, jak powstawały, wzniesiony przez nie pył wodny opadał na pokład. W miejscach eksplozji morze bulgotało i parowało jak zagotowane.

- Zdążymy... wpłynąć na płytkie wody, zanim zbliżą się do nas - wolno powiedział Yarin. Wyraźnie starał się nie patrzeć na morze, skłębione pod mgielnymi chmurami.

Domon potrzęsnał głową.

- Cokolwiek to było, oni są w stanie roztrzaskać nas na kawałki, nawet gdyby łódź wpłynęła do strefy przyboju. - Zadrżał, gdy skojarzył w myślach płomienie we wnętrzu morskiej fontanny i swoje ładownie, pełne fajerwerków. Fortuno, okalecz mnie, mogliśmy nawet nie dożyć zatonięcia.

Skubnął brodę i potarł wygoloną, górną wargę, ociągając się z wydaniem rozkazu - statek i to, co się na nim znajdowało, było wszystkim, co w ogóle posiadał - aż w końcu zmusił się do mówienia.

- Ustawić łódź pod wiatr i opuścić żagle. Nuże, człowieku, śpiesz się! Nim pomyślą, że nadal próbujemy uciekać!

Marynarze pobiegli opuszczać trójkątne żagle, natomiast Domon obrócił się, by patrzeć na nadpływających Seanchan. "Spray" wytraciła szybkość, teraz podrzucało ją wzburzone morze. Tamten statek był znacznie wyższy niż łódź Domona, przy dziobie i sterach miał wbudowane wieżyczki. Po olinowaniu wspinali się ludzie, podnosili cudaczne żagle, na wieżyczkach stały postacie w zbrojach. Od jednej z burt odbił barkas i mknął teraz w stronę "Spraya", napędzany dziesiątką wiosł. Niósł na swym pokładzie zakute w zbroje sylwetki oraz - Domon uniósł brwi ze zdziwienia dwie kobiety, przycupnięte przy sterze. Barkas uderzył z głośnym łomotem o kadłub "Spraya".

Pierwszy na pokład wspiął się jeden ze zbrojnych, a Domon z miejsca zrozumiał, dlaczego niektórzy wieśniacy twierdzą, że sami Seanchanie są potworami. Hełm przypominał głowę monstrualnego insekta, zdobiące go cienkie czerwone pióra przypominały czułki: wojownik zdawał się patrzeć poprzez szczękę. Dla zwiększenia efektu hełm pomalowano i pozłociono, resztę zbroi również zdobiła farba i złoto. Pierś, powierzchnie dłoni i uda zakrywały zachodzące na siebie, czarne i czerwone płytki ze złotymi brzegami. Nawet stalowe rękawice mieniły się czerwienią i złotem. W miejscach nie zakrytych zbroją widać było ciemną skórę odzienia. Mężczyzna przez plecy miał przewieszony obosieczny miecz o zakrzywionym ostrzu, schowanym do pochwy, rękojeść wykonano z czarno-czerwonej skóry.

Postać w zbroi zdjęła hełm i Domon wybałuszył oczy. Zobaczył kobietę. Ciemne włosy miała krótko przystrzyżone, a twarz surową, lecz nie było wątpliwości, że to kobieta. Nigdy w życiu nie słyszał o czymś takim, jedynie w opowieściach o Aielach, a wszak powszechnie było wiadomo, że Aielowie są szaleni. Równie mocno zbijał z tropu fakt, że jej twarz niczym się nie wyróżniała, choć tego się spodziewał po Seanchanach. Oczy były wprawdzie błękitne, a skóra nadzwyczaj jasna, ale już takie widywał. Gdyby ta kobieta miała na sobie suknię, nikt nie spojrzałby na nią więcej niż raz. Przyjrzał się jej dokładniej i zmienił zdanie, stalowy wzrok i twarda linia policzków wyróżniałyby ją wszędzie.

W ślad za kobietą na pokład weszli pozostali żołnierze. Domon stwierdził z ulgą, gdy niektórzy zdjęli swe dziwaczne hełmy, że przynajmniej oni są mężczyznami, mężczyznami o czarnych albo brązowych oczach, którzy w Tanchico albo Illian przeszliby nie zauważeni. Już zdążyła opaść go wizja armii błękitnookich kobiet uzbrojonych w miecze.

"Aes Sedai z mieczami" - pomyślał, przypomniawszy sobie wybuchające morze.

Kobieta aroganckim spojrzeniem zlustrowała statek, po czym zdecydowała, że kapitanem jest Domon - sądząc po ubraniach, musiał nim być albo on, albo Yarin, a ponieważ Yarin przymknął oczy i niesłyszalnie mamrotał modlitwy, wypadło na Domona - i wbiła w niego wzrok, jakby to był gwóźdź.

- Czy wśród załogi albo pasażerów znajdują się jakieś kobiety? - Mówiąc, miękko połykała niektóre głoski, przez co trudno ją było zrozumieć, jednakże w jej głosie słychać było szorstką nutę, wskazującą, że kobieta przywykła uzyskiwać odpowiedzi na swoje pytania. - Gadaj, człowieku, jeśli to ty jesteś kapitanem. Jak nie, to obudź tamtego durnia i każ mu mówić.

- To ja jestem kapitanem, moja pani - odparł przezornie Domon. Nie miał pojęcia, jak się do niej zwracać, a nie chciał popełnić gafy. - Nie przewożę żadnych pasażerów i nie ma kobiet wśród mojej załogi.

Przypomniały mu się wywiezione dziewczęta i kobiety, nie po raz pierwszy zastanowiło go, czego ci ludzie od nich chcą.

Z barkasa na pokład wspinały się dwie kobiety ubrane jak przystało kobietom, z tym tylko, że jedna wciągała drugą za smycz ze srebrzystego metalu, w co Domon nie mógł prawie uwierzyć. Smycz ciągnęła się od bransolety na dłoni pierwszej do obręczy na szyi drugiej. Domon nie był w stanie stwierdzić, czy smycz została przywiązana, czy też przymocowana na stałe - jakoś wydawało się, że jest tak i tak - lecz wyraźnie stanowiła całość z bransoletą i obręczą. Pierwsza kobieta zwijała smycz w pierścienie w miarę jak druga wchodziła na pokład. Kobieta w obręczy, nosząca proste, ciemnoszare szaty, stanęła ze splecionymi dłońmi, wbijając wzrok w deski pod swymi stopami. Druga ubrana była w niebieską suknię, na piersi i bokach spódnicy, kończącej się tuż nad cholewami wysokich butów, naszyte miała czerwone wstawki z rozszczepionymi, srebrnymi błyskawicami. Domon przypatrywał się kobietom z niepokojem.

- Mów wolniej, człowieku - zażądała niebieskooka kobieta swą niewyraźną mową. Przeszła przez pokład, by stanąć mu twarzą w twarz, wbiła w niego wzrok, z jakiegoś niewiadomego powodu wydawała się wyższa i mocniej zbudowana od niego. - Jeszcze trudniej cię zrozumieć niż innych na tej przeklętej przez Światłość ziemi. Wszak nie twierdzę, że należę do Krwi. Jeszcze nie. Dopiero po *Corenne*... Jestem kapitan Egeanin.

Domon powtórzył raz jeszcze swoje poprzednie słowa, starając się mówić wolno i dodał:

- Jestem spokojnym kupcem, kapitanie. Nie chcę wam zrobić nic złego i nie biorę udziału w waszej wojnie. Nie potrafił się powstrzymać, by znowu nie spojrzeć na dwie kobiety połączone smyczą.

- Spokojny kupiec? - zadumała się Egeanin. W takim razie będzie ci wolno od razu odpłynąć, jak tylko jeszcze raz złożysz hołd. - Zauważyła jego ukradkowe spojrzenia i odwróciła się, by uśmiechnąć się do kobiet z dumą posiadacza. - Podziwiasz moją *damane*? Słono mnie kosztowała, lecz warta każdej monety. Zaledwie kilku wysoko urodzonych posiada *damane*, większość stanowi własność tronu. Ona jest silna, kupcze. Umiałyby rozbić twój statek w drzazgi, gdybym tylko zechciała.

Domon zagapił się jak oniemiały na kobiety i srebrną smycz. Tę w sukni ozdobionej błyskawicami skojarzył z płomienistymi fontannami z morza i założył, że to Aes Sedai. Egeanin wywołała kompletny zamęt w jego głowie.

"Nikt by nie mógł tego zrobić..."

- Czy ona jest Aes Sedai? - spytał z niedowierzaniem.

Nawet nie zauważył zbliżającego się ciosu, który zadany został od niechcenia wierzchem dłoni. Zachwiał się, gdy stalowa rękawica rozcięła mu wargę.

- Tego imienia się nie wymawia - powiedziała Egeanin aksamitnym głosem. - Są tylko *damane*, Wzięte Na Smycz, i teraz służą prawdzie, a także swojemu mianu.

Lód wydawał się ciepły w porównaniu z tymi oczyma.

Domon przełknął krew i nie oderwał dłoni zaciśniętych przy bokach w pięści. Nawet gdyby miał w zasięgu miecz, nie poprowadziłby załogi na rzeź, jednakże zachowanie pokornego tonu kosztowało go nie lada wysiłek.

- Nie chciałem okazać braku szacunku, kapitanie. Nie wiem nic o was ani o waszych obyczajach. Jeśli obraziłem, to z ignorancji, a nie z rozmysłu.

Popatrzyła na niego, po czym odparła:

- Wszyscy jesteście ignorantami, kapitanie, lecz ty splecisz dług swych przodków. Ta ziemia należała do nas i na powrót stanie się nasza. Wraz z Powrotem znowu stanie się nasza.

Domon nie wiedział, co powiedzieć. - "Przecież ona nie może uważać tych bredni o Arturze Hawkwingu za prawdę?" - pomyślał i nie otwierał ust.

- Pożeglujesz do Falme... - Próbował zaprotestować, lecz jej groźne spojrzenie uciszyło go i mówiła dalej - gdzie ty i twoja łódź zostaniecie poddani badaniu. Jeśli nie okażesz się czymś więcej niż spokojnym kupcem, jak twierdzisz, będzie ci wolno odpłynąć własną drogą, gdy już złożysz przysięgę.

- Przysięga, kapitanie? Jaka przysięga?

- Być posłusznym, oczekiwać i służyć. Twoi antenaci winni to byli zapamiętać.

Zabrała swych ludzi - z wyjątkiem jednego człowieka w prostej zbroi, która tak jak i niski ukłon, świadczyła o jego niskiej randze - i barkas odpłynął w stronę większego statku. Pozostawiony Seanchanin nie wydał żadnych rozkazów, tylko usiadł ze skrzyżowanymi nogami na pokładzie i zabrał się za ostrzenie miecza, natomiast załoga wciągnęła żagle i uruchomiła statek. Wydawał się zupełnie nie przestraszony faktem, że został sam, a Domon osobiście wyrzuciłby za burtę każdego członka załogi, który podniósłby na niego rękę, bowiem płynącej wzdłuż linii wybrzeża "Spray" cały czas towarzyszył statek Seanchan, znajdujący się na głębszych wodach. Obydwa statki dzieliła mila, Domon wiedział jednak, że nie ma co liczyć na powodzenie próby ucieczki, postanowił więc, iż przekaże na powrót tego człowieka kapitan Egeanin, całego i zdrowego, niczym niemowlę, które matka tuliła przedtem w ramionach.

Droga do Falme była długa, Domon w końcu namówił Seanchanina, by cośkolwiek powiedział. Ciemnooki mężczyzna w średnim wieku, z jedną zastarzałą blizną nad okiem i drugą, przecinającą szyję, nazywał się Caban i nie żywił nic innego prócz pogardy wobec wszystkich po tej stronie

oceanu Aryth. To wzbudziło chwilowe wątpliwości Domom.

"Może oni naprawdę są... Nie, to istne szaleństwo".

Caban wymawiał słowa równie bełkotliwie jak Egeanin, lecz gdy jej sposób mówienia przywołał na myśl jedwab ześlizgujący się z żelaza, jego podobny był do skóry skrzypiącej na kamieniu, przeważnie chciał opowiadać o bitwach, pijatykach i kobietach, które poznał. Domon nie był do końca przekonany, czy mówi o rzeczach, które zdarzyły się tu i teraz, ani też skąd ten człowiek właściwie pochodzi. Z pewnością nie opowiadał o przyszłych zdarzeniach, na których zależało mu najbardziej.

Domon spytał go raz o *damane*. Caban, siedzący przed sternikiem, wyciągnął w górę rękę i przyłożył czubek miecza do gardła Domona.

- Strzeż się przed tym, czego dotyka twój język, bo inaczej go utracisz. To sprawa Krwi, nie zaś tobie podobnych. Ani mnie.

Po tych słowach wyszczerzył zęby w uśmiechu, a potem ponownie zabrał się za wygładzanie osełką ciężkiego, zakrzywionego ostrza.

Domon dotknął miejsca nad kołnierzem, z którego ciekła krew i postanowił, że o to przynajmniej nie będzie więcej pytał.

Im bliżej było do Falme, tym więcej mijali seanchańskich statków, wysokich i kanciastych, niektóre miały postawione żagle, lecz większość stała na kotwicy. Wszystkie miały zaokrąglone dzioby i były wyposażone w wieże; największe okręty, jakie Domon widział w życiu, nawet w porównaniu ze statkami Ludu Morza. Zauważył kilka miejscowych łodzi, z ostro zakończonymi dziobami i przechylonymi żaglami, pomykały po zielonych grzywaczach. Dzięki temu widokowi nabrał pewności, że Egeanin mówiła prawdę, gdy twierdziła, że puści go wolno.

Gdy "Spray" dopłynęła do cypla, na którym znajdowało się Falme, Domon zagapił się na rzesze seanchańskich statków zakotwiczonych w porcie. Usiłował je policzyć, ale poddał się przy setnym, nie dochodząc nawet do połowy. Widywał już tyle statków zgromadzonych w jednym miejscu - w Illian, Łzie, a nawet w Tanchico - jednakże tam ta liczba obejmowała również mniejsze łodzie. Mrucząc ponuro do siebie, wprowadził "Spray" do portu, niby owcę zaganianą przez ogromnego, seanchańskiego psa pasterskiego.

Falme było położone na cyplu wyrastającym z samego czubka Głowy Tomana, tylko od zachodu nie otaczał je ocean Aryth. Z obu stron, przy ujściu portu, zbiegały się szeregi wysokich klifów, a na szczycie jednego z nich, który musiał minąć każdy statek wpływający do portu, stały wieże Obserwatorów Morskich. Z boku jednej z wież zwisała klatka, siedział w niej jakiś zrezygnowany człowiek, dyndając nogami przewieszonymi przez kraty na zewnątrz.

- Kto to jest? - spytał Domon.

Caban wreszcie przestał ostrzyć miecz, bo Domon zaczął się już zastanawiać, czy on przypadkiem nie chce się nim ogolić. Seanchanin spojrział w kierunku wskazanym przez Domom.

- Och, to jest Pierwszy Obserwator. Oczywiście nie ten, który siedział na tronie, wówczas gdy tu na samym początku przybyliśmy. Kiedy on umiera, wybierają następnego i wtedy wsadzamy go do klatki.

- Ale po co? - dopytywał się Domon.

Szeroki uśmiech odsłonił liczne zęby.

- Wypatrywali niewłaściwej rzeczy i często się zapominali.

Domon oderwał oczy od Seanchanina. "Spray" zsunęła się z ostatnich wzburzonych fal pełnego morza i wpłynęła na spokojniejsze wody portu.

"Ja naprawdę jestem kupcem i to nie mój interes".

Falme rozciągało się od kamiennych nabrzeży przystani, poprzez kotlinę, na dnie której gnieździł się port aż po wzgórze. Domon nie umiał stworzyć sobie obrazu Falme, nie wiedział, czy te domy z ciemnego kamienia tworzą wieś sporej wielkości, czy raczej pomniejsze miasto. Z całą pewnością nie zauważył w nim żadnej budowli, która mogłaby rywalizować z najskromniejszym pałacem w Illian.

Wprowadził "Spray" do jednej z przystani i w trakcie, gdy załoga wiązała cumy, zastanawiał się, czy Seanchanie nie zechcieliby kupić fajerwerków, które ma w ładowni.

"To nie mój interes".

Ku jego zdziwieniu, Egeanin osobiście przywiosłowała do przystani razem ze swoją *damane*. Tym razem bransoletę nosiła inna kobieta, z czerwonymi naszywkami i rozdwojonymi błyskawicami na sukni, natomiast *damane* była ta sama, kobieta o smutnej twarzy, która nie podnosiła wzroku, dopóki ktoś do niej nie przemówił. Egeanin kazała Domonowi i załodze statku zebrać się na przystani i czekać na pomoście pod okiem dwóch żołnierzy - najwyraźniej uznała, że nie potrzeba ich więcej, a Domon nie miał zamiaru się z nią sprzeczać - podczas gdy pozostali żołnierze przeszukiwali pod jej kierunkiem "Spray". Wśród przeszukujących była też *damane*.

Nagle na przystani coś się pojawiło. Domon nie potrafił wymyślić lepszego określenia. Była to zwalista bestia, o skórzastej, szarozielonej skórze i dziobie zamiast ust, wystającym z trójkątnego łba, oraz trojgiem oczu. Sunęła ociężale obok mężczyzny, na zbroi którego namalowanych było troje oczu, takich samych, jak jej ślepia. Miejscowi, dokerzy i żeglarze w prymitywnie haftowanych koszulach i kamizelach sięgających do kolan, umykali w popłochu na widok tej pary, natomiast Seanchanie w ogóle nie zwracali na nich uwagi. Człowiek wydawał się kierować potworem za pomocą sygnałów dawanych ręką.

Mężczyzna i stwór skręcili między budynkami, zostawiając za sobą zagapionego Domona i jego marynarzy, szmerzących między sobą. Dwóch seanchańskich strażników naigrawało się z nich w milczeniu.

"Nie mój interes" - przypomniał sobie Domon. Jego interesem był statek.

W powietrzu unosił się znajomy zapach soli i smoły. Domon siedział na kamieniu rozgrzanym od słońca, wiercił się i zastanawiał się, czego Seanchanie szukają. Czego szuka *damane*. Czym było tanto stworzenie. Nad portem krążyły rozkrzyczane mewy. Zaciekawilo go, jakie dźwięki wydaje z siebie człowiek z klatki.

"Nie mój interes".

W końcu Egeanin przyprowadziła pozostałych do przystani. Niosła coś owiniętego w skrawek żółtego jedwabiu, zauważył przytomnie Domon. Coś tak małego, że dawało się nieść jedną ręką, niemniej ona niosła to ostrożnie obydwojoma.

Podniósł się - powoli, ze względu na żołnierzy, w ich oczach widniała ta sama pogarda, jaką okazywał Caban.

- Widzisz, kapitanie? Naprawdę jestem tylko spokojnym kupcem. Może twoi ludzie raczyliby kupić kilka fajerwerków?

- Być może, kupcze.

Od bijącego od niej tłumionego podniecenia zrobiło mu się nieswojo, a następne słowa jeszcze spotęgowały to uczucie.

- Pójdiesz ze mną.

Nakazała dwóm żołnierzom, by jej towarzyszyli, jeden z nich popchnął Domona, by ruszył z miejsca. Nie było to brutalne pchnięcie, Domon był świadkiem, jak chłopcy w taki sam sposób traktują krowy. Zaciskając zęby, poszedł śladem Egeanin.



Brukowana ulica pięła się w górę zbocza, zostawiając za sobą woń portu. Kryte dachówkami domy robiły się coraz większe i wyższe w miarę, jak ulica wspiwała się po zboczu. Zdziwające, bo miasto w istocie opanowali najeźdźcy, ale po drodze snuło się więcej miejscowych niżli seanchańskich żołnierzy i co jakiś czas mijali osłonięty palankin niesiony przez mężczyzn z obnażonymi torsami. Mieszkańcy Falme krzątali się i zabiegali wokół swoich spraw w taki sposób, jakby Seanchan wcale nie było. Albo prawie wcale. Na widok palankinu czy żołnierza, zarówno biedacy, z zaledwie pojedynczym albo podwójnym wijącym się szlaczkiem zdobiącym brudne ubranie, jak i bogacze, w koszulach, kamizelach i sukniach, pokrytych od ramienia po pas zawiłymi haftami, zginali się w ukłonie i nie prostowali, dopóki Seanchanin nie zniknął z zasięgu wzroku. Tak samo postępowali, gdy mijał ich Domon i jego straż. Ani Egeanin, ani jej żołnierze nie raczyli nawet na nich spojrzeć.

Domon przeżył szok, gdy zauważył, że niektórzy z miejscowych noszą sztylety u pasa, a w kilku przypadkach nawet miecze. Tak go to zadziwiło, że nie myśląc wiele, powiedział:

- Niektórzy przeszli na waszą stronę?

Egeanin obejrzała się na niego ze srogim marsem na czole, najwyraźniej zdumiona. Bez zwalniania kroku popatrzyła na ludzi i przytaknęła.

- Chodzi ci o miecze. To są nasi ludzie teraz, kupcze, złożyli przysięgę. - Znienacka przystanęła, wskazując na wysokiego mężczyznę o zwalistych barkach, w pokrytej gęstym haftem kamizeli i z mieczem kołyszącym się na zwykłym, skórzanym pendencie. - Ty.

Mężczyzna zatrzymał się w pół kroku, z jedną stopą zawisłą w powietrzu. Na jego twarzy pojawił się teraz wyraz przerażenia, choć twarz z natury miała mocne rysy i mężczyzna wyglądał tak, jakby miał chęć rzucić się do ucieczki. Zamiast tego obrócił się w jej stronę i uklonił, z rękoma na kolanach i oczyma wbitymi w jej buty.

- Czymże mogę służyć kapitanowi? - spytał głosem pełnym napięcia.

- Jesteś kupcem? - spytała Egeanin. - Czy złożyłeś przysięgę?

- Tak, kapitanie. Tak. - Nie odrywał wzroku od jej stóp.

- Co mówisz ludziom, gdy wjeżdżasz swymi wozami w głąb lądu?

- Że muszą być posłuszni Zwiastunom, kapitanie, oczekiwać Powrotu i służyć Tym, Którzy Wracają.

- I nigdy ci nie przychodzi do głowy, żeby użyć tego miecza przeciwko nam?

Mężczyzna zacisnął z całych sił ręce na kolanach, aż zbieleły mu od tego kłykcie; zdawał się ociekać potem.

- Złożyłem przysięgę, kapitanie. Jestem posłuszny, oczekuję i służę.

- Widzisz! - powiedziała Egeanin, zwracając się do Domona. - Nie ma powodu, by zabraniać im noszenia broni. Handel jest potrzebny, a kupcy muszą się chronić przed bandytami. Pozwalamy ludziom przyjeżdżać i odjeżdżać wedle woli, pod warunkiem, że są posłuszni, oczekują i służą. Ich przodkowie nie dotrzymali przysięgi, jednakże ci już dostali nauczkę.

Ponownie zaczęła się wspinać po zboczu, żołnierze popchnęli Domona, nakazując, by poszedł w jej ślady.

Domon obejrzał się na kupca. Mężczyzna trwał w miej scu nadal zgięty w ukłonie, dopóki Egeanin nie pokonała dziesięciu kroków w górę ulicy, wtedy wyprostował się i pośpieszył w przeciwną stronę, długimi susami schodząc w dół zbocza.

Egeanin i strażnicy nie obejrzel się również wtedy, gdy minął ich seanchański oddział udający się pod górę. Żołnierze jechali na stworzeniach, które wyglądały jak koty, z tym że były wielkości koni, a ich skóra, nakryta siodłami, marszczyła się jaszczurczą łuską barwy spizu. Obdarzone

pazurami łapy szurały głośno na kamieniach bruku. Trójjaki łeb obrócił się, by spojrzeć na Domona, gdy oddział wymijał ich w drodze na szczyt wzniesienia. Potknął się i omal nie upadł. Wzdłuż całej ulicy widać było mieszkańców Falme, którzy wciskali się w mury budynków, niektórzy zamykali oczy. Seanchanie nie zwracali na nich żadnej uwagi.

Domon rozumiał, dlaczego Seanchanie zezwalają ludziom na tyle wolności. Zastanawiał się, czy jemu starczyłoby odwagi, by stawiać opór. *Damane*. Monstra. Zadał sobie pytanie, czy w ogóle istnieje sposób na zatrzymanie Seanchan w ich marszu do samego grzbietu świata.

"Nie mój interes" - szorstko skarcił się w duchu i jął się głowić nad tym, w jaki sposób zapobiec udziałowi Seanchan w jego przyszłych transakcjach handlowych.

Dotarli na sam szczyt wzniesienia. Tutaj kończyło się miasto, ustępując miejsca wzgórzom. Nie było otoczone żadnymi murami. Dalej pobudowano karczmy udzielające gościny kupcom, którzy handlowali w głębi kraju, a także dziedzińce dla powozów i koni. Zabudowania mogły konkurować z rezydencjami pomniejszych lordów w Illian. Przed największym domostwem wystawiono gwardię honorową złożoną z seanchańskich żołnierzy, a ponad wszystkim powiewał niebieski sztandar ze złotym sokołem rozpościerającym szeroko skrzydła. Egeanin oddała gwardzistom miecz i sztylet, zanim wprowadziła Domona do środka. Obaj jej żołnierze zostali na ulicy. Domon zaczął się pocić. Pachniało mu to wszystko arystokracją, a z arystokratami nigdy nie załatwiała się dobrze interesów na ich własnym terenie.

We frontowym holu Egeanin pozostawiła Domona pod jakimiś drzwiami, a sama wdała się w rozmowę ze służącym, człowiekiem miejscowym, sądząc po obszernych rękawach koszuli i haftowanych spiralach zdobiących pierś. Domonowi wydało się, że posłyszał też słowa „jego lordowska mość”. Służący oddalił się pośpiesznie, ale wnet powrócił, by zaprowadzić ich do największej bez wątpienia izby w całym budynku, z której wyniesiono wszystkie meble, łącznie z dywanami, a kamienną podłogę wypolerowano do lśniącego połysku. Ściany i okna skryte były za parawanami zdobionymi w wizerunki nieznanymi ptaków.

Egeanin zatrzymała się na samym środku izby. Gdy Domon próbował ją wypytać, co to za miejsce i z jakiego powodu się tutaj znaleźli, uciszyła go wściekłym spojrzeniem i nieartykułowanym warknięciem. Nie ruszała się, nie zrobiła najmniejszego kroku, a mimo to zdawało się, że zaraz zacznie podskakiwać na czubkach palców. W dłoniach trzymała jakiś przedmiot zabrany z jego statku. Usiłował się domyślić, co to może być.

Nagle rozległo się ciche brzmienie gongu i Seanchanka padła na kolana, ostrożnie układając obok siebie owinięty w jedwab przedmiot. Pod wpływem jej spojrzenia Domon również ukląkł. Lordowie mają dziwne obyczaje i spodziewał się, że seanchańscy lordowie mają jeszcze dziwniejsze niż te, które były mu w miarę znajome.

W drzwiach po przeciwległej stronie izby stało dwóch mężczyzn. Jeden z nich miał Lewą część głowy wygoloną, a pozostałe jasnozłote włosy zaplecione w warkocz i założone za ucho. Warkocz opadał mu na ramię. Szata o barwie intensywnej żółci była tak długa, że wyzierały spod niej jedynie czubki żółtych kamaszy. Drugi miał na sobie szatę z błękitnego jedwabiu, przybraną brokatowymi ptakami i tak długą, że pięć materii wlokła się w ślad za nim po podłodze. Czaszkę miał całkowicie wygoloną, a paznokcie wyhodowane na długość cala, przy czym te przy palcach wskazujących były polakierowane na niebiesko.

- Znajdujecie się przed obliczem jego lordowskiej mości, Turaka - zaintonował żółtowłosy mężczyzna - który przewodzi Tym Którzy Przybyli Wcześniej i wspomaga Powrót.

Egeanin przypadła plackiem do ziemi, z rękoma przyciśniętymi do boków. Domon skwapliwie poszedł w jej ślady.

"Nawet lordowie Łzy nie wymagają czegoś takiego". Kątem oka spostrzegł, że Egeanin całuje podłogę. Skrzywił się na widok tego i stwierdził, że są granice, do których jest skłonny ją naśladować.

"Zresztą i tak nie widzą, czy ja to robię, czy nie."

Nagle Egeanin wstała. Zaczął się również podnosić i już klęczał na jednym kolanie, gdy warkot z głębi gardła kobiety i zgorszone spojrzenie człowieka z warkoczem kazały mu paść z powrotem twarzą do podłogi.

"Nie robiłbym tego przed Królem Illian i Radą Dziewięciu razem wziętych".

- Nazywasz się Egeanin? - rozległ się głos należący chyba do człowieka w niebieskiej szacie.

W jego bełkotliwej mowie słychać było rodzaj śpiewnego rytmu.

- Tak mnie nazwano w moim dniu miecza, wasza lordowska mość - odparła pokornie.

- To rzadki okaz, Egeanin. Bardzo rzadki. Czy życzysz sobie zapłatę`?

- Zadowolenie jego lordowskiej mości stanowi dostateczną zapłatę. Żyję, by służyć, wielmożny lordzie.

- Wspomnę twe imię cesarzowej, Egeanin. Po Powrocie nowe imiona zostaną powołane do Krwi. Spisuj się należycie, a być może zamienisz imię Egeanin na jakieś szlachetniejsze.

- Jego lordowska mość mnie zaszczyca.

- Tak. Możesz odejść.

Domon nie był w stanie zobaczyć nic więcej oprócz jej butów opuszczających izbę, które co jakiś czas robiły przystanki przeznaczone na ukłon. Drzwi zamknęły się. Zapadła długa cisza. Właśnie wpatrywał się w krople potu spadające mu z czoła na posadzkę, gdy Turak ponownie przemówił.

- Możesz wstać, kupcze.

Domon wstał i zobaczył, co Turak trzyma w palcach obdarzonych długimi paznokciami. Był to krążek *cuendillaru*, z którego wykonano starożytną pieczęć Aes Sedai. Na wspomnienie reakcji Egeanin, gdy wspomniał Aes Sedai, Domon zaczął się pocić na dobre. W ciemnych oczach jego lordowskiej mości nie było gniewu, jedynie lekka ciekawość, jednakże Domon nie ufał lordom.

- Czy wiesz, co to jest, kupcze?

- Nie, jego lordowska mość. - Domon udzielił odpowiedzi niewzruszenie jak skała. Żaden handlarz nie miałby szans na przetrwanie, jeśli nie potrafiłby kłamać absolutnie spokojnym głosem i bez mrugnięcia okiem.

- Ale trzymałeś to w ukryciu.

- Zbieram starocie, jego lordowska mość, od niepamiętnych czasów. Są tacy, którzy takowe kradną, jeśli znajdą się w ich zasięgu.

Turak przez chwilę przypatrywał się biało-czarnemu krążkowi.

- To jest *cuendillar*, kupcze. Czy znane ci to słowo? Jest starszy niż sobie pewnie zdajesz sprawę. Chodź ze mną.

Domon ruszył za nim ostrożnym krokiem, nabierając odrobinę większej pewności siebie. Wszyscy lordowie ze znanych mu krajów już w tym momencie wezwaliby strażę, gdyby powzięli taki zamiar. Ale z kolei to, co zobaczył, przekonało go, że nie postępowali tak samo jak inni ludzie. Zmusił twarz, by znieruchomiała.

Został wprowadzony do innej izby. Przyszło mu na myśl, że stojące w niej meble musiały zostać sprowadzone przez Turaka. Były zaokrąglone, wszystkie wykończenia były w kształcie łuku, bez żadnych prostych linii, a drewno mocno wypolerowano, wydobywając na wierzch dziwaczne słoje. Stało tam tylko jedno krzesło, na jedwabnym dywanie utkany w ptaki i kwiaty, a jedna z większych

komód miała kształt koła. Parawany nadawały ścianom świeży wygląd.

Mężczyzna z warkoczem otworzył drzwiczki w komodzie, odsłaniając półki, na których stała niezwykła kolekcja figurynek, kubków, mis, waz, co najmniej pięćdziesiąt naj~ rozmaitszych przedmiotów, w których żaden nie przypominał drugiego bodaj wielkością albo kształtem. Domonowi oddech uwiązł w gardle, gdy Turak ostrożnie ułożył krążek obok innego, bliźniaczo podobnego.

- *Cuendillar* - powiedział Turak. - To właśnie zbieram, kupcze. Jedyne sama cesarzowa posiada wspanialszą kolekcję.

Domonowi omal oczy nie wyskoczyły z orbit. Jeżeli na tych półkach były same prawdziwe *cuendillary*, to starczyłoby ich do kupna królestwa albo co najmniej założenia wielkiego domu. Nawet król doprowadziłby się do ruiny, gdyby w ogóle wiedział, gdzie szukać tylu egzemplarzy. Zmusił twarz do uśmiechu.

- Proszę, niech jego lordowska mość zechce przyjąć ten egzemplarz jako dar. - Nie chciał go utracić, ale to było lepsze wyjście niż gniew Seanchanina.

"Może Sprzymierzeńcy Ciemności będą teraz jego ścigać".

- Naprawdę jestem tylko prostym kupcem. Chcę zajmować się wyłącznie handlem. Pozwól mi odpłynąć, a obiecuję, że...

Wyraz twarzy Turaka ani na moment nie uległ zmianie, natomiast mężczyzna z warkoczem przerwał Domonowi brutalnymi słowami:

- Nie ogolony psie! Ty mówisz o darowaniu jego lordowskiej mości tego, co kapitan Egeanin już mu dała. Targujesz się, jakby wielmożny lord był jakimś... jakimś handlarzem! Dziesięć dni będą cię obdzierać ze skóry, psie, i...

Nieznaczny ruch palca Turaka kazał mu umilknąć.

- Nie mogę pozwolić, abyś mnie opuścił, kupcze powiedział lord. - W tym ciemnym kraju nie potrafię znaleźć nikogo, kto umiałby rozmawiać z wrażliwym człowiekiem. Ty natomiast jesteś kolekcjonerem. Być może rozmowa z tobą okaże się interesująca.

Przysunął sobie krzesło, zapadając się w nie miękko i przypatrywał się uważnie Domonowi.

Domon przywołał na twarz uśmiech, który miał nadzieję, będzie ujmujący.

- Jego lordowska mość, ja naprawdę jestem prostym kupcem, prostym człowiekiem. Nie umiem rozmawiać z wysoko urodzonymi lordami.

Mężczyzna z warkoczem spiorunował go wzrokiem, lecz Turak zdawał się nie słuchać. Zza parawany przydreptała szybkimi krokami szczupła i piękna młoda kobieta, uklękła obok jego lordowskiej mości i podsunęła mu emaliowaną tacę, na której stała jedna tylko, wąska filiżanka, bez ucha, w której znajdował się jakiś parujący, czarny płyn. Jej śniada, owalna twarz odlegle przypominała twarz Ludu Morza. Turak ujął ostrożnie filiżankę palcami o długich paznokciach, ani razu nie spojrzawszy na kobietę, i wciągnął w nozdrza dobywające się z niej opary. Domon zerknął raz na dziewczynę i natychmiast oderwał oczy ze zduszonym jękiem - miała na sobie suknię z białego jedwabiu, haftowaną w kwiaty, tak jednak przezroczystą, że widział wszystko pod materiałem, a tam nie było nic, oprócz jej smukłych kształtów.

- Aromat *kaf* - oświadczył Turak - jest nieomal równie zachwycający jak smak. No dobrze, kupcze. Wiadomo mi, że *cuendillary* występują tutaj jeszcze rzadziej niż w Seanchan. Powiedz mi, w jaki sposób prosty kupiec wszedł w jego posiadanie.

Upił łyk *kaf* i czekał.

Domon zrobił głęboki wdech i podjął próbę wylgania się i opuszczenia Falme.

# ROZDZIAŁ 7

## DAES DAE'MAR

Rand wyrztał przez okno izby, którą dzielili Hurin i Loial, na równo wytyczone linie i tarasy Cairhien, kamienne budowle i kryte łupkami dachy. Nie widział stamtąd kapituły Iluminatorów - nawet gdyby na drodze nie stały wysokie wieże i domostwa możnych lordów, widok przesłaniałyby miejskie mury. Iluminatorzy byli na językach całego miasta, jeszcze teraz, mimo że upłynęło wiele dni od tamtej nocy, gdy posłali w niebo tylko jeden nocny kwiat i to o wiele za wcześnie. Przekazywano sobie kilkanaście wersji skandalu, nie licząc pomniejszych wariacji, z oczywistych przyczyn żadna jednak nie była bliska prawdzie.

Rand odwrócił się. Miał nadzieję, że nikomu nie stało się nic złego podczas pożaru, natomiast Iluminatorzy jak dotąd nie przyznali się, że u nich się paliło. Na temat tego, co działo się we wnętrzu ich siedziby, w ogóle nie otwierali ust.

- Przejmę wartę, jak tylko wrócę, obiecał Hurinowi.

- Nie ma potrzeby, mój panie. - Hurin skłonił się równie głęboko, jak zwykli się kłaniać Cairhienowie. Mogę trzymać wartę. Mój pan doprawdy nie musi się kłopotać.

Rand zrobił głęboki wdech i wymienił spojrzenia z Loialem. Ogir tylko wzruszył ramionami. Z każdym dniem ich pobytu w Cairhien wężyciel zachowywał się coraz bardziej ceremonialnie - ogir skomentował to oględnie, mówiąc, że ludzie często zachowują się dziwnie.

- Hurin - powiedział Rand - kiedyś nazywałeś mnie lordem Randem i nie kłaniałeś się za każdym razem, gdy na ciebie spojrzałem.

"Żądam od niego, żeby się wyprostował i znowu nazywał mnie lordem Randem. Lord Rand! Światłości, musimy się stąd wydostać, zanim zacznę od niego wymagać, by mi się kłaniał".

- Może byś tak usiadł? Męczę się, jak na ciebie patrzę.

Hurin stał sztywno, wyprostowany, niemniej wyglądał tak, jakby był gotów w podskokach wykonać każde zadanie, o jakie Rand mógłby go poprosić. Ani nie usiadł, ani nie rozluźnił postawy.

- To nie uchodzi, mój panie. Musimy pokazać tym Cairhienom, że potrafimy zachowywać się odpowiednio pod każdym względem...

- Przestań wreszcie tak gadać! - krzyknął Rand.

- Jak sobie życzysz, mój panie.

Rand musiał się bardzo wysilić, żeby nie westchnąć.

- Hurin, przepraszam. Nie powinienem był na ciebie krzyczeć.

- To twoje prawo, mój panie - odparł z prostotą Hurin. - Jeśli ja nie postępuję tak, jak ty chcesz, to masz prawo na mnie krzyczeć.

Rand zrobił krok w stronę wężyciela, mając zamiar chwycić go za kołnierz i potrząsnąć.

Pukanie do drzwi, łączących pokój z izbą Randa, sparaliżowało wszystkich, Rand jednak z zadowoleniem zauważył, że Hurin nie czeka na pozwolenie, czy może chwycić za miecz. Ostrze ze znakiem czapli miał u pasa, idąc do drzwi, dotknął rękojeści. Zaczekał, aż Loial usadowi się na swoim długim łożu, tak układając nogi i poły kaftana, by jeszcze lepiej zamaskować okrytą kocem szkatułę wsuniętą pod łóżko, i dopiero wtedy uchylił drzwi.

Za nimi stał karczmarz, z nadmiaru gorliwości przestępował z nogi na nogę, podsuwał Randowi tacę. Leżały na niej dwa zapieczętowane pergaminy.

- Wybacz mi, mój panie - wydyszał Cuale. - Nie mogłem się doczekać, kiedy zejdziesz na dół, potem okazało się, że nie ma cię w twojej izbie, więc... więc... Wybacz mi, ale... - Potrząsnął tacą.

Rand porwał zaproszenia - tyle ich już dotychczas było - nie patrząc na nie, ujął karczmarza za ramię i obrócił go w stronę drzwi wychodzących na korytarz.

- Dziękuję ci, Cuale, za to żeś zajął się tym kłopotem. Jeśli zechcesz nas teraz zostawić samych, proszę...

- Ależ mój panie - zaprotestował Cuale - to od...

- Dziękuję ci. - Rand wypchnął mężczyznę na korytarz i stanowczym ruchem zamknął drzwi. - Dotychczas tego nie robił, lecz, jak myślisz, Loial, czy on podsłuchiwał za drzwiami, zanim zapukał?

- Zaczynasz już myśleć jak Cairhienowie. - Ogir zaśmiał się, ale z zadumą zastrzygł uszami i dodał: - On jednak jest Cairhieninem, więc rzeczywiście mógł podsłuchiwać. Moim zdaniem nie powiedzieliśmy nic, czego nie powinien być słyszeć.

Rand usiłował sobie przypomnieć. Żaden z nich nie wspomniał Rogu Valere, trolloków albo Sprzymierzeńców Ciemności. Otrząsnął się z rozmyślań na tym, coż takiego Cuale mógł wyczytać z rzeczywistego tematu ich rozmowy.

- To miasto naprawdę działa na człowieka - mruknął do siebie.

- Mój panie? - Hurin trzymał pergaminy i wpatrywał się szerokimi oczyma w pieczęcie. - Mój panie, ten jest od lorda Barthanesa, głowy domu Damodred, a ten od... - ze zgrozą zniżył głos - króla.

Rand zlekceważył je machnięciem ręki.

- I tak powędrują do ognia jak pozostałe. Bez otwierania.

- Ależ mój panie!

- Hurin - powiedział cierpliwie Rand - sam mi tłumaczyłeś, a wraz z tobą Loial, zasady Wielkiej Gry. Jeśli udam się dokądkolwiek, gdzie mnie zapraszają, wówczas Cairhienowie będą się czegoś w tym doczytywali i pomyślą, że należę do czyjegoś spisku. Jeśli nie pójdę, też będą się czegoś dopatrywali. Jeśli wyślę odpowiedź, będą się w tym doszukiwali znaczenia i podobnie, jeśli nie odpowiem. A ponieważ połowa Cairhienów ewidentnie szpieguje drugą połowę, wszyscy tutaj wiedzą, co robię. Spaliłem pierwsze dwa i spalę także te, tak jak wszystkie inne.

Któregoś dnia nadszedł stos liczący aż tuzin pergaminów, wrzucił je do kominka w głównej izbie, bez przełamywania pieczęci.

- Nieważne, co o tym pomyślą, przynajmniej postępuję z wszystkimi jednakowo. Nie popieram nikogo w Cairhien i przeciwko nikomu nie występuję.

- Cały czas próbuję ci powiedzieć - odezwał się Loial - że moim zdaniem to nie działa w taki sposób. Cokolwiek byś zrobił, Cairhienin będzie się w tym dopatrywał jakiejś intrygi. W każdym razie to zawsze powtarzał Starszy Haman.

Hurin podał Randowi zapieczętowane zaproszenia takim gestem, jakby wręczał mu złoto.

- Mój panie, na tym odbito osobistą pieczęć Galldriana. Jego osobistą pieczęć, mój panie. A to jest osobista pieczęć lorda Barthanesa, który zaraz po królu dzierży największą władzę. Mój panie, jak je spalisz, to zyskasz najpotężniejszych wrogów, jakich tylko mógłbyś znaleźć. Dotychczas palenie zaproszeń uchodziło ci na sucho, bo inne rody czekają, by zobaczyć, do czego ty dążysz i myślą, że musisz mieć potężnych sojuszników, skoro ryzykujesz obrażaniem ich. Ale lord Barhanes... i król! Jak ich obrazisz, to z pewnością przystąpią do działania.

Rand przeczesał włosy palcami.

- A jeśli odmówię obydwóm?

- To nie uchodzi, mój panie. Do tej pory zaproszenia przysłały ci wszystkie domy bez wyjątku. Jeśli odrzucisz te, to coż, co najmniej jeden z pozostałych domów uzna, że skoro nie jesteś sprzymierzony z królem albo lordem Barhanesem, wówczas mogą odpowiedzieć na obrazę, jaką było spalenie ich zaproszeń. Mój panie, słyszałem, że obecnie rody w Cairhien zatrudniają zabójców.

Nóż na ulicy. Strzała z dachu. Trucizna w winie.

- Możesz przyjąć obydwu - podpowiedział Loial. - Wiem, że nie chcesz, Rand, ale to może być nawet zabawne. Wieczór na dworze lorda albo nawet w królewskim pałacu. Rand, Shienaranie uwierzyli w ciebie.

Rand skrzywił się. Wiedział, że Shienaranie przez przypadek uznali go za lorda, przypadkowe podobieństwo nazwisk, plotki wśród służby, a wszystko to nakręciły Moiraine i Amyrlin. Ale Selene również uwierzyła.

"Może ona też tam gdzieś będzie".

Jednak Husin gwałtownie potrząsnął głową.

- Budowniczy, nie znasz *Daes Dae'mar* tak dobrze, jak ci się wydaje. Nie wiesz, jak obecnie w nią grają w Cairhien. W większości domów to by nie miało znaczenia. Mimo iż tak spiskują przeciwko sobie, że aż noże są w ruchu, udają, że niczego nie robią tam, gdzie wszyscy mogą zauważyć. Ale nie w przypadku tych dwóch. Dom Damodred dzierżył tron, dopóki Laman go nie utracił i teraz chce go odzyskać. Król by ich zniszczył, gdyby nie byli nieomal równie potężni jak on. Nie znajdziesz zagorzalszych rywali niżli dom Riatin i dom Damodred. Jeśli mój pan przyjmie oba zaproszenia, obydwu domy będą o tym wiedziały natychmiast po tym, jak wyśle odpowiedzi, i w obu pomyślą, że on należy do spisku, jaki knuje druga strona. Użyją noża i trucizny równie szybko, jak spojrzą na ciebie.

- I jak sądzę - warknął Rand - wystarczy, że przyjmę tylko jedno zaproszenie, drugi dom uzna, że jestem sprzymierzony z tym pierwszym.

Hurin przytaknął.

- I pewnie będą usiłowali mnie zabić, żeby udaremnić cokolwiek, w co jestem zamieszany.

Hurin ponownie przytaknął.

- Czy w takim razie masz jakieś pomysły, jak mam nie dopuścić, by którykolwiek z tych domów chciał zobaczyć mego trupa?

Hurin potrząsnął głową.

- Bardzo żałuję, że spaliłem te dwa pierwsze.

- Tak, mój panie. Zgaduję jednak, że to by nie sprawiło większej różnicy. Czyjego byś zaproszenia nie przyjął albo odrzucił, Cairhienanie czegoś by się w tym dopatrywali.

Rand wyciągnął dłoń, a Hurin ułożył na niej dwa zwoje pergaminu. Pierwszy był opieczętowany, nie drzewem i koroną domu Damodred, lecz szarżującym dzikiem Barthanesa. Na drugim widniał jelen Galldriana. Najwyraźniej przez to, że nic nie robił, udało mu się wzbudzić zainteresowanie w najwyższych kręgach.

- Ci ludzie są szaleni - powiedział, starając się wymyślić jakieś wyjście z sytuacji.

- Tak, mój panie.

- Pozwolę, żeby mnie z nimi zobaczyli w głównej izbie - powiedział wolno. Wszystko, co ktoś z głównej izby zauważył w południe, docierało do dziesięciu rodów jeszcze przed zmrokiem, a do pozostałych przed następującym po nim świtem. - Nie będę przełamывał pieczęci. Dzięki temu dowiedzą się, że jeszcze nie odpowiedziałem na żadne z nich. Podczas gdy oni zaczają się, by zobaczyć, w którą stronę skoczę, ja może zarobię kilka dni. Ingtar musi już niebawem nadciągnąć. Musi.

- Teraz to jest myślenie godne Cairhienina, mój panie - zauważył Hurin, uśmiechając się szeroko.

Rand obdarzył go srogim spojrzeniem, po czym wepchnął pergaminy do kieszeni, dokładając je do listów od Selene.

- Chodźmy, Loial. Może Ingтар już przyjechał.

Gdy razem z Loialem weszli do głównej izby, nikt ze znajdujących się w niej kobiet i mężczyzn nie spojrział na Randa. Cuale polerował srebrną tacę, jakby od jej połysku zależało jego życie. Usługujące dziewczęta pomykały między stołami, jakby Rand i Loial w ogóle nie istnieli. Wszyscy goście przy stołach co do jednego, wpatrywali się w swoje kielichy, jakby wino czy piwo, mieściły wszystkie tajniki władzy. Nikt nie odezwał się do nich ani słowem.

Po jakiejś chwili wyciągnął z kieszeni zaproszenia i przypatrzył się pieczęciom, po czym schował je z powrotem. Cuale podskoczył nieznacznie, gdy Rand skierował się do drzwi. Zanim zamknął je za sobą, usłyszał, jak na nowo ożywają rozmowy.

Kroczył ulicą tak szybko, że Loial nie musiał skracać swoich kroków, by iść równo z nim.

- Musimy znaleźć sposób na wydostanie się z miasta, Loial. Ta sztuczka z zaproszeniami nie będzie działała dłużej niż dwa albo trzy dni. Jeśli Ingтар nie przybędzie do tego czasu, będziemy musieli i tak wyjechać.

- Zgoda - odparł Loial.

- Ale jak?

Loial zaczął wyginać czubki grubych palców.

- Gdzieś tutaj jest Fain, bo inaczej na Podgrodziu nie byłoby trolloków. Jeśli wyjedziemy, napadną na nas, gdy tylko znikniemy z oczu strażom miejskim. Jeśli będziemy podróżowali z jakąś karawaną kupiecką, na pewno na nią napadną. Żaden kupiec nie najmuje więcej jak pięciu albo sześciu strażników, a ci prawdopodobnie uciekną na widok trolloka. Gdybyśmy chociaż wiedzieli, ile trolloków i ilu Sprzymierzeńców Ciemności ma Fain. Przerzedziłeś jego zastęp.

Nie wspominał trolloka, którego sam zabił, lecz sądząc po marsie na czole i sposobie, w jaki długie brwi obwisły mu na policzki, nie mógł o nim zapomnieć.

- Nieważne, ilu ich ma - powiedział Rand. - Dziesięć to liczba równie fatalna jak sto. Jeśli zaatakuje nas dziesięć trolloków, to chyba tym razem już nam się nie upiecze.

Nie chciał się zastanawiać nad sposobem, w który być może mógłby poradzić sobie z dziesięcioma trollokami. Ostatecznie to wcale nie wyszło, kiedy próbował przyjść z pomocą Loialowi.

- Też myślę, że się nam nie uda. Wydaje mi się, że brak nam pieniędzy, by zajechać dość daleko, ale nawet gdybyśmy usiłowali dotrzeć do doków podgrodzia... cóż, Fain na pewno kazał Sprzymierzeńcom je obserwować. Gdyby mu wpadło do głowy, że wsiądziemy na jakiś statek... nie sądzę, by się przejmował, czy ktoś zobaczy trolloki. Nawet gdyby udało nam się im jakoś wyrwać, musielibyśmy się wytłumaczyć strażom miejskim, a oni by z pewnością nie uwierzyli, że nie możemy otworzyć szkatuły, więc...

- Nie pozwolimy, by jakiś Cairhienanin zobaczył szkatułę, Loial.

Ogir przytaknął.

- A miejskie doki to też nie jest najlepszy pomysł.

Miejskie doki były zarezerwowane dla barek z ziarnem i statków wycieczkowych należących do arystokracji. Nikt do nich nie wchodził bez zezwolenia. Można było na nie popatrzeć z muru, lecz groziło to upadkiem z tak wysoka, że nawet Loial mógłby skrócić sobie przy tym kark. Ogir wykręcił kciuk, jakby próbował przemyśleć również tę kwestię.

- Moim zdaniem to fatalne, że nie możemy dotrzeć do Stedding Tsofu. Trolloki nigdy by nie weszły na teren *stedding*. Ale nie sądzę, by pozwoliły nam zajechać tak daleko, nie atakując przedtem.

Rand nie odpowiedział. Dotarli do wielkiej wartowni znajdującej się we wnętrzu bramy, przez



którą za pierwszym razem wjechali do Cairhien. Na zewnątrz tętniło i wrzało podgrodzie, przy bramie stało dwóch strażników. Randowi wydało się, iż zauważył człowieka ubranego w shienarańskie, niegdyś przyzwoite, rzeczy, który na jego widok umknął z powrotem w tłum, ale nie mógł być tego pewien. Zbyt wielu tam było ludzi ubranych w stroje ze zbyt wielu krajów, wszyscy ogarnięci pośpiechem. Wszedł po stopniach do wartowni, mijając stojących przy drzwiach strażników w napierśnikach.

W przestronnej poczekalni znajdowały się twarde, drewniane ławy przeznaczone dla interesantów, przeważnie prostych ludzi, czekających z pokorną cierpliwością, ubranych w niewyszukane, ciemne stroje, które wyróżniały ich jako uboższych przedstawicieli gminu. Było wśród nich paru mieszkańców podgrodzia, rzucających się w oczy łachmanami w jaskrawych barwach; bez wątplenia liczyli na to, że otrzymają zezwolenie na szukanie pracy w obrębie murów.

Rand podszedł prosto do długiego stołu stojącego w tyle izby. Siedział za nim tylko jeden człowiek, nie żołnierz, na piersi miał pojedynczą, zieloną pręgę. Zażywny jegomość, którego skóra wyglądała, jakby była na niego za ciasna, poprawił dokumenty leżące na stole i dwukrotnie przestawił kałamarz, zanim podniósł wzrok na Randa i Loiala, uśmiechając się przy tym fałszywie.

- Jak mogę ci pomóc, mój panie?

- W taki sam sposób, w jaki liczyłem, że mi pomożesz wczoraj - powiedział Rand z większą niż czuł cierpliwością - a także przedwczoraj i jeszcze poprzedniego dnia. Czy lord Ingtar przybył?

- Lord Ingtar, mój panie?

Rand wciągnął powietrze do płuc i wolno je wypuścił.

- Lord Ingtar z rodu Shinowa, z Shienaru. Ten sam człowiek, o którego codziennie pytam, odkąd tu przybyłem.

- Nikt o tym imieniu nie wjechał do miasta, mój panie.

- Jesteś pewien? Czy przynajmniej nie powinieneś spojrzeć na wasze spisy?

- Mój panie, spisy cudzoziemców, którzy przybywają do Cairhien, wymieniane są między wartowniami o wschodzie i zachodzie słońca, a ja studiuję je natychmiast, jak do mnie dotrą. Od jakiegoś czasu żaden shienarański lord nie zawitał do Cairhien.

- A lady Selene? Zanim znowu usłyszę to pytanie, odpowiem, że nie znam nazwy jej domu. Jednakże podawałem ci jej imię i opisywałem ją już trzykrotnie. Czy to nie wystarczy?

Mężczyzna rozłożył ręce.

- Przykro mi, mój panie. Przez to, że nie znam nazwy jej domu, sprawa jest wielce utrudniona.

Na jego twarzy malował się drwiący wyraz. Rand wątpił, by ten człowiek coś zdradził, nawet gdyby wiedział.

Oko Randa przykuł ruch przy jednych z drzwi za stołem - jakiś mężczyzna zamierzał wejść do poczekalni, po czym nagle pośpiesznie zrejterował.

- Może kapitan Caldevwin będzie mógł mi pomóc powiedział urzędnikowi Rand.

- Kapitan Caldevwin, mój panie?

- Właśnie go spostrzegłem za tobą.

- Przykro mi, mój panie. Gdyby kapitan Caldevwin gościł w wartowni, wiedziałbym o tym.

Rand gapił się na niego tak długo, aż w końcu Loial dotknął jego ramienia.

- Rand, chyba już stąd pójdziemy.

- Dziękuję za pomoc - powiedział Rand ściśniętym głosem. - Przyjdę tu znowu jutro.

- To dla mnie przyjemność wywiązywać się ze swych obowiązków - odparł mężczyzna z fałszywym uśmiechem.

Rand wypadł z wartowni tak szybko, że Loial musiał biec, aby go dogonić na ulicy.

- On kłamał, wiesz przecież, Loial. - Nie zwolnił, ale wręcz przyspieszył, jakby za pomocą fizycznego wysiłku mógł uwolnić się choć częściowo od swojej frustracji. Caldevwin tam był. On być może kłamie cały czas w związku z tą sprawą. Ingтар mógł tu być i nas szukać. Założę się również, że on wie, kim jest Selene.

- Być może, Rand. *Daes Dae'mar*...

- Światłości, już nie mam siły słuchać o Wielkiej Grze. Nie chcę się w nią bawić. Nie chcę brać w niej udziału.

Loial szedł obok niego, nic nie mówiąc.

- Wiem - powiedział wreszcie Rand. - Im się wydaje, że ja jestem lordem, a w Cairhien nawet cudzoziemscy lordowie stają się częścią gry. Żałuję, że w ogóle ubrałem się w ten kaftan.

"Moiraine - pomyślał z goryczą. - Przez nią wciąż wpadam w opały".

Jednakże nieomal natychmiast przyznał, że prawie nie można jej za to winić. Zawsze istniały powody do udawania, że jest się tym, kim się nie jest. Najpierw podtrzymanie na duchu Hurina, potem próba zrobienia wrażenia na Selene. Po Selene zaś wydawało się, że nie ma już odwrotu. Zwolnił kroku, a w końcu przystanął.

- Kiedy Moiraine pozwoliła mi odejść, myślałem, że wszystko znowu stanie się proste. Nawet mimo tego pościgu za Rogiem, nawet... mimo wszystkiego. Myślałem, że stanie się proste.

"Mimo *saidina* w twojej głowie?"

- Światłości, czego ja bym nie oddał, żeby wszystko na powrót stało się proste.

- *Ta'veren* - zaczął Loial.

- O tym też nie mam chęci słuchać. - Rand ruszył z miejsca równie szybko jak przedtem. - Ja chcę tylko oddać Matowi sztylet, a Ingтарowi Róg.

"A potem co? Popaść w obłąd? Umrzeć? Jeśli umrę wcześniej niż popadnę w obłąd, to przynajmniej nie zrobię nikomu nic złego. Ale ja wcale też nie chcę umierać. Lan może sobie gadać o chowaniu miecza, ale ja jestem pasterzem, nie strażnikiem."

- Gdybym go po prostu nie dotykał - mruknął to może bym mógł... Owynowi prawie się udało.

- Co, Rand? Nie dosłyszałem.

- Nic takiego - odparł Rand znużonym głosem. Chciałbym, żeby Ingтар już tu przyjechał. A także Mat i Perrin.

Przez jakiś czas wędrowali obok siebie w milczeniu, Rand pogrążony w myślach. Siostrzeńcowi Thoma udało się przeżyć prawie trzy lata dzięki temu, że przenosił Moc tylko wtedy, gdy myślał, że musi. Skoro Owynowi udało się ograniczyć sytuacje, podczas których przenosił, wówczas musiała istnieć możliwość, że nie będzie się w ogóle przenosiło, choćby nie wiadomo jak uwodzicielski był *saidin*.

- Rand - odezwał się Loial. - Przed nami pożar.

Rand wyzbył się niepożądanych myśli i spojrzał na miasto, marszcząc czoło. Ponad dachami domów unosiła się gruba kolumna czarnego, kłębiącego się dymu. Nie mógł dojrzeć, co jest jej źródłem, lecz była stanowczo za blisko karczmy.

- Sprzymierzeńcy Ciemności - powiedział, wpatrując się w dym. - Trolloki nie mogą się przedrzeć przez mury niezauważenie, ale Sprzymierzeńcy... Hurin!

Poderwał się do biegu, Loial bez trudu dotrzymał tempa.

Im bardziej się zbliżali, tym bardziej rosła pewność, aż w końcu pokonali ostatni próg kamiennego tarasu i oto ich oczom ukazał się "Obrońca Muru Smoka", z górnych okien wylewał się dym, dach przebijały płomienie. Przed karczmą zgromadził się tłum. Cwale, krzycząc i skacząc we wszystkie strony, kierował ludźmi, którzy wynosili na zewnątrz sprzęty. Podwójny szereg podawał

do wnętrza wiadra napełnione wodą z ulicznej studni i odbierał puste. Większość ludzi jednak stała i gapiła się, a gdy przez kryty dachówkami dach wytrysnęła nowa plama ognia, głośno zawołali "Aaach!"

Rand przepchnął się przez tłum w stronę karczmarza.

- Gdzie jest Hurin?

- Ostrożnie z tym stołem! - krzyknął karczmarz. Nie porysujcie go! - Spojrzał na Randa i zamrugał. Miał twarz usmoloną dymem. - Mój pan? Kto? Sługa mojego pana? Nie pamiętam, bym go widział. Wyszedł bez wątpienia. Nie upuść tych lichtarzy, durniu! Są ze srebra!

Cwale okręcił się na pięcie, by głosić dalsze oracje ludziom wynoszącym jego dobytek z karczmy.

- Hurin nie mógł wyjść - powiedział Loial. - Nie zostawiłby...

Rozejrzał się dookoła i pozostawił to zdanie nie dokończone. Niektórzy z gapiów wyraźnie uznali ogira za widok równie interesujący jak pożar.

- Wiem - odparł Rand i zanurkował do wnętrza karczmy.

W głównej izbie ledwie było widać, że budynek płonie. Podwójny rząd mężczyzn ciągnął się w górę schodów, podawali wiadra, inni wdrapywali się na piętro, by wynosić pozostałe meble, lecz tu na dole dymu było tylko tyle, jakby w kuchni coś się przypalało. Gdy Rand dopadł do schodów, tam okazał się gęstszy. Wbiegł na górę, zanosząc się kaszlem.

Szereg kończył się tuż przed podestem piętra, ludzie chlustali z rozmachem wodę do wypełnionego dymem korytarza, stojąc w połowie schodów. Płomienie liżące ściany migotały czerwienią poprzez czerń dymu.

Jeden z mężczyzn chwycił Randa za ramię.

- Nie możesz tam wejść, mój panie. Tam już prawie wszystko przepadło. Ogirze, przemów do niego.

Rand dopiero teraz zauważył, że Loial mu towarzyszy.

- Wracaj, Loial. Ja go wyprowadzę.

- Nie dasz rady ponieść jednocześnie Hurina i szkatuły, Rand. - Ogir wzruszył ramionami. - A poza tym nie zostawię moich książek na pastwę płomieni.

- No to pochyl się. Pod dymem. - Rand opuścił się na ręce i kolana, zaczął wdrapywać na samą górę.

Tuż nad podłogą powietrze było czystsze, ale zawierało tyle dymu, że przypawiło go o kaszel, choć ostatecznie jakoś nadawało się do oddychania. Niemniej wydawało się tak gorące, jakby miało parzyć. Nie mógł wciągnąć go przez nos w dostatecznych ilościach. Oddychając przez usta czuł, jak wysycha mu język.

Oblał go strumień wody chlustanej przez mężczyzn, przemaczając do suchej nitki. Chłód przyniósł ulgę jedynie chwilową, żar natychmiast powrócił. Pełził dalej z determinacją, wiedział o obecności Loiala za swymi plecami tylko dzięki temu, że ogir kaszlał.

Jedna ze ścian w korytarzu przemieniła się w lity ogień, z podłogi tuż pod nią zaczęły się już wydobywać cienkie smużki, przyłączające się do chmury, która wisiała nad głową. Był zadowolony, że nie widzi, co się dzieje nad nią. Wystarczyły złowieszcze trzaski.

Drzwi do izby Hurina jeszcze nie zaczęły płonąć, ale były już tak rozgrzane, że musiał dwukrotnie próbować, zanim zdołał je otworzyć. Pierwszą rzeczą, na jaką padło jego oko, było ciało Hurina, rozciągnięte na podłodze. Rand podpełził do wężyciela i uniósł go. Na skroni miał guza wielkości śliwki.

Hurin otworzył zmętniałe oczy.

- Lord Rand? - wymamrotał niewyraźnie. - ...pukanie do drzwi... myślałem, że to następne zapro...

Oczy zapadły mu się w głąb czaszki. Rand zaczął nasłuchiwać bicia serca i odetchnął z ulgą, gdy znalazł tętno.

- Rand... - wykaszłał Loial. Klęczał przy łóżku, odrzucona narzuta ukazywała pod spodem gołe deski. Szkatuła zniknęła.

Ponad chmurą dymu sufit zatrzeszczał, a na podłogę sypnęło płonącymi kawałkami drewna.

- Bierz swoje książki - powiedział Rand. - Ja poniosę Hurina. Spiesz się!

Zaczął już przewieszać bezwładnego wężyciela przez ramię, ale Loial odebrał od niego Hurina.

- Książki będą musiały spłonąć, Rand. Nie możesz go nieść i jednocześnie się czołgać, a jeśli się wyprostujesz, to nigdy nie dotrzesz do schodów. - Ogir wciągnął Hurina na swój szeroki grzbiet, ramiona i nogi wężyciela wisiały luźno z obu stron. Sufit głośno zatrzeszczał. - Musimy się śpieszyć, Rand.

- Idź, Loial. Idź, ja pójdę za tobą.

Ogir wypełził na korytarz ze swoim ciężarem, Rand ruszył za nim. Po chwili zatrzymał się, oglądając na drzwi łączące z jego izbą. Sztandar wciąż tam był. Sztandar Smoka.

"Niech się spali - pomyślał i w odpowiedzi przyszły mu do głowy słowa, jakie mogłaby wypowiedzieć Moiraine. - Twoje życie może zależeć od niego. Ona próbuje mnie wykorzystać. Twoje życie może od niego zależeć. Aes Sedai nigdy nie kłamia".

Jęknąwszy pod brzemieniem niesprawiedliwości, przeturlał się po podłodze i kopniakiem otworzył drzwi do swojej izby.

Za nimi pulsowała ściana ognia. Łóżko przypominało ognisko, podłogę oplatały już czerwone macki. Nie można było pełznąć. Wstał i skulony wbiegł do środka, cofając się przed żarem, kaszłąc i dławiąc się. Z wilgotnego kaftana unosiła się para. Jedno skrzydło szafy już płonęło. Gwałtownym ruchem otworzył drzwi. W środku znajdowała się sakwa, pozostając jeszcze poza zasięgiem ognia, jej bok wyrzuszał sztandar Lewsa Therina Telamona, obok leżał futerał z fletem. Wahał się chwilę.

"Jeszcze mogę pozwolić, by spłonął".

Sufit ponad jego głową stęknął. Chwycił sakwę, futerał i rzucił się z powrotem do drzwi, lądując na kolanach, gdy tymczasem, na miejsce gdzie przed chwilą stał, runęły z trzaskiem płonące deski. Wlokąc za sobą ciężar, wypełził na korytarz. Podłoga trzęsła się od łoskotu kolejnych padających belek.

Gdy dotarł do schodów, ludzi z wiadrami już tam nie zastał. Zsunął się do następnego podestu, poderwał na nogi i minąwszy opustoszały budynek, wypadł na ulicę. Gapie wbili w niego zdumiony wzrok, na jego uczernioną twarz i powalany sadzą kaftan, on zaś chwiejnym krokiem przebiegł na drugą stronę ulicy, gdzie Loial oparł Hurina o mur. Jakaś kobieta z tłumu wycierała Hurinowi twarz ścierką, nadal miał zamknięte oczy, oddech dobywał urywanie.

- Czy w sąsiedztwie mieszka jakaś Wiedząca? spytał Rand podniesionym głosem. - On potrzebuje pomocy.

Kobieta spojrzała na niego tępo, więc usiłował sobie przypomnieć inne określenia, jakie ludzie nadawali kobietom, które w Dwu Rzekach nazywano Wiedzącymi.

- Mądra Kobieta? Kobieta, którą nazywacie Matką Jakaś-tam? Kobieta, która zna się na ziołach i uzdrawianiu.

- Ja jestem Wieszczką, jeśli to o nią ci chodzi - odparła kobieta - ale jedyne, co mogę dla niego zrobić, to sprawić, by nie cierpiał. Obawiam się, że coś mu pękło w głowie.

- Rand! To ty!

Rand wytrzeszczył oczy. To był Mat, wiódł swego konia przez tłum, łuk miał przewieszony przez plecy. Mat, o bladej i ściągniętej twarzy, lecz nadal ten sam Mat, uśmiechnięty, nawet jeśli słabo. A w ślad za nim szedł Perrin, jego żółte oczy połyskiwały na tle ognia, przyciągając tyleż samo spojrzeń co łuna pożaru. I Ingtar, obok swego konia, w kaftanie z szerokim kołnierzem zamiast zbroi, lecz ponad ramieniem nadal wystawała mu rękojeść miecza.

Rand poczuł, jak przeszywa go dreszcz.

- Za późno - powiedział. - Przyjechaliście za późno.

Usiadł na środku ulicy i zaczął się śmiać.

# ROZDZIAŁ 8

## PO ZAPACHU

Rand nie wiedział, że obok jest Verin, dopóki Aes Sedai nie ujęła jego twarzy w dłonie. Przez chwilę widział w jej oczach niepokój, może nawet strach, a potem poczuł zniechęcenie, jakby go oblano zimną wodą, nie wilgoć, ale szczypanie. Wzdrygnął się raz gwałtownie i przestał się śmiać, a Verin zostawiła go, by przykucnąć przy Hurmie. Wieszcza przypatrywała się jej uważnie. Podobnie Rand.

"Co ona tu robi? Jakbym nie wiedział".

- Dokąd ty pojechałeś? - spytał ochryple Mat. Całkiem zniknąłeś, a teraz znalazłeś się w Cairhien wcześniej niż my. Loial?

Ogir niepewnie wzruszył ramionami i potoczył wzrokiem po tłumie, strzygąc uszami. Połowa ludzi odwróciła się plecami do ognia, by przypatrywać się nowo przybyłym. Kilku przysunęło się bliżej, żeby podsłuchiwać.

Rand pozwolił Perrinowi podnieść swoją rękę.

- Jak znaleźliście karcznię? - Zerknął na Verin, klęcząca, trzymając dłonie na głowie wędziela. - Ona?

- W pewien sposób - odparł Perrin. - Strażnicy przy bramie chcieli znać nasze nazwiska i jakiś człowiek, który właśnie wychodził z wartowni, podskoczył, gdy usłyszał imię Ingara. Twierdził, że go nie zna, ale miał na twarzy uśmiech, który krzychał "kłamstwo" na całą milę.

- Chyba znam tego, o którym mówisz - powiedział Rand. - On się tak cały czas uśmiecha.

- Verin pokazała mu swój pierścień - wtrącił Mat - i szepnęła coś do ucha.

Wyglądał i mówił tak, jakby był chory, twarz miał zaczerwienioną i ściągniętą, ale zdobył się na uśmiech. Rand nigdy przedtem nie dostrzegał tak wyraźnie jego kości policzkowych.

- Nie dosłyszałem, co powiedziała, ale nie wiedziałem, czy najpierw oczy wyjdą mu z orbit, czy też udławi się własnym językiem. Zupełnie zniechęca zaczął wylazić ze skóry, tak bardzo chciał coś dla nas zrobić. Powiedział nam, że na nas czekasz, a także dokładnie gdzie się zatrzymałeś. Zaproponował, że osobiście nas zaprowadzi, ale jak Verin mu odmówiła, wyraźnie odetchnął z ulgą.

- Parsknął. Lord Rand z domu al'Thor.

- To za długa historia, żeby teraz wyjaśniać - powiedział Rand. - Gdzie jest Uno i reszta? Będą nam potrzebni.

- Na podgrodziu. - Mat zmarszczył czoło i mówił dalej wolno: - Uno oświadczył, że wolał zostać tam, niż wejść do miasta. Z tego co widzę, wolałbym być z nimi. Rand, do czego będzie nam potrzebny Uno? Czy ty ich... znalazłeś?

Rand uświadomił sobie raptem, że tej właśnie chwili dotychczas unikał. Zrobił głęboki wdech i spojrzał przyjacielowi w oczy.

- Mat, ja miałem sztylet i go straciłem: Sprzymierzeńcy Ciemności mi go odebrali.

Usłyszał, jak podsłuchującym ich Cairhienom głośno zapiera dech, ale nie dbał o to. Mogli się bawić w tę swoją Wielką Grę, jeśli chcieli, ale pojawił się już Ingar i on z tym nareszcie mógł skończyć.

- Ale nie mogli uciec daleko.

Ingar milczał do tej pory, lecz w tym momencie zrobił krok do przodu i silnie ścisnął Randa za ramię.

- Miałeś go? A... - Rozejrzał się po tłumie gapiów - ...co z tą drugą rzeczą?

- Też mi ją odebrali - cicho powiedział Rand.

Ingтар uderzył pięścią w dłoń i odwrócił się. Na widok wyrazu jego twarzy niektórzy Cairhienowie cofnęli się.

Mat zagryzł wargę, po czym potrząsnął głową.

- Nie wiedziałem, że został odnaleziony, więc to wcale tak nie jest, jakbym go na nowo utracił. Ciągłe jest utracony. - Było oczywiste, że mówi o sztylcie a nie o Rogu Valere. - Znajdziemy go znowu. Mamy teraz dwóch wężycieli. Perrin jest jednym. Doszedł po tropie aż do samego podgrodzia, po tym jak zniknąłeś razem z Hurmem i Loialem. Myślałem, że pewnie uciekłeś... no cóż, wiesz, o czym mówię. Dokąd ty pojechałeś? Nadal nie pojmuję, jak wam się udało tak nas wyprzedzić. Tamten człowiek twierdził, że jesteście tu od wielu dni.

Rand zerknął na Perrina - "On wężycielem?" i stwierdził, że Perrin również mu się przypatruje. Wydało mu się, że przyjaciel coś mruknął.

"Zabójca Cienia? Chyba się przesłyszałem".

Spojrzenie żółtych oczu Perrina więziło go przez chwilę, wydając się kryć jakieś tajemne myśli. Tłumacząc sobie, że coś mu się przywiduje - "Nie oszalałem. Jeszcze nie". oderwał wzrok.

Verin właśnie pomagała trzęsącemu się nadal Hurinowi wstać na nogi.

- Czuję się jak gęsie pióra - powiedział. - Ciągłe jeszcze zmęczony, ale... - Zawiesił głos, jakby dopiero teraz ją zobaczył, jakby wreszcie uświadomił sobie, co się właściwie stało.

- Zmęczenie będzie się utrzymywało przez kilka godzin - wytłumaczyła mu. - Ciało musi się wytężyć, żeby szybko ozdrowieć.

Cairhieńska wieszczka wyprostowała się. -

Aes Sedai? - powiedziała cicho.

Verin nachyliła głowę i wieszczka dygnęła głęboko.

Równie cicho, jak tamte, słowa "Aes Sedai" przebiegły przez tłum, tonami głoszącymi wszystko, począwszy od grozy, przez strach, po nienawiść. Wszyscy teraz patrzyli nawet Cuale nie zwracał już uwagi na płonąca karczmę a Rand pomyślał, że bynajmniej nie zawadziłoby zachowanie odrobiny ostrożności.

- Czy wynajęliście już pokoje? - spytał. - Musimy porozmawiać, a tutaj zrobić tego nie możemy.

- Dobry pomysł - odparła Verin. - Ostatnim razem zatrzymałam się w "Wielkim Drzewie".

Pojedziemy tam.

Loial poszedł po konie - dach karczmy zapadł się do tego czasu całkowicie, lecz stajnie pozostały nietknięte i wkrótce pokonywali już ulice, wszyscy konno z wyjątkiem Loiala, który twierdził, że zdążył na powrót przywyknąć do poruszania się o własnych nogach. Perrin trzymał powróż jednego z jucnych koni, które sprowadzili z południa.

- Hurin - powiedział Rand - jak szybko będziesz w stanie odnaleźć ponownie ich trop? Czy dasz radę za nim iść? Ludzie, którzy cię uderzyli i podłożyli ogień, zostawili trop, prawda?

- Już teraz mogę za nim iść, mój panie. I czułem ich na ulicy. Ale długo się nie utrzyma. Nie było z nimi trolloków i nikogo też nie zabili. To tylko ludzie, mój panie. Sprzymierzeńcy Ciemności, jak mi się zdaje, ale człowiek nie zawsze może być tego pewien po samym zapachu. Dzień może, zanim się rozwieje.

- Nie sądzę, że potrafią otworzyć szkatułę, Rand odezwał się Loial - bo inaczej zabraliby sam Róg. Łatwiej byłoby go nieść.

Rand przytaknął.

- Musieli załadować ją na jakiś wóz albo na konia. Jak już wyjadą z podgrodzia, to bez wątpienia połączą się na powrót z trollokami. Dasz radę iść za tropem, Hurin.

- Dam, mój panie.

- Potem będziesz odpoczywał tak długo, aż nie odzyskasz krzepy - obiecał mu Rand.

Po wężycielu było widać, że już odzyskał część sił, odjechał jednak zgarbiony, twarz miał zmęczoną.

- Wyprzedzą nas co najwyżej o kilka godzin. Jeśli będziemy jechać szybko... - Nagle zorientował się, że wszyscy pozostali patrzą na niego, Verin z Ingtarem, Mat i Perrin. Uświadomił sobie, co właśnie zrobił i poczerwieniała mu twarz. - Przepraszam, Ingtar. To pewnie dlatego, bo przyzwyczailem się dowodzić. Nie staram się zająć twojego miejsca.

Ingtar wolno skinął głową.

- Moiraine dokonała słusznego wyboru, gdy kazała lordowi Agelmarowi mianować cię moim następcą. Być może byłoby lepiej, gdyby Zasiadająca na Tronie Amyrlin tobie zleciła dowodzenie. - Shienaranin zaniósł się gwałtownym śmiechem. - W każdym razie to właśnie tobie udało się dotknąć Rogu.

Dalej jechali w milczeniu.

"Wielkie Drzewo" można by uznać za bliźniaczo podobne do "Obrońcy Muru Smoka". Była to wysoka kamienna bryła z główną izbą wykładaną drewnem i udekorowaną srebrami, na półce nad kominkiem stał wielki wypolerowany zegar. Karczmarka mogła być siostrą Cuale. Pani Tiedra miała taką samą, nieco zażywną sylwetkę i taki sam, służalczy sposób bycia - a także to samo świdrujące spojrzenie, ten sam obyczaj uważnego wsłuchiwania się w to, co niby miały kryć wypowiedane do niej słowa. Poza tym jednak Tiedra знаła Verin i uśmiech, którym powitała Aes Sedai, był ciepły - ani razu nie wymieniła głośno imienia Aes Sedai, Rand jednak nie wątpił, że wie.

Tiedra wraz z rojem służących zajęła się końmi i rozlokowała ich po pokojach. Izba Randa była równie okazała jak ta, która spłonęła, bardziej jednak zainteresował się wielką, miedzianą wanną, którą dwóch posługaczy przepchnęło z wielkim trudem przez drzwi oraz wiadrami parującej wody, które pomywaczki przydzwigały z kuchni. Jedno spojrzenie do lustra nad umywalką ukazało mu twarz, która wyglądała tak, jakby ją natarł węglem drzewnym, czerwoną wełną kaftana powalały czarne smugi.

Rozebrał się i wdrapał do wanny, lecz podczas mycia ani na moment nie przestał rozmyślać. Była tu Verin, jedna z trzech Aes Sedai, co do których wierzył, że nie będą go próbowały poskromić albo oddać tym, które to zrobią. W każdym razie tak mogło się wydawać. Jedna z tych trzech, które chciały mu wmówić, że jest Smokiem Odrodzonym, by go wykorzystać jako fałszywego Smoka.

"Ona jest pilnującymi mnie oczyma Moiraine, ręką Moiraine, usiłującą manipulować moimi sznurkami. Ale ja przeciąłem sznurki".

Przyniesiono jego sakwę i tobołek, bagaże zdjęto z grzbietu konia jucznego, zawierały one czyste ubrania. Wytarł się do sucha, otworzył tobołek - i westchnął. Zapomniał, że pozostałe dwa kaftany są równie strojne jak ten, który rzucił na oparcie krzesła, by pokojówka zabrała go do prania. Po jakiejś chwili zdecydował się na pasujący do nastroju kaftan w kolorze czarnym. Na wysokim kołnierzu odznaczały się srebrne czaple, w dół rękawów spływały srebrne, wartkie strumienie, woda spieniona na ostrych skałach.

Podczas przekładania drobiazgów, które miał w starym kaftanie, do nowego, znalazł pergaminy. Bezmyślnie wsadził zaproszenia do kieszeni, pochłonięty czytaniem dwóch listów od Selene. Zachodził w głowę, jak mógł się zachowywać tak głupio. Była piękną, młodą kobietą ze szlacheckiego domu. On zaś pasterzem, którego próbowały wykorzystać Aes Sedai, człowiekiem skazanym na obłąd albo przedwczesną śmierć. A jednak patrząc na to pismo, wciąż czuł jej ciało pod palcami, w nozdrzach wciąż śpiewała woń jej perfum.

- Jestem pasterzem - wyjaśnił listom - a nie kimś sławnym i gdybym mógł się ożenić, to tylko z



Egwene, ale ona chce być Aes Sedai, a poza tym, jak mógłbym poślubić, pokochać jakąkolwiek kobietę, a potem popaść w obłąd i może nawet ją zabić?

Słowa jednak nie potrafiły zaciemnić wspomnienia o urodzie Selene ani też o jej spojrzeniach, pod wpływem których wrzała w nim krew. Wydało mu się nieomal, że razem z nim jest w tej izbie, że czuje jej perfumy. Wrażenie było tak silne, że aż rozejrzał się dokoła i roześmiał, stwierdziwszy, że jest sam.

- Coś mi się roi, jakby mi już powoli mętniał umysł - mruknął.

Gwałtownym ruchem odchylił osłonę lampy stojącej na nocnym stoliku, zapalił knot i przytknął papiery do ognia. Wiatr, który znieacka zahuczał za murami karczmy, wdarł się przez szczeliny w okiennicach do środka i podsycił płomienie, które z miejsca ogarnęły pergamin. Pośpiesznie cisnął płonące listy do zimnego paleniska, zanim ogień zdążył poparzyć mu palce. Czekał tak długo, aż ostatni, poczerniały zwitek rozpadł się, dopiero wtedy zapiął sprzączkę pasa i wyszedł z pokoju.

Verin zajęła prywatną jadalnię, gdzie na półkach, ciągnących się wzdłuż ciemnych ścian, mieściło się więcej srebra niż w głównej izbie. Mat żonglował trzema ugotowanymi jajkami i próbował demonstrować nonszalancję. Ingтар z dezaprobatą zajrzał do paleniska, na którym jeszcze nie rozpalono ognia. Loial wciąż miał w kieszeniach kilka książek z Fal Dara, teraz czytał jedną z nich, stojąc obok lampy.

Perrin zgarbił się nad stołem, wpatrzony w swoje ręce, splecione na blacie. Nos mu podpowiadał, że w izbie pachnie pszczelim woskiem, służącym do pastowania drewnianych boazerii.

"To był on - pomyślał. - Rand jest Zabójcą Cienia. Światłości, co się dzieje z nami wszystkimi?"

Zacisnął dłonie w pięści, wielkie i kanciaste.

"Te ręce miały trzymać kowalski młot, a nie topór".

Podniósł wzrok, gdy do izby wszedł Rand. Zdaniem Perrina widać w nim było determinację, jakby się zdecydował na jakieś konkretne posunięcia. Aes Sedai gestem nakazała Randowi, by ten usiadł naprzeciwko niej na fotelu z wysokim oparciem.

- Jak się czuje Hurin? - spytał ją Rand, poprawiając miecz, by móc usiąść. - Odpoczywa?

- Upierał się, by już ruszać w drogę - odpowiedział mu Ingтар. - Wyjaśniłem, że udamy się w pościg dopiero wtedy, gdy wyczuje trolloki. Jutro wyruszymy tropem. Chyba że chcesz ich ścigać jeszcze dzisiejszej nocy?

- Ingтар - powiedział Rand nieswoim głosem. Naprawdę nie chciałem przejmować dowodzenia. Po prostu się nie zastanowiłem.

"Kiedyś zdenerwowałby się o wiele bardziej - pomyślał Perrin. - Zabójca Cienia. Wszyscy się zmieniamy".

Ingтар nie odpowiedział, tylko wciąż wpatrywał się w palenisko kominka.

- Jest parę spraw, które mnie mocno interesują, Rand - odezwała się cichym głosem Verin. - Jedna to sposób, w jaki udało ci się zniknąć bez śladu z obozu Ingтара. Drugą jest kwestia twego wcześniejszego o tydzień przybycia do Cairhien. Ten kancelista nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Musiałbyś tu przyfrunąć.

Jedno z jajek Mata upadło na podłogę i rozbiło się. Mat nawet nie spojrzał. Patrzył na Randa, obrócił się natomiast Ingтар. Loial udawał, że wciąż czyta, jednakże na jego twarzy malowało się napięcie, a uszy uniosły się, podobne do włochatych stożków.

Perrin zorientował się, że i on się tak gapi.

- Pewnie że nie przyfrunął - powiedział. - Nie widzę skrzydeł. Może ma nam do opowiedzenia

znacznie ważniejsze rzeczy.

Verin przeniosła uwagę na niego, ale zaledwie na moment. Udało mu się wytrzymać jej wzrok, lecz pierwszy spojrzął w inną stronę.

"Aes Sedai. Światłości, dlaczego byliśmy tacy głupi, że przyłączyliśmy się do Aes Sedai?"

Rand spojrzął na niego z wdzięcznością, na co Perrin uśmiechnął się doń szeroko. Nie był to dawny Rand wydawało się, że wrósł w ten paradny kaftan, pasował teraz na niego jak ulał - wciąż jednak był to ten sam chłopak, razem z którym Perrin dorastał.

"Zabójca Cienia. Człowiek, który w wilkach budzi grozę. Człowiek, który potrafi przenosić Moc".

- Proszę bardzo - odparł Rand i prostymi słowami opowiedział swoją historię.

Perrin mimo woli rozdziawił usta. Kamienie Portalu. Inne światy, w których teren zdawał się przemieszczać. Hurin, idący za tropem do miejsca, gdzie Sprzymierzeńcy Ciemności dopiero mieli się znaleźć. I piękna kobieta w strapieniu, jakby żywcem wzięta z opowieści barda.

Mat cicho zagwizdał, wyrażając powątpiewanie.

- I to ona was sprowadziła z powrotem? Przez jeden z tych... Kamieni?

Rand wahał się przez sekundę.

- To musiała być ona - powiedział. - Rozumiecie teraz, w jaki sposób was wyprzedziliśmy. Gdy pojawił się Fain, razem z Loialem udało nam się wykraść mu nocą Róg Valere i z miejsca ruszyliśmy w drogę do Cairhien, ponieważ uznałem, że możemy się stamtąd nie wydostać, kiedy już się obudzą, a poza tym wiedziałem, że Ingtar będzie się kierował ich śladem na południe i ostatecznie dotrze do Cairhien.

"Zabójca Cienia".

Rand spojrzął na niego, mrużąc oczy, i Perrin zorientował się, że wymówił to na głos. Najwyraźniej jednak nie tak głośno, by jeszcze ktoś dosłyszał. Nikt inny na niego nie spojrzął. Poczul w sobie chęć opowiedzenia Randowi o wilkach.

"Wiem o tobie. Sama sprawiedliwość wymaga, byś ty także poznał moją tajemnicę".

Jednak była z nimi Verin. Nie mógł o tym mówić w jej obecności.

- Interesujące - stwierdziła Aes Sedai z wyrazem zamyślenia na twarzy. - Bardzo chętnie bym poznała tę dziewczynę. Jeśli ona potrafi korzystać z tych... Kamieni. Nawet jej imię nie należy do często spotykanych. - Otrząsnęła się. - Cóż, innym razem. Nie powinno być trudno odnaleźć tak wysoką dziewczynę w cairhieńskich domach. Ach, oto i nasz posiłek.

Perrin wyczuł woń jagnięciny, jeszcze zanim pani Tiedra wprowadziła do izby orszak niosący tace z jedzeniem. Poczul w ustach wilgoć, ale to na widok i zapach mięsa, nie zaś groszku, rzepy, marchwi i kapusty, które pojawiły się razem z nim, czy też gorących, chrupiących bułek. Nadal uważał, że jarzyny są smaczne, jednak ostatnimi czasy zdarzało mu się marzyć o czerwonym mięsie. Zazwyczaj nawet nie ugotowanym. Niepokojące było przyłapać się na myśli, że te płaty jagnięcego mięsa, pięknej, różowej barwy, które kroїła karczmarka, są zbyt wypieczone. Śmiało nałożył sobie po trochu wszystkiego. A jagnięciny podwójną porcję.

Posiłek przebiegał w spokoju, każdy skupił się na własnych rozmyślaniach. Perrin cierpiał katusze, gdy patrzył na jedzącego Mata. Przyjaciel cieszył się równie potężnym apetytem jak zawsze, tylko na twarzy wykwitł mu gorączkowy rumieniec, a jedzenie wsuwał do ust w taki sposób, jakby to miał być jego ostatni posiłek przed śmiercią. Perrin starał się w miarę możliwości nie odrywać oczu od talerza i żałował, że w ogóle wyjechali z Pola Emonda.

Po tym, jak posługaczki sprzątnęły ze stołów i chwilę później zniknęły z izby, Verin uparła się, by pozostali razem, póki nie wróci Hurin.

- Może przyniesie takie wieści, które będą się wiązały z koniecznością natychmiastowego wyruszenia w drogę.

Mat zabrał się od nowa za żonglowanie, a Loial za lekturę. Rand spytał karczmarkę, czy ma jakieś inne książki, a ona przyniosła mu *Podróże Jaina Długi Krok*. Perrin też lubił tę książkę, lubił opowieść o przygodach wśród Ludu Morza i podróżach do krain położonych za Pustkowiec Aiel, z których przywożono jedwab. Nie przepadał jednak za czytaniem, więc rozstawił planszę na stole i zasiadł z Ingtarem do gry w kamienie. Shienaranin grał ofensywnie i brawurowo. Perrin zwykł zawsze grać wytrwale, niechętnie ustępując pola, teraz jakoś tak się jednak stało, że zaczął przedstawiać kamyki z taką samą śmiałością jak Ingtar. Wczesnym wieczorem, gdy wrócił wędzyciel, Shienaranin patrzył na niego z nowo nabytym szacunkiem.

Uśmiech na twarzy Hurina wyrażał zarówno triumf, jak i zaambarasowanie.

- Znalazłem ich, lordzie Ingtar. Lordzie Rand. Wyśledziłem, gdzie jest ich jaskinia.

- Jaskinia? - spytał przenikliwie Ingtar. - Chcesz powiedzieć, że ukryli się tu gdzieś w pobliżu?

- Tak jest, lordzie Ingtar. Dotarłem po tropie prosto do tych, co zabrali Róg, i wszędzie wokół tego miejsca unosi się smród trolloków, tyle że zakamuflowany, jakby oni bali się, że ich wykryją nawet w tym miejscu. I nie dziwota. Wędzyciel zrobił głęboki wdech. - To wielki dwór, który lord Barthanes dopiero co sobie wybudował.

- Lord Barthanes! - zakrzyknął Ingtar. - Więc on... on jest... on jest...

- Sprzymierzeńców Ciemności napotkasz zarówno wśród wysoko, jak i nisko urodzonych - wyjaśniła mu spokojnie Verin. - Potężni ofiarowują swe dusze Cieniowi równie często jak słabi.

Ingtar odpowiedział jej chmurnym spojrzeniem, jakby nawet nie chciał o tym myśleć.

- Tam są strażnicy - ciągnął Hurin. - W dwudziestu nie wejdziemy do środka, ani też stamtąd nie wyjdziemy. Stu by sobie poradziło, ale dwustu też by nie było za mało. Tak uważam, mój panie.

- Co z królem? - zainteresował się Mat. - Skoro Barthanes jest Sprzymierzeńcem Ciemności, to król powinien nam pomóc.

- Jestem absolutnie przekonana - odparła sucho Verin - że Galldrian Riadin ruszyłby na Barthanesa Damodreda na samą tylko pogłoskę, że Barthanes jest Sprzymierzeńcem Ciemności i jeszcze by się cieszył, że ma wymówkę. Jestem też absolutnie pewna, że Galldrian nigdy by nie wypuścił Rogu Valere z rąk, gdyby tylko mu w nie wpadł. Wyciągałby go z ukrycia na dni świąteczne, by pokazywać ludziom i opowiadać, jakie to wielkie i potężne jest Cairhien, ale poza tym nikt nigdy by go już nie oglądał.

Perrin zamrugnął zaszokowany.

- Przecież Róg Valere ma się znajdować tam, gdzie zostanie stoczona Ostatnia Bitwa. Nie mógłby go zatrzymać ot tak sobie.

- Niewiele wiem o Cairhienach - odpowiedział mu Ingtar - ale sporo słyszałem o Galldrianie. On nas ugości i będzie dziękował za splendor, jaki przynosimy Cairhien. Wypcha nam kieszenie złotem i obsypie nas zaszczytami. A gdybyśmy próbowali odjechać z Rogiem, obetnie nam te zdobne w zaszczyty głowy, nie zatrzymując się nawet dla nabrania oddechu.

Perrin przejechał dłonią po włosach. Im więcej się dowiadywał o królach, tym mniej ich lubił.

- Co ze sztyletem? - spytał nieśmiało Mat. - Jego by nie chciał mieć, prawda? - Pod wpływem karcącego wzroku Ingtara, poruszył się niespokojnie. - Wiem, że Róg jest ważny, ale ja nie mam zamiaru brać udziału w Ostatniej Bitwie. Ten sztylet...

Verin wsparła dłonie na oparciach fotela.

- Jego Galldrian też nie dostanie. Musimy tylko znaleźć jakiś sposób na dostanie się do wnętrza dworu Barthanesa. Jeśli znajdziemy Róg, to odkryjemy też sposób, by go wydostać. Tak, Mat, sztylet

również. Jak już się rozniesie, że w mieście przebywa Aes Sedai... cóż, na ogół unikam takich metod, ale jeśli pozwolę, by Tiedrze wpadło w ucho, że mam chęć obejrzeć nowy dwór Barthanesa, wówczas winnam za dzień albo dwa dostać zaproszenie. Nie powinno być trudno wprowadzić tam przynajmniej kilku z was. O co chodzi, Hurin?

Węszyciel kołysał się nerwowo na piętach, od momentu w którym wspomniała o zaproszeniu.

- Lord Rand już takie dostał. Od lorda Barthanesa.

Perrin nie był jedyny, który wytrzeszczył oczy na Randa.

Rand wyciągnął dwa zapieczetowane pergaminy z kieszeni kaftana i bez słowa podał je Aes Sedai.

Ingтар podszedł bliżej, by niedowierzającym wzrokiem zerknąć przez jej ramię na pieczęcie.

- Barthanes i... I Galldrian! Rand, skąd ty je masz? Coś ty zrobił?

- Nic - odparł Rand. - Nic nie zrobiłem. Oni mi je po prostu przysłali.

Ingтар zrobił długi wydech. Usta Mata otworzyły się szeroko.

- Oni naprawdę mi je po prostu przysłali - cicho powtórzył Rand.

Biło od niego poczucie godności, której Perrin nie znał, spoglądał na Aes Sedai i Shienaranina jak na równych sobie. Perrin potrząsnął głową.

"Pasujesz jak ulał do tego kaftana. Wszyscy się zmieniamy".

- Lord Rand spalił całą resztę - wyjaśnił Hurin. Przychodziły codziennie i codziennie on je palił. Z wyjątkiem tych dwóch, ma się rozumieć. Co dzień z coraz to potężniejszych domów. - W jego głosie słyhać było dumę.

- Koło Czasu wplata nas wszystkich do Wzoru tak, jak chce - oświadczyła Verin, przypatrując się pergaminom. - Czasami jednak ofiarowuje nam to, co potrzebne, jeszcze zanim się dowiemy, że będziemy tego potrzebować.

Niedbałym gestem zmięta zaproszenie od króla i cisnęła je do kominka, by odtąd tam leżało, odznaczając się bielą na tle zimnych kłód. Kciukiem przełamała pieczęć na drugim, przeczytała.

- Tak. Tak, to się znakomicie przyda.

- Jak ja miałbym tam iść? - spytał ją Rand. - Poznają, że nie jestem lordem. Jestem pasterzem i rolnikiem.

Na twarzy Ingтары pojawił się sceptycyzm.

- Jestem, Ingтары. Mówiłem ci.

Ingтар wzruszył ramionami, wciąż nie wyglądał na przekonanego. Hurin zagapił się na Randa z tępym niedowierzaniem.

"Niech szczezę - pomyślał Perrin - gdybym go nie znał, też bym nie uwierzył".

Mat obserwował Randa z przekrzywioną głową, marszcząc się, jakby dostrzegł coś, czego nigdy przedtem nie widział.

"On też to teraz widzi".

- Możesz to zrobić, Rand - powiedział Perrin. Możesz.

- Najlepiej będzie - odezwała się Verin - jeśli nikomu nie powiesz, kim nie jesteś. Ludzie widzą to, co spodziewają się zobaczyć. Poza tym, patrz im prosto w oczy i mów z przekonaniem. Dokładnie tak, jak rozmawiałeś ze mną - dodała oschłym tonem i policzki Randa nabrały koloru, nie spuścił jednak oczu. - To nieważne, co powiesz. Każdą rzecz nie na miejscu będą przypisywali twemu cudzoziemskiemu pochodzeniu. Przydałoby się także, gdybyś sobie przypomniał sposób, w jaki się zachowywałeś przed obliczem tronu Amyrlin. Jeśli okażesz się równie arogancki, uwierzą żeś lord, nawet gdybyś miał na sobie łachmany.

Mat wykrzywił się szyderczo.

Rand gwałtownie wyrzucił ręce w górę.

- W porządku. Zrobię to. Ale nadal uważam, że zorientują się w pięć minut po tym, jak otworzę usta.

- Barthanes wymienia pięć dat i jedna z nich to jutrzejszy wieczór.

- Jutro! - eksplodował Ingtar. - Do jutrzejszego wieczora Róg może stąd odpłynąć rzeką na odległość pięćdziesięciu mil, albo...

Verin przerwała mu.

- Uno i twoi żołnierze mogą obserwować dwór. Gdyby próbowali wywieźć Róg w jakimkolwiek kierunku, bez trudu pójdziemy ich śladem i być może odzyskamy go z jeszcze większą nawet łatwością niż u Barthanesa.

- Może i tak - zgodził się niechętnie Ingtar. - Po prostu nie chciałbym czekać, teraz, gdy Róg jest już prawie w moich rękach. Będę go miał. Muszę go mieć! Muszę!

Hurin wbił w niego zdziwiony wzrok.

- Ależ lordzie Ingtar, to nie tak. Co ma się stać, się stanie, a co trzeba zrobić, będzie... - Groźne spojrzenie Ingtara kazało mu przerwać, dodał jednak ledwie słyszalnie: - To nie tak, tu nie ma żadnego "muszę".

Ingtar sztywno zwrócił się z powrotem do Verin.

- Verin Sedai, Cairhienowie bardzo skrupulatnie przestrzegają etykiety. Jeśli Rand nie prześle odpowiedzi, Barthanes poczuje się tak urażony, że nas nie wpuści, nawet jeśli stawimy się z pergaminem w rękach. Jeśli zaś Rand odpowie... no cóż, przynajmniej Fain go zna. W ten sposób możemy ich ostrzec, że mają przygotować pułapkę.

- Weźmiemy ich z zaskoczenia. - Krótki uśmiech Verin nie był miły. - Myślę jednak, że Barthanes będzie chciał zobaczyć Randa niezależnie od wszystkiego. Sprzymierzeniec to Ciemności czy nie, wątpię czy zaprzestał knuć intrygi przeciwko tronowi. Rand, on twierdzi, żeś ty się zainteresował jednym z przedsięwzięć króla, tylko nie określa, które to. O co mu chodzi?

- Nie wiem - wolno odparł Rand. - Odkąd tu przyjechałem, nie zrobiłem absolutnie nic. Czekać. Może chodzi mu o posąg. Przejeżdżaliśmy przez wioskę, w której wykopywano ogromny posąg. Mówiono, że pochodzi jeszcze z Wieku Legend. Król chce go przewieźć do Cairhien, choć ja nie wiem, w jaki sposób można by przewieźć coś równie wielkiego. Ale przecież spytałem tylko, co to takiego.

- Mijaliśmy go onegdaj i nie zatrzymaliśmy się, by pytać. - Verin pozwoliła, by zaproszenie wypadło jej z rąk na kolana. - Galldrian raczej nie postępuje roztropnie, chcąc go wykopać. Nie chodzi tu tyle o realne niebezpieczeństwo, jednakże ci, którzy nie wiedzą, co robią, nie postępują mądrze, jeśli majstrują przy przedmiotach pochodzących z Wieku Legend.

- Co to jest? - spytał Rand.

- *Sa'angreal*.

Powiedziała to takim tonem, jakby cała sprawa nie była nadzwyczaj ważna, jednak Perrin zniechęcony nabrawł wrażenia, że tych dwoje wdało się właśnie w prywatną rozmowę, mówiąc sobie rzeczy, nie przeznaczone dla uszu innych ludzi.

- To jeden z pary największych, kiedykolwiek wykonanych, o jakich nam wiadomo. A przy tym dziwna to para. Jeden, nadal zagrzebany w Tremalking, może być użyty wyłącznie przez kobietę. Ten może zaś tylko przez mężczyznę. Zostały wykonane podczas Wojny o Moc, jako broń i jeśli koniec tamtego Wieku albo Pęknięcie Świata mają jakąkolwiek pozytywną wartość, to na pewno streszcza się ona w tym, iż nastąpiły, zanim zdołano wykorzystać te dwa *sa'angreal*. Współ są tak potężne zapewne, że mogą spowodować następne Pęknięcie świata, gorsze jeszcze niż poprzednie.

Dłonie Perrina zwinęły się w ciasne supły. Unikał patrzenia bezpośrednio na Randa, ale nawet kątem oka widział białą obwódkę wokół jego ust. Przyszło mu do głowy, że Rand boi się i ani trochę go za to nie winił.

Ingтар wyglądał na wstrząśniętego, być może nawet naprawdę go to poruszyło.

- To coś powinno się na powrót zakopać i to głęboko, pod jak największym kopcem z ziemi i kamieni. Co by się stało, gdyby odnalazł to Logain? Albo jakiś inny nikkczemnik, który potrafi przenosić Moc, nawet i taki, który mieni się Smokiem Odrodzonym. Verin Sedai, powinnaś ostrzec Galldriana, co właściwie robi.

- Co takiego? Ach, nie ma takiej potrzeby, jak mniemam. Trzeba wryć jednocześnie obydwu *sa'angreali*, by udźwignąć taką ilość Mocy, jaka jest niezbędna do Pęknięcia świata. Tak to się odbywało w Wieku Legend, mężczyzna i kobieta pracujący pospołu byli zawsze dziesięć razy silniejsi niż wtedy, gdy każde działało z osobna, a jaka Aes Sedai w dzisiejszych czasach wsparłaby męczyznę przenoszącego Moc? Każdy z tych *sa'angreali* jest sam w sobie potężny, jednakże zdaje mi się, że niewiele jest kobiet tak silnych, by przetrwać przepływ Mocy przez ten, który się znajduje w Tremalking. Rzecz jasna Amyrlin. Moiraine i Elaida. Może jeszcze jedna albo dwie. A trzy nadal jeszcze są szkolone. Jeśli zaś idzie o Logaina, to musiałyby poświęcić wszystkie swoje siły, by zwyczajnie nie dać się spalić na popiół, po czym nie zostałyby mu już żadna rezerwa na swobodne działanie. Nie, Ingтары, nie sądzę, byś miał powody do obaw. W każdym razie żadnych, póki jeszcze Smok Odrodzony nie proklamował swych roszczeń, a potem i tak będzie się czym zamartwiać. Martwmy się teraz o to, co zrobimy, gdy będziemy już na dworze Barthanesa.

Mówiła to do Randa. Perrin o tym wiedział, i wiedział też Mat, bowiem wyglądał, jakby zbierało mu się na mdłości. Nawet Loial poruszył się nerwowo na siedzeniu.

"Och Światłości, Rand - pomyślał Perrin. - Światłości, nie pozwól, by ona go wykorzystała".

Rand wciskał dłonie w blat stołu z taką siłą, że aż zbiełaly mu kłyckie, mówił jednak pewnym głosem. Ani na moment nie spuścił wzroku z Aes Sedai.

- Najpierw musimy odebrać Róg i sztylet. Wtedy już wszystko się uda, Verin. Wszystko.

Na widok uśmiechu Verin, ukradkowego i tajemniczego, Perrin poczuł, jak przeszywa go dreszcz. Nie sądził, by Rand choć w połowie zdawał sobie sprawę z tego, co on o nim wie. Choć w połowie.

# ROZDZIAŁ 9

## NIEBEZPIECZNE SŁOWA

Dwór lorda Barthanesa, razem z wszystkimi murami i przybudówkami, rozsiadł się niczym ogromna ropucha przyczajona w mroku, na takiej połaci ziemi, jaką zajęłaby forteca. Nie był jednak fortecą, wszędzie widziało się wysokie okna, światła, słyszało napływające z wnętrza odgłosy śmiechu i muzyki, przy czym Rand wypatrzył strażników spacerujących po szczytach wież i ścieżkach wiodących skrajami dachów, zaś żadne z okien nie znajdowało się blisko ziemi. Zsiadł z grzbietu Rudego, wygładził kaftan, poprawił pas z mieczem. Pozostali zgromadzili się dokoła niego, u stóp szerokich, zbudowanych z białego kamienia stopni, wiodących do ogromnych, bogato rzeźbionych drzwi dworu.

Eskortę stanowiło dziesięciu Shienaran, dowodzonych przez Uno. Jednooki mężczyzna skinął nieznacznie Ingtarowi głową, zanim dołączył ze swymi ludźmi do służby pozostałych gości, której podawano piwo przy wielkim rożnie z piškącą się na nim wołową tuszą.

Pozostałych dziesięciu Shienaran zostało razem z Perrinem. Wszyscy mieli przydzielone określone zadania, jak wyjaśniła Verin, tylko Perrin tego wieczora nie miał co robić. Eskorta była czymś niezbędnym dla dodania powagi w oczach mieszkańców Cairhien, jednakże gdyby liczyła więcej niż dziesięć osób, mogłaby wydać się czymś podejrzanym. Rand tam był, bo dostał zaproszenie. Ingtar poszedł z nim, by przydać prestiżu związanego z jego tytułem, natomiast Loial dlatego, bo towarzystwo ogirów było pożądane w wyższych kręgach cairhieńskiej arystokracji. Hurin udawał, że jest przybocznym sługą Ingtara. Jego prawdziwym zadaniem było wywęszenie Sprzymierzeńców Ciemności i trolloków - Róg Valere musiał znajdować się blisko nich. Mat, wciąż utyskujący z tego powodu, miał występować jako sługa Randa, ponieważ mógł wyczuć sztylet, jeśli znajdzie się w jego pobliżu. Gdyby Hurin zawiódł, to być może on mógłby znaleźć Sprzymierzeńców Ciemności.

Gdy Rand spytał Verin, po co ona idzie na przyjęcie, uśmiechnęła się tylko i odparła:

- Żeby chronić ciebie i pozostałych przed kłopotami.

Gdy wstępowali na schody, Mat mruknął pod nosem:

- Nadal nie pojmuję, dlaczego miałbym być czyimś sługą. - Razem z Hurinem szedł nieco z tyłu.

- Niech szczenę, skoro Rand może być lordem, to i ja mógłbym nałożyć taki fikuśny kaftan.

- Sługa - odezwała się Verin, nie oglądając się na niego - może wchodzić do miejsc, do których nie mają wstępu inni ludzie i wielu wysoko urodzonych nawet tego nie dostrzeże. Ty i Hurin macie przydzielone zadania.

- Bądź teraz cicho, Mat - skarcił go Ingtar - chyba że chcesz nas zdradzić.

Zbliżali się już do drzwi, przy których stał oddział dwunastu strażników z Drzewem i Koroną Domu Damodred na piersiach, towarzyszył im tuzin ludzi w ciemnozielonych liberiach z Drzewem i Koroną na rękawach.

Rand zrobił głęboki wdech i wręczył im zaproszenie.

- Jestem lord Rand z domu al'Thor - wyrzucił pośpiesznie, by mieć już to za sobą. - A to są moi goście. Verin Aes Sedai z Brązowych Ajah. Lord Ingtar z domu Shinowa, ze Shienaru. Loial, syn Arenta syna Halana, ze Stedding Shangtai.

Loial prosił, by ominąć ten *stedding*, jednak Verin twierdziła uparcie, że należy wykorzystać każdy element etykiety, jaki tylko jest im należny.

Sługa, który pierwiej odebrał zaproszenie z niedbałym ukłonem, teraz niemalże widocznie

wzdrygał się przy każdym tytule. Gdy padło imię Verin, wybałuszył oczy. Przemówił zduszonym głosem:

- Witajcie w domu Damodred, moi panowie. Witaj, Aes Sedai. Witaj, przyjacielu ogirze.

Ręką dał znak pozostałym, by otworzyli szeroko drzwi, następnie uklonem zaprosił Randa i jego towarzyszy do środka, gdzie pośpiesznie podał zaproszenie innemu, ubranemu w liberię służce i szepnął mu coś do ucha.

Drzewo i Korona na piersi tego człowieka były doprawdy niebanalnych rozmiarów. Stał, wspierając się na długiej lasce.

- Aes Sedai - powiedział i uklonił się, nieomal zginając w pół. W podobny sposób pozdrowił każdego z osobna. - Moi panowie. Przyjacielu ogirze. Zwią mnie Ashin. Idźcie za mną, proszę.

Zewnętrzna salę wypełniał tylko tłum służby, następnie Ashin wprowadził ich do wielkiej komnaty pełnej szlachetnie urodzonych, gdzie w jednym końcu dawał przedstawienie żongler, a w drugim trupa akrobatów. Dobiegające zewsząd głosy i muzyka zdradzały, że nie są to jedyni goście, ani też jedyne propozycje rozrywki. Arystokraci stali w parach oraz w trzy- i czteroosobowych grupach, niekiedy mężczyźni i kobiety razem, czasami tylko jedni, albo drudzy, zawsze odgradzając się stosowną przestrzenią, by nikt nie mógł podsłuchać, co się gdzie indziej mówi. Goście ubrani byli w ciemne cairhieńskie barwy, do połowy piersi poznaczone jaskrawymi paskami, u niektórych zaś sięgały one aż do pasa. Kobiety miały pukle spiętrzone w postaci kunsztownych wieżyc, w każdym przypadku inne od pozostałych, a ich ciemne spódnice były tak obszerne, że musiały stawać bokiem, by móc przejść przez wszystkie drzwi węższe od tych, którymi wchodziło się do dworu. Żaden mężczyzna nie golił czaszki na modłę wojownika - wszyscy nosili ciemne, aksamitne kapelusze na długich włosach, jedne o kształcie dzwonów, inne płaskie - natomiast dłonie kobiet nieomal całkowicie skrywały mankiety z koronki barwy ciemnej kości słoniowej.

Ashin zastukał laską i obwieścił donośnym głosem ich przybycie, w pierwszej kolejności wymieniając Verin.

Wszystkie oczy zwróciły się ku nim. Verin miała na sobie szal z brązowymi frędzlami, haftowany w gałązki winorośli; obwieszczenie przybycia Aes Sedai wywołało pomruk wśród zgromadzonych lordów i dam, a żongler upuścił jedno ze swych kółek, nikt jednak i tak już go nie oglądał. Większość spojrzeń skupiła się na Loialu, nawet jeszcze zanim Ashin wymienił jego imię. Pomimo srebrnych haftów na kołnierzu i rękawach, niczym nie urozmaicona czerń kaftana Randa nadała mu nieomal surowy wygląd, wiele uwagi przyciągnęły miecze; jakie on i Ingтар mieli przytroczone do pasa. Żaden z obecnych lordów nie wydawał się uzbrojony. Rand nie jeden raz posłyszał, wygłaszane szeptem słowa: "ostrze ze znakiem czapli". Niektóre ze skierowanych nań spojrzeń wyrażało dezaprobatę, podejrzewał, że pochodziły od ludzi, których obraził, odrzucając ich zaproszenia.

Podszedł do nich szczupły, przystojny mężczyzna. Miał długie, lekko siwiejące włosy, wielobarwne paski przecinały przód jego ciemnoszarego kaftana, od karku prawie po sam rąbek szaty sięgającej kolan. Jak na Cairhienina był wyjątkowo wysoki, zaledwie pół głowy niższy od Randa; dzięki przyjmowanej postawie wydawał się jeszcze wyższy, stanął bowiem z uniesionym podbródkiem, jakby patrząc na wszystkich z góry. Jego oczy przypominały czarne kamyki. Jednak do Verin odnosił się z dalece posuniętym respektem.

- Zaszczycem jest dla mnie móc cię gościć, Aes Sedai. - Barthanes Damodred mówił głębokim i pewnym siebie głosem. Powiódł wzrokiem po pozostałych. - Nie spodziewałem się towarzystwa aż tak znamienitego. Lordzie Ingтар. Przyjacielu ogirze.

Uklony, jakie rozdał im wszystkim, niewiele różniły się od zwykłego skinienia głową: Barthanes



doskonale rozumiał rozmiar swej władzy.

- I ty, mój młody lordzie Rand. Wiele komentarzy sprowokowałeś na mieście i wśród rodów. Być może nadarzy się sposobność, byśmy porozmawiali dzisiejszego wieczora.

Tonem głosu dawał do zrozumienia, że nie będzie żałował, jeśli taka sposobność go ominie, a komentarze, o których mówił bynajmniej nie wzbudziły jego zainteresowania, jednak spojrzenie na ułamek sekundy dłużej zawisło na Randzie, nim przeniosło się na Ingtara, Loiala i później na Verin.

- Witajcie.

Odszedł na bok z przystojną kobietą, która położyła mu na ramieniu upierścienioną dłoń skrytą w koronkach, lecz gdy już odchodził, jego oczy raz jeszcze powędrowały w kierunku Randa.

Gwar rozmów ponownie rozlał się po sali, a żongler podrzucił swe kółka, które zawirowały ciasną pętlą na wysokości dobrych czterech piędzi, o mały włos zawadzając o gipsowe sztukaterie na suficie. Akrobaci w ogóle nie przerywali przedstawienia - występująca z nimi kobieta wyskoczyła w górę ze złożonych rąk jednego z towarzyszy, naoliwiona skóra rozbłysła w świetle stu lamp, gdy wykonała obrót, po czym wylądowała stopami na dłoniach mężczyzny, który z kolei stał na barkach innego. Uniósł ją wyprostowanymi rękoma, po czym stojący na samym dole podźwignął jego w taki sam sposób i na koniec kobieta rozpostarła ręce, jakby w oczekiwaniu na oklaski. Żaden z Cairhienian nie poświęcił jej jednak szczególnej uwagi.

Verin i Ingtar wmieszali się w tłum. Shienaranin przyciągnął zaledwie kilka czujnych spojrzeń, na Aes Sedai jedni patrzyli szeroko otwartymi oczyma, inni z wykrzywioną grymasem przestrawu twarzą kogoś, kto na odległość ramienia zauważył nagle wściekłego wilka. Do tych drugich zaliczali się częściej mężczyźni, niżli kobiety, wśród których znalazły się i takie, które do niej zagadywały.

Rand zauważył, że Mat i Hurin zdążyli już się oddalić w stronę kuchni, gdzie wszyscy służący, którzy przybyli razem z gośćmi, mieli się zebrać i czekać, dopóki po nich nie poślą. Miał nadzieję, że nie będzie im trudno się stamtąd wymknąć.

Loial pochylił się, by szepnąć coś, co było przeznaczone wyłącznie dla jego ucha.

- Rand, tu gdzieś blisko jest brama. Czuję to.

- Chcesz powiedzieć, że tu był gaj ogarów? - spytał cicho Rand, a Loial pokiwał głową.

- Nie założono ponownie Stedding Tsofu już po posadzeniu gaju, a może ogirowie, którzy wspomagali budowę Al'cair'rahienallen nie potrzebowali gaju, by im przypominał o *stedding*. Gdy poprzednim razem przejeżdżałem przez Cairhien, tu wszędzie rósł las należący do króla.

- Barthanes prawdopodobnie go odebrał w wyniku jakiegoś spisku. - Rand rozejrzał się nerwowo po komnacie. Wszyscy nadal rozmawiali, lecz niemało było takich, którzy przypatrywali się im. Ingtara nie zauważył. Verin stała otoczona wiankiem kobiet. - Wolałbym, żebyśmy wszyscy trzymali się razem.

- Verin mówi, że nie powinniśmy, Rand. Powiada, iż wszyscy nabraliby podejrzeń i zaczęli się złościć, myśląc, że zadzieramy nosa. Musimy rozpraszać wszelkie podejrzania, dopóki Mat i Hurin czegoś nie znajdą.

- Również słyszałem, co powiedziała, Loial. Ale nadal twierdzę, że jeśli Barthanes jest Sprzymierzeńcem Ciemności, to musi wiedzieć, dlaczego przyszliśmy. Poruszać się tutaj w pojedynkę, to prowokować niebezpieczeństwo.

- Verin twierdzi, że nic nie robi, dopóki się nie rozezna, jak mógłby nas wykorzystać. Po prostu rób to, co kazała, Rand. Aes Sedai wiedzą, jak postępować.

Loial zagłębił się w tłum, gromadząc wokół siebie krąg lordów i dam, jeszcze nim uszedł dziesięć kroków.

Inni ruszyli w stronę Randa, korzystając z okazji, że znalazł się sam, on jednak zboczył w

przeciwnym kierunku i pośpiesznie się oddalił.

"Aes Sedai może wiedzą, jak postępować, ja natomiast niestety nie. Nie podoba mi się to. Światłości, jak ja bym chciał wiedzieć, czy ona mówiła prawdę. Niby Aes Sedai nigdy nie kłamia, ale ta prawda, którą się słyszy, może być zupełnie inna, niż się wydaje".

Nie przestawał spacerować, chcąc uniknąć rozmów z arystokratami. Szedł przez kolejne komnaty, wszystkie wypełnione zgromadzeniem lordów i dam, w każdej odbywały się jakieś przedstawienia: trzech różnych bardów w charakterystycznych płaszczach, zonglerzy i akrobaci, muzykanci grający na fletach, bitternach, cymbałach i lutniach, a także skrzypcach pięciu rozmiarów, sześciu odmianach rogów, prostych, rzeźbionych albo skręconych, oraz bębnach, od tamburynu począwszy, a na kotle kończąc. Grającym na skręconych rogach przyjrzał się uważniej, ich instrumenty były jednak ze zwykłego mosiądzu.

"Nie pokazywaliby tutaj Rogu Valere, ty durniu - pomyślał. - Chyba że Barthanes chciałby przywołać umarłych bohaterów, by dostarczyli mu rozrywki".

Wśród zebranych był nawet nadworny bard w taireńskich butach, ozdobionych srebrem, i żółtym kaftanie, który przechadzał się po salach, trącając struny harfy, zatrzymując się niekiedy, by zadeklamować coś wzniosłym głosem. Mierzył pogardliwym wzrokiem zwykłych bardów i w komnatach, w których oni występowali, nie zatrzymywał się na dłużej, Rand jednak nie zauważył, by różnił się od nich czymś więcej z wyjątkiem pysznego ubioru i postawy.

Nagle zorientował się, że u jego boku kroczy Barthanes. Natychmiast pojawił się sługa w liberii i zgięty w ukłonie podsunął mu srebrną tacę. Barthanes wziął napełniony winem puchar z dmuchanego szkła. Zwrócony ku nim twarzą sługa zaczął się wycofywać, nadal cały w ukłonach, podtykał tacę Randowi pod nos tak długo, aż ten w końcu potrząsnął głową, i dopiero wtedy wtopił się w tłum.

- Niespokojny jesteś, panie - zaczął Barthanes, upijając łyk.

- Lubię spacerować. - Rand zastanawiał się, jak skorzystać z rady Verin, a przypomniawszy sobie, co powiedziała o jego audiencji u Amyrlin, zdecydował się na krok kota przechodzącego przez dziedziniec. Nie znał kroku bardziej pełnego pychy. Barthanes zacisnął wargi i Rand pomyślał, że być może również jego gospodarz uznał to za zbytnią arogancję, jednakże nie mając innego wyjścia, niż skorzystać z rady Verin, nie zatrzymał się. By trochę załagodzić sytuację, powiedział uprzejmym tonem:

- To imponujące przyjęcie. Masz, panie, wielu przyjaciół, nigdy też nie widziałem takiej różnorodności rozrywek.

- Przyjaciół mam wielu - zgodził się Barthanes.

Możesz powiedzieć Galdrianowi, mój panie, ilu ich jest i którzy to. Niektóre nazwiska pewnie go zadziwią.

- Nigdy nie poznałem króla, lordzie Barthanes, i nie spodziewam się poznać.

- Naturalnie. W tamtej wiosce, do muszego łajna podobnej, znalazłeś się przypadkiem. Nie byłeś tam przecież, by sprawdzić, jak postępują prace przy wykopywaniu posągu. To wielkie przedsięwzięcie.

- Tak. - Znowu zaczął myśleć o Verin, żałując, że nie poradziła mu, jak rozmawiać z człowiekiem, który zakłada, że wszystko co powie, jest kłamstwem. Bez zastanowienia dodał: - Ci, którzy nie wiedzą, co czynią, nie postępują roztropnie, jeśli majstrują przy przedmiotach pochodzących z Wieku Legend.

Barthanes zapatrzył się na swoje wino, z zadumą na twarzy, jakby Rand powiedział właśnie coś o doniosłym znaczeniu.

- Twierdzisz zatem, że nie wspomagasz Galldriana w tym przedsięwzięciu? - spytał na koniec.

- Powiedziałem ci, panie, nie poznałem króla.

- Tak, oczywiście. Nie miałem pojęcia, że ludzie z Andoru tak udatnie grają w Wielką Grę.

Rzadko ich tu w Cairhien widzimy.

Rand zrobił głęboki wdech, by nie odpowiedzieć gniewnie temu człowiekowi tego, co powtarzał zawsze - że wcale nie bierze udziału w grze.

- Na rzece jest wiele barek z ziarnem z Andoru.

- Kupcy i handlarze. Kogo interesują tacy jak oni? Zasluguja na tylez samo uwagi co chrzascze na drzewach. - W głosie Barthanesa slychać bylo jednakowa pogarde dla chrzasczy i kupców, znowu jednak uniosl brew, jakby w slowach Randa dopatrzyl sie jakiejś aluzji. - Niewielu ludzi podrozuje w towarzystwie Aes Sedai. Wydajesz sie zbyt mlody, bys mogl byc straznikiem. Domniemuje, iz to lord Ingtar jest straznikiem Verin Sedai?

- Jesteśmy tymi, za których się podaliśmy - powiedział Rand i skrzywił się.

"Z wyjątkiem mnie".

Barthanes nieomal otwarcie studiował twarz Randa.

- Młody. Zbyt młody, by nosić miecz ze znakiem czapli.

- Nie ukończyłem jeszcze roku życia - wypalił automatycznie Rand i natychmiast zapragnął to cofnąć. Zabrzmiało to głupio, jego zdaniem, ale Verin powiedziała, że ma się zachowywać tak, jak przed obliczem Zasiadającej na Tronie Amyrlin, a taką właśnie odpowiedź podsunął mu Lan. Ludzie z Ziemi Granicznych uważali, że dzień, w którym człowiek dostaje miecz, staje się jego dniem narodzin.

- Ach tak. Mieszkaniec Andoru, a przy tym szkolony na Ziemiach Granicznych. A może to rezultat szkolenia na strażnika? - Oczy Barthanesa zwięziły się, wpatrzone badawczo w Randa. - Z tego, co wiem, Morgase ma tylko jednego syna. Zwie się Gawyn, jak slyszalem. Musisz byc, panie, w jego wieku.

- Poznałem go - odparł ostrożnie Rand.

- Te oczy. Te włosy. Słyszałem, że andorański ród królewski ma we włosach i oczach anielskie nieomal barwy.

Rand potknął się, mimo że posadzka kryta była gładkim marmurem.

- Nie jestem Aielem, lordzie Barthanesie, nie wywodzę się też z królewskiego rodu.

- Tak rzeczesz. Wiele mi dałeś do myślenia. Sądzę, że znajdziemy wspólne tematy, gdy znowu przyjdzie nam z sobą rozmawiać.

Barthanes skinął głową i uniosł kielich, zegnając go niedbale, po czym odwrócił się, by zagadać do siwowłosego mężczyzny z licznymi kolorowymi paskami na kaftanie.

Rand pokręcił głową i ruszył przed siebie, uciekając przed dalszą konwersacją. Rozmowa z jednym cairhieńskim lordem była dostatecznie paskudna, by odebrać mu ochotę do następnej. Barthanes najwyraźniej dopatrywał się ukrytych znaczeń w najbardziej trywialnych stwierdzeniach. Rand zauważył, że właśnie tyle się dowiedział o *Daes Dae'mar*, iż stracił już wszelkie pojęcie o tym, jak należy w nią grać.

"Mat, Hurin, znajdźcie coś szybko, żebyśmy mogli się stąd wydostać. Ci ludzie są szaleni".

I wtedy wszedł do następnej komnaty, w której występował bard; siedział w przeciwległym końcu, trącał struny harfy i recytował opowieść z *Wielkiego Polowania na Róg*. Thom Merrillin. Rand zatrzymał się jak wryty. Thom wydawał się go nie zauważać, mimo że dwukrotnie kierował na niego wzrok. Najwyraźniej Thom naprawdę chciał tego, co powiedział. Całkowite zerwanie.

Rand już miał wyjść, jednak drogę zagroziła mu zrecznie jakaś kobieta, koronka spłynęła na

delikatny nadgarstek, gdy przyłożyła dłoń do jego piersi. Głową nie sięgała mu nawet ramienia, lecz wysoka korona z loków znajdowała się na wysokości jego wzroku. Koronki, którymi miała obszyty wysoki kołnierz przy sukni, sięgały podbródka, przód sukni, pod piersiami, zakrywały kolorowe paski.

- Jestem Alaine Chuliandred, a ty jesteś tym słynnym Randem al'Thorem. W swoim własnym dworze, jak sądzę, Barthanes ma prawo rozmawiać z tobą pierwszy, ale my wszyscy jesteśmy zafascynowani tym, co się o tobie mówi. Słyszałam nawet, że potracisz grać na flecie. Czyż może to być?

- Gram na flecie.

"Skąd ona...? Caldevwin. Światłości, w Cairhien wszyscy dowiadują się o wszystkim".

- Jeśli wybaczysz...

- Słyszałam, że niektórzy cudzoziemscy lordowie potrafią grać na instrumentach muzycznych, lecz nigdy w to nie wierzyłam. Bardzo bym chciała posłuchać, jak grasz. Może zechcesz ze mną porozmawiać, o tym i o owym. Barthanes zdawał się uważać rozmowę z tobą za fascynującą. Mój mąż spędza całe dni na kosztowaniu owoców swoich winnic i pozostawia mnie w zupełnej samotności. Zawsze nieobecny, nigdy nie ma czasu, by ze mną porozmawiać.

- Musi pani za nim tęsknić - powiedział Rand, starając się wyminąć ją i jej szerokie spódnice. Wybuchnęła dźwięczącym śmiechem, jakby powiedział najśmieszniejszą rzecz na świecie.

U boku kobiety stanęła inna, druga dłoń delikatnie dotknęła jego piersi. Miała tyle samo pasków co Alaine i obydwie były w tym samym wieku, dobre dziesięć lat starsze od Randa.

- Masz zamiar zatrzymać go dla siebie, Alaine?

Obydwie kobiety uśmiechnęły się do siebie, mimo iż ich oczy ciskały sztylety. Ta druga skierowała uśmiech na Randa.

- Jestem Belevaere Osiellin. Czy wszyscy z Andoru są tak wysokiego wzrostu? I tacy przystojni?

Chrząknął.

- Ach... niektórzy są wysocy. Wybacz mi, pani, ale jeśli...

- Widziałam, jak rozmawiałeś z Barthanesem. Powiadają, że znasz również Galdriana. Musisz do mnie przyjść na pogawędkę. Mój mąż właśnie wizytuje majątki na południu.

- Masz w sobie subtelność tawernianej dziewczki syknęła Alaine i natychmiast obdarzyła Randa uśmiechem. - Brak jej oglądy. Żadnemu mężczyźnie nie mogłaby się spodobać kobieta o tak wulgarnych manierach. Przyjdź z fletem do mojego dworu, to porozmawiamy. A może nauczyłbyś mnie grać?

- To, co Alaine uważa za subtelność - przymilnym tonem wtrąciła Belevaere - to tylko brak odwagi. Mężczyzna, który nosi miecz ze znakiem czapli, musi być odważny. To naprawdę miecz ze znakiem czapli, nieprawdaż?

Rand usiłował oddalić się od nich.

- Jeśli mi, panie, wybaczycie, to...

Szły za nim krok w krok, aż w końcu wpakował się plecami na ścianę - złączone z sobą szerokie spódnice utworzyły przed nim jeszcze jeden mur.

Drgnął nerwowo, gdy trzecia kobieta dołączyła do tamtych dwóch, jej spódnice dodatkowo powiększyły mur. Była od nich starsza, lecz równie piękna, rozbawiony uśmiech nie łagodził ostrości spojrzenia. Na sukni miała o połowę więcej pasków niż Alaine i Belevaere: młodsze kobiety dygnęły i obdarzyły ją ponurymi spojrzeniami.

- Czyżby te dwa pająki usiłowały cię zaplątać w swoje sieci? - Starsza kobieta roześmiała się. -

Na ogół zaplątują się same ściślej niż kto inny. Chodź ze mną, mój piękny chłopcze z Andoru, a powiem co nieco o kłopotach, jakich mogłyby ci przysporzyć. Ja przede wszystkim nie mam męża, którym należałoby się kłopotać. A mężowie są zawsze przyczyną kłopotów.

Ponad głową Elaine widział Thoma, prostującego się z ukłonu, którym dziękował za całkowity brak owacji, a nawet uwagi. Bard krzywiąc się, porwał kielich z tacy zaskoczonych służącego.

- Widzę kogoś, z kim muszę porozmawiać - powiedział Rand kobietom i wyslizgnął się z klatki, w której go zamknęły, dokładnie w chwili, gdy ta trzecia wyciągnęła dłoń, by złapać go za ramię. Wszystkie trzy odprowadzały go wytrzeszczonymi oczyma, gdy mknął w stronę barda.

Thom zlustrował go badawczym wzrokiem znad brzegu pucharu, po czym upił kolejny, długi łyk.

- Thom, wiem, mówiłeś, że to całkowite zerwanie, ale ja musiałem uciec od tych kobiet. Niby opowiadały tylko o swoich mężach, którzy wyjechali, ale dawały do zrozumienia różne rzeczy.

Thom zakrztusił się winem i Rand klepnął go w plecy.

- Jak się pije za szybko, to coś zawsze spłynie niewłaściwą drogą. Thom, oni tu myślą, że ja spiskuję z Barthanese, albo z Galldrianem, i nie uwierzą, jak im powiem, że to nieprawda. Potrzebowałem wymówki, żeby móc od nich odejść.

Thom pogładził długie wąsy kłykiem i zerknął na trzy kobiety po przeciwległej stronie komnaty. Nadal stały razem, obserwując Randa.

- Znam te trzy, chłopcze. Sama Breane Taborwin dałaby ci takie wykształcenie, jakie każdy mężczyzna winien otrzymać przynajmniej raz w życiu, o ile oczywiście byłby w stanie je przeżyć. Przejmują się swoimi mężami. To mi się podoba, chłopcze. - Nagle w jego oczach pojawił się ostrzejszy błysk. - Powiedziałeś mi, że już się uwolniłeś od Aes Sedai. Połowa rozmów, jakie się tutaj odbywają tego wieczora, dotyczy andorańskiego lorda, który się zjawił bez uprzedzenia, z Aes Sedai u boku. Barthanes i Galldrian. Tym razem sam pozwoliłeś, by Biała Wieża wpakowała cię do swego garnka.

- Przyjechała dopiero wczoraj, Thom. I jak tylko Róg będzie zabezpieczony, znowu się od nich uwolnię. Naprawdę mam zamiar tego dopilnować.

- Tak mówisz, jakby teraz nie był bezpieczny - powiedział wolno Thom. - Wcześniej twierdziłeś co innego.

- Sprzymierzeńcy Ciemności go ukradli, Thom. Przynieśli go tutaj. Barthanes jest jednym z nich.

Thom udawał, że wpatruje się w kielich z winem, lecz jego rozbiegane oczy upewniły się, że nikt nie jest dostatecznie blisko, by coś posłyszeć. Nie tylko trzy kobiety obdarzały ich ukradkowymi spojrzeniami, udając jednocześnie, że są pochłonięte rozmową, ale wszystkie grupki gapiów zachowały między sobą właściwy dystans. Thom jednak na wszelki wypadek nie podnosił głosu.

- To niebezpieczne mówić coś takiego, jeśli nie jest to prawdą, a jeszcze niebezpieczniej, jeśli jest przeciwnie. Takie oskarżenie przeciwko najpotężniejszemu człowiekowi w królestwie... Powiadasz, że to on ma Róg? Sądzę, że znowu szukasz mojej pomocy, gdyż ponownie zamieszaleś się w sprawy Białej Wieży.

- Nie. - Uznał, że Thom miał rację, nawet jeśli nie znał prawdziwego charakteru sytuacji. Nie mógł wciągać nikogo w swoje tarapaty. - Chciałem tylko uciec od tych kobiet.

Bard wydał wąsy, zaskoczony.

- Cóż. No tak. Bardzo dobrze. Po ostatnim razie, gdy udzieliłem ci pomocy, zacząłem kuleć, a ty najwyraźniej pozwoliłeś, by Tar Valon znowu cię uwiązało na swoich sznurkach. Tym razem będziesz musiał sam się z tego wywikłać. - Brzmiało to tak, jakby przekonywał samego siebie.

- Tak się stanie, Thom. Tak się stanie.

"Jak tylko Róg będzie bezpieczny, a Mat odzyska ten przeklęty sztylet. Mat, Hurin, gdzie

jesteście?"

Myśl ta stanowiła jakby wezwanie, bo w komnacie pojawił się Hurin i przyglądał się wszystkim zgromadzonym. Spoglądali na niego jak na powietrze - słudzy nie istnieli, dopóki nie byli potrzebni. Gdy znalazł Randa i Thoma, zaczął się przepychać między grupkami arystokratów, po czym uklonił się Randowi.

- Mój panie, przysłano mnie do ciebie z wiadomością. Twój sługa upadł i skręcił kolano. Nie wiem, czy to poważny upadek, mój panie.

Rand przez chwilę gapił się tylko na niego, dopóki nie zrozumiał. Świadom wszystkich wbitych w niego spojrzeń, przemówił tak głośno, by usłyszeli go stojący najbliżej.

- Niezdarny dureń. Na co mi on, skoro nie może chodzić? Chyba pójde sprawdzic, czy mocno się poranił.

Wydawało się, że powiedział właściwą rzecz. W głosie Hurma wyraźnie zabrzmiała ulga, gdy po złożeniu kolejnego ukłonu powiedział:

- Jak sobie mój pan życzy. Czy mój pan zechce iść za mną?

- Znakomicie udajesz lorda - cicho zauważył Thom. - Ale zapamiętaj jedno. Cairhienianie mogą grać w *Daes Dae'mar*, ale to przede wszystkim Biała Wieża wymyśliła Wielką Grę. Pilnuj się, chłopcze.

Spoglądając spode łba na arystokratów, odstawił pusty kielich na tacę przechodzącego obok służącego i wolnym krokiem odszedł, trącając struny harfy. Zaczął recytować *Kumoszkę Mili i Kupca Jedwabiem*.

- Prowadź, człeku - rozkazał Hurinowi Rand, wstydząc się swego głupiego zachowania. Gdy wychodził w ślad za wężycielem z komnaty, czuł na sobie odprowadzające go oczy.

# ROZDZIAŁ 10

## PRZESŁANIE Z MROKU

- Znaleźliście go? - spytał Rand, gdy prowadzony przez Hurina schodził w dół ciasną klatką schodową. Kuchnie znajdowały się na niższych poziomach i tam posyłano wszystkich służących, którzy usługiwali gościom. A może Mat rzeczywiście miał wypadek?

- Och, z Matem wszystko w porządku, lordzie Rand. - Węszyciel zmarszczył brwi. - W każdym razie na takiego wygląda, utyskuje jak człek pełen krzepy. Nie chciałem niepokoić, tylko potrzebowałem wymówki, żeby cię jakoś ściągnąć na dół. Trop znalazłem całkiem łatwo. Ludzie, którzy podłożyli ogień w karczmie, pokonali mur ogrodu znajdującego się na tyłach dworu. Dołączyły do nich trolloki i potem razem weszli do kuchni. Stało się to wczoraj, jak mi się zdaje. Może nawet jeszcze ubiegłej nocy. Zawahał się. - Lordzie Rand, oni już stąd nie wyszli. Muszą gdzieś tu być.

U stóp schodów rozlegały się, dobiegające z głębi komnaty, odgłosy zabawiającej się służby, śmiech i śpiewy. Ktoś miał bitterną, wybrzdąkiwał chropawą melodię, której akompaniowało rytmiczne klaskanie i łomot roztańczonych stóp. Nie było tu ani zdobnych sztukaterii, ani zachwycających gobelinów, sam nagi kamień i proste drewno. Wnętrza oświetlały świece knotami z sitowia, zasnuwając dymem sklepienia, a rozstawione w takich odległościach, że przestrzeń pomiędzy nimi tonęła w mroku.

- Cieszę się, że znowu przemawiasz do mnie zwyczajnie - powiedział Rand. - Tyle było tych ukłonów i szurania stopami, że już zaczynałem myśleć, że jesteś bardziej Cairhieninem niż Cairhienin.

Twarz Hurina poczerwieniała.

- No cóż, jeśli o to... - Zerknął w głąb sali, w stronę, z której dobiegała wrzawa i zrobił taką minę, jakby miał ochotę splunąć. - Oni wszyscy udają, że są tacy układni, ale... Lordzie Rand, każdy tu mówi, że jest lojalny względem swego pana albo pani, ale wszyscy dają do zrozumienia, że chętnie sprzedadzą, co wiedzą albo co podsłuchali. A jak już się trochę napiją, to mówią, zawsze szeptem do ucha, takie rzeczy o swoich chlebodawcach, od których człowiekowi włosy stają dęba. Ja wiem, że to Cairhienianie, ale w życiu nie słyszałem o niczym podobnym.

- Niebawem się stąd wydostaniemy, Hurin. - Rand miał nadzieję, że to prawda. - Gdzie ten ogród?

Hurin skręcił w boczny korytarz wiodący na tyły dworu.

- Czy sprowadziłeś już na dół Ingtara i innych?

Węszyciel pokręcił głową.

- Lord Ingtar pozwolił się osaczyć sześciu albo siedmiu takim, co mienią się damami. Nie mogłem podejść dostatecznie blisko, by móc z nim zamienić słowo. A Verin Sedai towarzyszył Barthanes. Takim mnie spojrzeniem obrzuciła, kiedym podszedł blisko, że w ogóle nie próbowałem jej nic mówić.

W tym momencie pokonali kolejny róg, za nim stali Loial, Mat i Perrin, lekko zgarbieni pod niskim sklepieniem.

Uśmiech Loiala omal nie rozpołowił mu twarzy.

- Jesteście nareszcie. Rand, w życiu się tak nie cieszyłem, kiedy mogłem od kogoś uciec, jak w chwili, gdy opuszczałem towarzystwo tych wszystkich ludzi na górze. Stale mnie wypytywali, czy ogirowie wracają i czy Galldrian postanowił spłacić swoje długi. Wydaje się, że mularze ogirów opuścili to miejsce, bowiem Galldrian nie płacił im już inaczej niż tylko obietnicami. Stale im

powtarzałem, że nic mi o tym nie wiadomo, ale jedna połowa zgromadzonych najwyraźniej uważała, że kłamię, a druga, że sugeruję coś nie istniejącymi podtekstami wypowiedzi.

- Niebawem się stąd wydostaniemy - zapewnił go Rand. - Mat, dobrze się czujesz?

Nie pamiętał, kiedy twarz przyjaciela wyglądała mizerniej, lepiej wyglądał nawet wtedy w karczmie, teraz jeszcze mocniej uwydatniły się kości policzkowe.

- Czuję się świetnie - burknął opryskliwie Mat tyle że z pewnością nie miałem żadnych problemów z opuszczeniem towarzystwa pozostałych służących. Ci, którzy nie pytali, czy mnie głodzisz, uważali, że jestem chory i nie chcieli podchodzić zbyt blisko.

- Czy wyczułeś sztylet? - spytał Rand.

Mat posępnie pokręcił głową.

- Przez większość czasu czułem tylko, że ktoś mnie obserwuje. Ci ludzie w skradaniu się są równie podstępni jak pomory. Niech szczenę, omal nie wyskoczyłem ze skóry, gdy Hurin powiedział, że odnalazł trop Sprzymierzeńców Ciemności. Ja go zupełnie nie czuję, a zwiedziłem ten przekłety budynek od krokwi po piwnice.

- To wcale nie znaczy, że go tu nie ma, Mat. Przypomnij sobie, schowałem go razem z Rogiem do szkatuły. Może z tego właśnie powodu go nie czujesz. Moim zdaniem Fain nie wie, jak się ją otwiera, bo inaczej nie zadawałby sobie trudu targania z sobą takiego ciężaru, gdy uciekał z Fal Dara. Przecież całe złoto, z jakiego ją zrobiono, nie jest wiele warte w porównaniu z Rogiem Valere. Jak znajdziemy Róg, znajdziemy również sztylet. Zobaczysz.

- O ile nie będę więcej musiał udawać twego sługi burknął Mat. - O ile ty nie popadniesz w obłąd i...

Pozwolił, by dalsze słowa zamarły mu na wykrzywionych grymasem ustach.

- Rand nie jest obłąkany, Mat - skarcił go Loial. Cairhienianie nigdy by go tu nie wpuścili, gdyby nie był lordem. To oni są obłąkani.

- Nie jestem obłąkany - powiedział oschle Rand. - Jeszcze nie. Hurin, pokaż mi ten ogród.

- Tędy, lordzie Rand.

Wyszli w mrok nocy przez drzwi tak niskie, że Rand musiał pochylić głowę, zaś Loial zgiąć się wpół i przygarbić ramiona. Z okien w górnej części budynku wylewały się żółte kałuże światła, dzięki którym Rand widział ścieżki między kwietnymi rabatami. Po obu stronach ogrodu wyrzuszały się w mroku cienie stajni i innych zabudowań. Słysząc było strzępy muzyki, dobiegające z piwnic, w których zabawiali się służący, albo z górnej kondygnacji, gdzie dostarczała rozrywki ich chlebodawcom.

Hurin prowadził ścieżkami przez miejsca, gdzie zbladła już mętna luna i musieli dalej wędrować przy samym świetle księżyca, nasłuchując cichego chrobotania butów po ceglanych podłożu. Krzewy, które w świetle dziennym pyszniłyby się kwiatami, wyglądały teraz jak dziwaczne garby. Rand muskał palcami miecz i uważał, by jego wzrok nie zatrzymał się zbyt długo w jednym miejscu. Dokoła mogła się kryć, niezauważenie, setka trolloków. Wiedział, że Hurin wykryłby trolloki, gdyby one tu były, ale ta świadomość nie bardzo pomagała. Jeśli Barthanes był Sprzymierzeńcem Ciemności, wówczas przynajmniej paru jego służących i strażników też nimi musiało być, a Hurin nie zawsze wyczuwał Sprzymierzeńca Ciemności. Gdyby wyskoczyli raptem z mroku, nie byłiby mniej groźni od trolloków.

- Tutaj, lordzie Rand - szepnął Hurin, wskazując ręką.

Kamienne mury, sięgające niewiele ponad głowę Loiala, otaczały placyk o bokach liczących jakieś pięćdziesiąt kroków. W otaczających ciemnościach Rand nie mógł być tego do końca pewien, wydawało się jednak, że ogrody ciągną się jeszcze dalej za murami. Zastanawiał się, po co Barthanes



obudował część przestrzeni w samym środku swego ogrodu.

"Dlaczego tu weszli? Po co mieliby tu wciąż pozostawać?"

Loial pochylił się, by móc szepnąć prosto do ucha Randa.

- Mówiłem ci, że tu kiedyś był gaj ogirów. Rand, w obrębie tych murów znajduje się brama.

Czuję to.

Rand usłyszał, jak Mat wzdycha z rozpaczą.

- Nie możemy się poddawać, Mat - upomniął go.

- Ja się nie poddam. Po prostu mam dość oleju w głowie, aby nie mieć ochoty na ponowną przeprawę przez drogi.

- Może będziemy zmuszeni - powiedział mu Rand. - Idź poszukać Ingara i Verin. Postaraj się jakoś porozmawiać z nimi na osobności, nie obchodzi mnie, jak to zrobisz, i przekaż im, że moim zdaniem Fain wyniósł Róg przez bramę. Tylko nie pozwól, by ktoś obcy to usłyszał. I pamiętaj, że masz kuleć, rzekomo miałeś wypadek.

Bardzo to dziwne, że nawet Fain ryzykował przeprawę przez drogi, wyglądało jednak, że nie ma innego wytłumaczenia.

"Nie siedzieliby przecież tutaj przez cały dzień i noc, nie mając nawet dachu nad głową".

Mat wykonał zamaszty ukłon, a jego głos wręcz kipiał sarkazmem.

- Natychmiast, mój panie. Jak mój pan sobie życzy. Czy mam ponieść twój sztandar, mój panie?

- Szedł już w stronę dworu, jego utyskiwania powoli cichły. - Teraz muszę kuśtykać. Potem każą mi skrócić kark albo...

- On się po prostu niepokoi sprawą sztyletu, Rand - powiedział Loial.

- Wiem - odparł Rand.

"Tylko jak długo to jeszcze potrwa, zanim, choćby nawet niechący, powie komuś, czym jestem?"

Nie sądził, by Mat celowo chciał go zdradzić, ostatecznie coś jeszcze zostało z łączącej ich przyjaźni.

- Loial, podsadź mnie, chciałbym zobaczyć, co jest za murem.

- Rand, jeśli Sprzymierzeńcy Ciemności są jeszcze...

- Nie ma ich. Podsadź mnie, Loial.

Cała trójka podeszła do muru, Loial zrobił ze swych dłoni strzemiono, w które Rand mógł włożyć stopę. Ogir wyprostował się, bez większego trudu pomimo dodatkowego ciężaru, unosząc Randa na taką wysokość, by mógł wystawić głowę ponad murem.

Światło wąskiego sierpa ubywającego księżycy było blade i rozproszone, nieomal wszystko okrywał gęsty cień, można jednak było dostrzec, że na ograniczonym murem obszarze nie rosną żadne kwiaty ani zarośla. Samotną ławę z kamienia ustawiono jakby po to, by mógł na niej przysiąść pojedynczy człowiek i przyglądać się konstrukcji, którą wzniesiono pośrodku ograniczonej przestrzeni - ogromnej, wbitej pionowo w ziemię, kamiennej tablicy.

Rand uchwycił rękoma szczyt muru i podciągnął się. Loial ostrzegł go stłumionym "psst" i złapał za stopę, wyrwał mu się jednak i przerzucił ciało przez mur, spadając na drugą stronę. Trawa pod jego stopami była krótko przystrzyżona: zaświtała mu mglista myśl, że Barathanes pewnie wpuszcza tam owce, a może nie tylko owce. Zagapiony na ocienioną kamienną tablicę - bramę - przestraszył się, gdy tuż obok niego załomotały buty. Ktoś poszedł w jego ślady.

Hurin wstał i otrząpał się z ziemi.

- Należało to zrobić ostrożniej, lordzie Rand. Tu mógł się ktoś ukryć. Ktoś albo coś. - Zbadał wzrokiem zamkniętą w kwadratowym murze mrok, a jego dłoń powędrowała do pasa, jakby szukała

krótkiego miecza i łamacza mieczy, które musiał zostawić w karczmie: służący w Cairhien nie chodzili uzbrojeni. - Wskocz do byle jamy, nie sprawdź jej pierwej, a niechybnie znajdziesz tam węża.

- Wyczułbyś ich - rzekł Rand.

- Może. - Węszyciel wciągnął powietrze do płuc. - Tylko że ja czuję to, co już zrobili, a nie to, co dopiero zamierzają.

Nad głową Randa rozległo się szuranie i po chwili z muru zsunął się Loial. Ogir nawet nie musiał wyciągać rąk na całą długość, by dotknąć stopami ziemi.

- Pochopność - mruknął. - Wy ludzie zawsze postępujecie pochopnie i pośpiesznie. I teraz ja sam tak przez ciebie postępuję. Starszy Haman skarciłby mnie surowo, zaś moja matka...

Na jego twarz padał cień, Rand jednak był pewien, że ogir energicznie strzyże uszami.

- Rand, jeśli nie zaczniesz wreszcie uważać, to wpakujesz mnie w tarapaty.

Rand podszedł do bramy, po czym okrążył ją dookoła. Nawet z bliska wyglądała jak zwykły, gruby plaster kamienia, wyższy od niego. Z tyłu była gładka i chłodna pogładził ją i natychmiast cofnął dłoń - z przodu natomiast ozdobiły ją rzeźbieniami ręce artysty. Winorośla, liście i kwiaty, wszystkie oddane tak wiernie, że w mętym blasku księżyca zdawały się nieomal żywe. Zbadał ręką grunt - w darni wyżłobione były dwa półkola, dokładnie takie, jakie mogły powstać przy otwieraniu skrzydeł bramy na oścież.

- Czy to jest brama? - spytał niepewnym głosem Hurin. - Słyszałem, co o nich opowiadano, ale... Wciągnął powietrze do nozdrzy. - Trop dochodzi do tego miejsca i tutaj się urywa, lordzie Rand. W jaki sposób będziemy teraz ich ścigać? Słyszałem, że jak człowiek przejdzie przez bramę, to wychodzi z niej szalony, o ile w ogóle.

- To się da zrobić, Hurin. Przeszedłem przez to, podobnie Loial, Mat i Perrin.

Rand oderwał wzrok od płataniny liści wyrzeźbionej w kamieniu. Wiedział, że jest tu jeden liść różniący się od pozostałych. Potrójny liść legendarnej *avendesory*, Drzewa Życia. Położył na nim dłoń.

- Założę się, że wywęszysz ich trop na drogach. Wszędzie tam, gdzie oni mogli się udać, my możemy ich ścigać.

Udowodni sobie, że umie się zmusić do przejścia przez bramę. To przecież nie boli.

- Udowodnię ci to.

Usłyszał głośny jęk Hurina. Tak jak inne liście, również i ten był wyrzeźbiony w kamieniu, został jednak w ręku Randa. Loial jęknął również.

W mgnieniu oka iluzja życia, jaką miały oko kamienne rośliny, zniemacka niemalże stała się rzeczywistością. Liście zatrzepotały na wietrze, kwiaty nabrały barw, mimo otulającego je mroku. Na samym środku roślinnej kaskady pojawiła się kreska i dwie połowy tablicy zaczęły wolno sunąć w stronę Randa. Odstąpił o krok, by mogły się otworzyć na całą szerokość. Nie zobaczył drugiej strony otoczonego murem placu, ale nie dostrzegł też, jak się spodziewał, mętnego, srebrzystego odbicia. Przestrzeń dzielącą otwarte skrzydła wypełniała czerń tak głęboka, że okalająca noc wydawała się jaśnieć przy niej. Niezglobiony mrok wyciekał z głębi wciąż odmykającej się bramy.

Rand uskoczył w tył z krzykiem, z pośpiechu upuszczając liść *avendesory*, zaś Loial zawołał z przerażeniem:

- *Machin Shin*. Czarny Wiatr!

Uszy wypełnił im szum, źdźbła trawy pokłoniły się pod falą czarnego oddechu, w górę wzbily tumany pyłu, wsysane przez powietrze. I zdało się, że w wietrze zamknięty był krzyk tysiąca, dziesięciu tysięcy, obłąkanych głosów, głosów, które zagłuszając jedne, tonęły w innych. Wbrew

swej woli Rand rozróżniał niektóre.

"...jaka słodka krew, jak słodko pić krew, krew, która kapie, kapie, kroplami tak czerwonymi, piękne oczy, cudne oczy, nie mam oczu, wyrwę oczy z twojej głowy, przemielę twe zęby, rozszczępię kości w twym ciele, wyssam szpik, gdy będziesz krzyczeć, krzyczeć, krzyk, śpiewny krzyk, śpiewaj krzykiem..."

A najgorszy w tym wszystkim był szept uporczywie wybijający się ponad inne głosy.

"Al'Thor. Al'Thor. Al'Thor".

Rand zatonął w pustce i przyjął ją, zupełnie już nie zważając na zwodniczą, mdlącą łunę *saidina*, tuż poza zasięgiem pola widzenia. Czarny Wiatr stanowił największe z wszystkich niebezpieczeństw czyhających na drogach: porywał dusze tym, których zabił, a tych, którym darował życie, doprowadzał do szaleństwa. Jednakże *Machin Shin* stanowił część dróg - nie mógł ich opuścić. Rozprasząc się, uchodził tylko w noc i wzywał jego imię.

Brama jeszcze nie otworzyła się na pełną szerokość. Gdyby tylko udało im się ułożyć liść *avendesory* na miejsce... Zauważył, że Loial pełźnie niezdarnie na czworakach, obmacując i rozgarniając niewidoczną w mroku trawę.

Wypełnił go *saidin*. Miał wrażenie, że kości mu wibrują, jego wnętrze rozgrzane było do czerwoności, jednakże poczuł zimny jak lód przepływ Jedynej Mocy, poczuł, że teraz dopiero żyje naprawdę, jak nigdy przedtem, poczuł oleistą skazę...

"Nie!"

I wtedy odpowiedział sobie niemym krzykiem zza skorupy pustki:

"On przybywa po ciebie! Zabije nas wszystkich!"

Cisnął coś w stronę czarnego wybrzuszenia, wystającego z bramy na całą piędź. Nie wiedział, czym właściwie cisnął, ani też w jaki sposób to zrobił, niemniej w samym sercu ciemności wykwitła fontanna roziskrzzonego światła.

Czarny Wiatr zaskrzeczał dziesięcioma tysiącami bezsłownych wrzasków w agonii. Powoli, niechętnie, cal po calu, wybrzuszenie zapadło się, wylew ustępował stopniowo, pochłaniało je wnętrze wciąż otwartej bramy.

Moc popłynęła rwącym potokiem. Czuł więź łączącą go z *saidinem*, jak rzekę zlaną z powodzią, łączącą go z rozszalałą kataraktą, czystym ogniem płonącym w samym sercu Czarnego Wiatru. Przepelniający go gorąc ochłódł do białego żaru, a potem było lśnienie, które mogło stopić kamień, zmienić stal w obłok pary i sprawić, że powietrze stanie w płomieniach. Chłód narastał, był tak wielki, że oddech w płucach mógł skrzepnąć w lód, w twardy jak metal monolit. Czuł, jak go opanowuje, jak życie ulega erozji, niczym miękka glina rzeczno-brzegu, jak to, czym jest, ulega zatarciu.

"Nie mogę się cofnąć! Jeśli się wydostanie na zewnątrz... Muszę go zabić! Nie... mogę... się cofnąć!"

Rozpaczliwie czepiał się rozproszonych okruchów swej osobowości. Jedyne Moc mknęła przez niego z rykiem, unosił się w niej niczym drewniana drzazga porwana przez wodny wir. Pustka zaczęła topnieć i wyciekać, jej skorupa zaparowała lodowatym chłodem.

Skrzydła bramy zatrzymały się i po chwili zaczęły pełznąć ponownie, w drugą stronę.

Rand patrzył, mroczne myśli unoszące się na powierzchnię pustki niosły pewność, że widzi tylko to, co chce widzieć.

Skrzydła bramy powoli zbliżały się do siebie, spychając *Machin Shin* do środka, jakby był utkany z substancji materialnej. W oddechu Czarnego Wiatru wciąż szalało inferno.

Pogrążony w niejasnym, odległym zadziwieniu Rand zobaczył Loiala, nadal na czworakach

umykał przed zamykającymi się skrzydłami.

Otwór zacieśniał się, zanikał. Liście i winorośla zlewały się, tworząc litą ścianę, na powrót kamienne.

Rand poczuł, że więź między nim a ogniem pęka, że przepływ Mocy ustaje. Jeszcze chwila, a byłby go zupełnie zmiotł. Rozdygotany padł na kolana. Był tam jeszcze. *Saidin*. Nie płynął już, tylko był, tworzył kałużę. Stał się kałużą Jedynej Mocy. Drżał razem z nią. Czuł woń trawy, ziemi, na której rosła trawa, kamienia murów. Mimo ciemności widział każde źdźbło trawy, każde z osobna i z wszystkimi szczegółami, wszystkie źdźbła jednocześnie. Czuł najłżejsze podmuchy powietrza na twarzy. Język cierpł od smaku skazy, żołądek ściągał się i przewracał, targany spazmami.

Jak oszalały szarpał się z ograniczającą go pustką, walczył o wolność, wciąż na kolanach, nie ruszając się. I nagle nie zostało już nic, prócz zanikającego smaku ohydy na języku, skurczu w żołądku i pamięci. Jakże żywej.

- Uratowałeś nas, budowniczy. - Hurin stał, wciśnięty plecami w mur, mówił ochryplym głosem. - To coś, czy to był Czarny Wiatr? To było gorsze od... czy ten ogień leciał na nas? Lordzie Rand! Czy nic ci nie zrobił? Czy dotknął cię?

Podbiegł, gdy właśnie Rand wstawał, pomógł wyprostować się do końca. Loial też się podnosił, otrząpywał ręce i kolana z ziemi.

- Nigdy nie złapiemy Faina tym sposobem. - Rand dotknął ramienia Loiala. - Dziękuję ci. Naprawdę nas uratowałeś.

"W każdym razie uratowałeś mnie. To mnie zabijało. Mimo że zabijało, uczucie było cudowne". Przełknął ślinę, do wnętrza ust wciąż jeszcze przywierał odległy posmak.

- Chciałbym się czegoś napić.

- Ja tylko znalazłem liść i odłożyłem go na miejsce - powiedział Loial, wzruszając ramionami. - Wyglądało na to, że jeśli nie zamkniemy bramy, to Wiatr nas zabije. Obawiam się, że żaden ze mnie bohater, Rand. Ze strachu omal nie postradałem zmysłów.

- Obaj się baliśmy - pocieszył go Rand. - Może kiepscy z nas bohaterowie, ale ostatecznie każdy jest tym, czym jest. Dobrze, że Ingtar jest z nami.

- Lordzie Rand - wtrącił nieśmiało Hurin - czy moglibyśmy... już stąd pójść?

Węszyciel narobił zamieszania, upierając się, że Rand nie powinien pierwszy przechodzić przez mur, skoro nie wie, co tam na zewnątrz go czeka. Rand musiał mu wskazać, że tylko on ma przy sobie broń. Nawet pomimo tego Hurinowi wyraźnie się nie podobało, gdy Loial podniósł Randa, by ten mógł ucześcić się szczytu muru i przeskoczyć na drugą stronę.

Wylądował stopami z głośnym łomotem, nasłuchując i rozglądając się w mroku. Przez chwilę zdawało mu się, że dostrzega jakiś ruch, że słyszy skrzyp podeszew na ceglany chodniku, dźwięki te jednak się nie powtórzyły, więc zrzucił wszystko na karb zdenerwowania. Odwrócił się, by pomóc Hurinowi zejść z muru.

- Lordzie Rand - powiedział węszyciel, gdy już stał na pewnym gruncie - w jaki sposób będziemy ich dalej ścigać? Z tego, co wiem o drogach, cała banda mogła wyruszyć w dowolnym kierunku i do tej pory pokonać połowę świata.

- Verin coś wymyśli.

Randowi nagle zachciało się śmiać: żeby znaleźć Róg i sztylet - o ile to jeszcze było możliwe - musiał wrócić do Aes Sedai. Puściły go wolno, a on musiał teraz do nich wrócić.

- Nie pozwolę, by Mat umarł dlatego, że nie dołożyłem wszelkich starań.

Przyłączył się do nich Loial i razem ruszyli w stronę dworu. W drzwiach napotkali Mata - otworzył je dokładnie w tym samym momencie, w którym Rand sięgnął do klamki.

- Verin mówi, że nie masz nic robić. Powiada, że na razie wystarczy, jeśli Hurin znalazł miejsce, w którym schowany jest Róg. Mówi, że jak tylko wrócicie, to zaraz stąd pójdziemy, a potem ułożymy jakiś plan. A ja z mojej strony powiadam, po raz ostatni biegałem w tę i z powrotem z posłaniami. Jeśli chcesz coś komuś przekazać, to od tej pory będziesz mu to mówił sam. - Mat zbadał wzrokiem znajdującą się za nimi ciemność. - Czy Róg jest gdzieś tam? W jakimś bocznym budynku? Widzieliście sztylet?

Rand obrócił go w drugą stronę i wepchnął do środka. - Nie został ukryty w żadnym bocznym budynku, Mat. Liczę, że Verin wpadnie na jakiś dobry pomysł, co teraz robić, bo ja nie mam żadnych.

Po twarzy Mata widać było, że ma ochotę na dalsze pytania, pozwolił się jednak poprowadzić źle oświetlonym korytarzem. Przypomniawszy sobie nawet, że powinien kuleć, gdy zaczęli się wspinać po schodach.

W momencie, gdy wkraczali z powrotem do komnat wypełnionych gośćmi, ponownie natknęli się na czujne spojrzenia. Rand zastanawiał się, czy ci ludzie jakimś cudem nie dowiedzieli się o tym, co zaszło w ogrodzie albo czy nie powinien był odesłać Hurina i Mata do frontowego hallu, by tam zczekali, ale potem stwierdził, że spojrzenia nie wyrażały żadnego dodatkowego znaczenia, były takie jak przedtem, dociekliwe i kalkulujące, pytały, co on i ogir razem robili. Słudzy dla nich nie istnieli. Jako że stanęli w jednej grupie, nikt się nie zbliżył. Na tym najwyraźniej polegał protokół konspiracji Wielkiej Gry: każdy miał prawo do podsłuchiwania prywatnej rozmowy, nikt natomiast nie mógł się do niej wtrącać.

Verin i Ingtar stali obok siebie, dzięki czemu i oni byli sami. Ingtar wyglądał na nieco oszołomionego. Verin obdarzyła Randa i pozostałych trzech przelotnym spojrzeniem, uniosła brew na widok tego, co wyrażały ich twarze, potem poprawiła szal i ruszyła w stronę wejściowego hallu.

Gdy już tam dotarli, pojawił się Barthanes, jakby ktoś mu doniósł, że wychodzą.

- Opuuszczacie mnie tak wcześnie? Verin Sedai, czy nie dasz się ubłagać i nie zostaniesz dłużej?

Verin pokręciła głową.

- Musimy już iść, lordzie Barthanesie. Nie byłam w Cairhien od kilku lat. Ucieszyłam się, żeś zaprosił młodego Randa. Było... interesująco.

- Niechaj zatem łaska opatrności odprowadzi was bezpiecznie do waszej karczmy. "Wielkie Drzewo", nieprawdaż? A może zaszczycicie mnie raz jeszcze swą obecnością? Przyniesiesz mi zaszczyt, Verin Sedai, i ty, lordzie Rand, także i ty, lordzie Ingtarze, nie wspominając już o tobie, Loialu.

Aes Sedai ofiarował ukłon nieco bardziej uprzejmy, jednakże nawet dla niej nie pochylił się zbyt głęboko.

Verin podziękowała skinieniem głowy.

- Być może. Niechaj cię Światłość opromienia, lordzie Barthanesie.

Odwróciła się w stronę drzwi.

Gdy Rand ruszył w ślad za wychodzącymi, Barthanes zatrzymał go, chwytając dwoma palcami za rękaw. Mat wyraźnie też był gotów zostać, dopóki Hurin nie pociągnął go do przodu, by dołączyć do Verin i reszty.

- Zabrnąłeś w grę mocniej niż myślałem - powiedział cicho Barthanes. - Nie wierzyłem, gdy poznałem twoje miano, a jednak się pojawiłeś, pasowałeś do opisu i... Ofiarowano mi wiadomość dla ciebie. Mimo wszystko myślę, że chyba ci ją przekażę.

Gdy Barthanes się odezwał, Rand poczuł, że ciarki mu przechodzą po kręgosłupie, przy ostatnich słowach natomiast otworzył szeroko oczy.

- Wiadomość? Od kogo? Od lady Selene?

- Od mężczyzny. Nie należy do tego pokroju ludzi, od których zwykle przyjmować posłania, jednak ten ma... pewne... roszczenia względem mnie, których zignorować nie mogę. Nie przedstawił się, ale pochodzi z Lugard. Aaach! Znasz go.

- Znam go.

"Czyżby Fain zostawił wiadomość?"

Rand rozejrzał się po przestronnym hallu. Mat i Verin czekali przy drzwiach wraz z pozostałymi. Pod ścianą stał szereg sztywno wyprostowanych służących w liberiach, gotowych skoczyć na każdy rozkaz, mimo że zdawali się niczego teraz ani nie słyszeć, ani nie widzieć. Z głębi dworu dobiegały odgłosy przyjęcia. Nie przypominało to miejsca, które mogliby zaatakować Sprzymierzeńcy Ciemności.

- Co to za wiadomość?

- On mówi, że będzie na ciebie czekał na Głowie Tomana. Ma to, czego ty szukasz i jeśli chcesz to mieć, musisz ruszyć w ślad za nim. Mówi, że jeśli nie zechcesz tego uczynić, to on będzie nękał twą krew, twoich ludzi i tych, których kochasz dopóty, dopóki nie staniesz z nim twarzą w twarz. Brzmi to, rzecz jasna, niedorzecznie, gdy ktoś taki mówi, że będzie nękał lorda, ale w tym człeku było coś szczególnego. Moim zdaniem jest szalony: zaprzeczał nawet, żeś jest lordem, mimo że każdy to przecież widzi. A jednak, jak powiadam, w tym się coś kryje. Cóż to takiego on z sobą niesie i każe strzec trollokom? Czy właśnie tego szukasz?

Barthanes udał, że jest zgorszony obcesowością swych pytań.

- Niechaj cię światłość opromienia, lordzie Barthanesie. - Randowi udało się w jakiś sposób wykonać ukłon, ale ugiwały się pod nim nogi, gdy szedł w stronę Verin i reszty kompanii.

"On chce, żebym go ścigał? I będzie szkodził Polu Emonda, Tamowi, jeśli go nie posłucham".

Nie miał wątpliwości, że Fain jest do tego zdolny, że robi to na pewno.

"Przynajmniej Egwene jest bezpieczna w Białej Wieży".

Miewał już, przyprawiające o mdłości, wizje hord trolloków napadających na Pole Emonda, bezokich pomorów czyhających na Egwene.

"Ale jak ja go mam ścigać? Jak?"

Znajdował się już na zewnątrz, w mroku nocy, dosiadał Rudego. Verin, Ingtar i inni siedzieli już na koniach, shienarańska eskorta zamykała wokół nich krąg.

- Czego się dowiedzieliście? - spytała Verin. - Gdzie on go ukrył?

Hurin chrząknął głośno, a Loial poprawił się na swym wysokim siodle. Aes Sedai przyjrzała im się badawczo.

- Fain wywiózł Róg na Głowę Tomana przez bramę - odparł tępym głosem Rand. - W tej chwili już tam najprawdopodobniej na mnie czeka.

- Porozmawiamy o tym później - orzekła Verin głosem tak stanowczym, że w drodze do miasta i "Wielkiego Drzewa" nikt się nie odezwał ani słowem.

Uno zostawił ich tam, po czym zabrał żołnierzy do karczmy na podgrodziu, uprzednio odebrawszy jakiś cichy rozkaz od Ingtara. Hurin tylko raz spojrział w świetle głównej izby na ściągniętą twarz Verin, mruknął coś o piwie i samotnie umknął do stołu stojącego w kącie. Aes Sedai zbyła karczmarkę i jej ochoczo wyrażoną nadzieję, że dobrze się bawiła, po czym bez słowa poprowadziła Randa i całą grupę do prywatnej sali jadalnej.

Perrin podniósł wzrok znad *Podróży .laina Długi Krok*, gdy weszli do środka, na widok ich twarzy zmarszczył czoło.

- Zdaje się, że nie poszło najlepiej? - zagaił, zamykając oprawioną w skórę książkę.

Lampy i woskowe świece, otaczające wnętrze izby, dawały dużo światła: pani Tiedra żądała

sutej zapłaty od swych gości, ale nie oszczędziła im niczego.

Verin starannie złożyła szal i przewiesiła go przez oparcie krzesła.

- Powtórzcie teraz wszystko. Sprzymierzeńcy Ciemności wywieźli Róg przez bramę? Bramę na terenie dworu Barthanesa?

- Tam, gdzie teraz stoi dwór, rósł kiedyś gaj ogirów - wyjaśnił Loial. - Gdy zbudowaliśmy...

Pod wpływem jej spojrzenia głos mu zamarł i oklapły uszy.

- Hurin doszedł po ich śladach aż do samej Bramy. - Rand zwałił znużone ciało na krzesło.

"Teraz muszę ich ścigać jeszcze zacieklej niż dotąd. Tylko jak?"

- Otworzyłem ją, żeby mu pokazać, że może ich tropić wszędzie, dokądkolwiek się udali, ale był tam Czarny Wiatr. Usiłował nas złapać, jednak Loialowi udało się zamknąć skrzydła bramy, zanim wydostał się całkiem na zewnątrz. - Mówiąc to poczerwieniał odrobinę, ale ostatecznie Loial naprawdę zamknął bramę, a z tego co wiedział, *Machin Shin* uwolniłby się, gdyby nie to. - On jej strzegł.

- Czarny Wiatr - powiedział bez tchu Mat, zastygł bez ruchu w połowie drogi do krzesła.

Perrin też wgapił się jak oniemiały w Randa. Podobnie Verin i Ingtar. Mat opadł na krzesło z głośnym łomotem.

- Chyba się mylisz - stwierdziła w końcu Verin. - Nie da się wykorzystać *Machin Shin* jako strażnika. Nikt nie potrafi nakłonić Czarnego Wiatru, by cokolwiek zrobił.

- Wiatr jest dziełem Czarnego - zauważył Mat odrętwiałym głosem. - Oni są Sprzymierzeńcami Ciemności. Może wiedzieli, jak go poprosić o pomoc albo jak go zmusić, by pomógł.

- Nikt nie wie, czym dokładnie jest *Machin Shin* odparła Verin - poza być może tym, że jest to czysta esencja szaleństwa i okrucieństwa. Nie można go do niczego nakłonić, Mat, ani też handlować z nim albo rozmawiać. Nikt nie potrafi go do niczego zmusić, nawet żadna z żyjących Aes Sedai, a być może nie potrafiła tego ani jedna w przeszłości. Naprawdę sądzisz, że Padan Fain umiałby zrobić coś, czego nie potrafi dziesięć Aes Sedai?

Mat potrząsnął głową.

W izbie czuło się rozpacz z powodu utraty nadziei i celu. Przedmiot ich poszukiwań zniknął i nawet po twarzy Verin widać było, że stanęła w martwym punkcie.

- W życiu by mi nie przyszło do głowy, że Fain się odważy skorzystać z dróg. - Ingtar wypowiedział to spokojnie, ale potem znieczeka uderzył pięścią w ścianę. - Nie obchodzi mnie, jak to się stało, że *Machin Shin* działa w imieniu Faina, nie obchodzi mnie nawet, czy to prawda. Oni zabrali Róg Valere na drogi, Aes Sedai. Teraz są już z pewnością na Ugorze albo w połowie drogi do Łzy lub Tanchico, a może po drugiej stronie Pustkowia Aiel. Róg został stracony. Ja jestem stracony. - Opuścił ręce i zgarbił ramiona. - Stracony.

- Fain wiezie go na Głowę Tomana - powiedział Rand i natychmiast znalazł się pod ostrzałem wszystkich spojrzeń.

Verin przyjrzała mu się z ukosa.

- Już to raz mówiłeś. Skąd o tym wiesz?

- Zostawił dla mnie wiadomość Barthanesowi - wyjaśnił Rand.

- To podstęp - powiedział drwiącym tonem Ingtar. - Nie zdradziłby nam, gdzie mamy go ścigać.

- Nie wiem, co wy wszyscy macie zamiar teraz zrobić - oświadczył Rand - ale ja jadę na Głowę Tomana. Muszę. Wyruszam z pierwszym brząskiem.

- Ależ Rand - zdumiał się Loial - na Głowę Tomana będziemy jechać całymi miesiącami. Na jakiej podstawie myślisz, że Fain zaczeka tam?

- Zaczeka.

"Tylko jak długo, zanim uzna, że ja jednak tam nie przybędę? Dlaczego ustawił Czarny Wiatr na straży, skoro chce, bym go ścigał?"

- Loial, będę jechał najszybciej, jak się da, jeśli zajeżdżę Rudego na śmierć, to kupię nowego konia albo i nawet ukradnę, jeśli zajdzie taka konieczność. Jesteś pewien, że chcesz mi towarzyszyć?"

- Trzymałem się ciebie tak długo, Rand. Dlaczego miałbym cię teraz opuścić? - Loial wyciągnął fajkę i mieszek, po czym zaczął upychać kciukiem tytoń w wielkiej lufce. - Widzisz, ja cię lubię. Lubiałbym cię nawet wtedy, gdybyś nie był *ta'veren*. A może lubię cię nawet pomimo to. Ty chyba naprawdę sprawiasz, że cały czas po szyję pogrążam się w ukropie. W każdym razie jadę z tobą. - Włożył cybuch do ust, by sprawdzić, czy może się zaciągnąć, potem wyjął drewnianą drzazgę z kamiennego naczynia stojącego na kominku i przypalił ją od płomienia świecy. - I wydaje mi się, że mnie nie zatrzymasz.

- No to ja też jadę - zdecydował Mat. - Fain ciągle ma sztylet, więc też jadę. Tylko od tego wieczora koniec z udawaniem sługi.

Perrin westchnął, wyraz jego żółtych oczu odzwierciedlał wewnętrzną walkę.

- Myślę, że też pojedę. - Po chwili uśmiechnął się szeroko. - Ktoś musi pilnować Mata, żeby nie napytał sobie jakiejś biedy.

- Podstęp nawet niezbyt sprytny - burknął Ingtar. - Dopadnę w jakiś sposób Barthanesa na osobności i dowiem się prawdy. Chcę mieć Róg Valere, a nie gonić za błędnymi ognikami.

- To może nie być podstęp - z namysłem zaczęła Verin, pozornie badając wzrokiem podłogę pod swymi stopami. - W lochach Fal Dara zostały pewne rzeczy, napisy, które wskazywały na związek między tym, co się wydarzyło tamtej nocy, a... Głową Tomana. Nadal nie rozumiem ich do końca, ale uważam, że musimy jechać. I wierzę, że tam odnajdziemy Róg.

- Nawet jeśli oni wyprawiają się do Głowy Tomana zauważył Ingtar - to zanim tam dotrzemy, Fain albo jakiś inny Sprzymierzeniec Ciemności zdaży w Róg zadać ze sto razy i bohaterzy, którzy powstaną z grobów, ruszą do boju pod sztandarem Cienia.

- Fain mógł zadać w Róg już sto razy od wyjazdu z Fal Dara - uprzytomniła mu Verin. - I moim zdaniem zrobiłby to, gdyby umiał otworzyć szkatułę. Martwić to my się musimy tym, by przypadkiem nie znalazł kogoś, kto wie, jak się ją otwiera. Musimy ruszyć za nim w pościg za pomocą dróg.

Perrin uniósł głowę gwałtownym ruchem, krzesło Mata zaszurało. Loial jęknął głucho.

- Gdybyśmy nawet przeszliżnęli się jakoś przez straże Barthanesa - powiedział Rand - to moim zdaniem tam nadal jest *Machin Shin*. Nie możemy skorzystać z dróg.

- Ilu z nas mogłoby się przedostać na tereny Barthanesa? - spytała, lekceważąc to Verin. - Są jeszcze inne bramy. Stedding Tsofu jest położony niedaleko miasta na południowym wschodzie. To młody *stedding*, odkryty ponownie zaledwie przed sześciuset laty, ale starsi ogirowie utrzymywali jeszcze wówczas drogi. W Stedding Tsofu będzie brama. I do niego właśnie wyruszymy razem z pierwszym brzaskiem.

Loial wydał jakiś nieco głośniejszy dźwięk, a Rand nie umiał zdecydować, czy ten dźwięk odnosił się do bramy czy do *stedding*.

Ingtar nadal nie wyglądał na przekonanego, natomiast twarz Verin była tak zdecydowana i nieprzejednana jak śnieg osuwający się z górskiego zbocza.

- Nakazesz żołnierzom przygotować się do jazdy, Ingtarze. Poślij Hurina z wiadomością dla Uno, zanim położy się spać. Uważam, że wszyscy powinniśmy położyć się jak najwcześniej. Sprzymierzeńcy Ciemności mają nad nami przewagę co najmniej jednego dnia i mam zamiar nadrobić jutro, ile się da.

W zachowaniu zażywej Aes Sedai było tyle zdecydowania, że Ingtar praktycznie dał się jej



zapędzić do drzwi, jeszcze zanim skończyła mówić.

Rand wyszedł z izby razem z innymi, jednakże już przy drzwiach przystanął obok Aes Sedai i odprowadził wzrokiem Mata przemierzającego oświetlony świecami korytarz.

- Dlaczego on tak wygląda? - spytał ją. - Myślałem, że go uzdrowiłyście, w każdym razie w takim stopniu, by ofiarować mu trochę czasu.

Odczekała, aż Mat i reszta skręca na schody, zanim zaczęła mówić.

- Najwidoczniej uzdrawianie nie zadziałało tak dobrze, jak oczekiwaaliśmy. Ta choroba ma w nim interesujący przebieg. Nie traci sił, zachowa je do samego końca, jak mniemam. Natomiast jego ciało marnieje. Powiedziałabym, jeszcze kilka tygodni, co najwyżej... Jak widzisz, istnieją powody do pośpiechu.

- Nie potrzebuję dodatkowej ostrogi, Aes Sedai odparł Rand, wymawiając tytuł nieco ostrzejszym tonem.

"Mat. Róg. Pogróżki Faina. Światłości, Egwene! Niech szeszę, nie potrzebuję dodatkowej ostrogi".

- A jak tam z tobą, Randzie al'Thor? Dobrze się czujesz? Nadal walczysz, czy już się poddałeś nakazom Koła?

- Pojadę z tobą szukać Rogu - obiecał jej. - Poza tym nie istnieje nic pomiędzy mną a Aes Sedai. Czy mnie rozumiesz? Nic!

Verin nie odpowiedziała i wtedy zostawił ją samą, lecz gdy już skręcał, by wejść na schody, zauważył, że nadal na niego patrzyła swymi ciemnymi oczyma, przenikliwie i badawczo.

# ROZDZIAŁ 11

## KOŁO OBRACA SIĘ

Pierwsze światło poranka perliło się już na niebie, kiedy Thom Merrilin włókł się z powrotem do "Kiści Winogron". Nawet w największym zgromadzeniu sal widowiskowych i tawern nadchodziła taka krótka pora, gdy podgrodzie cichło, nabierając oddechu. W swoim obecnym nastroju Thom nawet by nie zauważył, gdyby pusta ulica stanęła nagle w płomieniach.

Paru gości Barthanesa uparło się, by zatrzymać go jeszcze długo po zakończeniu balu, długo nawet po tym, jak sam Barthanes udał się na spoczynek. To była j ego wina, że wybrał *Wielkie Polowanie na Róg* zamiast opowieści i pieśni, które odtwarzał po wioskach, typu *Mara i trzech głupich krok*, *Jak Susa usidliła Jaina Długi Krok* albo opowiadania o *Anli, mądrym doradcy*. Dokonał takiego wyboru, bo chciał skomentować ich głupotę, ale nawet mu się nie śniło, że będą go słuchać, a jeszcze mniej, że kogoś zaintryguje. Zaintryguje w specyficzny sposób. Często kazali sobie coś powtarzać, ale śmiali się w nieodpowiednich miejscach, z niewłaściwych rzeczy. Śmiali się również z niego, najwyraźniej myśląc, że tego nie widzi, albo że pełna sakiewka wepchnięta do kieszeni każdą uleczy ranę. Dwa razy omal jej nie wyrzucił.

Ciężka sakiewka, która przepalała mu kieszeń i dumę, nie była jedyną przyczyną złego nastroju, podobnie zresztą jak pogarda arystokratów. Wypytywali go o Randa, nie bawiąc się z prostym bardem w żadne subtelności. Po co Rand przyjechał do Cairhien? Dlaczego andorański lord odciągnął jego, zwykłego barda, na bok? Za dużo pytań. Nie był pewien, czy udzielał dostatecznie sprytnych odpowiedzi. Refleks niezbędny do udziału w Wielkiej Grze - zardzewiał.

Zanim skierował kroki w stronę "Kiści Winogron", powędrował do "Wielkiego Drzewa" - nie było trudno się dowiedzieć, gdzie ktoś się otrzymał w Cairhien, jeśli wcisnąć w kilka garści odrobinę srebra. Nadal nie bardzo zdawał sobie sprawę, co zamierzał powiedzieć. Rand już wyjechał razem ze swymi przyjaciółmi i Aes Sedai. Pozostało poczucie, że należało coś uczynić, coś czego nie dopatrzyło się wcześniej.

"Ten chłopak idzie teraz własną drogą. Niech szczenę, ja z tym skończyłem!"

Minął główną izbę, pustą jak mała kiedy, i zaczął pokonywać schody, po dwa za jednym razem. To znaczy próbował - prawa noga nie ugięła się zbyt sprawnie i omal nie upadł. Burcząc w duchu, wspiął się do końca wolniejszym krokiem, potem cicho otworzył drzwi do pokoju, starając się nie obudzić Deny.

Mimo woli uśmiechnął się, gdy zobaczył ją leżącą na łóżku, z twarzą zwróconą do ściany, nadal ubraną w suknię.

"Zasnęła, czekając na mnie. Głupia dziewczyna".

Ta myśl rozgrzała serce - raczej nie mogła zrobić nic, czego by jej nie zapomniał, ani nie wybaczył. Pod wpływem chwilowego impulsu postanowił, że najbliższego wieczora pozwoli jej wystąpić po raz pierwszy. Należało jej od razu o tym powiedzieć - ustawił futerał z harfą na podłodze i położył dłoń na ramieniu Deny, chcąc ją zbudzić.

Opadła bezwładnie na plecy, znad rozciętego gardła spojrzały prosto na niego szkliste, otwarte szeroko oczy. Ta strona łóżka, którą dotąd zasłaniało jej ciało, była ciemna i nasiąknięta wilgocią.

Żołądek skręcił się - gdyby nie miał gardła ściśniętego tak mocno, że nie mógł złapać tchu, byłby zwymiotował i zacząłby krzyczeć, uczyniłby zapewne jedno i drugie naraz.

Ostrzegło go skrzypnięcie drzwi szafy. Błyskawicznie odwrócił się, z rękawów wyskoczyły noże, dłonie przedłużyły tor ich ruchu. Pierwsze ostrze utknęło w gardle tłustego, łysiejącego

mężczyzny ze sztyletem w dłoni. Ugodzony zatoczył się w tył, spomiędzy zaciśniętych palców wytrysnęły bańki krwi w chwili, gdy próbował krzyknąć.

Obrót na chorej nodze wytrącił drugi nóż z ręki Thoma, ostrze utknęło w prawym ramieniu mocno umięśnionego mężczyzny z twarzą pokrytą bliznami, który właśnie gramolił się z drugiej szafy. Zraniona ręka, która nagle odmówiła posłuszeństwa, wypuściła nóż, napastnik zatoczył się w stronę drzwi.

Nim zdążył wykonać drugi krok, Thom dobył kolejny nóż i smagnął od tyłu jego nogę. Wielki mężczyzna wrzasnął i potknął się, wtedy bard schwycił w garść tłuste kudły i z całej siły wyrzucił jego twarzą o ścianę przy drzwiach. Rozległ się kolejny, przeraźliwy krzyk, gdy rękojeść noża, wystająca z ramienia, uderzyła o podłogę.

Thom zatrzymał ostrze noża w odległości cała od ciemnego oka napastnika. Blizny na jego twarzy nadawały mu srogi wygląd, jednak w tym momencie jego wzrok zamarł, utkwiony w czubek klingi, morderca nie mrugał i nie poruszał nawet jednym mięśniem. Tłuszcioch, którego ciało częściowo spoczywało w szafie, wierzgnął po raz ostatni i znieruchomiał,

- Zanim cię zabiję - powiedział Thom - wyjaśnij mi coś. Dlaczego? - pytał cichym, zduszonym głosem, cały odrętwiały w środku.

- Wielka Gra - odparł szybko pytany. Akcent miał typowy dla ulicy, podobnie jak ubranie, odrobinę jednak zbyt porządne, za mało znoszone. Mieszkańcy podgrodzia zazwyczaj za bardzo nie szafowali groszem. - Nic do ciebie nie mam, rozumiesz? To tylko gra.

- Gra? Ja się nie mieszam do *Daes Dae'mar!* Kto chciałby mnie zabić w imię Wielkiej Gry?

Mężczyzna zawahał się. Thom przybliżył nóż. Gdyby leżący mrugnął oczyma, rzęsy musnęłyby czubek ostrza.

- Kto?

- Barthanes - padła chrapliwa odpowiedź. - Lord Barthanes. Nie mieliśmy cię zabić. Barthanes chce informacji. Zamierzaliśmy tylko sprawdzić, co ty wiesz. Mógłbyś dostać za to sowitą zapłatę w złocie, złotą koronę za to, co wiesz. Może nawet dwie.

- Łzesz! Byłem tej nocy we dworze Barthanesa, tak blisko niego jak przy tobie. Gdyby chciał czegoś, nigdy nie wyszedłbym stamtąd żywy.

- Powiem ci, że od wielu dni szukaliśmy ciebie albo obojętnie kogo, kto wie choć krztynę o tym andorańskim lordzie. Twoje imię poznałem dopiero wczoraj, na dole w gospodzie. Lord Barthanes to hojny człowiek. Dostaniesz pięć koron.

Mężczyzna usiłował odsunąć głowę od noża, Thom przycisnął go silniej do ściany.

- Jaki andorański lord?

Wiedział jednak, o kogo chodzi. Światłości dopomóż, wiedział.

- Rand. Z domu al'Thor. Wysoki. Młody. Mistrz miecza, w każdym razie nosi miecz przysługujący takiemu. Wiem, że przyszedł się z tobą spotkać. Razem z jakimś ogirem, rozmawialiście. Powiedz mi, co wiesz. Sam bym dorzucił koronę, może nawet dwie.

- Ty durniu - wydyszał Thom.

"To z tego powodu umarła Dena? O Światłości, ona nie żyje".

Miał wrażenie, że zaraz się rozpłacze.

- Ten chłopiec jest pasterzem.

"Pasterz w paradnym kaftanie, przy którym Aes Sedai uwijają się niczym pszczoły wokół pączka róży".

- To zwykły pasterz. - Zwarł uchwyt na włosach mężczyzny.

- Czekaj! Czekaj! Możesz zarobić więcej niż pięć koron, nawet dziesięć. Najpewniej ze sto.

Wszystkie domy chcą się czegoś dowiedzieć o tym Randzie al'Thorze. Dwa albo trzy już się ze mną kontaktowały. Dzięki twojej wiedzy i temu, że ja wiem, kto chce ją nabyć, obydwaj moglibyśmy napchać kieszenie. Jest też pewna kobieta, dama, na którą nieraz się natknąłem, gdy rozpytywałem o niego. Gdybyśmy się dowiedzieli, kim ona jest... też byśmy mogli to sprzedać, a jakże.

- W tym wszystkim popełniłeś jeden, poważny błąd - odparł Thom.

- Błąd?

Ręka mężczyzny sunęła już w stronę pasa. Bez wątpienia miał drugi sztylet. Thom zignorował to.

- Nie trzeba było tykać dziewczyny.

Dłoń mężczyzny pomknęła do pasa i wtedy jego ciałem targnęły konwulsyjne drgawki - nóż barda dosięgnął celu.

Thom pozwolił, by ciało osunęło się na podłogę, chwilę stał bez ruchu i dopiero wtedy nachylił się z wysiłkiem, by uwolnić ostrze. Gdy drzwi otworzyły się z gwałtownym trzaskiem, odwrócił się błyskawicznie z drapieżnym grymasem na twarzy.

Zera uskoczyła w tył, z dłonią przy gardle, spojrzała na niego wytrzeszczonymi oczyma.

- Ta głupia Ella właśnie mi powiedziała - zaczęła niepewnie - że dwóch ludzi Barthanesa wypytywało o ciebie minionej nocy, a po tym, com usłyszała tego ranka... Wydawało mi się, żeś mówił, że już nie bierzesz udziału w grze.

- Znaleźli mnie - odparł znużonym głosem.

Wzrok Zery oderwał się od niego i natychmiast jej oczy rozszerzyły się, gdy zobaczyła ciała dwóch mężczyzn. Pośpiesznie weszła do środka, zamykając za sobą drzwi.

- Niedobrze, Thom. Będziesz musiał wyjechać z Cairhien. - Powiodła wzrokiem w stronę łóżka i w tym momencie oddech uwiązał jej w gardle. - Och, nie. Och, nie. Och, Thom, tak mi przykro.

- Jeszcze nie mogę wyjechać, Zera. - Zawahał się, po czym delikatnie okrył Denę kocem, zakrywając jej twarz. - Najpierw muszę zabić jeszcze jednego człowieka.

Karczmarka otrząsnęła się i oderwała wzrok od łóżka. Jej głos ledwie wydobywał się z gardła.

- Jeśli chodzi ci o Barthanesa, to się spóźniłeś. Wszyscy już o tym gadają. On nie żyje. Służący znaleźli go dziś rano, rozdartego na kawałki, w jego własnej izbie sypialnej. Rozpoznali go tylko dzięki temu, że jego głowa wbita była na szpikulec w kominku. - Położyła mu dłoń na ramieniu. - Thom, nie uda ci się zataić, żeś tam był ubiegłej nocy, w każdym razie przed nikim, kto będzie chciał to wiedzieć. Dodaj jeszcze do tego tych dwóch i już nikt w Cairhien nie uwierzy, że nie byłeś w to zamieszany.

Ostatnie słowa zostały wypowiedziane tonem odrobinę pytającym, jakby i ona nie wierzyła.

- Myślę, że to chyba nie ma znaczenia - odparł tępym głosem. Nie potrafił się powstrzymać, by nie patrzeć na okryty kocem kształt spoczywający na łóżku. - Być może wrócę do Andoru. Do Caemlyn.

Ujęła go za ramiona, odwracając od łóżka.

- Och, wy mężczyźni - westchnęła - zawsze myślicie mięśniami albo sercem, nigdy zaś głową. Dla ciebie Caemlyn jest równie niedobre jak Cairhien. Tu, czy tam, zginiesz albo wylądujesz w lochu. Myślisz, że ona by tego chciała? Ratuj życie, jeśli chcesz uczcić jej pamięć.

- Czy zajmiesz się... - Nie potrafił powiedzieć na głos.

"Starzeję się - pomyślał. - Robię się miękki".

Wyciągnął ciężką sakiewkę z kieszeni i splótł na niej dłonie Zery.

- To powinno starczyć... za wszystko. I nie mów nic, jak zaczną o mnie wypytywać.

- Dopatrzę wszystkiego - zapewniła go ciepłym głosem. - Musisz iść, Thom. Już zaraz.

Zgodził się z nią niechętnie i zaczął wolno upychać wybrane rzeczy do sakwy. Gdy oddawał się

tej czynności, Zera po raz pierwszy przyjrzała się z bliska ciału tłustego mężczyzny, które wylewało się z wnętrza szafy. Wydała zduszony okrzyk. Spojrzał na nią pytająco, nigdy dotąd, tak długo jak ją znał, nie była skora do omdleń na widok krwi.

- To nie są ludzie Barthanesa, Thom. Przynajmniej ten nim nie jest. - Skinieniem głowy wskazała tłustego mężczyznę. - W Cairhien jest tajemnicą poliszynela, że on pracuje dla rodu Riatin. Dla Galldriana.

- Galldrian - powtórzył beznamiętnie.

"W co ten przeklęty pasterz mnie wciągnął? W co nas obu wciągnęły Aes Sedai? Ale to ludzie Galldriana ją zamordowali".

Coś z tych myśli musiało się uwidocznic na twarzy, bo Zera zareagowała ostrym:

- Dena chce, byś żył, ty durniu! Spróbuj zabić króla, a zginiesz, nim zbliżysz się do niego na odległość stu piędzi, o ile w ogóle uda ci się podejść tak blisko!

Od strony murów miasta dobiegła ich wrzawa, tak głośna, jakby połowa Cairhien nagle zaczęła krzyczeć. Thom zmarszczył brwi i wyjrzał przez okno. Ponad dachami podgrodzia, za szczytami szarych murów, ku niebu wznosiła się kolumna gęstego dymu. Daleko od murów. W pobliżu tego pierwszego czarnego słupa kilka szarych smug szybko zespoilo się w drugi, obok natychmiast pojawiły się następne wstęgi. Ocenil odległość i zrobił głęboki wdech.

- Może ty też się zastanowisz nad wyjazdem. Zdaje się, że ktoś podpala spichlerze.

- Przeżyłam niejedne zamieszki. Idź już, Thom. Rzucił ostatnie spojrzenie na zakryte ciało Deny, pozbierał rzeczy i już miał wyjść, gdy Zera powiedziała jeszcze:

- Masz w oczach niebezpieczny wyraz, Thomie Merrilin. Wyobraź sobie Denę, siedzącą tu całą i zdrową. Pomyśl, co by powiedziała. Czy ona by pozwoliła, byś poszedł i dał się zabić bez żadnego powodu?

- Jestem tylko starym bardem - powiedział od drzwi.

"A Rand ał'Thor tylko pasterzem, obydwaj jednak robimy to, do czego jesteśmy zmuszeni".

- Komu niby miałbym zagrażać?

Gdy zamykał drzwi, odgradzające go od niej i od Deny, na jego twarzy pojawił się wilczy grymas, uśmiech pozbawiony cienia wesołości. Bolała go noga, prawie jednak tego nie czuł, gdy zacisnąwszy zęby, pośpiesznie schodził ze schodów i wybiegał z gospody.

Padan Fain ściągnął wodze na szczycie wzgórza górującego nad Falme, w jednym z nielicznych, rzadkich zagajników, które się dotąd ostały w tej okolicy. Juczny koń, dźwigający na grzbiecie bezcenne brzemie, uderzył go w nogę. Kopnął zwierzę w zebra, nie patrząc - parsknęło i szarpnęło za powróż, którym go uwiązał do siodła. Kobieta ze swego konia nie zechciała zrezygnować, podobnie jak żaden z podążających za nim Sprzymierzeńców Ciemności za nic nie chciał, by go pozostawiono na wzgórzach w towarzystwie samych trolloków, bez tej ochrony, jaką dawała im jego obecność. Bez trudu poradził sobie z obydwoma problemami. Mięso w garnku trolloków wcale nie musiało być końskie. Podczas przeprawy przez drogi, do bramy znajdującej się w dawno opustoszałym *steding* na Głowie Tomana, Sprzymierzeńców Ciemności porządnie wytrzęsło, ci zaś, którzy to przeżyli, na widok trolloków gotujących sobie wieczorną strawę stali się nad podziw posłuszni.

Fain stał na skraju lasu i z szyderczym uśmiechem przyglądał się pozbawionemu murów miastu. Jego granice wytyczały stajnie, wybiegi dla koni i podwórce dla powozów, gdzie właśnie wjeżdżała z głośnym turkotem nieduża karawana kupiecka, jednocześnie inne wozy wytaczały się, wznecając drobiny pyłu z ziemi ubitej wieloma latami ciągłego ruchu. Po przyodziewku sądząc, woźnice i kilku

towarzyszących im uzbrojonych jeźdźców zaliczali się do miejscowych, zbrojni mieli miecze przywieszane na pendentach, niektórzy nawet włócznie i łuki. Żołnierze, których udało mu się wypatrzyć, a nie było ich wielu, zdawali się zupełnie nie zwracać uwagi na uzbrojonych ludzi, których rzekomo przecież podbili.

Podczas jednego dnia i jednej nocy spędzonych na Głowie Tomana zdołał co nieco się dowiedzieć na temat ludzi, których zwano Seanchanami. Tyle przynajmniej, ile wiedział ujarzmiony przez nich lud. Nigdy nie było trudno znaleźć kogoś poruszającego się w pojedynkę, a tacy zawsze udzielali odpowiedzi na zadane w stosowny sposób pytania. Ludzie zbierali kolejne informacje dotyczące najeźdźców, jakby naprawdę wierzyli, że w końcu coś z pomocą tej wiedzy zdołają, niektórzy jednak próbowali taić uzyskane wiadomości. Kobiety, ogólnie rzecz biorąc, pozornie nie pragnęły nic więcej, jak tylko żyć po dawnemu, niezależnie od tego, kto sprawował nad nimi władzę, zauważały jednak szczegóły, które umykały mężczyznom, a ponadto mówiły chętniej, gdy tylko przestawały krzyczeć. Najszybciej z wszystkich mówiły dzieci, rzadko jednak coś użytecznego.

Trzy czwarte z tego, co usłyszał, odrzucił jako nedorzeczności i plotki, urastające do rozmiarów legend, teraz jednak wycofał się z niektórych wniosków. Wyglądało, że do Falme mógł wejść każdy. Wzdrygnął się, spostrzegłszy prawdę w jeszcze innej "nedorzeczności", gdy z miasta wyjechało dwudziestu żołnierzy. Nie widział wyraźnie wierzchowców, ale z pewnością nie były to konie. Cwałowały z płynną gracją, ciemne skóry iskrzyły się w porannym słońcu, jakby pokryte łuską. Wyciągając szyję, odprowadził je wzrokiem do samego horyzontu, a gdy zniknęły, uderzeniami pięć zmusił konia, by ruszył w stronę miasta.

Rdzenni mieszkańcy Falme, kręcący się wśród stajni, zaparkowanych wozów i ogrodzonych płotami zagród dla koni, nie obdarzyli go więcej niż jednym lub dwoma spojrzeciami. Również on nie interesował się nimi, jechał dalej, by znaleźć się w środku miasta, na brukowanych ulicach opadających w stronę portu. Port widział wyraźnie, a w nim zakotwiczone wielkie, dziwaczne kształty statków Seanchan. Nikt mu nie przeszkodził, gdy przeszukiwał ulice, ani specjalnie zatłoczone, ani też zupełnie opustoszałe. Tu żołnierzy seanchańskich było więcej. Ludzie krzątali się wokół swych spraw ze spuszczonego wzrokiem, kłaniając się zawsze mijającemu ich żołnierzowi, Seanchanie natomiast zupełnie nie zwracali na nich uwagi. Na pozór wydawało się, że w mieście panuje spokój, mimo uzbrojonych Seanchan na ulicach i statków w porcie, Fain czuł jednak przyczajone pod tym wszystkim napięcie. Zawsze dobrze mu się wiodło tam, gdzie ludzie żyli w napięciu i strachu.

Dojechał do sporego budynku, strzeżonego przez co najmniej tuzin żołnierzy. Zatrzymał się i zsiadł z konia. Z wyjątkiem jednego, bez wątpienia oficera, większość strażników zakuta była w zbroje barwy niczym nie urozmaiconej czerni, a ich hełmy przywodziły na myśl łby szarańczy. Z obu stron frontowych drzwi warowały dwie bestie o skórzastych pancerzach, obdarzone trojgiem oczu i rogowatymi dziobami zamiast ust - takie samo troje oczu mieli namalowane na napierśnikach żołnierze stojący u boku stworzeń. Fain przyjrzał się obrzeżonemu błękitem sztandarowi z wizerunkiem jastrzębia z rozpostartymi do lotu skrzydłami, który łopotał na dachu, i zarechotał w duchu.

Przez drzwi budynku po drugiej stronie ulicy przechodziły tylko kobiety powiązane z sobą srebrnymi smyczami, ignorował je jednak. Wiedział o *damane* od wieśniaków. Być może później mogły się do czegoś przydać, na razie jednak jeszcze nie.

Żołnierze zaczęli mu się przypatrywać, szczególnie oficer odziany w zbroję mieniającą się złotem, czerwienią i zielenią.

Fain ułożył twarz w przymilny uśmiech i wykonał głęboki ukłon.

- Moi panowie, mam tu coś, co zainteresuje jego lordowską mość. Zapewniam was, że on zechce to obejrzeć, a także i mnie, we własnej osobie.

Wskazał ręką kanciasty przedmiot umocowany na grzbiecie jucznego konia, nadal owinięty w wielki, prążkowany koc, taki, jakim go znaleźli jego ludzie.

Oficer zmierzył go wzrokiem od stóp do głów.

- Wydajesz się obcy na tej ziemi. Czy złożyłeś przysięgę?

- Jestem posłuszny, oczekuję i będę służył - wyrecytował bez zajknięcia Fain.

Wszyscy, których przesłuchał, opowiadali o przysięgach, mimo iż nikt nie rozumiał, co oznaczają. Jeśli ci ludzie wymagali składania przysięg, to on był gotów przysięgać na co tylko zechcą. Już dawno temu stracił wszelką rachubę złożonych przez siebie przyrzeczeń.

Oficer dał ręką znak dwóm żołnierzom, by sprawdzili, co jest pod kocem. Zdumione posapywania po zestawieniu ciężaru z siodła na ziemię przeszły w głośnie bulgotanie, gdy po odrzuceniu koca zaparło im dech. Oficer zapatrzył się z całkiem obojętną twarzą na ornamentowaną srebrem złotą szkatułę spoczywającą na bruku, po czym przeniósł wzrok na Faina.

- Dar godny samej cesarzowej. Pójdiesz ze mną.

Jeden ze strażników brutalnie zrewidował Faina, zniósł to w milczeniu, zwrócił jednak uwagę, że oficer i dwóch żołnierzy, którzy nieśli szkatułę, przed wejściem do środka pozostawili miecze i sztylety. Wszystko, czego był w stanie dowiedzieć się o tych ludziach, nawet zupełne drobiazgi, mogło się przydać, mimo że już nie wątpił w powodzenie swego planu. Nigdy nie żywił wątpliwości względem swych planów, najmniej jednak tam, gdzie lordowie obawiali się skrytobójczego noża w rękach członków swej świty.

Podczas wchodzenia do środka oficer spojrzał na niego krzywo. Fain zastanawiał się przez chwilę nad przyczyną.

"To przecież bestie".

Nieważne, czym były, z pewnością nie mogły być gorsze od trolloków, grozą daleko z pewnością ustępowały Myrddraalom - nawet nie spojrzał na nie po raz drugi. Za późno udawać, że się ich boi. Seanchanin nic jednak nie powiedział i poprowadził go w głąb budynku.

I tak oto Fain zmuszony był lec twarzą do posadzki, w izbie nie wyposażonej w żadne meble z wyjątkiem parawanów zdobiących ściany, a tymczasem oficer opowiadał jego lordowskiej mości, Turakowi, o nim i o darze. Służący wnieśli stół, na którym miała stanąć szkatuła, żeby jego lordowska mość nie musiał się pochylać - Fain zobaczył jedynie pośpiesznie pomykające kamasje. Niecierpliwie czekał na swój moment. Kiedyś w końcu nadejdzie ten czas, kiedy to nie on będzie musiał się kłaniać.

Potem żołnierzy odprawiono, a Fainowi kazano powstać. Zrobił to nieśpiesznie, przypatrując się zarówno ogolonej głowie, długim paznokciom i niebieskiej, jedwabnej szacie ozdobionej brokatowymi kwiatami, składającym się na postać jego lordowskiej mości, jak i stojącemu obok mężczyźnie, który czaszkę miał wygoloną tylko w połowie, natomiast resztę jasnych włosów splecioną w długi warkocz. Fain był przekonany, że jegomość w zieleni to tylko służący, może nawet i ważny, ale z kolei i służący potrafili się niekiedy przydać, szczególnie wtedy, gdy pan miał o nich wysokie mniemanie.

- Imponujący dar. - Wzrok Turaka podźwignął się ze szkatuły i przeniósł na Faina. Jego lordowska mość roztaczał wokół siebie woń róż. - Jednakowoż pytanie nasuwa się samo: jakim sposobem człowiek takiego pokroju wszedł w posiadanie szkatuły, na jaką wielu ostatnich lordów pozwolić by sobie nie mogło? Czy jesteś złodziejem?

Fain obciągnął swój zniszczony, nie grzeszący czystością kaftan.

- Czasami człowiek bywa zmuszony udawać nędzniejszego niż jest w istocie, wasza lordowska mość. Dzięki obecnej lichej prezencji mogłem przynieść dar, nie będąc molestowanym. Ta szkatuła jest stara, wasza lordowska mość, równie stara jak Wiek Legend, a kryje w sobie skarb, jaki nieliczne dotąd oczy widziały. Niedługo, całkiem już niedługo, wasza lordowska mość, będę potrafił ją otworzyć i podarować ci to, co pomoże zagarnąć te ziemie, tak daleko, jak tylko sobie zażyczysz, aż po Grzbiet Świata, Pustkowie Aiel, aż po krainy, które leżą dalej. Nic ci się nie oprze, wasza lordowska mość, jak tylko...

Urwał w momencie, gdy Turak jął szkatułę gładzić dłonią obdarzoną długimi paznokciami.

- Widywałem podobne szkatuły, szkatuły pochodzące z Wiek Legend - oznajmił jego lordowska mość żadnej jednak równie misternej. Obmyślane są tak, iż tylko ten, który zna wzór, potrafi je otworzyć, ja jednak... Ach!

Wbił silniej palce w skomplikowane spirale i wypukłości, rozległ się głośny szcęk i Turak podniósł wieko. Przez jego twarz przebiegł cień, w którym można było wyczytać rozczarowanie.

Fain do krwi wgrzył się we wnętrze swoich warg, żeby nie warknąć. Jego mocna pozycja w przetargu uległa osłabieniu, bo to nie on otworzył szkatułę. Niemniej cała reszta mogła jeszcze pojąć zgodnie z planem, o ile zmusi się do cierpliwości. Tylko już od jak dawna przymuszał się do cierpliwości...

- To skarby z Wiek Legend? - rzekł Turak, podnosząc kręty Róg jedną ręką, a drugą zakrzywiony sztylet z rubinem osadzonym w złotej rękojeści.

Fain zacisnął dłonie w pięści, by nie rzucić się na niego i nie wyrwać sztyletu z jego ręki.

- Wiek Legend - cicho powtórzył Turak, obwodząc czubkiem ostrza srebrne litery, którymi inkrustowana była złota czasza Rogu.

Brwi uniesione w zdziwieniu stanowiły pierwszy widomy znak emocji, jaki Fain u niego spostrzegł, po chwili jednak oblicze Turaka było znowu gładkie.

- Czy masz jakiegokolwiek pojęcie, co to takiego?

- To Róg Valere, wasza lordowska mość - odparł bez zająknięcia Fain, widząc z zadowoleniem, że mężczyźnie z warkoczem opada szczęka.

Turak tylko skinął głową, jakby przytakiwał samemu sobie.

Jego lordowska mość odwrócił się. Fain zamrugał i otworzył usta, ale zaraz, na gwałtownie dany przez jasnowłosego mężczyznę znak, ruszył za nim bez słowa.

Znalazł się w innej izbie, w której całe pierwotne umeblowanie zastąpiono parawanami i pojedynczym krzesłem, ustawionym naprzeciwko okrągłej komody. Spojrzenie Turaka, wciąż trzymającego Róg i sztylet, padło na komodę i zaraz się cofnęło. Nic nie powiedział, natomiast drugi Seanchanin rzucił ostrym głosem kilka rozkazów i w mgnieniu oka w drzwiach ukrytych za parawanami pojawili się ludzie w prostych wełnianych szatach, dźwigający jeszcze jeden stół. Towarzyszyła im młoda kobieta o włosach tak jasnych, że nieomal białych, niosła całe naręczne niewielkich podpórek z polerowanego drewna, rozmaitych wielkości i kształtów. Biały jedwab jej szaty był tak cienki, że Fain widział dokładnie prześwitujące pod nim ciało, jednakże jego oczy nie dostrzegały nic prócz sztyletu. Róg był środkiem wiodącym do celu, sztylet natomiast stanowił jego, Faina, udział.

Turak musnął palcami jedną z podpórek trzymany przez dziewczynę, a ta umieściła ją na środku stołu. Mężczyźni odwrócili krzesło tak, by stało naprzeciwko stołu zgodnie z zaleceniami człowieka z warkoczem. Włosy niższych rangą służących opadały luźno do ramion. Umknęli z izby, kłaniając się tak głęboko, że nieledwie wciskali głowy między kolana.

Turak najpierw wsparł Róg na podpórcę, w pozycji pionowej, następnie ułożył przed nim



sztylet, a potem podszedł do krzesła i usiadł.

Fain nie mógł już dłużej wytrzymać. Wyciągnął rękę w stronę sztyletu.

Jasnowłosa mężczyzna złapał jego nadgarstek w miążdzący uścisk.

- Nie ogolony psie! Wiedz, że ucina się dłoń, która samowolnie sięga po własność jego lordowskiej mości.

- To moje - warknął Fain.

"Cierpliwości! Jakże długo..."

Turak, niedbale rozwalony na krześle, wystawił w górę pomalowany na niebiesko paznokieć i Fain został odsunięty na bok, dzięki czemu jego lordowska mość mógł bez żadnych przeszkód oglądać Róg.

- Twoje? - zdziwił się Turak. - W szkatule, której nie umiałeś otworzyć? Jeśli uda ci się dostatecznie wzbudzić moją ciekawość, to może zwrócę sztylet. Ten przedmiot mnie nie interesuje, nawet jeśli pochodzi z Wieku Legend. Pierwej jednak odpowiedz na jedno pytanie. Dlaczego przyniosłeś Róg Valere właśnie mnie?

Fain jeszcze chwilę patrzył tęsknie na sztylet, potem wyswobodził nadgarstek i roztarł go drugą ręką, jednocześnie wykonując ukłon.

- Abyś to ty w niego zadał, wasza lordowska mość. Potem będziesz mógł wziąć całą tę ziemię, jeśli zechcesz. Zburzysz Białą Wieżę, a Aes Sedai zetrzesz na proch, nawet one bowiem swą potęgą nie zatrzymają umarłych bohaterów przed ich powrotem z grobu.

- Ja mam w niego zadać. - Głos Turaka nie zdradzał żadnych emocji. - I zburzyć Białą Wieżę. Jeszcze raz, dlaczego? Twierdzisz, żeś posłuszny, że oczekujesz i że będziesz służył, ale to ziemia łamiących przysięgi. Czemu ofiarowujesz mi tę ziemię? Czyżbyś wdał się w jakiś prywatny spór z tymi... kobietami?

Fain bardzo się starał mówić przekonującym tonem.

"Cierpliwy, niczym robak wywiercający sobie drogę do wyjścia na zewnątrz".

- Wasza lordowska mość, rodzina moja zwykła przekazywać pewną tradycję, z pokolenia na pokolenie. Służyliśmy jego wysokości królowi; Arturowi Paendragowi Tanreallowi, a kiedy zamordowały go te wiedźmy z Tar Valon, nie wyparliśmy się swych przyrzeczeń. Gdy inni pokonali i zrównali z ziemią dokonania Artura Hawkwinga, nadal dotrzymywaliśmy przysięg, mimo że za nie cierpieliśmy. Oto nasza tradycja, wasza lordowska mość, przekazywana z ojca na syna, z matki na córkę, przez te wszystkie lata, które upłynęły od zamordowania króla. Oczekujemy powrotu armii Artura Hawkwinga przegnanych na drugi brzeg oceanu Aryth, oczekujemy powrotu potomnych Artura Hawkwinga, aby zniszczyli Białą Wieżę i odebrali to, co należało się Jego Wysokości, Królowi. A kiedy potomni Hawkwinga powrócą, będziemy służyć i wspierać ich radą, tak jak to czyniliśmy za życia Jego Wysokości, Króla. Wasza lordowska mość, gdyby nie to obramowanie, sztandar, który powiewa nad tym dachem, byłby sztandarem Luthaira, syna Artura Paendraga Tanrealla posłanego wraz z jego armiami za ocean.

Fain padł na kolana, zręcznie udając przygnębienie.

- Jego lordowska mość, ja pragnę tylko służyć i wspierać radą potomnym Jego Wysokości Króla.

Turak milczał tak długo, że Fain zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie oczekuje dalszych zapewnień, miał ich na podorędziu więcej, tyle, ile by od niego wymagano, ale jego lordowska mość przemówił wreszcie.

- Zdajesz się wiedzieć to, o czym nikt, ani z wysoko, ani z nisko urodzonych, nie mówił, odkąd ujrzałem tę krainę po raz pierwszy. Ludzie tutaj mówią o tym, jakby to była jedna z dziesięciu plotek,

ty natomiast wiesz. Widzę to w twoich oczach, słyszę to w twoim głosie. Mógłbym niemal pomyśleć, że przysłano cię, byś mnie podstępem schwytał w pułapkę. Kto jednak, będący w posiadaniu Rogu Valere, chciałby go wykorzystać w taki sposób? Żaden z potomnych, którzy przybyli wraz z *Hailene*, nie mógł mieć Rogu, zgodnie bowiem z legendą, ukryty był w trzewiach tej ziemi. I z pewnością każdy lord z niej rodem wolałby go wykorzystać przeciwko mnie, niżli złożyć go w me ręce. Jak wszedłeś w posiadanie Rogu Valere? Czy, zgodnie z legendą rościsz sobie prawo do miana bohatera? Czy masz za sobą jakieś waleczne czyny?

- Żaden ze mnie bohater, wasza lordowska mość. Faro zaryzykował uśmiech wyrażający dezaprobatę dla samego siebie, jednak wyraz twarzy Turaka nie uległ zmianie, więc zrezygnował zeń natychmiast. - Róg został znaleziony przez mego przodka podczas zamieszek, które wyniknęły po śmierci Jego Wysokości, Króla. Wiedział, jak się otwiera szkatułę, jednakże sekret ten powędrował wraz z nim do grobu podczas Wojny Stu Lat, która rozdarła imperium Artura Hawkwinga, tak więc my wszyscy, należący do jego stronników, wiedzieliśmy, gdzie znajduje się Róg i że trzeba go strzec w bezpiecznym miejscu, dopóki nie powrócą potomni Jego Wysokości, Króla.

- Nieomal mógłbym ci uwierzyć.

- Uwierz, wasza lordowska mość. Gdy już zadmiesz w Róg...

- Nie niszczyć dobrego wrażenia, jakie udało ci się zrobić swymi zapewnieniami. Nie zadnę w Róg Valere. Po powrocie do Seanchan sprezentuję go cesarzowej jako najcenniejsze z moich trofeów. Być może zadmie weń sama cesarzowa.

- Ależ, wasza lordowska mość - zaprotestował Fain - musisz...

Kiedy się ocknął, leżał skulony na posadzce, z szumem w głowie. Gdy odzyskał jasność spojrzenia, zobaczył, że mężczyzna z jasnym warkoczem rozciera kłykcie i wtedy dopiero pojął, co zaszło.

- Są takie słowa - wycedził cicho jegomość w zieleni - których się nigdy nie używa w obliczu jego lordowskiej mości.

Fain podjął decyzję co do sposobu, w jaki ten człowiek miał umrzeć.

Turak przeniósł wzrok z Faina na Róg tak spokojnie, jakby nic nie widział.

- Być może razem z Rogiem Valere podaruję cesarzowej również ciebie. Możliwe, iż zabawnym wyda jej się człowiek, który twierdzi, że jego rodzina dochowała wierności w czasach, gdy inne łamały przysięgi albo o nich zapominały.

Fain podniósł się niezdarnie z podłogi, tając podniecenie, które znieca nim owładnęło. Nie miał pojęcia o istnieniu cesarzowej, dopóki Turak o niej nie wspomniał. Dostęp do władczyni... to otwierało nowe ścieżki, dawało początek nowym planom. Dostęp do władczyni, która ma pod sobą całą potęgę Seanchan, a oprócz tego Róg Valere. Coś jeszcze lepszego, niż uczynić z Turaka możnego króla. Mógł poczekać z realizacją niektórych etapów swojego planu.

"Ostrożnie. On nie może się dowiedzieć, jak bardzo tego pragniesz. Po tak długim czasie jeszcze odrobina cierpliwości nie zawadzi".

- Jak sobie wasza lordowska mość życzy - odparł, starając się przemawiać tonem człowieka, którego jedynym życzeniem jest służyć.

- Wydaje się, że gorliwie tego pragniesz - stwierdził Turak, a Fainowi ledwie udało się zdusić grymas. - Powiem ci, czemu nie zadnę w Róg Valere, ani nawet go sobie nie zatrzymam, lecząc cię być może z tej gorliwości. Nie życzę sobie, by mój dar swym oddziaływaniem uraził cesarzową, a jeśli twa gorliwość jest nieuleczalna, to nigdy nie zostanie zaspokojona, nie opuścisz bowiem tych wybrzeży. Czy wiesz, że ten, który zadmie w Róg Valere, na zawsze już się z nim zwiąże? Przez co za życia takiego człowieka dla innych stanowić on będzie nic więcej jak zwykły róg?

Wnosząc z tonu jego głosu, raczej nie spodziewał się odpowiedzi na swoje pytania, w każdym razie nie zaczekał na nie.

- Jestem dwunasty w sukcesji do Kryształowego Tronu. Gdybym zatrzymał Róg Valere, wszyscy dzielący mnie od tronu pomyśleliby, że chcę już teraz być pierwszy, jednakże cesarzowa, która wprowadzie życzy sobie, abyśmy współzawodniczyli ze sobą, w wyniku czego w skład jej orszaku wchodzi najsilniejsi i najsprytniejsi, obecnie faworyzuje swą drugą córkę i nie spojrzy łaskawym okiem na coś, co stanowi zagrożenie dla Tuon. Gdybym zadał w Róg i złożył go później u jej stóp, pojmałszy wszystkie kobiety z Tar Valon na smycz, cesarzowa, oby żyła wiecznie, z pewnością uznałaby, iż chcę być kimś znacznie większym niż tylko jej spadkobiercą.

Fain pohamował się przed wyrażeniem sugestii, że z pomocą Rogu widoki na to znacznie by wzrosły. Jakaś nuta w głosie jego lordowskiej mości ostrzegała - z siłą równą trudowi, z jakim Fainowi przychodziło w to uwierzyć że on naprawdę chce, by cesarzowa żyła wiecznie.

"Muszę być cierpliwy. Niczym robak drążący korzeń".

- Słuchacze Cesarzowej mogą być wszędzie - ciągnął Turak. - Słuchaczem może być każdy. Huan urodził się i wychował w domu Aladon, podobnie jak cała jego rodzina od jedenastu pokoleń, a jednak nawet on mógłby być słuchaczem.

Mężczyzna z warkoczem zaprotestował jednym gestem ręki i natychmiast konwulsyjnym ruchem przymusił swe ciało do całkowitego bezruchu.

- Nawet lordowie i damy z najszacowniejszych domów mogą odkryć, że ich najtajniejsze sekrety wyszły na jaw, przekonać się po przebudzeniu, że już przekazano je w ręce słuchaczy prawdy. Prawdy zawsze trudno się doszukać, jednakże słuchacze nie szczędzą trudu w swych poszukiwaniach i szukają dopóty, dopóki ich zdaniem zachodzi taka potrzeba. Rzecz jasna dokładają wszelkich starań, by jakiś wysoko urodzony lord albo dama, znajdujący się pod ich pieczęcią, nie umarł, jako że niczyją dłonią nie wolno zabijać tych, w żyłach których płynie krew Artura Hawkwinga. W przypadku, gdy to cesarzowa jest zmuszona zaordynować taką śmierć, ciało nieszczęśnika wkłada się do jedwabnego worka, a worek ów przywiesza do muru Wieży Kruków i pozostawia tak długo, aż zgnije. Takiego jak ty nikt by nie potraktował z równą dbałością. Sąd Dziewięciu Miesięcy w Seandar przekazałby go słuchaczom za rozbiegany wzrok, za niewłaściwie wypowiedziane słowo, za skowytanie. Nadal trawi cię gorliwość?

Fain opanował drżenie kolan.

- Pragnę tylko służyć i wspierać radą, wasza lordowska mość. Wiem wiele użytecznych rzeczy.

Ten sąd w Seandar wydawał się miejscem, w którym jego plany i umiejętności mogły znaleźć podatną glebę.

- Dopóki nie odpłynę z powrotem do Seanchan, będziesz mnie zabawiał opowieściami o swej rodzinie i jej tradycjach. Z ulgą znajduję drugiego już człowieka na tej zapomnianej przez Światłość ziemi, który potrafi mnie zabawić, nawet jeśli obydwaj łzecie, jak się domyślam. Możesz mnie opuścić.

Ani jedno słowo już więcej nie padło, chyżymi stopami przydreptała natomiast tamta dziewczyna o prawie białych włosach, w nieomal przezroczystej szacie. Uklękła ze spuszczoną głową obok jego lordowskiej mości, podając mu samotną, parującą filiżankę na emaliowanej tacy.

- Wasza lordowska mość - odezwał się Fain.

Mężczyzna z warkoczem, Huan, schwycił go za ramię, ale Fain wyrwał mu się. Huan zacisnął gniewnie usta, gdy Fain wykonał swój najgłębszy do tej pory ukłon.

"Będę zabijał go powoli, o tak".

- Wasza lordowska mość, jest kilku takich, którzy mnie ścigają. Chcą zabrać Róg Valere. To

Sprzymierzeńcy Ciemności i gorsi jeszcze od nich, wasza lordowska mość, nie może ich ode mnie dzielić więcej jak dzień albo dwa drogi.

Turak upił łyk czarnego płynu ze smukłej filizanki, trzymanej w czubkach obdarzonych długimi paznokciami palców.

- W Seanchan niewielu znajdziesz Sprzymierzeńców Ciemności. Ci, którzy uchodzą słuchaczom prawdy, zawierają znajomość z toporem kata. Poznanie Sprzymierzeńca Ciemności mogłoby być zabawne.

- Wasza lordowska mość, oni są niebezpieczni. Towarzyszą im trolloki. Prowadzi ich jeden taki, który zwie się Rand al'Thor. Młody to człek, ale nikczemny ponad wszelką miarę, nikczemny jak sam Cień, obdarzony kłamliwym, przebiegłym językiem. W wielu miejscach różne rzeczy o sobie twierdził, jednakże zawsze tam, gdzie on akurat jest, pojawiają się trolloki, wasza lordowska mość. Trolloki zawsze tam przybywają i... mordują.

- Trolloki - zadumał się Turak. - W Seanchan nie było żadnych trolloków. Jednakże armie nocy miały innych popleczników. Inne stwory. Często się zastanawiam, czy *grolm* umiałby zabić trolloka. Każę pilnować przed tymi twoimi trollokami i Sprzymierzeńcami Ciemności, o ile to nie jest jakieś nowe kłamstwo. Już przykrzy mi się od nudy na tej ziemi.

Westchnął i wciągnął do nozdrzy opary unoszące się z filizanki.

Fain pozwolił, by wykrzywiony Huan wywlókł go z izby, ledwie słuchając głoszonego warkliwym głosem wykładu o tym, co się stanie, jak jeszcze raz nie opuści lorda Turaka po tym, gdy zostanie mu udzielone zezwolenie. Ledwie zauważył, kiedy wypchnięto go na ulicę z monetą w garści i zaleceniem ponownego przyjścia następnego ranka. Rand al'Thor należał już do niego.

"Nareszcie zobaczę go martwym. A wtedy świat zapłaci za to, co mi zrobił".

Zaśmiewając się w duchu wprowadził konie do miasta, w poszukiwaniu jakiejś gospody.

# ROZDZIAŁ 12

## STEDDING TSOFU

Nadrzeczne wzgórza, na których wznosiło się Cairhien, ustąpiły miejsca terenom nizinnym, często porośniętym lasami, gdy Rand i cała grupa mieli już za sobą połowę dnia jazdy. Shienarańscy żołnierze nadal jeszcze wieźli swe zbroje na grzbietach jucznych koni. Skierowali się w strony, w których nie było żadnych gościńców, tylko nieliczne polne drogi. Zagrody i wsie też napotykało się rzadko. Verin nakłaniała do pośpiechu, natomiast Ingtar który bezustannie utyskiwał, że pozwolili się wywieść w pole, że Fain nigdy by nie zdradził, dokąd się naprawdę wybiera i jednocześnie nie przestawał narzekać, że jadą w kierunku przeciwnym do Głowy Tomana, jakby po trosze żywił przekonanie, że od Głowy Tomana bynajmniej nie dzielą ich miesiące jazdy, nawet jeśli pojedą tam drogą inną niż ta, którą obrali - Ingtar był jej posłuszny. Nad ich głowami powiewał sztandar Szarej Sowy.

Rand jechał z determinacją, zawzięty, unikając rozmów z Verin. Zrobi to, co musi - spełni tę powinność, mówiąc słowami Ingtara - a potem będzie mógł się uwolnić od Aes Sedai, raz na zawsze. Perrin zdawał się częściowo podzielać jego nastrój, podczas jazdy pustym wzrokiem wpatrywał się w dal. Gdy wreszcie zatrzymali się na noc na skraju lasu, z całkowitą ciemnością siedzącą im już prawie na karkach, Perrin wypytał Loiala o *stedding*. Trolloki nigdy nie wchodzi do *stedding*, a jak to jest z wilkami? Loial odparł mu zwięźle, że jedynie istoty z Cienia rodem nie kwapią się z wchodzeniem do *stedding*. A także Aes Sedai, rzecz jasna, jako że w *stedding* nie mogą ani dotykać Prawdziwego Źródła, ani też przenosić Jedynej Mocy. Sam ogir również wyglądał na ostatniego, który by miał chęć jechać do Stedding Tsofu. Natomiast Mat wyraźnie się do tego garnał, wręcz rozpaczliwie. Jego skóra przybrała taką barwę, jakby od roku nie zaznała słońca, a policzki zaczynały zakłęsać, wbrew zapewnieniom, że gotów byłby biegać na wyścigi. Zanim otulił się w koce, Verin przyłożyła dłonie do jego ciała, dokonując uzdrawiania, rankiem powtórzyła raz jeszcze tę czynność, gdy już dosiadali koni, nie przyczyniając się jednak do żadnej zmiany w wyglądzie Mata. Nawet Hurin marszczył brwi, kiedy na niego spoglądał.

Następnego dnia słońce stało już wysoko na nieboskłonie, gdy Verin wyprostowała się nagle w siodle i rozejrzała dokoła. Jadący obok niej Ingtar drgnął nerwowo.

Rand nie zauważył, by w otaczającym ich lesie zaszła jakaś zmiana. Poszycie było niezbyt gęste, a droga łatwa pod baldachimem z gałęzi dębów, orzecha, czarnego eukaliptusa i brzoź, tu i ówdzie przeszytego na wylot przez wysoką sosnę lub drzewo skórzane, urozmaiconego też białymi maźnięciami kory papierowca. W miarę jednak dalszej jazdy poczuł zniecka dreszcz, taki jak po wskoczeniu do któregoś ze stawów Wodnego Lasu w samym środku zimy. Dreszcz przeszył go i zniknął w mgnieniu oka, pozostawiając po sobie uczucie świeżości, a jednocześnie przytępione i niewyraźne wrażenie zatrąty czegoś, aczkolwiek Rand nie potrafił sobie uzmysłwić, co to takiego mogło być.

Wszyscy jeźdźcy po osiągnięciu tego miejsca wzdrygali się albo wydawali jakiś okrzyk. Hurinowi opadła szczęka, a Uno wyszeptał:

- Cholerny, przeklęty...

Potrząsnął głową, jakby już nic więcej nie mógł wymyślić. W żółtych oczach Perrina pojawił się wyraz zrozumienia.

Loial najpierw długo i powoli nabierał powietrza do płuc, po czym je wypuścił.

- Jak... cudownie... wrócić do *stedding*.

Rand rozejrzał się dookoła, marszcząc czoło. Oczekiwał, że w *stedding* będzie jakoś inaczej, a wyjąwszy ten jeden dreszcz, las niczym się nie różnił od tego, przez który jechali cały dzień. No i oczywiście to niespodziane uczucie, że jest się wypoczętym. W tym właśnie momencie zza drzewa wyłoniła się dziewczyna-ogir.

Mimo że niższa od Loiala - co oznaczało, że przewyższała Randa tylko głową i ramionami - miała taki sam szeroki nos i wielkie oczy, identyczne szerokie usta i włochate uszy. Obdarzona była jednak krótszymi brwiami, a w porównaniu z Loialem rysy jej twarzy wyglądały na łagodniejsze, kępki na uszach delikatniejsze. Ubrana w długą, zieloną suknię i zielony płaszcz haftowany w kwiaty, niosła bukiet srebrnych dzwonek, jakby właśnie zajmowała się ich zbieraniem. Spojrzała na nich spokojnie, wyczekująco.

Loial gramolił się ze swego wysokiego konia i wykonał pośpieszny ukłon. Rand i reszta kompanii poszli w jego ślady, może nie aż tak zwawo, i nawet Verin skłoniła głowę. Loial przedstawił ich ceremonialnie, nie wymienił jednak nazwy swego *stedding*.

Dziewczyna - Rand był przekonany, że ogir nie jest starsza od Loiala - przyglądała im się badawczo przez chwilę, potem uśmiechnęła się.

- Witajcie w Stedding Tsofu.

Również jej głos stanowił łagodniejszą wersję głosu Loiala: delikatniejsze buczenie mniejszego trzmiela.

- Jestem Erith, córka Ivy córki Alar. Witajcie. Tak niewielu mieliśmy gości, odkąd mularze opuścili Cairhien, a tu nagle tylu jednocześnie. Ależ skąd! Gościliśmy przecież kilku wędrowców, wyjechali, gdy... Och, za dużo gadam. Zaprowadzę was do starszych. Tylko... - Omiotła ich wzrokiem w poszukiwaniu osoby nimi dowodzącej i zatrzymała się ostatecznie na Verin. - Aes Sedai, tylu towarzyszy ci mężczyzn, wszyscy uzbrojeni. Czy zechciałabyś, proszę, pozostawić niektórych po zewnętrznej stronie? Wybacz mi, zbyt wielu uzbrojonych ludzi w *stedding* zawsze budzi niepokój.

- Oczywiście, Erith - zgodziła się Verin. - Ingtarze, zajmiesz się tym?

Ingtar wydał rozkazy Uno, stanęło na tym, że on i Hurin będą jedynymi Shienaranami, których Erith zawiedzie w głąb *stedding*.

Podobnie jak pozostali Rand szedł pieszo, prowadząc za sobą konia, podniósł oczy, gdy zbliżył się doń Loial, który bezustannie oglądał się na Erith idącą przodem obok Verin i Ingtara. Za nimi szedł Hurin, który wodził dokoła zdumionym wzrokiem, jakkolwiek Rand nie bardzo wiedział, co właściwie tak zdumiewa wężyciela. Loial pochylił się, by szepnąć:

- Czyż ona nie jest piękna, Rand? Jej głos brzmi jak śpiew.

Mat uśmiechnął się szyderczo, gdy jednak Loial spojrzał na niego pytającym wzrokiem, powiedział:

- Bardzo piękna, Loialu. Zdziebko za wysoka jak na mój gust, chyba rozumiesz, ale bez wątpienia bardzo piękna.

Loial niepewnie zmarszczył czoło, ale pokiwał głową.

- O tak, bardzo. - Twarz mu się rozjaśniła. - Na prawdę cudownie jest wrócić do *stedding*. Co wcale nie znaczy, że pokonuje mnie tęsknota, rozumiecie?

- Tęsknota? - powtórzył Perrin. - Nie rozumiem, Loialu.

- Nas, ogirów, łączy ze *stedding* więź, Perrinie. Podobno przed Pęknięciem Świata mogliśmy udawać się, dokąd nam się żywnie chciało, na tak długo, jak sobie życzyliśmy, tak samo jak wy, ludzie, ale po Pęknięciu to jednak się zmieniło. Ogirowie rozproszyli się po całym świecie jak inni ludzie i już nie potrafili odnaleźć żadnego *stedding*. Wszystko uległo przemieszczeniu, wszystko

padło ofiarą zmian. Góry, rzeki, nawet morza.

- O Pęknięciu wie każdy - powiedział niecierpliwie Mat. - Co ma z nim wspólnego ta... ta tęsknota?

- To podczas tułaczki, gdy zagubieni błakaliśmy się, po raz pierwszy opadła nas tęsknota. Pragnienie, by raz jeszcze zaznać *stedding*, by ponownie poczuć dom. Wielu od niej umarło. - Loial ze smutkiem pokręcił głową. Więcej umarło, niżli zostało wśród żywych. Gdy wreszcie zaczęliśmy na powrót odnajdywać *stedding*, po jednym co czas jakiś, w latach Przymierza Dziesięciu Narodów, zdawało się, że nareszcie pokonaliśmy tęsknotę, ona jednak nas zmieniła, zasiała w nas swoje ziarna. Teraz, gdy jakiś ogir zbyt długo przebywa po zewnętrznej stronie, tęsknota odzywa się na nowo, ogir taki zaczyna marnieć, a jeśli nie wróci, umiera.

- Czy nie powinieneś zostać tu na jakiś czas? - spytał z niepokojem Rand. - Nie ma potrzeby, byś jadąc z nami miał się z nią rozminąć.

- Rozpoznam ją, gdy nadejdzie. - Loial zaśmiał się. - O wiele wcześniej, nim zdąży nabrać takiej siły, by okazać się dla mnie zgubna w skutkach. No przecież! Dalar spędziła dziesięć lat wśród ludu morza, na oczy nie widząc *stedding*, a jednak wróciła do domu cała i zdrowa.

Zza drzew wyłoniła się kobieta-ogir, zatrzymała się na chwilę, by zamienić słowo z Erith i Verin. Zmierzyła Ingtara spojrzeniem od stóp do głów i jakby przestała się nim interesować - on widząc to, zamrugał. Obejrzała sobie jeszcze Loiala, przelotnie ogarnęła wzrokiem Hurina i trójkę z Pola Emonda, po czym wróciła do lasu. Loial wyraźnie starał się ukryć za cielskiem swojego konia.

- A poza tym - dodał, ostrożnie zerkając w jej stronę zza siodła - życie w *stedding* się przykrzy w porównaniu z wędrownką w towarzystwie trzech *ta'veren*.

- Znowu zaczynasz o tym gadać - fuknął Mat, więc Loial poprawił się szybko:

- Trzech przyjaciół w takim razie. Mam nadzieję, że jesteście moimi przyjaciółmi.

- Ja na pewno - zapewnił go Rand, a Perrin skinął głową.

Mat roześmiał się.

- Jak mógłbym się nie przyjaźnić z kimś, kto tak fatalnie gra w kości?

Wyrzucił ręce w górę, gdy Rand i Perrin zgromili go wzrokiem.

- No już dobrze. Lubię cię, Loial. Jesteś moim przyjacielem. Tylko już więcej nie... Aaach! Czasami być przy tobie jest równie paskudnie jak w towarzystwie Randa. Jego głos ścichł, przechodząc w mamrotanie. - Przynajmniej tutaj, w *stedding*, jesteśmy bezpieczni.

Rand skrzywił się. Wiedział, o czym mówi Mat.

"Tutaj, w *stedding*, nie mogę przenosić Mocy".

Perrin uszczypnął Mata w ramię, czego pożałował na widok krzywego uśmiechu na jego wynędzniałej twarzy.

Jako pierwsza do świadomości Randa dotarła muzyka, skoczna melodia wygrywana na niewidzialnych skrzypcach i fletach, która napływała spomiędzy drzew, a także chóralne śpiewy i śmiech dudniących głosów.

Oczyścimy pole, z ziemią gołą zrównajmy je,

Oby żaden krzak ni pniak nie ostał tu się.

Tutaj nasz znój, tutaj nasz trud,

Tu kiedyś wielkich drzew wyrośnie bór.

Nieomal w tym samym momencie uświadomił sobie, że ogromny kształt, który widzi między drzewami, to także drzewo, o pręgowanym, rozłożystym pniu, grubości bez wątpienia dwudziestu

kroków. Oniemiały, wędrował oczyma w górę, mijając warstwę gęstych gałęzi, ku konarom rozkładającym się niczym kapelusz gigantycznego grzyba na wysokości dobrych stu stóp ponad ziemią. A za tym drzewem rosły jeszcze wyższe.

- Niech szczenę - wykrztusił Mat. - Z jednego takiego moglibyście zbudować dziesięć domów. Pięćdziesiąt domów.

- Ściąć Wielkie Drzewo? - Loial wyraźnie się zgorszył, a nawet bardziej niż trochę rozgniewał. Uszy mu zeszywniały i znieruchomiały, końcówki długich brwi sięgnęły policzków. - Nie ścinamy Wielkich Drzew, zanim nie umrą, a nie umierają prawie nigdy. Niewiele ocalało po Pęknięciu, niemniej kilka z tych największych posadzono jeszcze w Wieku Legend.

- Przepraszam - bąknął Mat. - Ja tylko chciałem powiedzieć, jakie one są duże. Nie zrobię nic złego waszym drzewom.

Loial pokiwał głową, wyraźnie udobruchany.

Pojawiało się coraz więcej ogirów, wędrowali wśród drzew. Sprawiali wrażenie całkowicie pochłoniętych swymi zajęciami - mimo że wszyscy popatrywali na przybyszów, a nawet obdarzali ich przyjaznym skinieniem głowy albo nieznacznym ukłonem, żaden się nie zatrzymał, ani nie zagadał. Ruchy mieli osobliwe, łączące rozwagę z nieomal dziecięcym, beztroskim rozigraniem. Wiedzieli i lubili to, kim, czym i gdzie są, wyglądali na pogodzonych z sobą i wszystkim, co ich otaczało. Rand poczuł, że im zazdrości.

Niewielu ogirów przewyższało wzrostem Loiala, nietrudno jednak było wyłowić wśród nich starszych wiekiem: wszyscy jak jeden mąż nosili wąsy tej samej długości co obwisłe brwi, a także małe bródki. Młodszy byli jednakowo gładko ogoleni, podobnie jak Loial. Sporo mężczyzn nie miało na sobie nic prócz koszul, ci nieśli szpadle i oskardy lub piły i wiadra ze smołą; pozostali ubrani byli w proste kaftany, zapinane po szyję i rozkloszowane nad kolanami na podobieństwo krótkich spódniczek. Kobiety wyraźnie żywiły upodobanie do haftowanych kwiatów, niejedna też miała kwiaty wpięte we włosy. U młodszych hafty ograniczały się do płaszczy, starsze nosiły również haftowane suknie, kilka zaś niewiast o siwych włosach paradowało w girlandach od karku aż po sam kraj. Grupka złożona z kobiet, w większości młodych dziewcząt, szczególną uwagą zdawała się darzyć Loiala, ten szedł z wzrokiem wbitym w przestrzeń, w miarę pokonywanej drogi coraz zawzięciej strzygąc uszami.

Rand przeraził się na widok ogira, który wyłonił się jakby spod ziemi, z jednego z porośniętych trawą i kwiatami kopców, stojących między drzewami. Po chwili dostrzegł w tych kopcach okna, a w jednym również kobietę, która wyraźnie zagniała ciasto i pojął, że patrzy na domy ogirów. Ramy okien były kamienne, lecz nie dość że wyglądem przypominały twory natury, to zdawało się, iż wiatr i woda rzeźbiły je przez wiele pokoleń.

Wielkie Drzewa, z masywnymi pniami i rozłożystymi korzeniami, grubymi jak końskie brzuchy, potrzebowały wprawdzie dużej przestrzeni, niemniej kilka rosło w samej osadzie. Zwały ziemi usypane na korzeniach służyły za ścieżki. W rzeczy samej, z wyjątkiem nich, na pierwszy rzut oka dawało się odróżnić osadę od lasu jedynie po rozległej, pustej przestrzeni w samym jej centrum, wokół pnia, jaki mógł pozostać jedynie po Wielkim Drzewie. Jego powierzchnię, licząc blisko sto stóp w przekroju, wypolerowano tak gładko jak posadzkę, z kilku stron wiodły do niej schody. Rand właśnie sobie wyobrażał, jakie wysokie musiało być to drzewo, gdy Erith przemówiła donośnym głosem, starając się, by wszyscy ją usłyszeli.

- A oto nadchodzą nasi pozostali goście.

Zza ogromnego pnia wyłoniły się trzy kobiety, przedstawicielki gatunku ludzkiego. Najmłodsza niosła drewnianą misę.



- Kobiety z Aiel - powiedział Ingtar. - Panny włóczni. A ja kazałem Masemie zostać z resztą poza *stedding*.

Odsunął się jednak od Verin i Erith, po czym przełożył dłoń ponad ramieniem, by wyswobodzić miecz z pochwy.

Rand przypatrywał się pannom włóczni z niepokojem i ciekawością. Zbyt wielu było ludzi, którzy próbowali mu wmówić, że jest Aielem. Dwie osiągnęły już wiek dojrzały, trzecia zaś jeszcze niedawno była podlotkiem, wszystkie bardzo wysokie jak na kobiety. Krótko przycięte włosy wahały się w odcieniu od czerwonego brązu nieledwie po złoto, nad karkiem pozostawione miały długie do ramion kosmyki. Luźne spodnie, włożone w miękkie, wysokie buty, ubranie w barwach brązu, szarości lub zieleni. Randowi przyszło na myśl, że taki strój z pewnością roztapia się w tle skały albo leśnego gąszczu, prawie tak skutecznie jak płaszcz strażnika. Znad ramion wystawały krótkie łuki, z pasów zwisały kołczany i długie noże, każda niosła także niewielką okrągłą tarczę wykonaną ze skóry, oraz kilka włóczni, skonstruowanych z krótkich drzewcy i długich grotów. Nawet ta najmłodsza poruszała się z gracją, sugerującą, że dziewczyna wie, jak posługiwać się bronią.

Kobiety zauważyły nagle nowo przybyłych ludzi mimo że wyraźnie zbite z tropu tym, że dały się zaskoczyć widokiem Randa i innych członków jego grupy, poruszały się z chyżością błyskawicy. Najmłodsza krzyknęła: "Shienaranie!" i odwróciła się, by ostrożnie ustawić misę na ziemi. Pozostałe dwie błyskawicznie uniosły brązowe płachty okrywające im ramiona i owinęły nimi głowy. Starsze kobiety nasunęły czarne woale na twarze, zakrywając wszystko prócz oczu, młodsza wyprostowała się, by pójść w ich ślady. Przybliżyła się zdecydowanym krokiem, na nisko ugiętych kolanach, tarcze wysunięte do przodu trzymały w tej samej ręce co włócznie, z wyjątkiem jednej, gotowej do rzutu w drugiej dłoni.

Miecz Ingtara opuścił pochwę.

- Zejdź z drogi, Aes Sedai. Erith, odsuń się.

Hurin dobył łamacza mieczy, druga dłoń wahała się między pałką a mieczem; zerknąwszy raz jeszcze na włócznie panien, porwał się do miecza.

- Nie wolno wam - zaprotestowała Erith. Załamując ręce, przeniosła wzrok z Ingtara na trzy wojowniczkę i znowu spojrzała na niego. - Nie wolno wam.

Rand zorientował się, że w dłoniach ściska już miecz ze znakiem czapli. Perrin wyciągnął do połowy topór z pętli przy pasie i teraz wahał się, kręcąc głową.

- Czy wyście obaj zwariowali? - spytał ostrym tonem Mat. Swoją łuk miał nadal przewieszony przez plecy. - Mnie nie obchodzi, że one pochodzą z Aiel. To kobiety.

- Przestańcie! - rozkazała Verin. - Przestańcie natychmiast!

Trzy kobiety nawet nie zmyliły kroku, więc Aes Sedai zacisnęła pięści z rozpaczy.

Mat cofnął się, by włożyć stopę w strzemiono.

- Wyjeżdżam - oznajmił. - Słyszycie mnie? Nie zostanę tu, pozwalając, by mnie naszpikowały tymi patykami, a nie mam zamiaru strzelać do kobiet!

- Pakt! - krzyknął Loial. - Przypomnijcie sobie o pakcie!

Nie przyniosło to większego skutku niż nieustające prośby Verin i Erith.

Rand spostrzegł, że zarówno Aes Sedai, jak i dziewczyna z plemienia ogirów stanęły jak mogły najdalej od kroczących w ich stronę kobiet. Nie wiedział, czy Mat rozumie właściwie. Sam nie był pewien, czy umiałby zranić kobietę, nawet gdyby ona naprawdę próbowała go zabić. Zdecydowała za niego myśl, że nawet jeśli uda mu się dotrzeć do siodła Rudego, to kobiety dzieli od niego nie więcej niż trzydzieści kroków. Podejrzewał, że krótkie włócznie można ciskać z takiej odległości. Gdy kobiety podeszły jeszcze bliżej, wciąż jakby czając się do skoku, z wystawionymi włóczniami,

przestał się zadręczać, że zrobi im krzywdę, a zaczął się w zamian trapić, jak teraz nie dopuścić, by one zrobiły krzywdę jemu.

Zdenerwowany zaczął szukać pustki. Przybyła. A poza jej skorupą uniosła się mglista myśl, że oprócz pustki nic więcej nie ma. Nie towarzyszyła jej łuna *saidara*. Nie pamiętał, by kiedykolwiek była równie jałowa, przepastna, podobna do głodu tak wielkiego, że mógłby go do cna strawić. Głodu czegoś więcej - czegoś, co przecież miało tam być.

Nagle między dwie grupy ludzi wkroczył jakiś ogir, jego mała bródka drżała.

- Co to ma wszystko znaczyć? Schowajcie broń. Sądząc z tonu jego głosu, był oburzony. - Dla was objął groźnym spojrzeniem Ingtara z Hurmem, Randa i Perrina, nie szczędząc nawet Mata, mimo że ten miał puste ręce - można znaleźć jakieś wytłumaczenie, ale dla was... zaatakował panny włóczni, które przerwały już swój marsz. - Czyżbyście zapomnieli o pakcie?

Kobiety odkryły głowy i twarze tak pośpiesznie, jakby chciały udawać, że w ogóle ich nie zakrywały. Twarz jednej dziewczyny przyoblekł jaskrawy rumieniec, a pozostałe dwie wyraźnie się zmieszały. Jedna ze starszych, ta o rudawych włosach, powiedziała:

- Wybacz nam, drzewny bracie. Pamiętamy o pakcie i nie obnażyłybyśmy stali, gdyby nie to, że na ziemi zabójców drzew, gdzie każda ręka podnosi się przeciwko nam, zobaczyłyśmy uzbrojonych mężczyzn.

Rand zauważył, że kobieta ma takie same szare oczy jak on.

- Znajdujecie się w *stedding*, Rhian - odparł łagodnym głosem ogir. - W *stedding* nikomu nic nie grozi, mała siostrze. Tu nikt nie walczy, żadna ręka nie podnosi się na nikogo.

Skinęła głową, zawstydzona, natomiast ogir spojrzał na Ingtara i pozostałych mężczyzn.

Ingtar schował miecz do pochwy, Rand zrobił to samo, nie tak jednak szybko jak Hurin, który wyglądał na nieomal równie zażenowanego jak trzy przedstawicielki narodu Aiel. Perrin nawet nie wyciągnął topora do końca. Po zdjęciu dłoni z rękojeści miecza Rand wyswobodził również pustkę i zadygotał. Pustka odeszła, ale pozostawiła po sobie rozbrzmiewające w całym jego wnętrzu, powoli tracące na mocy, echo, a także pragnienie, by czymś to wnętrze wypełnić.

Ogir stanął twarzą do Verin i skłonił się.

- Aes Sedai, jestem Juin, syn Lacela syna Lauda. Przybyłem, by zaprowadzić cię do starszych. Będą chcieli się dowiedzieć, z jakiego to powodu zawitała do nas Aes Sedai, w towarzystwie uzbrojonych mężczyzn i jednego z naszych młodzianów.

Loial skulił ramiona, jakby próbował zniknąć.

Verin obdarzyła trzy kobiety spojrzeniem, które zdawało się wyrażać żal, że nie może z nimi porozmawiać, po czym dała Juinowi znak, że ma ruszać. Zabrał ją bez zbędnego słowa, nawet raz nie spojrzawszy na Loiala.

Przez kilka chwil Rand i inni stali, patrząc zmieszonym wzrokiem na panny włóczni. W każdym razie Rand czuł, że jest mu nieswojo. Ingtar znieruchomiał tak, że przypominał kamień i tyle samo co kamień zdradzał emocji. Kobiety wprawdzie odkryły twarze, ale wciąż trzymały w dłoniach włócznie i przyglądały się badawczo czterem mężczyznom, jakby próbowały przejrzeć ich na wylot. Szczególnie Rand przyciągał coraz to bardziej gniewne spojrzenia. Posłyszał, jak najmłodsza mruczy do siebie: On nosi miecz - tonem, w którym zgroza splatała się z pogardą. Po chwili wszystkie trzy odeszły, zatrzymując się, by podnieść drewnianą misę. Oglądały się przez ramię na Randa i pozostałych czterech tak długo, aż nie zniknęły wśród drzew.

- Panny włóczni - mruknął Ingtar. - Nigdy bym nie pomyślał, że zrezygnują, jak już zaciągnęły woale na twarz. Z pewnością nie po to, by zamienić kilka słów. Popatrzyl na Randa i jego dwóch przyjaciół. - Powinniście kiedyś zobaczyć szarzę czerwonych tarcz albo kamiennych psów. Równie

łatwo zatrzymać lawinę.

- One nie naruszają paktu, gdy już się go im przypomni - odparła Erith z uśmiechem. - Przybyły po wyśpiewane drzewo. - Do jej głosu wkradła się nuta dumy. - W Stedding Tsofu mamy dwóch drzewnych pieśniarzy. W dzisiejszych czasach rzadko się ich spotyka. Słyszałam, że w Stedding Shangtai mieszka jeden młody drzewny pieśniarz, bardzo utalentowany, my za to mamy dwóch.

Loial zaczerwienił się, na co ona zdawała się nie zwracać uwagi.

- Jeśli zechcecie pójść ze mną, pokażę wam miejsce, w którym możecie zaczekać, dopóki starsi nie przemówią.

Gdy ruszyli w ślad za nią, Perrin mruknął półgłosem:

- Wyśpiewane drzewo, na moją lewą stopę! Te kobiety szukają tu Tego, Który Nadchodzi Ze Świttem.

Z kolei Mat dodał uszczypliwie:

- One szukają ciebie, Rand.

- Mnie! Co za bzdura. Na jakiej podstawie sądzisz...

Urwał, gdy Erith sprowadziła ich po stopniach do porośniętego kobiercem dzikich kwiatów domu, prawdopodobnie przeznaczonego dla goszczących w *stedding* ludzi. Jeśli nawet tak było, zbyt duże meble nie zapewniały wygody, pięty człowieka, który usiadł na krzesłach, dyndały nad podłogą, blat stołu znajdował się wyżej niż pas Randa. Do kominka, który wyglądał tak, jakby wykuła go w kamieniu woda nie zaś dłoń, Hurin przynajmniej mógłby wejść całkiem wyprostowany. Erith spojrzała na Loiala, dzieląc z nim swoje wątpliwości, on jednak zbył jej zatroskanie machnięciem ręki i zaniósł jedno z krzesel do kąta najmniej widocznego od strony drzwi.

Zaraz po wyjściu Erith Rand odciągnął Mata i Perrina na bok.

- Dlaczego mówisz, że one szukają mnie? Po co? Z jakiego powodu? Popatrzyły na mnie i poszły sobie.

- Patrzyły na ciebie w taki sposób - powiedział Mat, szczerząc się od ucha do ucha - jakbyś od miesiąca nie brał kąpieli, tylko polewał się środkiem dezynfekującym dla owiec. - Jego uśmiech zbladł. - Ale możliwe, że naprawdę cię szukają. Spotkaliśmy już wcześniej jednego Aieła.

Rand wysłuchał z rosnącym zdziwieniem relacji ze spotkania na Sztylenie Zabójcy Rodu. Głównie opowiadał Mat, a Perrin co jakiś czas wnosił poprawki, gdy tamten za bardzo upiększał. Mat z wyjątkowym dramatyzmem ukazał, jak niebezpieczny był ten Aiel i jak owo spotkanie omal nie zakończyło się walką.

- A ponieważ jesteś jedynym znanym nam Aielem zakończył - to, no cóż, mogło chodzić o ciebie. Ingtar powiada, że Aielowie nie mieszkają poza granicami Pustkowia, więc to ty musisz nim być.

- Moim zdaniem to wcale nie jest zabawne, Mat warknął Rand. - Nie jestem Aielem.

"Amyrlin powiedziała, że jesteś Aielem. Ingtar też tak sądzi. A Tam powiedział... Był chory, majaczył w gorączce".

Myślał, że ma jakieś korzenie, a Aes Sedai mu je podcięły, a razem z nimi zrobił to również Tam, tyle że Tam był wtedy zanadto chory, by wiedzieć, co mówi. Wykarczowały go, by wiatr mógł nim targać, a potem ofiarowały coś nowego, do czego mógł przyłgnąć. Fałszywy Smok. Aiel. Do takich korzeni przyznać się nie mógł. Nigdy się do nich nie przyzna.

- Być może jestem znikąd. Ale Dwie Rzeki to jedyny dom, jaki znam.

- Ja nic takiego nie powiedziałem - zaprotestował Mat. - To tylko... Niech szczenę, Ingtar mówi, że jesteś Aielem. Masema też tak sądzi. Urien by mógł być twoim kuzynem, a gdyby Rhian włożyła jakąś suknię i powiedziała, że jest twoją ciotką, to sam byś w to uwierzył. Och, już dobrze. Nie patrz

tak na mnie, Perrin. Skoro on chce mówić, że nie jest Aielem, to niech tak robi. Co zresztą za różnica?

Perrin potrząsnął głową.

Kilka młodych ogir przyniosło wodę i ręczniki, by mogli umyć twarze i ręce; przyniosły też ser, owoce i cynowe puchary, trochę za wielkie, więc mało poręczne. Pojawiły się również kobiety, w sukniach całych pokrytych haftami. Przychodziły jedna po drugiej, w sumie dwanaście, by pytać, czy ich gościom jest wygodnie, czy czegoś im nie potrzeba. Tuż przed wyjściem każda kierowała uwagę na Loiala. Udzielał odpowiedzi z szacunkiem, Rand jednak nigdy przedtem nie słyszał, by ogir używał tak niewielu słów, przyciskając do piersi oprawną w drewno księgę, wielkości do niego proporcjonalnej, jakby to była tarcza, a po ich wyjściu kulił się na krześle, przesłaniając ową księgą twarz. W tym domu książki były jedyną rzeczą nie dostosowaną wielkością do ludzi.

- Powąchaj tylko to powietrze, lordzie Rand - powiedział Hurin, z uśmiechem napełniając płuca. Jego stopy zwisały z krzesła przystawionego do stołu, majtał nimi jak mały chłopiec. - Dotąd nigdy mi nie przyszło do głowy, jak paskudnie cuchnie większość miejsc, tu natomiast... Lordzie Rand, tu bodajże nigdy nikogo nie zabito. Nawet nie zraniono, chyba że przypadkiem.

- Uważa się, że *stedding* są bezpieczne dla wszystkich - odparł Rand. Obserwował Loiala. - W każdym razie to właśnie mówią opowieści.

Przełknął ostatni kęs białego sera i podszedł do ogira. Mat mu towarzyszył, z kielichem w dłoni.

- Co się dzieje, Loial? - spytał Rand. - Odkąd tu przyjechaliśmy, jesteś zdenerwowany jak kot na wybiegu dla psów.

- To nic takiego - odrzekł Loial, kątem oka niespokojnie popatrując w stronę drzwi.

- Boisz się, że oni wykryją, żeś wyjechał ze Stedding Shangtai bez zezwolenia starszych?

Loial rozejrzał się dokoła zdziaczalym wzrokiem, kępki na jego uszach zawibrowały.

- Nie mów tego - wysyczał. - Nie tam, gdzie każdy to może usłyszeć. Gdyby się dowiedzieli... - Opadł na oparcie z ciężkim westchnieniem, przenosząc wzrok z Randa na Mata. - Nie wiem, jak to robią ludzie, ale wśród ogirów... Gdy jakaś dziewczyna spotyka chłopca, który jej się podoba, to udaje się do swej matki. Albo czasami to matka zauważa kogoś, jej zdaniem, odpowiedniego. W każdym razie, jeśli oboje wyrażą zgodę, matka dziewczyny udaje się do matki chłopca i potem chłopiec dowiaduje się tylko, że małżeństwo zostało już do końca zaaranżowane.

- Czy on nie ma nic do powiedzenia? - spytał z niedowierzaniem Mat.

- Nic. Kobiety zawsze powtarzają, że gdyby tę sprawę pozostawiono w naszych rękach, to dokonywalibyśmy żywota jako wieczni oblubieńcy drzew. - Loial poprawił się na krześle, krzywiąc twarz. - Połowę związków małżeńskich zawierają u nas mieszkańcy różnych *stedding*, całe grupy młodych ogirów wędrują od *stedding* d o *stedding*, by móc oglądać i samemu stawać się przedmiotem oględzin. Jeśli się dowiedzą, że znalazłem się na zewnątrz bez zezwolenia, wówczas starsi z nieomal całkowitą pewnością postanowią, że potrzeba mi żony, abym się usatkwował. Nim się połapię, pošlę wiadomość do Stedding Shangtai, do mojej matki, a ona tu przyjedzie i ożeni mnie, nie otrzepawszy nawet pyłu z podróży. Zawsze powtarzała, że jestem nierozważny nad miarę i że potrzebuję żony. Myślę, że szukała jej dla mnie, gdy wyjeżdżałem. Jakakolwiek by dla mnie żonę wybrała... cóż, żadna żona nigdy mi nie pozwoli ponownie wyjść na zewnątrz, dopóki siwizna nie przyprószy mej brody. Żony zawsze powtarzają, że mężczyzny nie powinno się wypuszczać na zewnątrz, dopóki nie usatkuje się dostatecznie, by potrafił utrzymać się w ryzach.

Mat parsknął rechotem tak głośnym, że wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę, jednakże pod wpływem gwałtownego gestu Loiala odezwał się cichym głosem.

- U nas to mężczyźni dokonują wyboru i żadna żona nie powstrzyma mężczyzny, gdy ten zechce

coś zrobić.

Rand skrzywił się, przypomniał sobie, jak to Egwene zaczęła chodzić za nim krok w krok, gdy oboje byli jeszcze mali. Wtedy właśnie pani al'Vere zaczęła obdarzać go szczególną uwagą, większą niż innych chłopców. Później, podczas świąt jedne dziewczęta mogły z nim tańczyć, a inne zaś nie - te, które mogły, były zawsze przyjaciółkami Egwene, te inne natomiast zaliczały się do tych, których Egwene nie lubiła. Wydało mu się nawet, że pamięta, jak pani al'Vere wzięła kiedyś Tama na bok "A przy tym przebąkiwała, że z Tamem rozmawiać się nie da przez to, że on nie ma żony!" - a później Tam i wszyscy tak się zachowywali, jakby on i Egwene byli po słowie, mimo że wcale nie klękali przed Kołem Kobiet, by sobie ślubować. Nigdy przedtem nie myślał o tym w taki sposób - wszystko, co było między nim a Egwene zawsze wydawało się po prostu takie, jakie jest i na tym dość.

- Moim zdaniem my to robimy tak samo - mruknął, a kiedy Mat się roześmiał, dodał: - Czy przypominasz sobie, by twój ojciec kiedykolwiek zrobił coś, czego by twoja matka nie pochwałała?

Mat otworzył usta rozciągnięte w szerokim uśmiechu, po czym w zamyśleniu zmarszczył brwi i zamknął usta z powrotem.

Na stopniach wiodących do wnętrza domu pojawił się Juin.

- Czy mógłbym prosić, abyście wszyscy zechcieli pójść ze mną? Starsi chcą was zobaczyć.

Nie spojrzał na Loiala, natomiast Loial omal nie wypuścił książki z rąk.

- Jeśli starsi będą próbowali cię zmusić, byś został uspokajał go Rand - to powiemy, że jesteś nam potrzebny.

- Założę się, że wcale nie chodzi o ciebie - dodał Mat. - Założę się, że oni nam tylko chcą oznajmić, że możemy skorzystać z bramy. - Otrząsnął się, a jego głos jeszcze bardziej ścichł. - Naprawdę musimy to zrobić, czy nie tak? - Nie było to pytanie.

- Zostań i ożeń się albo podróżuj drogami. - Loial wykrzywił się żałośnie. - Nie można się ustatkować, jak się ma *ta'veren* za przyjaciół.

# ROZDZIAŁ 13

## WŚRÓD STARSZYCH

Gdy Juin prowadził ich przez osadę, Rand zauważył, że Loial robi się z każdą chwilą coraz bardziej zdenerwowany. Zesztywniał mu nie tylko grzbiet, ale również uszy, oczy coraz bardziej ogromniały na widok wpatrzonych weń innych ogirów, szczególnie kobiet i dziewcząt, zresztą spora ich rzesza rzeczywiście kierowała na niego uwagę. Miał taką minę, jakby czekał na własną egzekucję.

Brodaty ogir wskazał stopnie wiodące do wnętrza porośniętego trawą kopca, większego niż wszystkie, które do tej pory widzieli; właściwie było to raczej wzgórze, wznoszące się tuż przy podstawie pnia jednego z Wielkich Drzew.

- A może byś poczekał na zewnątrz, Loial? - zaproponował Rand.

- Starsi... - zaczął Juin.

- ... Prawdopodobnie życzą sobie zobaczyć tylko nas - dokończył za niego Rand.

- Dlaczego nie mieliby zostawić go w spokoju wtrącił Mat.

Loial skwapliwie pokiwał głową.

- Tak, tak, wydaje mi się...

Obserwowało go kilka mieszkank *stedding*, zarówno siwowłose babcie, jak i dziewczęta w wieku Erith, niby cała grupa pochłonięta była rozmową, ale wszystkie oczy patrzyły na Loiala. Zastrygł uszami, spojrzął na szerokie drzwi, do których wiodły stopnie i raz jeszcze przytaknął.

- Tak, posiedzę sobie tutaj i poczytam. O właśnie. Poczytam.

Włożył dłoń do kieszeni i wyszperał jakąś książkę. Usadowił się na ścianie kopca, tuż obok schodów, stronice, w które wbił wzrok, zupełnie ginęły w jego dłoniach.

- Posiedzę tu sobie i poczytam, dopóki nie wróćcie.

Uszy drgały mu gwałtownie, jakby czuł na sobie wzrok obserwujących go kobiet.

Juin potrząsnął głową, wzruszył ramionami i podszedł znowu do schodów.

- Gdybym mógł was prosić. Starsi czekają.

Ogromna, pozbawiona okien izba we wnętrzu kopca dostosowana była wielkością do postury ogirów, sklepienie znajdujące się na wysokości czterech piędzi z okładem wspierały grube belki - już samym ogromem nadawałyby się na pałacowe wnętrza. Siedmiu ogirów, siedzących na podwyższeniu dokładnie naprzeciwko drzwi, sprawiało, że wydawała się odrobinę jakby kurczyć, Rand jednak nie mógł się wyzbyć wrażenia, że znajduje się w jaskini. Ciemne kamienie posadzki, mimo że wielkie i nieregularne w kształcie, miały gładką powierzchnię, natomiast szare ściany były tak nierówne, że mogłyby tworzyć zbocze skalistego wzgórza. Belki sklepienia, z grubsza obciosane, przypominały wielkie korzenie.

Oprócz krzesła z wysokim oparciem, na którym naprzeciwko podwyższenia usadzona została Verin, na całe umeblowanie składały się ciężkie, zdobne w rzeźbione pnącza krzesła starszych. Na samym środku podwyższenia siedziała kobieta, nieco wyżej od pozostałych, po jej lewej ręce trzech brodatych mężczyzn w długich, rozszerzanych ku dołowi płaszczach, po prawej trzy kobiety, ubrane podobnie jak ona, w suknie haftowane w pnącza i kwiaty od karku po sam kraj. Wszyscy mieli naznaczone wiekiem twarze oraz włosy barwy czystej bieli, łącznie z kępkami na czubkach uszu. Roztaczali atmosferę niezgłębionego dostojeństwa.

Hurin wytrzeszczył na ich widok oczy, a Rand poczuł, że też ma ochotę się gapić. Takiej mądrości, jaką kryły w sobie ogromne oczy starszych, nie widziało się nawet w twarzy Verin, takiego

autorytetu nie miała Morgase z jej koroną, Moiraine nie dorównywała im opanowaniem i spokojem. Pierwszy ukłon złożył Ingtar, równie ceremonialny jak zawsze, natomiast wszyscy inni stali nieruchomo, jakby zapuścili korzenie.

- Jestem Alar - powiedziała kobieta siedząca na najwyższym krześle, gdy wreszcie zajęli miejsca obok Verin. - Najstarsza ze starszych Stedding Tsofu. Odzyskanie Rogu Valere to sprawa doprawdy najwyższej potrzeby, my jednak nie pozwalamy, by ktoś podróżował drogami częściej niż raz na sto lat. Nie pozwalamy na to ani my, ani starsi z innych *stedding*.

- Znajdę Róg - odparł gniewnie Ingtar. - Muszę. Jeśli nie pozwolicie nam skorzystać z bramy...

Spojrzenie Verin kazało mu umilknąć, ale chmurny wyraz nie zniknął z jego twarzy.

Alar uśmiechnęła się.

- Nie bądź taki w gorącej wodzie kąpany, Shienaraninie. Wy ludzie nigdy nie poświęcacie czasu myśli. Jedyne podejmowane w spokoju decyzje są właściwe. - Jej uśmiech zbladł, ustępując miejsca powadze, natomiast głos nie stracił nic ze swego zamierzonego opanowania. - Ani niebezpieczeństwom czyhającym na drogach, ani atakującym Aielom, ani drapieżnym trollokom nie należy stawiać czoła za pomocą miecza. Muszę was uprzedzić, że wejście na drogi łączy się z ryzykiem nie tylko śmierci i szaleństwa, lecz również utraty duszy.

- Widzieliśmy *Machin Shin* - powiedział Rand, a Mat i Perrin mu przytaknęli. Jakoś jednak nie śpieszyli się z zapewnieniem, że są gotowi obejrzeć go raz jeszcze.

- Pojadę po Róg nawet do samego Shayol Ghul, jeśli zajdzie taka potrzeba - oświadczył dobitnie Ingtar.

Hurin tylko pokiwał głową, jakby chciał się przyłączyć do słów Ingtara.

- Sprowadź Trayala - rzekła Alar do Juina, który do tej pory stał przy drzwiach, i Juin skłonił się i wyszedł. Nie wystarczy - zwróciła się do Verin - usłyszeć, co się stanie. Musicie to zobaczyć, poznać swoim sercem.

Do powrotu Juina panowała nieprzyjemna cisza, a stała się jeszcze bardziej przykra, gdy wraz z nim przyszły dwie kobiety, wiodące z sobą ciemnobrodego ogira w średnim wieku, który powłóczył nogami, jakby nie całkiem wiedział, jak należy się nimi posługiwać. Obwisłej twarzy brakowało wszelkiego wyrazu, a wielkie oczy były puste i nieruchome, ani zagapione, ani zapatrzone, wydawały się w ogóle nic nie widzieć. Jedna z kobiet delikatnie otarła mu kropelkę śliny z kącika ust. Musiały go złapać za ręce, żeby się zatrzymał - stopa zrobiła ruch do przodu, zawahała się, wreszcie cofnęła i opadła na posadzkę z głośnym łomotem. Wydawało się, że jest mu obojętne, czy stoi, czy idzie, w każdym razie nie przykładał wagi do żadnej z tych czynności.

- Trayal był jednym z ostatnich ogirów, którzy przeprawiali się przez drogi - powiedziała cicho Alar. Wszedł w takim stanie, w jakim go teraz widzicie. Czy zechcesz go dotknąć, Verin?

Verin obdarzyła ją przeciągłym spojrzeniem, wstała i podeszła do Trayala. Ani drgnął, gdy położyła dłonie na jego szerokiej klatce piersiowej, nawet nie mrugnął okiem na potwierdzenie, że czuje dotyk. Z ostrym sykiem gwałtownie odskoczyła w tył, podniosła wzrok na jego twarz, potem odwróciła się na pięcie, by stanąć twarzą do starszych.

- On jest... pusty. To ciało żyje, lecz w jego wnętrzu nic nie ma. Nic.

Na twarzach wszystkich starszych pojawił się wyraz niezgłębionego smutku.

- Nic - powtórzyła cicho jedna ze starszych, siedzących po prawicy Alar. Jej oczy wydawały się odzwierciedlać cały ból, którego Trayal już nie mógł czuć. - Żadnego umysłu. Żadnej duszy. Po Trayalu nie zostało nic prócz ciała.

- Był wspaniałym Drzewnym Pieśniarzem - westchnął jeden z mężczyzn.

Na znak dany ręką przez Alar dwie kobiety skierowały Trayala w stronę wyjścia, musiały go

najpierw rozruszać, zanim zaczął iść o własnych siłach.

- Ryzyko, jakie nam grozi, znamy - oznajmiła Verin. - Jednak niezależnie od niego musimy ruszyć w pościg za Rogiem Valere.

Najstarsza skinęła głową.

- Róg Valere. Nie wiem, która z wieści jest gorsza: że znalazł się w rękach Sprzymierzeńców Ciemności czy raczej, że w ogóle został odnaleziony.

Popatrzyła z wysoka na siedzących rzędem starszych kiwali głowami, jeden z mężczyzn poskubał najpierw brodę, wyrażając w ten sposób zwątpienie.

- Bardzo dobrze. Verin zapewnia mnie, że sytuacja jest wyjątkowa. Zaprowadzę was osobiście do bramy.

Rand poczuł po części ulgę, a po części strach, gdy dodała:

- Towarzyszy wam pewien młody ogir. Loial, syn Arenta syna Halana, ze Stedding Shangtai. Daleko od domu się znalazł.

- Jest nam potrzebny - szybko zapewnił ją Rand. Pod wpływem zaskoczonych spojrzeń, które skierowali ku niemu starsi i Verin, zaczął wypowiadać słowa wolniej, uparcie jednak brnął dalej. - Jest nam potrzebny w drodze, a poza tym on sam tego chce.

- Loial jest przyjacielem - dodał Perrin w tym samym momencie, w którym Mat powiedział: - Nikomu nie zawadza i sam nosi swój bagaż.

Żadnemu nie zrobiło się przyjemnie, gdy ściągnęli uwagę starszych na siebie, ale już się nie wycofali.

- Czy istnieje jakiś powód, dla którego nie mógłby jechać z nami? - spytał Ingтар. - Tak jak mówi Mat, jest bardzo samodzielny. Nie wiem, do czego mielibyśmy go potrzebować, ale skoro chce jechać, to czemu...?

- Naprawdę go potrzebujemy - wtrąciła zgrabnie Verin. - Mało kto dzisiaj zna drogi, natomiast Loial interesował się nimi naukowo. Potrafi odczytywać treści drogowskazów.

Alar przyjrzała się wszystkim po kolei, na koniec zatrzymała wzrok na Randzie. Wyglądała na osobę, która niejedno wie - wszyscy starsi sprawiali takie wrażenie, ona jednak w największym stopniu.

- Verin twierdzi, że jesteś *ta'veren* - przemówiła w końcu - i ja czuję to w tobie. Skoro czuję, to znaczy, że musisz być naprawdę bardzo silnym *ta'veren*, z wszystkich bowiem talentów, ten u nas objawia się najslabiej, o ile w ogóle. Czy ty wciągnąłeś Loiala, syna Arenta syna Halana, do *ta'maral'ailen*, do splotu, który wzór tka wokół ciebie?

- Ja... ja tylko chcę znaleźć Róg i... - Rand uznał, że reszta może utonąć w milczeniu. Alar nie wspomniała o sztylcie Mata. Nie wiedział, czy Verin opowiedziała o nim starszym, czy raczej z jakiegoś powodu zataiła tę informację. - Loial to mój przyjaciel, starsi.

- Twój przyjaciel - powiedziała Alar. - Zgodnie z waszym sposobem myślenia Loial jest młody. I ty jesteś młody, ale za to *ta'veren*. Będiesz się nim opiekował, a gdy wzór ukończy swe dzieło, dopilnujesz, by powrócił bezpiecznie do Stedding Shangtai.

- Zrobię to - obiecał. Odczuł to jak zobowiązanie, jakby składał przysięgę.

- W takim więc razie udamy się teraz do bramy.

Widząc ich, z Alar i Verin na czele, Loial poderwał się niezdarnie na nogi. Ingтар kazał Hurinowi pobiec po Uno i pozostałych żołnierzy. Loial bacznie przyjrzał się starszym, po czym zrównał się z Randem, zamykającym pochód. Wszystkie mieszkanki *stedding*, które go wcześniej obserwowały, gdzieś przepadły.

- Czy starsi coś o mnie mówili? Czy ona...?



Spojrzał na szerokie plecy Alar, nakazującej właśnie Juinowi, by przyprowadził ich konie. Juin jeszcze się kłaniał na odchodnym, gdy już ruszyła z miejsca razem z Verin, pochylając w jej stronę głowę, dzięki czemu mogły z sobą cicho rozmawiać.

- Przykazała Randowi, że ma się tobą opiekować - odpowiedział mu poważnym tonem Mat podczas marszu i zająć się twym powrotem do domu, jakbyś był niemowlęciem. Nie rozumiem, dlaczego nie zostaniesz tu i nie ożenisz się jednak.

- Powiedziała, że możesz jechać z nami.

Rand spojrzał groźnie na Mata, który odpowiedział zduszonym chichotem. Śmiech dobywający się z tej wymizerowanej twarzy brzmiał dziwnie. Loial obracał w palcach łydżkę miłka wiosennego.

- Poszedłeś nazrywać kwiatów? - spytał go Rand.

- Erith mi go ofiarowała. - Loial zapatrzył się na wirujące żółte płatki. - Ona jest naprawdę bardzo piękna, nawet jeśli Mat tego nie widzi.

- Czy to znaczy, że jednak nie chcesz jechać z nami?

Loial wzdrygnął się.

- Co? Och, nie. To znaczy, tak. Naprawdę chcę jechać. Ona tylko dała mi kwiat. Zwykły kwiat. - Wyjął jednak z kieszeni książkę i wsunął go pod okładkę. Potem mruknął pod nosem, tak cicho, że Rand ledwie usłyszał: - I powiedziała też, że jestem przystojny.

Mat chrząknął głośno, zgiął się wpół i zatoczył, jednocześnie chwytając za boki. Loial poczerwieniał.

- Cóż., to ona to powiedziała. Nie ja.

Perrin z całej siły zdzielił Mata rozwartą dłonią w czubek głowy.

- O Macie nikt nigdy nie powiedział, że jest przystojny. On po prostu zazdrości.

- To nieprawda - zaprzeczył Mat, prostując się gwałtownie. - Neysa Ayellin uważa, że jestem przystojny. Nieraz mi to mówiła.

- Czy Neysa jest ładna? - spytał Loial.

- Z twarzy przypomina kozę - odparł szyderczym tonem Perrin.

Mat próbował zaprotestować tak gwałtownie, że aż się zakrztusił.

Rand mimo woli uśmiechnął się. Neysa Ayellin była prawie tak ładna jak Egwene. A ta słowna utarczka, jakby na świecie nic nie było ważniejsze, oprócz śmiechu i prawienia sobie złościwości, przypominała nieomal dawne czasy, jakby na powrót znaleźli się w domu.

W trakcie, gdy przemierzali osadę, napotkani po drodze ogirowie pozdrawiali najstarszą, kłaniając się albo dygając, z zainteresowaniem także przypatrywali się gościom. Skupiona twarz Alar odstraszała jednak wszystkich przed próbą zatrzymania na pogawędkę. Brak kopców stanowił jedyny widomy znak, że opuścili osadę, nadal napotykali ogirów, którzy doglądali drzew, tu i ówdzie z pomocą smoły, pił albo toporów usuwali martwe konary lub te gałęzie, które zasłaniały światło słońca. Prace te wykonywali z niezwykłą pieczołowitością.

Dołączył do nich Juin, który przyprowadził konie, nadjechał także Hurin, Uno i żołnierze z jucznymi końmi, chwilę zaś później Alar wyciągnęła rękę i powiedziała:

- To tam.

To był koniec wymiany uszczypliwości.

Rand zdumiał się na moment. Brama winna była się znajdować na zewnątrz *stedding* - do stworzenia dróg używano Jedynej Mocy, więc nie mogły powstawać we wnętrzu *stedding* - a nic nie wskazywało na to, by przekroczyli granicę. Potem jednak zauważył różnicę, zniknęło wrażenie utraty, które towarzyszyło mu od chwili wejścia na teren *stedding*. To przypawiło go o dreszcz innego

rodzaju. *Saidin* powrócił. Czekał.

Alar poprowadziła ich obok wysokiego dębu, za którym, na niewielkiej polanie, stała wielka tablica bramy, z przodu pokryta misternie wyrzeźbioną płataniną pnączy i liści stu odmian roślin. Wokół skraju polany ogirowie wybudowali niski, kamienny wieniec, który wyglądał tak, jakby tam rósł, przywodząc na myśl kolisty kłęb utworzony z korzeni. Na jego widok Randowi zrobiło się nieswojo. Po chwili spostrzegł, że te korzenie przypominają korzenie jeżyn, dzikich róż, płonących krzaków i kolczastych dębów. Roślin, w które nikt nie ma ochoty wdepnąć.

Najstarsza zatrzymała się tuż przed wieńcem.

- Ten mur ma odstraszać wszystkich, którzy tu przyjdą. Mało kto to robi. Ja sama nie przekroczę go. Ale wam wolno.

Juin nie podszedł tak blisko jak ona, bezustannie ocierał ręce o kaftan i nie patrzył w stronę bramy.

- Dziękuję ci - powiedziała Verin. - Potrzeba jest naprawdę wielka, bo inaczej nie prosiłabym o to.

Rand cały ścierpł, gdy Aes Sedai dała krok ponad wieńcem i podeszła do bramy. Loial zrobił głęboki wdech i mruknął coś do siebie. Uno i inni żołnierze poruszyli się niespokojnie w siodłach i wyswobodzili miecze z pochew. Na drogach nie było nic takiego, przeciwko czemu dałoby się zrobić użytek z miecza, ale przynajmniej w taki sposób mogli się utwierdzić w przekonaniu o swej gotowości do walki. Tylko Ingtar i Aes Sedai wyglądali na spokojnych - nawet Alar wczepiła dłonie w poły spódnicy.

Verin oderwała liść *avendesory*, a Rand pochylił się z napięciem do przodu. Kusilo go, by wezwać pustkę, znaleźć się tam, gdzie w razie potrzeby będzie mógł dotknąć *saidina*.

Zieleń wyrzeźbiona na bramie zafalowała na niewyczuwalnym wietrze, zatrzepotały liście, gdy w samym środku ich gąszczu otwarła się szczelina i po chwili obie połowy bramy zaczęły się rozsuwać na boki.

Rand wbił wzrok w szczelinę, gdy tylko się zarysowała. Nie było za nią mętnego, srebrzystego odbicia, jedynie czerń ciemniejsza niż smoła.

- Zamknij bramę! - krzyknął. - Czarny Wiatr! Zamknij ją!

Verin obdarzyła go jednym zaskoczonym spojrzeniem i wcisnęła potrójny liść z powrotem między inne, różnorodne liście. Pozostał tam, gdy odjęła dłoń i cofnęła się w stronę kamiennego wieńca. Gdy tylko liść *avendesory* powrócił na miejsce, brama natychmiast zaczęła się zamykać. Szczelina zniknęła, pnącza i liście z obu połów splotły się z sobą, ukrywając czerń *Machin Shin*, a brama na powrót stała się blokiem kamienia, nawet jeśli rzeźbieniem na jego płaszczyźnie nadano większe podobieństwo życia, niż to się zdawało możliwe.

Alar wypuściła drżący oddech.

- *Machin Shin*. Tak blisko.

- Nie próbował się wydostać na zewnątrz - zauważył Rand.

Juin wydał zduszony okrzyk.

- Powiadam ci - powiedziała Verin - Czarny Wiatr to istota należąca do dróg. Nie może ich opuścić.

Głos miała spokojny, nie przestawała jednak wycierać dłoni o spódnicę. Rand otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował.

- Nadal nie rozumiem - ciągnęła - dlaczego on tu jest. Najpierw w Cairhien, teraz tutaj.

Drgnął, gdy spojrzała na niego z ukosa. Spojrzenie to było tak przelotne, że nie sądził, by ktoś inny je zauważył, wydało mu się jednak, że w jakiś sposób łączyło go z Czarnym Wiatrem.

- Nigdy o czymś takim nie słyszałam - oświadczyła Alar. - By *Machin Shin* się czał na otwarcie Bramy. Zawsze błąkał się po drogach. Dużo jednak czasu upłynęło, być może Czarny Wiatr głoduje i liczy, że złapie kogoś nieostrożnego, kto wejdzie do którejs z bram. Verin, z całą pewnością nie możecie skorzystać z tej bramy. I choćby nie wiadomo jak wielka była wasza potrzeba, nie mogę powiedzieć, że jest mi przykro. Drogi należą już do Cienia.

Rand spojrział krzywo na bramę.

"Czy to możliwe, żeby on mnie ścigał?"

Za wiele rodziło się pytań. Czyżby Fain w jakiś sposób rozkazywał Czarnemu Wiatrowi? Verin twierdziła, że to niemożliwe. I po cóż Fain miałby żądać, by on go ścigał, a potem próbował go zatrzymać? Wiedział tylko tyle, że wierzy w wiadomość od Faina. Musi pojechać na Głowę Tomana. Nawet gdyby następnego dnia znaleźli Róg Valere i sztylet Mata pod jakimś krzakiem, i tak musi tam pojechać.

Verin stała nieruchomo, oczy zasnuwała jej myśl. Mat usiadł na wieńcu, z głową skrytą w dłoniach, Perrin zaś przypatrywał mu się ze współczuciem. Loial wyraźnie odetchnął, że nie będą musieli korzystać z bramy i jednocześnie się wstydził, że z tego powodu odczuł ulgę.

- Rozstajemy się z tym miejscem - obwieścił Ingтар. - Verin Sedai, przyjechałem tu za tobą, wbrew własnemu zdaniu, dalej jednak towarzyszyć ci nie mogę. Mam zamiar wrócić do Cairhien. Bartheses może zdradzić, dokąd udali się Sprzymierzeńcy Ciemności i ja go zmuszę do tego.

- Fain pojechał na Głowę Tomana - powiedział znużonym głosem Rand. - A tam, dokąd on pojechał, jest Róg, a także sztylet.

- Uważam... - Perrin wzruszył ramionami, demonstrując zniechęcenie - uważam, że moglibyśmy sprawdzić jakąś inną bramę. W jakimś innym *stедding*?

Loial pogładził się po podbródku i zaczął mówić bardzo szybko, jakby chciał skompensować tę ulgę, którą odczuł w wyniku poniesionej przez nich porażki.

- W górze rzeki Iralell leży Stедding Cantoine, a na wschód od niego, na Grzbiecie Świata, znajduje się Stедding Taijing. Bliżej jednak jest do bramy w Caemlyn, w miejscu po dawnym gaju, a już najbliżej do bramy w gaju koło Tar Valon.

- Obawiam się, że z którejkolwiek bramy byśmy skorzystali - odparła nieobecny głosem Verin - wszędzie natkniemy się na Czarny Wiatr.

Alar spojrziała na nią pytająco, ale Aes Sedai nie dodała już nic więcej, w każdym razie nic takiego, co ktoś jeszcze mógłby usłyszeć. Mruknęła za to coś do siebie, kręcąc głową, jakby wiodła wewnętrzny spór.

- To, czego nam trzeba - zaczął nieśmiało Hurin - to któregoś z kamieni portalu. - Popatrzyl na Alar, potem na Verin, a gdy żadna nie kazała mu zamilknąć, mówił dalej, z rosnącym przekonaniem. - Lady Seline powiedziała, że dawne Aes Sedai badały tamte światy i dzięki temu właśnie wiedziały, jak tworzyć drogi. A to miejsce, w którym byliśmy... no cóż, pokonanie stu lig zabrało nam dwa, nawet niecałe dwa dni. Gdybyśmy posłużyli się kamieniem portalu, by udać się do tamtego świata, albo innego, podobnego, to, no przecież, starczyłoby nam tygodnia lub dwóch, by dotrzeć do oceanu Aryth i stamtąd moglibyśmy pojechać prosto na Głowę Tomana. Może nie tak szybko jak przez drogi, ale to, jakby nie patrzył, szybciej niż gdyby jechać na zachód. Co ty na to, lordzie Ingтарze? Lordzie Rand?

Odpowiedziała mu Verin.

- To, co proponujesz, byłoby nawet możliwe, wężycielu, jednakże liczyć na znalezienie jakiegoś kamienia jest tym samym, co mieć nadzieję, że po ponownym otwarciu bramy, nie będzie za nią czekał *Machin Shin*. Nic mi nie wiadomo o żadnym, który by stał gdzieś bliżej niż Pustkowie

Aiel. Ale moglibyśmy powrócić do Sztyletu Zabójcy Rodu, gdyby któryś z was, ty, Rand albo Loial uważał, że potrafi raz jeszcze odnaleźć kamień.

Rand spojrzął na Mata. Podczas rozmowy o kamieniach przyjaciel podniósł z nadzieją głowę. Kilka tygodni, powiedziała Verin. Jeżeli pojedą zwyczajną drogą na zachód, wówczas Mat nie dożyje, by zobaczyć Głowę Tomana.

- Umiem go znaleźć - przyznał z niechęcią Rand. Było mu wstyd.

"Mat umiera, Sprzymierzeńcy Ciemności porwali Róg Valere, Fain będzie szkodził Polu Emonda, jeśli nie będziesz go ścigał, a ty się boisz przenosić Moc. Wejdiesz tam tylko raz i tylko raz stamtąd wrócisz. Dwa dodatkowe razy jeszcze nie doprowadzą cię do obłądu".

Tak najbardziej jednak przestraszyła go ta ochota, która w nim wezbrała na myśl, że znowu będzie przenosił, że znowu wypełni go Moc, że znowu poczuje, że żyje naprawdę.

- Ja nic nie rozumiem - wolno powiedziała Alar. Kamieni nie używano od czasu Wieku Legend. Moim zdaniem nie ma nikogo takiego, kto by dziś wiedział, jak się nimi posługiwać.

- Brązowe Ajah znajdują się na różnych rzeczach - sucho odparła Verin. - Ja wiem, jak się posługiwać kamieniem portalu.

Najstarsza przytaknęła.

- W Białej Wieży doprawdy dzieją się cuda, o jakich nam nawet się nie śniło. Jeśli jednak potrafisz posłużyć się kamieniem portalu, wówczas nie musicie jechać do Sztyletu Zabójcy Rodu. Nie opodal miejsca, w którym właśnie się znajdujemy, stoi taki kamień.

- Koło obraca się tak, jak chce, a wzór dostarcza tego, co niezbędne. - Roztargnienie całkowicie zniknęło z twarzy Verin. - Prowadź nas do niego - rzuciła ożywionym głosem. - Straciliśmy już więcej czasu, niżli nas było stać.

# ROZDZIAŁ 14

## CO MOŻE BYĆ

Opuścili polanę wokół bramy, prowadzeni przez Alar, która szła pełnym dostojeństwa krokiem, w odróżnieniu od Juina, najwyraźniej z czymś więcej niż lękiem odwracającego się plecami do bramy. Przynajmniej Mat rażno patrzył na drogę, również Hurin wyglądał na jakby śmielszego, natomiast po Loialu widać było, że bardziej niż czegokolwiek boi się, że Alar zmieni zdanie odnośnie do jego wyjazdu. Rand prowadził Rudego za uzdę, bynajmniej się nie śpiesząc. Nie sądził, by Verin istotnie miała zamiar posłużyć się osobiście kamieniem portalu.

Kolumna z szarego kamienia stała obok brzozy o wysokości blisko stu stóp i pniu grubości czterech kroków, gdyby Rand przedtem nie widział Wielkich Drzew uznałby ją za duże drzewo. Nie było tam żadnego ostrzegawczego wieńca, jedynie kilka dzikich kwiatów przebijało się przez liściaste poszycie lasu. Powierzchnia kamienia była zwietrzała, jednakże wyryte w niej symbole wciąż dawały się odczytać.

Siedzący na koniach shienarańscy żołnierze rozsypali się w luźny krąg wokół kamienia portalu i tych, którzy stali przy nim.

- Wyprostowaliśmy ten kamień - powiedziała Alar - wiele lat temu, gdy został odnaleziony, ale nie mogliśmy przenieść go nigdzie. Wydawało się... że stawia opór, jeśli go próbować przestawić. - Podeszła do kamienia i przyłożyła do niego swą wielką dłoń. - Zawsze o nim myślałam jako o symbolu czegoś, co zostało utracone, zapomniane. W Wieku Legend można go było zbadać i co nieco zrozumieć. Dla nas to zwykły kamień.

- Mam nadzieję, że to coś więcej. - Głos Verin z każdą chwilą stawał się coraz żywszy. - Najstarsza, doprawdy dziękuję ci za pomoc. Wybacz, że opuszczamy cię bez należytego ceremoniału, jednakże nie na kobietę czeka Koło. W każdym razie dłużej nie będziemy zakłócać spokoju twojego *stедding*.

- Sprowadziliśmy z powrotem kamieniarzy z Cairhien - odparła Alar. - Nadal jednak dochodzą nas wieści o tym, co dzieje się w świecie, na zewnątrz. Fałszywe Smoki. Wielkie Polowanie na Róg. Wieści dochodzą nas i nikną w zapomnieniu. Nie sądzę, by Tarmon Gai'don nas ominęło, albo pozostawiło w spokoju. Żegnaj, Aes Sedai. Żegnajcie wszyscy i obyście znaleźli schronienie w dłoni Stwórcy. Juin.

Zatrzymała się jeszcze, by zerknąć przelotnie na Loiala i upomnieć Randa spojrzeniem. Po chwili para ogirów zniknęła wśród drzew.

Rozległo się trzeszczenie siodła pod poruszającymi się żołnierzami. Ingtar obiegił wzrokiem utworzony przez nich krąg.

- Czy to konieczne, Verin Sedai? Nawet, jeśli to daje się zrobić... Nawet nie wiemy, czy Sprzymierzeńcy Ciemności wywieźli Róg na Głowę Tomana. Nadal uważam, że potrafię zmusić Barathanesa...

- Nie mamy żadnej pewności - przerwała mu łagodnym głosem Verin - a zatem Głowa Tomana jest miejscem równie dobrym do prowadzenia poszukiwań jak każde inne. Nieraz już słyszałam, że gdyby zaszła taka potrzeba, jesteś gotów pojechać do samego Shayol Ghul, by odzyskać Róg. Czy teraz się wycofujesz?

Wskazała gestem kamień portalu stojący obok gładkiego pnia brzozy.

Ingtarowi zeszywniały plecy.

- Z niczego się nie wycofuję. Zabierz nas na Głowę Tomana albo do Shayol Ghul. Jeśli na końcu

drogi czeka Róg, wówczas pojedę za tobą.

- To dobrze, Ingtarze. Rand, ciebie kamień portalu prznosił nie tak dawno. Chodź.

Przywołany gestem Rand podszedł z Rudym do niej, stojącej tuż obok kamienia.

- Posługiwałaś się kamieniem portalu. - Obejrzał się przez ramię, chcąc się upewnić, że nikt nie stoi dostatecznie blisko, by ich słyszeć. - Więc nie chcesz, bym ja to zrobił. - Z ulgą wzruszył ramionami.

Verin spojrzała na niego z dobrotliwą ironią.

- Ja nigdy nie posługiwałam się kamieniem portalu, dlatego właśnie ty korzystałeś z niego nie tak dawno. Doskonale znam własne ograniczenia. Zginęłabym podczas próby przeniesienia dostatecznej ilości Mocy, by móc operować kamieniem. Trochę jednak się na nich znam. Dość, by ci w tym odrobinę pomóc.

- Kiedy ja nic nie wiem. - Powiódł konia dokoła kamienia portalu, mierząc go wzrokiem z góry na dół. Jedyne, co pamiętam, to symbol naszego świata. Pokazała mi go Selene, tutaj jednak go nie widzę.

- Jasne że nie. Nie ma go na żadnym kamieniu portalu w naszym świecie, symbole służą do przenoszenia do innych światów. - Potrząsnęła głową. - Czego ja bym nie dała, by móc porozmawiać z tą twoją dziewczyną? Albo jeszcze lepiej, by móc położyć ręce na jej książce. Uważa się powszechnie, że ani jeden egzemplarz *Zwierciadeł Kola* nie zachował się w całości po Pęknięciu. Serafelle zawsze mi powtarza, że nie dałabym wiary, ile książek, które uważamy za stracone, czeka na odnalezienie. Cóż, nie ma się co przejmować tym, czego nie wiem. Wiem natomiast kilka innych rzeczy. Te symbole na górnej połowie kamienia oznaczają światy. Nie wszystkie Światy Które Mogą Być, rzecz jasna. Najwyraźniej nie każdy kamień łączy z każdym światem, a Aes Sedai w Wieku Legend uważały, że istnieją światy możliwe, z którymi kamienie w ogóle nie mają kontaktu. Nie widzisz tu nic, co by ci rozjaśniło pamięć?

- Nic.

Jeśli odzuka właściwy symbol, będzie w stanie odnaleźć Faina i Róg, uratować Mata, nie dopuścić, by Fain szkodził Polu Emonda. Jeśli odzuka symbol, będzie musiał dotknąć *saidina*. Pragnął uratować Mata i powstrzymać Faina, ale *saidina* dotykać nie chciał. Bał się przenosić Moc i jednocześnie łaknął jej tak, jak umierający z głodu człowiek łaknie chleba.

- Nic sobie nie przypominam.

Verin westchnęła.

- Symbole na dolnej części oznaczają kamienie w innych miejscach. Gdybyś wiedział, na czym polega cały fortel, mógłbyś nas zabrać nie do odpowiednika tego kamienia w innym świecie, lecz do jakiegoś innego kamienia, może nawet w tym świecie. Wydaje mi się, że jest to coś podobnego do podróżowania, lecz podobnie jak nikt nie pamięta, na czym polega podróżowanie, nikt już nie pamięta tej sztuki. A bez tej wiedzy wszelkie próby mogłyby nas wszystkich zabić. - Wskazała dwie równoległe, faliste linie przecięte dziwacznym zakrętasem, które wyryto na samym dole kolumny. - To oznacza kamień na Głowie Tomana, jeden z trzech kamieni, których symbole są mi znajome, jedyny z tych trzech, które widziałam. A to, czego się nauczyłam, omal nie grzęznąc w śniegach Gór Mgły i nie zamarzając podczas przeprawy przez Równinę Almoth, było absolutnie niczym. Grasz w kości albo karty, Randzie al'Thor?

- Mat lubi hazard. Czemu pytasz?

- Tak. Jego, myślę, wyeliminujemy z tego. Te inne symbole też mi są znajome.

Obwiodła palcem prostokąt, który zawierał osiem symboli, zasadniczo identyczne koła i strzały, z tym wyjątkiem, że u połowy z nich strzała mieściła się w całości we wnętrzu koła, natomiast przy

pozostałych grot wystawał poza obwód. Strzały skierowane były w lewo, prawo, w górę i dół, a każde koło otaczała linia znaków. Rand był przekonany, że to jakieś pismo, jednakże język był nieznamy. Faliste linie zniecka przechodziły w nieregularne haczyki, po czym znowu układały się w szereg.

- Tyle przynajmniej - ciągnęła Verin - o nich wiem. Każdy oznacza jakiś świat, zbadanie których doprowadziło w rezultacie do stworzenia dróg. Nie są to wszystkie zbadane światy, lecz tylko te, których symbole znam. W tym właśnie miejscu zaczyna się hazard. Nie wiem, jakie są te poszczególne światy. Uważa się, że są takie, w których rok trwa tyle, co u nas dzień i takie, w których dzień trwa tyle, co nasz rok. Podobno istnieją też światy, w których powietrze mogłoby nas zabić jednym podmuchem i takie, w których realności jest tak mało, że ledwie potrafi go scalić w całość. Nie będę spekulowała, co by się stało, gdybyśmy się znaleźli właśnie w nim. Ty musisz dokonać wyboru. Jakby powiedział mój ojciec, najwyższy czas rzucić kości.

Rand wytrzeszczył oczy, potrząsając głową.

- Mogłbym nas wszystkich zabić swoim wyborem.

- Nie chcesz podejmować tego ryzyka? Dla Rogu Valere? Dla Mata?

- A dlaczego ty tak bardzo chcesz je podjąć? Nawet nie wiem, czy potrafię. To... to nie zawsze się udaje, gdy próbuję. - Wiedział, że nikt nie podszedł bliżej, ale na wszelki wypadek rozejrzał się. Wszyscy czekali w luźnym kręgu wokół kamienia, patrzyli na nich dwoje, lecz nie z tak bliska, by móc podsłuchać. - Niekiedy *saidin* po prostu tam jest. Czuję go, ale równie dobrze mógłby być na księżycu, gdy próbuję go dotknąć. A nawet jeśli się uda, to co będzie, jeśli nas wszystkich przeniosę do miejsca, w którym nie można oddychać? Co dobrego zyska na tym Mat? Albo co będzie z Rogiem?

- Jesteś Smokiem Odrodzonym - powiedziała cicho. - Och tak, ty możesz umrzeć, ale nie sądzę, by Wzór pozwolił ci umrzeć, dopóki z tobą nie skończy. Ale z kolei na Wzorze kładzie się teraz cień i kto może przewidzieć, w jaki sposób oddziałuje na powstawanie wątków? Jedyne, co możesz zrobić, to postępować zgodnie ze swym przeznaczeniem.

- Jestem Rand al'Thor - warknął. - Nie jestem Smokiem Odrodzonym. Nie zostanę fałszywym Smokiem.

- Jesteś tym, czym jesteś. Dokonasz wyboru, czy będziesz tu stał, czekając na śmierć przyjaciela?

Rand usłyszał zgrzytanie własnych zębów i z wysiłkiem zacisnął szczęki. Te wszystkie symbole równie dobrze mogły wyglądać identycznie, tyle z nich rozumiał. Pismo równie dobrze mogły wydrapać pazurami kurczęta. W końcu zdecydował się na ten, w którym strzała skierowana była w lewo, w stronę Głowy Tumana, a poza tym przebijała koło, a więc uwalniała się, tak samo jak on pragnął się uwolnić. Chciało mu się śmiać. Coś tak małego, a miał tego użyć w grze o ich życie.

- Podejdźcie bliżej - rozkazała oczekującym w kręgu Verin. - Będzie lepiej, jeśli staniecie bliżej.

Posłuchali, niewiele się wahając.

- Czas zaczynać - powiedziała, gdy zebrali się przy samym kamieniu.

Odrzuciła w tył poły płaszcza i przytknęła dłonie do kolumny, Rand jednak widział, że obserwuje go kątem oka. Docierały do niego pokasywania i odchrząkiwania mężczyzn stojących przy kamieniu, słyszał przekleństwo, którym Uno skarcił kogoś, kto się ociągał, jakiś kiepski dowcip Mata, głośny bulgot, z jakim Loial przełknął ślinę. Przywołał pustkę.

Nie było to wcale łatwe. Płomień strawił strach i zapał, zniknął, nim sobie przypomniał, że powinien nadać mu kształt. Zniknął, pozostawiając po sobie jedynie próżną skorupę i błyszczący

*saidin*, mdlący, uwodzicielski, targający żołądkiem, kuszący. Sięgnął... do niego... *i saidin* wypełnił go, uczynił go żywym. Nie drgnął ani jeden mięsień, miał jednak wrażenie, że cały drży od napływającego doń rwącego potoku Jedynej Mocy. Pojawił się symbol, koło przebite strzałą, unosił się tuż obok pustki, równie twardy jak tworzywo, w którym go wyryto. Pozwolił, by Jedyne Mocy przepłynęła przez symbol.

Symbol srebrzyście zaśnił i zamigotał.

- Coś się dzieje - powiedziała Verin. - Coś...

Świat zamigotał.

Żelazny zamek zawirował na posadzce, a Rand wypuścił z rąk gorący imbryk, gdy w drzwiach, na tle mroku zimowej nocy, pojawiła się zniecka ogromna postać z głową obdarzoną baraniami rogami.

- Uciekaj! - krzyknął Tam. Ostrze jego miecza zaśniło i trollok runął na podłogę, zdążył jednak pochwycić Tama i pociągnąć za sobą.

Przez drzwi przepychały się następne sylwetki w czarnych kolczugach, o ludzkich twarzach zniekształconych pyskami, dziobami i rogami, dziwacznie zakrzywione miecze wbiły się w ciało Tama, gdy z najwyższym trudem usiłował się podnieść, wirowały topory, krew lśniła na stali.

- Ojczy! - zawołał Rand. Wyszarpnął nóż z pochwy u pasa, rzucił się całym ciałem przez stół, by pomóc ojcu i krzyknął raz jeszcze, gdy pierwszy miecz ciął go przez pierś.

Do ust podeszły bańki krwi, a w głowie rozległ się szepot:

"Znowu zwyciężyłem, Lewsie Therinie."

Migotanie.

Rand wyęczał wszystkie siły, by nie wypuścić symbolu, ledwie słysząc głos Verin.

...jest nie...

Moc wylała z brzegów.

Migotanie.

Gdy Rand pojął Egwene za żonę, czuł się szczęśliwy i bardzo się starał nie ulegać nastrojom w te dni, gdy przychodziło mu na myśl, że wszystko powinno być lepsze, inne.

Nowiny z zewnętrznego świata docierały do Dwu Rzek wraz z handlarzami i kupcami, którzy przybywali po wełnę i tytoń, zawsze pełni wieści o najświeższych kłopotach, wojnach i fałszywych Smokach. Był taki jeden rok, gdy nie pojawił się żaden kupiec ani handlarz, za to w następnym, gdy znowu się pokazali, przywieźli opowieści o powrocie armii Artura Hawkwinga czy też raczej potomków tej armii. Mówiło się, że dawne kraje zostały podbite, a nowi władcy świata, którzy podczas bitew wykorzystywali zakute w łańcuchy Aes Sedai, zburzyli Białą Wieżę i zasypali solą ziemię, na której kiedyś stało Tar Valon. Nie było już żadnych Aes Sedai.

W Dwu Rzekach to wszystko nie miało większego znaczenia. Wciąż trzeba było obsiewać pola, strzyc owce, doglądać jagniąt. Jego ojciec miał wnuki i wnuczki, które mógł huścić na kolanie, zanim położył się spać obok swej żony, a staremu domostwu w ich zagrodzie przybyło nowych izb. Egwene została Wiedzącą i powszechnie uważano, że jest nawet lepsza od poprzedniej Wiedzącej, Nynaeve



al'Meara. Może i tak było, jakkolwiek te mikstury, które tak cudownie działały na innych, Randa potrafiły jedynie utrzymać przy życiu, ratując przed chorobą, która wydawała się zagrażać mu nieprzerwanie. Jego nastroje stawały się coraz gorsze, coraz czarniejsze, szalał wtedy, że nie tak to wszystko miało wyglądać. Egwene coraz bardziej się bała, gdy te nastroje nim owładały, do dziwnych bowiem rzeczy dochodziło, gdy Rand lądował na samym dnie rozpacz - burze z piorunami, których nie słyszała podczas wsłuchiwania się w wiatr, w lasach wybuchały dzikie pożary - jednakże kochała go, dbała o niego i pomagała mu pozostać przy zdrowych zmysłach, wbrew tym, którzy przebąkali, że Rand al'Thor jest szalony i niebezpieczny.

Po śmierci Egwene całymi godzinami przesiadywał samotnie przy jej grobie, zalewając łzami przyprószoną siwizną brodę. Marniał od choroby, która na nowo go zaatakowała, stracił ostatnie dwa palce u prawej dłoni i jeden u lewej, jego uszy przypominały dwie blizny, ludzie szeptali ukradkiem, że cuchnie od niego rozkładem. Jego rozpacz była coraz czarniejsza.

A jednak żaden z tych ludzi nie wzbraniał Randowi, by stanął u ich boku, gdy nadeszły tamte straszliwe wieści. Z Ugoru wrywały hordy trolloków, pomorów i stworzeń, o jakich nikomu się nawet nie śniło. Nowi władcy świata, pomimo całej swej potęgi, zostali zmuszeni do odwrotu. I tak oto Rand wziął łuk, jako że do strzelania z niego starczało mu jeszcze palców, i pokuśtykał razem z tymi, którzy maszerowali na północ, do rzeki Taren, z ludźmi z wszystkich wiosek, zagród i zakątków Dwu Rzek, uzbrojonymi w łuki, topory, włócznie i miecze, które do tej pory rdzewiały na strychach. Rand też przypasał miecz, miecz z czaplą wygrawerowaną na ostrzu, który znalazł po śmierci Tama, mimo że nie miał pojęcia, jak się nim posługiwać. Kobiety też poszły, zarzucając na ramię wszelką broń, jaką umiały sobie znaleźć, maszerowały ramię w ramię z mężczyznami. Niektórzy ze śmiechem opowiadali o dziwnym uczuciu, jakoby to wszystko robili nie po raz pierwszy.

I nad brzegiem Taren ludzie z Dwu Rzek napotkali najeźdźców, nieprzeliczone szeregi trolloków, którymi dowodziły podobne do mar sennych pomory, pod czarnym jak śmierć sztandarem, zdającym się pożerać światło. Rand zobaczył ten sztandar i pomyślał, że na nowo owładnął nim obłęd, bo wydawało się, że właśnie po to się narodził, by walczyć z tym sztandarem. W jego stronę posyłał wszystkie strzały, tak celnie, jak mu w tym pomagały wprawa i pustka, zupełnie nie zwracając uwagi na trolloki przepływające się przez rzekę, ani też na mężczyzn i kobiety, którzy umierali obok niego. To właśnie jeden z trolloków go stratował i wielkimi susami, wyjąc żądzą krwi, pobiegł w głąb Dwu Rzek. I kiedy tak leżał na brzegu Taren, wpatrzony w niebo, które zdawało się zasnuwać mrokiem w samo południe, coraz rzadziej nabierając oddechu, usłyszał czyjś głos mówiący:

"Znowu zwyciężyłem, Lewsie Therinie."

Migotanie.

Strzała i koło wykrzywiły się w równoległe, faliste linie. Z wielkim wysiłkiem przywrócił je do poprzedniego stanu.

Głos Verin:

- ...tak. Coś...

Moc rozszalała się.

Migotanie.

Tam próbował jakoś pocieszyć Randa po tym, jak Egwene zachorowała i umarła na tydzień

przed uroczystością ślubną. Nynaeve też się starała, sama jednak była wstrząśnięta, ponieważ mimo całej swej wiedzy nie miała pojęcia, co właściwie zabiło dziewczynę. Gdy umierała, Rand siedział pod jej domem i wydawało się, że nie ma takiego miejsca w Polu Emonda, gdzie mógłby pójść i nie słyszeć jej przeraźliwego krzyku. Wiedział, że już tu dłużej nie zostanie. Tam ofiarował mu miecz z ostrzem, na którym wygrawerowany był wizerunek czapli i choć skąpo wyjaśnił, w jaki sposób prosty pasterz z Dwu Rzek wszedł w posiadanie takiej rzeczy, nauczył syna, jak się nim posługiwać. W dniu wyjazdu zaopatrzył Randa w list, dzięki któremu, jak twierdził, Rand będzie mógł się zaciągnąć do armii w Illian, uściskał go i powiedział:

- Nigdy nie miałem i nie chciałem mieć innego syna. Jeśli będziesz mógł, to wracaj z żoną, tak jak to ja uczyniłem, chłopcze, wracaj także bez niej.

Ale Randowi w Baerlon ukradziono pieniądze, a także list polecający, omal również nie stracił miecza, poza tym poznał kobietę o imieniu Min, która opowiadała mu tak niestworzone rzeczy o nim samym, że w końcu wyjechał z miasta, by przed nią uciec. Tułaczka zawiodła go w końcu do Caemlyn, a tam dzięki wprawie we władaniu mieczem zdobył posadę w gwardii królowej. Czasami przyłapywał się na tym, że ukradkiem przygląda się dziedzicze tronu, Elayne, i wtedy przepelniały go dziwne myśli, że nie tak wszystko miało wyglądać, że w jego życiu powinno być coś więcej. Elayne oczywiście nie raczyła nawet na niego spojrzeć, poślubiła taireńskiego księcia, mimo że wyraźnie nie była szczęśliwa w małżeństwie. Rand był tylko żołnierzem, pasterzem z małej wioski, położonej tak daleko pod zachodnią granicą, że jedynie linie na mapie wyznaczały jej przynależność do Andoru. Cieszył się ponadto ponurą sławą człowieka, który ma skłonności do gwałtownych nastrojów.

Niektórzy twierdzili, że jest obłąkany i być może w zwykłych czasach nawet wprawa w posługiwaniu się mieczem nie pozwoliłaby mu zostać w gwardii, lecz te czasy zwykłe nie były. Niczym zielsko pleniły się fałszywe Smoki. Ledwie pojmano jednego, a wnet ogłaszało się dwóch albo i trzech następnych, aż wreszcie cały kraj rozdarła wojna. A gwiazda Randa rosła, poznał on bowiem sekret swego obłądzenia, sekret, o którym wiedział, że nie może go wyjawić i tak też czynił. Potrafił przenosić Moc. Zdarzały się takie miejsca, chwile, bitwy, w których odrobina przeniesionej Mocy, tak mała, by nikt jej w zamieszaniu nie zauważył, przynosiła szczęście. Przenoszenie czasami przynosiło skutek, innym razem nie, ale dość często udawało się. Wiedział, że jest obłąkany, ale nie dbał o to. Owładnęła nim wyniszczająca choroba, ale tym również się nie przejmował, ani też nikt inny, nadeszła bowiem wieść, że armie Artura Hawkwinga powróciły, by ponownie objąć ziemie w swe władanie.

Rand prowadził tysiąc ludzi, gdy gwardia królowej przeprowadzała się przez Góry Mgły - zupełnie nie przyszło mu do głowy, by zboczyć z drogi i odwiedzić Dwie Rzeki, w tych czasach rzadko kiedy je wspominał - i dowodził niedobitkami rozbitej gwardii uciekającymi przez góry. Walczył i cofał się przez cały Andor, razem z rzeszami uchodźców, aż wreszcie powrócił do Caemlyn. Wielu mieszkańców Caemlyn zdążyło do tej pory zbiec, a wielu radziło armii, by wycofywała się dalej w głąb kraju, jednakże królową teraz była Elayne, a ona przysięgła, że nie opuści Caemlyn. Nie chciała patrzeć na jego twarz, pokiereszowaną przez chorobę, on jednak nie potrafił jej zostawić i tak niedobitki, które zostały po gwardii, zaczęły się szykować do obrony królowej, podczas gdy reszta poddanych nadal uciekała.

Podczas bitwy o Caemlyn Moc przybyła do niego, ciskał piorunami i ogniem w najeźdźców, rozszczepiał ziemię pod ich stopami, ale znowu owładnęło nim uczucie, że urodził się dla jakiegoś innego celu. Mimo że robił co mógł, siły wroga były zbyt liczne, by można je było pokonać i wśród nich też byli tacy, którzy potrafili przenosić Moc. W końcu błyskawica strąciła Randa z pałacowego

mur, a gdy połamany, zakrwawiony i poparzony wydawał ostatnie, chrapliwe tchnienie, usłyszał czyjś szept:

"Znowu zwyciężyłem, Lewsie Therinie."

Migotanie.

Rand wyteżał wszystkie siły, by utrzymać pustkę, targaną potężnym naporem migotania świata, o utrzymanie tego jednego symbolu z tysiąca innych, które pomykały po jej powierzchni. Wyteżał wszystkie siły, by ucześcić się dowolnego symbolu.

- ... coś złego! - krzyknęła przeraźliwie Verin.

Wszystko stało się Mocą.

Migotanie. Migotanie. Migotanie. Migotanie. Migotanie. Migotanie.

Był żołnierzem. Pasterzem. Żebrakiem i królem. Rolnikiem, bardem, żeglarzem, cieślą. Urodził się, żył i umarł jako Aiel. Umarł w obłędzie, umarł gnijąc, umarł z powodu choroby, przypadku, wieku. Został stracony przez kata i całe rzesze powitały jego śmierć wiwatami. Ogłosił się jako Smok Odrodzony i rozpostarł swój sztandar na niebie; uciekał i ukrywał się przed Mocą; żył i umarł nigdy nie poznany. Przez całe lata bronił się przed obłędem i chorobą - uległ im, nim minęły dwie zimy. Czasami przyjeżdżała Moiraine i wywoziła go z Dwu Rzek, samego lub razem z tymi przyjaciółmi, którzy przeżyli tamtą zimową noc, czasami długo się nie pojawiała. Czasami przybywały po niego inne Aes Sedai. Czasami Czerwone Ajah. Poślubiła go Egwene; Egwene a surowym obliczu, w stule Zasiadającej na Tronie Amyrlin, kierowała tymi Aes Sedai, które go poskromiły; Egwene ze łzami w oczach zatopiła sztylet w jego sercu, a on umierając, dziękował jej. Kochał inne kobiety, żenił się z innymi kobietami. Elayne, Min, jasnowłosa córka rolnika poznana przy drodze do Caemlyn, kobiety, których nigdy przedtem nie widział na oczy, dopóki nie przeżył tych żywotów. Stu żywotów. Więcej. Tyle, że nie umiał ich zliczyć. A przy końcu każdego żywota, gdy już umierał, gdy wciągał ostatni dech, słyszał głos szepczący mu do ucha.

"Znowu zwyciężyłem, Lewsie Therinie."

Migotanie. Migotanie. Migotanie. Migotanie. Migotanie. Migotanie. Migotanie. Migotanie. Migotanie. Migotanie. Migotanie. Migotanie. Migotanie. Migotanie. Migotanie. Migotanie. Migotanie. Migotanie. Migotanie.

Pustka zniknęła, kontakt z *saidinem* został zerwany, a Rand upadł na ziemię z siłą, od której straciłby dech, gdyby wcześniej nie odrętwiał. Poczul pod policzkiem szorstki kamień i własne dłonie. Było zimno.

Zobaczył Verin, która usiłowała podnieść się na ręce i kolana. Podniósł głowę, słysząc, że ktoś gwałtownie wymiotuje. Uno klęczał, ocierał usta wierzchem dłoni. Wszystkich zbiło z nóg, konie stały na zeszywniałych nogach i dygotały, przewracały zdziczałymi oczyma. Ingtar dobył miecza, zaciskał rękojeść z taką siłą, że ostrze całe się trzęsło, wpatrzony w próżnię. Loial siedział z rozrzuconymi nogami, oszołomiony wodził dokoła szeroko rozwartymi oczyma. Mat skulił się w kłębek, z głową ukrytą w ramionach, Perrin wbił sobie palce w twarz, jakby chciał z niej wydrzeć to, co zobaczył, a może wyrwać te oczy, które coś zobaczyły. Żaden z żołnierzy nie był w lepszym stanie. Masema łkał otwarcie, łzy zalewały mu twarz, a Hurin rozglądał się dokoła, jakby patrzył, w którą stronę mógłby uciec.

- Co...? - Rand urwał, by przełknąć ślinę. Leżał na chropawym, zwietrzałym kamieniu, do

połowy zagrzebanym w ziemi. - Co się stało?

- To fala Jedynej Mocy. - Aes Sedai stanęła na chwiejnych nogach i drżąc, otuliła się szczelnie płaszczem. - To było tak, jakby coś nas pchało... tratowało... Zdawało się brać jakby znikąd. Musisz się nauczyć to kontrolować. Musisz! Taka ilość Mocy mogła cię spalić na popiół.

- Verin, ja... żyłem., byłem... - Zauważył, że kamień, na którym siedzi, ma zaokrągloną powierzchnię. Kamień portalu. Pośpiesznie, chwiejnie, poderwał się na nogi. - Verin, żyłem i umierałem, nie wiem, ile razy. Za każdym razem było inaczej, ale to byłem ja. To byłem ja.

- Linie, łączące Światy Które Mogą Być, wykreślone zostały przez tych, którzy znają liczby chaosu. - Verin dygotała, wydawało się, że mówi to wszystko do siebie. Nie słyszałam nigdy o takim przypadku, ale nie istnieje powód, abyśmy nie mogli się rodzić w tamtych światach, aczkolwiek nasze życie byłoby zgoła inne. To oczywiste. Inne żywoty, w których wszystko mogłoby się potoczyć inaczej.

- Czy właśnie to się stało? Widziałem... widzieliśmy... jak mogły się potoczyć nasze inne żywoty?

"Znowu zwyciężyłem, Lewsie Therinie. Nie! Jestem Rand al'Thor!"

Verin otrząsnęła się i spojrzała na niego.

- Czy to cię dziwi, że twoje życie mogło się potoczyć inaczej, gdybyś dokonywał innych wyborów albo gdyby przytrafiły ci się inne rzeczy? Nigdy jednak nie przyszło mi do głowy, że ja... No cóż. Ważne, że znaleźliśmy się tutaj. Mimo że nie jest to miejsce, do którego mieliśmy nadzieję się dostać.

- A gdzie jesteśmy? - spytał podniesionym głosem.

Lasy Stedding Tsofu zniknęły, zastąpione przez falisty krajobraz. Nie opodal, na zachodzie, rósł chyba też jakiś las, widać również było jakieś wzniesienia. Wokół kamienia w *stedding* zgromadzili się w południe, tutaj natomiast słońce stało nisko na zszarzałym niebie. Gałęzie pobliskiej kępy drzew były albo całkiem nagie, albo podtrzymywały nieliczne, barwne liście. Ze wschodu dał zimny wiatr, wznecając kłęby liści leżących na ziemi.

- Głowa Tomana - oznajmiła Verin. - To ten sam kamień, który przyjechałam kiedyś obejrzeć. Szkoda, żeś ściągnął nas bezpośrednio tutaj. Nie wiem, co się stało, chyba nigdy się tego nie dowiem, ale sądząc po wyglądzie drzew, wydaje mi się, że to późna jesień. Rand, nie zyskaliśmy czasu. Straciliśmy go. Powiedziałabym, że w drodze zmarnowaliśmy dobre cztery miesiące.

- Ale ja nie...

- Musisz pozwolić, bym ja cię w tych sprawach prowadziła. Nie potrafię cię uczyć, to prawda, ale może będę przynajmniej umiała zapobiec, abyś sam siebie nie zabił, a także nas wszystkich, jeśli przesadzisz. Nawet jeśli się nie zabijesz, to kto stawi czoło Czarnemu, gdy Smok Odrodzony wypali się niczym świeczka?

Nie czekając na jego dalsze protesty, podeszła do Ingtara.

Shienaranin wzdrygnął się, gdy dotknęła jego ramienia i popatrzył na nią zdziczonymi oczyma.

- Podążam ścieżką Światłości - wychrypiał. Odnajdę Róg Valere i obalę moc Shayol Ghul. Dokonam tego!

- Oczywiście, że dokonasz - uspokoiła go.

Gdy ujęła dłońmi jego twarz, gwałtownie złapał oddech, raptem uwalniając się od tego, co nim owładnęło. Wyjąwszy pamięć, wciąż żywą w oczach.

- W porządku - powiedziała. - Tyle ci wystarczy. Zobaczę, jak pomóc innym. Nadal jesteśmy w stanie odzyskać Róg, mimo że nasza droga nie stała się mniej wyboista.

Gdy zaczęła obchodzić pozostałych członków grupy, zatrzymując się przy każdym na krótką

chwile, Rand podszedł do swoich przyjaciół. Próbował wyprostować Mata, przyjaciel drgnął gwałtownie i spojrzał wytrzeszczonymi oczyma, a potem wczepił się obiema rękami w jego kaftan.

- Rand, nigdy nikomu nie opowiem o... o tobie. Nie zdradzę cię. Musisz mi uwierzyć!

Wyglądał gorzej niż kiedykolwiek, Rand uznał jednak, że to głównie z powodu przerażenia.

- Wierzę - odparł. Ciekaw był, jakie żywoty przeżył Mat i co takiego uczynił.

"Pewnie komuś powiedział, bo inaczej tak by się tym nie przejmował".

Nie mógł go winić. To robiły tamte inne Maty, nie ten. A zresztą, po niektórych wersjach, samego siebie...

- Wierzę ci. Perrin?

Kudłaty chłopiec westchnął i odjął dłonie od twarzy. Czoło i policzki miał naznaczone czerwonym plamkami, śladami po wbitych paznokciach. Żółte oczy nie ujawniały myśli.

- Tak naprawdę to niewielki mamy wybór, prawda Rand? Cokolwiek by się działo, cokolwiek byśmy zrobili, niektóre rzeczy zawsze są takie same. - Jeszcze raz odetchnął głęboko. - Gdzie jesteśmy? Czy to jeden z tych światów, o których opowiadaliście z Hurmem?

- To Głowa Tomana - wyjaśnił mu Rand. - W naszym świecie. Tak przynajmniej twierdzi Verin. Poza tym jest już jesień.

Mat rozejrzał się dokoła przygnębionym wzrokiem.

- Jak to...? Nie, nie chcę wiedzieć, jak do tego doszło. Ale jak teraz znajdziemy Faina i sztylet? Do tego czasu mógł pojechać wszędzie.

- On jest tutaj - zapewnił go Rand. Liczył, że ma rację. Fain miał czas, by wsiąść na statek płynący w dowolnym kierunku. Czas jechać do Pola Emonda. Albo do Tar Valon.

"Światłości, błagam, niech mu się nie znudzi czekanie. Jeśli on skrzywdził Egwene albo kogokolwiek z Pola Emonda, to ja... Niech szczenę, próbowałem przybyć na czas".

- Wszystkie większe miasta Głowy Tomana leżą na zachód stąd - oznajmiła Verin tak głośno, by ją usłyszano. Wszyscy już się podnieśli, z wyjątkiem Randa i jego dwóch przyjaciół. Podeszła do nich i przyłożyła dłonie do głowy Mata, nie przestając mówić. - Nie licząc całego mnóstwa wsi, które są tak duże, że zasługują na miano miasta. Skoro mamy znaleźć jakikolwiek ślad Sprzymierzeńców Ciemności, to zachód jest kierunkiem, od którego należy zacząć. Poza tym uważam, że nie powinniśmy marnować dnia, siedząc tutaj.

Gdy Mat zamrugał i wstał - nadal wyglądał na chorego, ale poruszał się zwawo - przeniosła dłonie na Perrina. Rand cofnął się, gdy próbowała go dotknąć.

- Nie wygłupiaj się - ostrzegła.

- Nie chcę pomocy od ciebie - powiedział cicho. Ani od żadnej innej Aes Sedai.

Wargi jej zadrżały.

- Jak sobie życzysz.

Natychmiast dosiedli koni i pojechali na zachód, pozostawiając za sobą kamień portalu. Nikt nie protestował, a już najmniej Rand.

"Światłości, spraw, aby nie było za późno".

# ROZDZIAŁ 15

## NAUKA

Siedząca ze skrzyżowanymi nogami na łóżku, ubrana w białą suknię Egwene bawiła się trzema świetlnymi kulkami, tworzącymi najrozmaitsze wzory nad jej dłońmi. Zobowiązano ją, by tego nie robiła bez dozoru bodaj jednej Przyjętej, ale przecież Nynaeve, rzucająca chmurne spojrzenia i spacerująca tam i z powrotem przed niewielkim kominkiem, nosiła pierścień z wężem, który dawano Przyjętym, a rąbek jej białej sukni zdobiły kolorowe pierścienie, mimo że jeszcze nie wolno jej było nikogo uczyć. Egwene natomiast, po tych ostatnich trzynastu tygodniach, odkryła, że nie jest w stanie oprzeć się pokusie. Wiedziała teraz, jak łatwo jest dotykać *saidara*. Czują go cały czas, czekał na nią, niczym woń perfum albo dotyk jedwabiu, przyciągał i wabił. A gdy już raz go dotknęła, ledwie potrafiła się powstrzymać przed przenoszeniem Mocy lub bodaj próbami uczynienia tego. Odnosiła porażki nieomal równie często jak sukcesy, to jednak stanowiło dodatkowy bodziec, by dalej się starać.

Często budził się w niej lęk. Przerazało ją, że tak bardzo pragnie przenosić i to, że czuje się taka bezbarwna i znudzona, gdy nie przenosi. Miała ochotę nasycić się tym, wbrew ostrzeżeniom, że to może ją do szczytu wypalić od środka, i to pragnienie przerazało ją najbardziej ze wszystkich. Czasami żałowała, że w ogóle przyjechała do Tar Valon. Ale ten lęk nie potrafił jej pohamować, nie bardziej niż lęk, że zostanie przyłapana na gorącym uczynku przez jakąś Aes Sedai albo Przyjętą, wyjąwszy Nynaeve.

Tak czy owak w swojej własnej izbie była całkiem bezpieczna. Odwiedziła ją Min, siedziała na trójnogim stołku i przypatrywała się jej, dostatecznie dobrze jednak знаła Min, by wiedzieć, że na nią nie doniesie. Przyszło jej do głowy, że ma wielkie szczęście, bo od przyjazdu do Tar Valon dorobiła się dwóch dobrych przyjaciółek.

Izba była niewielka, pozbawiona okien tak jak wszystkie pokoje nowicjuszek. Nynaeve trzema krokami pokonywała przestrzeń dzielącą jedną pobieloną ścianę od drugiej, sama miała większą izbę, ale ponieważ nie zaprzyjaźniła się z żadną Przyjętą, przychodziła do Egwene, gdy potrzebowała rozmowy z kimś, a nawet tak jak teraz, gdy w ogóle nie chciała wyrzec ani słowa. Niepozorny ogień na wąskim palenisku skutecznie odpierał ataki pierwszego chłodu nadciągającej jesieni, aczkolwiek Egwene była przekonana, że nie będzie służył tak dobrze, gdy nastanie zima. Małeńki stolik do nauki dopełniał umeblowania, natomiast jej osobiste przedmioty wisały równym rzędem na kołkach wbitych w ścianę albo leżały na krótkiej półce nad stolikiem. Nowicjuszkom na ogół przydzielano zbyt wiele obowiązków, by mogły spędzać czas w swoich pokojach, ten dzień jednak był wolny, dopiero trzeci taki, odkąd razem z Nynaeve przybyły do Białej Wieży.

- Else robiła dzisiaj cielejące oczy do Galada podczas jego ćwiczeń ze strażnikami - powiedziała Min, kołyszając stołkiem ustawionym na dwóch nogach.

Kuleczki nad dłońmi Egwene drżały przez chwilę.

- Ona może patrzeć na kogo żywnie zechce - odparła Egwene obojętnym tonem. - Nie rozumiem, dlaczego miałoby mnie to interesować.

- Bez powodu, myślę. On jest okropnie przystojny, o ile komuś nie przeszkadza, że taki sztywny. Przyjemnie na niego popatrzeć, szczególnie, gdy jest bez koszuli.

Kuleczki zawirowały z furją.

- Z pewnością nie mam najmniejszej ochoty patrzeć na Galada, w koszuli ani bez niej.

- Nie powinnam się z tobą droczyć - powiedziała Min ze skrucą w głosie. - Przepraszam za to.

Ale ty naprawdę lubisz na niego patrzeć, no nie krzyw się tak na mnie, podobnie zresztą wszystkie inne kobiety w Białej Wieży, które nie są z Czerwonych. Nieraz widziałam Aes Sedai na dziedzińcach do ćwiczeń, gdy ćwiczyły figury, szczególnie Zielone. Mówią, że kontrolują swoich strażników, lecz ja nie widuję ich aż tylu, gdy Galada tam nie ma. Nawet kucharki i posługaczki wylegają na zewnątrz, żeby się na niego gapić.

Kuleczki zamarły w miejscu, a Egwene przypatrywała im się przez chwilę ogłupiałym wzrokiem. Zniknęły. Znienacka wybuchnęła śmiechem.

- On jest przystojny, nieprawdaż? Nawet kiedy idzie, to wygląda tak, jakby tańczył. - Rumieńce na jej policzkach nabrały jeszcze intensywniejszej barwy. - Wiem, że nie powinnam tak się w niego wgapiać, ale nie potrafię się oprzeć.

- Ja też nie - wyznała Min - i widzę też, jaki on jest.

- Ale skoro jest dobry..?

- Egwene, Galad całą tą swoją dobrocią potrafiłby cię zmusić, byś sobie wyrwała wszystkie włosy z głowy. Skrzywdziłby każdego, gdyby musiał służyć sprawie jeszcze większego dobra. Nawet by nie zauważył, kogo krzywdzi, bo tak by się tej sprawie oddał, a na dodatek jeszcze by oczekiwał, że zostanie przez skrzywdzonego rozumiany, przekonany o słuszności i sprawiedliwości swego postępowania.

- Podejrzewam, że ty coś wiesz - powiedziała Egwene.

Bywała świadkiem, jak Min wykorzystywała swój dar patrzenia na ludzi i wyczytywała z nich najrozmaitsze rzeczy. Min nie mówiła wszystkiego, co zobaczyła, nie zawsze też wszystko widziała, ale było tego dość, by Egwene wierzyła. Zerknęła na Nynaeve - nadal chodziła tam i z powrotem, mruczając coś do siebie - sięgnęła raz jeszcze do *saddara* i na powrót zajęła się swą chaotyczną zonglerką.

Min wzruszyła ramionami.

- Właściwie mogę ci chyba powiedzieć. Nawet nie zauważył, co robi Else. Spytał ją, czy może ona wie, czy ty będziesz po kolacji spacerowała po Południowym Ogrodzie, skoro dzisiaj jest wolny dzień? Zrobiło mi się jej żal.

- Biedna Else - mknęła Egwene, a świetlne piłeczki nad jej dłońmi jeszcze bardziej się ożywiły.

Min roześmiała się.

Drzwi otworzyły się z łoskotem, pochwycone przez wiatr. Egwene pisnęła i sprawiła, że piłeczki zniknęły, zanim zobaczyła, że to tylko Elayne.

Złotowłosa dziedziczka tronu Andor zatrzasnęła drzwi i powiesiła płaszcz na kołku.

- Właśnie się dowiedziałam - zaczęła - że pogłoski okazały się prawdziwe. Król Galldrian nie żyje. To oznacza początek wojny o sukcesję.

Min parsknęła.

- Wojna domowa. Wojna o sukcesję. Mnóstwo głupich nazw oznaczających jedną rzecz. Czy zgodzicie się, abyśmy o tym nie rozmawiały? Bez przerwy o tym słyszymy. Wojna w Cairhien. Wojna na Głowie Tomana. Niby złapano fałszywego Smoka w Saldaei, ale wojna we Łzie nadal się toczy. Zresztą i tak większość to same pogłoski. Wczoraj słyszałam, jak jedna z kucharek opowiadała, że słyszała o marszu Artura Hawkwinga na Tanchico. Artur Hawkwing!

- Wydawało mi się, że nie chcesz o tym rozmawiać - zauważyła Egwene.

- Widziałam Logaina - powiedziała Elayne. - Siedział na ławce na wewnętrznym dziedzińcu i płakał. Uciekł na mój widok. Nie potrafię go nie żałować.

- Lepiej, by to on płakał niż my wszystkie, Elayne odparła Min.

- Wiem, czym on jest - oznajmiła spokojnie Elayne. - A raczej, czym był. Już tym nie jest i dlatego mogę go żałować.

Egwene osunęła się plecami na ścianę.

"Rand".

Logain zawsze przypominał jej o Randzie. Nie śnił się jej już od wielu miesięcy, nie tak jak wtedy na "Królowej rzeki". Anayia kazała spisać wszystko, co się jej wtedy przyśniło i Aes Sedai sprawdziły te zapiski, doszukując się w nich znaków lub powiązań ze zdarzeniami, jednakże o samym Randzie nie było żadnej mowy, z wyjątkiem tych snów, które zdaniem Anayi, oznaczały, że za nim tęskni. Co dziwniejsze, miała wrażenie, że jego już nie ma, jakby przestał istnieć, wraz ze snami, po upływie kilku tygodni od przyjazdu do Białej Wieży.

"A ja tu się zachwycam Galadem i jego pięknym krokiem - pomyślała z goryczą. - Randowi nie mogło się nic stać. Doszłyby mnie jakieś słuchy, gdyby go pojmano i poskromiono".

Poczuła dreszcz, jak zawsze na myśl o Randzie, którego poskromiono, o Randzie zalewającym się łzami i podobnie jak Logain pragnącym umrzeć.

Elayne przysiadła obok niej na łóżku, podkulając pod siebie nogi.

- Jeśli ty się durzysz w Galadzie, Egwene, to z mojej strony nie spotkasz się z żadną sympatią. Poproszę Nynaeve, by ci zadała którąś z tych koszmarnych mikstur, którymi wiecznie straszy. - Popatrzyła krzywo na Nynaeve, która zupełnie nie zauważyła jej obecności. - Co się z nią dzieje? Nie mów mi, że ona też zaczęła wzdychać do Galada!

- Ja bym jej nie denerwowała. - Min pochyliła się w stronę przyjaciółek i zniżyła głos. - Ta koścista Przyjęta, Irena, powiedziała jej, że jest niezdarna jak krowa i że ma tylko połowę talentów. Nynaeve uderzyła ją za to w ucho.

Elayne skrzywiła się.

- No właśnie - mruknęła Min. - Zanim wy zdążyłybyście mrugnąć, już ją wleczono do gabinetu Sheriam i od tej pory w ogóle z nią nie można wytrzymać.

Najwyraźniej Min za mało ściszyła głos, ponieważ usłyszały warknięcie Nynaeve. Nagle drzwi raz jeszcze otworzyły się gwałtownie i do izby wleciał podmuch silnego wiatru. Nie zmarszczył koców na łóżku Egwene, natomiast Min i jej stołek przewróciły się, lądując pod samą ścianą. Wiatr ucichł, a Nynaeve znieruchomiała z twarzą ściągniętą cierpieniem.

Egwene podbiegła do drzwi i wyjrzała na zewnątrz. Popołudniowe słońce wypalało ostatnie pozostałości ubiegłonocnej ulewy. Na wciąż wilgotnym balkonie otaczającym dziedziniec nowicjuszek panowała pustka, długi rząd drzwi do izb był zamknięty. Te nowicjuszki, które wcześniej skorzystały z wolnego dnia, by zabawić się w ogrodach, bez wątplenia nadrabiały zaległości we śnie. Nikt nie mógł tego zobaczyć. Zamknęła drzwi i powróciła na swoje miejsce obok Elayne. Nynaeve pomagała Min się podnieść.

- Przepraszam, Min - powiedziała Nynaeve ściśniętym głosem. - Czasami mój temperament... Nie mogę cię prosić, byś mi wybaczyła, na pewno nie... - Wciągnęła powietrze do płuc. - Jeśli postanowisz donieść na mnie Sheriam, zrozumieć. Zasłużyłam sobie.

Egwene bardzo żałowała, że była świadkiem tego wyznania - Nynaeve potrafiła nieźle dopiec z powodu takich rzeczy. W poszukiwaniu czegoś, czym mogłaby się zająć, czegoś takiego, co by przekonało Nynaeve, że to właśnie na tym skupioną miała uwagę, bezwiednie dotknęła *saidara* i znowu zaczęła żonglować kulkami. Elayne natychmiast się do niej przyłączyła - Egwene zauważyła poświatę, która otoczyła dziedziczkę tronu, wcześniej niż trzy mikroskopijne punkciki nad jej dłońmi. Zaczęły podawać do siebie te maleńkie, rozjarzone kule coraz bardziej skomplikowanymi sposobami. Czasami taka kula gasła, gdy jednej z dziewcząt nie udało się jej utrzymać, po czym



znowu rozbłyskiwała, nieco zmieniając kolor albo rozmiar.

Jedyna Moc napełniła Egwene życiem. Poczwała delikatny różany aromat mydła, którego Elayne użyła w porannej kąpieli. Czwała chropawy tynk ścian, gładkie kamienie posadzki, a także łóżko, na którym siedziała. Słyszała oddechy Min i Nynaeve, znacznie gorzej ich ciche głosy.

- Skoro już mowa o wybaczeniu - powiedziała Min - to raczej ty powinnaś wybaczyć mnie. Masz krewki temperament, a ja wielkie usta. Wybaczę ci, jeśli ty wybaczysz mnie.

Po wymruczanym "przebaczone", które zabrzmiało prawdziwie z obu stron, obydwie kobiety uściskały się.

- Jeśli jednak to się powtórzy - zaśmiała się Min to ja ci dam w ucho.

- Następnym razem - odparła Nynaeve - rzucę czymś w ciebie. - Też się roześmiała, lecz jej śmiech zamarł zniemacka, gdy rzuciła okiem na Egwene i Elayne. - Przestańcie, bo w końcu znajdzie się taka, która pójdzie do mistrzyni nowicjuszek. Nie jedna, a dwie.

- Nynaeve, nie zrobiłabyś tego! - zaprotestowała Egwene. Jednakże na widok wyrazu oczu Nynaeve pośpiesznie zerwała kontakt z *saidarem*. - No już dobrze. Wiercę ci. Nie ma potrzeby tego udowadniać.

- Musimy ćwiczyć - powiedziała Elayne. - Wymagają od nas coraz więcej. Gdybyśmy nie ćwiczyły na własną rękę, nigdy byśmy nie nadażyły z nauką.

Na jej twarzy malowało się chłodne opanowanie, ale rozstała się z *saidarem* równie pośpiesznie jak Egwene.

- A co się stanie, jeśli zaczerpniecie za dużo - spytała Nynaeve - i nie będzie przy tym nikogo, kto mógłby was powstrzymać? Wolałabym, żebyście się bardziej bały. Ja się boję. Wydaje wam się, że nie wiem, co czujecie? On cały czas tam jest i człowiek ma ochotę się nim napełnić. Czasami tylko dzięki temu potrafię się przed tym powstrzymać, a wszak pragnę mieć wszystko. Wiem, że to by mnie zwęgliło na sucharek, ale i tak tego pragnę. - Zadrżała. - Chciałabym tylko, żebyście się bardziej bały.

- Boję się - odparła z westchnieniem Egwene. Jestem przerażona. Ale to najwyraźniej nie pomaga. A jak jest z tobą, Elayne?

- Jedyna rzecz, która mnie przeraża - odparła beztrąsko Elayne - to zmywanie naczyń. Mam wrażenie, że jestem codziennie zmuszana do zmywania naczyń.

Egwene cisnęła w nią poduszką. Elayne ścięła ją z głowy i odrzuciła z powrotem, potem jednak zwiesiła ramiona.

- No już dobrze. Tak się boję, że zupełnie nie pojmuję, dlaczego nie szczękają mi zęby. Elaida uprzedzała mnie, że tak się będę bała, że zapragnę uciec z wędrowcami, ale ja nie rozumiałam. Nawet człowiek, który pogania bydło tak bezlitośnie, jak one nas, by się przed tym wzdragał. Jestem wiecznie zmęczona. Budzę się zmęczona, kładę się spać wyczerpana, a czasami tak się boję, że nie dam sobie rady z Mocą, której przez pomyłkę przeniosę za dużo, że aż... - Wpatrzona w swoje kolana, zawiesiła głos.

Egwene wiedziała to, czego nie dopowiedziała Elayne. Ich izby sąsiadowały z sobą i podobnie jak u wielu innych nowicjuszek, w dzielącej je ścianie dawno temu wyborowana została maleńka dziurka, zbyt mała, by zauważył ją ktoś, kto nie wiedział, gdzie szukać, przydawała się jednak do rozmów, gdy po zgaszeniu lamp dziewczętom nie wolno już było opuszczać pokoi. Egwene nieraz słyszała, jak przyjaciółka upłakuje się do snu i nie wątpiła, że Elayne słyszała również jej płacz.

- Ucieczka z wędrowcami to pokusa - zgodziła się Nynaeve - ale nic nie zmieni waszego potencjału, dokądkolwiek byście uciekały. Przed *saidarem* nie uciekniecie.

Sądząc z tonu jej głosu, bynajmniej nie była zachwycona tym, co mówi.

- Co widzisz, Min? - spytała Elayne. - Zostaniemy wszystkie potężnymi Aes Sedai, czy spędzimy resztę życia na zmywaniu statków jako nowicjuszki, albo może...

Niespokojnie wzruszyła ramionami, jakby nie chciała wymieniać na głos tej trzeciej możliwości, jaka jej przyszła do głowy. Odesłane do domu. Wyrzucone z Wieży. Od przyjazdu Egwene odprawione zostały już dwie nowicjuszki i wszyscy rozmawiali o nich szeptem, jakby te kobiety umarły.

Min poprawiła się na stołku.

- Nie lubię czytać z przyjaciół - burknęła. - Przyjaźń kłóci się z czytaniem. Zmusza mnie, bym nadawała temu co widzę jak najkorzystniejszy wizerunek. Z tego właśnie powodu nie będę więcej robiła tego dla was trzech. Zresztą nic się u was nie zmieniło, co mogłabym... - Spojrzała na nie zmrużonymi oczyma i nagle skrzywiła się. Coś nowego - powiedziała bez tchu.

- Co? - spytała ostrym tonem Nynaeve. Min wahała się chwilę z odpowiedzią.

- Niebezpieczeństwo. Wszystkim wam zagraża jakieś niebezpieczeństwo. Albo zacznie zagrażać już całkiem niedługo. Nie umiem tego określić, ale to naprawdę coś groźnego.

- Widzicie - powiedziała Nynaeve do dwóch dziewcząt siedzących na łożku. - Musicie uważać. Wszystkie musimy. Obydwie musicie obiecać, że nie będziecie więcej próbowały przenosić Mocy, jeśli ktoś wami nie będzie przewodził.

- Nie chcę więcej o tym rozmawiać - odparła Egwene.

Elayne przytaknęła skwapliwie.

- O tak. Porozmawiajmy o czymś innym. Min, gdybyś włożyła jakąś suknię, to założę się, że Gawyn zaprosiłby cię na spacer. Wiesz dobrze, że on się tobie przypatrywał, ale moim zdaniem odstraszyły go te spodnie i męski kaftan.

- Ubieram się tak, jak mi się podoba, i nie będę się przebierała dla jakiegoś lorda, nawet jeśli to twój brat. Min mówiła roztargnionym głosem, nadal przyglądając im się zmrużonymi oczyma i marszcząc czoło, taką rozmowę już kiedyś z sobą odbyły. - Czasami wygodnie jest uchodzić za chłopca.

- Nikt, kto spojrzy na ciebie więcej niż raz, nie uwierzy, że jesteś chłopcem. - Elayne uśmiechnęła się.

Egwene poczuła się nieswojo. Elayne udawała, że jest jej wesoło, Min ledwie słuchała, a Nynaeve wyraźnie miała ochotę ponownie je ostrzec.

Gdy drzwi po raz kolejny otworzyły się na oścież, Egwene skoczyła na równe nogi, by je zamknąć, zadowolona, że ma coś innego do roboty, niż tylko obserwować miny swych przyjaciółek. Nim jednak zdążyła podejść do drzwi, do izby weszła ciemnooka Aes Sedai o jasnych włosach Zaplecionych w dziesiątki warkoczyków. Egwene zamrugnęła, równie zdziwiona na widok Aes Sedai, jak i tym, że jest nią Liandrin. Nic nie słyszała o tym, by Liandrin wróciła do Białej Wieży, a poza tym przysyłano po nowicjuszki, gdy jakaś Aes Sedai chciała je zobaczyć. Osobiste pojawienie się siostry nie mogło oznaczać nic dobrego.

W izbie, w której znajdowało się teraz pięć kobiet, zapanował tłok. Liandrin przystanąła, by poprawić szal z czerwonymi frędzlami, i zmierzyła je wszystkie wzrokiem. Min ani drgnęła, natomiast Elayne wstała i wszystkie trzy dygnęły, przy czym Nynaeve ledwie ugięła kolano. Zdaniem Egwene, Nynaeve nigdy nie przyzwyczai się do tego, by ktoś miał nad nią władzę.

Liandrin utkwiała oczy w Nynaeve.

- A czemuż to znajdujesz się tutaj, gdzie mieszkają nowicjuszki, dziecko? - Miała głos jak lód.

- Przyszłam w odwiedziny do przyjaciółek - odparła twardym tonem Nynaeve. Po chwili dodała spóźnione: - Aes Sedai.

- Przyjętym nie wolno się przyjaźnić z nowicjuszkami. Winnaś już była nauczyć się tego do tej pory, dziecko. Ale to dobrze, że cię tu zastałam. Ty i ty - wycelowała palec w Elayne oraz Min - wyjdziecie.

- Przyjdę później.

Min wstała leniwym ruchem, demonstrując, że nie śpieszno jej z okazaniem posłuszeństwa, a następnie spacerowym krokiem minęła Liandrin, która zupełnie nie zwróciła uwagi na jej szeroki uśmiech. Elayne wpierw obdarzyła Egwene i Nynaeve zaniepokojonym spojrzeniem, dopiero wtedy dygnęła i wyszła.

Gdy Elayne zamknęła za sobą drzwi, Liandrin przyjrzała się badawczo Egwene i Nynaeve. Egwene zaczęła się denerwować pod wpływem tej lustracji, Nynaeve natomiast stała niewzruszona, nabierając tylko nieco żywszych rumieńców.

- Obydwie pochodzicie z tej samej wsi co ci chłopcy, którzy podróżowali razem z Moiraine. Czy mam rację? spytała raptem Liandrin.

- Masz może jakąś wiadomość od Randa? - spytała z nadzieją Egwene.

Liandrin wygięła brwi w łuk.

- Wybacz mi, Aes Sedai. Zapomniałam się.

- Czy masz od nich jakąś wiadomość? - powtórzyła Nynaeve, nieledwie rozkazującym tonem. Wobec Przyjętych zasada, że nie wolno się odzywać pierwszej do Aes Sedai, dopóki nie rozkażą, nie obowiązywała.

- Martwicie się o nich. To dobrze. Grozi im niebezpieczeństwo i wy prawdopodobnie możecie im pomóc.

- Skąd wiesz, że mają kłopoty? - Tym razem nie należało wątpić w rozkazującą nutę w głosie Nynaeve. Liandrin zacisnęła swe podobne do pączka róży usta, ale nie zmieniła tonu.

- Mimo że wam to nie jest wiadome, Moiraine posyłała dotyczące was listy do Białej Wieży. Moiraine Sedai martwi się o was i o waszych młodych... przyjaciół. Tym chłopcom zagraża niebezpieczeństwo. Czy chcecie im pomóc, czy raczej wolicie pozostawić ich własnemu losowi?

- Tak - odparła Egwene, w tym samym momencie, w którym Nynaeve spytała:

- Co to za kłopoty? Dlaczego ty im chcesz pomagać? - Zerknęła na czerwone frędzle przy szalu Liandrin. Poza tym wydawało mi się, że nie lubisz Moiraine.

- Niech ci się za dużo nie wydaje, dziecko - odparowała ostrym tonem Liandrin. - Być Przyjętą to nie to samo co siostrą. Przyjęte i nowicjuszki jednak słuchają tego, co mówią siostry i czynią to, co one im każą. Odetchnęła głęboko i mówiła dalej, do jej głosu powrócił wprawdzie lodowaty spokój, ale białe plamy gniewu oszpeciły policzki. - Któregoś dnia, jestem przekonana, zaczniesz służyć sprawie i wtedy się dowiesz, że ta służba oznacza przymus pracy z tymi nawet, których nie lubisz. Powiem ci, że zdarzało mi się współpracować z wieloma takimi, z którymi nie dzieliłabym izby, gdyby wybór pozostawiono wyłącznie mnie samej. Czy ty nie pracowałabyś z osobą najbardziej przez siebie nienawidzoną, gdyby to miało się przyczynić do uratowania przyjaciół?

Nynaeve przytaknęła niechętnie.

- Wciąż jednak nie powiedziałaś, jakie niebezpieczeństwo im zagraża, Liandrin Sedai.

- Źródłem tego niebezpieczeństwa jest Shayol Ghul. Znowu stali się ofiarami pościgu, a o ile się nie mylę, już byli nimi kiedyś. Jeśli zechcecie udać się ze mną w drogę, wówczas przynajmniej część niebezpieczeństw uda się wyeliminować. Nie pytajcie o sposób, bo powiedzieć wam tego nie umiem, stanowczo was jednak zapewniam, że to prawda.

- Pojedziemy, Liandrin Sedai - obiecała Egwene.

- Dokąd? - spytała Nynaeve.

Egwene przeszła ją rozdrażnionym spojrzeniem.

- Na Głowę Tomana.

Egwene otworzyła szeroko usta, a Nynaeve mruknęła:

- Na Głowie Tomana toczy się jakaś wojna. Czy to niebezpieczeństwo ma coś wspólnego z armiami Artura Hawkwinga?

- Czyżbyś wierzyła w plotki, dziecko? Ale nawet gdyby one okazały się prawdziwe, to czy mogą cię powstrzymać? Wydawało mi się, że nazwałaś tych mężczyzn przyjaciółmi.

Liandrin wypowiedziała te ostatnie słowa z grymasem na twarzy, który mówił, że ona nigdy by czegoś takiego nie uczyniła.

- Pojedziemy - powtórzyła Egwene. Nynaeve otworzyła usta, ale Egwene nie przerywając ciągnęła dalej. - Pojedziemy, Nynaeve. Jeśli Rand, a także Mat i Perrin, potrzebują naszej pomocy, wówczas my musimy jej udzielić.

- Wiem o tym - odparła Nynaeve. - Chcę jednak się dowiedzieć, dlaczego to właśnie my? Co my możemy zrobić takiego, czego Moiraine, albo ty, Liandrin, nie możecie?

Biel policzków Liandrin pogłębiła się - Egwene spostrzegła, że podczas przemowy Nynaeve zapomniała o dodaniu tytułu - ale powiedziała tylko:

- Obydwie pochodzicie z ich wsi. W jakiś sposób, którego nie całkiem rozumiem, jesteście z nimi związane. Nic więcej powiedzieć nie mogę. I nie będę też więcej odpowiadała na wasze głupie pytania. Czy pojedziecie ze mną przez wzgląd na nich? - Urwała, czekając na ich zgodę, widoczne napięcie opuściło ją, gdy przytaknęły - Znakomicie. Spotkamy się na najbardziej wysuniętym na północ skraju gaju ogirów na godzinę przed zachodem słońca, przyjdźcie ze swoimi końmi i wszystkim, co potrzebne do podróży. Nikomu o niczym nie mówcie.

- Nie wolno nam opuszczać terenów Wieży bez pozwolenia - wolno odpowiedziała Nynaeve.

- Macie moje pozwolenie. Nic nikomu nie mówcie. Absolutnie nikomu. Komnaty Białej Wieży nawiedzają Czarne Ajah.

Z ust Egwene wyrwał się okrzyk przestachu i echo podobnego dźwięku usłyszała od strony Nynaeve, tyle że tamta szybciej się opanowała.

- Wydawało mi się, że wszystkie Aes Sedai zaprzeczają istnieniu... czegoś takiego.

Usta Liandrin wykrzywił szydery grymas.

- Wiele tak czyni, lecz zbliża się Tarmon Gai'don i już nie pora na zaprzeczenia. Czarne Ajah to przeciwieństwo wszystkiego, czego opoką jest Wieża, ale istnieją, dziecko. Są wszędzie, należą do nich może każda kobieta, a służą Czarnemu. Jeśli wasi przyjaciele są ścigani przez Ciebie, to czy sądzicie, że Czarne Ajah pozwolą wam żyć i chodzić wolno, byście mogły im pomóc? Nie mówcie nikomu, nikomu! Inaczej możecie nie dotrzeć żywe na Głowę Tomana. Godzina przed zachodem słońca. Nie zawiedźcie mnie.

Z tymi słowami wyszła, energicznie zatrzaskując za sobą drzwi.

Egwene usiadła ociężale na łóżku, układając dłonie na kolanach.

- Nynaeve, ona jest Czerwoną Ajah. Nie może nic wiedzieć o Randzie. Gdyby wiedziała...

- Ona nie wie - zgodziła się Nynaeve. - Bardzo bym chciała się dowiedzieć, dlaczego jakaś Czerwona pragnie przyjść z pomocą. Albo z jakiego powodu jest skłonna współpracować z Moiraine. Przysięgłabym, że żadna z nich nie podałaby szklanki wody, gdyby ta druga umierała z pragnienia.

- Myślisz, że ona kłamie?

- Ona jest Aes Sedai - odparła sucho Nynaeve. Postawię moją najlepszą srebrną zapinkę przeciwko jednej jagodzie, że każde słowo, które powiedziała, było prawdziwe. Zastanawiam się

jednak, czy usłyszałyśmy rzeczywiście to, co nam się wydawało.

- Czarne Ajah. - Egwene zadrżała. - Nie można się mylić, że to właśnie powiedziała, Światłości, dopomóż nam.

- Nie można - poparła ją Nynaeve. - Z góry też nas uprzedziła, że nie mamy co pytać kogoś o radę, bo po tym wszystkim, komu możemy zaufać? Światłości, zaiste dopomóż nam.

Do izby wtargnęły z hałasem Min i Elayne, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

- Naprawdę jedziecie? - spytała Min, a Elayne wskazała małą dziurkę w ścianie nad głową Egwene, mówiąc:

- Podśluchiwałyśmy z mojego pokoju. Wszystko wiemy.

Egwene zamieniła spojrzenia z Nynaeve, zachodząc w głowę, ile podśluchały i takie samo zaniepokojenie dostrzegła na twarzy Nynaeve.

"Jeśli zdołają rozszyfrować to, co mówiłyśmy o Randzie..."

- Musicie to zachować dla siebie - ostrzegła je Nynaeve. - Przypuszczam, że Liandrin załatwiła u Sheriam pozwolenie na nasz wyjazd, ale nawet jeśli tego nie zrobiła, nawet jeśli jutro zaczną szukać nas po całej Wieży, od piwnic po dach, dalej nie wolno wam pisać ani słowa.

- Zachować to dla siebie? - powtórzyła Min. O to się nie bójcie. Wszystko, co ja robię przez cały dzień, polega na próbie wyjaśniania jakiejś Brązowej siostrze czy komuś innemu czegoś, czego sama nie rozumiem. Nawet nie mogę przejść się na spacer, bo zaraz dopada mnie sama Amyrlin i żąda, bym czytała w każdym, kogo napotkamy. Kiedy ta kobieta żąda, by coś dla niej zrobić, to nie ma jak się od tego wykręcić. Musiałam dla niej odczytać połowę Białej Wieży, ale ona zawsze chce następnej demonstracji. Potrzebowałam tylko wymówki, by móc stąd wyjechać i oto ją mam.

Na jej twarzy pojawiła się determinacja, która nie dopuszczała dalszej dyskusji.

Egwene bardzo chciała wiedzieć, dlaczego Min tak się uparła jechać z nimi, zamiast po prostu wyjechać na własną rękę, ale zanim zdążyła wyrazić coś więcej niż zdziwienie, odezwała się Elayne.

- Ja też jadę.

- Elayne - powiedziała łagodnie Nynaeve. - Egwene i ja jesteśmy spowinowaczone z chłopcami z Pola Emonda. Ty jesteś dziedziczką tronu Andoru. Jeśli znikniesz z Białej Wieży, to staniesz się przyczyną wybuchu wojny.

- Matka nie wypowiedziałaby wojny Tar Valon, nawet gdyby one tutaj mnie ususzyły i zasoliły, co być może będą usiłowały zrobić. Skoro wy trzy możecie wyjechać i mieć przygody, to nie myślcie sobie, że ja tu zostanę i będę zmywała naczynia, szorowała podłogi, a także pozwalała, by jakaś Przyjęta rugała mnie za to, że nie utworzyłam ognia w dokładnie takim odcieniu błękitu, jakiego ona sobie zażyczyła. Gawyn umrze z zazdrości, jak się dowie. - Elayne uśmiechnęła się szeroko i wyciągnęła rękę, by żartobliwie pociągnąć Egwene za włosy. - A poza tym, jeśli ty zrezygnujesz z Randa, to może ja będę miała szansę go zdobyć.

- Nie sądzę, by któraś z nas mogła go mieć - odparła ze smutkiem Egwene.

- No to dopadniemy tę, którą on rzeczywiście wybierze i uprzykrzymy jej życie. Ale on nie może być takim głupcem, by wybrać kogoś innego, skoro może mieć jedną z nas. Och proszę, uśmiechnij się, Egwene. Wiem, że on jest twój. Ja po prostu czuję - zawahała się, szukając słowa - że jestem wolna. Nigdy dotąd nie miałam żadnych przygód. Założę się, że przygody nie będą przyczyną wyłakiwania się przed snem w poduszkę. A gdyby nawet tak było, to dopilnujemy, by bardowie tę część wyeliminowali ze swych opowieści.

- To głupota - odparła Nynaeve. - Jedziemy na Głową Tomana. Słyszałaś, jakie stamtąd docierają wieści i pogłoski. To będzie niebezpieczne. Musisz tu zostać.

- Słyszałam też, co Liandrin Sedai mówiła o... Czarnych Ajah. - Wymieniając tę nazwę, Elayne

zniżyła głos nieomal do szeptu. - Na ile będziemy bezpieczne tutaj, jeżeli one naprawdę istnieją? Gdyby matka bodaj podejrzewała, że Czarne Ajah rzeczywiście tu się kręcą, to ściągnęłaby mnie w sam środek bitwy, żeby mnie tylko przed nimi osłonić.

- Ależ Elayne...

- Jest tylko jeden sposób na to, byście mnie powstrzymały przed wyjazdem. Musicie o wszystkim powiedzieć mistrzyni nowicjuszek. Stworzymy piękny obrazek, my trzy stojące rzędem w jej gabinecie. Cztery. Nie sądzę, by Min udało się czegoś takiego uniknąć. Tak więc ja też jadę, skoro nie macie zamiaru mówić o niczym Sheriam Sedai.

Nynaeve wyrzuciła ręce w górę.

- Może ty coś powiesz, żeby ją przekonać - powiedziała do Min.

Min, która dotychczas stała wsparta o drzwi i zmrużonymi oczyma patrzyła na Elayne, teraz potrząsnęła głową.

- Myślę, że ona też musi jechać, tak jak i wy. Tak jak my wszystkie. Otaczające was niebezpieczeństwo widzę teraz jeszcze wyraźniej. Nie tak wyraźnie, by wiedzieć, co to takiego, ale myślę, że to ma coś wspólnego z waszą decyzją o wyjeździe. Widać je wyraźniej, bo jest bardziej nieuchronne.

- To jeszcze nie jest powód, by ona też jechała wskazała Nynaeve, jednak Min znowu pokręciła głową.

- Ją z tymi chłopcami łączy taka sama więź jak z tobą, Egwene, albo ze mną. Ona jest tego częścią, Nynaeve, cokolwiek by to było. Częścią Wzoru, jak zapewne powiedziałyby jakaś Aes Sedai.

Elayne wyglądała na wstrząśniętą i jednocześnie podnieconą.

- Naprawdę jestem? Jaka to część, Min?

- Nie widzę wyraźnie. - Min wbiła wzrok w podłogę. - Czasami wolałabym w ogóle nic nie czytać w ludziach. Zresztą i tak większość ludzi wcale nie jest zadowolona z tego, co u nich widzę.

- Skoro wszystkie jedziemy - powiedziała Nynaeve - to lepiej zabierzmy się za sporządzenie planu.

Mimo że wcześniej tak się spierała, teraz, gdy decyzja już zapadła, przeszła do spraw praktycznych: co powinny z sobą zabrać, jak zimno będzie, gdy już dotrą na Głowę Tomana i w jaki sposób wyprowadzić ze stajni konie, by nikt ich nie zatrzymał.

Słuchając jej, Egwene mimowolnie zastanawiała się, jakie to niebezpieczeństwo widziała u nich Min i co zagraża Randowi. Znała tylko jedno niebezpieczeństwo, które mogło mu grozić i na samą myśl robiło jej się zimno.

"Trzymaj się, Rand. Trzymaj się, ty wełnianogłowy idioto. Jakoś ci pomogę".

# ROZDZIAŁ 16

## UCIECZKA Z BIAŁEJ WIEŻY

Podczas wędrówki przez Wieżę, Egwene i Elayne pochylały przelotnie głowy przed każdą napotykaną grupą kobiet. Zdaniem Egwene, dobrze się składało, że tego dnia do Wieży przybyło ich tak wiele z zewnątrz, zbyt wiele, by każda z nich mogła otrzymać eskortę Aes Sedai albo Przyjętej. Samotne lub w niewielkich grupkach, odziane bogato lub biednie, w sukniach z kilkunastu różnych krain, niektóre nadal okryte pyłem po przebytej podróży do Tar Valon, trzymały się razem i czekały na swoją kolej, gdy będą wreszcie mogły zadać swoje pytania na temat Aes Sedai albo przedłożyć petycje. Niektórym kobietom - damom, handlarkom albo żonom kupców - towarzyszyły służące. Z petycjami przybyło nawet kilku mężczyzn, trzymali się na uboczu, wyraźnie onieśmieleni pobyt w Tar Valon, na wszystkich popatrując nieswoim wzrokiem.

Prowadziła Nynaeve, z wzrokiem wyzywająco utkwionym w dal, w rozwianym płaszczu, maszerowała takim krokiem, jakby nie tylko wiedziała, dokąd idą - co zresztą było prawdą, dopóki ich jeszcze nikt nie zatrzymał - lecz na dodatek miała absolutne prawo tam iść, co z kolei było całkiem inną sprawą, rzecz jasna. Ubrane teraz w rzeczy, które przywiozły z sobą do Tar Valon, z pewnością nie wyglądały na mieszkanki Wieży. Każda wybrała swoją najlepszą suknię, ze spódnicą specjalnie rozciętą do konnej jazdy, a także płaszcze z delikatnej wełny, kapiące od wyhaftowanych ozdób. Egwene uważała, że jeśli będą się trzymały z dala od tych osób, które mogły je rozpoznać - już umknęły paru takim, którym ich twarze były znajome - to być może wszystko się powiedzie.

- To by się bardziej nadawało jako strój do parku jakiegoś lorda niż do jazdy na Głowę Tomana - orzekła oschłym tonem Nynaeve, gdy Egwene pomogła jej zapiąć guziki przy popielatym jedwabiu przeplatany złotą nitką, z kwiatami wyhaftowanymi z pereł na brzuchu i rękawach - ale może dzięki temu uda nam się wyjechać niepostrzeżenie.

Egwene poprawiła płaszcz, wygładziła haftowaną złotem suknię z zielonego jedwabiu i zerknęła na niebieskości z kremowymi wrąbkami, które miała na sobie Elayne, z nadzieją, że Nynaeve ma rację. Jak dotąd, wszyscy brali je za petentki, szlachcianki, albo przynajmniej bogate kobiety, ale jakoś się wydawało, że jednak powinny rzucać się w oczy. Zdziwiła się, zrozumiawszy przyczynę - czuła się nieswojo w takiej pięknej sukni po kilku miesiącach noszenia prostej, białej szaty nowicjuszeki.

Napotkały po drodze małą grupkę wieśniaczek w sukniach ze zgrzebnej, ciemnej wełny, które ukloniły się głęboko na ich widok. Gdy już je minęły, Egwene obejrzała się na Min. Przyjaciółka ukryła spodnie i workowatą męską koszulę pod chłopięcym płaszczem i kaftanem brązowej barwy. Krótkie włosy nakryła starym kapeluszem z szerokim rondem.

- Jedna z nas powinna udawać służącego - powiedziała śmiejąc się. - Kobietom ubranym tak jak wy zawsze towarzyszy co najmniej jeden. Jeszcze pozazdrościcie mi tych spodni, gdy będziemy musiały biec.

Uginała się pod ciężarem czterech sakiew, wypchanych ciepłą odzieżą, jako że z całą pewnością nie miały wrócić przed zimą. Były w nich także pakunki z jedzeniem skradzionym w kuchni, którego miało im wystarczyć dopóty, dopóki nie będą mogły czegoś kupić.

- Jesteś pewna, że nie mogę czegoś ponieść? - spytała cicho Egwene.

- Je się tylko niewygodnie niesie - odparła z szerokim uśmiechem Min - nie są ciężkie. - Najwyraźniej uważała to wszystko za zabawę albo po prostu udawała, że tak myśli. - Poza tym ludzie na pewno by się dziwili, że taka wytworna dama jak ty targa sakwy. Będziesz je mogła nieść, nie

tylko swoje, lecz również moje, jeśli zechcesz, gdy już...

Jej uśmiech zamarł nagle, szepnęła ostrzegawczo:

- Aes Sedai!

Egwene błyskawicznie przeniosła wzrok na drogę. Z przeciwnej strony korytarza nadchodziła Aes Sedai obdarzona długimi czarnymi włosami i skórą barwy postarzałej kości słoniowej, po drodze wysłuchując kobiety ubranej w prosty wiejski strój i połatany płaszcz. Jeszcze ich nie zauważyła, Egwene natomiast rozpoznała ją - Takima, z Brązowych Ajah, uczyła historii Aes Sedai i Białej Wieży, swoje uczennice potrafiła rozpoznać z odległości stu kroków.

Nynaeve skręciła w boczny korytarz, nie zwalniając kroku, ale w tym samym momencie minęła je jedna z Przyjętych, szczupła kobieta z wiecznym marsem na czole. Wlokła za ucho nowicjuszkę o poczerwieniałej twarzy.

Egwene musiała najpierw przełknąć ślinę i dopiero potem była w stanie coś powiedzieć.

- To były Irena i Else. Zauważyły nas?

Nie miała odwagi spojrzeć za siebie, by sprawdzić.

- Nie - odparła po chwili Min. - Widziały tylko nasze ubrania.

Egwene odetchnęła z ulgą, takie samo westchnienie usłyszała ze strony Nynaeve.

- Serce mi chyba wyskoczy, zanim dotrzemy do stajni - mruknęła Elayne. - Czy właśnie na tym polegają przygody, Egwene? Że serce masz w gardle, a żołądek w nogach?

- Myślę, że chyba tak - wolno odparła Egwene. Ledwie potrafiła sobie przypomnieć, że kiedyś również ona tak bardzo chciała mieć przygody, robić coś niebezpiecznego i podniecającego, tak jak ci wszyscy ludzie z opowieści. Teraz miała wrażenie, że całe uczucie podniecenia pamięta się dopiero wtedy, gdy człowiek wspomina przeszłość i że bardowie opuszczają w swych opowieściach wiele nieprzyjemnych momentów. Powiedziała o tym Elayne.

- Ale i tak - orzekła bez wahania dziewczynka tronu - nigdy dotąd nie przeżyłam niczego naprawdę podniecającego i nigdy nie będę miała takiej szansy, dopóki matka będzie miała swoje zdanie na ten temat, i tak będzie zawsze, nim wreszcie sama nie zasiądę na tronie.

- Uciszcie się obydwie - rozkazała Nynaeve. Dla odmiany na tym korytarzu znalazły się same, nikogo, gdzie spojrzeć, na nim nie było. Wskazała wąskie stopnie wiodące w dół. - Chyba właśnie tego szukałyśmy. O ile całkiem nie zmieniłyśmy kierunku przez te wszystkie zakręty i wiraże.

Zaczęła jednak schodzić w dół, jakby mimo wszystko nie straciła pewności, dziewczęta ruszyły w ślad za nią. I rzeczywiście, małe drzwiczki na samym dole wychodziły na zakurzony dziedziniec, gdzie nowicjuszki mogły trzymać swe konie do czasu, aż znowu ich będą potrzebowały, a na ogół zdarzało się to nie wcześniej, niż wtedy, gdy zostawały Przyjętymi albo gdy odsyłano je do domu. Za ich plecami wznosiło się połyskliwe cielsko Wieży, zajmujące obszar liczący wiele hajdów ziemi, otoczone murami wyższymi od murów miasta.

Nynaeve wkroczyła do stajni takim krokiem, jakby była jej właścicielką. W środku czuło się czystą woń siana i koni, w głąb wnętrza biegły dwa rzędy przegród, niknące w cieniach pokratkowanych światłem padającym z otworów wentylacyjnych w górze. O dziwo, kudłata Bela i szara klacz Nynaeve stały w przegrodach blisko wejścia. Na widok Egwene Bela wystawiła pysk ponad drzwiczkami przegrody cicho zarżała. Zastały tylko jednego stajennego, wyglądał sympatycznie i miał brodę przeplecioną pasemkami siwizny. Żuł źdźbło siana.

- Prosimy o osiodłanie naszych koni - powiedziała mu Nynaeve swym najbardziej rozkazującym tonem. - To te dwa. Min, poszukajcie z Elayne swoich wierzchowców.

Min postawiła sakwy na podłodze i pociągnęła Elayne w głąb stajni.

Stajenny obejrzał się za nimi, marszcząc czoło, potem powoli wyjął słomkę z ust.



- To chyba jakaś pomyłka, moja pani. Te zwierzęta...

- ...należą do nas - odparła apodyktycznym tonem Nynaeve, krzyżując ręce w taki sposób, że pierścień z wężem mocno rzucał się w oczy. - Osiodłaj je natychmiast.

Egwene wstrzymała oddech - na tym właśnie polegał ich plan, że gdy już nie będzie innego wyjścia, Nynaeve będzie udawała Aes Sedai przed kimś, kto im sprawi trudności, a na coś takiego da się nabrać. Oczywiście nie przed jakąś Aes Sedai, Przyjętą ani nawet nowicjuską, ale przed stajennym...

Mężczyzna zamrugał oczami na widok pierścienia, potem spojrział na samą Nynaeve.

- Mówiono mi, że będą dwie - powiedział, takim tonem, jakby pierścień nie wywarł na nim żadnego wrażenia. - Jedna Przyjęta i jedna nowicjuszka. Nic nie mówiono o czterech.

Egwene miała ochotę się roześmiać. To jasne, że Liandrin nigdy by nie wpadła na to, że będą w stanie wydostać konie na własną rękę.

Nynaeve wyglądała na rozczarowaną, a jej głos nabrał ostrości.

- Wyprowadzisz te konie i osiodłasz, bo inaczej Liandrin będzie cię musiała uzdrawiać, nie wiadomo tylko, czy zechce.

Stajenny powtórzył bezgłośnie imię Liandrin, ale wystarczyło jedno spojrzenie na twarz Nynaeve i zajął się końmi, mruknawszy coś tylko pod nosem, tak cicho, że nie słyszał tego nikt oprócz niego samego. Min i Elayne wróciły ze swymi wierzchowcami dokładnie w chwili, gdy już kończył zacieśniać drugi popręg. Min prowadziła wysokiego wałacha o sierści barwy kurzu, Elayne gniadą klacz z giętym w łuk karkiem.

Gdy już dosiadły koni, Nynaeve ponownie przemówiła do stajennego.

- Bez wątpienia nakazano ci zachować to wszystko w tajemnicy. Tu się nic nie zmieniło, niezależnie od tego czy jest nas dwie, czy sto. Jeśli myślisz inaczej, to pomyśl, co zrobi Liandrin, jeśli wygadasz się z tym, o czym kazano ci milczeć.

Na odjeźdnym Elayne cisnęła monetę w stronę mężczyzny i wymamrotała:

- To za fatywę, dobry człowieku. Dobrze się spisałeś. - Na zewnątrz stajni pochwyciła spojrzenie Egwene i uśmiechnęła się. - Matka zawsze powtarza, że kij i miód zawsze odnoszą lepszy skutek niż sam kij.

- Mam nadzieję, że nie będziemy potrzebowały ani jednego, ani drugiego przy strażach - odparła Egwene. - Liczę, że Liandrin też ich uprzedziła.

Jednakże przy bramie Tarlomen, osadzonej od południa w wysokim murze otaczającym tereny Wieży, wcale się nie wyjaśniło, czy ktoś uprzedził strażników. Nakazali czterem kobietom jechać dalej, bez jednego spojrzenia i zwyczajowego ukłonu. Strażnicy obowiązani byli nie wpuszczać na teren Wieży żadnych podejrzanych osób, najwyraźniej nie wydano im rozkazu zatrzymywania kogoś w środku.

Chłodny wiatr, wiejący od rzeki, stanowił dobry pretekst do nakrycia głów kapturami, gdy niespiesznie przemierzały ulice miasta. Brzęk kopyt ich koni na bruku ginał w gwarze tłumów wypełniających ulice i dźwiękach muzyki, która dochodziła z niektórych, mijanych po drodze budynków. Ludzie ubrani w stroje z wszystkich krajów, począwszy od ciemnej, ponurej mody Cairhien, a skończywszy na jasnych, żywych barwach ludu wędrowców, niczym rzeka opływająca skałę rozdzielali się na dwa strumienie przed kobietami na koniach, ale i tak nie mogły się przemieszczać szybciej niż wolnym, spacerowym krokiem.

Egwene zupełnie nie zwracała uwagi na bajeczne wieże, z ich powietrznymi mostami, ani na budynki, które bardziej wypominały załamujące się fale, wyrzeźbione przez wiatr wzgórza albo dziwaczne muszle, niż konstrukcje wyciosane z kamienia. Aes Sedai często wyprawiały się do

miasta j w tym tłumie mogły spotkać się twarzą w twarz z taką, która je знаła. Po pewnym czasie zauważyła, że jej towarzyszki również rozglądają się baczenie, ale poczuła coś więcej niż przeblysk ulgi, gdy w zasięgu wzroku dostrzegła gaj ogirów.

Nad dachami pojawiły się już Wielkie Drzewa, rozłożyste korony o średnicach liczących bez mała sto piędzi. ogromne dęby, wiązy, drzewa skórzane i jodły całkiem przy nich ginęły. Gaj, w przekroju mierzący dobre dwie mile, otaczało coś na kształt muru, nie kończący się szereg skrzyconych spiralnie, kamiennych łuków, każdy o wysokości pięciu piędzi i dwa razy grubszy. Po ulicy biegnącej od zewnętrznej strony przemieszczali się z hałasem wozy i ludzie, natomiast obszar skryty za murem porastał rodzaj dzikiej puszczy. Gaj nie miał ani wyglądu ujarzmionego parku, ani też całkowitej przypadkowości leśnych ostępów. Stanowił raczej ideał natury, jakby doskonały las, najpiękniejszy las, jaki tylko można było sobie wyobrazić. Część liści już zaczynała zmieniać barwę, a zdaniem Egwene nawet niewielkie plamki pomarańcza, żółci i czerwieni na zielonym tle wyglądały dokładnie tak, jak powinna wyglądać jesień.

Pod otwartymi łukami przechodziło niewielu ludzi i nikt nie spojrzał po raz wtóry, gdy pod drzewami przejechały cztery kobiety. Miasto szybko zniknęło z widoku, nawet jego odgłosy przycichły, po chwili całkowicie zagłuszone przez gaj. Po pokonaniu przestrzeni dziesięciu kroków wydawało się, że oddaliły się o całe mile od najbliższej osady.

- Północny skraj gaju, powiedziano nam - mruknęła Nynaeve, rozglądając się uważnie dookoła.  
- Nie ma innego punktu dalej wysuniętego na północ niż...

Urwała, ponieważ z za kępy czarnego bzu wypadła cwałem klacz o połyskliwej, ciemnej sierści z jeźdźcem na grzbiecie i lekko obciążony juczny koń.

Ciemna klacz wierzgnęła, przebierając kopytami w powietrzu, gdy Liandrin gwałtownie ściągnęła wodze. Furia, w którą przeoblała się twarz Aes Sedai, przypominała maskę.

- Powiedziałam, że nie macie nikomu o tym mówić! Nikomu!

Egwene zauważyła ze zdziwieniem, że juczny koń niesie na swoim grzbiecie latarnie na długich tykach.

- To przyjaciółki - zaczęła Nynaeve, prostując plecy, lecz w słowo weszła jej Elayne.

- Wybacz nam, Liandrin Sedai. One nam o niczym nie powiedziały, myśmy was podsłuchały. Nie chciałyśmy słyszeć tego, czego nam nie wolno, ale niestety podsłuchałyśmy. My też chcemy pomóc Randowi al'Thorowi. I naturalnie również pozostałym chłopcom - dodała szybko.

Liandrin przyjrzała się badawczo Elayne i Min. Promienie późnego, popołudniowego słońca, padające ukośnie między gałęziami, ocieniało ich skryte pod kapturami twarze.

- No dobrze - odezwała się w końcu, nie przestając mierzyć ich wzrokiem. - Poczyniłam przygotowania, by zajęto się wami dwoma, ale skoro tu już jesteście, to nie ma odwrotu. Wszystko jedno, czy w tę podróż wybiorą się dwie, czy cztery.

- Zajęto się nami, Liandrin Sedai? - spytała Elayne.

- Nie rozumiem.

- Dziecko, wiadomo, że ty i ta druga przyjaźnicie się z tymi dwoma. Nie pomyślałaś o tych, które by was wzięły na spytaki po odkryciu ich zniknięcia? Sądzisz, że Czarne Ajah obeszłyby się z tobą łagodnie tylko dlatego, że jesteś następczynią tronu? Gdybyś pozostała w Białej Wieży, mogłabyś nie przeżyć najbliższej nocy.

To kazało im wszystkim na chwilę umilknąć, a Liandrin zawróciła konia i zawołała:

- Za mną!

Aes Sedai powiodła je w głąb gaju, aż w końcu dotarły do wysokiego płotu wykonanego z grubych żelaznych prętów, zwieńczonych szpalerem ostrych jak brzytwa szpikulców. W ogrodzeniu

osadzona była brama, zamknięta na wielki zamek. Liandrin otworzyła go kluczem, wyciągniętym z kieszeni płaszcza, kazała im wejść do środka, zamknęła zamek z powrotem i natychmiast pogalopowała przed siebie. Gdzieś z górnych gałęzi odezwała się na ich widok wiewiórka, w oddali rozniosło się dźwięczne postukiwanie dzięcioła.

- Dokąd jedziemy? - spytała ostrym tonem Nynaeve. Gdy Liandrin nie odpowiedziała, popatrzyła gniewnie na pozostałe kobiety. - Dlaczego zagłębiajemy się w ten las? Powinniśmy przekroczyć jakiś most albo wsiąść na statek, skoro mamy wyjechać z Tar Valon, a przecież żadnych mostów ani statków nie ma w...

- To tutaj - obwieściła Liandrin. - To ogrodzenie stanowi barierę dla tych, którzy mogliby sobie przysporzyć nieszczęścia, nas jednak przywiodła tu dzisiaj konieczność.

W miejscu, w którym wskazała ręką, stała wysoka, gruba płyta, najprawdopodobniej kamienna, ustawiona na jednym z boków, z jednej strony pokryta płataniną rzeźbionych pnączy i liści.

Egwene poczuła, jak coś ją ściska w gardle. Wiedziała już, po co Liandrin zabrała latarnie, ale ta wiedza bynajmniej jej nie uradowała. Usłyszała szept Nynaeve:

- Brama.

Obydwie aż za dobrze pamiętały, czym są drogi.

- Już kiedyś to zrobiliśmy - wytłumaczyła nie tylko sobie, lecz również Nynaeve. - Możemy to zrobić jeszcze raz.

"Skoro Rand i tamci nas potrzebują, to my musimy im pomóc. Tylko to jest ważne".

- Czy to naprawdę...? - zaczęła Min zdławionym głosem, ale nie potrafiła skończyć.

- Brama - wyrzuciła bez tchu Elayne. - Myślałam, że dróg nie wolno używać. W każdym razie wydawało mi się, że to zabronione.

Liandrin zsiadła już z konia i wyjęła liść *avendesory* spomiędzy rzeźbień. Skrzydła bramy, niczym ogromne drzwi utkane z liściastych pnączy, zaczęły się rozchyłać, odsłaniając coś, co przypominało mętne srebrzyste lustro, ukazujące ich niewyraźne odbicia.

- Nie musicie tu wchodzić - powiedziała Liandrin. - Możecie tu na mnie zaczekać, ukryte bezpiecznie za ogrodzeniem, póki po was nie wrócę. Chyba że wcześniej znajdą was Czarne Ajah.

Uśmiech Aes Sedai nie należał do miłych. Brama za jej plecami otworzyła się już na pełną szerokość i znieruchomiła.

- Wcale nie powiedziałam, że nie pójdę - odparła Elayne, spojrzała jednak z wahaniem na cienisty las.

- Skoro mamy to zrobić - wychrypiała Min - to zrobimy. - Wpatrywała się w bramę, a Egwene wydawało się, że słyszy, jak mruknęła: - Niech cię Światłość spali, Randzie al'Thor.

- Ja powinnam wejść na końcu - oświadczyła Liandrin. - Wejdźcie wszystkie do środka. Ja pójdę za wami. Sama też badała teraz wzrokiem las, jakby przyszło jej nagle do głowy, że ktoś mógłby je śledzić. - Szybko! Szybko!

Egwene nie wiedziała, co Liandrin spodziewała się zobaczyć, gdyby jednak ktoś się teraz pojawił, najprawdopodobniej nie pozwoliłby im wejść do bramy.

"Rand, ty wełnianogłowy idioto - pomyślała - dlaczego choć raz nie mógłbyś popaść w takie tarapaty, przez które nie musiałabym się zachowywać jak bohaterka opowieści?"

Wbiła pięty w boki Beli i kudłata klacz, udręczona zbyt długim pobylem w stajni, skoczyła do przodu.

- Powoli! - krzyknęła Nynaeve, ale było za późno.

Egwene i Bela pomknęły w stronę swoich niewyraźnych odbić, dwa kudłate konie zetknęły się chrapami, jakby stapiały się z sobą. Po chwili Egwene przeżyła lodowaty wstrząs, gdy zaczęła się

łączyć z własnym odbiciem. Czas zdawał się rozciągać w nieskończoność, ponieważ chłód wdierał się do jej ciała kolejno wszystkimi włosami, a jego wędrówka przez jeden włos trwała całe minuty.

Nagle Bela niezdarnie runęła w ciemny jak smoła mrok, galopowała tak prędko, że omal nie potknęła się o własny łeb. Złapała jednak równowagę i przystanęła, cała drżąc, natomiast Egwene pośpiesznie zsiadła na ziemię, obmacała w ciemności kończyny klaczy, by sprawdzić, czy się nie pokaleczyła. Była nieomal zadowolona z tego mroku, krył bowiem jej spurpurowiałą twarz. Wiedziała, że po drugiej stronie bramy zarówno czas, jak i odległości są inne, a jednak ruszyła do przodu zamiast najpierw pomyśleć.

Wszędzie, jak okiem sięgnąć, otaczała ją czerń, z wyjątkiem prostokąta otwartej bramy, która, gdy się na nią spojrzano z tej strony, przypominała okno z dymnego szkła. Nie przepuszczała światła - czerń zdawała się na nią napierać - Egwene jednak wydawało się, że widzi swe towarzyszek poruszające się niezwykle wolno, niczym zjawy ze złego snu. Nynaeve domagała się, by rozdać wszystkim zapalone latarnie, Liandrin niechętnie udzieliła jej zgody, uparcie poganiając do pośpiechu.

Gdy bramę pokonała Nynaeve - wprowadziła swą klacz powoli, nadzwyczaj powoli - Egwene omal nie podbiegła, by ją uściskać, przy czym tę wylewność wywołał w niej częściowo widok latarni, którą trzymała przyjaciółka. Latarnia roztaczała znacznie mniejszy krąg światła niż powinna - ciemność napierała na światło, usiłując je zdusić w zarodku - ale Egwene zdążyła już poczuć napór niemalże materialnej czerni. Poprzestała na stwierdzeniu:

- Beli nic nie jest, a ja jakoś nie złamałam karku, mimo iż zapewne zasłużyłam.

Kiedyś na drogach było światło, jeszcze zanim zaczęła niszczyć je skaza Mocy, z której pierwotnie je stworzono, skaza, którą Czarny zostawił na *saidinie*.

Nynaeve wcisnęła jej do ręki latarnię i odwróciła się, by wyciągnąć drugą spod poprzęgu siodła.

- Dopóki człowiek wie, że zasłużył - mruknęła dopóty wcale nie zasługuje. - Nagle wybuchnęła śmiechem. - Czasami wydaje mi się, że to bardziej takie powiedzonka niż coś innego stworzyły tytuł Wiedzącej. O proszę, następne. Złam sobie kark, a tak ci go nastawię, bym mogła go jeszcze raz złamać.

Zostało to powiedziane beztróskim tonem i Egwene mimo woli też musiała się roześmiać - dopóki nie przypomniała sobie, gdzie jest. Rozbawienie Nynaeve także nie trwało długo.

Min i Elayne przeszły przez bramę z wahaniem, prowadziły konie i niosły latarnie z takimi minami, jakby się spodziewały, że w środku czekają na nie potwory. Z początku wyraźnie poczuły ulgę, gdy nie zobaczyły nic prócz ciemności, jednakże stwarzana przez mrok przygniatająca atmosfera sprawiła, że zaraz zaczęły nerwowo przestępować z nogi na nogę. Liandrin ułożyła liść *avendesory* na miejscu i przejechała przez zamykającą się już bramę, wiodąc za sobą jucznego konia.

Aes Sedai nie czekała, aż brama zamknie się do końca, tylko bez słowa rzuciła w stronę Min powróż, za który prowadziło się konia jucznego i oświetlając sobie drogę latarnią, ruszyła śladem białej linii, wiodącej w głąb dróg. Nawierzchnia wyglądała jak kamień przezarty przez kwas. Egwene pośpiesznie wdrapała się na grzbiet Beli, ale nie ruszyła w ślad za Aes Sedai szybciej niż inne dziewczęta. Wydawało się, że na świecie nie istnieje nic prócz tej chropowatej posadzki pod końskimi kopytami.

Prosta jak strzała biała linia wiodła przez ciemność do wielkiej kamiennej tablicy pokrytej srebrnymi inkrustacjami w kształcie pisma ogirów. Takie same dzioby, które pokrywały nawierzchnię, zniszczyły także w niektórych miejscach litery.

- Drogowskaz - mruknęła Elayne, wykręcając się w siodle, by niespokojnie rozejrzeć dookoła. - Elaida udzieliła mi kilku wykładów na temat dróg. Nie opowiedziała zbyt dużo. Za mało - dodała

posępnie. - A może za dużo.

Liandrin spokojnie porównała treść drogowskazu z pergaminem, który wyciągnęła z kieszeni płaszcza, po czym wepchnęła go z powrotem, nim Egwene zdążyła rzucić nań okiem.

Światło latarni zniknęło nagle, zamiast wolno blaknąć na krawędzi, Egwene zdołała jednak dostrzec grubą, kamienną, miejscami porytą balustradę, nim Aes Sedai poprowadziła je dalej od drogowskazu. Elayne nazwała to wyspą - z powodu ciemności trudno było ocenić jej rozmiar, Egwene jednak uznała, że mogła mieć około stu kroków średnicy.

Balustradę przecinały kamienne mosty i rampy, obok każdego stał kamienny słup oznakowany pojedynczą linią pisma ogirów. Łuki mostów zdawały się ginać w pustce. Rampy wiodły w górę i w dół. Nie widać było nic prócz ich początku, na który się akurat wjeżdżało.

Zatrzymując się tylko po to, by omieść wzrokiem kamienne słupy, Liandrin wybrała rampę schodzącą w dół i niebawem nie było już nic prócz tej rampy i mroku. Wszystko ociekało ogłuszającą ciszą, Egwene miała wrażenie, że nawet stukot końskich kopyt na chropawym kamieniu nie niesie się dalej niż do granicy kręgu wytyczonego przez światło latarni.

Rampa wiodła bez końca w dół, skręcając się w pętlę, aż wreszcie doprowadziła do kolejnej wyspy, z połamaną balustradą łączącą mosty i rampy, a także drogowskazem, którego treść Liandrin porównała ze wskazówkami na pergaminie. Wyspa przypominała litą skałę, dokładnie tak jak tamta pierwsza. Egwene trochę się bała, że tamta pierwsza wyspa znajduje się być może tuż nad ich głowami.

Niespodzianie obawy Egwene głośno wyraziła Nynaeve. Mówiła śmiałym głosem, w samym środku przerwała jednak, by przełknąć ślinę.

- To... to możliwe - odpowiedziała jej słabym głosem Elayne. Podniosła wzrok w górę, ale zaraz szybko go spuściła. - Elaida twierdzi, że prawa natury na drogach nie obowiązują. W każdym razie nie w taki sposób, jak poza nimi.

- Światłości - mruknęła Min, po czym podniosła głos. - Jak długo chcesz nas tu trzymać?

Miodowe warkocze zakołysały się, gdy Aes Sedai odwróciła głowę, by na nie spojrzeć.

- Dopóki was stąd nie wyprowadzę - odparła obojętnym tonem. - Im bardziej będziecie mi się naprzykrzać, tym dłużej to potrwa. - Pochyliła się znowu, by studiować pergamin i drogowskaz.

Egwene i pozostałe dziewczęta umilkły.

Liandrin gnała bez wytchnienia od drogowskazu do drogowskazu, przez rampy i mosty, które zdawały się wisieć w bezkresnej ciemności bez żadnych podpór. Aes Sedai nie zwracała prawie żadnej uwagi na towarzyszące jej kobiety, Egwene wręcz zaczęła się zastanawiać, czy gdyby któraś z nich została w tyle, to czy Liandrin zawróciłaby, by jej szukać. Pozostałe dziewczęta wpadły chyba na tę samą myśl, bo jechały zbitą gromadą, tuż za kopytami jej ciemnej klaczy.

Egwene ze zdziwieniem uświadomiła sobie, że nadal czuje przyciąganie *saidara*, zarówno obecność żeńskiej połowy Prawdziwego Źródła, jak i pragnienie, by go dotykać, by kontrolować przepływ Mocy. Z jakiegoś powodu dotychczas uważała, że skaza, którą Cień pozostawił na drogach, ukryje przed nią *saidara*. W pewien sposób czuła tę skazę. Uczucie to było niewyraźne i nie miało nic wspólnego z *saidarem*, ale była pewna, że dotykanie w tym miejscu Prawdziwego Źródła to coś takiego, jakby rozganiecie ręką cuchnącego, gęstego dymu, by móc sięgnąć po czystą filiżankę. Wszystko, co robi, będzie skażone. Po raz pierwszy od wielu tygodni, nie miała żadnych trudności z oparciem się przyciąganiu *saidara*.

W świecie poza drogami zapewne byłby już sam środek nocy, gdy na którejś z wysp Liandrin niespodzianie zsiadła z konia i obwieściła, że tu zatrzymają się na wieczerzę i spoczynek. Jedzenie znajdowało się w jukach konia.

- Rozpakujcie - powiedziała, nie racząc nawet wyznaczyć którejś z nich do tego zadania. - Upłyną dobre dwa dni, zanim dotrzemy na Głowę Tomana. Nie dopuściłabym, abyście dotarli tam głodne, gdybyście z powodu swej głupoty omieszkali zabrać coś do jedzenia.

Energicznymi ruchami rozkulbaczyła i spętała klacz, potem zaś usadowiła się na siodle i czekała, aż któraś z nich poda jej posiłek.

Elayne zaniósła Liandrin suchary i ser. Aes Sedai dała wyraźnie do zrozumienia, że nie życzy sobie ich towarzystwa, tak więc wszystkie cztery zjadły swój chleb i ser w pewnej odległości, siadając blisko siebie na siodłach. Ciemność zalegająca poza światłem latarń nie dodawała smaku posiłkowi.

Po jakimś czasie odezwała się Egwene:

- Liandrin Sedai, co by się stało, gdybyśmy napotkały Czarny Wiatr?

Min powtórzyła ostatnie słowa pytającym tonem, Elayne natomiast pisnęła.

- Moiraine Sedai twierdziła, że nie można go ani zabić, ani nawet choć odrobinę uszkodzić, a ja czuję, że skaza okrywająca to miejsce czeka tylko, by zniweczyć wszystko, czego dokonamy z pomocą Mocy.

- Nawet nie myślcie o Prawdziwym Źródle, dopóki wam nie rozkażę - odparła ostrym tonem Liandrin. Przecież gdyby któraś z was próbowała przenosić Moc tutaj, na drogach, wówczas mogłaby popaść w obłąd, tak jakby była mężczyzną. Nie zostałuście przeszkolone w obchodzeniu się ze skazą, dotykającą mężczyzn, którzy ją stworzyli. Jeśli pojawi się Czarny Wiatr, to ja się nim zajmę. - Wydeła wargi, przypatrując się uważnie grudce białego sera.

- Moiraine wcale nie wie tyle, ile jej się wydaje. Z uśmiechem wepchnęła ser do ust.

- Nie lubię jej - mruknęła Egwene, tak cicho, by mieć pewność, że Aes Sedai nie usłyszy.

- Skoro Moiraine może z nią współpracować - szepnęła Nynaeve - to my też możemy. Nie to, żebym lubiła Moiraine bardziej niż Liandrin, ale skoro one mieszają się do spraw Randa i innych chłopców...

Umilkła, otulając się płaszczem. W ciemności nie czuło się chłodu, nieodparte pozostawało jednak wrażenie jego obecności.

- Co to jest Czarny Wiatr? - spytała Min.

Gdy Elayne udzieliła jej wyjaśnień, często powołując się na słowa Elaidy i swojej matki, Min westchnęła.

- Wzór jest odpowiedzialny za sporo rzeczy. Nie wiem, czy jakikolwiek mężczyzna jest tego wart.

- Nie musiałaś jechać - przypomniała jej Egwene. - Mogłaś odejść w każdej chwili. Nikt cię nie powstrzymywał przed opuszczeniem Tar Valon.

- Och, mogłam sobie pójść - odparła kwaśnym tonem Min. - Z równą łatwością jak ty albo Elayne. Wzór wcale się nie przejmuje tym, czego chcemy. Egwene, a co się stanie, jeśli pomimo tego wszystkiego, przez co przechodzisz z jego powodu, Rand wcale się z tobą nie ożeni? Co będzie, jeśli ożeni się z jakąś kobietą, której nigdy nie widziałaś na oczy, albo z Elayne, albo ze mną? Co wtedy?

Elayne zakrztusiła się.

- Matka nigdy by tego nie pochwaliła.

Egwene milczała przez chwilę. Rand mógł i tak nie dożyć własnego ślubu. A jeśli nawet... Nie potrafiła sobie wyobrazić Randa wyrządzającego komuś krzywdę.

"Nawet wtedy, gdy popadnie w obłąd?"

Musiał istnieć jakiś sposób, by do tego nie dopuścić, jakiś sposób, by to zmienić - Aes Sedai tyle przecież wiedziały, tyle mogły zrobić.

"Skoro mogły temu zapobiec, to czemu tego nie robią?"

Jedyna odpowiedź była taka, że jednak nie mogły, a takiej wcale nie szukała.

Postarała się, by jej głos zabrzmiał bez troski.

- Nie przypuszczam, bym miała go poślubić. Aes Sedai rzadko wychodzą za mąż, jak wiesz. Ale na twoim miejscu nie otwierałabym dla niego serca. Ani ty, Elayne. Nie myślę... - Głos uwiązał jej w gardle, zakaszła, by to ukryć. Moim zdaniem, on nigdy się nie ożeni. A jeśli nawet, to dobrze życzę tej, którą wybierze, nawet jeśli to będzie któraś z was. - Myślała, że zabrzmiało to tak, jakby naprawdę chciała. - Jest uparty jak muł i nigdy się nie przyznaje do błędów, ale jest delikatny. - Głos jej się trząsnął, ale jakoś udało jej się przeobrazić to drżenie w śmiech.

- Choćbyś nie wiadomo jak zapewniała, że cię to nic nie obchodzi - powiedziała Elayne - moim zdaniem, sprzeciwiałabyś się jeszcze silniej niż matka. On jest interesujący, Egwene. Najbardziej interesujący ze wszystkich mężczyzn, których poznałam w życiu, nawet jeśli to zwykły pasterz. Skoro jesteś taka głupia, że chcesz go odrzucić, to tylko siebie będziesz mogła winić, gdy postanowię, że stawię tobie i matce czoło. Nie będzie to pierwszy taki przypadek, że księżę Andoru nie miał tytułu przed ślubem. Ale ty taka głupia nie będziesz, więc przestań udawać. Bez wątpienia wybierzesz Zielone Ajah i uczynisz go jednym ze swoich strażników. Wszystkie znajome mi Zielone z jednym tylko strażnikiem są im poślubione.

Egwene poradziła z tym sobie, twierdząc, że gdyby rzeczywiście została Zieloną, to będzie miała dziesięciu strażników.

Min obserwowała ją ze zmarszczonym czołem, a Nynaeve w zamyśleniu obserwowała Min. Wszystkie milczały, dopóki nie zaczęły się przebierać w wyjęte z sakiew stroje, bardziej zdatne do podróży. W tym miejscu niełatwo było zachować pogodny nastrój.

Sen przyszedł do Egwene powolny, bolesny, pełen koszmarów. Nie przyśnił jej się Rand, tylko ten człowiek o płonących oczach. Tym razem nie miał maski na twarzy, wyglądała strasznie z powodu ledwie zaleczonych poparzeń. Spojrzał tylko na nią i ryknął śmiechem, ale to było straszniejsze niż następne sny, sny o tym, że zgubiła się na drogach na zawsze i ścigał ją Czarny Wiatr. Była wdzięczna, gdy czubek buta Liandrin obudził ją szturchnięciem w żebra, miała wrażenie, że wcale nie spała.

Liandrin bezlitośnie gnała je naprzód przez cały dzień, czy raczej to, co musiały uznać za dzień, przy świetle latarni zastępującym słońce, nie pozwalając im się zatrzymać na odpoczynek, dopóki nie zaczęły się słać w siodłach. Kamień twardym był łóżem, lecz Liandrin obudziła je bezlitośnie po kilku godzinach i już galopowała dalej, ledwie czekając, aż dosiędą koni. Rampy i mosty, wyspy i drogowskazy. Egwene widziała ich już tyle pośród smolistej czerni, że straciła wszelką rachubę. Rachubę godzin albo dni straciła o wiele wcześniej. Liandrin pozwalała tylko na krótkie postoje na posiłek i odpoczynek dla koni, ciemność kładła się im na ramionach niczym ogromny ciężar. Wszystkie z wyjątkiem Liandrin słały się ze zmęczenia, jakby ich ciała były workami z ziarnem. Zmęczenie i mrok wydawały się nie mieć żadnego wpływu na Aes Sedai. Była świeża tak samo jak w Białej Wieży i równie zimna. Nie pozwalała żadnej zerknąć na pergamin, którego treść porównywała z drogowskazami, chowając go do kieszeni z szorstkim: "Nie ma tu nic, co mogłabyś zrozumieć", gdy Nynaeve ją pytała.

I w pewnym momencie, gdy Egwene właśnie zamrugała zmęczonymi oczyma, Liandrin odjechała od drogowskazu, nie w stronę następnego mostu albo rampy, lecz w ślad za białą linią, wiodącą w mrok. Egwene spojrzała na swoje przyjaciółki, po czym wszystkie pośpiesznie ruszyły za Aes Sedai. W oddali, przy świetle latarni, Liandrin właśnie odrywała *avendesore* od rzeźbień na bramie.

- Nareszcie - powiedziała Liandrin z uśmiechem. - Nareszcie dowiozłam was do miejsca, w którym miałyście się znaleźć.



# ROZDZIAŁ 17

## DAMANE

Gdy brama otworzyła się, Egwene zsiadła z konia i na znak dany im przez Liandrin, wyprowadziła kudłatą klacz na zewnątrz. Mimo ostrożności obie z Belą potknęły się o zarośla spłaszczone przez bramę, gdy znieucona zaczęły poruszać się o wiele wolniej. Bramę otaczał i maskował parawan z gęstych krzaków. W pobliżu rosło tylko kilka drzew, poranny wiatr trącał liście odrobinę barwniejsze niż te, które rosły na drzewach w Tar Valon.

Zapatrzona na wyłaniające się w ślad za nią przyjaciółki, stała w miejscu dobrą minutę, zanim zdała sobie sprawę z obecności innych ludzi, skrytych za otwartymi skrzydłami bramy. Przyjrzała się im niepewnie, nigdy nie widziała równie dziwnego towarzystwa, a poza tym dotarło do niej zbyt wiele pogłosek o wojnie toczącej się na Głowie Tomana.

Zakuci w zbroje mężczyźni, co najmniej pięćdziesięciu, w napierśnikach z zachodzących na siebie stalowych płytek i w czarnych, matowych hełmach podobnych do owadzich głów, siedzieli w siodłach lub stali obok koni, wpatrzeni w nią i wyłaniające się kobiety, wpatrzeni w bramę, rozmawiając z sobą półgłosem. Jedyne mężczyźni z gołą głową, wysoki, obdarzony ciemną karnacją i haczykowatym nosem, z pozłoconym i pomalowanym na kolorowo hełmem przy biodrze, wyglądał na zdumionego tym, co widzi. Żołnierzom towarzyszyły również kobiety. Dwie miały na sobie proste, ciemnoszare suknie z szerokimi, srebrnymi kołnierzami, stały, wpatrzone z napięciem w te, które wychodziły z wnętrza bramy, tuż za plecami każdej stała jeszcze jedna kobieta, jakby gotowa szeptać im coś do ucha. W pewnej odległości stały jeszcze dwie inne, w szerokich, rozcinanych sukniach, kończących się powyżej kostek, brzuchy i spódnice zdobiły wstawki z rozszczępionymi błyskawicami. Najdziwniejsza z wszystkich była ostatnia kobieta, spoczywająca w palankinie, niesionym przez ośmiu muskularnych mężczyzn z obnażonymi torsami, ubranych w workowate, czarne spodnie. Boki czaszki miała wygolone, między nimi zaś pozostawiony szeroki czub z czarnych włosów, opadający jej na plecy. Fałdy długiej, kremowej szaty, ozdobionej kwiatami i ptakami na tle niebieskich pierścieni, były ułożone w taki sposób, by odslaniały białą, plisowaną spódnicę, paznokcie zaś miała długości dobrego cala, pierwsze dwa u każdej dłoni pomalowane na niebiesko.

- Liandrin Sedai - szepnęła nieswoim głosem Egwene - czy wiesz może, kim są ci ludzie? - Jej palce przesunęły się po wodzach, jakby się zastanawiała, czy nie dosiąść klaczy i nie uciec, jednakże Liandrin ułożyła liść *avendesory* na miejsce i gdy brama zaczęła się zamykać, śmiało zrobiła krok do przodu.

- Czcigodna Suroth? - powiedziała Liandrin, wypowiadając to częściowo pytającym, a częściowo twierdzącym tonem.

Kobieta w palankinie przytaknęła niedbale.

- Ty jesteś Liandrin.

Mówiła niewyraźnie i Egwene zrozumiała ją dopiero po chwili.

- Aes Sedai - dodała Suroth, wykrzywiając wargi, a żołnierze coś zaszemrali. - Musimy szybko to załatwić, Liandrin. Krążą tu patrole, lepiej, by nas nie znalazły. Uprzejmości Słuchaczy Prawdy nie spodobałyby ci się bardziej niż mnie. Mam zamiar wrócić do Falme, zanim Turak się dowie, że mnie nie ma.

- O czym ty mówisz? - spytała Nynaeve groźnym tonem. - O czym ona mówi, Liandrin?

Liandrin położyła jedną rękę na ramieniu Nynaeve, drugą na ramieniu Egwene.

- To są te dwie, o których ci mówiono. A tu jest jeszcze jedna. - Skinieniem głowy wskazała

Elayne. To dziewczeczka tronu Andor.

Do grupy stojącej przed bramą zbliżały się dwie kobiety z błyskawicami na sukniach - Egwene zauważyła, że niosą zwoje srebrzystego metalu - towarzyszył im żołnierz z gołą głową. Nie podniósł dłoni do rękojeści miecza wystającej ponad ramieniem, a na twarzy miał zdawkowy uśmiech, jednak Egwene i tak go obserwowała zmrużonymi oczyma. Liandrin nie okazywała ani śladu wzburzenia, w innym przypadku Egwene natychmiast wskoczyłaby na grzbiet Beli.

- Liandrin Sedai - powiedziała z niepokojem kim są ci ludzie? Czy oni też mają pomagać Randowi i chłopcom?

Mężczyzna z haczykowatym nosem chwycił nagle Min i Elayne za karki, a w następnej sekundzie wszystko zaczęło się dziać jakby równocześnie. Mężczyzna zaklął głośno, krzyknęła któraś z kobiet, może nie tylko jedna, Egwene nie była pewna. Lekki wiatr nagle przeszedł w porywisty, który rozniósł gniewny okrzyk Liandrin w tumanach kurzu i liści i sprawił, że drzewa zaczęły jęczeć pod jego naporem. Konie zaczęły wierzgać i przeraźliwie rzeć. A jedna z kobiet wyciągnęła rękę i zapięła coś na szyi Egwene.

W płaszczu łopoczącym niczym żagiel Egwene skuliła się przed wiatrem i zaczęła szarpać coś, co w dotyku przypominało obrożę z gładkiego metalu. Ani drgnęła, pod jej oszalałymi palcami wydawała się jednym kawałkiem, chociaż Egwene wiedziała, że powinna być w niej jakaś zapinka. Srebrne zwoje, niesione przez kobiety, ciągnęły się teraz przez ramię Egwene, drugim końcem przymocowane były do błyszczącej bransolety na lewej dłoni kobiety. Egwene zdołała kobietę najsilniej jak potrafiła dłonią zaciśniętą w pięść, prosto w oko - po czym zachwiała się i sama runęła na kolana z szumem w głowie. Wielki mężczyzna najprawdopodobniej uderzył ją w nos.

Gdy znowu zaczęła widzieć wyraźnie, wiatr zamarł. Niektóre konie, wśród nich Bela i klacz Elayne, wałęsały się samopas, kilku żołnierzy głośno przeklinało i podnosiło się z ziemi. Liandrin spokojnie otrzepywała kurz i liście z sukni. Min klęczała, wsparta na rękach, chwiejnie usiłując się wyprostować. Stał nad nią mężczyzna z haczykowatym nosem, z dłoni ściekała mu krew. Nóż Min leżał tuż poza zasięgiem jej ręki, ostrze z jednej strony zaplamiła czerwień. Nigdzie nie było widać Nynaeve i Elayne, zniknęła też klacz Nynaeve. Podobnie niektórzy żołnierze, a także jedna para kobiet. Pozostałe dwie wciąż trwały na miejscach, Egwene widziała teraz, że połączone są taką samą srebrną wstęgą jak ta, która wiązała ją ze stojącą nad nią kobietą.

Kobieta rozcierała policzek, przykucnąwszy obok Egwene, wokół jej lewego oka pojawiał się już siniec. Była piękna za sprawą długich ciemnych włosów i wielkich piwnych oczu, jakieś dziesięć lat starsza od Nynaeve.

- Twoja pierwsza lekcja - powiedziała z naciskiem. W jej głosie nie słychać było wrogości, wręcz coś, co nieomal przypominało życzliwość. - Tym razem nie będę cię więcej karać, jako że winnam dbać o nowo schwytaną *damane*. Zapamiętaj. Jesteś *damane*, Wzięta Na Smycz, a ja jestem *sul'dam*, Dzierżąca Smycz. Gdy *damane* i *sul'dam* są połączone, to każdy ból zadany *sul'dam*, *damane* czuje podwójnie. Nawet śmierć. Musisz więc zapamiętać, że nigdy nie wolno ci w jakikolwiek sposób podnosić ręki na *sul'dam* i że musisz bronić swej *sul'dam* jeszcze zacieklej niż samej siebie. Na imię mi Renna. A jak ty się zwiesz?

- Nie jestem... tą, którą mnie nazwałaś - wybąkała Egwene.

Szarpnęła raz jeszcze za obręcz, która podobnie jak wcześniej bynajmniej się nie poddała. Rozważyła pomysł, czy nie powalić tej kobiety na ziemię i nie spróbować zedrzeć bransolety z jej nadgarstka, ale zaniechała tej myśli. Nawet gdyby żołnierze nie próbowali jej powstrzymać jak dotąd zdawali się ignorować zarówno ją, jak i Rennę - miała mdlące uczucie, że ta kobieta mówi prawdę. Skrzywiła się dotknąwszy lewego oka, w dotyku nie było opuchnięte, więc może wcale nie miała

sińca, harmonizującego z sińcem Renny, ale bolało i tak. Jej lewe oko i lewe oko Renny. Podniosła głos.

- Liandrin Sedai? Dlaczego im na to pozwalasz?

Liandrin otrzepała ręce, zupełnie nie patrząc w jej stronę.

- Najważniejsza rzecz, której musisz się nauczyć powiedziała Renna - to robić dokładnie to, co ci się każe i to bezzwłocznie.

Egwene jęknęła głośno. Znienacka zapiekła ją i zakłuła cała skóra, począwszy od pięt, a skończywszy na głowie, jakby się wytarzała w pokrzywach. Podrzuciła głowę, jako że uczucie pieczenia zaczęło się nasilać.

- Wiele *sul'dam* uważa - ciągnęła Renna nieomal przyjaznym tonem - że *damane* nie powinny posiadać imion i że najwyżej można im nadawać nowe. Ale to właśnie ja wzięłam sobie ciebie, więc ja będę odpowiedzialna za twoją tresurę i pozwolę ci zachować imię. O ile nie rozgniewasz mnie zbyt mocno. Do tej pory jestem tobą umiarkowanie zirytowana. Czy naprawdę masz zamiar dalej tak postępować, aż wreszcie się zezłoszczę?

Egwene, cała dygocząc, zazgrzytała zębami. Wbiła paznokcie we wnętrza dłoni, żeby tylko nie zacząć się drapać jak szalona.

"Idiotka! To tylko twoje imię".

- Egwene - wykrztusiła. - Nazywam się Egwene al'Vere.

Nagle uczucie piekącego swędzenia ustało. Wypuściła długi, niepewny oddech.

- Egwene - powtórzyła Renna. - To dobre imię. - I ku przerażeniu Egwene, poklepała ją po głowie jak psa.

To właśnie, pojęła teraz, usłyszała w głosie kobiety pewną dozę dobrej woli dla tresowanego psa, a nie życzliwość, którą człowiek może odczuwać wobec drugiej ludzkiej istoty.

Renna zaśmiała się.

- Rozzłościłaś się teraz jeszcze bardziej. Jeśli masz zamiar znowu mnie uderzyć, to pamiętaj, by cios był słaby, ponieważ sama odczujesz go dwakroć silniej niż ja. Nie próbuj przynosić Mocy, to ci się nigdy nie uda bez mojego wyraźnego rozkazu.

Egwene poczuła pulsowanie w oku. Wstała z wysiłkiem, usiłując ignorować Rennę na tyle, na ile można ignorować kogoś, kto trzyma smycz przymocowaną do obręczy, którą się ma na szyi. Policzki jej zapłonęły, gdy kobieta znowu wybuchnęła śmiechem. Chciała podejść do Min, ale zatrzymał ją zbyt krótki odcinek smyczy, wypuszczony przez Rennę. Zawołała cicho:

- Min, czy nic ci się nie stało?

Min przytaknęła, siadając powoli na piętach, po czym przycisnęła dłoń do głowy, jakby pożałowała, że nią poruszyła.

Na czystym niebie zatrzeszczała zygzakowata błyskawica, uderzyła między drzewa rosnące w pewnym oddaleniu. Egwene podskoczyła i nagle uśmiechnęła się. Nynaeve wciąż była wolna, Elayne tak samo. Jeśli ktoś może uwolnić ją i Min, to na pewno zrobi to Nynaeve. Jej uśmiech zbladł i przeszedł w ponure spojrzenie na Liandrin. Nieważne, z jakiego powodu Aes Sedai je zdradziła, czekała ją zemsta.

"Kiedyś. Jakoś".

Piorunujące spojrzenie na nic się nie zdało, Liandrin nie odwróciła wzroku od palankinu.

Mężczyzna o nagim torsie ukląkł, stawiając palankin na ziemi, Suroth wysiadła, ostrożnie przytrzymując szatę, po czym ruszyła w stronę Liandrin, miękko obutymi stopami. Obydwie kobiety dorównywały sobie posturą. Piwne oczy wpatrywały się niezachwianie w czarne.

- Miałaś przywieźć mi dwie - powiedziała Suroth. - Zamiast tego mam tylko jedną, a dwie

ucieki, jedna potężniejsza niż kazano mi się spodziewać. Nie ujedzie dwóch mil bez przyciągnięcia uwagi patrolu.

- Przywiozłam ci trzy - odparła spokojnie Liandrin. - Skoro nie potrafisz nad nimi zapanować, to być może nasz władca powinien poszukać wśród was innej, która będzie mu służyć. Lękasz się błahostek. Jeśli pojawią się żołnierze z patrolu, to ich zabij.

W oddali znowu mignęła błyskawica, a chwilę później coś zahuczało jak piorun nie opodal miejsca, gdzie trafiła, w powietrze wzbił się tuman pyłu. Ani Liandrin, ani Suroth nie zwróciły na to najmniejszej uwagi.

- Nadal mogę powrócić do Falme z dwiema *damane* - odparła Suroth. - To smutne pozwalać... Aes Sedai wykrzywiła usta, jakby to było przekleństwo - chodzić wolno.

Twarz Liandrin nie uległa zmianie, ale Egwene dostrzegła poświatę, która ją nagle otoczyła.

- Uważaj, Czcigodna - zawołała Renna. - Ona jest gotowa!

Wśród żołnierzy zapanowało poruszenie, sięganie do mieczy i lanc, ale Suroth tylko złożyła dłonie na kształt wieży, uśmiechając się do Liandrin znad długich paznokci.

- Nie wykonasz żadnego ruchu przeciwko mnie, Liandrin. Nasz władca nie pochwaliby tego, jako że z całą pewnością ja jestem tu bardziej potrzebna niż ty, a poza tym jego lękasz się bardziej niż stania się *damane*.

Aes Sedai uśmiechnęła się, mimo że na jej policzkach wystąpiły białe plamy gniewu.

- A ty, Suroth, jego lękasz się bardziej niż mnie, która mogę cię spalić na popiół w tym miejscu.

- Otóż to. Obydwie się go lękamy. Ale nawet potrzeby naszego władcy zmieniają się z czasem.

Wszystkie *marath'damane* zostaną kiedyś pojmane na smycz. Być może to ja właśnie nałożę obręcz na twe urodziwe gardło.

- Jak rzeczesz, Suroth. Potrzeby naszego władcy się zmieniają. Przypomnę ci o tym tego dnia, gdy przede mną uklęknie.

Wysokie drzewo skórzane, rosnące w odległości jakiejś mili, znienacka przemieniło się we wściekle buzującą pochodnię.

- To już się staje męczące - oświadczyła Suroth. Elbar, przywołaj je.

Mężczyzna z haczykowatym nosem wyciągnął rożek, nie większy od jego pięści - dźwięk był chrapliwy, przesywający.

- Musicie odszukać tę Nynaeve - powiedziała rozkazującym tonem Liandrin. - Elayne nie jest ważna, ale zarówno ta kobieta, jak i ta dziewczyna muszą się znaleźć na statku, gdy będziecie odpływali.

- Wiem doskonale, jak brzmią rozkazy, *marath'damane*, wiele bym jednak dała, by znać ich powód.

- Nieważne, ile ci powiedziano, dziecko - odparła szyderczym tonem Liandrin - to dokładnie tyle, ile wiedzieć ci wolno. Pamiętaj, że służysz i jesteś posłuszna. Te dwie należy przewieźć na drugą stronę oceanu Aryth i tam zatrzymać.

Suroth pociągnęła nosem.

- Nie zostanę tu, by szukać tej Nynaeve. Moja przydatność dla naszego władcy będzie zagrożona, jeśli Turak odda mnie Słuchaczom Prawdy.

Liandrin gniewnie otworzyła usta, jednakże Suroth nie pozwoliła jej wyrzec ani słowa.

- Ta kobieta nie pozostanie długo na wolności. Żadna z nich. Gdy znowu wypłyniemy na morze, zabierzemy z sobą wszystkie kobiety z tego nędznego skrawka ziemi, które potrafią, choćby nawet tylko trochę, przenosić Moc, wzięte na smycz i z obręczą na szyi. Jeśli chcesz tu zostać i jej szukać, to uczyn to. Niebawem pojawią się patrole, z zamiarem zwalczania tej hałasty, która dotąd się

ukrywa w okolicy. Niektóre patrole chwytają *damane* i nie będzie ich obchodziło, jakiemu władcy ty słyszysz. Jeśli wyjdiesz cało z takiego spotkania, wówczas smycz i obręcz ci ukażą, na czym polega nowe życie, a ja nie wierzę, by nasz władca raczył wspomóc głupią, która pozwoliła się pojąć.

- Jeśli któreś z tych dwóch pozwoli się tu zostać odparła ściśniętym głosem Liandrin - wówczas nasz władca pokwapi się osobiście po ciebie, Suroth. Złap je, bo inaczej zapłacisz cenę.

Podeszła do bramy, ciągnąc za sobą klacz. Niebawem skrzydła zamknęły się za nią.

Żołnierze, którzy ruszyli w pościg za Nynaeve i Elayne, wrócili galopem, a razem z nimi dwie kobiety połączone z sobą smyczą, obręczą i bransoletą, *damane* i *sul'dam* jadące ramię przy ramieniu. Trzej mężczyźni wiedli konie z ciałami przewieszonymi przez siodła. Egwene poczuła, że na nowo wstępuje w nią nadzieja, gdy spostrzegła, że wszystkie ciała są odziane w zbroje. Nie złapali ani Nynaeve, ani Elayne.

Min zaczęła się podnosić, jednakże mężczyzna z haczykowatym nosem postawił but między jej łopatkami i przycisnął ją do ziemi. Walcząc o oddech, resztkami sił próbowała się wyrwać.

- Dopraszam się pozwolenia, bym mógł przemówić, Czcigodna - powiedział mężczyzna.

Na znak, niedbale dany przez Suroth, mówił dalej.

- Ta wieśniaczka skaleczyła mnie, Czcigodna. Jeśli Czcigodna nie znajduje w niej żadnego pożytku...?

Gdy Suroth uczyniła jeszcze jeden nieznaczny gest, już się odwracając, sięgnął ponad ramieniem do rękojeści miecza.

- Nie! - krzyknęła Egwene.

Usłyszała, że Renna klnie cicho, i nagle poczuła na skórze piekące swędzenie, gorsze niż przedtem, ale nie umilkła.

- Błagam! Czcigodna, błagam! Ona jest moją przyjaciółką!

Oprócz swędzenia, skreślił ją ból, jakiego nigdy w życiu nie zaznała. Wszystkie mięśnie skurczyły się i zdrętwiały, upadła twarzą w błoto, skowycząc, ale nadal widziała ciężkie, zakrzywione ostrze Elbara, wysuwające się z pochwy, widziała, jak podnosi je obiema rękami.

- Błagam! Och, Min!

Ból zniknął nagle, jakby go nigdy nie było, pozostało tylko wspomnienie. Przed jej twarzą pojawiły się niebieskie, atlasowe trzewiki Suroth, zabrudzone już ziemią, lecz Egwene patrzyła tylko na Elbara. Stał z mieczem uniesionym nad głową, wgniatając cały ciężar swej stopy w plecy Min... i nie poruszał się.

- Ta wieśniaczka to twoja przyjaciółka? - spytała Suroth.

Egwene zaczęła się podnosić, widząc jednak, że brew Suroth wygięła się w łuk zdumienia, nie wstała, a tylko podniosła głowę. Musiała uratować Min.

"Skoro trzeba się upodlić..."

Rozchyliła wargi, z nadzieją, że zaciśnięte z całej siły zęby zostaną odebrane jako uśmiech.

- Tak, Czcigodna.

- I jeśli ją oszczędzę, jeśli pozwolę jej odwiedzać cię od czasu do czasu, to czy będziesz pracowała ciężko i uczyła się wszystkiego, czego będą cię uczyć?

- Tak, Czcigodna. - Obiecałyby o wiele więcej, żeby tylko nie dopuścić, by miecz rozplątał czaszkę Min.

"A nawet dotrzymam słowa - pomyślała z goryczą - tak długo, jak będę musiała".

- Wsadź dziewczynę na konia, Elbar - powiedziała Suroth. - Przywiąż ją, jeśli nie da rady usiąść w siodle o własnych siłach. Jeśli *damane* przyniesie zawód, to może pozwolę ci wziąć sobie głowę tej dziewczyny. - Ruszyła już w stronę palankinu.

Renne brutalnie poderwała Egwene z ziemi i pchnęła ją w stronę Beli, ale Egwene nie spuszczała wzroku z Min. Elbar nie obszedł się z Min łagodniej niż Renna z nią, uznała jednak, że przyjaciółce nie dzieje się nic złego. W każdym razie Min odepchnęła Elbara wzruszeniem ramion, gdy próbował przywiązać ją do siodła, a przy dosiadaniu swego wałacha wystarczyła jej niewielka pomoc.

Ruszyli w drogę, na zachód, na czele ich dziwacznej grupy jechała Suroth w palankinie, za nią, w niewielkiej odległości podążał Elbar, dostatecznie blisko, by natychmiast odpowiedzieć na każde wezwanie. Renna i Egwene jechały na końcu, razem z Min, inną *sul'dam i damane*, zamykając szereg żołnierzy. Kobieta, która najwyraźniej zamierzała założyć obręcz Nynaeve, bawiła się zwiniętą srebrną smyczą i miała zagniewaną minę. Łagodnie pofałdowany teren porastał rzadki las, dym z płonącego za nimi drzewa skórzanego niebawem przemienił się w jasną smugę na niebie.

- Spotkał cię zaszczyt - powiedziała po jakimś czasie Renna - jako że przemówiła do ciebie Czcigodna. Przy innej okazji pozwoliłabym ci nosić wstążkę na pamiątkę tego zaszczytu. Ale ponieważ sama zwróciłaś na siebie jej uwagę...

Egwene krzyknęła, gdy nagle poczuła jakby smagnięcie bata na swoich plecach, potem jeszcze jedno na nodze i rękę. Ciosy zdawały się spadać z wszystkich stron, wiedziała, że nie ma jak się osłonić, broniła się jednak wymachując ramionami. Zagryzła wargi, żeby stłumić jęk, ale łzy i tak spływały jej po policzkach. Bela zaczęła rzeć i wierzgać, jednakże Renna nie pozwoliła jej porwać Egwene, tak silnie ścisnęła srebrną smycz. Nie obejrzał się ani jeden żołnierz.

- Co ty z nią robisz? - krzyknęła Min. - Egwene? Przestań!

- Żyjesz z łaski... Min, czy tak? - powiedziała łagodnym tonem Renna. - Niech to będzie lekcją również i dla ciebie. Ból nie ustanie, dopóki będziesz się wtrącać.

Min podniosła pięść i zaraz ją opuściła.

- Nie będę się wtrącać. Tylko, błagam, przestań. Egwene, tak mi cię żal.

Niewidzialne ciosy spadały jeszcze przez kilka chwil, jakby miały zademonstrować Min, że jej interwencja na nic się nie zdała, potem ustały, ale Egwene nie mogła przestać dygotać. Tym razem ból nie znikł. Podciągnęła rękaw sukni, myśląc, że zobaczy pręgi - skóra okazała się nietknięta, ale nadal je czuła. Przełknęła ślinę.

- To nie twoja wina, Min.

Bela podrzuciła łbem, przewracając oczami i Egwene poklepała ją po szarym karku.

- Ani twoja.

- To była twoja wina, Egwene - oświadczyła Renna.

Egwene miała ochotę wrzasnąć co sił w płucach, gdy widziała tę jej udawaną cierpliwość i życzliwość w traktowaniu kogoś do tego stopnia tępego, że nie wie, co jest słuszne.

- Gdy *damane* ponosi za coś karę, to zawsze jest to jej wina, nawet jeśli ona nie wie, dlaczego ją karają. *Damane* musi z wyprzedzeniem odgadywać życzenia swej *sul dam*. Ale tym razem ty wiesz, dlaczego zostałaś ukarana. *Damane* są jak meble albo narzędzia, zawsze pod ręką, ale nigdy nie wysuwają się do przodu celem ściągnięcia na siebie uwagi. Szczególnie jeśli idzie o przyciąganie uwagi kogoś z Krwi.

Egwene zagryzła wargę tak silnie, że poczuła smak krwi.

"To jakiś koszmar. To się nie może dziać naprawdę. Dlaczego Liandrin to zrobiła? O co tu chodzi?"

- Czy... czy ja mogę zadać pytanie?

- Mnie możesz pytać. - Renna uśmiechnęła się. Przez wiele lat niejedna *sul'dam* będzie nosiła twą bransoletę, zawsze jest więcej *sul'dam* niż *damane*, i niektóre z nich będą darły z ciebie pasy,

jeśli oderwiesz wzrok od podłogi albo otworzysz usta bez zezwolenia, ja jednak nie widzę powodu, by zakazać ci mówić, o ile będziesz uważała na to, co mówisz.

Jedna z *sul'dam* prychnęła głośno; była połączona z piękną, ciemnowłosą kobietą w średnim wieku, która nie odrywała oczu od swych dłoni.

- Liandrin - Egwene nie zamierzała już nigdy w życiu wymieniać jej tytułu - i Czcigodna rozmawiała o jakimś władcy, któremu obydwie służą. - Przyszła jej do głowy myśl o człowieku, o twarzy naznaczonej prawie zagojonymi bliznami po oparzeniach, o oczach i ustach, które czasami przemieniały się w płomień, nawet jeśli był tylko postacią ze snów, jakby zbyt potworną, by można było przyjrzeć się jej uważnie. - Kim on jest? Czego on chce ode mnie i... od Min?

Wiedziała, że głupotą jest pomijanie imienia Nynaeve, nie sądziła, by ci ludzie zapomnieli o niej tylko dlatego, że jej imię nie padło, szczególnie ta błękitnooka *sul'dam* gładząca luźną smycz - ale na razie wpadła na tylko taki sposób okazywania oporu.

- Nie moją rzeczą - odparła Renna - ani też z pewnością twoją jest wtrącanie się do spraw Krwi. Czcigodna powie mi to, co sama zechce, bym wiedziała. Wszystko inne, co usłyszysz albo zobaczysz, winnaś odbierać tak, jakby to nigdy nie zostało powiedziane, jakby nigdy się nie zdarzyło. Tak jest bezpieczniej, szczególnie dla *damane*. *Damane* są zbyt cenne, by od ręki je zabijać, ale może się to dla ciebie tak skończyć, że nie tylko zostaniesz przykładowie ukarana, ale nawet pozbawiona języka, byś nie mogła mówić, albo rąk, byś nie mogła pisać. *Damane* potrafią robić to, co muszą, bez tych rzeczy.

Egwene zadrżała, mimo że nie było specjalnie zimno. Pyry narzucaniu płaszcz na ramiona jej dłoń otarła się o smycz. Wytrącona z równowagi pociągnęła ją.

- To potworność. Jak wy możecie robić komuś coś takiego? Cóż za chory umysł to wymyślił?

Niebieskokooka *sul'dam* z luźną smyczą warknęła:

- Ta już by mogła sobie zacząć radzić bez języka, Renno.

Renna tylko uśmiechnęła się wyrozumiale.

- Czemu potworność? Czy mogłybyśmy pozwolić, by ktoś, kto potrafi robić to co *damane*, chodził wolny? Czasami rodzą się mężczyźni, którzy stawaliby się *marath'damane*, gdyby byli kobietami, i trzeba ich, rzecz jasna zabijać, jednakże kobiety nie popadają w obłęd. Lepiej jak stają się *damane*, niżby miały sprawiać kłopoty w walce o władzę. Jeśli zaś idzie o umysł, który pierwszy wymyślił *a'dam*, to należał on do kobiety, która zwała się Aes Sedai.

Egwene wiedziała, że na jej twarzy zapewne odmalowało się niedowierzanie, ponieważ Renna otwarcie się roześmiała.

- Gdy Luthair Paendrag Mondwin, syn Hawkwinga, jako pierwszy stawiał czoło Armiom Nocy, znalazł wśród nich wiele takich, które zwały się Aes Sedai. Walczyły między sobą o władzę, a na polu bitwy korzystały z Jedynej Mocy. Jedną z nich, niejaką Deain, uznała, że będzie jej się wiodło lepiej, jeśli będzie służyła cesarzowi, rzecz jasna, wówczas jeszcze nie był cesarzem, ponieważ nie miał żadnych Aes Sedai wśród swych szeregów. Przybyła do niego z własnoręcznie wykonanym urządzeniem, pierwszym *a'dam*, uwiązany do karku jednej ze swych sióstr. Mimo że tamta kobieta nie chciała służyć Luthairowi, *a'dam* ją do tego zmuszała. Deain wykonała więcej *a'dam*, znaleziono pierwsze *sul'dam*, a te pojmane do niewoli kobiety, te, które zwały się Aes Sedai, odkryły, że w rzeczywistości są tylko *marath'damane*, Tymi Które Należy Wziąć Na Smycz. Mówi się, że gdy pojmano na smycz samą Deain, krzyczała tak przeraźliwie, że całe Wieże Północy się trzęsły, lecz jednak ona również była *marath'damane*, a *marath'damane* nie wolno puszczać na swobodę. Być może ty będziesz jedną z tych, które posiadają zdolność wykonywania *a'dam*. W takim przypadku będziesz traktowana z pobłażliwością, bądź tego pewna.

Egwene z tęsknotą rozejrzała się po okolicy, przez którą jechali. Teren zaczynał się wznosić niskimi wzgórzami, a z rzadkiego lasu pozostały jedynie rozproszone zagajniki, była jednak pewna, że zgubiłaby się wśród nich.

- Czyżbym miała z utęsknieniem wypatrywać chwili, gdy będę traktowana z pobłażliwością jak pies? - spytała z goryczą. - Być do końca życia związana łańcuchem z ludźmi, którzy uważają mnie za zwierzę?

- Nie z mężczyznami. - Renna zachichotała. Wszystkie *sul'dam* to kobiety. Jeśli tę bransoletę nałoży mężczyzna, nie stanie się nic, jakby nadal wisiała na kołku wbitym w ścianę.

- Albo - wtrąciła szorstkim głosem niebieskooka *sul'dam* - ty i on umarlibyście z krzykiem.

Kobieta miała ostre rysy i sztywne, wąskie usta, Egwene zauważyła, że gniew najwyraźniej nigdy nie znika z jej twarzy.

- Cesarzowa od czasu do czasu bawi się lordami, przy wiążąc ich do jakiejś *damane*. Tacy lordowie pocą się i to przysparza rozrywki Dworowi Dziewięciu Miesięcy. Taki lord nigdy nie wie, czy będzie żył, czy umrze, nie wie też tego *damane*.

Śmiech *sul'dam* zabrzmiał złowieszczo.

- Jedynie cesarzowa może sobie pozwolić na marnowanie *damane* w taki sposób, Alwhin - zachnęła się Renna - a ja nie mam zamiaru tresować tej *damane* tylko po to, by się zmarnowała.

- Jak dotąd nie widziałam żadnej tresury, Renno. Tylko dużo gadaniny, jakbyście ty i ta *damane* były przyjaciółkami z dzieciństwa.

- Być może nadszedł czas sprawdzić, co ona potrafi - odparła Renna, przypatrując się badawczo Egwene. Czy jesteś już zdolna do takiej kontroli, by móc przenieść Moc na taką odległość? - Wskazała wysoki dąb, stojący samotnie na szczycie wzgórza.

Egwene spojrzała z namysłem na drzewo rosnące w odstępnie około mili od szlaku, którym podążali żołnierze i palankin Suroth. Nigdy dotąd nie próbowała robić nic dalej niż na odległość wyciągniętego ramienia, uznała jednak, że być może potrafi.

- Nie wiem - przyznała.

- Spróbuj - nakazała jej Renna. - Poczuj to drzewo. Poczuj jego soki. Życzę sobie, byś nie tylko je rozgrzała, ale sprawiła, by każda kropla we wszystkich gałęziach w mgnieniu oka przemieniła się w parę. Zrób to.

Egwene przeżyła szok, gdy odkryła w sobie silne pragnienie usłuchania rozkazu Renny. Od dwóch dni nie tylko nie przenosiła Mocy, ale nawet nie dotykała *saidara*, pragnienie wypełnienia siebie jedyną Mocą przyprawiło ją o dreszcz.

- Ja - w połowie jednego uderzenia serca odrzuciła "tego nie zrobię", nie istniejące pręgi nadal piekły zbyt boleśnie, by już nie była taka głupia - nie mogę - zakończyła zamiast tego. - Ono stoi za daleko, a poza tym nigdy przedtem czegoś takiego nie robiłam.

Jedna z *sul'dam* zaniósł się ochryplym śmiechem, a Alwhin powiedziała:

- Nigdy nawet nie próbowała.

Renna nieomal ze smutkiem potrząsnęła głową.

- Jak człowiek dostatecznie długo jest *sul'dam* zwróciła się do Egwene - to uczy się orzekać różne rzeczy na temat *damane* nawet bez bransolety, natomiast dzięki bransolecie zawsze da się orzec, czy *damane* próbowała przenosić. Nie wolno ci nigdy okłamywać ani mnie, ani żadnej innej *sul'dam*, choćby nawet o włos.

Nagle niewidzialne bicze wróciły, smagały po całym ciele. Głośno krzyżąc, próbowała zaatakować Rennę, jednakże *sul'dam* niedbałym ruchem odtrąciła jej pięść, a Egwene odczuła to tak, jakby Renna uderzyła ją w rękę kijem. Wbiła pięty w boki Beli, jednakże *sul'dam* tak mocno ścisnęła



smycz, że omal nie wyrwała jej z siodła. Doprowadzona do białej gorączki sięgnęła do *saidara*, chcąc tak zranić Rennę, by przestała, zadać jej taki sam ból, jaki jej zadano. *Sul'dam* złośliwie pokręciła głową, Egwene zawyła, gdy zniecka poczuła, że poparzyła własną skórę. Dopóki nie uciekła całkowicie od *saidara*, piekący ból nie słabł, a niewidzialne ciosy ani na moment nie ustały, ani nawet nie osłabły. Usiłowała krzyknąć, że spróbuje, ale potrafiła tylko wrzeszczeć jak opętana i wykręcać ciało to w jedną, to w drugą stronę.

Mgłiście zdawała sobie sprawę, że Min gniewnie pokrzykuje i próbuje podjechać do jej boku, że Alwhin wydziera z rąk Min wodze, że druga *sul'dam* mówi coś ostrym tonem do swojej *damane*, wpatrzonej w Min. I nagle Min też zaczęła krzyczeć, młócąc przy tym rękoma, jakby próbowała osłonić się przed razami albo przegonić atakujące ją żądłami owady. Sama rozdarta bólem widziała Min jakby z daleka.

Zdwojone okrzyki wystarczyły, by kilku żołnierzy obróciło się w siodłach. Po jednym spojrzeniu zaczęli się śmiać i odwrócili z powrotem. Nie obchodziły ich metody jakimi *sul'dam* traktowały *damane*.

Egwene wydawało się, że to już trwa całą wieczność, ale wreszcie nastąpił koniec. Całkiem pozbawiona sił opadła na łęk siodła, z policzkami mokrymi od łez, wypłakując się w grzywę Beli. Klacz rżała niespokojnie.

- To dobrze, że masz w sobie ducha - oświadczyła spokojnie Renna. - Najlepsze *damane* to takie, które mają ducha nadającego się do kształtowania i formowania.

Egwene z całej siły zacisnęła powieki. Jakże mocno żałowała, że nie może zamknąć sobie również uszu, by odgrodzić się od głosu Renny.

"Muszę uciec. Muszę, tylko jak? Nynaeve, pomóż mi. Światłości, niech mi ktoś pomoże".

- Będiesz jedną z najlepszych - orzekła Renna tonem pełnym satysfakcji. Pogładziła włosy Egwene niczym pani, która głaszcze swego psa.

Nynaeve wychyliła się z siodła, by zajrzeć na drugą stronę zapory utworzonej z kolczastych krzewów. Jej wzrok przykuły rzadko rosnące drzewa, niektóre z listowiem o już odmienionej barwie. Dzielące je połacie trawy i niskich zarośli wyglądały na puste. Żadnego ruchu, tylko rzednąca kolumna dymu, która unosiła się z pnia drzewa skórczanego i chwiała pod naporem wiatru.

To drzewo to jej dzieło, podobnie jak błyskawica przywołana z jasnego nieba i parę innych rzeczy, których nawet nie miała zamiaru próbować, póki te dwie kobiety nie wypróbowały ich wcześniej na niej. Uznała, że one pewnie jakoś z sobą współpracują, mimo że nie potrafiła pojąć natury związku istniejącego między jedną a drugą, najwyraźniej połączonych z sobą smyczą. Obręcz nosiła tylko jedna, ale ta druga z całą pewnością była z nią związana. Nynaeve nie miała wątpliwości, że albo jedna, albo obydwie, to Aes Sedai. Nie miała okazji przyjrzeć się im uważniej, by dostrzec poświatę powstałą od przenoszenia Mocy, ale musiała się przecież pokazać.

"Nie odmówię sobie przyjemności opowiedzenia o nich Sheriam - pomyślała złośliwie. - Wszak Aes Sedai nie używają Mocy w charakterze broni, nieprawdaż?"

Ona z pewnością to zrobiła. W każdym razie powaliła obydwie kobiety uderzeniem pioruna, widziała też jednego żołnierza, czy raczej jego ciało, stojące w ogniu, gdy trafił weń stworzony przez nią piorun. Od jakiegoś jednak czasu żaden z tych ludzi nie pojawił się w zasięgu wzroku.

Na czoło wystąpiły jej paciorki potu, będącego efektem nie tylko samego wyczerpania. Kontakt z *saidarem* urwał się i nie potrafiła go wznowić. W pierwszym napadzie furii, gdy pojęła, że Liandrin je zdradziła, *saidar* pojawił się, zanim się połapała, zalewając ją Jedyną Mocą. Czowała, że

potrafi zrobić wszystko. I dopóki ją ścigali, dopóty rozgrzewała ją wściekłość, że polują na nią jak na zwierzę. Pogoń już ustała. Im dłużej jechała nie widząc wroga, którego mogła zaatakować, tym bardziej zaczynała się niepokoić, że mogą napaść na nią z ukrycia, i tym więcej miała czasu, by martwić się o Egwene, Elayne i Min. Obecnie musiała się przyznać, że najsilniej czuje strach. Strach o nie, strach o siebie samą. Potrzebowała gniewu.

Coś poruszyło się za drzewem.

Oddech uwiązał jej w gardle i zaczęła gorączkowo szukać *saidara*, ale wszystkie ćwiczenia, których nauczyły ją Sheriam i inne Aes Sedai, wszystkie pączki rozkwitające w umyśle, wszystkie wyimaginowane strumienie, które obejmowała ramionami, jakby to były brzegi, nie przyniosły żadnego pożądanego rezultatu. Wiedziała, że ono tam jest, czuła Źródło, ale za nic nie mogła go dotknąć.

Zza drzewa wyszła Elayne, ostrożnymi, skradającymi się krokami, i Nynaeve odetchnęła z ulgą. Suknia dziedziczki tronu była brudna i podarta, złote loki stanowiły jedną płataninę kołtunów i liści, a rozbiegane oczy były tak wielkie jak u przestraszonego jelonka, trzymała jednak swój sztylet z krótkim ostrzem pewną ręką. Nynaeve podniosła wodze i wyjechała na otwartą przestrzeń.

Elayne drgnęła konwulsyjnie, przyłożył dłoń do gardła i zrobiła głęboki wdech. Nynaeve zsiadła z konia i obydwie uściskały się, pocieszając się tym wzajem.

- Przez chwilę - powiedziała Elayne, gdy wreszcie się rozłączyły - myślałam, że ty... Wiesz może, gdzie jesteśmy? Ścigało mnie dwóch ludzi. Jeszcze kilka minut i byliby mnie dopadli, ale rozległ się dźwięk rogu, wtedy zawrócili i pogalopowali w przeciwną stronę. Widzieli mnie, Nynaeve, a zwyczajnie odjechali.

- Ja też słyszałam ten róg i od tego czasu nikogo już nie widziałam. Czy spotkałaś może Egwene albo Min?

Elayne potrząsnęła przecząco głową i opadła na kolana, by przysiąc na ziemi.

- Nie, odkąd... Tamten człowiek uderzył Min, powalił ją na ziemię. A jedna z kobiet próbowała założyć coś Egwene na szyję. Tyle zdążyłam zobaczyć, zanim uciekłam. Moim zdaniem, im nie udało się uciec, Nynaeve. Powinam była coś zrobić. Min ugodziła nożem dłoń, która mnie trzymała, a Egwene... Po prostu uciekłam, Nynaeve. Zrozumiałam, że jestem wolna i biegłam. Matka powinna wyjść za Garetha Bryne'a i jak najszybciej urodzić jeszcze jedną córkę. Nie nadaję się do zasiadania na tronie.

- Nie zachowuj się jak gęś - skarciła ją Nynaeve. - Pamiętaj, że mam wśród swoich ziół paczuszkę z baranym językiem.

Elayne ukryła twarz w dłoniach, nie zareagowała na drwinę nawet mruknięciem.

- Posłuchaj mnie, dziewczyno. Czy widziałaś, abym ja została i wdała się w walkę z dwudziestoma albo nawet trzydziestoma uzbrojonymi mężczyznami, nie wspominając już o Aes Sedai? Gdybyś czekała, pewnie już by cię schwytali. O ile zwyczajnie nie zabili. Z jakiegoś powodu wyraźnie interesowali się Egwene i mną. Mogło ich wcale nie obchodzić, czy jesteś żywa czy martwa.

"Dlaczego oni interesowali się Egwene i mną? Czemu właśnie nami? Dlaczego Liandrin to zrobiła? Dlaczego?"

Podobnie jak wtedy, gdy po raz pierwszy zadała sobie te pytania, nie znalazła odpowiedzi.

- Gdybym zginęła, próbując im pomóc... - zaczęła Elayne.

- ... to byłabyś martwa. Niewiele dobrego by z tego wynikło ani dla ciebie, ani dla nich. A teraz wstań na nogi i otrzep suknię. - Nynaeve zaczęła grzebać w swojej sakwie w poszukiwaniu szczotki. - I popraw włosy.

Elayne wstała powoli i przyjęła szczotkę, śmiejąc się cicho.

- Mówisz zupełnie jak Lini, moja stara piastunka. Zaczęła rozczesywać włosy, krzywiąc się przy rozplątywaniu kołtunów. - Ale jak my im pomożemy, Nynaeve? Ty jesteś może tak silna jak pełna siostra, gdy się zezłości, ale oni też mają kobiety, które potrafią przenosić. Jakoś nie chce mi się wierzyć, że to Aes Sedai, ale całkiem możliwe, że tak jest. Nawet nie wiemy, w którym kierunku je wywieźli.

- Na zachód - odparła Nynaeve. - Ta potworna Suroth wspomniała o Falme na Głowie Tomana, to punkt wysunięty najdalej na zachód. Pojedziemy do Falme. Mam nadzieję, że Liandrin tam jest. Już ja dopilnuję, by przeklinała dzień, gdy jej matka po raz pierwszy spojrzała na jej ojca. Uważam jednak, że najpierw powinniśmy znaleźć jakieś ubranie typowe dla wiejskich okolic. Widziałam w Wieży kobiety z Tarabonu i Domanu, to, co one noszą zupełnie nie przypomina tego, co my mamy na sobie. Będziemy wyróżniały się w Falme jako cudzoziemki.

- Mnie suknia z Doman nie przeszkodzi, choć pewnie matka dostałaby hysterii, gdyby mnie w takiej zobaczyła, a Lini nie wysłuchałaby mnie nawet do końca, lecz cóż, jeśli znajdziemy jakąś wieś, to za co kupimy nowe suknie? Nie mam pojęcia, ile masz pieniędzy, ale ja mam tylko dziesięć złotych marek i pewnie dwa razy tyle w srebrze. Przeżyjemy za to jakieś dwa albo trzy tygodnie, ale nie wiem, co zrobimy potem.

- Kilka tygodni przeżytych jako nowicjuszka w Tar Valon - powiedziała ze śmiechem Nynaeve - nie pomogło, byś przestała myśleć jak dziedziczka tronu. Nie mam nawet dziesiątej części tego co ty, ale dzięki temu, co mamy razem, przeżyjemy wygodnie dwa albo trzy miesiące. Dłużej, jeśli będziemy oszczędne. Nie mam zamiaru kupować sukien, a zresztą one nie mogą być nowe. Moja suknia z szarego jedwabiu, dzięki tym wszystkim perłom i złotej nitce, przyniesie nam sporo pożytku. Jeśli nie znajdę kobiety, która zechce nam oddać w zamian za nią ze dwóch albo trzech porządnych ubrań na zmianę, to ofiaruję ci ten pierścień i zostanę nowicjuską.

Wychyliła się z siodła i podała Elayne rękę, by wciągnąć ją na grzbiet konia.

- Co zrobimy, gdy wreszcie dojedziemy do Falme? spytała Elayne, usadowiona już na zadzie klaczy.

- Tego nie będę wiedziała, dopóki się tam nie znajdziemy. - Nynaeve umilkła, zatrzymując konia. - Jesteś pewna, że chcesz tego? To będzie niebezpieczne.

- Bardziej niebezpieczne niż dla Egwene i Min? One by za nami pojechały, gdyby sytuacja była odwrotna. Jestem o tym przekonana. Mamy zamiar siedzieć tu cały dzień?

Elayne zamachała piętami i klacz ruszyła z miejsca.

Nynaeve pokierowała nią w taki sposób, by słońce, które jeszcze nie osiągnęło zenitu, świeciło im w plecy.

- Będziemy musiały być bardzo ostrożne. Znajome nam Aes Sedai potrafią rozpoznać kobietę, która umie przenosić, jeśli tylko znajdą się w odległości wyciągniętego ramienia. Być może tutejsze Aes Sedai będą potrafiły wyłuskać nas z tłumu, o ile będą nas szukały, więc lepiej przyjąć założenie, że to nam grozi.

"Oni z całą pewnością szukali Egwene i mnie. Tylko dlaczego?"

- Tak, ostrożne. Przedtem też miałaś rację. Nie przydamy się im na nic, jeśli też damy się złapać. - Elayne milczała przez chwilę. - Czy myślisz, że to wszystko były kłamstwa, Nynaeve? Gdy Liandrin mówiła, że Randowi grozi niebezpieczeństwo? A także innym chłopcom? Aes Sedai nie kłamią.

Na Nynaeve przypadła teraz kolej, by zamilknąć, przypominała jej się Sheriam opowiadająca o przysięgach, którymi związywano kobiety szkolone na pełne siostry, przysięgach składanych we wnętrzu *ter'angreal*, zobowiązującego do ich dotrzymania.

"Nie wymawiać ani jednego słowa, które nie jest prawdą".

To było jedno, ale przecież każdy wiedział, że prawda Aes Sedai nie zawsze jest tym, czym się wydaje.

- Podejrzewam, że w tej chwili Rand wygrzewa sobie nogi przed kominkiem lorda Agelmara - powiedziała.

"Nie mogę się teraz nim przejmować. Muszę myśleć o Egwene i Min".

- Też tak myślę - odparła Elayne z westchnieniem. Przesunęła się za siodło. - Jeśli do Falme jest bardzo daleko, Nynaeve, to sądzę, że połowę drogi będę musiała jechać w siodle. To siedzenie nie jest najwygodniejsze. W życiu nie dotrzemy do Falme, jeśli pozwolisz temu koniowi, by cały czas sam wybierał krok.

Nynaeve uderzeniami butów przymusiła rumaka do szybkiego cwału, Elayne jęknęła i uczepiła się jej płaszcza Nynaeve przyrzekła sobie, że też usiądzie za siodłem, nie narzekając, gdy Elayne zmusi klacz do galopu, ale zasadniczo lekceważyła głośne jęki podskakującej za jej plecami. Za bardzo pochłonęła ją nadzieja, że zanim dotrą do Falme, przestanie się bać, a zacznie się złościć.

Wiatr nabrał świeżości, chłodny i rześki zapowiadał nad chodzące zimno.

# ROZDZIAŁ 18

## NIEPOROZUMIENIA

Po szaroniebieskim, popołudniowym niebie przetoczył się grom. Rand naciągnął na czoło kaptur płaszcz w nadziei, że to go przynajmniej choć trochę osłoni przed chłodnym deszczem. Rudy wytrwale lawirował między błotnistymi kałużami. Przesiąknięty wodą kaptur oblepił Randowi głowę, podobnie jak płaszcz ramiona, a paradny, czarny kaftan był równie mokry i zimny. Temperatura raczej nie mogła już spaść niżej, zanim zamiast deszczu spadnie śnieg czy grad. Niebawem znowu miał spaść śnieg, ludzie z wioski, którą po drodze minęli, mówili, że tego roku padał już dwukrotnie. Cały dygotał, żałując nieledwie, że nie pada teraz. Przynajmniej nie przemoczyłby go do gołej skóry.

Kolumna brnęła mozolnie naprzód, przepatrując bacznie pofałdowany teren. Szara Sowa Ingara zwisała ciężko nawet wtedy, gdy dał wiatr. Hurin czasami zsuwał z głowy kaptur, by wachać powietrze, twierdził, że ani deszcz, ani ziąb nie mają żadnego wpływu na trop, z pewnością nie na ten trop, którego on szukał, ale jak dotąd niczego nie znalazł. Rand usłyszał, jak jadący za nim Uno klnie cicho. Loial stale sprawdzał swoje sakwy, wyraźnie mu nie przeszkadzało, że sam jest przemoczony, ale bezustannie troskał się o stan swoich ksiąg. Wszyscy byli przygnębieni, z wyjątkiem Verin, która tak się zatopiła we własnych myślach, że nawet nie zauważyła, gdy spadł jej z głowy kaptur i twarz została wystawiona na deszcz.

- Czy nie możesz czegoś z tym zrobić? - pytał ją natarczywie Rand. Jakiś cichy głos, gdzieś w zakamarku umysłu, podszeptował mu, że sam przecież mógłby. Wystarczyło tylko wziąć *saidina* w objęcia. Słodko nawołującego *saidina*. Napęlić się Jedyńą Mocą, stać się jednym z burzą. Rozświetlić nieba słonecznymi promieniami albo dosięść grzbietu nawałnicy i przejechać się na niej, takiej rozszalałej, wychłostać ją tak, by wpadła w jeszcze większą furję i grasować po całej Głowie Tomana, od morza do równiny. Wziąć *saidina* w objęcia. Bezlitośnie stłumił tę tęsknotę.

Aes Sedai wzdrygnęła się.

- Co? Ach. Być może. Odrobinę. Nie mogłabym zatrzymać tak wielkiej burzy, nie sama, szaleje na zbyt wielkim obszarze, ale mogłabym ją trochę osłabić. Przynajmniej w miejscu, w którym się znajdujemy. - Otarła krople deszczu z twarzy, jakby dopiero teraz zauważyła, że kaptur spadł jej z głowy i roztargnionym ruchem naciągnęła go z powrotem.

- No to czemu tego nie zrobisz? - spytał Mat. Drżąca twarz wyzierająca spod kaptura należała do człowieka, który stoi na progu śmierci, ale głos brzmiał rześko.

- Bo gdybym użyła takiej ilości Jedynej Mocy, to każda Aes Sedai znajdująca się bliżej nas niż w promieniu dziesięciu mil, wiedziałaby, że ktoś przynosił. Nie chcę ściągać nam na głowy Seanchan z ich *dawane*. - Gniewnie zacisnęła usta.

W tamtej wiosce, zwanej Młynem Atuana, dowiedzieli się nieco na temat najeźdźców, aczkolwiek to, co usłyszeli raczej rodziło nowe pytania, zamiast odpowiedzieć na stare. Ludzie paplali jak najęci w jednej chwili, a w następnej zamykali usta, drżeli i oglądali się przez ramię. Wszyscy trzęśli się ze strachu, że Seanchanie powrócą z ich monstrami i *dawane*. Te kobiety, pojmane na smycz jak jakieś zwierzęta, zamiast być Aes Sedai, przerażały wieśniaków jeszcze bardziej niż dziwaczne stworzenia, którymi władali Seanchanie, stwory, które mieszkańcy Młynu Atuana potrafili jedynie opisać szeptem jako zjawy ze złego snu. A już najgorsze z wszystkiego były te kary, które dla przykładu Seanchanie wymierzili przed swym odjazdem, ich wspomnienie wciąż przejmowało ludzi dreszczem do szpiku kości. Pogrzebali już zmarłych, ale bali się usunąć wielki

obszar spalenizny na wiejskim placu. Nikt nie chciał powiedzieć, co się tam stało, ale Hurin zwymiotował w chwili, gdy wjechali do wioski i za nic nie chciał się zbliżyć do szerniałej ziemi.

Młyn Atuana był w połowie opuszczony. Jedni uciekli do Fahne, myśląc, że Seanchanie nie będą tacy brutalni w mieście, które twardo okupowali, inni udali się na wschód. Pozostali również się nad tym zastanawiali. Na Równinie Almoth toczyły się walki, powiadano, że mieszkańcy Tarabon biją się z ludźmi z Arad Doman, lecz pożary, które trawiły domostwa i zagrody, wznicały pochodnie trzymane ludzką ręką. Łatwiej było stawić czoło wojnie niż temu, co zrobili Seanchanie, temu, co mogli zrobić.

- Dlaczego Fain przywiózł Róg tutaj? - mruknął Perrin.

To pytanie zadawał co jakiś czas każdy z nich, nikt jednak nie wpadł na żadną odpowiedź.

- Tu toczy się wojna, a poza tym są Seanchanie i ich potwory. Czemu więc tutaj?

Ingtar obrócił się w siodle, by spojrzeć na nich. Miał twarz nieomal tak samo wynędzniałą jak Mat.

- Zawsze znajdują się tacy, którzy w wojennym chaosie widzą szansę zyskania czegoś. Fain należy do takich. Bez wątpienia chce znowu wykraść Róg, tym razem Czarnemu, i wykorzystać go z korzyścią dla siebie.

- Plany ojca kłamstw nigdy nie są proste - powiedziała Verin. - Całkiem możliwe, że on chce, by Fain przywiózł tutaj Róg dla powodów znanych tylko w Shayol Ghul.

- Monstra - parsknął Mat.

Miał zmizerowane policzki i zapadnięte oczy, a fakt, że mówił, jak zdrowy człowiek, dodatkowo pogarszał ten obraz.

- Zobaczyli trolloki albo jakiegoś pomora, jeśli ktoś chciałby znać moje zdanie. No bo czemu nie? Skoro Seanchanie potrafili zmusić Aes Sedai, by dla nich walczyły, to czemu nie trolloki i pomory? - Widząc spojrzenie Verin, zaczął się wycofywać. - No bo przecież to one, wzięte albo nie wzięte na smycz. Potrafią przenosić, a więc są Aes Sedai. - Zerknął na Randa i zaniósł się chrapliwym śmiechem. - Ty przecież też jesteś Aes Sedai, Światłości da pomóż nam wszystkim.

Z naprzeciwka przygalopował do nich Masema, przez błoto i nieustający deszcz.

- Przed nami następna wioska, mój panie - powiedział, podjeżdżając do Ing tara. - Opustoszała, mój panie. Ani wieśniaków, ani Seanchan, w ogóle nikogo. Domy wyglądają na nietknięte, prócz dwóch albo trzech, które... cóż, one przestały istnieć, mój panie.

Ingtar podniósł pięść i dał znak przejścia w cwał.

Wioska znaleziona przez Masemę leżała na zboczach wzgórza, brukowany plac na samym szczycie otaczał krąg kamiennego muru. Wszystkie domy zbudowane były z kamienia, miały płaskie dachy i rzadko kiedy składały się z więcej niż jednego piętra. Trzy, niegdyś większe, stojące rzędem przy placu, przemieniły się w sterty poczeriałego gruzu, po całym placu wały się kamienne odpryski i belki dachowe. Podmuchi wiatru wywołał łomot nielicznych okiennic.

Ingtar zsiadł z konia przed jedynym dużym budynkiem, który nie leżał w gruzach. Trzeszcząca tablica nad drzwiami przedstawiała kobietę żonglującą gwiazdami, ale nie była podpisana; deszcz rozbryzgiwał się na rogach i ściekał dwoma jednostajnymi strumykami. Verin pośpiesznie wbiegła do środka, a tymczasem Ingtar wydawał rozkazy.

- Uno, przeszukaj wszystkie domy. Jeśli ktoś w nich został, to może nam powie, co się tu stało i może coś więcej o tych Seanchanach. Przynies też jedzenie, jeśli jakieś znajdziesz. I koce.

Uno skinął głową i zaczął odprawiać swoich ludzi. Ingtar zwrócił się do Hurina.

- Co czujesz? Czy był tu Fain?

Hurin potrząsnął głową, pocierając nos.

- Jego tu nie było, mój panie, ani też trolloków. Ale ten, kto to zrobił, zostawił po sobie smród. - Wskazał ruiny domów. - Tu był mord, mój panie. Tam byli ludzie.

- Seanchanie - warknął Ingтар. - Wejźmy do środka. Ragan znajdzie coś, co się nada na stajnie dla koni.

Verin rozpałała już ogień w dwóch wielkich kominkach, znajdujących się po przeciwległych stronach głównej izby i ogrzewała ręce przy jednym z nich, z przemoczonego płaszcza rozpostartego na stole ściekały na podłogę krople wody. Znalazła też kilka świec, płonęły na stole, umocowane we własnym wosku. Było pusto i cicho, wyjąwszy sporadyczne pomruki grzmotów, które w połączeniu z roztańczonymi cieniami nadawały temu miejscu atmosferę jaskini. Rand rzucił swój równie mokry płaszcz wraz z kaftanem na stół i przyłączył się do niej. Jedyne Loial wyglądał na bardziej zainteresowanego stanem swych książek niż ogrzaniem się.

- W ten sposób nigdy nie znajdę Rogu Valere stwierdził Ingтар. - Trzy dni odkąd... odkąd tu przybyliśmy - zadygotał i przejechał dłonią po włosach; Rand bardzo był ciekaw, co Shienaranin widział w swych innych żywotach - jeszcze co najmniej dwa dzielą nas od Falme, a my nie znaleźliśmy nawet włosa Faina ani Sprzymierzeńców Ciemności. Na wybrzeżu znajdują się dziesiątki wiosek. Mógł pojechać do każdej z nich i do tej pory wsiąść już na jakiś statek. O ile kiedykolwiek tu był.

- On tu jest - odparła spokojnie Verin - i pojechał do Falme.

- On tu na pewno jest - dodał Rand.

"Czeka na mnie. Błagam, Światłości, niech on dalej czeka".

- Hurin nie znalazł nawet najślabszego śladu jego zapachu - powiedział Ingтар.

Węszyciel wzruszył ramionami, jakby sam czuł się winny niepowodzeniu.

- Po co miałyby wybrać Falme? Jeśli należy wierzyć tym wieśniakom, Falme znajduje się w rękach Seanchan. Oddałbym swego najlepszego ogara, by się dowiedzieć, kim są i skąd się wzięli.

- To dla nas nieważne, kim są. - Verin uklękła i otworzyła sakwy, wyciągając z nich suchą odzież. Przynajmniej mamy izby, w których możemy się przebrać, choć niewielki będzie z tego pożytek, jeśli pogoda się nie zmieni. Ingтар, całkiem możliwe, że ci wieśniacy mówili prawdę, twierdząc, że to potomkowie powracającej armii Artura Hawkwinga. Ważne, że Padan Fain pojechał do Falme. W napisach na ścianach lochów w Fal Dara...

- ... nie było wzmianki o Fainie. Wybacz mi, Aes Sedai, ale z równą łatwością mógł to być podstęp, a nie ciemne proroctwo. Moim zdaniem, nawet trolloki nie byłyby tak głupie, by zdradzić nam swe zamiary przed ich spełnieniem.

Wykręciła szyję, by spojrzeć na niego.

- A co zrobisz, jeśli nie skorzystasz z mej rady?

- Mam zamiar odzyskać Róg Valere - odparł stanowczym tonem Ingтар. - Wybacz mi, ale przedkładałam własne przecucia nad słowa nagryzmołone przez trolloka...

- Najpewniej Myrddraala - mruknęła Verin, ale on nawet na moment nie umilkł.

- ... albo Sprzymierzeńca Ciemności, który rzekomo sam się zdradził. Mam zamiar przetrząsać cały ten kraj, dopóki Hurin nie wywęszy tropu albo nie znajdziemy samego Faina. Muszę mieć Róg, Verin Sedai. Muszę!

- To nie tak - wtrącił cicho Hurin. - Nie "muszę". Będzie, co ma być.

Nikt nie poświęcił mu najmniejszej uwagi.

- Wszyscy musimy - burknęła Verin, przeglądając zawartość sakwy - ale niektóre rzeczy są jeszcze ważniejsze.

Nic już nie dodała, ale Rand skrzywił się. Z całej siły pragnął uciec od niej, a także od jej

ponagleń i aluzji.

"Nie jestem Smokiem Odrodzonym. Światłości, jak ja bym chciał rozstać się na zawsze z Aes Sedai".

- Ingtar, ja chyba zaraz pojedę do Falme. Fain tam jest, jestem tego pewien, a jeśli nie znajdę się tam jak najszybciej, to on coś zrobi, żeby zaszkodzić Polu Emonda.

W ogóle do tej pory o tym nie wspominał.

Wszyscy wbili w niego wzrok, Mat i Perrin z marsami na czołach, coś jednak mimo zdenerwowania rozważali, Verin z taką miną, jakby właśnie znalazła brakujący kawałek układanki. Loial wyglądał na zdumionego, a Hurin na zdezorientowanego. Ingtar otwarcie nie dowierzał.

- Po co miałyby to robić? - spytał Shienaranin.

- Nie wiem - odparł Rand - ale tak brzmiała część wiadomości, którą zostawił dla mnie u Barthanesa.

- A czy Barthanes powiedział, że Fain jedzie do Falme? - dopytywał się napastliwym tonem Ingtar. - Nie. To zresztą nie miałyby znaczenia. - Zaśmiał się posępnie. - Kłamstwa dla Sprzymierzeńców Ciemności są czymś równie naturalnym jak oddychanie.

- Rand - powiedział Mat - gdybym wiedział, jak nie dopuścić, by Fain zaszkodził Polu Emonda, to bym to zrobił. Gdybym był pewien, że on ma taki zamiar. Ale ja muszę odzyskać sztylet, Rand, a największe szanse na jego znalezienie ma Hurin.

- Pojadę wszędzie, gdzie ty, Rand - oznajmił Loial. Skończył już sprawdzać, czy jego książki są suche i właśnie zdejmował przemoczony płaszcz. - Nie rozumiem jednak, w jaki sposób kilka dodatkowych dni miałyby teraz coś zmienić. Spróbuj choć raz nie działać pochopnie.

- Dla mnie to bez znaczenia, czy pojedziemy do Falme teraz, później, czy nigdy - powiedział Perrin, wruszając ramionami - ale skoro Fain naprawdę zagraża Polu Emonda... cóż, Mat ma rację. Najlepiej szukać go przy pomocy Hurma.

- Potrafię go odszukać, lordzie Rand - wtrącił Hurin. - Niech tylko wyniucham jego trop, a zawiodę was prosto do niego. Nikt inny nie zostawia takich śladów jak on.

- Sam musisz dokonać wyboru, Rand - powiedziała dyplomatycznie Verin - ale pamiętaj, że Falme jest w rękach najeźdźców, o których nadal nic prawie nie wiemy. Jeśli udasz się do Falme w pojedynkę, to nie wiedząc nawet kiedy, możesz dostać się do niewoli, albo jeszcze gorzej, a z tego nie będzie żadnego pożytku. Jestem przekonana, że każdy wybór, jakiego dokonasz, będzie słuszny.

- *Ta 'veren* - zagrzmiał Loial.

Rand wyrzucił ręce w górę.

Z placu wrócił Uno, otrząsnął ociekający wodą płaszcz.

- Nie dało się znaleźć ani jednej duszy, mój panie. Wygląda mi na to, że uciekli jak stado świń rozpedzonych batem. Zniknął cały żywy inwentarz, nie ma też ani jednej cholernejszej fury albo wozu. Z połowy domów zostały tylko nędzne posadzki. Stawiam cały żołd za przyszły miesiąc, że można ich tropić po tych cholernych meblach, które rzucali na pobocze drogi, gdy pojęli, że one tylko obciążają te ich przeklęte wozy.

- A co z ubraniami? - spytał Ingtar.

Zaskoczony Uno zamrugnął swym jedynym okiem.

- Same szmaty i łachmany, mój panie. Głównie to, co ci przekłęci uznali za niewarte zabrania.

- Będą musiały wystarczyć. Hurin, zamierzam przebrać ciebie i innych za tutejszych, tylu, ilu się uda, żebyście się nie wyróżniali. Pójdziecie kręgiem, na północ i południe, dopóki nie przetniecie tropu.

Do środka wchodzili inni żołnierze, zbierali się wokół Ingtara i Hurina, by słuchać poleceń.



Rand wsparł ręce o gzyms nad kominkiem i wpatrywał się w płomienie. Przypomniały mu się oczy Ba' alzamon.

- Czasu jest niewiele - powiedział. - Czuję... że coś ciągnie mnie do Falme i że czasu jest mało. - Zauważył, że Verin go obserwuje, więc dodał opryskliwie: - Nie tak. Muszę znaleźć Faina. To nie ma nic wspólnego z... tym.

Verin skinęła głową.

- Koło obraca się tak, jak chce, a my wszyscy jesteśmy wpleceni do Wzoru. Fain przybył tu wiele tygodni przed nami, być może miesięcy. Kilka dodatkowych dni niewiele zmieni w tym, co musi się wydarzyć.

- Idę się przespać - mruknął, podnosząc sakwę. Chyba nie mogli zabrać wszystkich łóżek.

Na górze rzeczywiście znalazł łóżko, ale tylko na nielicznych leżały materace, tak zresztą zniszczone, że uznał podłogę za miejsce znacznie wygodniejsze do spania. W końcu wyszukał łóżko, na którym materac tylko zapadał się na samym środku. Oprócz niego w izbie nie było nic poza jednym drewnianym krzesłem i kulawym stołem.

Zdjął mokre ubranie, a ponieważ nie znalazł ani pościeli, ani nawet kocy, więc przed położeniem się włożył suchą koszulę i spodnie, miecz oparł przy wezłowiu łóżka. Z wewnętrzną przekorą pomyślał, że jedyna sucha rzecz, jaką mógłby się okryć, to sztandar Smoka, zostawił go jednak bezpiecznie ukryty w sakwie.

Krople deszczu bębniły o dach, gdzieś w górze zadudnił grom, co jakiś czas okno rozjaśniała błyskawica. Cały dygotał i przewracał się z boku na bok w poszukiwaniu jakiejś wygodniejszej pozycji, medytując, czy jednak nie użyć sztandaru jako koca i czy powinien jechać do Falme.

Przewrócił się na drugi bok, a tam obok krzesła stał Ba' alzamon, w rękach trzymał rozpostarty, lśniący najczystsza bielą sztandar Smoka. Wydawało się, że ta część izby pociemniała, jakby Ba' alzamon stał na skraju chmury oleistoczarnego dymu. Twarz przecinały mu ledwie wygojone blizny po oparzeniach, a gdy Rand przyjrzał się uważniej, czarne jak węgiel oczy zniknęły na chwilę, a w ich miejscu pojawiły się niezgłębione jaskinie ognia. U jego stóp leżała sakwa Randa, z odpiętymi sprzączkami, kłapa kieszeni kryjącej sztandar była odchylona.

- Ten moment jest już coraz bliższy, Lewsie Therinie. Tysiąc mocno napiętych wątków wkrótce oplącze cię i schwyta w pułapkę, włączy w bieg wydarzeń, których nie potrafisz zmienić. Obłąd. Śmierć. Czy przed śmiercią zabijesz raz jeszcze wszystko, co kochasz?

Rand zerknął na drzwi i usiadł na brzegu łóżka, nie wykonując żadnego innego ruchu. Gdzie sens w próbie ucieczki przed Czarnym? W gardle czuł smak piasku.

- Nie jestem Smokiem, ojcze kłamstw! - wychrypiał.

Ba' alzamon ryknął śmiechem, powodując, że otaczająca go ciemność zaczęła się kłębić, a z palenisk rozległ się przeraźliwy huk.

- Zaszczycasz mnie. A siebie nie doceniasz. Zbyt dobrze cię znam. Tysiąc razy stawałem z tobą do walki. Tysiąc razy po tysiąckroć. Znam cię na wskroś, łącznie z twą nieszczęsną duszą, Lewsie Therinie, zabójco rodu.

Znowu ryknął śmiechem, Rand musiał przyłożyć dłoń do twarzy, by ją osłonić przed żarem bijącym z płonących ust.

- Czego chcesz? Nie będę ci służył. Nie zrobię nic, czego chcesz ode mnie. Pierwej umrę!

- Umrzesz, robaku! Ile razy umierałeś przez wieki, głupcze, i jaką miałeś korzyść ze śmierci? Grób to zimno i samotność, nie wspominając robaków. Ten grób należy do mnie. Tym razem już się nie odrodzisz. Tym razem Koło Czasu zostanie złamane, a świat stworzony na nowo, na podobieństwo Cienia. Tym razem twa śmierć będzie trwała zawsze! Co wybierasz? Ostateczną

śmierć? Czy wieczne życie i władzę!

Rand ledwie zauważył, że wstaje. Pustka była już wcześniej, pojawił się *saidin*, napłynęła Jedyne Moc, omal nie miażdżąc skorupy pustki. Jawa to była czy sen? Czyżby potrafił przenosić podczas snu? Rwący potok zmiotł wszystkie wątpliwości. Cisnął nią w Ba'alzamona, cisnął czystą Jedyne Mocą, siłą, która obracała Kołem Czasu, siłą, od której morza stawały w ogniu, siłą, która pożerała góry.

Ba'alzamon cofnął się o pół kroku, kurczowo przyciskając do siebie sztandar. Płomienie w jego wielkich oczach i ustach zaczęły skakać, ciemność padła na niego niczym cień. Właśnie Cień. Moc zatopiła się w tej czarnej mgłę i zniknęła, wsiąknęła w nią niczym woda w spieczony piach.

Rand wchłaniał *saidina*, czerpał coraz więcej. Ciało wydawało się tak lodowate, jakby miało się roztrzaskać od najbliższego dotknięcia, tak rozpalone, jakby miało się wygotować. Czuł, że jego kości rozsypią się wnet na zimny, krystaliczny popiół. Nie przejął się - to przypominało spijanie samego życia.

- Głupcze! - ryknął Ba'alzamon. - Unicestwisz siebie!

"Mat".

Ta myśl unosiła się gdzieś poza granicami trawiącej go powodzi.

"Sztylet. Róg. Fain. Pole Emonda. Jeszcze nie mogę umrzeć".

Nie bardzo wiedział, jak tego dokonał, ale Moc zniknęła nagle, a wraz z nią *saidin* i pustka. Wstrząsany drgawkami, padł na kolana obok łóżka, obejmując się ramionami w próżnym wysiłku pohamowania drżenia.

- Tak lepiej, Lewsie Therinie. - Ba'alzamon cisnął sztandar na podłogę i ułożył ręce na oparciu krzesła, pomiędzy jego palców uniosły się smugi dymu. Już nie otulał go cień. - Oto twój sztandar, zabójco rodu. Przysporzy ci wiele dobra. Przyciągnęły cię tu tysiące sznurków, uwiązanych do ciebie przez tysiące lat. Dziesięć tysięcy, tkanych przez całe wieki, które krepują cię niczym owcę przeznaczoną na rzeź. Wiek za wiekiem samo Koło czyniło cię więźniem własnego losu. Ale ja mogę cię uwolnić. Ty tchórzliwy kundlu, tylko ja na całym świecie mogę cię nauczyć władania Mocą. Tylko ja mogę nie dopuścić, by cię zabiła, nim uda ci się popaść w obłąd. Tylko ja mogę cię uratować przed obłąkaniem. Służyłeś mi już kiedyś. Służ mi znowu, Lewsie Therinie, albo na zawsze zostaniesz zniszczony!

- Nazywam się - wydusił Rand przez szczękające zęby - Rand al'Thor.

Drżenie zmusiło go do zamknięcia oczu, a kiedy na powrót je otworzył, był sam.

Ba'alzamon zniknął. Cień zniknął. Sakwa stała obok krzesła, z zapiętymi sprzączkami, z bokiem wybrzuszonym przez sztandar Smoka, tak jak ją zostawił. Ale nad oparciem krzesła wciąż unosiły się smugi dymu, z wypalonych w kształcie palców śladów.

# ROZDZIAŁ 19

## FALME

Na widok dwóch kobiet złączonych srebrną smyczą, wędrujących brukowaną ulicą w stronę portu Falme, Nynaeve wepchnęła Elayne w wąską alejkę między sklepem kupca bławatnego i warsztatem garncarskim. Nie odważyły się znaleźć za blisko tej pary. Przechodnie ustępowali im z drogi jeszcze śpieszniej niż seanchańskim żołnierzom albo sporadycznie pojawiającym się palankinom wielmożnych, od czasu, gdy nastaly chłodne dni zaopatrzonych w sute zasłony. Nawet uliczni artyści nie proponowali, że wykonają im portret kredą albo ołówkiem, mimo że nagabywali wszystkich pozostałych. Nynaeve zacisnęła usta, odprowadzając wzrokiem ginące w tłumie *sul'dam* i *damane*. Takie widoki wciąż przyprawiały ją o mdłości, mimo wielu tygodni spędzonych w mieście. Może nawet mdliło ją od nich coraz silniej. Nie umiała sobie wyobrazić, by sama mogła zrobić coś takiego drugiej kobiecie, nawet gdyby to była Moiraine albo Liandrin.

"Cóż, może Liandrin" - pomyślała mściwie.

Niekiedy nocą, w wynajętej przez nie maleńkiej, cuchnącej izdebce nad sklepem rybnym, zastanawiała się, co miałyby ochotę zrobić Liandrin, gdyby ta wpadła w jej ręce. Bardziej nawet Liandrin niż Suroth. Nieraz własne okrucieństwo ją szokowało, nawet jeśli zachwycało pomysłowością.

Starając się nie stracić z oczu tej pary, zauważyła jednocześnie wychudłego mężczyznę, stojącego spory kawałek dalej na ulicy, zanim ruchliwa ciżba go nie skryła. Zdążyła tylko dostrzec błysk wielkiego nosa na tle pociągłej twarzy. Na zwykłe odzienie narzuconą miał szatę z grubego, brązowego aksamitu, uszytą na seanchańską modłę, uznała jednak, że nie jest Seanchaninem, aczkolwiek był nim towarzyszący mu służący, służący wysokiej rangi, z jedną skronią wygoloną. Miejscowi nie zaadaptowali shienarańskich obyczajów, szczególnie tego.

"Wyglądał jak Padan Fain - pomyślała z niedowierzaniem. - To niemożliwe. Nie tutaj".

- Nynaeve - szepnęła Elayne - czy mogłybyśmy już stąd pójść? Ten jegomość handlujący jabłkami patrzy na swój stół takim wzrokiem, jakby mu się wydawało, że jeszcze kilka chwil temu miał ich więcej. Nie chcę, by zaczął dociekać, co mam w kieszeniach.

Obydwie miały na sobie długie płaszcze uszyte z owczych skór, wywinięte futrem do środka, z wyhaftowanymi na piersi jasnoczerwonymi spiralami. Nosili takie wieśniacy, więc nie rzucały się w oczy w Falme, do którego przybyło wielu mieszkańców farm i wiosek. W taką rzeszę obcych obydwie mogły się wtopić nie zauważone. Nynaeve rozplotła warkocz, a złoty pierścień, wąż pożerający ogon, zniknął pod suknią, razem z grubym pierścieniem Lana, na rzemieniu zawiązanym na szyi.

Ogromne kieszenie płaszcza Elayne były podejrzenie wybrzuszone.

- Ukradłaś te jabłka? - syknęła cicho Nynaeve, wyciągając Elayne na zatłoczoną ulicę. - Elayne, nie musimy kraść. W każdym razie jeszcze nie teraz.

- Nie? A ile zostało nam pieniędzy? Od kilku dni bardzo często bywasz "niegłodna", gdy nadchodzi pora posiłku.

- No cóż, nie jestem głodna - warknęła Nynaeve, usiłując ignorować pustkę w brzuchu. Wszystko kosztowało znacznie więcej niż się spodziewała, słyszała, jak miejscowi narzekali, że ceny mocno wzrosły wraz z przybyciem Seanchan. - Daj mi jedno.

Jabłko, które Elayne wygrzebała z kieszeni, było małe i twarde, lecz gdy Nynaeve wbiła w nie zęby, zachrząściło i zasmakowało wyborną słodyczą. Zlizwała sok z warg.

- Jak ci się udało... - Gwałtownie zatrzymała Elayne i zajrzała jej w twarz. - Czyś ty...? Czyś ty...?

Nie wiedziała, jak to powiedzieć przy tym nieprzerwanym, ludzkim potoku, ale Elyne zrozumiała.

- Tylko troszkę. Sprawiałam, że sterta nadgniłych melonów runęła, a kiedy on zaczął je na nowo układać...

Zdaniem Nynaeve, nie miała w sobie nawet tyle poczucia przyzwoitości, by się zaczerwienić albo przynajmniej udać zawstydzoną. Elayne beztrąsko zabrała się za jedno z jabłek i wzruszyła ramionami.

- Nie musisz tak krzywo na mnie patrzeć. Najpierw sprawdziłam, czy w pobliżu nie ma jakiejś *damane*. - Pociągnęła nosem. - Gdyby to mnie wzięto do niewoli, nie pomagałabym moim oprawcom w szukaniu innych kobiet, które można zniewolić. Ale sądząc po zachowaniu Falmeńczyków, można by pomyśleć, że od urodzenia służą tym, których powinni uważać za swych śmiertelnych wrogów. - Z wyraźną pogardą popatrzyła na ludzi mijających ich śpiesznymi krokami. Nietrudno było wyśledzić drogę, którą podążał jakiś Seanchanin, nawet prosty żołnierz, i to z bardzo daleka, dzięki falom ukłonów rozchodzących się po morzu ludzkich głów. - Powinni stawiać opór. Powinni walczyć.

- Jak? Z... tym?

Razem z innymi przechodniami musiały ustąpić ze środka ulicy na bok, ponieważ od strony portu pojawił się seanchański patrol. Nynaeve zdołała wykonać ukłon, przykładając dłonie do kolan, z należycie gładkim obliczem. Elayne skłoniła się znacznie wolniej, z grymasem niesmaku na ustach.

Patrol składał się z dwudziestu uzbrojonych mężczyzn i kobiet, jadących na koniach i za to Nynaeve była im wdzięczna. Nie umiała się przyzwyczaić do widoku ludzi dosiadających stworzeń wyglądem przypominające pokryte brązowymi łuskami, bezogoniaste koty, natomiast na widok jeźdźców na grzbietach latających bestii czuła zawroty głowy - była rada, że jest ich tak mało. Za patrolem biegły zresztą truchtem dwa pojmane na smycz stworzenia, podobne do bezskrzydłych ptaków o chropawej, grubej skórze, ostre dzioby znajdowały się w większej odległości od bruku niż głowy żołnierzy, zakute w hełmy. Długie, muskularne odnoża wyglądały na to, że potrafią galopować o wiele szybciej niż końskie.

Gdy Seanchanie pojechali dalej, wyprostowała się powoli. Niektórzy z tych, którzy kłaniali się patrolowi, nieledwie przeszli do biegu, nikomu nie robiło się przyjemnie na widok seanchańskich bestii, nie wspominając samych Seanchan.

- Elayne - powiedziała cicho, gdy na nowo podjęły wspinaczkę w górę ulicy - jeśli nas złapią, to przysięgam, że zanim nas zabiją albo zrobią cokolwiek innego, będę ich błagała na kolanach, by pozwolili mi cię wychłostać od stóp do głów najmocniejszym batem, jaki uda mi się znaleźć! Skoro do tej pory nie umiałaś nauczyć się ostrożności, to może najwyższy czas pomyśleć o odesłaniu cię do Tar Valon albo do Caemlyn, w ogóle gdziekolwiek, byle dalej stąd.

- Przecież ja jestem ostrożna. W każdym razie rozejrzałam się, by sprawdzić, czy w pobliżu nie ma jakiejś *damane*. A ty sama? Widziałam, jak przenosiłaś, mimo że była jedna w zasięgu wzroku.

- Upewniłam się, że na mnie nie patrzą - odburknęła Nynaeve. - Poza tym zrobiłam to tylko raz. I to był tylko strumyczek.

- Strumyczek? Trzy dni musiałyśmy się ukrywać w naszej izbie i wdychać zapach ryb, dopóki nie przestali przetrząsać miasta w poszukiwaniu tej, która to zrobiła. Ty to nazywasz ostrożnością?

- Musiałam sprawdzić, czy istnieje sposób na odpięcie obręczy. - Jej zdaniem taki sposób istniał. Dla pewności musiała wypróbować go na jeszcze jednej obręczy, ale wcale się do tego nie paliła. Podobnie jak Elayne, uważała przedtem, że przecież *damane* z pewnością są pragnącymi

wolności niewolnicami, a to właśnie kobieta w obręczy podniosła krzyk.

Minął je mężczyzna, który pchał wózek podskakujący na kamieniach brukowych, głośno wychwalał swe usługi w zakresie ostrzenia nożyc i noży.

- Powinni stawiać opór - warknęła Elayne - a zachowują się tak, jakby zupełnie nie widzieli, co się dookoła nich dzieje, jakby tu nie było żadnych Seanchan.

Nynaeve tylko westchnęła. Myśl, że Elayne przynajmniej częściowo ma rację, wcale nie pomagała. Z początku uznała, że ta uległość mieszkańców Falme to pewnie jakaś poza, ale nie znalazła żadnych dowodów na istnienie ruchu oporu. Szukała ich na początku w nadziei, że ktoś im pomoże uwolnić Egwene i Min, ale wszyscy drżeli na wszelką wzmiankę o sprzeciwianiu się Seanchanom, więc przestała pytać, by nie ściągać na siebie niepożądaną uwagę. Prawdę mówiąc, sama nie wyobrażała sobie, w jaki sposób ci ludzie mogliby walczyć.

"Monstra i Aes Sedai. Jak walczyć z monstrami i Aes Sedai?"

Przed nimi wznosiło się pięć wysokich kamiennych budowli, najwyższych w mieście, wszystkie razem tworzyły zwarty blok. Przy jednej z przecznic Nynaeve uprzednio znalazła ścieżkę wiodącą w bok od warsztatu krawieckiego, skąd mogły obserwować przynajmniej część wejść do tych wysokich budowli. Wszystkich drzwi nie dało się ogarnąć jednocześnie - nie chciała ryzykować i nakazywać Elayne, by obserwowała inne - ale nieroztropnie było podchodzić bliżej. Nad dachami, przy następnej ulicy, łopotał na wietrze sztandar ze złotym jastrzębiem należący do jego lordowskiej mości, Turaka.

Tylko kobiety mijaly się w drzwiach tych domów, przeważnie *sul'dam*, same albo z wlokącymi się z tyłu *damane*. Seanchanie właśnie po to zajęli te budynki, by umieścić w nich *damane*. Musiała tam gdzieś być Egwene, może także Min, na ślad której dotychczas nie natrafili, aczkolwiek nie było wykluczone, że podobnie jak one ukrywa się gdzieś w tłumie. Nynaeve słyszała wiele opowieści o kobietach i dziewczętach łapanych na ulicach albo sprowadzanych z wiosek, wszystkie one trafiały do tych domów, a gdy je później widziano, nosiły obręcze.

Usadowiła się obok Elayne na skrzyni i wsunęła dłoń do jej kieszeni, by zaczerpnąć garść małych jabłuszek. Miejscowych na tych ulicach było mniej. Wszyscy wiedzieli, czym są te domy i wszyscy ich unikali, podobnie jak unikali stajni, w których Seanchanie trzymali swe bestie. Nie było trudno pilnować drzwi w odstępach czasu dzielących przechodniów. Były to jakieś dwie kobiety, które przystały, by chwilę się kłócić, i dwóch mężczyzn, którzy nie mogli sobie pozwolić na posiłek w gospodzie. Nic, co by zasługiwało na coś więcej niż przelotne spojrzenie.

Nynaeve mechanicznie żuła jabłko i po raz kolejny próbowała opracować jakiś plan. Żadnego pożytku z umiejętności otworzenia obręczy - o ile rzeczywiście potrafiła to zrobić - dopóki nie dotrze do Egwene. Jabłka straciły swój słodki smak.

Z wąskiego okna w małej izdebce pod samymi krokwiemi, jednej z wielu, którą otaczały niedbale postawione ścianki, Egwene mogła obserwować ogród, do którego *sul'dam* wyprowadzały na spacer swoje *damane*. Ogrodów tych przedtem było kilka, zanim Seanchanie zburzyli dzielące je mury i zajęli wielkie domy, by mieć gdzie umieścić *damane*. Wszystkie drzewa straciły już liście, ale wciąż wyprowadzano *damane* na powietrze, czy tego chciały czy nie. Egwene obserwowała ogród, bo była w nim Renna, pochłonięta rozmową z inną *sul'dam*, a dopóki widziała Rennę, dopóty ona nie mogła tu wejść i jej zaskoczyć.

Mogły wejść inne *sul'dam* - *sul'dam* było o wiele więcej niż *damane* i każda walczyła o swoją kolej na włożenie bransolety: nazywały to kompletowaniem - ale Renna nadal była odpowiedzialna

za jej tresurę i to właśnie ona cztery razy na pięć wkładała bransoletę Egwene. *Sul'dam*, która chciała tu wejść, nie napotykała na żadną przeszkodę. Na drzwiach do izb *damane* nie było zamków. W izbie Egwene mieściło się tylko jedno twarde, wąskie łóżko, umywalka z wyszczerbionym dzbanem i misą, jedno krzesło i niewielki stół, ale nie było już więcej miejsca na nic. *Damane* nie potrzebowały wygody, prywatności ani własnego dobytku. Same stanowiły dobytek. Min miała taką samą izbę w innym domu, ale za to mogła wchodzić i wychodzić zawsze wtedy, kiedy tylko chciała, albo prawie zawsze. Seanchanie byli mistrzami ustanawiania reguł - narzucali ich każdemu więcej niż Biała Wieża nowicjuszkom.

Egwene stanęła z dala od okna. Bała się, że któraś z tych kobiet na dole zadrze głowę do góry i zobaczy lunę, która ją bez wątpienia otaczała, ponieważ przenosiła Jedyńą Moc, delikatnie badając obręcz na swej szyi, na próżno usiłując coś znaleźć. Nawet nie umiała stwierdzić, czy ta metalowa wstęga została utkana, czy raczej spleciona z kółek - czasami wydawało jej się, że jest tak, innym razem, że jest inaczej - zawsze jednak miała wrażenie, że ten przedmiot wykonano z jednego kawałka. Moc płynęła tylko drobną strużką, najmniejszą jaką potrafiła sobie wyobrazić, ale i tak przywołała paciorki potu na twarz i skurcze żołądka. To była jedna z właściwości *a'dam* - gdy *damane* próbowała przenosić, a nie towarzyszyła jej *sul'dam* nosząca bransoletę, odczuwała mdłości i im więcej Mocy przeniosła, tym bardziej ją mdliło. Zapalenie świecy stojącej dalej niż wyciągnięte ramię mogło spowodować wymioty. Któregoś razu Renna nakazała jej żonglować małymi kulami światła, gdy bransoleta leżała na stole. Do tej pory czuła dreszcz na samo wspomnienie.

Skrecona niczym wąż srebrna smycz ciągnęła się do kółka wbitego w nie pomalowaną, drewnianą ścianę, na którym wisiała bransoleta. Na jej widok zaciskała z furją zęby. Pies uwiązany tak niedbale dałby radę uciec. Gdyby *damane* przeniosła bransoletę, bodaj o stopę od miejsca, w którym po raz ostatni dotykała ją *sul'dam*... Renna kazała jej zrobić również to - przenieść bransoletę przez pokój. A raczej spróbować. Wiedziała, że upłynęło zaledwie kilka minut do czasu, gdy *sul'dam* zatrzasnęła bransoletę na swoim nadgarstku, ale Egwene miała wrażenie, że te wrzaski i skurcze, od których skrecała się na podłodze, trwały całymi godzinami.

Ktoś zastukał do drzwi i Egwene podskoczyła, zanim do niej dotarło, że to nie może być żadna *sul'dam*. One nie miały zwyczaju pukać. *Saidara* jednak uwolniła, zaczynało jej się robić zdecydowanie mdło.

- Min?

- Przyszłam z cotygodniową wizytą - obwieściła Min, wślizgując się do środka i zamykając drzwi. Wesoła mina wyglądała na nieco wymuszoną, ale dziewczyna zawsze robiła co mogła, by podtrzymać Egwene na duchu.

- Jak ci się to podoba? - Okręciła się na palcach; rozpościerając fałdy sukni z ciemnozielonej wełny skrojonej na seanchańską modłę. Przez ramię miała przewieszony ciężki, dopasowany płaszcz. Ciemne włosy, mimo iż jeszcze za krótkie, by je wiązać, opasywała zieloną wstążką. Za to w pochwie u pasa wciąż miała nóż. Egwene z początku zdziwiła się, gdy Min pokazała, że go nosi, ale na to wyglądało, że Seanchanie ufali wszystkim. Dopóki ktoś nie złamał jakiejś reguły.

- Jest piękna - powiedziała ostrożnie Egwene. Ale dlaczego?

- Nie przeszłam na stronę wroga, jeśli to sobie właśnie pomyślałaś. Miałam do wyboru: albo to, albo poszukać jakiejś izby w mieście i może już nigdy nie móc cię odwiedzić.

Już miała usiąść okrakiem na krześle, jak to zwykła robić, gdy nosiła spodnie, kiedy ze złością potrząsnęła głową i przestawiła je, by usiąść przodem.

- Każdy ma swoje miejsce we Wzorze - zaczęła kpiącym tonem - i to miejsce winno być

oczywiste. Tę starą wiedźmę Mulaen najwyraźniej zmęczyło, że nie wiadomo było na pierwszy rzut oka, gdzie jest moje miejsce, i orzekła, że należy zaliczyć mnie do posługaczek. Dała mi wybór. Powinnaś zobaczyć, jakie rzeczy noszą seanchańskie posługaczki, te, które usługują lordom. To pewnie nawet zabawne, o ile nie jest się zaręczoną, albo jeszcze lepiej, mężatką. No cóż, nie ma odwrotu. To znaczy na razie. Mulaen spaliła mój kaftan i spodnie. - Krzywiąc się, by pokazać, co o tym myśli, podniosła kamyk z niewielkiego stosiku na stole i przerzuciła go z ręki do ręki. - Nie jest tak źle - powiedziała ze śmiechem - tylko tyle już czasu minęło, odkąd przestałam nosić spódnice, że stale się w nie zaplątuję.

Egwene też musiała obejrzeć palenie jej ubrań, łącznie z tym cudownym zielonym jedwabiem. Cieszyło ją, że nie przywiozła tu większej ilości rzeczy, które dała jej lady Amalisa, mimo iż przecież mogła ich już nigdy w życiu nie zobaczyć, podobnie zresztą jak Białej Wieży. Teraz ubierała się w takie same ciemne szarości, jak wszystkie *damane*. *Damane* nie mają rzeczy osobistych, wyjaśniono jej. Suknia, którą nosi *damane*, jedzenie, którym się posila, łóżko, w którym sypia, stanowią wszystko podarunki od *sul'dam*. Jeśli *sul'dam* zdecyduje, że *damane* będzie spała na podłodze albo w stajennej przegrodzie, zamiast w łóżku, to będzie to decyzja należąca wyłącznie do *sul'dam*. Mulam, która była odpowiedzialna za izby *damane*, mówiła jednostajnym, nosowym głosem i postępowała brutalnie z każdą *damane*, która nie zapamiętała co do słowa jej nudnych wykładów.

- Wydaje się, że mnie już nie czeka żaden powrót powiedziała Egwene, wzdychając, i usiadła ciężko na łóżku. Wskazała kamyki leżące na stole. - Renna poddała mnie wczoraj sprawdzianowi. Mieszała z sobą grudki rudy miedzi i żelaza, a ja je potem wyszukiwałam z zawiązanymi oczyma. Zostawiła je tutaj, by mi przypominały o sukcesie. Jej się chyba wydaje, że to jakaś nagroda.

- Nie brzmi to paskudniej niż tamte inne rzeczy, w każdym razie nie gorzej jak sprawianie, by coś wybuchało niczym fajerwerk, ale czy ty nie mogłaś skłamać? Powiedzieć jej, że nie wiesz, co jest czym?

- Do ciebie wciąż nie dociera, na czym to wszystko polega. - Egwene szarpnęła za obręcz, próby jej zerwania bynajmniej nie przynosiły lepszych rezultatów niż przenoszenie Mocy. - Gdy Renna ma na ręku bransoletę, wie, co ja robię, a czego nie robię z Mocą. Czasami zdaje się to wiedzieć nawet bez bransolety, twierdzi, że z czasem *sul'dam* rozwijają w sobie, jak to określiła, powinowactwo. Westchnęła. - Nikomu wcześniej nawet nie przyszło do głowy, żeby zbadać to u mnie. Ziemia to jedna z Pięciu Mocy, która najsilniej występowała u mężczyzn. Gdy raz. poznałam te kamyki, zabrała mnie za miasto, a ja zaprowadziłam ją prosto do opuszczonej kopalni żelaza. Rosło tam mnóstwo chwastów, brakowało też wejścia, ale ponieważ już wiedziałam, jak to zrobić, od razu wyczułam rudę żelaza wciąż znajdującą się w ziemi. Od stu lat jest jej tam za mało, by opłacało się ją wydobywać, ale ja wiedziałam, że tam jest ruda. Nie mogłam jej okłamać, Min. Wiedziała, że wyczułam kopalnię, jak tylko to zrobiłam. Tak była tym podniecona, że obiecała mi pudding do kolacji. - Czuła, że płoną jej policzki, z gniewu i wstydu. - Najwyraźniej powiedziała z goryczą - jestem teraz zbyt cenna, by kazać mi jeszcze powodować wybuchy. To potrafi każda *damane*, natomiast znajdować w ziemi rudę umie tylko garstka. Światłości, nie cierpię tych wybuchów, ale bardzo bym chciała tylko to umieć robić.

Mieniła się na twarzy. Naprawdę nie znosiła, gdy za jej sprawą drzewa rozpadały się na drzazgi, a ziemia rozszczeptała, miało to być stosowane podczas bitew, w celu zabijania, nie chciała z tym mieć nic wspólnego. Z drugiej strony jednak wszystko to, co Seanchanka pozwalała jej zrobić, stanowiło kolejną szansę dotykania *saidara*, odczuwania przepływu Mocy. Nienawidziła tych rzeczy, do których zmuszały ją Renna i inne *sul'dam*, wiedziała jednak, że teraz poradzi sobie z większą

ilością Mocy niż przed wyjazdem z Tar Valon. Wiedziała z całą pewnością, że umie z jej pomocą dokonywać takich dzieł, na jakie siostry z Wieży nigdy nawet nie wpadły - nie wpadły na pomysł rozdzierania ziemi, by zabijać ludzi.

- Może już nie będziesz musiała tak się tym denerwować - powiedziała Min z szerokim uśmiechem. - Znalazłam dla nas statek, Egwene. Jego kapitan został zatrzymany przez Seanchan, jest gotów odpłynąć, nie czekając na ich pozwolenie.

- Jeśli on zechce cię zabrać, Min, to popłyn z nim odparła znużonym głosem Egwene. - Mówiłam ci, że jestem teraz kimś cennym. Renna twierdzi, że za kilka dni wraca do Seanchan jeden ze statków. Tylko po to, by mnie tam przewieźć,

Uśmiech na twarzy Min zbladł, popatrzyły sobie w oczy. Nagle Min zburzyła stos spiętrzonych na stole kamyków, cisnąwszy weń grudką rudy.

- Stąd na pewno można jakoś uciec. Musi istnieć jakiś sposób na zdjęcie tego paskudztwa z twojej szyi!

Egwene oparła głowę o ścianę.

- Wiesz, że Seanchanie zgromadzili wszystkie kobiety, które udało im się znaleźć, zdolne do przeniesienia bodaj odrobiny Mocy. Pochodzą zewsząd, nie tylko z Falme, ale również z wiosek rybackich i osad rolniczych w głębi lądu. Kobiety z Tarabon i Arad Doman, pasażerki z zatrzymanych przez nich statków. Są wśród nich dwie Aes Sedai.

- Aes Sedai! - wykrzyknęła Min. Odruchowo rozejrzała się dookoła, czy nikt nie słyszał, jak wymawia ten tytuł. - Egwene, jeśli tu są jakieś Aes Sedai, to one nam pomogą. Pozwól, bym z nimi pogadała, to...

- One nie mogą pomóc nawet samym sobie, Min. Rozmawiałam tylko z jedną, zwie się Ryma, *sul'dam* tak jej nie nazywają, ale tak właśnie brzmi jej imię. Chciała koniecznie, żebym je poznała i powiedziała mi także o tej drugiej. Opowiadała mi to, bezustannie wybuchając płaczem. Aes Sedai, która płacze, Min! Nosi obręcz na szyi, zmuszają ją, by reagowała na imię Purg i nie jest w stanie zrobić nic więcej ode mnie. Schwytali ją, gdy padło Falme. Płakała, bo powoli przestaje się bronić, bo już nie może wytrzymać dalszych kar. Płakała, bo chce sobie odebrać życie, a nawet tego nie może zrobić bez pozwolenia. Światłości, dobrze wiem, co ona czuje!

Min poruszyła się niespokojnie, wygładzając gwałtownie suknię nerwowymi ruchami.

- Egwene, ty nie chcesz... Egwene, nie możesz myśleć o zrobieniu sobie krzywdy. Wydostanę cię stąd jakoś. Obiecuję!

- Nie mam zamiaru popełniać samobójstwa - odparła sucho Egwene. - Nawet gdybym mogła. Daj mi swój nóż. No dalej. Nic sobie nie zrobię. Tylko mi go daj.

Min zawahała się, zanim powoli wyjęła nóż z pochwy u pasa. Podążyła go ostrożnie, najwyraźniej gotowa natychmiast reagować, gdyby Egwene na coś się odważyła.

Egwene zrobiła głęboki wdech i wyciągnęła rękę w stronę rękojeści. Poczwała w mięśniach delikatne drżenie. Gdy jej dłoń znalazła się w odległości stopy od noża, palce znieacka wykrzywił skurcz. Z oczyma utkwionymi w tym jednym punkcie usiłowała zmusić rękę, by się do niego zbliżyła. Skurcz ogarnął ramię, paraliżując mięśnie do samego barku. Opadła w tył z jękiem, rozcierając rękę i koncentrując myśli na niedotykanu noża. Ból zaczął powoli ustępować.

Min spojrzała na nią z niedowierzaniem.

- Co...? Nie rozumiem.

- *Damane* nie wolno dotykać broni żadnego rodzaju. - Masowała rękę, czując jak na powrót staje się giętka. - Nawet mięso się dla nas kroi. Nie chcę sobie nic zrobić, ale i tak bym nie mogła, nawet gdybym chciała. *Damane* nigdy nie zostawia się samych w miejscu, gdzie mogłaby skoczyć z



wysokości, dlatego to okno jest zabite gwoździami. Ani tam, gdzie mogłaby rzucić się do rzeki.

- To bardzo dobrze. To znaczy, chodziło mi o... Och, nie wiem, o co mi chodzi. Gdyby ci się udało skoczyć do rzeki, to mogłabyś uciec.

Egwene mówiła dalej posępnym głosem, jakby przyjaciółka w ogóle się nie odezwała.

- One mnie tresują, Min. Tresują mnie *sul'dam* i *a'dam*. Nie mogę dotknąć niczego, co tylko przypomina mi broń. Kilka tygodni temu medytowałam, czy nie walnąć Renny w głowę tym dzbanem i potem przez trzy dni nie mogłam z niego nalać wody, gdy chciałam się umyć. Jak już raz o nim pomyślałam w ten sposób, to nie tylko musiałam przestać myśleć, że mogłabym ją nim uderzyć, jeszcze musiałam nabrać przekonania, że nigdy, w żadnych okolicznościach, nie uderzę jej tym dzbanem, bo inaczej już nigdy go nie dotknę. Renna wiedziała, co się stało, wyjaśniła, co mam robić i nie pozwalała mi się nigdzie umyć bez tego dzbana i misy. Masz szczęście, że to się działo w okresie dzielącym dni twoich odwiedzin. Renna dopilnowała, bym wiecznie się pociła, od momentu, w którym się budziłam, do czasu, gdy kompletnie wyczerpana zasypiałam. Próbuję z nimi walczyć, ale one tresują mnie równie starannie jak Purę. Przycisnęła dłoń do ust, by stłumić jęk. - Ona ma na imię Rymes. Muszę zapamiętać jej prawdziwe imię, nie to, które jej nadali. Ma na imię Rymes i należy do Żółtych Ajah, walczyła z nimi tak długo i tak zażarcie, jak potrafiła. To nie jest jej wina, że już straciła wolę walki. Bardzo chciałabym poznać tę drugą siostrę, o której Rymes wspomniała. Żałuję, że nie znam jej imienia. Zapamiętaj nas obydwie, Min. Rymes z Żółtych Ajah i Egwene al'Vere. Nie Egwene *damane*. Egwene al'Vere z Pola Emonda. Zrobisz to?

- Przestań - warknęła Min. - Natychmiast przestań! Jeśli zostaniesz wsadzona na statek płynący do Seanchan, to ja wsiądę na pokład razem z tobą. Ale moim zdaniem, tak się nie stanie. Wiesz, że czytam w tobie, Egwene. Większości rzeczy nie rozumiem, prawie nigdy nie rozumiem, ale wśród nich takie, które bez wątpienia łączą cię z Randem, Perrinem i Matem i... tak, nawet z Galadem, niech ci Światłość wybaczy głupotę. Do niczego takiego chyba nie mogłoby dojść, gdyby Seanchanie zabrali cię na drugi brzeg oceanu?

- Może oni chcą podbić cały świat, Min. Jeśli podbiją świat, to nie istnieje powód, dla którego Rand, Galad i wszyscy inni nie mieliby wylądować w Seanchan.

- Jesteś głupia jak gęś!

- Jestem praktyczna - odcięła się Egwene. - Nie zamierzam zaprzestać walki, póki jeszcze oddycham, ale nie mam nadziei, że kiedykolwiek zdejmą ze mnie *a'dam*. Podobnie jak nie mam nadziei, że ktoś zechce dać odpór Seanchanom. Min, jeśli ten kapitan zechce cię zabrać, to płyn razem z nim. Przynajmniej jedna z nas będzie wolna.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i do izdebki weszła Renna.

Egwene poderwała się na równe nogi i pośpiesznie dygnęła, Min nie pozostała za nią w tyle. Od tego kłaniania się w maleńkim pokoiku zrobiło się bardzo ciasno, Seanchanie jednak przedkładali etykietę nad wygodę.

- To twój dzień odwiedzin, czy tak? - spytała Renna. - Zapomniałam. No cóż, tresura musi się odbywać nawet w dni odwiedzin.

Egwene bacznie śledziła *sul'dam*, która zdjęła z kołka bransoletę, otworzyła ją i zapięła sobie wokół nadgarstka. Nie mogła się zorientować, jak to się robi. Zbadałaby to, gdyby mogła, z pomocą Jedynej Mocy, ale Renna natychmiast by o tym wiedziała. Gdy bransoletka zatrzasnęła się na dłoni Renny, na twarzy *sul'dam* pojawił się wyraz, od którego Egwene zamarło serce.

- Przenosiłaś Moc. - Głos Renny brzmiał zwodniczo łagodnie, w oczach jednak rozblęśla iskierka gniewu. - Wiesz, że ci nie wolno, jeśli nie jesteśmy kompletne.

Egwene zwilżyła wargi.

- Być może za bardzo ci pobrażam. Być może ty wierzysz, że ponieważ jesteś teraz czymś cennym, to zyskałaś jakieś prawa. Chyba popełniłam błąd, pozwalając ci zachować dawne imię. W dzieciństwie miałam kotka, który wabił się Tuli. Od dzisiaj twoje imię będzie brzmiało Tuli. Możesz już odejść, Min. Twoje odwiedziny u Tuli dobiegły końca.

Min wahała się dostatecznie długo, by przed wyjściem zobaczyć jeszcze udrękę na twarzy Egwene. Nie mogła ani powiedzieć, ani zrobić niczego, co by przyniosło jakiś skutek, zamiast dodatkowo pogorszyć sprawę, Egwene zaś mimo woli spojrzała tęsknie na drzwi, które zamknęły się za przyjaciółką.

Renna przysunęła sobie krzesło, patrząc z dezaprobatą na Egwene.

- Muszę cię surowo za to ukarać. Obydwie zostaniemy wezwane do Sądu Dziewięciu Miesięcy, ty dzięki temu, co potrafisz robić, ja jako twoja *sul'dam* i treserka. Nie pozwolę, byś znieważyla mnie w oczach cesarzowej. Przeszanę wtedy, gdy zapewnisz mnie, że uwielbiasz być *damane* i że odtąd już będziesz posłuszną. I jeszcze jedno, Tuli. Spraw, bym uwierzyła w każde słowo.

# ROZDZIAŁ 20

## PLAN

Po wyjściu na nisko sklepiony korytarz Min wbiła paznokcie w dłonie, gdy usłyszała pierwszy rozdzierający krzyk dobiegający z izby. Mimo woli zrobiła krok w stronę drzwi, potem zatrzymała się jednak. Z oczu trysnęły jej strumienie łez.

"Światłości, dopomóż mi, mogę tylko wszystko pogorszyć. Egwene, tak mi cię żal. Tak mi cię żal".

Czując, że na nic się to nie przyda, zadarła spódnice i pobiegła, ścigana przez przeraźliwy krzyk Egwene. Nie potrafiła się zmusić, by tam zostać, a uciekając czuła się jak tchórz. Prawie ślepa od płaczu, nawet nie wiedziała, kiedy znalazła się na ulicy. Miała zamiar wrócić do swego pokoju, ale w tej chwili nie potrafiła tego zrobić. Nie mogła znieść myśli, że mogłaby siedzieć w ciepłe i bezpieczeństwie w tym samym czasie, gdy Egwene dzieje się krzywda. Przetarła zapłakane oczy, zarzuciła płaszcz na ramiona i ruszyła ulicą przed siebie. Po każdym osuszeniu łez, po policzkach zaczynały spływać nowe. Nie zwykła otwarcie płakać, ale nie знаła też takiego poczucia bezradności, tak wielkiej bezradności. Było jej wszystko jedno, dokąd pójdzie, byle jak najdalej, byle uciec przed krzykiem Egwene.

- Min!

Cichy okrzyk kazał jej przystanąć w pół kroku. Z początku nie potrafiła się zorientować, kto krzyknął. Stosunkowo niewielu ludzi pojawiało się na ulicy blisko miejsca zamieszkiwanego przez *damane*. Oprócz jakiegoś człowieka, który usiłował namówić dwóch seanchańskich żołnierzy, by zamówili u niego swoje portrety narysowane kolorowymi kredkami, wszyscy miejscowi usiłowali minąć ich jak najszybciej w taki sposób, by to nie przypominało biegu. Minęły ją idące spacerowym krokiem dwie *sul'dam*, za nimi wlokła się ze spuszczonej oczyma *damane*. Seanchanki rozmawiały o tym, ile jeszcze *marath'damane* spodziewają się znaleźć, zanim wsiądą na statki. Oczy Min omiotły przelotnie dwie kobiety w długich kaftanach z owczych skór i natychmiast do nich wróciły, pełne niedowierzania, kobiety zaś ruszyły w jej stronę.

- Nynaeve? Elayne?

- Nie inaczej. - Uśmiech Nynaeve był wymuszony, obydwie kobiety miały znieruchomiałe oczy, jakby z całej siły starały się nie dopuścić do nich niepokoju i dezaprobaty.

Min pomyślała, że w życiu nie widziała nic cudowniejszego od ich widoku.

- Do twarzy ci w tym kolorze - mówiła dalej Nynaeve. - Już dawno temu powinnaś być nosić suknie. Choć muszę przyznać, że gdy zobaczyłam cię w spodniach, zastanawiałam się, czy też ich nie nosić. - Stała bliżej, by przyjrzeć się twarzy Min i głos jej rozległ się głośniejsz. - Co się dzieje?

- Płakałaś - zauważyła Elayne. - Czy Egwene coś się stało?

Min wzdrygnęła się i obejrzała przez ramię. Na schodach, z których przed chwilą zeszła, pojawiły się *sul'dam* i *damane*, powędrowały w przeciwną stronę, do stajni i wybiegów dla koni. Na szczycie schodów stała jeszcze jedna kobieta z błyskawicami naszytymi na sukni, rozmawiała z kimś, kto jeszcze był w środku. Min chwyciła przyjaciółki za ręce i pociągnęła je w stronę portu.

- Tu wam obydwu grozi niebezpieczeństwo. Światłości, w całym Falme grozi wam niebezpieczeństwo. Tu są wszędzie *damane*, a jeśli wykryją waszą obecność... Czy wiecie, czym są *damane*? Och, nie macie pojęcia, jak dobrze was zobaczyć.

- Sądzę, że w połowie tak dobrze, jak zobaczyć ciebie - odparła Nynaeve. - Czy wiesz, gdzie jest Egwene? Czy jest w którymś z tych budynków? Czy jest zdrowa?

Min zawahała się na ułamek sekundy, zanim odparła: - Lepiej niż można się było spodziewać. - Min doskonale wiedziała, że jeśli im powie, co się właśnie w tej chwili dzieje z Egwene, to rozwścieczona Nynaeve najprawdopodobniej zawróci, próbując położyć temu kres.

"Światłości, żeby to już się skończyło. Światłości, niech ona ugnie ten swój uparty kark choć raz, zanim oni go pierwszej złamią".

- Ale nie wiem, jak ją stamtąd wyciągnąć. Poznałam pewnego kapitana, który chyba zechciałby nas wszystkie wziąć na swój statek, tylko musiałybyśmy jakoś ją tam przemycić. On nam inaczej nie pomoże, tyle najpierw musimy same działać, i nie mogę go za to winić, ale nie mam pojęcia, jak dokonać bodaj tyle.

- Statek - zamyśliła się Nynaeve. - Miałam zamiar pojechać konno na wschód, ale muszę przyznać, że bałam się tego. O ile się orientuję, nie udałoby nam się uciec przed seanchańskimi patrolami, nim opuścimy Głowę Tomaną, a podobno dalej, na Równinie Almoth, toczą się jakieś walki. W ogóle nie myślałam o statku. Mamy konie, a żadnych pieniędzy na rejs. Ile chce ten człowiek?

Min wzruszyła ramionami.

- O tym jeszcze nie rozmawiałam. Zresztą i tak nie mamy żadnych pieniędzy. Myślałam, że mogłybyśmy zapłacić dopiero, jak już przyplłyniemy. Wtedy... no cóż, przecież nie wysadziłby nas chyba w porcie, gdzie są Seanchanie. Gdziekolwiek by nas wyrzucił, byłoby lepiej niż tutaj. Problem polega na przekonaniu go, żeby w ogóle popłynął. Chce to zrobić, ale oni patrolują również port i nie ma jak sprawdzić, czy na ich statku nie ma *damane*, dopóki nie jest za późno. "Wsadźcie na mój pokład jakąś *damane* - powiedział - a natychmiast odpłynę". Potem zaczyna opowiadać o jakichś zanurzeniach, mieliznach i osłonach brzegowych. Nic z tego nie rozumiem, ale dopóki się uśmiecham i przytakuję co jakiś czas, on nie przestaje gadać, i tak myślę, że jak mu tak pozwolę gadać dostatecznie długo, to w końcu sam siebie namówi. - Wciągnęła drżący oddech, do oczu powrócił złośliwy błysk. - Tylko niestety wydaje mi się, że już nie ma czasu, by on tak dalej namawiał samego siebie. Nynaeve, oni chcą posłać Egwene do Seanchan i to już niedługo.

Elayne jęknęła głośno.

- Ale dlaczego?

- Ona potrafi znajdować rudę - wyjaśniła przygnębionym głosem Min. - Za kilka dni, powiada, a ja nie wiem, czy kilka dni wystarczy, by ten człowiek namówił samego siebie do wypłynięcia na morze. A nawet jeśli to robi, to jak zdejmiemy z niej tę splodzoną w Cieniu obręcz? Jak ją wydostaniemy z tego domu?

- Żałuję, że nie ma tu Randa. - Elayne westchnęła, a gdy obydwie na nią spojrzały, zaczerwieniła się i szybko dodała: - Cóż, on przynajmniej ma miecz. Żałuję, że nie towarzyszy nam ktoś, kto włada mieczem. Dziesięciu władających mieczem. Stu.

- Niepotrzebne nam teraz miecze ani mięśnie - oświadczyła Nynaeve - tylko mózg. Mężczyźni zazwyczaj myślą tymi włosami, które im rosną na piersi. - Roztargnionym ruchem dotknęła swoich piersi, jakby szukała czegoś, co miała ukryte pod kaftanem. - Większość.

- Potrzebowałybyśmy całej armii - orzekła Min. Jakiejś dużej armii. Seanchanie ustępowali liczebnie, gdy stanęli do walki z ludźmi z Tarabon i Arad Doman, a jednak, jak słyszałam, bez trudu wygrywali wszystkie bitwy. Pośpiesznie odciągnęła Nynaeve i Elayne na drugą stronę ulicy, nadchodziły bowiem w ich stronę jakaś *damane* i *sul'dam*. Z ulgą spostrzegła, że to popędzanie nie było konieczne, przyjaciółki obserwowały pary złączonych z sobą kobiet równie czujnie jak ona. - Ponieważ nie mamy armii, będziemy musiały to zrobić we trzy. Mam nadzieję, że któraś z was wymyśli, jak zrobić to, czego ja nie umiałam. Cały czas łamię sobie głowę, ale utykam w miejscu,

gdy dochodzi do *a'dam*, smyczy i obręczy. *Sul'dam* nie pozwalają się przypatrywać, gdy zdejmują bransoletę. Chyba mogłabym w razie potrzeby wprowadzić was do środka. Przynajmniej jedną z was. Oni mnie uważają za służącą, a służące mogą przyjmować gości, pod warunkiem, że przebywają tylko tam, gdzie mieszkają.

Nynaeve zamyśliła się, marszcząc czoło, ale jej twarz nieomal natychmiast pojaśniała, przybierając zacięty wyraz:

- Nie martw się, Min. Mam kilka pomysłów. Nie zmarnowałam tutaj czasu na próżnowaniu. Zaprowadź mnie do tego człowieka. Jeśli trudniej sobie z nim poradzić niż z członkami Rady Wioski, to obiecuję, że zjem jego kaftan.

Elayne przytaknęła, uśmiechając się szeroko, a Min poczuła pierwszy, prawdziwy przebłysk nadziei, pierwszy odkąd przybyła do Falme. Nie wiedząc nawet kiedy, zaczęła czytać w poświatach otaczających dwie kobiety. Było w nich niebezpieczeństwo, ale tego należało się spodziewać - a także nowe rzeczy, oprócz obrazów, które widziała już wcześniej, tak to czasami bywało. Nad głową Nynaeve unosił się męski pierścień z grubego złota, nad głową Elayne rozgrzane do czerwoności żelazo i topór. Była pewna, że to oznacza kłopoty, lecz one wydawały się odległe, gdzieś w przyszłości. Czytanie trwało zaledwie chwilę, a potem widziała już tylko Elayne i Nynaeve, obserwujące ją wyczekująco.

- To blisko portu - odparła.

Ulica robiła się coraz bardziej zatłoczona, w miarę jak schodziły nią w dół. Uliczni handlarze wchodzili w drogę kupcom, którzy przyjeżdżali wozami z wioski w głąbi lądu, z zamiarem pozostania w mieście do końca zimy, domokrażcy z tacami nagabywali przechodniów, Falmeńczycy w haftowanych płaszczach przepychali się przez całe rodziny wieśniaków w ciężkich kaftanach z owczych skór. Wielu ludzi uciekło tutaj ze wsi położonych dalej na wybrzeżu. Min nie widziała w tym żadnego sensu - umykali przed możliwością nawiedzenia przez Seanchan, rzucając się prosto w pewność, że znajdą się wśród nich - słyszała jednak, co robili Seanchanie zaraz po swym przybyciu do jakiejś wioski i nie mogła winić wieśniaków za ich strach. Wszyscy zginali się w ukłonach, gdy mijali ich idący pieszo Seanchanie lub gdy w górę stromej ulicy unoszono osłonięty palankin.

Min ucieszyła się, widząc, że Nynaeve i Elayne wiedzą o obowiązku kłaniania się. Tragarze o nagich torsach nie bardziej od aroganckich, zakutych w zbroje żołnierzy zwracali uwagę na ludzi, ale z pewnością ściągnęłaby na siebie ich wzrok osoba, która nie wykonała ukłonu.

Rozmawiały trochę podczas wędrówki po ulicy i z początku była bardzo zaskoczona, usłyszawszy, że przebywały w mieście zaledwie o kilka dni krócej niż Egwene i ona. Po chwili jednak przestała się dziwić, że nie spotkały się wcześniej, skoro panował tu wszędzie taki tłok. Nie chciała odchodzić zbyt daleko od Egwene, wiecznie towarzyszył jej strach, że przyjdzie w odwiedziny i stwierdzi, że Egwene już nie ma.

"I tak się właśnie stanie. O ile Nynaeve czegoś nie wymyśli".

W powietrzu unosił się coraz bardziej intensywny zapach soli i smoły, nad głowami krążyły głośno popiskujące mewy. W ludzkiej ciżbie zaczęli się pojawiać marynarze, wielu wciąż boso pomimo zimna.

Nazwa gospody została pośpiesznie zmieniona na "Trzy Kwiaty Śliwy", ale część słowa "Obserwator" wciąż przebijała przez litery namalowane bez żadnej staranności na tablicy. Mimo tłumów na ulicy, główna izba była zapełniona zaledwie w połowie, z powodu zbyt wysokich cen mało ludzi mogło sobie pozwolić na dłuższe posiedzenie przy kuflach piwa. Izbę ogrzewały, na obu jej końcach, ognie buzujące na kominkach, a tłusty karczmarz był ubrany w samą koszulę. Zmierzył wzrokiem trzy kobiety, marszcząc podejrzliwie czoło. Min domyśliła się, że tylko dzięki jej

seanchańskiej sukni nie kazał im się wynieść. Nynaeve i Elayne, w kaftanach wieśniaczek, z pewnością nie wyglądały na osoby, które mają pieniądze.

Człowiek, którego szukała, siedział samotnie w swym ulubionym miejscu, przy stole w ustawionym w kącie, mrużąc coś do swego wina.

- Masz czas na rozmowę, kapitanie Domon? - spytała.

Podniósł wzrok i pogładził się po brodzie, gdy zobaczył, że Min nie jest sama. Wciąż uważała, że wygolona górna warga stanowi z brodą dziwaczny kontrast.

- A więc przyprowadziłaś znajome, by napiły się za moje miedziaki, czy tak? No cóż, seanchański lord kupił ode mnie towar, to i miedziaków u mnie w bród. Siadajcie.

Elayne podskoczyła w miejscu, gdy znenacka ryknął: - Karczmarzu! Przynieście tu grzanego wina!

- Wszystko w porządku - uspokoiła ją Min, zajmując miejsce na końcu jednej z ław stojących przy stole. On tylko tak wygląda i ryczy jak niedźwiedź.

Elayne usiadła na drugim końcu, wyraźnie nie mogąc pozbyć się wątpliwości.

- Ja niedźwiedziem, powiadasz? - Domon zaśmiał się. - Może i tak. Ale co z tobą, dziewczyno. Już nie myślisz o wyjeździe? Ta suknia wygląda mi na seanchańską.

- Nigdy! - zapewniła go żarliwie Min, milknąc na widok posługaczki, która przyniosła im parujące wino przyprawione korzeniami.

Domon był równie ostrożny. Zaczekał, dopóki dziewczyna nie zniknie z jego monetami, i dopiero wtedy powiedział:

- Okalecz mnie Fortuno, nie chciałem cię urazić, dziewczyno. Większość ludzi woli żyć po swojemu, nie obchodzi ich, kto ma nad nimi władzę, Seanchanie czy ktoś inny.

Nynaeve wsparła łokcie o stół.

- My też chcemy żyć po swojemu, kapitanie, ale bez Seanchan. Jak rozumiem, masz zamiar niebawem odpłynąć.

- Odpłynąłbym jeszcze dziś, gdybym mógł - odparł ponurym głosem Domon. - Turak przysłała po mnie co dwa albo trzy dni, bym mu opowiadał o tym wszystkim, na com się w życiu napatrzył. Czy ja wyglądam na barda? Naprawdę myślałem, że zapodam jedną albo dwie opowieści i ruszę w swoją drogę, ale teraz coś mi się widzi, że jak przestanę go dalej zabawiać, to można będzie stawiać zakłady: puści mnie, czy każe ściąć mi głowę. Na miękkiego wygląda ten człek, a twardy jest jak żelazo i serce ma zimne jak lód.

- Czy twój statek może uniknąć spotkania z Seanchanami? - spytała Nynaeve.

- Fortuno, okalecz mnie, gdybym mógł opuścić port tak, żeby jakaś *damane* nie rozłupała "Spray" na drzazgi, to wypłynę. Jeśli nie pozwolę, by jakiś statek z *damane* na pokładzie dopłynął zbyt blisko na morzu. Wzdłuż całego wybrzeża ciągną się płycizny, a "Spray" ma niskie zanurzenie. Mogę ją wprowadzić na takie wody, że te zwaliste kadłuby Seanchanów nie zaryzykują. Muszą się strzec wiatrów, które o tej porze roku docierają blisko brzegu, a jak już... Nynaeve przerwała mu.

- To w takim razie wyruszymy w podróż razem z tobą, kapitanie. Będą nas cztery i spodziewam się, że będziesz gotów odpłynąć, jak tylko znajdziemy się na pokładzie.

Domon poskrobał się w górną wargę i wbił wzrok w wino.

- No cóż, jednak nadal pozostaje szkopuł, jak wypłynąć z portu, rozumiecie. Te *damane*...

- A jeśli ci powiem, że popłyniesz z kimś lepszym od *damane*? - spytała cicho Nynaeve.

Min wytrzeszczyła oczy, gdy zrozumiała, co zamierza Nynaeve.

Elayne mruknęła ledwie słyszalnie:

- A ty mi każesz być ostrożna.

Domon patrzył tylko na Nynaeve, czujnymi oczyma.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - wyszeptał.

Nynaeve rozchyliła płaszcz, by sięgnąć dłonią do swego karku, po czym wyciągnęła spod sukni skórzany rzemień. Na rzemieniu wisiały dwa pierścienie. Min głośno zapało dech na widok jednego z nich - to był ten sam ciężki, męski pierścień, który widziała wtedy na ulicy, gdy czytała w Nynaeve - wiedziała, że Domon wybałuszył oczy na widok tego drugiego, lżejszego, dostosowanego do szczupłego kobiecego palca. Wąż pożerający własny ogon.

- Wiesz, co to jest - powiedziała Nynaeve i już miała schować pierścień z węzłem z powrotem, ale Domon zamknął na nim swą dłoń.

- Ukryjże go gdzieś.

Niespokojnym wzrokiem omiótł wnętrze gospody, Min nie zauważyła, by ktoś na nich patrzył, ale Domon tak się zachowywał, jakby wszyscy się gapili.

- Niebezpieczny to pierścień. Gdyby go zobaczono...

- Trzeba najpierw wiedzieć, co on oznacza - powiedziała Nynaeve ze spokojem, którego Min jej zazdrościła. Wyjęła rzemień z dłoni Domona i zawiązała go wokół swej szyi.

- Ja wiem - odparł ochryple. - Ja wiem, co on oznacza. Może jest szansa, gdybyś... Cztery, powiadasz? Jak rozumiem, będzie wśród nich ta dziewczyna, która lubi słuchać mojego mielenia ozorem. Oprócz niej ty i... - Spojrzał krzywo na Elayne. - To dziecko chyba nie jest... nie jest tym, co ty.

Elayne wyprostowała się ze złością, ale Nynaeve położyła dłoń na jej ramieniu i uśmiechnęła się uspokajająco do Domom.

- Ona towarzyszy mi w podróży, kapitanie. Byłbyś zdziwiony tym, co takie jak my potrafia robić, jeszcze zanim zasłużą sobie na prawo do noszenia pierścienia. Gdy będziemy wypływać, będziesz miał na statku trzy kobiety, które w razie potrzeby będą umiały walczyć z *damane*.

- Trzy - powiedział bez tchu. - Trzy to jest jakaś szansa. Może... - Twarz pojaśniała mu na chwilę, ale gdy znowu na nie spojrział, była już poważna. - Powiniennem od razu zabrać was na "Spray" i odcumować, ale, okalecz mnie Fortuno, jeśli was pierwej nie uprzedzę, co was czeka, jak tu zostaniecie, a może nawet wtedy, gdy was przyjmę na pokład. Posłuchajcie mnie i rozważcie moje słowa. Jeszcze raz ostrożnie rozejrzał się dokoła, jeszcze bardziej zniżył głos i zaczął mówić, starannie dobierając słowa. Widziałem jedną... jedną kobietę, która nosiła taki sam pierścień, pojmaną przez Seanchan. Piękna, szczupła kobietka z wielkim straż... wielkim mężczyzną, który wyglądał na takiego, co to umie posługiwać się mieczem. Jedno z nich musiało być pewnie nieostrożne, bo Seanchanie złapali ich w zasadzce. Ten wielki mężczyzna zabił sześciu, siedmiu żołnierzy, zanim sam poległ. A ta... kobieta... Otoczyli ją sześcioma *damane*, które zniemacka wyłoniły się z zaułków. Mnie się wydawało, że ona mogła... coś zrobić, wiecie, o czym mówię, ale... ja się na tym nie wyznaję. Wyglądała tak, jakby mogła zniszczyć je wszystkie, aż tu nagle na jej twarzy pojawiło się śmiertelne przerażenie i zaczęła strasznie krzyczeć.

- Odcięły ją od Prawdziwego Źródła. - Elayne zbiełała twarz.

- Nieważne - odparła spokojnie Nynaeve. - Nie pozwolimy, by nam zrobiono coś takiego.

- A jakże, oby tak się stało, jak mówisz. Ale do śmierci tego nie zapomnę. "Ryma, dopomóżcie mi". Tak właśnie krzyczała. Jedna *damane* upadła na ziemię z płaczem, ale inne nałożyły obręcz na szyję tej... kobiety, a ja wtedy... uciekłem. - Wzruszył ramionami i potarł nos, wbił wzrok w wino. - Widziałem już, jak chwymano trzy kobiety, ale mam do tego za słaby żołądek. Żeby stąd odpłynąć, pozostawiłbym na przystani własną babkę staruszkę, ale musiałem wam o tym powiedzieć.

- Egwene powiedziała, że oni wzięli do niewoli dwie takie kobiety - wolno powiedziała Min. -

Rymę z Żółtych, imienia tej drugiej nie znała.

Nynaeve skarciła ją wzrokiem i Min umilkła, czerwieniąc się. Sądząc po wyrazie twarzy Domona, mówienie mu, że Seanchanie trzymają nie tylko jedną ale dwie Aes Sedai, bynajmniej nie pomogło ich sprawie.

Nagle kapitan spojrzał na Nynaeve i pociągnął spory łyk wina.

- Czy po to tutaj jesteś? Żeby uwolnić... te dwie? Mówiłaś, że będą was trzy.

- Wiesz to, co musisz wiedzieć - oznajmiła mu Nynaeve. - Za dwa albo trzy dni musisz być gotów w każdej chwili odpłynąć. Zrobisz to, czy zostaniesz, by sprawdzić, czy jednak obetną ci głowę? Są jeszcze inne statki, kapitanie, a ja zamierzam załatwić sobie podróż na jednym z nich jeszcze dzisiaj.

Min wstrzymała oddech, silnie splatała palce ukryte pod blatem stołu.

Gdy wyszły na ulicę i zamknęły za sobą drzwi, Min ze zdziwieniem zobaczyła, że Nynaeve osuwa się ciężko na mur gospody.

- Czy jesteś chora, Nynaeve? - spytała z niepokojem.

Nynaeve odetchnęła głęboko i wyprostowała się, wygładzając kaftan.

- W przypadku niektórych ludzie - powiedziała - trzeba być bardzo pewnym siebie. Jeśli zdradzisz się choć odrobiną wahania, popchną cię w kierunku, w którym wcale nie chcesz iść. Światłości, jak ja się bałam, że on odmówi. Chodźcie, musimy jeszcze dopracować nasz plan. Nadal został nam jeden albo dwa niewielkie problemy do rozwiązania.

- Mam nadzieję, że ryby nie będą ci przeszkadzały, Min - powiedziała Elayne.

"Jeden albo dwa niewielkie problemy?" - zastanawiała się Min, idąc za nimi. Miała wielką nadzieję, że Nynaeve jest nie tylko pewna siebie.



# ROZDZIAŁ 21

## POJEDZIE PIĘCIU

Perrin zerkał czujnie na wieśniaków, z zakłopotaniem obciążając przykrótki płaszcz, haftowany na piersi, pełen nie załatanych dziur, nikt jednak nie spojrział na niego drugi raz, mimo tej dziwacznej kombinacji ubrań i topora przy biodrze. Hurin miał pod płaszczem kaftan z niebieskimi spiralami na piersi, a Mat włożył obszerne spodnie, których nogawki wydymały się ponad cholewami wysokich butów. Tylko to nadawało się do ubrania z rzeczy, które znaleźli w tamtej opuszczonej wiosce. Perrin podejrzewał, że ta też niebawem opustoszeje. W połowie kamiennych domów nikt już nie mieszkał, a przed gospodą, nieco dalej przy ulicy, stały trzy wozy zaprzężone w woły, obciążone ponad miarę przywiązanymi do nich płóciennymi powrozami stosami rzeczy. Otaczały je całe rodziny.

Gdy tak na nich patrzył, stłoczonych przy wozach i żegnających się z tymi, którzy mieli jeszcze zostać, przynajmniej na razie, stwierdził, że to wcale nie tak, by obcy nie interesowali wieśniaków: robili wszystko, by nie patrzeć w stronę ich trzech. Ci ludzie nauczyli się, że nie wolno im demonstrować zaciekawienia obcymi, nawet tymi, którzy nie wyglądali na Seanchan. Czasy były takie, że obecność kogoś obcego na Głowie Tomana mogła się wiązać z zagrożeniem. Z taką samą gorliwą obojętnością spotykali się w innych wioskach. W odległości kilku lig od wybrzeża znajdowało się też kilka małych miast, uważających się za autonomiczne. W każdym razie do czasu pojawienia się Seanchan.

- Powiadam, że najwyższa pora przyprowadzić konie - powiedział Mat - zanim ci ludzie postanowią zadawać pytania. Musi wreszcie dojść kiedyś do tego.

Hurin wpatrywał się w wielki, poczerniały krąg ziemi, który naznaczył zbrązowiałą trawę wioskowej łąki. Krąg był już stary, ale nikt nic nie zrobił, by go usunąć.

- Jakies sześć do ośmiu miesięcy temu - mruknął - i nadal cuchnie. Cała Rada Wioski i ich rodziny. Dlaczego oni to zrobili?

- Kto wie, dlaczego oni coś robią? - burknął Mat - Seanchanie wyraźnie nie potrzebują pretekstu, by móc zabijać ludzi. W każdym razie mnie żaden do głowy nie przychodzi.

Perrin usiłował nie patrzeć na wypalony obszar.

- Hurin, uważasz, że z tym Fainem to pewne? Hurin? Odkąd wjechali do tej wioski, trudno było zmusić wężyciela, by spojrział na cokolwiek innego.

- Hurin!

- Co? Ach tak. Fain. - Nozdrza Hurina rozděły się i natychmiast zmarszczył nos. - Nie ma wątpliwości, mimo że ślad jest stary. W porównaniu z nim Myrddraal pachnie jak róża. Na pewno tędy przechodził, ale wydaje mi się, że był sam. W każdym razie bez trolloków, a jeśli byli z nimi jacyś Sprzymierzeńcy Ciemności, to ostatnio nie dali się nikomu za bardzo we znaki.

Przed gospodą zapanowało nagle poruszenie, ludzie krzyczeli i coś sobie pokazywali. Nie Perrina i towarzyszących mu dwóch mężczyzn, lecz coś na niskich wzgórzach na wschód od wioski, czego Perrin nie mógł dojrzeć.

- Czy teraz możemy dosiąść koni? - spytał Mat. - To mogą być Seanchanie.

Perrin skinął głową i ruszyli biegiem w stronę opuszczonego domu, na tyłach którego przywiązali konie. Gdy Mat i Hurin zniknęli za rogiem, Perrin obejrzał się ponownie na gospodę i ze zdziwienia zatrzymał. Do osady wjeżdżała długa kolumna Synów Światłości.

Dopadł do swych towarzyszy.

- Białe Płaszcze!

Wgapili się w niego z niedowierzaniem, marnując na to zaledwie sekunde, i natychmiast wspięli na siodła. Oddzieleni od głównej ulicy rzędem domów, galopem opuścili wioskę i ruszyli na zachód, przez ramię wypatrując pogoni. Ingtar nakazał im unikać wszystkiego, co mogłoby ich zatrzymać, a pytania Białych Płaszczy z pewnością miałyby taki skutek, gdyby nawet udało im się udzielić zadowolających odpowiedzi. Perrin oglądał się najczęściej, miał własne powody, dla których nie chciał spotykać Białych Płaszczy.

"Ten topór w moich dłoniach. Światłości, czego ja bym nie zrobił, żeby to zmienić".

Skapo zalesione wzgórza niebawem przesłoniły wioskę i Perrin zaczął mieć nadzieję, że może wcale ich nie ścigają. Ściągnął wodze i dał pozostałym znak, by się zatrzymali. Zrobili to, z pytającymi spojrzeniami, a on tymczasem zaczął nasłuchiwać. Miał słuch bardziej jeszcze wyostrzony niż kiedykolwiek, ale nie słyszał stukotu kopyt.

Niechętnie wyprawił umysł na poszukiwanie wilków. Znalazł je prawie natychmiast, niewielkie stado, przeczekujące dzień na wzgórzach górujących nad wsią, z której oni właśnie uciekli. Nastąpiło kilka chwil zdumienia tak głębokiego, jakby on sam je czuł. Te wilki słyszały pogłoski, w które raczej nie uwierzyły, że są tacy dwu-nodzy, którzy potrafią z nimi rozmawiać. Mocno się spocił przez te kilka chwil, które musiały upłynąć, zanim uporał się z przedstawianiem siebie - zamiast swojego imienia przesłał wizerunek Młodego Byka i zgodnie z obyczajem obowiązującym wśród wilków uzupełnił go własnym zapachem, wilki bardzo dbały o ceremoniał pierwszych spotkań - ale w końcu udało mu się zadać pytanie. Dwu-nodzy, którzy nie potrafili z nimi rozmawiać, wcale ich nie zainteresowali, w końcu jednak zechciały zejść ze zbocza i rozejrzeć się, nie zauważone przez tępe oczy dwu-nogich.

Po jakimś czasie napłynęły do niego obrazy tego, co zobaczyły wilki. Jeźdźcy w białych płaszczach wypełnili całą wioskę, przeszukiwali domy i objeżdżali jej granice, żaden jednak jej nie opuścił. Wilki twierdziły, że czują, jak na zachód podąża tylko on i dwóch innych dwu-nogich, razem z trzema na twardych stopach.

Perrin z wdzięcznością zakończył kontakt z wilkami. Wiedział, że Hurin i Mat mu się przyglądają.

- Nie jadą za nami - powiedział.

- Jak możesz być tego pewien? - spytał go zapalczywy Mat.

- Jestem! - warknął, po czym łagodniej dodał: - Po prostu jestem.

Mat otworzył i zaraz zamknął usta, a w końcu powiedział:

- Cóż, skoro nas nie ścigają, to moim zdaniem powinniśmy wrócić do Ingtara i wyruszyć po śladach Faina. Sztylet sam tu nie przyjdzie, jeśli będziemy na niego czekali.

- Nie możemy podjąć tropu tak blisko wioski - odparł Hurin. - nie ryzykując, że wpadniemy na Białe Płaszcze. Nie sądzę, by lord Ingtar to pochwalił, ani też Verin Sedai.

Perrin skinął głową.

- Za kilka mil i tak go znajdziemy. Musimy się tylko pilnować. Jesteśmy już blisko Falme. Nic nam z tego nie przyjdzie, jeśli unikniemy Białych Płaszczy, a w zamian wpakujemy się na seanchański patrol.

Gdy znowu ruszyli w drogę, cały czas się zastanawiał, co tu robią Białe Płaszcze.

Siedzący w siodle Geońam Bornhald omiół wzrokiem panoramę wiejskiej ulicy, a tymczasem jego legion rozproszył się po niewielkiej osadzie i otoczył ją pierścieniem. W sylwetce barczystego mężczyzny, który umknął im z widoku, było coś, co połaskotało jego pamięć.

"Tak. Oczywiście. To ten chłopak, który twierdził, że jest kowalem. Jak on się nazywał?"

Zatrzymał się przed nim Byar, przykładając dłoń do serca.

- Wioska zabezpieczona, lordzie kapitanie.

Odziani w owcze skóry wieśniacy kłębili się niespokojnie, gdy żołnierze w białych płaszczach spędzali ich w stronę przeładowanych fur stojących przed gospodą. Zapłakane dzieci przywierały kurczowo do spódnic matek, nikt się jednak nie buntował. Z dorosłych twarzy wystawały tępe oczy, biernie czekające na dalsze wydarzenia. Bornhald był im wdzięczny za chociaż tyle. Wcale nie miał ochoty na dawanie tym ludziom przykładu, nie chciał też marnować czasu.

Zsiadł z konia i cisnął wodze w stronę jednego z Synów.

- Dopilnuj, by ci ludzie mieli co jeść, Byar. Umieść więźniów w gospodzie z taką ilością jedzenia i wody, jaką dadzą radę przynieść, potem każ zabić gwoździami wszystkie okna i drzwi. Niech myślą, że zostawiam tu jakichś ludzi na straży, zrozumiane?

Byar znowu dotknął serca i zawrócił konia, by krzykiem podać rozkazy. Zaganianie rozpoczęło się na nowo, do krytej płaskim dachem gospody, w tym samym czasie kilku Synów przetrząsało domy w poszukiwaniu młotków i gwoździ.

Przypatrując się mijającemu go morzu posępnych twarzy, Bornhald pomyślał, że upłyną zapewne dwa albo trzy dni, zanim ktoś z nich zdobędzie się na odwagę, by wyłamać się z gospody i odkryć, że nie pilnują jej żadni strażnicy. Te dwa albo trzy dni mu wystarczały, na razie jednak nie zamierzał alarmować Seanchan swą obecnością.

Zostawiając za sobą dostateczną liczbę żołnierzy, by śledczy uwierzyli, że cały jego legion rozproszył się po Równinie Almoth, przeprowadził ponad tysiąc Synów przez całą Głowę Tomana, do tej pory nie wywołując alarmu. Trzykrotne potyczki z seanchańskimi patrolami trwały krótko. Seanchanie przywykli, że mają do czynienia wyłącznie z podbitym wcześniej motłochem, Synowie Światłości stanowili dla nich śmiertelną niespodziankę. Niemniej jednak Seanchanie potrafili walczyć niczym hordy Czarnego i chcąc nie chcąc, stale sobie przypominał potyczkę, która kosztowała go więcej niż pięćdziesięciu ludzi. Przyjrzał się później dwóm kobietom, podziurawionym jak rzeszoto strzałami, do tej pory nie wiedział, która z nich była Aes Sedai.

- Byar!

Jeden z ludzi podał Bornhaldowi gliniany kubek zabrany z wozu, woda z niego ziębiła gardło niczym lód.

Mężczyzna o ponurej twarzy zeskoczył z siodła.

- Tak, lordzie kapitanie?

- Gdy zaatakuję wroga, Byar - wolno powiedział Bornhald - ty nie będziesz brał w tym udziału. Będziesz się przypatrywał z daleka i w razie czego zawieziesz memu synowi wiadomość o tym, co zaszło.

- Ależ lordzie kapitanie...!

- To jest rozkaz, Synu Byar! - warknął. - Masz być posłuszny, zrozumiałeś?

Byarowi zeszytniały plecy, wzrok miał wbity w dal.

- Jak każesz, lordzie kapitanie.

Bornhald przypatrywał mu się przez chwilę. Ten człowiek był gotów robić wszystko, co mu się każe, ale należało mu dać jeszcze jakiś inny powód, niż powiadamanie Daina o okolicznościach, w jakich zginął jego ojciec. Nie było to tak, jakby nie posiadał tej wiedzy, której teraz pilnie oczekiwano w Amadorze. Od tamtej bitwy z Aes Sedai - "Była nią tylko jedna, czy obydwie? Trzydziestu seanchańskich żołnierzy, dobrze wyszkolonych w walce, i dwie kobiety sprawiło, że poniosłem dwakroć większe straty niż oni". od tamtego czasu nie miał już nadziei, że opuści Głowę Tomana żywy. Przy niewielkiej szansie, że nie dopilnują tego Seanchanie, najprawdopodobniej przyczynią się do tego śledczy.

- Gdy już odnajdziesz mego syna, zapewne przebywa razem z kapitanem Eamonem Valda w pobliżu Tar Valon, i powiesz mu o wszystkim, udasz się potem do Amadoru i złożysz raport lordowi kapitanowi komandorowi. Samemu Pedronowi Niallowi, Synu Byarze. Przekażesz mu to, czego się dowiedzieliśmy o Seanchanach, spiszę to wszystko dla ciebie. Dopilnuj, by zrozumiał, iż dłużej już liczyć nie można, by wiedźmy z Tar Valon zadowolą się manipulowaniem wydarzeniami ze swego ukrycia w Cieniach. Skoro jawnie walczą dla Seanchan, to z całą pewnością możemy je napotkać wszędzie.

Zawahał się. Ostatnia sprawa była najważniejsza. Ci z Kopuły Prawdy musieli się dowiedzieć, że mimo przysiąg, którymi tak się chełpiły, Aes Sedai pomaszerują do bitwy. Na myśl o świecie, w którym podczas bitew Aes Sedai będą władały Mocą, odnosił wrażenie, że grunt zapada mu się pod nogami, i wcale nie miał przekonania, czy żał mu opuścić taki świat. Ale było jeszcze jedno przesłanie, które pragnął posłać do Amadoru.

- I jeszcze jedno, Byar... opowiedz Pedronowi Niallowi o tym; jak zostaliśmy wykorzystani przez śledczych...

- Jak każesz, lordzie kapitanie - odparł Byar, a Bornhald westchnął na widok wyrazu jego twarzy. Ten człowiek go nie rozumiał. Według Byara, rozkazy trzeba było spełniać, niezależnie od tego, kto je wydał - lord kapitan czy śledczy. Niezależnie od ich treści.

- Tę wiadomość także spiszę, byś mógł ją wręczyć Pedronowi Niallowi - obiecał.

Nie był pewien, czy to w ogóle odniesie jakiś skutek. Pochłonięty pewną myślą, spojrzął z dezaprobatą na gospodę, przy której grupa jego ludzi hałaśliwie zabijała okiennice i drzwi gwoździami.

- Perrin - mruknął. - Tak się nazywał. Perrin z Dwu Rzek.

- Sprzymierzeniec Ciemności, lordzie kapitanie?

- Być może, Byar. - Sam nie był do końca o tym przekonany, ale wszak nie mógł być niczym innym człowiekiem, który potrafił zmusić wilki, by walczyły dla niego. Wszak ten Perrin zabił dwóch jego ludzi. - Wydawało mi się, że go zauważyłem, gdy tu wjeżdżaliśmy, ale nie pamiętam, by któryś z więźniów przypominał wyglądem kowala.

- Ich kowal wyjechał miesiąc temu, lordzie kapitanie, Niektórzy tu narzekali, że też by zdążyli wyjechać przed naszym przyjazdem, gdyby nie musieli sami naprawiać swa ich wozów. Jesteś zdania, że to był ten Perrin, lordzie kapitanie?

- Nieważne, kto to był, bo nie wiadomo, gdzie teraz jest, nieprawdaż? Ale może zawiadomić Seanchan, że tu jesteśmy.

- Sprzymierzeniec Ciemności z pewnością tak by postąpił, lordzie kapitanie.

Bornhald przełknął ostatni łyk wody i cisnął kubek na ziemię.

- Ci ludzie nie dostaną żadnego pożywienia, Byar. To obojętne, kto ostrzeże Seanchan, Perrin z Dwu Rzek czy ktoś inny. Nie pozwolę, by wzięli mnie z zaskoczenia. Rozkaż wszystkim dosiąść koni, Synu Byar!

Nad ich głowami, wysoko w górze zatoczył krąg ogromny, skrzydlaty kształt, nie zauważony przez nikogo.

Rand ćwiczył figury na polanie ukrytej w gąszczu porastającym wzgórze, tam, gdzie rozbili obóz. Szukał jakiegoś zajęcia, żeby nie myśleć. Już wykorzystał swoją kolej na szukanie śladów Faina razem z Hurmem, robili to wszyscy, parami i trójkami, by nie przyciągać uwagi, i jak dotąd niczego nie znaleźli. Teraz czekali na powrót Mata i Perrina, powinni byli przybyć z wężycielem już

wiele godzin wcześniej.

Loial oczywiście czytał i nie wiadomo było, czy strzyże uszami z powodu książki czy spóźnienia zwiadowców, natomiast Uno i większość shienarańskich żołnierzy czekali w napięciu, zajęci oliwieniem mieczy albo uporczywym wpatrywaniem się w przestrzenie między drzewami, jakby się spodziewali, że lada moment pojawią się tam Seanchanie. Tylko Verin wyglądała na zupełnie niefrasobliwą. Siedziała na kłodzie przy niewielkim ognisku, mówiąc do siebie półgłosem i pisząc coś na ziemi długim patykiem, co jakiś czas potrzasała gwałtownie głową, zamazywała wszystko stopą i zaczynała od nowa. Wszystkie konie stały osiodłane i gotowe do jazdy, Shienaranie uwiązali swoje wierzchowce do lanc wbitych w ziemię.

- "Czapla Brodząca w Sitowiu" - powiedział Ingtar. Siedział wsparty plecami o drzewo, przesuwał osełką po ostrzu miecza i obserwował Randa. - Ta figura w ogóle nie powinna cię interesować. Przez nią całkiem się odsłaniasz.

Rand balansował przez chwilę na czubku stopy, z mieczem uniesionym oburącz i wycelowanym w środek głowy, po czym zgrabnie stanął na drugiej nodze.

- Lan twierdzi, że pomaga w nauce zachowania równowagi. - Zachowanie równowagi nie przychodziło mu bez trudu. W pustce często się wydawało, że utrzyma ją nawet na szczycie toczącego się głazu, nie odważył się jednak wzywać pustki. Z całego serca pragnął polegać wyłącznie na sobie.

- To, co ćwiczysz zbyt często, stosujesz potem nie myśląc. Jeśli jesteś szybki, to wpakujesz miecz w ciało drugiego człowieka, ale pierwaj on przebiję swoim twe żebra. Jakbyś go do tego zapraszał. Nie wyobrażam sobie, bym mógł nie ugodzić kogoś, kto by walczył ze mną równie odsłonięty, nawet gdybym zdawał sobie sprawę, że on może mnie później trafić.

- To tylko ćwiczenie na równowagę, Ingtar. - Rand zachybotał się na czubku stopy, musiał postawić drugą na ziemi, żeby się nie przewrócić. Schował miecz do pochwy i podniósł z ziemi szary płaszcz, służący mu za przebranie. Przeżarty przez mole i postrzępiony u dołu, ale za to podbity owczą skórą, wszak z zachodu dolatywał już zimny wiatr. - Nie mogę się już doczekać, kiedy wrócę.

Jakby tym pragnieniem dał jakiś sygnał, bo oto usłyszeli cichy, pełen napięcia głos Uno.

- Nadjeżdżają przekłęci jeźdźcy, mój panie.

Rozległ się brzęk pochew mieczy, gdy swe ostrza obnażyli ci, którzy nie zrobili tego wcześniej. Kilku wskoczyło na siodła, chwytając jednocześnie lance.

Napięcie opadło, gdy na polanę wpadli Hurin i jego towarzysze, i zaraz powróciło, gdy przemówił.

- Znaleźliśmy trop, lordzie Ingtarze.

- Doszliśmy za nim prawie do samego Falme - dodał Mat, zsiadłszy z konia.

Rumieniec na jego policzkach wyglądał jak parodia zdrowia, skóra ciasno opinała czaszkę. Shienaranie oblegli ich zwartym kręgiem, równie podnieceni jak on.

- Trop zostawił tylko Fain, ale nie mógł się udać w żadnym innym kierunku. Na pewno ma sztylet.

- Napotkaliśmy też Białe Płaszcze - oznajmił Per rin, wyskakując z siodła. - Całe setki.

- Białe Płaszcze? - wykrzyknął Ingtar, krzywiąc się. - Tutaj? Cóż, jeśli nie będą nas nękać, to my ich też nie będziemy nękali. Może Seanchanie zainteresują się nimi, będzie nam wtedy łatwiej dotrzeć do Rogu. - Jego wzrok padł na Verin, nadal siedzącą przy ogniu. - Pewnie mi powiesz, że powinienem był cię słuchać, Aes Sedai. Ten człowiek rzeczywiście udał się do Falme.

- Koło obraca się tak, jak chce - odparła pojednawczym tonem Verin. - W przypadku *ta'veren* dzieje się zawsze to, co miało się zdarzyć. Być może sam Wzór domagał się tych dodatkowych dni. Wzór precyzyjnie ustawia wszystko na swoim miejscu, a gdy próbujemy to zmienić, szczególnie, gdy

zamieszani są *ta'veren*, jego splot ulega zmianom, które na powrót umieszczają nas w tych miejscach Wzoru, w których mieliśmy się znaleźć.

Zapadła niepokojąca cisza, której Verin zdawała się nie zauważać, nadal bazgrząc leniwie patykiem.

- Teraz jednak uważam, że powinniśmy już przystąpić do sporządzania planu. Wzór nareszcie przywiódł nas do Falme, gdzie znajduje się Róg Valere.

Ingтар przykucnął po przeciwnej stronie ogniska.

- Gdy wielu ludzi powtarza to samo, to na ogół wierzę, a miejscowi twierdzą, że Seanchan jakby nie interesowało, kto przybywa albo wybywa z Falme. Zabiorę Hurina i kilku żołnierzy do miasta. Gdy już dotrzemy po tropie do Rogu... cóż, wtedy zobaczymy to, co zobaczymy.

Verin zamazała stopą koło, które właśnie naszkicowała w ziemi. Na jego miejscu narysowała dwie krótkie kreski, stykające się końcami.

- Ingтар i Hurin. A także Mat, ponieważ on wyczuje sztylet, jeśli znajdzie się dostatecznie blisko. Chcesz jechać, prawda, Mat?

Mat był wyraźnie zakłopotany, ale skwapliwie przytaknął.

- Muszę, nieprawdaż? Muszę znaleźć sztylet.

Trzecia kreska utworzyła odcisk ptasiej łapy. Verin zerknęła z ukosa na Randa.

- Pojadę - zapewnił ją. - Po to przecież tu jestem.

W oczach Verin pojawiło się dziwne światło, domyślny błysk, pod wpływem którego Randowi zrobiło się nieswojo.

- By Matowi pomóc w odnalezieniu sztyletu - powiedział oschłym tonem - a Ingтарowi w odnalezieniu Rogu.

"A także przez Faina - dodał w duchu. - Muszę znaleźć Faina, o ile nie jest za późno".

Verin wryła czwartą kreskę, zmieniając ślad ptasiej łapy w koślawą gwiazdę.

- I kto jeszcze? - spytała łagodnym głosem. Trzymała patyk w powietrzu.

- Ja - odezwał się Perrin, o ułamek sekundy wyprzedzając Loiala, który wszedł mu w słowo swoim: - Ja chyba też chciałbym jechać - a także Uno i pozostałych Shienaran, którzy podnieśli wrzawę, że też chcą się przyłączyć.

- Perrin był pierwszy - powiedziała Verin, jakby to przesądzało sprawę. Dodała piątą kreskę i otoczyła wszystkie pięć kołem.

Randowi włosy stanęły dęba, takie samo koło przedtem zamazała.

- Pojedzie pięciu - mruknęła.

- Naprawdę chciałbym zobaczyć Falme - odezwał się Loial. - Nigdy nie widziałem oceanu Aryth. A poza tym mogę nieść szkatułę, jeśli Róg nadal jest w niej trzymany.

- Zabierz choć mnie, mój panie - powiedział Uno. - Ty i lord Rand będziecie potrzebowali, by ktoś was wspierał mieczem, jeśli ci cholerni Seanchanie spróbują was zatrzymać.

Pozostali żołnierze oznajmili hałaśliwie, że są tego samego zdania.

- Nie bądźcie głupi - ofuknęła ich Verin. Pod wpływem jej wzroku umilkli. - Wszyscy jechać nie możecie, Nieważne jak niefrasobliwi są Seanchanie wobec obcych, z pewnością zauważą dwudziestu żołnierzy, a wy nawet bez zbroi wyglądacie na żołnierzy. Poza tym jeden albo dwóch więcej niczego nie zmieni. Pięciu to dostatecznie mało, by wjechać do miasta bez zwracania uwagi, a ponadto stosowną jest rzeczą, by wśród nich byli ci jadący z nami trzej *ta'veren*. Nie, Loial, ty też musisz zostać. Na Głowie Tomane nie ma żadnych ogirów. Przyciągałbyś uwagę, tak samo jak inni.

- Co z tobą? - spytał Rand.

Verin pokręciła głową.

- Zapomniałeś o *damane*. - Przy wypowiedzianiu tego słowa niesmak wykrzywił jej usta. - Pomóc mogłabym jedynie poprzez przenoszenie Mocy, a ściągnając na was *damane*, bynajmniej pomocna nie będę. Taka *damane* nie musi znajdować się blisko, by widzieć, ona wyczuje przenoszącą kobietę albo przenoszącego mężczyznę, skoro już o tym mowa, jeśli się nie dopilnuje, by ilość przenoszanej Mocy była niewielka.

Nie spojrzała na Randa, któremu się wydało, że ona nie patrzy na niego ostentacyjnie, natomiast Mat i Perrin poderwali się na nogi, nagle zaalarmowani.

- Mężczyzna - zachnął się Ingtar. - Verin Sedai, po cóż piętrzyć problemy? Dość ich mamy bez podejrzewania mężczyzn o przenoszenie. Szkoda jednak, że cię tam nie będzie. Gdybyśmy cię potrzebowali...

- Nie, musicie pojechać w piątkę. - Verin przejechała stopą po kole wyrysowanym w błocie, częściowo je zamazując. Marszcząc czoło popatrzyła uważnie na każdego z nich po kolei. - Pojedzie pięciu.

Przez chwilę wydawało się, że Ingtar znowu będzie zadawał jej pytania, napotkawszy jednak twardego wzrok, wruszył ramionami i zwrócił się do Hurina.

- Jak daleko stąd do Falme?

Węszyciel podrapał się po głowie.

- Gdybyśmy wyruszyli zaraz i jechali całą noc, byłibyśmy tam przed wschodem słońca.

- No to właśnie tak zrobimy. Dość marnowania czasu. Wszyscy osiodłajcie konie. Uno, poprowadzisz wszystkich za nami, tylko kryjcie się i nie pozwólcie, by...

Gdy Ingtar kontynuował wydawanie poleceń, Rand przyjrzał się rysunkowi. Przedstawiał teraz popsute koło, miało tylko cztery szprychy. Nie wiedzieć czemu na ten widok poczuł dreszcz. Zauważył, że Verin go obserwuje swymi ciemnymi oczyma, pojaśniałymi teraz i czujnymi jak u ptaka. Z nie lada wysiłkiem oderwał wzrok i zaczął zbierać swój dobytek.

"Pozwalasz, by wyobraźnia zwodziła cię na manowce - skarcił się z irytacją. - Ona nie będzie mogła nic zrobić, jeśli jej tam nie będzie".

# ROZDZIAŁ 22

## MISTRZ MIECZA

Wschodzące słońce wypchnęło swój purpurowy brzeg ponad linię horyzontu, rozścielając długie cienie po wiodących do portu brukowanych ulicach Falme. Morska bryza rozwiewała unoszący się z kominów dym ogni, na których warzono poranną strawę. Na razie progi domostw opuścili tylko ci, którzy zwykli wstawać tak wcześnie, oddechy parowały im na porannym zimnie. W porównaniu z tłumami, które za godzinę miały wypełnić ulice, miasto wyglądało na nieomal opustoszałe.

Siedząc na przewróconej do góry dnem beczce, przed jeszcze zamkniętym sklepem z towarami żelaznymi, Nynaeve grzała dłonie, wsunawszy je pod pachy i dokonywała przeglądu swej armii. Nieco dalej na jednym z progów siedziała Min, odziana w seanchański płaszcz jadła pomarszczoną śliwkę. Elayne w kaftanie z owczej skóry kuliła się u wylotu jakiejś alejki, wychodzącej na ulicę. Obok Min leżał złożony w równą kostkę wielki wór ukradziony na przystani.

"Moja armia - pomyślała ponuro Nynaeve. - Ale nikogo innego tu nie mam".

Kątem oka spostrzegła *sul'dam i damane*, wspinające się w górę ulicy, dwie ziewające z niewyspania kobiety, jasnowłosą z bransoletą na dłoni i ciemnowłosą w obręczy. Nieliczni mieszkańcy Falme, którzy dzielili z nimi tę samą przestrzeń na ulicy, odwracali wzrok i omijali je z daleka. Innych Seanchan w zasięgu wzroku, aż do samego portu, nie widziała. Nie odwróciła głowy w drugą stronę. Przeciągnęła się natomiast i wzruszyła ramionami, jakby chciała rozgimnastykować zziębnięte ramiona, zanim znowu usiądzie w ten sam sposób co przedtem.

Min cisnęła na bok do połowy zjedzoną śliwkę, popatrzyła obojętnym wzrokiem w górę ulicy i oparła się o futrynę drzwi. Tam droga także była wolna, bo inaczej ułożyłaby ręce na kolanach. Zaczęła nerwowo rozcierać dłonie, a Nynaeve zauważyła, że Elayne podskakuje nerwowo na czubkach palców.

"Jeśli one nas zdadzą, to złapię je za głowy i rozbiję o siebie".

Wiedziała jednak, że jeśli wpadną, do Seanchan będzie należała decyzja, co się z nimi stanie. Doskonale zdawała sobie sprawę, że nie ma zielonego pojęcia, czy jej plan się powiedzie. Równie łatwo mogły się zdradzić z powodu jej potknięcia. Raz jeszcze powzięła postanowienie, że jeśli coś się nie uda, to w jakiś sposób ściągnie na siebie uwagę, by w tym czasie Min i Elayne mogły uciec. Co zrobi potem, nie wiedziała.

"Oprócz tego, że żywcem mnie nie wezmą. Światłości, błagam, tylko nie to".

*Sul'dam i damane*, które pojawiły się na ulicy, niebawem znalazły się we wnętrzu trójkąta utworzonego przez trzy zaczajone kobiety. Kilkunastu mieszkańców Falme zachowało spory dystans od złączonej pary.

Nynaeve gromadziła w sobie cały swój gniew. Wzięte Na Smycz i Dzierżące Smycz. To one nałożyły tę obrzydliwą obręcz na szyję Egwene i gdyby mogły, to nałożyłyby ją też na jej szyję i szyję Elayne. Kazała Min opowiedzieć, w jaki sposób *sul'dam* narzucają swoją wolę. Była przekonana, że Min część zataiła, tę najgorszą, ale to, co powiedziała, wystarczyło, by doprowadzić ją do białej gorączki. W mgnieniu oka blady kwiat na czarnym tle kolczastej gałęzi rozchylił się ku światłu, ku *saidarowi*, i wypełniła ją Jedyna Moc. Wiedziała, że otacza ją poświata w oczach tych, które potrafią to zobaczyć. Jasnoskóra *sul'dam* wzdrygnęła się, a ciemna *damane* otworzyła szeroko usta, lecz Nynaeve nie dała im żadnej szansy. Moc, którą przeniosła, pociekła zaledwie małym strumyczkiem, ale i tak strzeliła z niego, niczym z bata, wznecając drobiny kurzu w powietrze.



Srebrna obręcz otworzyła się gwałtownie i ze szcękami upadła na kamienie bruku. Nynaeve poderwała się na nogi, wydając głębokie westchnienie ulgi.

*Sul'dam* wpatrywała się wytrzeszczonymi oczyma w leżącą obręcz, jakby to był jadowity wąż. *Damane* przyłożyła drżącą dłoń do gardła, zanim jednak kobieta w sukni oznaczonej błyskawicami zdążyła się poruszyć, *damane* odwróciła się i z całej siły zdzieliła ją pięścią w twarz, pod *sul'dam* ugięły się kolana i mało brakowało, by upadła.

- Dobrze ci tak! - krzyknęła Elayne. Też biegła już do przodu, za nią Min.

Zanim któraś z nich dotarła do dwóch kobiet, *damane* rozejrzała się spłoszonym wzrokiem dookoła i pobiegła co sił w nogach przed siebie.

- Nic ci nie zrobimy! - zawołała za nią Elayne. Jesteśmy przyjaciółkami!

- Cicho bądź! - syknęła Nynaeve. Wyciągnęła z kieszeni zwinięty gałgan i bezlitośnie wepchnęła go do rozdziawionych ust wciąż chwiejącej się *sul'dam*. Min pośpiesznie otrzepała worek z piasku i nałożyła go na głowę *sul'dam*, kryjąc kobietę do pasa. - Już przyciągnęliśmy za dużo uwagi.

Była to prawda, lecz nie do końca. Wszystkie cztery stały na środku gwałtownie pustoszejącej ulicy, lecz ludzie, którzy raptem zdecydowali, że wolą znaleźć się gdzie indziej, unikali patrzenia na nie. Nynaeve liczyła na to - na to, że ludzie będą za wszelką cenę ignorowali wszystko, co ma cokolwiek wspólnego z Seanchanami - dzięki czemu mogły zyskać kilka minut. Potem będą mówili, ale tylko. szeptem; mogło upłynąć wiele godzin, zanim Seanchanie dowiedzą się, że coś się stało.

Zakapturzona kobieta zaczęła się wrywać, wydawać zduszone jęki, lecz Nynaeve i Min zarzuciły wokół niej ramiona i z wielkim wysiłkiem zawlokły do pobliskiej alejki. Smycz i obręcz wlokły się za nimi z brzękiem po bruku.

- Podnieś to - warknęła Nynaeve w stronę Elayne. - Nie ugryzie cię!

Elayne zrobiła głęboki wdech, potem zebrała srebrzysty metal tak ostrożnie, jakby potwornie się go bała. Nynaeve współczuła jej, ale tylko trochę - plan mógł się powieść jedynie pod warunkiem, że każda z nich będzie postępowała zgodnie z nim.

*Sul'dam* wierzgała nogami i usiłowała się wyswobodzić, jednakże Nynaeve i Min zmusiły ją, by szła przed siebie, przez alejkę do drugiego, nieco szerszego przejścia na tyłach domów, potem do następnej alejki i wreszcie do prostej, drewnianej szopy, w której kiedyś musiano trzymać dwa konie, sądząc po ilości przegród. Od najazdu Seanchan mało kto mógł sobie pozwolić na trzymanie koni, a tamtego dnia, gdy Nynaeve pełniła wartę, nikt się do tej szopy nie zbliżył. Stęchły kurz, unoszący się we wnętrzu, świadczył, że budynek porzucono już bardzo dawno. Gdy znalazły się w środku, Elayne z miejsca cisnęła srebrną smycz na ziemię i wytarła ręce wiązka siana.

Nynaeve przeniosła jeszcze jeden strumyczek i na zakurzoną podłogę upadła bransoleta. *Sul'dam* zaskowityła i zaczęła się miotać we wszystkie strony.

- Gotowe? - spyła Nynaeve.

Obydwie przytaknęły i zerwały worek z głowy pojmanej.

*Sul'dam* zacharczała, niebieskie oczy łzawiły od kurzu, twarz miała czerwoną nie tylko od szorstkiej materii worka, lecz również z gniewu. Rzuciła się w stronę drzwi, ale złapały ją już po pierwszym kroku. Nie była słaba, lecz ich było trzy, a gdy skończyły działać, *sul'dam* leżała w jednej z przegród, w samej bieliźnie, z rękoma i nogami związanymi mocnym sznurkiem, którego dodatkowym kawałkiem umocowały knebel.

Gładząc obrzmiałą wargę, Min przyglądała się sukni ozdobionej błyskawicami i wysokim butom z miękkiej skóry.

- Chyba będą na ciebie dobre, Nynaeve. Na mnie i Elayne nie pasują.

Elayne wygrzebywała słomę z włosów.

- Sama widzę. Ty i tak w ogóle nie wchodziłaś w rachubę. Za dobrze cię znają. - Nynaeve rozebrała się pośpiesznie. Rzuciła swoje rzeczy na bok i wdziała suknię *sul'dam*. Min pomogła jej zapiąć guziki.

Potem z trudem wciągnęła trochę za ciasne buty. Suknia piła trochę tylko w pasie, w innych miejscach była luźna. Rąbkiem sięgała prawie do ziemi, niżej niż na noszącej ją *sul'dam*, ale na Elayne lub Min wyglądałaby jeszcze gorzej. Sięgnęła po bransoletę, zrobiła głęboki wdech i zapięła ją na lewym nadgarstku. Końcówki szczepiły się z sobą, zapięcie wyglądało na mocne. Nie czuło się, że jest to coś innego niż zwykła bransoletka. Bała się, że będzie inaczej.

- Włóż suknię, Elayne.

Przefarbowwały dwie suknie - jedną należącą do niej, drugą do Elayne - na szarą barwę *damane*, w każdym razie w najbardziej zbliżonym doń odcieniu, jaki udało im się uzyskać, i ukryły je tutaj. Elayne nie ruszała się, tylko oblizywała wargi, wpatrzona w otwartą obręcz.

- Elayne, musisz to założyć. Za wiele osób widziało Min, by ona to mogła zrobić. Sama bym to zrobiła, gdyby suknia pasowała na ciebie.

Czuła, że pewnie by oszalała, gdyby to ona musiała włożyć obręcz, dlatego właśnie nie potrafiła przemawiać teraz surowym tonem do Elayne.

- Wiem - westchnęła Elayne. - Żałuję tylko, że nie wiem dokładnie, co to robi z człowiekiem. - Odrzuciła do tyłu swe rudozłote włosy. - Min, pomóż mi, proszę.

Min zaczęła odpinać guziki na plecach jej sukni.

Nynaeve jakimś cudem udało się nie wzdrygnąć, gdy podnosiła srebrną obręcz.

- Istnieje tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić. Wahając się tylko chwilę, pochyliła się i zatrzasnęła ją na szyi *sul'dam*.

"Zasługuje na to jak mało kto" - zapewniła się w duchu.

- Zresztą może powie nam coś użytecznego. Niebieskooka kobieta zerknęła na smycz ciągnącą się od jej karku do nadgarstka Nynaeve, po czym podniosła wzrok z wyraźną pogardą.

- To nie działa w ten sposób - powiedziała Min, ale Nynaeve ledwie słuchała.

Była... czuła... tę drugą kobietę, wiedziała, co ona czuje, czuła sznur wpijający się w jej kostki i przeguby dłoni, związane na plecach, zjełczały, rybny posmak szmat w jej ustach, słomę kłującą przez cienką tkaninę bielizny. Nie było to tak, jakby to ona, Nynaeve, czuła to wszystko, w jej umyśle jednak pojawiła się bryła doznań, należących, jak wiedziała, do *sul'dam*.

Przełknęła ślinę, starając się je ignorować - nie znikwały - i przemówiła do związanej kobiety.

- Nic ci nie zrobię, jeśli odpowiesz na moje pytania zgodnie z prawdą. Nie jesteśmy Seanchankami. Ale jeśli mnie okłamiesz... - Zagroziła jej podnosząc smycz.

Ramiona kobiety zatrzęsły się, usta opasujące knebel wywinął szydarczy grymas. Nynaeve dopiero po chwili zrozumiała, że *sul'dam* się śmieje.

Zacisnęła usta, po chwili zaś wpadła na pewien pomysł. Wiązka doznań w jej głowie najwyraźniej stanowiła zbiór wszystkiego, co ta kobieta odczuwała fizycznie. Tytułem eksperymentu spróbowała coś do tego dodać.

Z oczyma nagle tak wytrzeszczonymi, jakby zaraz miały wyskoczyć z orbit, *sul'dam* wydała głośny okrzyk, ledwie tłumiony przez knebel. Trzepocząc dłońmi związanymi na plecach, jakby próbowała coś odegnąć, miotając się na sianie, na próżno usiłując uciec.

Nynaeve rozdziawiła usta i pośpiesznie pozbyła się da danych przez siebie doznań. Całkiem wyprana z sił *sul'dam* padła na siano, zanosząc się płaczem.

- Co... Coś ty... Co ty jej zrobiłaś? - spytała słabym głosem Elayne.

Min tylko patrzyła z szeroko otwartymi ustami.

Nynaeve odburknęła.

- To samo, co Sheriam z tobą, gdy rzuciłaś filiżanką w Marith.

"Światłości, cóż to za paskudztwo".

Elayne głośno przełknęła ślinę.

- Och.

- Ale działanie *a'dam* na tym nie polega - powiedziała Min. - *Sul'dam* zawsze twierdziły, że *a'dam* nie ma wpływu na kobietę, która nie potrafi przenosić.

- Nie obchodzi mnie, jak to działa, dopóki działa. - Nynaeve schwyciła srebrną smycz w miejscu, w którym łączyła się z obręczą i poderwała kobietę z ziemi, by spojrzeć jej w oczy. W przerażone oczy, jak zauważyła. - Wysłuchasz mnie i to uważnie. Chcę odpowiedzi, a jeśli mi ich nie udzielisz, to będzie ci się wydawało, że obdarłam cię ze skóry.

Na twarzy kobiety pojawił się wyraz najczystszej przerażenia, a Nynaeve zrobiło się mdło, pojęła bowiem, że *sul'dam* odebrała jej słowa dosłownie.

"Ona uważa, że to zrobię, bo to zna. Do tego właśnie służą smycze".

Wzięła się w ryzy, żeby nie zerwać bransolety z nadgarstka, przybrała twardy wyraz twarzy.

- Jesteś gotowa mi odpowiadać? Czy potrzebujesz dalszego przekonywania?

Za odpowiedź wystarczyło gwałtowne potrząśnięcie głową. Gdy Nynaeve wyjęła knebel, kobieta przełknęła tylko ślinę i zaraz zaczęła gadać jak najęta.

- Nie doniosę na ciebie. Przysięgam. Tylko zdejmij to z mojej szyi. Mam złoto. Bierz je. Przysięgam, nikomu nie powiem.

- Cicho bądź - skarciła ją Nynaeve i kobieta natychmiast zamknęła usta. - Jak się nazywasz?

- Seta. Błagam. Będę odpowiadała, tylko błagam... zdejmij... to... ze mnie! Jeśli ktoś to na mnie zobaczy... Oczy Sety powędrowały w stronę smyczy i natychmiast skryły się za zaciśniętymi powiekami. - Proszę - szepnęła.

Nynaeve pojęła jedną rzecz. Nie będzie zmuszała Elayne, by założyła tę obręcz.

- Kończmy z tym wreszcie - powiedziała stanowczym tonem Elayne. Też była już w samej bieliźnie. - Daj mi tylko chwilę, to ubiorę tę suknię, a...

- Włóż z powrotem swoje rzeczy - odparła Nynaeve.

- Ktoś musi udawać *damane* - sprzeciwiła się Elayne - bo inaczej nigdy nie dotrzemy do Egwene. Ta suknia pasuje na ciebie, a Min żadną miarą nie może nią być. A więc zostają ja.

- Powiedziałam, włóż swoje rzeczy. Mamy tu kogoś, kto będzie naszą Wziętą Na Smycz. - Nynaeve szarpnęła za smycz, na której uwiązana była Seta.

*Sul'dam* jęknęła głucho.

- Nie! Nie, błagam! Jeśli ktoś mnie zobaczy... - urwała, widząc zimny wzrok Nynaeve.

- Jeśli idzie o moje zdanie, jesteś czymś gorszym od mordercy, od Sprzymierzeńca Ciemności. Już gorzej o tobie myśleć nie potrafię. Mdli mnie przez sam fakt, że muszę nosić to coś na mojej ręce, stać się kimś takim jak ty choćby tylko na godzinę. Jeśli więc myślisz, że będę się wzdragała przed zrobieniem tobie czegoś, to jeszcze raz się zastanów. Naprawdę nie chcesz, żeby cię widziano? Znakomicie. My też nie. Ale nikt raczej nie przygląda się *damane*. Dopóki będziesz szła ze spuszczoną głową, tak jak się tego wymaga od Wziętej Na Smycz, dopóty nikt cię nie zauważy. Lepiej jednak, byś dołożyła wszystkich starań, by nikt również nie zauważył nas. Jeśli zauważą nas, to z pewnością również ciebie, a jeśli to nie wystarczy, byś uważała, to obiecuję, że będziesz przeklinała ten pierwszy pocałunek, którym twoja matka obdarzyła twego ojca. Rozumiemy się?

- Tak - odparła Seta omdlewającym głosem. - Przysięgam.

Nynaeve musiała zdjąć bransoletę, by mogły przeciągnąć pod smyczą ufarbowaną na szaro

suknię Elayne i ubrać w nią Setę. Nie pasowała na nią najlepiej, zbyt luźna w pasie i obcisła na biodrach, ale suknia Nynaeve nie byłaby lepsza, a nadto zbyt krótka. Nynaeve miała nadzieję, że ludzie rzeczywiście nie patrzą na *damane*. Z niechęcią włożyła z powrotem bransoletę.

Elayne pozbierała rzeczy Nynaeve, owinęła je zapasowi szarą suknią i zrobiła z nich tobołek, tobołek dla kobiety w wiejskim ubraniu, która miała go dźwigać za *sul'dam i damane*.

- Gawyn wydrze sobie serce, jak o tym usłyszy powiedziała i roześmiała się z wyraźnym przymusem.

Nynaeve obejrzała dokładnie najpierw ją, potem Min.

Nadeszła kolej na najbardziej ryzykowną część przedsięwzięcia.

- Jesteście gotowe?

Uśmiech Elayne zbladł.

- Jestem gotowa.

- Gotowa - odparła zwięźle Min.

- Dokąd wy... dokąd... idziemy? - spytała Seta i szybko dodała: - O ile wolno mi spytać.

- Do jaskini Iwa - wyjaśniła jej Elayne.

- Na tańce z Czarnym - powiedziała Min. Nynaeve westchnęła i potrząsnęła głową.

- One próbują powiedzieć, że idziemy tam, gdzie trzymane są *damane* i że mamy zamiar uwolnić jedną z nich. Seta nadal wytrzeszczała oczy ze zdumienia, gdy pośpiesznie wyгнаły ją z szopy.

Bayle Domon obserwował wschód słońca z pokładu swego statku. Doki zaczynały tętnić życiem, mimo że ulice opadające w stronę portu zasadniczo były jeszcze puste. Poczłł na sobie wzrok mewy, która przycupnęła na poręczy - mewy miały bezlitosne oczy.

- Jesteś pewien, kapitanie? - spytał Yarin. - Jeśli Seanchanie zaczną dociekać, co my wszyscy robimy na pokładzie...

- Ty masz tylko dopilnować, by obok każdej cumy znajdował się topór - odparł szorstkim tonem Domon. I jeszcze jedno, Yarin. Rozpłatom głowę temu, kto przetnie linę wcześniej, zanim te kobiety znajdą się na pokładzie.

- A jeśli nie przyjdą, kapitanie? A jeśli zamiast nich pojawią się seanchańscy żołnierze?

- Uspokój bebechy, człowieku! Jeśli pojawią się żołnierze, to będę uciekał w stronę pełnego morza i niechaj Światłość zlituje się nad nami wszystkimi. Dopóki jednak do tego nie dojdzie, zamierzam czekać na te kobiety. A teraz zacznij udawać, że nie jesteś zajęty żadną robotą.

Domon ponownie powiódł wzrokiem w stronę tej części miasta, w której trzymano *damane*. Nerwowo zabębnił palcami po poręczy.

Morska bryza przywiała do nozdrzy Randa zapach ognia, na których warzono śniadania, próbowała też targać połami jego zjedzonego przez mole płaszcza, lecz Rand przytrzymał je jedną ręką. Wśród znalezionych ubrań nie było kaftana, który by na niego pasował, uznał więc, że ten płaszcz najlepiej zakryje wytworny, srebrny haft na rękawach i czaple na kołnierzu. Stanowisko Seanchan wobec podbitych przez siebie ludzi, którzy nosili broń, mogło nie dotyczyć tych, którzy mieli miecz ze znakiem czapli.

Na drodze kładły się już pierwsze cienie poranka. Widział tylko Hurina, jadącego między podwórcami dla wozów i wybiegami dla koni. Jeden tylko człowiek, może dwóch, poruszało się przy szeregu kupieckich wozów, ubrani w długie fartuchy kołodziejów, a może kowali. Ingtar, jadący

na czele, zniknął już z zasięgu wzroku. Za Randem jechali w sporych odstępach Perrin i Mat. Nie oglądał się w ich stronę. Miało ich nic nie łączyć - pięciu mężczyzn wjeżdżających o wczesnej godzinie do Falme, ale nie razem.

Z wszystkich stron otoczyły go opłotowania wybiegów, konie tłoczyły się już przy ogrodzeniach, czekały, aż ktoś je nakarmi. Hurin wystawił głowę spomiędzy ścian dwóch stajni z wciąż zaryglowanymi drzwiami, zobaczył Randa i dał mu znak ręką, po czym schował się. Rand kazał swemu gniadoszowi skręcić w tę stronę.

Hurin stał z wodzami w rękę. Zamiast kaftana miał na sobie długą kamizelę. Mimo solidnego płaszcza, który krył jego krótki miecz i łamacz mieczy, drżał z zimna.

- Lord Ingtar jest tam - powiedział, ruchem głowy wskazując wąskie przejście. - Kazał zostawić tu konie i resztę drogi przejść pieszo.

Gdy Rand zsiadł z konia, wężyciel dodał:

- Fain szedł tamtą ulicą, lordzie Rand. Czuję to prawie z tego miejsca.

Rand poprowadził Rudego na tył stajni, gdzie Ingtar już uwiązał swego wierzchowca. Shienaranin nie bardzo przypominał lorda w brudnym kaftanie z owczego runa, dziurawym w kilku miejscach, przypasany miecz wyglądał dziwacznie. Oczy płonęły mu gorączką napięcia.

Rand uwiązał Rudego obok ogiera Ingtara, po czym zawahał się, nie wiedząc, co zrobić z sakwą. Nie potrafił zostawić sztandaru bez opieki. Nie sądził, by któryś z żołnierzy zaglądał do cudzych toreb, ale nie mógł powiedzieć tego samego o Verin, ani też przewidzieć, co by zrobiła, gdyby zobaczyła sztandar. Z kolei jednak czuł się nieswojo, trzymając go przy sobie. Postanowił, że zostawi sakwy przytroczone do siodła.

Dołączył do niego Mat, a kilka chwil później nadeszli Hurin z Perrinem. Mat był ubrany w obszerne spodnie, których nogawki wetknął do wysokich butów. Perrin miał na sobie przykrótki płaszcz. Zdaniem Randa, wyglądali jak dwaj zebrzący nicponie, zazwyczaj jednak przez wsie przejeżdżali nie przyciągając niczyjej uwagi.

- Dobrze - powiedział Ingtar. - Zobaczmy, co się da zrobić.

Wyszli spacerowym krokiem na błotnisty trakt, jakby nie mieli przed sobą żadnego wyznaczonego celu, pogrążeni w rozmowie, po czym spokojnie ominęli podwórce dla wozów, wychodząc na strome, brukowane ulice. Rand mówił coś, nie bardzo wiedząc co, podobnie jego towarzysze. Plan Ingtara polegał na tym, że mają niczym się nie odróżniać od innych, idących razem mężczyzn, ale za mało ludzi wyszło z domu. Na zimnych, porannych ulicach pięciu przechodniów tworzyło tłok.

Szli zebrani w gromadę, prowadzeni przez Hurina, który wachał powietrze i zbaczał to w jedną, to w drugą ulicę. Wszyscy skręcali tam, gdzie on, jakby cały czas mieli taki zamiar.

- On chodził po całym mieście - mruknął Hurin, krzywiąc się. - Jego zapach unosi się wszędzie, a tak cuchnie, że trudno odróżnić stary trop od nowego. Na szczęście zyskałem już pewność, że on tu nadal jest. Sądzę, że niektóre ślady zostawił nie dalej jak dzień albo dwa dni temu. Jestem o tym przekonany - dodał takim tonem, jakby przestał żywić jakiegokolwiek wątpliwości.

Zaczęli się pojawiać ludzie: sprzedawca owoców wykładający swój towar na stołach, jegomość pędzący z wielkim rulonem pergaminów pod pachą i szkicownikiem umocowanym na plecach, człowiek trudniący się ostrzeniem noży, który oliwił wałek tarczy ścierniej na swym wózku. Minęły ich dwie kobiety, podążające w przeciwną stronę, jedna ze spuszczonej oczyma, w srebrnej obręczy opasującej szyję, druga w sukni z błyskawicami, ze zwiniętą srebrną smyczą w rękę.

Randowi oddech uwiązał w gardle, kosztowało go to wiele wysiłku, by nie obejrzeć się za siebie.

- Czy to...? - Szeroko otwarte oczy Mata wyzierały z zapadniętych oczodołów. - Czy to była *damane*?

- Dokładnie tak je opisywano - odparł sucho Ingat. - Hurin, czy będziemy pokonywali wszystkie ulice w tym przeklętym przez Ciebie mieście?

- On był wszędzie, lordzie Ingat - odparł Hurin. Jego smród unosi się wszędzie.

Dotarli do placu, przy którym stały trzy kamienne domy, równie duże jak niejedna gospoda.

Pokonali narożnik, Rand cofnął się na widok kilkunastu seanchańskich żołnierzy stojących na straży przed wielką budowlą - a także na widok dwóch kobiet w sukniach oznakowanych błyskawicami, które rozmawiały na stopniach innego domu, po przeciwnej stronie ulicy. Nad budynkiem strzeżonym przez żołnierzy łopotał na wietrze sztandar: złoty jastrząb ściskający w szponach błyskawice. Nic nie wyróżniało domu, przed którym stały zagadane komety, prócz nich samych. Zbroja oficera jarzyła się blaskiem czerwieni, czerni i złota, jego hełm był pomalowany i połączony w taki sposób, że przypominał głowę owada. A potem Rand zauważył dwa wielkie kształty o grubej skórze, które przycupnęły między żołnierzami, i to wytrąciło go z rytmu.

"*Grolmy*".

Nie było wątpliwości co do trójkątnych łbów obdarzonych trojgiem oczu. Może on jeszcze spał i to wszystko było jakimś złym snem.

"Może wcale jeszcze nie dotarliśmy do Falme".

Jego towarzysze mijali strzeżony dom, przypatrując się bestiom z wytrzeszczonymi oczyma.

- Co to takiego, w imię Światłości? - spytał Mat.

Oczy Hurina zrobiły się tak wielkie jak jego twarz.

- Lordzie Rand, to... To są...

- Nieważne - odparł Rand.

Po chwili Hurin pokiwał głową.

- Przyjechaliśmy tu po Róg - powiedział Ingat a nie żeby się wgapiać w seanchańskie monstra. Skoncentruj się na szukaniu Faina, Hurin.

Żołnierze ledwie na nich spojrzeli. Ulica prowadziła prosto do kolistego portu. Rand zobaczył zakotwiczone statki: ogromne i jakby kwadratowe, z wysokimi masztami, które jednak z tej odległości były niewielkie.

- Tu często bywa. - Hurin potarł nos wierzchem dłoni. - Ta ulica jest cała pokryta zastarzałymi warstwami jego smrodu. Myślę, że nie mógł tu być dalej jak wczoraj, lordzie Ingatrze. Może ubiegłej nocy.

Raptem Mat wczepił dłonie w swój kaftan.

- On tam jest - szepnął. Odwrócił się i zaczął iść w drugą stronę, przyglądając się badawczo wysokiemu budynkowi ze sztandarem. - Tam jest sztylet. Nie zauważyłem wcześniej, przez te... przez te stwory, ale teraz go czuję.

Perrin szturchnął go palcem w zębra.

- Przestań, zanim zaczną się zastanawiać, dlaczego wybałuszasz na nich oczy jak jakiś głupek.

Rand obejrzał się przez ramię. Oficer patrzył w ich stronę.

Mat zawrócił ze spochmurniałą miną.

- Będziemy tak dalej wędrowali? On tam jest, mówię wam.

- To Róg jest celem naszych poszukiwań - warknął Ingat. - Zamierzam dopaść Faina i zmusić go, by wyjawiał, gdzie on jest. - Nie zwolnił kroku.

Mat nic nie powiedział, ale jego twarz była jednym, niemym błaganiem.

"Ja też muszę znaleźć Faina - pomyślał Rund. Muszę".

Na widok wyrazu twarzy Mata powiedział:

- Ingtar, jeśli sztylet znajduje się w tym domu, to najprawdopodobniej jest tam również Fain.

Moim zdaniem, on by nie pozwolił, żeby sztylet albo Róg, obojętnie które z nich, zniknął mu z oczu.

Ingtar zatrzymał się. Odezwał się po upływie jakiejś chwili.

To możliwe, ale tutaj się tego nie dowiemy.

- Moglibyśmy się tu zacząć i zobaczyć, czy stąd wyjdzie - odparł Rand. - Jeśli stąd wyjdzie o tak wczesnej porze, to znaczy, że spędził noc w tym domu. Założę się, że on sypia tam, gdzie jest Róg. Jeśli faktycznie wyjdzie z tych drzwi, to do południa zdążymy wrócić do Verin, a do zapadnięcia zmroku sporządzić jakiś plan.

- Nie chcę czekać na Verin - powiedział Ingtar nie będą też czekał do zapadnięcia mroku. Już za długo czekam. Mam zamiar zdobyć Róg własnymi rękoma przed następnym zachodem słońca.

- Przecież nie wiemy, gdzie on jest, Ingtar.

- Ja wiem, że sztylet tam jest - wtrącił Mat.

- A Hurin twierdzi, że Fain był tam ubiegłej nocy. Ingtar zlekceważył Hurina, próbującego zweryfikować to twierdzenie. - Po raz pierwszy udało ci się określić coś dokładniej, a nie jak zwykle mówić, że Fain był gdzieś dzień albo dwa dni wcześniej. Róg odbierzemy teraz. Teraz!

- Jak? - spytał Rand.

Oficer przestał już na nich patrzeć, ale przed budynkiem nadal stało co najmniej dwudziestu żołnierzy. Oraz pars *grolmów*.

"To jakieś szaleństwo. Tych *grolmów* nie powinno tu być".

Taka myśl bynajmniej jednak nie sprawiła, by *grolmy* zniknęły.

- Za tymi domami są, zdaje się, jakieś ogrody - powiedział Ingtar, rozglądając się uważnie dookoła. - Jeśli któraś z tych bocznych uliczek wiedzie wzdłuż ogrodowego muru... Zdarza się, że pilnowanie frontu tak pochłania ludzi, że zapominają o tyłach. Chodźcie.

Ruszył prosto w stronę wąskiego przejścia między dwoma budynkami. Hurin i Mat natychmiast pobiegli jego śladem.

Rand i Perrin wymienili spojrzenia - kudłaty przyjaciel z rezygnacją wzruszył ramionami - i przyłączyli się do nich.

Alejka, tak wąska, że ledwie mogli nią przejść tak, by nie ocierać się ramionami o ograniczające ją z dwu stron wysokie mury ogrodów, łączyła się z nieco szerszą uliczką, po której mogła przejechać taczka albo niewielki wóz. Też była brukowana, lecz wychodziły na nią jedynie tyły domów, wielkie kamienne płaszczyzny, urozmaicone zatrzaśniętymi okiennicami, a nad szczytami murów wystawały prawie nagie gałęzie.

Tą uliczką dali się prowadzić Ingtarowi tak długo, aż wreszcie stanęli naprzeciwko powiewającego sztandaru. Ingtar wyciągnął z zanadru płaszcz rękawice ze stalowymi wierzchami, włożył je i podskoczył, by uchwycić się szczytu muru, potem podciągnął się na taką wysokość, by móc zajrzeć na drugą stronę. Przyciszonym, jednostajnym głosem doniósł:

- Drzewa. Klomby. Ścieżki. Ani żywej duszy... Czekać! Strażnik. Tylko jeden. Nawet nie nosi hełmu. Policzcie do pięćdziesięciu, a potem ruszajcie za mną.

Przełożył nogę przez szczyt muru i skoczył, znikając, nim Rand zdążył powiedzieć choć słowo.

Mat zaczął wolno liczyć. Rand wstrzymał oddech. Perrin gładził palcami topór, a Hurin zacisnął dłonie na rękojeściach swych broni.

- ...pięćdziesiąt.

Hurin wdrapał się na mur i przeskoczył na drugą stronę, zanim to słowo na dobre opuściło usta Mata. Tuż obok Perrin zrobił to samo.

Rand miał wrażenie, że Mat być może będzie potrzebował pomocy - wyglądał tak blado i mizernie - wcale jednak tego nie pokazał, gdy piął się do góry. W kamiennym murze było mnóstwo dziur, o które można było zaczepić dłonie i kilka chwil później Rand przyczaił się po drugiej stronie, razem z Matem, Perrinem i Hurmem.

W ogrodzie panowała późna jesień, na klombach nic już nie rosło prócz kilku wieczniezielonych roślin, gałęzie drzew były nieomal nagie. Wiatr, targający sztandarem, zwiewał pył z krytych kamiennymi płytami ścieżek. Przez krótką chwilę Rand nigdzie nie widział Ingara. Potem jednak zauważył go, Shienaranin przywarł do ściany domu, mieczem trzymanym w ręku dał im znak, że mają ruszać.

Rand biegł pochylony, bardziej czując obecność okien wyzierających niewidzącym wzrokiem z budynku, niżli biegnących za nim przyjaciół. Odetchnął z ulgą, gdy wreszcie przylgnął do muru obok Ingara.

Mat nie przestawał mrużyć pod nosem.

- On tam jest. Czuję go.

- Gdzie jest strażnik? - szepnął Rand.

- Nie żyje - odparł Ingar. - Był zbyt pewien siebie. Nawet nie raczył krzyknąć. Ukryłem jego ciało pod jednym z tych krzaków.

Rand spojrzał na niego zdumiony.

"Zbyt pewien siebie Seanchanin?"

Byłby natychmiast zawrócił, gdyby nie pełne udręki pomrukiwania Mata.

- Już prawie tam jesteśmy - Ingar wygłosił to takim tonem, jakby też mówił do siebie. - Już prawie. Chodźcie.

Rand dobył miecza, gdy zaczęli się wspinać po tylnych schodach. Zauważył, że Hurin wyciągnął już wcześniej swój miecz o krótkim ostrzu i poszczerbiony łamacz mieczy, a Perrin właśnie z niechęcią wysuwa topór z pętli przy pasie.

Weszli do wąskiego korytarza. Zza uchylonych drzwi po prawej stronie dochodziły kuchenne zapachy. Krzatali się tam jacyś ludzie, słychać było niewyraźne dźwięki, co jakiś czas cicho szczękały pokrywki.

Ingar dał znak Matowi, by prowadził, po czym podkradli się pod drzwi. Rand obserwował wąską szparę w drzwiach, dopóki nie znaleźli się za następnym rogiem.

Zza drzwi w głębi korytarza wyłoniła się szczupła, młoda kobieta, niosła tacę z jedną filiżanką. Wszyscy zastygli w miej ecu. Ruszyła w przeciwną stronę, nawet się na nich nie obejrzawszy. Rand otworzył szeroko oczy. Jej długa, biała szata była zupełnie przezroczysta. Zniknęła za następnym rogiem.

- Widzieliście to? - spytał ochrypłym głosem Mat. - Wszystko było widać pod...

Ingar przycisnął dłoń do ust Mata i szepnął:

- Nie zapominaj, gdzie jesteśmy. Znajdź go. Znajdź dla mnie Róg.

Mat wskazał wąską klatkę kręconych schodów. Wspięli się na wyższe piętro, skąd poprowadził ich do frontowej strony budynku. Mebli na korytarzach stało niewiele, wydawały się składać z samych łuków. Tu i ówdzie na ścianach wisiały gobeliny, stały też pod nimi parawany, każdy z namalowanym stadkiem ptaków na gałęziach względnie jednym lub dwoma kwiatami. Na jednym skrzydle parawanu wyrysowana była rzeka, lecz prócz zmarszczonego falą nurtu i wąskich pasów brzegów obraz nic więcej nie przedstawiał.

Randowi wydawało się, że wszędzie słyszy odgłosy poruszających się ludzi, miękkich kamaszy sunących przez posadzki, cichy szmer rozmów. Nikogo nie widział, ale wyobraźnia podsuwała mu



obraz kogoś wychodzącego na korytarz, prosto na pięciu skradających się z bronią w rękę mężczyzn, kogoś podnoszącego larum..

- Tutaj - szepnął Mat, wskazując znajdujące się przed nimi wielkie, rozsuwane drzwi, których powierzchnię zdobiły jedynie rzeźbione gałki. - W każdym razie tam jest sztylet.

Ingtar spojrział na Hurina, wężyciel rozsunął drzwi, a Ingtar skoczył do przodu z wycelowanym mieczem. Nikogo w środku nie było. Rand i pozostali mężczyźni pośpiesznie weszli za nim, Hurin natychmiast zamknął drzwi.

Parawany kryły wszystkie ściany i resztę drzwi, przesłaniały również światło padające z okien wychodzących na ulicę. W jednym końcu tej wielkiej komnaty stała wysoka, owalna komoda. Po przeciwnej stronie niewielki stolik, na dywanie zwrócone w jego stronę samotne krzesło. Rand usłyszał, że Ingtar głośno odsapnął, sam jednak tylko czuł, że ma ochotę odetchnąć z ulgą. Na stole stał wsparty na podpórcie Róg Valere. Pod nim połyskiwał blaskiem odbitego światła rubin w rękojeści ozdobnego sztyletu.

Mat pomknął do stołu, chwycił Róg i sztylet.

- Mamy je - zachrypiął, potrząsając sztyletem. Mamy oba.

- Nie tak głośno - upomniał go Perrin, krzywiąc twarz. - Jeszcze ich stąd nie wynieśliśmy. - Jego dłonie zajęte drzewcem topora wyraźnie pragnęły uchwycić coś innego.

- Róg Valere. - W głosie Ingtara brzmiała prawdziwa groza. Z wahaniem dotknął Rogu, wodząc palcem po srebrnej intarsji wokół czaszy, bezgłośnie odczytał napis, po czym odjął dłoń, cały drżąc z podniecenia. - To on. Na Światłość, to on! Jestem uratowany.

Hurin zabrał się za odstawianie parawanów zasłaniających okno. Odsunął ostatni zagradzający mu drogę i wyjrzał na biegnącą poniżej ulicę.

- Ci żołnierze ciągle tam są, wyglądają jakby zapuścili korzenie. - Wzdrygnął się. - Te... bestie też.

Rand stanął obok niego. Nie ulegało wątpliwości, że te bestie to *grolmy*.

- Jak oni...

Gdy oderwał wzrok od ulicy, słowa zamarały mu na ustach. Patrzył ponad murem na ogród należący do budynku po drugiej stronie ulicy. Zobaczył ślady po murach, które zburzono celem przyłączenia innych ogrodów. Widział też kobiety, siedziały na ławkach albo przechadzały się po ścieżkach, zawsze parami. Połączone z sobą srebrnymi smyczami, biegnącymi od szyi pierwszej do nadgarstka drugiej. Jedna z kobiet w obręczach podniosła głowę. Stał zbyt daleko, by widzieć wyraźnie twarz, przez moment jednak ich oczy jakby się spotkały i wtedy ją rozpoznał. Krew uciekła mu z twarzy.

- Egwene - wyszeptał.

- O czym ty gadasz? - spytał Mat. - Egwene mieszka sobie bezpiecznie w Tar Valon. Też bym tak chciał.

- Ona tam jest - powiedział Rand.

Obydwie kobiety odwróciły się i ruszyły w stronę jednego z budynków stojących w głębi połączonych ogrodów.

- Ona tam jest, dokładnie po drugiej stronie ulicy. Światłości, ma na szyi obręcz!

- Jesteś pewien? - spytał Perrin. Podszedł do okna, by wyjrzeć na zewnątrz. - Nie widzę jej, Rand. A... a ja umiałbym ją rozpoznać nawet z tak daleka.

- Jestem pewien - odparł Rand.

Obydwie kobiety zniknęły w jednym z budynków, których fasady wychodziły na następną ulicę. Żołądek mu się zwinał w ciasną kulę.

"Powinna być bezpieczna. Powinna być w Białej Wieży".

- Muszę ją wydostać. Wy wszyscy...

- A cóż to! - Niewyraźne słowa zabrzmiały równie cicho jak odgłos rozsuwających się drzwi. -

Nie was się spodziewałem.

Przez krótką chwilę Rand tylko wytrzeszczał oczy. Wysoki mężczyzna z ogoloną głową, który wszedł do komnaty, nosił długą, wlokącą się za nim szatę, a paznokcie miał tak długie, że Rand wątpił, czy on jest w stanie wziąć cokolwiek w palce. Dwaj mężczyźni, którzy stanęli za jego plecami w służalczych pozach, mieli głowy wygolone tylko w połowie, reszta ciemnych włosów, zapleciona w warkocz, zwisała za prawym uchem. Jeden z nich trzymał w objęciach miecz w pochwie.

Gapić się mógł zaledwie chwilę, bo oto parawany stojące po przeciwległych stronach komnaty runęły na posadzkę, odsłaniając drzwi, w których tłoczyło się czterech albo pięciu seanchańskich żołnierzy, z nagimi głowami, za to zakutych w zbroję, z mieczami w ręku.

- Znajdujecie się przed obliczem jego lordowskiej mości Turaka - zaczął mężczyzna z mieczem, gniewnie wpatrując się w Randa i jego towarzyszy, ale ledwie dostrzegalny ruch palca z pomalowanym na niebiesko paznokciem kazał mu umilknąć. Do przodu wystąpił drugi służący, uklonił się i zaczął zdejmować z Turaka jego szatę.

- Gdy znaleziono martwego strażnika - powiedział spokojnie mężczyzna z wygoloną głową - nabrałem podejrzeń względem pewnego człowieka, który zowie się Fain. Podejrzywałem go od tajemniczej śmierci Huona, a poza tym cały czas chciał odzyskać ten sztylet.

Podniósł ręce, by służący mógł zdjąć z niego szatę. Mimo łagodnego, nieomal śpiewnego głosu, silne mięśnie kłębiły się pod skórą ramion i gładkiej piersi, obnażonej do niebieskiej szarfy, która podtrzymywała obszerne, białe spodnie. Mówił beznamiętnym tonem, wyraźnie nie poruszony widokiem mieczy w ich dłoniach.

- A tymczasem zastaję obcych, którzy próbują zabrać nie tylko sztylet ale również Róg. Z przyjemnością zabiję jednego albo dwóch z was za to, że zakłóciliście mi poranek. Ci, którzy przeżyją, powiedzą mi potem, kim jesteście i po co tu przybywacie.

Wyciągnął rękę, nie patrząc - mężczyzna z mieczem włożył rękojeść do jego dłoni - po czym wysunął z pochwy ciężkie, zakrzywione ostrze.

- Nie życzę sobie, by Róg uległ uszkodzeniu.

Turak nie dał żadnego sygnału, a mimo to do komnaty wkroczył jeden z żołnierzy i sięgnął po Róg. Rand nie wiedział, czy ma się śmiać, czy płakać. Mężczyzna miał na sobie zbroję, sądząc zaś po wyrazie jego twarzy, równie aroganckiej jak oblicze Turaka, posiadana przez nich broń zupełnie go nie wzruszała.

Kres temu położył Mat. Gdy Seanchanin wyciągnął rękę, ciał ją sztyletem o rubinowej rękojeści. Żołnierz uskoczył w tył, głośno przeklinając, i wyraźnie zaskoczony. A potem rozległ się przeraźliwy krzyk, który wypełnił wnętrze komnaty lodowatym chłodem, sprawiając, że ze zdziwienia wszyscy zastygli na swoich miejscach. Uniesiona do góry, drżąca dłoń zaczynała czernieć, krwawa rana zamieniała się w wolno rosnącą ciemną plamę. Żołnierz otworzył szeroko usta i zawył, chwytając się za ramię, a potem bark. Przebierając nogami i podrygując, padł na podłogę, miotał się po jedwabnym dywanie, wrzeszcząc tak głośno, że twarz mu poczerniała, a ciemne oczy nabrzmiały niczym przejrzałe śliwki, aż wreszcie udławił się ściemniałym, napuchłym językiem. Dygotał, dusił się urywanym oddechem, bębnił piętami, w końcu na dobre znieruchomiał. Każdy fragment jego odsłoniętej skóry okrył się czarną jak smoła zgnilizną i wydawało się, że pod lada dotykem wybuchnie.

Mat oblizwał wargi i przełknął ślinę - niepewnym ruchem przesunął dłoń po rękojęści sztyletu. Nawet Turak nie dowierzał własnym oczom, szeroko otwarłszy usta.

- Sam widzisz - powiedział cichym głosem Ingtar - nie jesteśmy bydłętami przeznaczonymi na rzeź. - Raptem przeskoczył trupa, atakując żołnierzy wciąż wpatrujących się w to, co zostało z człowieka, który jeszcze kilka chwil wcześniej stał u ich boku. - Shinowa! - krzyknął. - Za mną!

Hurin popędził za nim, żołnierze cofnęli się, dźwięk stali uderzającej o stal zaczął się natężać.

W chwili gdy Ingtar ruszył do ataku, żołnierze stojący po drugiej stronie komnaty też ruszyli naprzód, ale po chwili również jęli się cofać, nie tyle przed toporem, którym wywijiał bezsłownie powarkujący Perrin, co przed napierającym na nich sztyletem w ręku Mata.

W czasie dzielącym dwa uderzenia serca Rand został sam na placu boju, twarzą w twarz z Turakiem, który trzymał przed nim swe wyprostowane pionowo ostrze. Moment szoku minął. Świdrującymi oczyma wpatrywał się w twarz Randa - czarne, napuchnięte ciało żołnierza równie dobrze mogło nie istnieć. Dla jego dwóch służących też jakby nie istniało, podobnie jak zresztą Rand i jego miecz albo odgłosy walki, dobiegające coraz słabiej z innych pomieszczeń obu stron domu. Gdy jego lordowska mość ujął miecz, biernymi ruchami poskładali jego szatę, potem nawet nie podnieśli oczu, gdy rozległ się wrzask umierającego żołnierza, teraz natomiast przyklękli przy drzwiach i wpatrywali się we wszystko obojętnymi oczyma.

- Spodziewałem się, że przyjdzie kolej na nas dwóch. - Turak zręcznie obrócił miecz w dłoniach, robiąc młynka w jedną stronę, potem w drugą, po czym delikatnie pogładził palcami rękojęść. Te paznokcie wydawały się zupełnie nie krępować mu ruchów. - Jesteś młody. Zobaczmy, czego po tej stronie oceanu wymaga się od noszących miecz ze znakiem czapli.

Wtedy Rand zobaczył. Na ostrzu miecza Turaka wytrawiony był wizerunek wyprostowanej czapli. Miernie wyszkolony, stanął twarzą w twarz z prawdziwym mistrzem miecza. Pośpiesznie odrzucił na bok podbity owczym runem kaftan, nadmiernie go obciążający i krępujący ruchy. Turak czekał.

Zaczął rozpaczliwie szukać pustki. Było oczywiste, że nawet jeśli do ostatka wykorzysta wszystkie umiejętności, na jakie go stać, to i tak szanse, że opuści tę izbę żywy, są niewielkie. A musiał wyjść żywy. Egwene znajdowała się nieomal tak blisko, że mógł do niej zawołać, musiał ją jakoś uwolnić. Lecz w pustce czekał na niego *saidin*. Na samą myśl serce podskoczyło mu z zachwyty, w tym samym momencie, w którym skręcił się żołądek. Niestety, równie blisko jak Egwene były też te kobiety. *Damane*. Jeśli dotknie *saidina* i mimo woli przeniesie Moc, one się o tym dowiedzą, uprzedziła go Verin. Będą wiedzieć i szukać. Tyle ich, tak blisko. Mógł przeżyć pojedynek z Turakiem po to tylko, by zginąć w bitwie z *damane*, a nie mógł umrzeć, zanim Egwene nie będzie wolna. Uniósł miecz.

Turak sunął cicho w jego stronę. Dwa ostrza zadźwięczały niczym młot uderzający o kowadło.

Od samego początku dla Randa było oczywiste, że mężczyzna go bada, że napiera z taką tylko siłą, by sprawdzić, co potrafi, potem troszkę silniej, po chwili znowu trochę silniej. Nie tylko wprawa, lecz również szybkie nadgarstki i stopy pomogły Randowi utrzymać się przy życiu. Bez pustki spóźniał się cały czas o połowę uderzenia serca. Czubek ciężkiego miecza Turaka wrył piekący rowek tuż pod jego lewym okiem. Klapa kaftana zwisała mu z ramienia, coraz ciemniejsza od wilgoci. Z równego cięcia pod prawym ramieniem, tak precyzyjnego, jakby wykonała go ręka krawca, spływała po żebrach ciepła wilgoć.

Na twarzy jego lordowskiej mości malowało się rozczarowanie. Odsunął się, gestem demonstrując niesmak.

- Gdzieś ty znalazł ten miecz, chłopcze? A może oni tu nagradzają czaplą takich dyletantów jak

ty? Nieważne. Pojednaj się z sobą. Czas umierać. - Ponownie zaatakował.

Randa spowiała pustka. Płynął ku niemu *saidin*, iskrzący się obietnicą Jedynej Mocy, ale zignorował go. Nie przyszło mu to z większym trudem, niż ignorowanie ostrego ciernia obracającego się w ciele. Nie chciał, by wypełniła go Moc, nie chciał złać się w jedno z męską połową Prawdziwego Źródła. Był jednym ze swym mieczem, jednym z posadzką, po której stąpał, jednym z murami. Jednym z Turakiem.

Rozpoznał figury, które stosował jego lordowska mość. Nieco się różniły od tych, których jego uczono, ale nie całkowicie. "Jaskółka w locie" natrafiła na "Rozdzieranie jedwabiu", "Taniec cietrzewia uległ "Księżycowi na wodzie". "Rozwiana wstążka" napotkała "Kamienie spadające z klifu". Przemieszczali się po całej izbie, jakby tańczyli w takt muzyki stali uderzającej o stal.

Rozczarowanie i dysgust zniknęły z ciemnych oczu Turaka, ustępując miejsca zdziwieniu, potem koncentracji. Jego twarz z wolna okrywała się potem, w miarę jak coraz zapalczywiej atakował Randa. "Trójzębna błyskawica" napotkała "Liść na wietrze".

Myśli Randa wypłynęły poza pustkę, odseparowane od siebie, prawie nie zauważone. To nie wystarczało. Walczył z mistrzem miecza, mimo pustki i najmniejszej odrobiny wprawy, ledwo utrzymywał się na placu boju. Ledwo. Musiał skończyć, zanim zrobi to Turak.

"*Saidin*? Nie! Czasami trzeba schować miecz we własnym ciele".

Ale to by też nie pomogło Egwene. Musiał zaraz z tym skończyć. Teraz.

Turak otworzył szeroko oczy, gdy Rand zaczął sunąć do przodu. Do tej pory tylko się bronił, teraz atakował, posiłkując się wszystkimi swoimi siłami. "Dzik zbiega ze zbocza". Każdy ruch ostrza był próbą trafienia jego lordowskiej mości - dla swej obrony Turak mógł teraz tylko cofać się przez całą długość komnaty, prawie do samych drzwi.

Po chwili, gdy Turak jeszcze próbował zmierzyć się z "Dzikiem", Rand przypuścił szarżę. "Rzeka podmywa brzeg". Padł na jedno kolano, tnąc ostrzem na odlew. Ani jęk Turaka, ani opór, na który trafiło ostrze, nie były mu potrzebne - wiedział. Usłyszał dwa głośne łomoty i odwrócił głowę, wiedząc, co zobaczy. Powiódł wzrokiem od swego miecza, mokrego i czerwonego, do ciała jego lordowskiej mości, leżącego obok miecza, który wysunął się z bezwładnej ręki, na tle ciemnej wilgoci plamiącej ptaki na dywanie. Nadal otwarte oczy Turaka zachodziły już mgiełką śmierci.

Wstrząs targnął pustką. Walczył już z trollokami, walczył z pomiotem Cienia. Nigdy przedtem nie stawał do walki z człowiekiem, jedynie podczas ćwiczeń albo dla zabawy.

"Właśnie zabiłem człowieka".

Pustka trzęsła się, *saidin* usiłował go wypełnić.

Wyswobodził się z najwyższym trudem, ciężko dysząc, rozejrzał dookoła. Drgnął nerwowo na widok dwóch służących, którzy wciąż klęczeli przy drzwiach. Zapomniał o nich, a teraz nie wiedział, co z nimi zrobić. Żaden z nich nie wyglądał na uzbrojonego, wystarczyło jednak, że krzykną...

W ogóle nie spojrzeli, ani na niego, ani na siebie. Wpatrywali się natomiast bez słowa w ciało jego lordowskiej mości. Gdy wyciągnęli z zanadry szat sztylety, ścisnął mocniej rękojeść miecza, ale oni tylko przyłożyli ich czubki do własnych piersi.

- Od narodzin do śmierci - zaintonowali unisono - służył będę Krwi.

I z tymi słowami zatopili sztylety we własnych sercach. Składali się wpół nieomal spokojnie, przypadając głowami do posadzki, jakby wykonywali głęboki ukłon przed swym władcą.

Rand wpatrywał się w nich z niedowierzaniem.

"Obłąkani - pomyślał. - Może mnie też czeka obłąd, ale oni byli obłąkani już wcześniej".

Wstawał właśnie chwiejnie, gdy nadbiegli Ingtar i pozostali członkowie ich grupy. Poobijani i pokaleczeni, niejedna plama znaczyła kaftan Ingtara. Mat wciąż trzymał Róg i swój sztylet, o ostrzu

ciemniejszym niż rubin w rękojeści. Topór Perrina też był zakrwawiony, jego właściciel miał taką minę, jakby miał zaraz zwymiotować.

- Poradziłeś sobie z nimi? - domyślił się Ingтар, patrząc na ciała. - No to skończyliśmy, o ile nikt nie podniósł alarmu. Ci głupcy w ogóle nie zawołali o pomoc.

- Sprawdzę, czy strażnicy coś słyszeli - powiedział Hurin i pomknął do okna.

Mat pokręcił głową.

- Rand, ci ludzie są szaleni. Wiem, że już to mówiłem, ale oni naprawdę są szaleni. Ci służący...

Rand wstrzymał oddech, przerażony, że oni wszyscy popełnili samobójstwo.

Mat powiedział:

- Gdy któryś zauważył, że walczymy, padał na kolana, przykładając twarz do podłogi i osłaniając głowę rękoma. Nie ruszali się ani nie krzyczeli, w ogóle nie starali się pomóc żołnierzom ani podnosić larum. O ile mi wiadomo, ciągle tak klęczą.

- Ja bym nie liczył na to, że nigdy nie podniosą się z klęczek - oznajmił oschle Ingтар. - Wychodzimy stąd natychmiast, najszybciej jak się da.

- Wy idziecie! - odparł Rand. - Egwene...

- Ty durniu! - wściekł się Ingтар. - Mamy to, po co tu przyjechaliśmy. Róg Valere. Nadzieja na zbawienie. Co jest ważna jakaś tam dziewczyna, nawet jeśli to twoja ukochana, w porównaniu z Rogiem i tym, co on oznacza?

- Czarny może wziąć sobie Róg, jeśli idzie o mnie! Co przyjdzie ze znalezienia Rogu, jeśli zostawię tutaj Egwene? Gdybym to zrobił, to Róg mnie nie uratuje. Stwórca mnie nie zbawi. Sam siebie skazę na potępienie.

Ingтар wpatrywał się w niego z nieodgadnioną twarzą.

- Ty tak rzeczywiście myślisz, prawda?

- Tam się coś stało - zaalarmował ich Hurin. Dopiero co przybiegł do nich jakiś człowiek i teraz miotają się jak ryby w saku. Czekaście. Ten oficer wszedł do środka!

- Idziemy! - rzucił Ingтар. Próbował wziąć Róg, lecz Mat już biegł. Rand zawahał się, Ingтар chwycił jednak go za ramię i wywlókł na korytarz. Pozostali podążyli gęsiego za Matem, Perrin obdarzył jeszcze Randa jednym zboliałym spojrzeniem, zanim ruszył z miejsca.

- Nie uratujesz dziewczyny, jeśli tu zostaniesz i zginiesz!

Pobiegł za nimi. Nienawidził się za to, że pobiegł, lecz coś w zakamarku umysłu szeptało:

"Wróć. Jakoś ją uwolnię".

Nim zdążyli zbiec na sam dół wąskich kręconych schodów, usłyszał jeszcze z frontowej części budynku głęboki głos jakiegoś mężczyzny, gniewnie rozkazujący komuś wstać i odezwać się. Obok schodów uklękła służąca w nieledwie przezroczystej szacie, przy drzwiach wiodących do kuchni klęczała siwowłosa niewiasta, ubrana od stóp do głów w biel i przepasana długim, umączonym fartuchem. Dokładnie pasowały do opisu podanego przez Mata, z twarzami do podłogi i ramionami obejmującymi głowy, nie drgnęły nawet włosem, gdy Rand i inni minęli je biegiem. Z ulgą spostrzegł, że ich ciała unosi oddech.

Biegąc na łeb na szyję, przecięli ogród, potem błyskawicznie pokonali mur. Ingтар zaklął, gdy Mat cisnął na ziemię Róg Valere i gdy znalazł się po drugiej stronie, znowu próbował go odebrać, ale Mat chwycił zdobycz i mknąc przed siebie pośpiesznie rzucił:

- Nie ma najmniejszej rysy.

Z budynku, który właśnie opuścili, dobiegały coraz to liczniejsze głosy, krzyczała jakaś kobieta, a ktoś zaczął uderzać w gong.

"Wróć po nią. Jakoś wróć!"

Pędził razem z innymi, najszybciej jak potrafił.

# ROZDZIAŁ 23

## WYJŚĆ Z CIENIA

Gdy Nynaeeve i dziewczęta podchodziły już do budynków zamieszkałych przez *damane*, z oddali dobiegły ich jakieś krzyki. Zaczynały gromadzić się tłumy, ludziom na ulicy towarzyszyło zdenerwowanie, nadmierna prędkość kroku, nadmierna czujność w spojrzeniach, którymi omiatali Nynaeeve w sukni zdobionej błyskawicami oraz kobietę, którą prowadziła na srebrnej smyczy.

Nerwowo przekładając z ręki do ręki swój tobolek, Elayne popatrywała w stronę, od której niosła się wrzawa, ku ulicy, nad którą powiewał złoty jastrząb ściskający w szponach błyskawicę.

- Co się dzieje?

- To nie ma nic wspólnego z nami - stanowczym tonem orzekła Nynaeeve.

- Liczysz na to podobnie jak ja - powiedziała Min. Przyśpieszyła kroku, wbiegając na schody przed nimi. Po chwili zniknęła we wnętrzu wysokiego, kamiennego budynku.

Nynaeeve uchwyciła smycz w innym miejscu, skracając ją w ten sposób.

- Pamiętaj, Seto, tak samo jak my chcesz, abyśmy przeszli przez to bez szwanku.

- Pamiętam - zapewniła ją żarliwie Seanchanka. Przyciskała podbródek do piersi, by ukryć twarz. - Nie przysporzę wam kłopotów, przysięgam.

Gdy weszły na szare kamienne schody, na ich szczycie pojawiły się jakaś *sul'dam* i *damane*, schodziły właśnie, gdy one zamierzały się po nich wspiąć. Nynaeeve spojrzała na nie tylko raz, chcąc się upewnić, że kobieta w obręczy to nie Egwene, po czym przestała się nimi interesować. Z pomocą *a'dam* przytrzymała Setę tuż przy swoim boku, więc gdyby *damane* wykryła zdolność do przenoszenia u jednej z nich, pomyślałaby, że czuje ją od Sety. Mimo to strumyk potu ciekł jej po plecach, dopóki nie zauważyła, że nie zwróciły na nią większej uwagi niż ona na nie. Widziały tylko dwie suknie, jedną z błyskawicami, drugą szarą, dwie kobiety połączone srebrną *a'dam*. Jeszcze jedna Dzierżąca Smycz i jeszcze jedna Wzięta na Smycz, a także dziewczyna z miasta, śpiesząca za nimi z tobolekiem należącym do *sul'dam*.

Nynaeeve pchnęła drzwi i weszły do środka.

Tajemnicze zamieszanie pod sztandarem Turaka jeszcze na razie nie dotarło do tego miejsca. Po hallu wejściowym poruszały się wyłącznie kobiety, dzięki sukniom łatwe do odróżnienia. Trzy odziane w szarości *damane* połączone z *sul'dam* w bransoletach. Dwie kobiety w strojach ze wstawkami w kształcie błyskawicy pogrążone w rozmowie, trzy samotnie przemierzające hall. Cztery ubrane podobnie jak Min, w proste, wełniane szaty ciemnej barwy, śpieszyły gdzieś z tacami.

Na ich wejście czekała w hallu Min, raz na nie spojrzała i natychmiast ruszyła w głąb budynku. Nynaeeve prowadziła jej śladem Setę, Elayne dreptała tuż za nimi. Odniosła wprawdzie wrażenie, że nikt nie spojrzał na nie więcej niż raz, ale bała się, że strumyczek ściekający jej po kręgosłupie niebawem przemieni się w rzekę. Stale popędzała Setę, by nikt nie mógł przyjrzeć się im dokładniej - albo co gorsza, zadać jakiegoś pytania. Seanchanki, która nie odrywała oczu od czubków swych stóp, prawie wcale nie trzeba było poganiać, Nynaeeve spodziewała się, że Seta biegłaby, gdyby nie hamowała jej smycz.

W pobliżu tylnego wyjścia z budynku Min weszła na wąskie schody, biegnące spiralnie w górę. Nynaeeve kazała Secie iść przodem, aż do czwartego piętra. Sklepienia były tam niskie, korytarze puste i ciche, wyjąwszy stłumione łkanie, które zdawało się wyjątkowo dobrze pasować do atmosfery tych ponurych wnętrzy.

- To miejsce... - zaczęła Elayne, potem potrząsnęła głową. - Wydaje się...

- Tak, to prawda - odparła ponuro Nynaeve. Spojrzała spode łba na Setę, która nie podniosła głowy. Strach sprawił, że skóra Seanchanki wyglądała na bledszą niż normalnie.

Nie mówiąc ani słowa, Min otworzyła jakieś drzwi i weszła do środka, prowadząc je za sobą. Wnętrze, w którym się znalazły, było podzielone niedbale postawionymi ścianami na szereg mniejszych izdebek oraz wąski korytarzyk zakończony oknem. Nynaeve prawie deptała po piętach Min, która podbiegła do ostatnich drzwi i wtargnęła do środka.

Przy niewielkim stole siedziała szczupła, ciemnowłosa dziewczyna w szarej sukni, z głową ukrytą w ramionach, nim jednak podniosła głowę, Nynaeve wiedziała już, że to Egwene. Od srebrnej obroży na szyi przyjaciółki do bransolety wiszącej na kołku wbitym w ścianę biegła wstęga z połyskliwego metalu. Na ich widok Egwene otworzyła szeroko oczy, niemo poruszając ustami. Gdy Elayne zamknęła drzwi, wybuchnęła śmiechem, po czym przycisnęła dłonie do ust, by ten śmiech stłumić. Dzięki obecności aż tylu osób w małym pokoiku zapanował spory tłok.

- Wiem, że to nie sen - przemówiła drżącym głosem - bo gdybym śniła, to zobaczyłabym Randa i Galada na wielkich rumakach. Przed chwilą śniłam. Wydawało mi się, że był tu Rand. Nie widziałam go, ale myślałam... - Głos jej zamarł.

- Skoro wolisz na nich zaczekać - powiedziała oschle Min.

- Och, nie. Nie, takie jesteście piękne, nigdy w życiu nie widziałam czegoś równie pięknego. Skąd się tu wzięłyście? Jak wam się to udało? Ta suknia, Nynaeve, ta *a'dam*, a kim jest ta... - Pisnęła nagle. - Przecież to Seta. Jak...? - Głos jej stwardniał do tego stopnia, że Nynaeve ledwie go rozpoznała. - Miałabym ochotę wsadzić ją do kotła z wrzącą wodą.

Seta zadrżała, z całej siły zaciskając powieki, wpiła dłonie w fałdy spódnicy.

- Co one ci zrobiły? - zawołała Elayne. - Co one mogły ci zrobić, skoro chcesz zrobić coś takiego?

Egwene na moment nie oderwała oczu od Seanchanki.

- Chciałabym, żeby ona to poczuła. To samo, co mi zrobiła, zmuszając, bym czuła się tak, jakbym po szyję tkwiła w... - Zadygotała. - Ty nie wiesz, jak to jest, gdy nosisz coś takiego, Elayne. Nie wiesz, do czego one są zdolne. Nigdy już nie rozstrzygnę, która jest gorsza, Seta czy Renna, ale nienawiści godne są obydwie.

- Myślę, że ja wiem - powiedziała cicho Nynaeve.

Czuła pot zalewający ciało Sety, zimne drżenia, które wstrząsały jej członkami. Jasnowłosa Seanchanka była śmiertelnie przerażona. Mogła jedynie się postarać, by obawy Sety nie okazały się słuszne, właśnie teraz i tutaj.

- Czy możecie zdjąć to ze mnie? - spytała Egwene, dotykając obręczy. - Na pewno potrafisz, skoro potrafiłaś nałożyć...

Nynaeve przeniosła Moc, kropelkę wielkości łebka od szpilki. Widok obręczy na szyi Egwene zrodził dostateczny gniew, a zresztą i bez tego wystarczyłby strach Sety, przekonanie, że naprawdę na to zasłużyła, a także świadomość, co miałyby ochotę zrobić tej kobiecie. Obręcz otworzyła się nagle i odpadła od gardła Egwene. Egwene dotknęła karku ze zdziwioną miną.

- Włóż moją suknię i kaftan - powiedziała Nynaeve.

Elayne już rozkładała na łóżku rzeczy zawinięte w tobołek.

- Wyjdziemy stąd i nikt cię nawet nie zauważy. Zastanawiała się, czy zachować kontakt z *saidarem* z pewnością była dostatecznie rozzłoszczona, a poza tym czuła się naprawdę cudownie - ostatecznie jednak przerwała go niechętnie. Tu, w jedynym takim miejscu w całym Falme, żadna *sul'dam* i *damane* nie prowadziłyby dochodzenia, gdyby wyczuły, że ktoś przenosi Moc, ale zrobiłyby to z pewnością, gdyby jakaś *damane* zauważyła łunę przenoszenia otaczającą kobietę, która



wygląda jak *sul'dam*.

- Nie rozumiem, dlaczego stąd nie uciekłaś. Siedzisz tu sama, jeśli nawet nie wymyśliłaś, jak zdjąć z siebie to paskudztwo, to mogłaś przecież podnieść je zwyczajnie z podłogi i uciec.

Gdy Min i Elayne pośpiesznie pomagały jej przebrać się w starą suknię Nynaeve, Egwene opowiedziała, co się dzieje, gdy poruszyć bransoletę pozostawioną tu przez *sul'dam* i o mdłościach, które wywoływało u niej przenoszenie, o ile jakaś *sul'dam* nie włożyła bransolety. Właśnie tego ranka odkryła, jak odpiąć obręcz bez korzystania z Mocy - przekonując się jednocześnie, że dotykanie zapięcia z zamiarem jego otworzenia sprawiało, że ręka stawała się bezwładna. Mogła go dotykać tak często, jak chciała, pod warunkiem, że nie myślała o jego otwieraniu; wystarczyło natomiast tylko o tym napomknąć w myślach i...

Nynaeve sama czuła mdłości - od bransolety, którą nosiła na przegubie dłoni. To wszystko było zbyt straszne. Pragnęła ją zdjąć, zanim usłyszy coś jeszcze na temat *a'dam*, zanim być może dowie się czegoś takiego, co spowoduje, że do końca życia będzie miała wrażenie, iż jest brudna.

Odpięła srebrne kajdanki, zsunęła, zatrzasnęła zapinkę i powiesiła na jednym z kołków.

- Tylko nie myśl sobie, że możesz już wołać o pomoc. - Potrząsnęła pięścią pod nosem Sety. - Otwórz tylko usta, a sprawię, że pożałujesz, żeś się w ogóle urodziła, i nie potrzebuję do tego tej przeklętej... rzeczy.

- Chyba... chyba nie zamierzacie mnie tu z tym zostawić - szepnęła Seta. - Nie możecie. Zwiążcie mnie. Zakneblujcie, żeby nie mogła podnieść alarmu. Błagam!

Egwene roześmiała się ponuro.

- Zostaw to na niej. Nie zawoła o pomoc, nawet bez knebla. Lepiej licz na to, że ten, kto cię znajdzie, zdejmie z ciebie *a'dam* i nie wyjawii twego małego sekretu, Seto. Twego plugawego sekretu, nieprawdaż?

- O czym ty mówisz? - spytała Elayne.

- Dużo o tym rozmyślałam - odparła Egwene. Gdy zostawiały mnie tutaj samą, mogłam zajmować się jedynie myśleniem. *Sul'dam* twierdzą, że po kilku latach rozwijają w sobie powinowactwo. Większość z nich potrafi zauważyć, że jakaś kobieta przenosi, niezależnie od tego, czy jest z nią połączona smyczą. Nie byłam pewna, ale Seta stanowi dowód.

- Dowód na co? - dopytywała się Elayne, a po chwili jej szeroko otwarte oczy odpowiedziały, że już zrozumiała, jednak Egwene nie przestawała mówić.

- Nynaeve, *a'dam* działa tylko na te kobiety, które potrafią przenosić. Nie rozumiesz? *Sul'dam* potrafią przenosić tak samo jak *damane*.

Seta jęknęła przez zęby, gwałtownie zaprzeczając potrząśnięciem głowy.

- *Sul'dam* wolałaby umrzeć, niż się przyznać, że potrafi przenosić, nawet jeśli zdaje sobie z tego sprawę, poza tym one nigdy nie rozwijają w sobie tej umiejętności, więc nic z jej pomocą nie zrobią, ale przenosić potrafią.

- Mówiłam wam - powiedziała Min. - Ta obręcz inaczej by na nią nie działała. - Zapinała już ostatnie guziki na plecach Egwene. - Kobieta, która nie potrafi przenosić, da ci po głowie, jeśli spróbujesz przejąć nad nią władzę za pomocą *a'dam*.

- Jak to możliwe? - spytała Nynaeve. - Myślałam, że Seanchanie nakładają smycze na wszystkie kobiety, które potrafią przenosić.

- Na wszystkie, które znajdują - wyjaśniła jej Egwene. - Znajdują jednak tylko takie jak ty, ja i Elayne. Myśmy się z tym urodziły, chcąc nie chcąc gotowe do przenoszenia. A co z seanchańskimi dziewczętami, które się nie rodzą z tą umiejętnością, ale które można jej uczyć? Pierwsza lepsza kobieta nie może zostać Dzierżącą Smycz. Rennie wydawało się, że okaże życzliwość, jeśli mi o tym

opowie. Gdy *sul'dam* przyjeżdżają do seanchańskiej wsi badać dziewczęta, to jest to traktowane jak jakieś święto. Szukają takich jak ty i ja, żeby je wziąć na smycz, ale wszystkim innym pozwalają przymierzyć bransoletę, by sprawdzić, czy czują to, co czuje taka biedaczka w obręczy. Te, którym się to udaje, zabiera się i szkoli na *sul'dam*. To są właśnie te kobiety, które można nauczyć przenoszenia.

Seta jęczała ledwie słyszalnie.

- Nie. Nie. Nie. - I tak bez końca.

- Wiem, że ona jest potworna - powiedziała Elayne - ale mam wrażenie, że powinnam jej jakoś pomóc. Mogłaby zostać jedną z naszych sióstr, tylko ci Seanchanie wszystko wypaczyli.

Nynaeve otworzyła usta, by oznajmić, że powinny się raczej martwić, jak pomóc sobie samym, lecz w tym momencie otworzyły się drzwi.

- Co się tu dzieje? - spytała ostrym tonem Renna, wkraczając do izdebki. - To jakaś audyencja? - Z rękoma wspartymi na biodrach przyjrzała się Nynaeve. - Nie dawałam nikomu zezwolenia na łączenie się z moją pupilką Tuli. Nawet nie wiem, kim jesteś...

Jej wzrok padł na Egwene - Egwene ubraną w suknię Nynaeve, zamiast szarości *damane*. Egwene bez obręczy wokół szyi - i wtedy jej oczy zrobiły się wielkie jak spodki. Nie miała nawet szansy krzyknąć.

Zanim ktoś zdążył wykonać ruch, Egwene chwyciła dzban stojący na jej umywalce i walnęła nim Rennę w żołądek. Dzban roztrzaskał się, a *sul'dam* zakrztusiła się bulgotliwym okrzykiem i zgięła w pół. Gdy już padała, Egwene naskoczyła na nią z gniewnym grymasem i przycisnęła do podłogi, po czym sięgnęła po obręcz, którą do tej pory nosiła na swojej szyi i zatrzasnęła ją na karku kobiety. Zerwała bransoletę z kołka, szarpnąwszy raz srebrną smyczą, i zapięła ją na swoim nadgarstku. Obnażyła zęby w gniewnym grymasie i wbiła oczy w Rennę z przerażającą koncentracją. Klęcząc na ramionach *sul'dam*, przycisnęła dłonie do jej ust. Ciałem Renny wstrząsnęły silne drgawki, oczy jej wyszły z orbit, z gardła rozległy się chrapliwe dźwięki wrzask zagłuszany przez dłonie Egwene - piętami bębniła o podłogę.

- Egwene, przestań! - Nynaeve chwyciła przyjaciółkę za ramię, odciągając ją od drugiej kobiety. - Egwene, przestań! Nie tego chcesz!

Rynna leżała z szarą twarzą i dyszała, wpatrzona dzikim wzrokiem w sufit.

Nagle Egwene rzuciła się w objęcia Nynaeve, łkając spazmatycznie w jej pierś.

- Ona mnie torturowała, Nynaeve. Ona mnie torturowała. One wszystkie to robiły. Torturowały mnie bez wytchnienia, dopóki nie zrobiłam tego, co chciały. Nienawidzę ich. Nienawidzę ich za to, że mnie torturowały i za to, że nie mogłam im przeszkodzić, gdy mnie do czegoś zmuszały.

- Wiem - powiedziała łagodnym głosem Nynaeve. Pogładziła Egwene po włosach. - Masz rację, że ich nienawidzisz, Egwene. Naprawdę masz. One na to zasługują. Ale nie godzi się, byś stała się do nich podobna.

Seta przyciskała dłonie do twarzy. Renna z niedowierzaniem dotknęła drżącą dłonią obręczy na szyi.

Egwene wyprostowała się, szybko ocierając łzy.

- Nie jestem taka. Nie jestem taka jak one. - Nieomal zdarła bransoletę ze swojej ręki i cisnęła ją na podłogę. - Nie jestem. Ale chętnie bym je zabiła.

- Zasługują na to. - Min wpatrywała się ponurym wzrokiem w dwie *sul'dam*.

- Rand by zabił kogoś, kto zrobił coś takiego - powiedziała Elayne. Wyglądała tak, jakby do czegoś się zbroiła. - Jestem pewna, że by to zrobił.

- Może one tak - odparła Nynaeve - i może on też. Ale mężczyźni często myślą zemstę i mord ze

sprawiedliwością. Rzadko kiedy chce im się bawić w sprawiedliwość. - Często zasiadała w sądzie Koła Kobiet. Czasami stawali przed nim mężczyźni, uważając, że kobiety przesłuchają ich z większą przychylnością niż członkowie Rady Wioski, ale tym mężczyznom zawsze się wydawało, że potrafią wpłynąć na wyrok swoją elokwencją albo błaganiem o litość. Koło Kobiet litowało się w uzasadnionych przypadkach, ale zawsze wymierzało sprawiedliwość i to Wiedząca ogłaszała wyrok. Podniosła bransoletę odrzuconą przez Egwene i zamknęła ją.

- Uwolniłabym wszystkie zamknięte tutaj kobiety, gdybym mogła i zniszczyła wszystkie te przedmioty. Ale ponieważ nie mogę... - Wsunęła bransoletę na ten sam kołek, na którym wisiała już jedna, po czym zwróciła się do obu *sul'dam*.

"Już nie są Dzierżącymi Smycz" - pomyślała.

- Jeżeli będziecie zachowywały się bardzo cicho, to zapewne nikt tu nie przyjdzie i uda wam się w końcu zdjąć te obręcze. Koło obraca się tak, jak chce, i być może zdiełacie coś, co zrównoważy całe zło, które wyrządziłyście, dzięki czemu będzie wam wolno je zdjąć. Jeśli nie, to w końcu ktoś was znajdzie. Myślę też, że ten, kto was znajdzie, zada wam mnóstwo pytań, zanim zdejmie z was te obręcze. Myślę, że pewnie z pierwszej ręki poznacie to życie, na jakie skazałyście inne kobiety. To jest sprawiedliwość - dodała w stronę swych towarzyszek.

W oczach Renny pojawiła się śmiertelna trwoga. Ramiona Sety zatrzęśły się, zaczęła płakać z twarzą ukrytą w dłoniach. Nynaeve znieczuliła swe serce - "To jest sprawiedliwość - powtórzyła w duchu. Prawdziwa sprawiedliwość" i wygoniła dziewczęta z izby.

Gdy wychodziły z budynku, nikt nie zwrócił na nie uwagi, podobnie jak wtedy, gdy do niego weszły. Nynaeve uznała, że pewnie zawdzięcza to sukni *sul'dam*, nie miała jednak czasu, żeby się przebrać w coś innego. Cokolwiek innego. Najbrudniejsza szmata wydawałaby się czystsza.

Idące tuż za nią dziewczęta milczały, dopóki ponownie nie znalazły się na brukowanej ulicy. Nie wiedziała, czy milczą z powodu tego, co właśnie zrobiła, czy ze strachu, że ktoś je zatrzyma. Zachmurzyła się. Czy zrobiłoby im się lepiej, gdyby pozwoliła im działać na własną rękę i poderżnąć tym kobietom gardła?

- Konie - powiedziała Egwene. - Będą nam potrzebne konie. Znam stajnię, do której zabrali Belę, ale chyba nam się nie uda do niej dojść.

- Musimy zostawić tu Belę - odparła Nynaeve. Płyniemy statkiem.

- Gdzie się wszyscy podziali? - spytała Min i Nynaeve zauważyła raptem, że ulica jest pusta.

Tłumy ludzi zniknęły bez śladu, wszystkie sklepy i okna były zamknięte na głucho. Za to w górę ulicy, od strony portu wspinał się oddział seanchańskich żołnierzy, co najmniej stu zorganizowanych w równe szeregi, na czele szedł oficer w malowanej zbroi. Znajdowali się nadal w połowie widocznego odcinka ulicy, maszerowali jednak zaciekłym, nieubłaganym krokiem, a Nynaeve wydawało się, że oczy ich wszystkich utkwione są wyłącznie w niej.

"Bzdura. Przecież nie widzę ich oczu skrytych pod hełmami, a poza tym, gdyby ktoś miał podnieść alarm, to tylko gdzieś za nami".

Na wszelki wypadek zatrzymała się jednak.

- Za nami jest ich więcej - powiedziała półgłosem Min. Nynaeve słyszała już miarowy odgłos ich kroków. Nie wiem, którzy dopadną nas szybciej.

Nynaeve zrobiła głęboki wdech.

- Im nie chodzi o nas. - Powiodła wzrokiem ponad głowami zbliżających się żołnierzy, w stronę portu, pełnego wielkich, kanciastych statków Seanchan. Nigdzie nie zauważyła "Spray", modliła się, by gdzieś tam był, gotowy zaraz odpłynąć. - Przejdziemy obok nich.

"Światłości, żeby się tylko udało".

- A jeśli oni zażądają, abyś do nich dołączyła, Nynaeve? - spytała Elayne. - Masz na sobie tę suknię. Jeśli zaczną zadawać pytania...

- Nie zawrócę - oznajmiła ponurym głosem Egwene. - Pierwej umrę. Niech im tylko pokażę, czego mnie nauczyli.

Oczom Nynaeve ukazała się złota poświata, gwałtownie otaczająca przyjaciółkę.

- Nie! - krzyknęła, ale było za późno.

Ulica pod pierwszymi szeregami Seanchan wybuchnęła z hukiem przypominającym łoskot gromu, błoto, kamienie brukowe i mężczyźni w zbrojach rozlecieli się na wszystkie strony niczym strumienie wody tryskające z fontanny. Nadal otoczona łuną Egwene obróciła się błyskawicznie na pięcie, by spojrzeć w górę ulicy i znowu rozległ się ogłuszający huk. Na głowy kobiet spadł deszcz błota. Krzyżący głośno seanchańscy żołnierze rozpierzchli się we właściwym porządku, chroniąc się w bocznych uliczkach i za filarami. Po kilku chwilach zniknęli z zasięgu wzroku, wyjąwszy tych, którzy leżeli wokół dwóch wielkich jam zięjących czernią z samego środka ulicy. Niektórzy jeszcze wykonywali jakieś wątle ruchy, cała ulica wypełniła się ich pojękiwaniem.

Nynaeve wyrzuciła ręce w górę, starając się patrzeć jednocześnie w lewo i prawo.

- Ty durna! Miałyśmy nie ściągać na siebie żadnej uwagi!

Na to nie można już było liczyć. Miała tylko nadzieję, że uda im się wyminąć ciała leżących żołnierzy i dojść do portu bocznymi uliczkami.

"*Damane* też już na pewno wiedzą. Tego nie mogły przeoczyć".

- Nigdy więcej nie pozwolę sobie założyć obręczy odparła zapalczywym tonem Egwene. - Nie pozwolę!

- Uważajcie! - krzyknęła Min.

Ponad dachami przeleciała z przenikliwym piskiem ognista kula, wielka jak cielsko konia. Spadała prosto w ich stronę.

- Uciekajcie! - krzyknęła Nynaeve i dała nurka do alejki dzielącej dwa zamknięte sklepy.

W momencie, gdy kula uderzyła o ziemię, wylądowała niezdarnie na brzuchu, z impetem, od którego częściowo zaparło jej dech. Obmył ją gorący podmuch mknący w głąb wąskiego przejścia. Łapczywie chwytając powietrze, obróciła się na plecy i spojrzała w stronę ulicy.

Tam, gdzie przed chwilą stały, kamienie brukowe były poszczerbione, popękane i szerniałe, tworząc krąg o przekroju dziesięciu kroków. Elayne przykucnęła w wylocie innej bocznej alejki, po drugiej stronie ulicy. Po Min i Egwene nie było ani śladu. Zdjęta paniką Nynaeve przycisnęła dłoń do ust.

Elayne wydawała się rozumieć, o czym ona myśli, gwałtownie pokręciła głową i wskazała dalszy odcinek ulicy. Udały się w tamtą stronę.

Nynaeve wydała westchnienie ulgi, które natychmiast przeszło w gniewne warknięcie.

- Głupia dziewczyna! Mogłyśmy ich wyminąć!

Nie było jednak czasu na oskarżenia. Pognała do rogu i ostrożnie wystawiła głowę za skraj budynku.

Ulicą mknęła w jej stronę ognista kula wielkości ludzkiej głowy. Uskoczyła w tył, zanim kula eksplodowała przy zetknięciu z narożnikiem domu, tam gdzie przed chwilą znajdowała się jej głowa, obsypując ją gradem kamiennych odprysków.

Nim się zorientowała, gniew skapał ją w Jedynej Mocy. Przez niebo przeleciała błyskawica, która z trzaskiem uderzyła w coś w górze ulicy, w okolicy miejsca, z którego pochodziła ognista kula. Jeszcze jeden zygzakowaty błysk rozdarł niebo, a potem biegła już dalej. Za jej plecami błyskawica przeszła wylot alejki.

"Jeśli Domon i jego statek na nas nie czekają, to... Światłości, spraw, abyśmy wszystkie dotarły tam całe i zdrowe".

Bayle Domon wyprostował się gwałtownie, gdy szaroniebieskie niebo przeszła jedna pręga błyskawicy, która uderzyła w coś w mieście, a zaraz za nią następna.

"Przecież za mało chmur na coś takiego!"

W mieście rozległ się donośny huk i na dach jednego z dachów, tuż nad dokami, upadła ogniasta kula, rozsyłając we wszystkie strony odłamki dachówek. Nieco wcześniej doki opustoszały, zostało w nich tylko paru Seanchan, biegali teraz jak opętani, dobywając mieczy i krzycząc. Z jednego z magazynów wyłonił się jakiś człowiek z *grolmem* u boku, biegł, by dotrzymać kroku długim susom, jakie sadziła bestia, po czym zniknęli na jednej z ulic odchodzących od nabrzeża.

Jeden z członków załogi Domona doskoczył do topora i zamachnął się nim na linę cumową.

Dwa długie kroki i Domon jedną dłonią schwycił uniesiony topór, drugą gardło mężczyzny.

- "Spray" nie odpłynie, póki ja nie rozkażę, Aedwinie Cole!

- One oszalały, kapitanie! - krzyknął Yarin.

Po całym porcie niosło się dudniące echo eksplozji, płosząc krążące nad nim rozwrzeszczane mewy. Kolejna błyskawica zamigotała na niebie i wbiła się z trzaskiem w bruk Falme.

- Te *damane* nas wszystkich zabijają! Odpływajmy, póki zajęte są mordowaniem samych siebie! W ogóle nie zwrócą na nas uwagi, dopóki się stąd nie wyniesiemy.

- Dałem słowo - oznajmił Domon. Wyrwał topór z rąk Cole'a i cisnął go na środek pokładu, powodując głośny łomot. - Dałem swoje słowo.

"Spiesz się, kobieto - pomyślał - kimkolwiek jesteś, Aes Sedai czy kimś innym. Spiesz się!"

Geofram Bornhald spojrział na błyskawicę nad Falme, wnet jednak przestał o niej myśleć. To zapewne jakiś ogromny latający stwór - bez wątplenia seanchańskie monstrum - machał gwałtownie skrzydłami, uciekając przed błyskawicami. Gdyby to była prawdziwa burza, to zaszkodziłaby nie tylko jemu, ale również Seanchanom. Porośnięte nielicznymi drzewami wzgórze, niektóre zwieńczone rzadkimi zagajnikami, wciąż przesłaniały mu widok miasta, osłaniając także jego przed obserwatorami z miasta.

Z obu stron otaczało go tysiąc ludzi, jeden długi szereg jeźdźców, załamujący się w przestrzeniach między wzgórzami. Chłodny wiatr miotał połami ich białych płaszczy i targał sztandarem u boku Bornhalda, sztandarem Synów Światłości - złote słońce z falującymi promieniami.

- Ruszaj w drogę, Byar - rozkazał.

Człowiek o ponurym obliczu wahał się, więc Bornhald uzbroił głos w ostrą nutę.

- Powiedziałem, ruszaj, Synu Byar! Byar przyłożył dłoń do serca i ukłonił się.

- Jak każesz, lordzie kapitanie. - Zawrócił konia, całą swoją sylwetką wyrażając niechęć.

Bornhald przestał się interesować Byarem. Nic już więcej zrobić nie mógł. Tutaj. Podniósł głos.

- Legion, naprzód! Stępa!

Przy akompaniamencie skrzypienia siodeł, długa linia odzianych w biel mężczyzn ruszyła wolno w stronę Falme.

Rand wyjrzał zza rogu na nadchodzących Seanchan i z grymasem na twarzy natychmiast wycofał

się do wąskiej uliczki dzielącej dwie stajnie. Mieli tu dotrzeć lada chwila. Policzek miał umazany grudkami zakrzepłej krwi. Rany zadane przez Turaka piekły, nic z nimi jednak nie mógł na razie zrobić. Niebo ponownie przeszła błyskawica, poczuł od podeszew butów dudnienie gromu.

"Co tu się, w imię Światłości, dzieje?"

- Blisko? - spytał Ingtar. - Rogu Valere nie wolno stracić, Rand. - Mimo Seanchan, błyskawic i dziwnych eksplozji w centrum miasta, wyraźnie pochłaniały go wyłącznie własne myśli. Mat, Perrin i Hurin znajdowali się w przeciwległym krańcu uliczki, obserwowali inny seanchański patrol. Do miejsca, gdzie zostawili konie, było już niedaleko, musieli tylko do niego dotrzeć.

- Ona ma kłopoty - mruknął Rand. Egwene. Umysł przepełniało mu dziwaczne uczucie, jakby pewne części jego życia były zagrożone. Egwene była właśnie taką częścią, jednym włóknem wstęgi, tworzącej jego życie, ale istniały jeszcze inne włókna i czuł, że coś im grozi. Tutaj, w Falme. I że gdyby któreś z nich uległo zniszczeniu, to jego życie już nigdy nie będzie pełne, takie, jakie miało być. Nie rozumiał tego, ale uczucie było silne i pewne.

- Jeden człowiek zatrzyma tu pięćdziesięciu - orzekł Ingtar. Stajnie stały blisko siebie, ledwie starczało miejsca, by ich dwóch mogło między nimi stanąć ramię w ramię. Jeden człowiek zatrzymujący pięćdziesięciu ludzi w wąskim zaułku. Niezgodna śmierć. Komponuje się pieśni o ostatnich wyczynach.

- Nie będzie takiej potrzeby - odparł Rand. - Mam nadzieję.

W mieście eksplodował jakiś dach.

"Jak ja mam tam wrócić? Muszę do niej dotrzeć. A najpierw do nich!"

Kręcąc głową, raz jeszcze wyjrzał zza rogu. Seanchanie byli coraz bliżej, nie przestawali maszerować.

- Nigdy nie wiedziałem, co on zamierza - powiedział cicho Ingtar, jakby do siebie. Wyciągnął miecz, badał kciukiem ostrze. - Blady człeczyna, którego jakby trudno zauważyć, nawet jak się na niego patrzyło. Wprowadź go do Fal Dara, tak mi przykazano, do fortecy. Nie chciałem, ale musiałem to zrobić. Rozumiesz? Musiałem. Nie miałem pojęcia, jakie są jego zamiary, dopóki nie wypuścił tej strzały. Do dzisiaj nie wiem, czy była przeznaczona dla Amyrlin czy dla ciebie.

Rand poczuł dreszcz. Spojrzał na Ingtara.

- O czym ty mówisz? - wyszeptał.

Wpatrzony w ostrze Ingtar jakby go nie słyszał.

- Wszędzie, na całym świecie, pomiata się człowieczym rodem. Narody padają i giną bez śladu. Wszędzie są Sprzymierzeńcy Ciemności, a ci południowcy jakby tego nie zauważali albo o to nie dbali. Walczymy o utrzymanie Ziemi Granicznych, by ludzie mogli żyć bezpiecznie w swych domostwach, a jednak z każdym rokiem, mimo że robimy, co możemy, Ugór podchodzi coraz bliżej. A południowcy tymczasem uważają trolloki za mit, a Myrddraali za bohaterów z opowieści bardów. - Zmarszczył czoło i potrząsnął głową. - Wydawało się, że jest tylko jedna droga. Mogliśmy zginąć za nic, w obronie ludzi, których nie znamy albo którzy nas nie obchodzą. To wydawało się logiczne. Po co ginąć za nich, skoro można było zawrzeć pokój we własnym imieniu? Cień lepszy, pomyślałem, niżli niepotrzebne zapomnienie, jak w przypadku Carallaina, Hardam albo... Wtedy to wydawało się takie logiczne.

Rand wczepił dłonie w wyłogi kaftana Ingtara.

- Mówisz zupełnie od rzeczy.

"To niemożliwe, by on mówił, co myśli. Niemożliwe".

- Powiedz jasno, o co ci chodzi. Gadasz jak szaleniec! Ingtar dopiero teraz spojrzał na Randa. Oczy błyszczały mu od nie wylanych łez.

- Jesteś lepszym człowiekiem niż ja. Nieważne, pasterz czy lord, lepszy. Proroctwo powiada: "Niechaj ten, co we mnie zadmie, nie o chwale myśli, lecz o zbawieniu." O takim właśnie zbawieniu dla siebie myślałem. Zadnę w Róg i poprowadzę bohaterów wszystkich Wieków na Shayol Ghul. Bez wątpienia w tym był dla mnie ratunek. Żaden człowiek nie może podążać w Cieniu tak długo, by nie móc potem ponownie wstąpić na drogę Światłości. Tak się powszechnie uważa. To by z pewnością starczyło do obmycia mnie z tego, czym jestem i co uczyniłem.

- Och Światłości, Ingtar. - Rand puścił mężczyznę i opadł na ścianę stajni. - Myślę... Myślę, że już sama chęć wystarcza. Myślę, że wystarczy, jak po prostu przestaniesz być... jednym z nich.

Ingtar wzdrygnął się, jakby Rand wymówił jednak to słowo. Sprzymierzeniec Ciemności.

- Rand, kiedy Verin sprowadziła nas tutaj za pomocą kamienia portalu, to ja... ja zobaczyłem inne swoje żywoty. Czasami trzymałem Róg, ale nigdy w niego nie zadałem. Próbowałem uciec przed tym, czym się stałem, ale nigdy mi się nie udało. Zawsze wymagano czegoś innego ode mnie, zawsze czegoś jeszcze gorszego niż wcześniej, aż wreszcie stałem się... Ty byłeś gotów z tego zrezygnować, by uratować ukochaną. Ty nie myślisz o chwale. Och, Światłości, dopomóż mi.

Rand nie wiedział, co powiedzieć. To samo by czuł, gdyby Egwene mu wyznała, że mordowała dzieci. Zbyt potworne, by można było uwierzyć. Zbyt potworne, by ktoś mógł się do czegoś takiego przyznać, zanim prawda nie wyszła na jaw. Zbyt potworne.

Po jakiejś chwili Ingtar przemówił ponownie, stanowczym tonem.

- Trzeba zapłacić cenę, Rand. Wszystko zawsze ma swoją cenę. Może będę mógł ją zapłacić tutaj.

- Ingtar, ja...

- Rand, każdy człowiek ma prawo postanowić, kiedy schować miecz. Nawet taki człowiek jak ja.

Nim Rand zdążył coś powiedzieć, do uliczki wbiegł Hurm.

- Patrol zawrócił - wyrzucił pośpiesznie. - W stronę miasta. Wygląda na to, że gromadzą się w jakimś miejscu. Mat i Perrin już poszli. - Pośpiesznie wyjrzał na ulicę i cofnął się. - Lepiej zróbmy to samo, lordzie Ingtar, lordzie Rand. Ci pluskwom podobni Seanchanie prawie już tu są.

- Idź, Rand - powiedział Ingtar. Zwrócił twarz w stronę ulicy i już więcej nie spojrzął na Randa ani na Hurina. - Zabierzcie Róg tam, gdzie jego miejsce. Cały czas wiedziałem, że Amyrlin tobie winna była zlecić tę misję. Ale ja zawsze pragnąłem, by Shienar stanowił całość, by nas nie wymiotło, by o nas nie zapomniano.

- Wiem, Ingtarze. - Rand odetchnął głęboko. Niechaj ci Światłość przyświeca, lordzie Ingtarze z rodu Shinowa, obyś znalazł schronienie w dłoni Stwórcy. - Położył rękę na ramieniu Ingtara. - Oby matka swym ostatnim uściskiem przyjęła cię do domu.

Hurin zdumiał się głośno.

- Dziękuję ci - powiedział cicho Ingtar. Napięcie wyraźnie go opuściło. Po raz pierwszy od tamtej nocy, gdy trolloki dokonały napadu na Fal Dara, wyglądał tak samo jak tamtego dnia, gdy Rand go poznał - pewien siebie, spokojny, zadowolony.

Rand odwrócił się i zobaczył, że Hurin patrzy na niego, na nich obojwóch.

- Czas już iść.

- Ależ lord Ingtar...

- ... robi to, co musi - odparł zwięźle Rand. - My natomiast idziemy.

Hurin skinął głową, Rand pobiegł za nim. Słyszał już miarowy stukot seanchańskich butów. Nie obejrzał się.

# ROZDZIAŁ 24

## NIE JEST GRÓB PRZESZKODĄ NA MOJE WEZWANIE

Mat i Perrin siedzieli już na koniach, gdy Rand z Hurinem do nich dotarli. Z oddali dobiegł go grzmiący głos Ingtara.

- Za Światłość! Za Shinowa!

Do harmideru innych krzyków przyłączył się brzęk stali.

- Gdzie jest Ingtar? - krzyknął Mat. - Co się dzieje?

Przywiązał Róg Valere do wysokiego łęku siodła, jakby to był byle jaki róg, sztylet zaś schowany miał za pasem, rubinowa rękojeść znalazła schronienie w bladej dłoni, dłoni zdającej się składać z samych kości i ścięgien.

- On umiera - odparł szorstko Rand, wskakując na grzbiet Rudego.

- No to powinniśmy mu pomóc - stwierdził Perrin. - Mat może zawieźć Róg i sztylet do...

- Robi to, żebyśmy mogli uciec - powiedział Rand.

"A także z tamtego powodu".

- Wszyscy pojedziemy z Rogiem do Verin, a potem wy pomożecie jej zawieźć go tam, gdzie uzna, że jest jego miejsce.

- O czym ty mówisz? - spytał Perrin.

Rand wbił pięty w boki gniadosza i Rudy długimi skokami ruszył w stronę wzgórz za miastem.

- Za Światłość! Za Shinowa! - szybował w ślad za nim triumfalny krzyk Ingtara. Odpowiedział mu trzask błyskawicy rozszechającej niebo.

Rand smagnął Rudego wozami i przyłgął do jego karku, gdy ruszył do galopu na łeb na szyję, z rozwianą grzywą i ogonem. Męczyło go, że czuje się tak, jakby uciekał przed krrylaem Ingtara, jakby uciekał przed tym, co winien był zrobić.

"Ingtar Sprzymierzeńcem Ciemności. Nic mnie to nie obchodzi. Był przecież moim przyjacielem".

Galop gniadosza nie pozwalał uciec od własnych myśli.

"Śmierć jest lżejsza od pióra, powinność cięższa niż góra. Tyle tych powinności. Egwene. Róg. Fain. Mat i jego sztylet. Czemu każda po kolei? Wszystkimi muszę się zająć. Och, Światłości, Egwene!"

Ściągnął wodze tak gwałtownie, że Rudy zahamował z poślizgiem, siadając nieomal na zadzie. Znajdowali się w rzadkim zagajniku na szczycie jednego ze wzgórz górujących nad Falme. Pozostali trzej przygalopowali jego śladem.

- O czym ty mówisz? - dopytywał się Perrin. Mamy asystować Verin w zawiezieniu Rogu tam, gdzie powinien się znaleźć. A gdzie ty będziesz?

- Może on już popadł w obłąd - zadrwił Mat. Gdyby popadł w obłąd, nie chciałby z nami przestawać. Prawda, Rand?

- Wy trzej zawiezicie Verin Róg - powiedział Rand.

"Egwene: Tyle tych wątków, tak zagrożonych. Tyle tych powinności".

- Nie jestem wam potrzebny.

Mat gładził czule rękojeść sztyletu.

- Wszystko bardzo pięknie, ale co ze mną? Niech szczenę, jeszcze nie mogłeś popaść w obłąd. Nie mogłeś!

Hurin gapił się na nich, nie rozumiejąc nawet połowy.



- Wracam - oświadczył Rand. - Nie powinienem był w ogóle z wami jechać.

Z jakiegoś powodu nie zabrzmiało to specjalnie przekonująco dla jego ucha, umysł tego też nie czuł.

- Muszę wracać. Natychmiast. - Teraz zabrzmiało lepiej. - Egwene tam ciągle jest, weźcie to pod uwagę. Ma obręcz na szyi.

- Jesteś pewien? - spytał Mat. - Ja jej w ogóle nie widziałem. Aaaach! Skoro mówisz, że ona tam jest, to znaczy, że ona tam jest. Wszyscy zawieziemy Róg, a potem wszyscy po nią wrócimy. Chyba nie myślisz, że ja bym ją tam zostawił?

Rand potrząsnął głową.

"Wątki. Powinności".

Miał wrażenie, że zaraz eksploduje, niczym fajerwerk.

"Światłości, co się ze mną dzieje?"

- Mat, Verin musi cię zawieźć razem ze sztyletem do Tar Valon, żebyś wreszcie się od niego uwolnił. Nie masz czasu do stracenia.

- Ratowanie Egwene nie jest stratą czasu!

Ścisnął jednak sztylet tak mocno, że zaczęła mu drżeć dłoń.

- Żaden z nas nie zawróci - oznajmił Perrin. - W każdym razie nie teraz. Spójrzcie. - Wyciągnął rękę, wskazując Falme.

Podwórce dla wozów i wybiegi dla koni czerniały od wypełniających je seanchańskich żołnierzy, tysiący żołnierzy w niezliczonych szeregach, razem z oddziałami kawalerii składających się zarówno z porośniętych łuskami bestii, jak i zakutych w zbroje jeźdźców na koniach. Oficerów wyróżniały wielobarwne chorągwie. Wśród szeregów żołnierzy widać było *grolmy* i inne cudaczne zwierzęta, podobne, lecz nie całkiem, do ogromnych ptaków albo jaszczurek, a także nie dające się do niczego przyrównać, wielkie stwory, obdarzone szarą, pomarszczoną skórą i wielkimi kłami. Równolegle do szyków rozstawione były w równych odstępach dziesiątki *sul'dam* i *damane*. Rand bał się, że Egwene mogła się znaleźć wśród nich. W mieście co jakiś czas wybuchały dachy, błyskawice wciąż przelatywały przez niebo. Wysoko w górze frunęły dwie latające bestie, o skórzastych skrzydłach rozpiętości dwudziestu piędzi, w sporej odległości od tej połaci nieboskłonu, po której tańczyły oślepiające zygzaki.

- To wszystko z naszego powodu? - spytał z niedowierzaniem Mat. - Za kogo oni nas uważają?

Randowi przyszła do głowy odpowiedź, ale odsunął ją, nim zdążyła do końca się ukształtować.

- W tamtą stronę też nie pojedziemy, lordzie Rand wtrącił Hurin. - Białe Płaszcz. Całe setki.

Rand zawrócił konia, by spojrzeć w stronę, którą wskazał wężyciel. Przez wzgórze wolno wędrowała w ich stronę falująca, biała linia.

- Lordzie Rand - powiedział półgłosem Hurin jak ta zgraja choć rzuci okiem na Róg Valere, to już go nigdy nie dowieziemy do żadnej Aes Sedai. Sami nigdy więcej się do niego nie zbliżymy.

- Może właśnie dlatego Seanchanie gromadzą siły stwierdził z nadzieją w głosie Mat. - Z powodu tych Białych Płaszcz. Może całe to zamieszanie nie ma z nami nic wspólnego.

- Nieważne, jak to jest - odparł sucho Perrin. Za kilka minut zacznie się tu bitwa.

- Może nas zabić każda ze stron - stwierdził Hurin - nawet jeśli na oczy nie zobaczą Rogu. Jeśli to zrobią...

Rand nie mógł się zmusić do myślenia o Białych Płaszczach albo Seanchanach.

"Muszę wracać".

Zorientował się, że wzrok ma utkwiony w Rogu Valere. Wszyscy czterej patrzyli na niego. Kręty, złoty Róg, uwieszony u łęku siodła Mata, skupiał na sobie każde oko.

- To się musi stać podczas Ostatecznej Bitwy - powiedział Mat, oblizując wargi. - Nigdzie nie powiedziane, że można użyć go wcześniej. - Odplątał Róg z zabezpieczających go sznurów i przyjrzał mu się z lękiem. - Nie powiedziane też, że nie można.

Nikt więcej się nie odezwał. Rand uważał, że nie może nic powiedzieć, własne myśli były zbyt naglące, by znaleźć wśród nich czas na słowa.

"Muszę wracać. Muszę wracać".

Im dłużej patrzył na Róg, tym te myśli coraz bardziej go nagliły.

"Muszę. Muszę".

Matowi zatrzęsała się ręka, gdy podniósł Róg Valere do ust.

Nuta zabrzmiała czysto, złociście, bo i Róg był złoty. Jej pogłos zdawały się przenosić nie tylko otaczające ich drzewa, lecz również ziemia pod stopami i niebo nad głową. Ten jeden długi dźwięk ogarnął wszystko.

Zupełnie znikąd podniosła się mgła. Najpierw w powietrzu zaczęły dryfować długie, cienkie smugi, potem grubsze kłęby, coraz grubsze, aż wreszcie spowiła okolicę wielkimi obłokami.

Geofram Bornhald zeszywniał w siodle, gdy powietrze wypełniło się dźwiękiem tak słodkim, że zapragnął się roześmiać, i tak żałobnym, że zapragnął zapłakać. Dźwięk płynął jakby z wszystkich stron jednocześnie. Zaczęła podnosić się mgła, rosła w jego oczach.

"Seanchanie. Coś knują. Wiedzą, że tu jesteśmy".

Było jeszcze za wcześnie, miasto za daleko, dobył jednak miecza - szczęk broni wysuwanej z pochew przebiegł wzdłuż szeregu, w którym rozstawiony był jego okrojony do połowy legion - i zawołał:

- Legion cwałem naprzód!

Mgła okrywała teraz wszystko, wiedział jednak, że Falme wciąż tam jest, przed nimi. Konie przyspieszyły kroku, nie widział ich, ale za to słyszał.

Wtem ziemia wzniosła się w powietrze z ogłuszającym łoskotem, obsypując go gradem błota i kamyków. Z białej ciemności po jego prawej ręce dobiegł go jeszcze jeden huk, przeraźliwy krzyk ludzi i koni, potem usłyszał go z lewej i jeszcze raz to samo. I jeszcze raz to samo. Grom i krzyki, ukryte we mgle.

- Legion do ataku!

Koń skoczył do przodu, gdy wbił w niego pięty, a potem usłyszał ten sam huk, w tym samym czasie, gdy jego legion, czy raczej to, co z niego się ostało, ruszył jego śladem.

Grom i krzyki, otulone w biel.

Ostatnią myślą był żal. Byar nie będzie mógł opowiedzieć jego synowi, Dainowi, jaką śmiercią poległ.

Rand już nie widział rosnących wokół drzew. Mat opuścił Róg, z oczyma szeroko rozwartymi ze zgrozy, lecz w uszach Randa wciąż dzwonił tamten dźwięk. Mgła okrywała wszystko przewalającymi się falami, tak białymi niczym najcieńsza, bielona wełna, a mimo to Rand widział. Widział, ale było to szalone widzenie. Falme dryfowało gdzieś w dole, jego granice od strony lądu wytyczała czerń seanchańskich szeregów, pioruny rozdzierały ulice. Falme unosiło się nad jego głową. Tu Synowie Światłości przypuścili szarżę i polegli, gdy ziemia rozstała się w ogniu pod kopytami ich koni. Tam ludzie biegali po pokładach ogromnych, kanciastych statków stojących w porcie, a na jednym,

znajomym statku, czekali przerażeni mężczyźni. Rozpoznał nawet twarz kapitana. Bayle Domon. Rękoma ścisnął się za głowę. Drzewa skryły się za mgłą, ale swych towarzyszy widział dokładnie. Zaniepokojonego Hurina. Mruczącego do siebie, przerażonego Mata. Perrina, który miał taką minę, jakby wiedział, że tak właśnie miało się stać. Wszędzie wirowały opary mgły.

Hurin zdziwił się głośno.

- Lordzie Rand! - zawołał.

Nie musiał pokazywać.

W dół, po kłębach mgły, jakby to było zbocze góry, jechały widma na koniach. Z początku nie było nic widać z powodu gęstych oparów, powoli jednak postacie były coraz bliżej i teraz przysła kolej na Randa, żeby głośno jęknąć ze zdumienia. Rozpoznał ich. Mężczyźni, nie wszyscy w zbrojach, oraz kobiety. Ich ubiory i broń pochodziły z wszystkich wieków, ale on rozpoznał wszystkich.

Rogosh Sokole Oko, siwowłosa mężczyzna o dobroduszej twarzy i wzroku tak przenikliwym, jakby jego przydomek miał stanowić zaledwie aluzję. Gaidal Cain, ciemnoskóry, rękojeści dwóch mieczy wystawały ponad jego barczystymi plecami. Złotowłosa Birgitte, z połyskującym, srebrnym łukiem i kołczanem jeżdżącym się srebrnymi strzałami. Inni. Znał ich twarze, znał ich imiona. Gdy jednak patrzył w każdą z tych twarzy, słyszał setki imion, niektóre tak odmiennie, że wcale nie uznał ich za imiona, aczkolwiek wiedział, że są nimi. Michael zamiast Mikela. Patrick zamiast Paedriga. Oscar zamiast Otarina.

Znał też człowieka, który jechał na ich czele. Wysoki, obdarzony haczykowatym nosem i ciemnymi, głęboko osadzonymi oczyma, u boku miał wielki miecz zwany Sprawiedliwością. Artur Hawkwing.

Mat gapił się z rozdziawionymi ustami, gdy zatrzymali się przed nimi.

- Czy to...? Czy to naprawdę wy wszyscy?

Rand zauważył, że jest ich trochę więcej niż stu, uświadomił sobie jednak, że z jakiegoś powodu spodziewał się takiej liczby. Hurinowi opadła szczeka, a oczy prawie wyszły z orbit.

- Trzeba czegoś więcej niż męstwa, by związać mężczyznę z Rogiem. - Artur Hawkwing mówił głębokim, donośnym głosem, głosem nawykłym do wydawania rozkazów.

- Albo kobietę - wskazała ostrym tonem Birgitte.

- Albo kobietę - zgodził się Hawkwing. - Zaledwie garstka jest takich, którzy związani są z Kołem, którzy dali się wziąć w nieskończone obroty, by sprostać woli Koła we Wzorce Wieków. - Patrzył na Randa.

Rand potrząsnął głową, nie mógł jednak marnować czasu na zaprzeczanie.

- Przybyli najeźdźcy, ludzie, którzy zwą się Seanchanami i wykorzystują w bitwach skute łańcuchami Aes Sedai. Trzeba ich przepędzić z powrotem za morze. A poza tym... jest jeszcze dziewczyna. Egwene al'Vere. Nowicjuszka z Białej Wieży. Seanchanie wzięli ją do niewoli. Musisz mi pomóc ją uwolnić.

Ku jego zdziwieniu kilku członków niewielkiej armii stojącej za Arturem Hawkwingiem zachichotało, a Birgitte, zajęta sprawdzaniem cięciwy, wybuchnęła śmiechem.

- Zawsze znajdujesz sobie kobiety, które przysparzają ci kłopotów, Lewsie Therinie.

W śmiechu słychać było czułą nutę, jak to między dwojgiem starych przyjaciół.

- Nazywam się Rand al'Thor - zachnął się. - Musicie się śpieszyć. Czasu zostało niewiele.

- Czasu? - powtórzyła z uśmiechem Birgitte. - My mamy cały czas.

Gaidal Cain wypuścił wodze z rąk i prowadząc konia uciskiem kolan, dobył obiema dłońmi swych mieczy. Jak na dany znak szeregi bohaterów zaczęły sposobić się do bitwy - wyciągano miecze z pochew, naciągano cięciwy łuków, podnoszono włócznie i topory.

Miecz Sprawiedliwości zabłysnął niczym zwierciadło w obleczonej w rękawicę garści Artura Hawkwinga.

- Walczyłem u twego boku nieskończoną ilość razy, Lewsie Therinie, i dwa razy częściej stawiałem ci czoło. Koło nami obraca dla swoich, a nie naszych celów, by służyć Wzorowi. Ja ciebie znam, nawet jeśli ty nie znasz samego siebie. Przegnamy najeźdźców, skoro tego chcesz. - Jego rumak zaczął tańczyć w miejscu, a on rozejrzał się dokoła, marszcząc czoło. - Coś tu się dzieje złego. Coś mnie trzyma. - Nagle wbił swój przenikliwy wzrok w Randa. - Jesteś tutaj. Czy masz sztandar?

Wśród stojących za nim rozszedł się szmer.

- Tak. - Rand pośpiesznie odpiął sprzączki przy sakwie i wyciągnął sztandar Smoka. Wypełnił mu całe dłonie i opadł prawie do kolan wierzchowca.

Bohaterowie zaszemrali jeszcze głośniej.

- Wzór oplata się wokół naszych szyj niczym uździenica - powiedział Artur Hawkwing. - Jesteś tutaj. Sztandar jest tutaj. Splot tej chwili jest ustalony. Przybyliśmy na wezwanie Rogu, ale musimy podążyć za sztandarem. I Smokiem.

Hurin wydał jakiś słaby odgłos, jakby skurcz chwycił jego gardło.

Perrin wahał się chwilę, po czym zeskoczył z siodła i zdecydowanym krokiem wszedł w sam środek mgły. Rozległ się odgłos rąbania drewna, i wnet Perrin przyniósł odarty z gałęzi pień młodego drzewka.

- Daj mi to, Rand - powiedział uroczystym tonem. - Skoro im to potrzebne... Daj mi to.

Rand pośpiesznie pomógł mu przymocować sztandar do drzewca. Gdy Perrin ponownie dosiadł konia, ze sztandarem w ręku, podmuch powietrza rozwiął białą płachtę, sprawiając, że widniejący na niej wąż zdawał się poruszać, żyć. Mgły ten wiatr nie tknął, tylko sam sztandar.

- Zostań tutaj - powiedział Rand Hurinowi. Kiedy to się skończy... Tu będziesz bezpieczny.

Hurin chwycił za swój krótki miecz, jakby rzeczywiście mógł z niego zrobić jakiś użytek.

- Dopraszam się twego wybaczenia, lordzie Rand, ale wolę nie. Nie rozumiem dziesiątej części tego, com tu słyszał... ani tego, co widzę - wymamrotał, po chwili jednak jego głos wrócił do sił - ale dotarłem tak daleko i chyba chcę do końca przebyć tę drogę.

Artur Hawkwing poklepał wężyciela po ramieniu.

- Niekiedy Koło powiększa nasze szeregi, przyjacielu. Może któregoś dnia staniesz się jednym z nas.

Hurin wyprostował się, jakby ofiarowano mu koronę. Hawkwing skłonił się ceremonialnie ze swego siodła w stronę Randa.

- Za twoim pozwoleniem... lordzie Rand. Trębaczu, czy zagrasz nam na Rogu? Stosowna to rzecz, by Róg śpiewał nam do bitwy. Człowieku ze sztandarem, czy zechcesz ruszać?

Mat raz jeszcze zadał w Róg, przeciągle i głośno opary mgły rozdzwoniły się tym dźwiękiem - a Perrin pognął konia przed siebie. Rand dobył miecza ze znakiem czapli i ruszył między nimi.

Nie widział nic prócz gęstych kłębow bieli, ale w niewytłumaczony sposób widział też to, co przedtem. Falme, na ulicach którego ktoś korzystał z Mocy, port, seanchańską armię, umierających Synów Światłości, wszystko to pod sobą, wszystko to zawisłe w górze, wszystko dokładnie takie, jak przedtem. Wydawało się, że żaden czas nie upłynął od chwili, w której Mat zadał w Róg, jakby czas zatrzymał się, gdy bohaterowie odpowiadali na wezwanie Rogu, a teraz wznowił swe odliczanie.

Dzikie dźwięki, dobywane przez Mata, rozbrzmiewały echem po mgle, przy akompaniamencie stukotu kopyt rozpędzonych koni. Rand pędził prosto przez mgłę, nie wiedząc, dokąd właściwie zmierza. Chmury gęstniały, kryjąc ostatnie szeregi bohaterów galopujących obok niego, coraz bardziej zaciemniając wizję, aż wreszcie widział wyraźnie tylko Mata, Perrina i Hurina. Hurma,

skulonego w siodle, szeroko rozwierającego oczy, popędzającego konia. Mata na przemian dmącego w Róg i zanoszącego się śmiechem. Perrina, z rozjarzonymi, żółtymi oczyma, z powiewającym za nim sztandarem Smoka. Po chwili oni też zniknęli i dalej Rand galopował, zdawało się, samotnie.

W pewien sposób widział ich wszystkich, ale był to ten sam sposób, w jaki widział Falme i Seanchan. Nie był w stanie orzec ani gdzie są oni, ani on sam. Ścisnął mocniej rękojeść miecza, przezierając wzrokiem mgłę. Szarżował samotnie przez opary i z jakiegoś powodu wiedział, że tak to dokładnie miało być.

Nagle z mgły wyrósł przed nim Ba'alzamon. Rozpostarł szeroko ramiona.

Rudy stanął dęba, wyrzucając go z siodła. Spadał, kurczowo uczepony miecza. Lądowanie nie było twarde. W rzeczy samej, pomyślał z pewnym zdziwieniem, przypominało lądowanie na... na niczym. W jednej chwili żeglował przez mgłę, w następnej po prostu przestał.

Gdy podniósł się na nogi, jego koń gdzieś zniknął, ale Ba'alzamon ciągle tam był, kroczył w jego stronę z długą, szerniącą od ognia laską w dłoniach. Byli sami, tylko oni i ta mgła. Za Ba'alzamonem pojawił się cień. Mgła nie była ciemna, ta czerń ją wyparła.

Rand zauważył też inne rzeczy. Artur Hawkwing i inni bohaterowie potykali się z Seanchanami w gęstej mgle. Perrin, ze sztandarem w dłoni, wymachiwał toporem po to raczej, by odstraszyć tych, którzy usiłowali go dosięgnąć, niż zrobić im coś złego. Mat nadal wygrywał szalone nuty na Rogu Valere. Hurin zsiadł z konia, walczył, jak umiał, swym krótkim mieczem i łamaczem mieczy. Mogło się niby wydawać, że Seanchanie powinni ich pokonać jednym zrywem, a to właśnie odziani w ciemne zbroje żołnierze cofali się.

Rand ruszył na spotkanie z Ba'alzamonem. Niechętnie przywołał pustkę, sięgnął do Prawdziwego Źródła, napełnił się Jedyńą Mocą. Nie było innego sposobu. Może nie miał żadnej szansy w starciu z Czarnym, ale jeśli już była, to opierała się na Mocy. Przesiąknęła wszystkie jego członki, wydawała się zalewać całe otoczenie, ubranie, miecz. Miał wrażenie, że powinien płonąć niczym słońce. To przeszywało go radosnym dreszczem, od tego zbierało mu się na wymioty.

- Zejdź mi z drogi - powiedział zgrzytliwym głosem. - Nie jestem tu z twojego powodu!

- Dziewczyna? - Ba'alzamon ryknął śmiechem, a z jego ust buchnął płomień. Rany po oparzeniach na twarzy wygoiły się, zostało tylko kilka, blednących już, różowych blizn. Przypominał przystojnego mężczyznę w średnim wieku. Gdyby nie te usta i oczy. - Która, Lewsie Therinie? Tym razem nikt ci nie pomoże. Będiesz mój albo zginiesz. W każdym przypadku i tak jesteś mój.

- Kłamca! - warknął Rand. Zaatakował Ba'alzamona, lecz laska ze zwęglonego drewna odepchnęła jego ostrze i skąpała je w deszczu iskier. - Ojciec kłamstw!

- Głupiec! Czyżby ci inni głupcy, których wezwałeś, nie powiedzieli ci, kim jesteś? - Ognie w twarzy Ba'alzamona huczały śmiechem.

Poczuł lodowaty chłód, mimo że unosił się we wnętrzu skorupy pustki.

"Czy mogli kłamać? Nie chcę być Smokiem Odrodzonym."

Ścisnął mocniej miecz. "Rozdzieranie jedwabiu", ale Ba'alzamon udaremniał każde pchnięcie - iskry sypały się jak spod młota uderzającego o kowadło.

- Mam sprawę do załatwienia w Falme i nic tobie do niej. Jak zawsze nic - powiedział Rand.

"Muszę skierować jego uwagę na siebie, dopóki oni nie uwolnią Egwene".

Widział, w tamten dziwaczny sposób, bitwę szalejącą wśród spowitych we mgłę podwórców dla wozów i wybiegów dla koni.

- Ty żałosny nędzarzu. Zadałeś w Róg Valere. Jesteś z nim teraz związany. Myślisz, że te robaki z Białej Wieży kiedykolwiek teraz cię puszczą? Nałożą na twój kark łańcuchy tak grube, że nigdy ich nie przetniesz.

Rand był tak zdziwiony, że to zdziwienie czuł nawet przez pustkę.

"On nic nie wie. On nie wie!"

Był przekonany, że to się ujawniło na jego twarzy. Żeby to ukryć, natarł na Ba'alzamona. "Koliber całuje różę". "Księżyc na wodzie". "Jaskółka w locie". Między mieczem a laską zajaśniał łuk błyskawicy. Srebrzysty deszcz iskier lunął na mgłę. A Ba'alzamon cofnął się, z oczyma rozjarzonymi jak dwa wściekłe paleniska.

Ze skraju świadomości Rand widział, że walczący rozpaczliwie Seanchanie cofają się w głąb ulic Falme. Damane rozpruwały ziemię Jedyną Mocą, lecz nie mogły tym zaszkodzić Arturowi Hawkwingowi ani innym bohaterom wezwanym przez Róg.

- Na zawsze zostaniesz ślimakiem ukrytym pod kamieniem? - warknął Ba'alzamon. Otaczająca go ciemność kłębiła się i wirowała. - Zabijasz się, gdy tak tu stoimy. Moc pieni się w tobie. Spala cię. Zabija! Tylko ja na całym świecie mogę cię nauczyć, jak kontrolować jej przepływ. Służ mi, to będziesz żył. Służ mi, bo inaczej zginiesz!

- Nigdy!

"Muszę go wystarczająco długo zatrzymać. Spiesz się, Hawkwing. Spiesz się!"

Raz jeszcze rzucił się na Ba'alzamona. "Gołąb zrywa się do lotu". "Spadający liść".

Tym razem to on musiał się cofnąć. Widział niewyraźnie Seanchanów, którzy zapędzeni przedtem między stajnie, torowali sobie teraz drogę powrotną. Zdwoił wysiłki. "Zimorodek łowi płoć". Seanchanie ustępowali przed szarżą, w pierwszym szeregu kroczyli ramię w ramię Artur Hawkwing i Perrin. "Wiązanie słomy". Ba'alzamon powitał jego cios fontanną purpurowych światełek i musiał uskoczyć w tył, by laska nie rozłupała mu głowy, podmuch ciosu zwichrzył włosy. Seanchanie popędzili naprzód. "Krzeseł iskier". Iskry spadły niczym grad, Ba'alzamon uskoczył przed jego uderzeniem, na brukowanych ulicach Seanchanie znowu ustępowali pola.

Rand miał ochotę głośno zawyć. Nagle zrozumiał, że te dwie bitwy są z sobą powiązane. Kiedy on rzucał się do przodu, bohaterowie wezwani przez Róg przeganiali Seanchan, gdy on się cofał, odpór dawali Seanchanie.

- Oni cię nie uratują - powiedział Ba'alzamon. Ci, którzy mogli cię uratować, zostaną przeniesieni na drugi brzeg oceanu Aryth. Jeśli jeszcze raz ich kiedyś przypadkiem zobaczysz, będą niewolnikami w obręczach i zabiją cię z rozkazu swych nowych władców.

"Egwene. Nie mogę dopuścić, by to z nią zrobili".

Te myśli stratował głos Ba'alzamona.

- Tylko jedno może cię zbawić, Randzie al'Thor. Lewsie Therinie, zabójco rodu. Ja jestem twoim jedynym zbawieniem. Służ mi, to podaruję ci cały świat. Stawisz opór, to zniszczę cię, tak jak to już nieraz czyniłem. Tym razem jednak zniszczę cię razem z duszą, zniszczę cię do ostatka, na zawsze.

"Znowu zwyciężyłem, Lewsie Therinie".

Ta myśl unosiła się poza pustką, trzeba jednak było nie lada wysiłku, by ją ignorować, by nie myśleć o wszystkich tych żywotach, w których to słyszał. Zmienił położenie miecza, a Ba'alzamon ustawił laskę w gotowości.

Rand dopiero teraz zauważył, że Ba'alzamon tak się zachowuje, jakby miecz ze znakiem czapli mógł go zranić.

"Stal nie zrani Czarnego".

A jednak Ba'alzamon czujnie śledził ruchy ostrza. Rand stał się jednym z mieczem. Czuł każdą jego cząsteczkę, mikroskopijne drobiny, tysiącokrotnie za małe, by można je było zobaczyć gołym okiem. Czuł także Moc, która go przepelniała i spływała po ostrzu, przepychając się przez skomplikowane

matryce wykute przez Aes Sedai podczas wojen z trollokami.

W tym momencie usłyszał jeszcze jeden głos. Głos Lana.

"Nadejdzie jeszcze taki czas, gdy będziesz pragnął czegoś bardziej, niż pragniesz żyć".

Głos Ingtara.

"Każdy człowiek ma prawo postanowić, kiedy schować miecz".

Pojawił się wizerunek Egwene, Egwene w obręczy, dokonującej żywota jako *damane*.

"Wątki mojego życia w niebezpieczeństwie. Egwene. Jeśli Hawkwing przedostanie się do Falme, to może ją uratuje".

Nie wiedząc nawet kiedy, przyjął pierwszą pozycję "Czapli brodzącej w sitowiu", balansując na jednej nodze, z uniesionym wysoko mieczem, odsłonięty i bezbronny.

"Śmierć jest lżejsza od pióra, powinność cięższa niż góra".

Ba'alzamon wbił w niego wzrok.

- Czemu się tak idiotycznie szczerzysz, ty durniu? Nie dociera do ciebie, że mogę cię doszczętnie zniszczyć?

Rand poczuł, że oprócz spokoju pustki, otacza go także spokój innego rodzaju.

- Nigdy nie będę ci służył, ojcie kłamstw. Choćbym żył tysiąc razy, nigdy służył nie będę. Wiem to. Jestem tego pewien. Chodź. Czas umierać.

Ba'alzamon otworzył szeroko oczy - na moment zamieniły się w buchające ogniem paleniska, od których Randowi na twarz wystąpił pot. Czerń za plecami Ba'alzamona zawrzała, a jemu samemu stwardniała twarz.

- No to umieraj, robaku! - Cisnął swą laską, jakby to była włócznia.

Rand krzyknął przeraźliwie, gdy poczuł, że laska przebiła mu bok, przepalając ciało niczym rozgrzany do białości pogrzebacz. Pustka zadrżała, trwał jednak w niej ostatkiem sił i wbił miecz ze znakiem czapli w serce Ba'alzamona. Ba'alzamon krzyknął, krzyknęła otaczająca go czerń. Świat eksplodował ogniem.

# ROZDZIAŁ 25

## PIERWSZE ROSZCZENIA

Min brnęła przez brukowaną ulicę, przepychając się wśród tłoczących się ludzi, stojących z pobladłymi twarzami i wytrzeszczonymi oczyma albo histerycznie pokrzykujących. Nieliczni uciekali, najwyraźniej bez żadnego pomysłu, dokąd mogą uciekać, większość jednak poruszała się niczym kukły w niewprawnych rękach, bardziej bojąc się iść niż zostać. Szukała po twarzach, w nadziei, że znajdzie Egwene, Elayne albo Nynaeve, widziała jednak samych Falmeńczyków. A poza tym coś ją ciągnęło do przodu, jakby była uwiązana na jakimś sznurku.

Raz obejrzała się za siebie. W porcie płonęły seanchańskie statki, widziała ich jeszcze więcej, również w ogniu, za wyjściem z portu. Wiele tych kanciastych kształtów malało już na tle zachodzącego słońca, żeglowały na zachód, z taką samą prędkością, z jaką *damane* potrafiły zmusić wiatry do ich popychania. Jeden statek odbijał właśnie od portu, przechylony, próbował złapać wiatr, który powiódłby go wzdłuż wybrzeża. "Spray". Nie winiła Bayle'a Domona o to, że nie czekał, dłużej, nie po tym, czego była świadkiem. Jej zdaniem to był i tak cud, że czekał tak długo.

Tylko jeden seanchański statek z zakotwiczonych w porcie nie płonął, aczkolwiek jego wieżycy były czarne od podłożonych ogni. Pełził w stronę wyjścia z portu, a tym czasem zza klifów wyłoniła się nagle zjawa na koniu. Omijając port, zaczęła cwałować po wodzie. Min otworzyła szeroko usta. Powietrze zalśniło srebrzyście, gdy zjawa podniosła łuk, po chwili w stronę kanciastego statku poleciała srebrna smuga, połyskliwa kreska łącząca łuk ze statkiem. Przy akompaniamencie huk, który słyszała nawet z tak daleka, ogień na nowo ogarnął wieżycę dziobową, a na pokładzie wyroili się marynarze.

Min zamrugła, a gdy znowu spojrzała w tamtą stronę, postać na koniu zniknęła. Statek nadal powoli wypływał na głębokie wody, załoga walczyła z pożarem.

Otrząsnęła się i zaczęła ponownie wspinać w górę ulicy. Za dużo tego dnia widziała, by ktoś jadący konno po wodzie mógł dłużej niż tylko chwilę rozpraszać jej uwagę.

"Nawet jeśli to naprawdę była Birgitte i jej łuk. I Artur Hawkwing. Naprawdę go widziałam. Naprawdę".

Zatrzymała się niepewnie przed jedną z wysokich, kamiennych budowli, ignorując ludzi, którzy potracali ją, jakby ktoś ich ogłuszył. To właśnie tutaj, gdzieś tutaj, musiała wejść. Wbiegła na schody i pchnęła drzwi.

Nikt nie próbował jej zatrzymać. Na ile mogła się zorientować, w budynku nie było nikogo. Prawie całe Falme wyległo na ulice, usiłując orzec, czy to nie jest jakiś zbiorowy obłęd. Przeszła przez cały budynek do ogrodu na tyłach i tam go znalazła.

Rand leżał na plecach pod dębem, z pobladłą twarzą i zamkniętymi oczyma, lewą dłonią ścisnął rękojeść, z której wystawało ostrze długości stopy. Wyglądało tak, jakby zostało od końca stopione. Jego pierś unosiła się i opadała bardzo wolno, bez regularnego rytmu, nie oddychał normalnie.

Zrobiła głęboki wdech, żeby się uspokoić i zabrała się za sprawdzanie, co może dla niego zrobić. Przede wszystkim pozbyć się tego kikuta, który został po ostrzu, mógł się okaleczyć, albo ją, gdyby zaczął się rzucać. Rozprostowała mu dłoń i drgnęła nerwowo, gdy okazało się, że rękojeść jest wlepiona we wnętrze dłoni. Krzywiąc się, cisnęła miecz na bok. Na dłoni miał odcisnięte piętno w kształcie czapli. Wiedziała jednak, że nie z tego powodu leży tutaj nieprzytomny.

"Jak on sobie to zrobił? Nynaeve posmaruje to później jakąś maścią".

Pośpieszne badanie ujawniło, że większość ran i sińców nie jest nowa - w każdym razie krew



zdążyła już zakrzepnąć, a sińce robiły się żółte na brzegach - jednakże w kaftanie, na lewym boku, rzucała się w oczy wypalona dziura. Rozchyliła kaftan i podniosła koszulę. Zaświstała przez zęby. W boku miał wypaloną ranę, już zasklepioną. Wstrząsnęło ją natomiast to, co poczuła, gdy dotknęła jego ciała. Poczuła, że jest lodowate, otaczające go powietrze wydawało się ciepłe.

Chwyciła go za ramiona i zaczęła wlec w stronę domu. Zwiślał bezwładnie, ciężki jak balast.

- Ty ciężki tumanie - mruknęła. - Nie mogłeś być niższy i lżejszy, co? Musiałeś mieć takie nogi i bary. Powinam cię tu zostawić.

Mozolnie jednak wspięła się po schodach, starając się, by nie obijał się o nie częściej niż to było konieczne, i wciągnęła do środka. Ułożyła go na progu, rozmasowała sobie dół pleców, mrużąc coś o Wzorze i pośpiesznie ruszyła na poszukiwania. Na tyłach domu znajdowała się niewielka sypialnia, być może izba służących, z łóżkiem zasłanym kocami, w palenisku leżały kłody. W niespełną parę minut odrzuciła koce i podpaliła kłody, a także knot w lampie na stoliku obok łóżka. Potem wróciła do Randa.

Wciągnięcie go do pokoju, a potem na łóżko, stanowiło nie lada wyczyn, ale jakoś udało jej się tego dokonać i tylko trochę zasapać, potem go przykryła. Po chwili wsunęła dłoń pod koce, skrzywiła się i potrząsnęła głową. Pościel była zimna jak lód, jego ciało nie wydzielало ciepła, które koce mogłyby zatrzymać. Wsunęła się pod koce, wzdychając z rezygnacją, a po chwili ułożyła jego głowę na swoim ramieniu. Wciąż nie otwierał oczu, a oddech mu się rwał, ale bała się, że umrze przed jej powrotem, gdyby teraz poszła szukać Nynaeve.

"Jemu potrzebna jakaś Aes Sedai - pomyślała. Mogę tylko spróbować go trochę ogrzać".

Przez jakiś czas przypatrywała się twarzy Randa. Widziała tylko tę twarz, nigdy nie potrafiła czytać w kimś, kto stracił przytomność.

- Lubię starszych mężczyzn - powiedziała do niego. - Lubię mężczyzn, którzy są wykształceni i inteligentni. Nie interesuje mnie uprawa roli, owce i pasterze. Szczególnie młodzi pasterze. - Westchnęła i odgarnęła mu włosy z twarzy, w dotyku przypominały jedwab. - Tylko że ty nie jesteś pasterzem, prawda? Przestałeś nim być. Światłości, dlaczego Wzór musiał mnie porwać razem z tobą? Dlaczego nie spotkał mnie jakiś spokojny i zwyczajny los, na przykład rozbitka ze statku, który nie ma co jeść, a otacza go tuzin głodnych Aielów?

Z hallu rozległ się jakiś hałas, podniosła głowę, gdy otworzyły się drzwi. Na progu stała Egwene, patrzyła na nich, skąpanych światłem ognia i lampy.

- Och - tyle tylko powiedziała.

Min poczerwieniała.

"Czemu ja się zachowuję tak, jakbym zrobiła coś złego? Idiotka!"

- Ja... ja go rozgrzewam. Jest nieprzytomny i zimny jak lód.

Egwene nie weszła dalej do pokoju.

- Czuję... czuję, że on mnie do siebie przyciąga. Że mnie potrzebuje. Elayne też to czuła. Uznałam, że to pewnie coś wspólnego z... z tym, czym on jest, za to Nynaeve nic nie czuła. - Odetchnęła głęboko, nierówno. Elayne i Nynaeve poszły po konie. Znalazłyśmy Belę. Seanchanie zostawili większość koni. Nynaeve twierdzi, że powinniśmy jak najprędzej ruszyć w drogę i... i... Min, wiesz teraz, czym on jest, prawda?

- Wiem. - Min miała ochotę zdjąć ramię z szyi Randa, ale nie potrafiła się zmusić do wykonania ruchu. W każdym razie chyba wiem. Nieważne kim jest, jest ranny. Mogę go tylko próbować rozgrzać, nic więcej nie potrafię. Może Nynaeve będzie umiała coś zrobić.

- Min, ty wiesz... wiesz, że on nie może się ożenić. On nie jest... bezpieczny... dla żadnej z nas, Min.

- Mów za siebie - odparła Min. Przyciągnęła twarz Randa do swojej piersi. - Jest tak, jak mówiła Elayne. Porzuciłaś go dla Białej Wieży. Co cię obchodzi, jeśli ja go sobie wezmę?

Wydawało się, że Egwene patrzyła na nią bardzo długo. Nie na Randa, nie na całe otoczenie, tylko na nią. Czuła, że twarz pali ją coraz mocniej i pragnęła odwrócić wzrok, ale nie potrafiła.

- Sprowadzę Nynaeve - oznajmiła w końcu Egwene i wyszła sztywno wyprostowana, z uniesioną głową.

Min chciała zawołać, pójść za nią, ale zamiast tego leżała jak sparaliżowana. Z oczu popłynęły jej łzy.

"Jest jak być musi. Wiem to. Wyczytałam to w nich wszystkich. Światłości, ja nie chcę brać w tym udziału".

- To twoja wina - powiedziała do znieruchomiałej sylwetki Randa. - Nie, nie twoja. Ale to ty za to zapłacisz, tak myślę. Wszystkie dałyśmy się złapać, niczym muchy w pajęczynie. A gdybym jej powiedziała, że pojawi się jeszcze jedna kobieta, kobieta, której ona nawet nie zna? A skoro już o tym mowa, to co ty o tym myślisz, mój piękny lordzie pasterzu? Ostatecznie wcale nie jesteś taki najbrzydszy, ale... Światłości, nie wiem nawet, czy to ja będę tą, którą wybierzesz. Albo może będziesz próbował podrzucać wszystkie nas trzy na swoim kolanie? Może to nie jest twoja wina, Randzie al'Thor, ale to niesprawiedliwe.

- Nie Rand al'Thor - przemówił melodyjny głos od strony drzwi. - Lews Therin Telamon. Smok Odrodzony.

Min wytrzeszczyła oczy. Była to najpiękniejsza kobieta, jaką Min widziała w życiu, obdarzona jasną, gładką skórą, długimi, czarnymi włosami i oczyma ciemnymi jak noc. Nawet śnieg wydawałby się brudny w porównaniu z bielą jej sukni, przepasanej srebrną szarfą. Cała jej biżuteria była srebrna. Min poczuła, że zaczyna się jeżyć.

- O czym ty mówisz? Kim jesteś?

Kobieta podeszła do łóżka - poruszała się z taką gracją, że Min poczuła ukłucie zazdrości, mimo że dotąd nigdy nie zazdrościła niczego żadnej kobiecie - i pogładziła Randa po włosach, jakby Min tam w ogóle nie było.

- Myślę jednak, że on sam jeszcze w to nie wierzy. Wie, ale nie wierzy. Kierowałam jego krokami, popychałam go, ciągnęłam, wabiłam. Zawsze uparty, ale tym razem go okiełznam. Ishmael uważa, że to on kieruje zdarzeniami, ale to ja to robię.

Potarła palcem czoło Randa, jakby rysowała na nim jakiś znak, Min pomyślała z niepokojem, że przypominało to Smoczy Kieł. Rand poruszył się, coś wymamrotał. Odkąd go znalazła, był to pierwszy dźwięk albo ruch, jaki wykonał.

- Kim jesteś? - spytała podniesionym tonem Min.

Kobieta spojrzała na nią, tylko spojrzała, a mimo to Min wtuliła się w poduszki, gwałtownie tuląc do siebie Randa.

- Zwą mnie Lanfear, dziewczyno.

Min tak nagle zaschło w ustach, że nic by nie mogła powiedzieć, nawet gdyby od tego zależało jej życie.

"Jedna z Przeklętych! Nie! Światłości, nie!"

Była w stanie tylko potrząsnąć głową. Zaprzeczenie przywołało uśmiech na twarz Lanfear.

- Lews Therin był i jest mój, dziewczyno. Opiekuj się nim dla mnie jak najlepiej, dopóki po niego nie przybędę.

I zniknęła.

Min rozdziawiła usta. W jednej chwili tu stała, w drugiej już jej nie było. Zorientowała się, że z

całej siły tuli znieruchomiłe ciało Randa. Z całej duszy pragnęła pozbyć się uczucia, że chce, aby to on jej bronił.

Z twarzą wynędzniałą i zaciętą w ponurej determinacji, Byar galopował, tyłem do zachodzącego słońca, w ogóle nie oglądając się za siebie. Zobaczył wszystko, co musiał, wszystko, co pozwoliła mu zobaczyć ta przeklęta mgła. Cały legion poległ, lord kapitan Geofram Bornhald poległ i tylko jedno wyjaśniało ten fakt - zdradzili ich Sprzymierzeńcy Ciemności, Sprzymierzeńcy pokroju Perrina z Dwu Rzek. Taką wiadomość musiał zawieźć Dainowi Bornhaldowi, synowi lorda kapitana, który wraz z innymi Synami Światłości obserwował Tar Valon. Miał jednak coś jeszcze gorszego do przekazania i to nie komu innemu a samemu Pedronowi Niallowi. Musiał mu opowiedzieć, co widział na niebie nad Falme. Smagał konia wodzami i w ogóle nie oglądał się za siebie.

# ROZDZIAŁ 26

## CO MIAŁO BYĆ

Rand otworzył oczy i stwierdził, że wpatruje się w słoneczny blask przesączający się ukośnie między konarami drzewa skórzanego, mimo pory roku oblepionego szerokimi, twardymi liśćmi. Wiatr nimi poruszający napomykał o śniegu, który miał spaść przed zapadnięciem zmroku. Leżał na plecach i czuł pod swymi dłońmi okrywające go koce. Gdzieś chyba zniknęły jego kaftan i koszula, coś jednak opasywało mu pierś, poza tym bolał go lewy bok. Odwrócił głowę, na ziemi siedziała przypatrująca mu się Min. Mało co, a byłby jej nie rozpoznał w tych spódnicach. Uśmiechała się niepewnie.

- Min. To ty. Skąd się tu wzięłaś? Gdzie my jesteśmy?

Pamięć wracała błyskami i fragmentami. Dawne sprawy pamiętał, ale ostatnich kilka dni przypominało okruchy rozbitego lustra, wirujące w umyśle, ukazujące przelotne obrazy, które znikaly, nim zdołał przyjrzeć się im dokładnie.

- Z Falme - odparła. - Dzieli nas obecnie od niego pięć dni jazdy na wschód, ty cały ten czas przespałeś.

- Falme. - Więcej wspomnień. Mat zadał w Róg Valere. - Egwene! Czy ona...? Czy oni ją uwolnili? - Wstrzymał oddech.

- Nie wiem, o jakich ty "onych" mówisz, ale jest wolna. To my ją uwolniłyśmy.

- My? Nie rozumiem.

"Jest wolna. W każdym razie..."

- Nynaeve, Elayne i ja.

- Nynaeve? Elayne? Jak? Wszystkie byłyście w Falme? Próbował usiąść, ale bez trudu ułożyła go z powrotem i tak została, z dłońmi na jego ramionach, nie odrywając oczu od jego twarzy.

- Gdzie ona jest?

- Odjechała. - Twarz Min poczerwieniała. - Oni wszyscy już odjechali. Egwene, Nynaeve, Mat, Hurin i Verin. Hurin naprawdę nie chciał cię opuścić. Są w drodze do Tar Valon. Egwene i Nynaeve, żeby kontynuować swoje nauki w Wieży, Mat po to, by Aes Sedai coś zrobiły ze sztyletem. Zabrali z sobą Róg Valere. Nie chce mi się wierzyć, że naprawdę go widziałam.

- Pojechała - mruknął. - Nawet nie zaczekała, zanim się nie zbudzę.

Czerwień na policzkach Min pogłębiła się, usiadła z powrotem, wpatrzona w swoje kolana.

Podniósł ręce, by przesunąć nimi po twarzy i znieruchomiał, z przerażeniem wpatrzony we wnętrza dłoni. Na lewej też miał teraz odcisnięte piętno, dokładnie takie samo jak na prawej, bez żadnej krzywej albo zamazanej linii. "Raz czapłą, drogę mu wyznaczy. Drugi raz czapłą, by miano zyskał prawdziwe".

- Nie!

- Odjechali - powiedziała. - Mówienie "nie" nic tu nie pomoże.

Potrząsnął głową. Coś mu podszeptowało, że ból w boku jest ważny. Nie mógł sobie przypomnieć okoliczności, w jakich go raniono, ale to było ważne. Zaczął podnosić koce, by obejrzeć ranę, ale Min odepchnęła jego ręce.

- Nic z nią nie zrobisz. Jeszcze się nie zagoiła do końca. Verin próbowała ją uzdrawiać, stwierdziła jednak, że nie przynosi to takiego skutku jak powinno. - Zawahała się, skubiąc dolną wargę. - Moiraine mówi, że Nynaeve coś zrobiła, bo inaczej byś umarł, zanim cię dowieźliśmy do Verin, ale Nynaeve powiada, że była zbyt przerażona, by bodaj świeczkę zapalić. Z tą twoją raną

dzieje się coś... złego. Będziesz musiał czekać, zanim wygoi się w naturalny sposób.

W jej głosie słychać było zakłopotanie.

- Moiraine tu jest? - Wybuchł gorzkim śmiechem. - Gdy powiedziałaś, że Verin odjechała, pomyślałem, że znowu się uwolniłem od Aes Sedai.

- Jestem tu - odezwała się Moiraine.

Pojawiła się, cała w błękicie, tak uroczysta, jakby znajdowała się w Białej Wieży, podeszła wolnym krokiem i stanęła nad nim. Min obdarzyła Aes Sedai krzywym spojrzeniem. Rand miał dziwne uczucie, że ona chce go bronić przed Moiraine.

- Wolałbym, żeby cię tu nie było - powiedział. O ile o mnie idzie, możesz sobie wracać, tam gdzie twoja kryjówka i sobie w niej zostać.

- Wcale się nie ukrywałam - odparła spokojnie Moiraine. Robiłam, co mogłam, tu, na Głowie Tomana i w Falme. Osiągnąć mam dość mało, ale za to dużo się dowiedziałam. Nie udało mi się uratować dwóch moich sióstr, nim Seanchanie zapędzili je na statki razem z Wziętymi Na Smycz, ale robiłam, co mogłam.

- Co mogłaś. Wysłałaś Verin, żeby mną kierowała, ale ja nie jestem owcą, Moiraine. Powiedziałaś, że mogę jechać, dokąd chcę i teraz chcę jechać tam, gdzie nie ma ciebie.

- Wcale nie wysyłałam Verin. - Moiraine zmarszczyła czoło. - Działała na własną rękę. Interesujesz bardzo wielu ludzi, Rand. Czy Fain cię znalazł, albo może ty jego?

Ta nagła zmiana tematu zaskoczyła go.

- Fain? Nie. Niezły ze mnie bohater. Próbowałem uratować Egwene, a zrobiła to wcześniej Min. Fain powiedział, że zaszkodzi Polu Emonda, jeśli się z nim nie spotkam, a ja nie widziałem go na oczy. Czy on popłynął razem z Seanchanami?

Moiraine potrząsnęła głową.

- Nie wiem, czego bardzo żałuję. Ale to też dobrze, że go nie znalazłeś, teraz już wiesz nareszcie, kim on jest.

- Sprzymierzeńcem Ciemności.

- Gorzej. O wiele gorzej. Padan Fain był istotą, którą całą duszę oddałaby Czarnemu, myślę jednak, że w Shadar Logoth pokumał się z Mordethem, który był równie nikczemny w walce z Cieniem jak nikczemny jest sam Cień. Mordeth usiłował pożreć duszę Faina, by na powrót odzyskać ludzkie ciało, jednakże była to dusza dotknięta bezpośrednio przez Czarnego i to, co z tego powstało... To, co z tego powstało nie było ani Padanem Fainem, ani Mordethem, tylko czymś znacznie gorszym, połączeniem ich dwóch. Fain, pozwólmy go sobie tak nazywać, jest bardziej niebezpieczny, niż mógłbyś uwierzyć. Mógłbyś nie przeżyć takiego spotkania, a gdyby ci się nawet udało, to być może stałbyś się czymś jeszcze gorszym od nawróconych na stronę Cienia.

- Jeśli on żyje, jeśli nie odpłynął z Seanchanami, to ja muszę...

Urwał, gdy wyciągnęła spod płaszcza jego miecz ze znakiem czapli. Ostrze urywało się nagle w odległości stopy od rękojeści, jakby zostało stopione. Pamięć wróciła z wielkim hukiem.

- Zabiłem go - powiedział cicho. - Tym razem go zabiłem.

Moiraine położyła na boku zniszczony miecz, jak rzecz całkiem bezużyteczną, którą zresztą był teraz, i otrzepała ręce.

- Nie tak łatwo zabić Czarnego. Sam fakt, że ukazał się na niebie nad Falme jest bardziej niż tylko niepokojący. Nie powinien być w stanie tego zrobić, jeśli jest, jak uważamy, uwięziony. A jeśli jest inaczej, to czemu nie zniszczył nas wszystkich?

Min poruszyła się niespokojnie.

- Na niebie? - zdziwił się Rand.

- Obu was było widać - odparła Moiraine. - Wasza bitwa rozegrała się na niebie, oglądały ją wszystkie dusze w Falme. Może w innych miastach na Głowie Tomana też, jeśli rzeczywiście należy wierzyć w tę połowę, o której mi opowiadano.

- Wszyscy... wszyscy to widzieliśmy - poświadczyła słabym głosem Min. Uspokajającym gestem dotknęła jego dłoni.

Moiraine ponownie sięgnęła w zanadrze swego płaszcza i wyciągnęła zwój pergaminu, podobny do tych wielkich płacht, którymi posługiwali się uliczni artyści w Falme. Kreski wykonane węglem okazały się nieco rozmazane, gdy go rozwinęła, cały rysunek był jednak czytelny. Mężczyzna o płonącej twarzy walczył za pomocą laski z drugim, uzbrojonym w miecz, pośród chmur, po których tańczyły błyskawice, za nimi łopotał sztandar Smoka. Nietrudno było rozpoznać twarz Randa.

- Ilu to widziało? - spytał podniesionym głosem. - Podrzyj to. Spal.

Aes Sedai nic nie zrobiła, gdy pergamin sam się zwinął z powrotem.

- To na nic, Rand. Kupiłam to dwa dni temu, we wsi, przez którą przejeżdżaliśmy. Powstało takich setki, a może nawet tysiące, wszędzie opowiadana jest historia o tym, jak Smok walczył z Czarnym na niebie ponad Falme.

Rand spojrział na Min. Przytaknęła z niechęcią i ścisnęła go za rękę. Wyglądała na przestraszoną, ale nie wzdrygnęła się.

"Ciekawe, czy Egwene dlatego właśnie wyjechała. Miała prawo odjechać".

- Wzór oplata się wokół ciebie coraz ściślej - powiedziała Moiraine. - Potrzebujesz mnie teraz bardziej niż kiedykolwiek.

- Wcale cię nie potrzebuję - odburknął - i wcale cię nie chcę. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. - Przypomniał sobie, że nazywano go Lewsem Therinem, że nie tylko Ba'alzamon to robił, lecz również Artur Hawkwing. - Nie chcę. Światłości, uważa się, że Smok spowoduje kolejne Pęknięcie świata, że wszystko rozedrze na pół. Nie chcę być Smokiem.

- Jesteś tym, czym jesteś - odparła Moiraine. Już zacząłeś powodować zamieszanie w świecie. Czarne Ajah ujawniły się po raz pierwszy od dwóch tysięcy lat. Arad Doman i Tarabon znalazły się na krawędzi wojny, a będzie jeszcze gorzej, gdy dotrą do nich wieści z Falme. Cairhien jest pogrążone w wojnie domowej.

- W Cairhien nic nie zrobiłem - zaprotestował.

- Nierobienie niczego zawsze było jedną ze strategii w Wielkiej Grze - powiedziała z westchnieniem - a szczególnie teraz często się nią posługują. Byłeś iskrą i Cairhien eksplodowało, niczym fajerwerk Iluminatorów. Jak myślisz, co się stanie, gdy wieść o Falme dotrze do Arad Doman i Tarabon? Zawsze znajdowali się ludzie, którzy chętnie przyłączali się do człowieka ogłaszającego się Smokiem, nigdy jednak przedtem nie otrzymali takich znaków jak teraz. Jest jeszcze coś. Proszę.

Rzuciła na jego pierś jakiś mieszek.

Wahał się chwilę, zanim go otworzył. W środku znajdowały się okruchy na pozór czarno-białej porcelany. Już kiedyś takie widział.

- Następną pieczęć z więzienia Czarnego - mruknął.

Min głośno zapało dech, ściskająca jego rękę dłoń szukała raczej, niżli dodawała otuchy.

- Dwie - odparła Nynaeve. - Już trzy z siedmiu zostały do tej pory przełamane. Jedną już miałam wcześniej, dwie znalazłam w domu jego lordowskiej mości w Falme. Gdy złamane zostaną wszystkie, może nawet wkrótce, łąta, którą ludzie zakleili otwór wywiercony w murze więzienia zbudowanego przez Stwórcę, zostanie zerwana i Czarny raz jeszcze będzie mógł wysunąć przez ten otwór swą rękę i dotknąć nią świata. I świat może mieć tylko nadzieję, że Smok Odrodzony tam wtedy będzie, by stawić mu czoło.

Min usiłowała przeszkodzić Randowi w odrzuceniu kocy, odepchnął ją jednak delikatnie.

- Muszę się przejść.

Pomogła mu wstać, ale z mnóstwem westchnień i utyskiwań, że w ten sposób pogorszy stan swojej rany. Odkrył, że całą klatkę piersiową ma owiniętą grubą warstwą bandażu. Min udrapowała mu koc na ramionach, jakby to był płaszcz.

Przez chwilę stał i wpatrywał się w leżący na ziemi miecz ze znakiem czapli, w to, co z niego zostało.

"Miecz Tama. Miecz mojego ojca".

Niechętnie, bardziej niechętnie niż cokolwiek, co zrobił w życiu, wyzbył się nadziei na odkrycie, że Tam naprawdę jest jego ojcem. Miał wrażenie, że wydziera sobie serce. Wcale to jednak nie zmieniło tego, co czuł do Tama, a Pole Emonda nadal uważał za jedyny dom, jaki kiedykolwiek miał.

"Faro jest ważny. Została mi jeszcze jedna powinność. Powstrzymanie go".

Obydwie kobiety musiały go wspierać, ujmując z obu stron pod ramię, w drodze do obozowiska, w którym płonęły już wieczorne ognie, niedaleko mocno ubitego traktu. Był tam Loial, zaczytany w *Pożeglować dalej, niż słońce zachodzi*, a także Perrin, wpatrzony w płomienie. Shienaranie zajęci byli gotowaniem wieczornego posiłku. Lan siedział pod drzewem i ostrzył miecz, obdarzył Randa uważnym spojrzeniem, potem skinął głową.

Zobaczył też coś jeszcze. Na środku obozowiska łopotał na wietrze sztandar Smoka. Gdzieś znaleźli odpowiednie drzewce, które zastąpiło drzewko ścięte przez Perrina.

- Co on robi w miejscu, gdzie każdy, kto tędy przejdzie, może go zobaczyć? - spytał zrzędlawie.

- Za późno, by go ukrywać, Rand - odparła Moiraine. - Zawsze było za późno, byś go mógł ukryć.

- Ale nie musisz też stawiać tutaj znaku z napisem "tu jestem". Nigdy nie znajdę Faina, jeśli ktoś mnie zabije z powodu tego sztandaru. - Zwrócił się do Loiala i Hurina. - Cieszę się, że zostaliście. Zrozumiałbym, gdybyście odjechali.

- Czemu miałbym nie zostać? - spytał Loial. Jesteś jeszcze większym *ta'veren*, niż sądziłem, to prawda, ale wciąż jesteś moim przyjacielem. - Niepewnie zastrzygł uszami.

- Jestem nim na pewno - odparł Rand. - Dopóty, dopóki jesteś bezpieczny, przebywając ze mną, i później też.

Uśmiech ogiraomal nie przepołowił mu twarzy.

- Ja też zostaję - odezwał się Perrin. W jego głosie słyhać było zrezygnowanie, a może akceptację. - Koło wplata nas ściśle do Wzoru, Rand. Czy w Polu Emonda przyszłoby to komuś do głowy?

Dokoła zebrali się Shienaranie. Ku Randa zdziwieniu, wszyscy padli na kolana. Patrzyli na niego.

- Chcemy złożyć przed tobą przysięgę - oznajmił Uno.

Kłęczący obok niego skinęli głowami.

- Wasze przysięgi należą do Ingtara i lorda Agelmara - zaprotestował Rand. - Ingtar poległ chwalebnie, Uno. Poległ, abyśmy my, pozostali, mogli uciec z Rogiem. Reszty nie musiał dodawać, ani im, ani nikomu innemu. Miał nadzieję, że Ingtar na powrót odnalazł Światłość. Powiedzcie to lordowi Agelmarowi, gdy już wrócicie do Fal Dara. .

- Jest powiedziane - odparł uważnie cedząc słowa jednooki mężczyzna - że kiedy Smok się odrodzi, zniszczy nasze przysięgi, roztrzaska wszystkie więzi. Złożymy nasze przysięgi tobie. - Wyciągnął miecz i ułożył go na ziemi, ręką w stronę Randa, pozostali Shienaranie poszli w

jego ślady.

- Stoczyłeś bitwę z Czarnym - powiedział Masema. Masema, który go nienawidził. Masema, który patrzył na niego tak, jakby widział wizję Światłości. - Widziałem cię, lordzie Smoku. Widziałem cię. Należę do ciebie, aż po śmierć. - Jego ciemne oczy rozbłysły żarem.

- Musisz wybierać, Rand - powiedziała Moiraine. - Świat ulegnie Pęknięciu, nieważne czy to ty będziesz tego sprawcą. Nastanie Tarmon Gai'don i rozedrze świat. Czy nadal będziesz próbował się ukrywać przed tym, czym jesteś i pozwolisz, by świat stanął bezbronny przed obliczem Czarnego? Wybieraj.

Wszyscy patrzyli na niego, wszyscy czekali.

"Śmierć jest lżejsza od pióra, powinność cięższa niż góra".

Podjął decyzję.



# ROZDZIAŁ 27

## POTEM

Łodzią i konno roznosiły się opowieści, roznosił je kupiecki wóz i piechur, podawano je z ust do ust, w różnych wersjach, a jednak zawsze z tym samym rdzeniem, od Arad Doman do Tarabon i dalej. Opowieści o znakach i cudach na niebie nad Falme. I jedni przyłączali się do Smoka, a inni kładli ich w boju, sami potem legnąc.

Szerzyły się też inne historie, o kolumnie jeźdźców, którzy pokonali Równinę Almoth, plecami do zachodzącego słońca. Stu z Ziem Granicznych, powiadano. Nie, tysiąc. Nie, tysiąc to było bohaterów, którzy powstałi z grobów, by odpowiedzieć na wezwanie Rogu Valere. Dziesięć tysięcy. Wybili cały legion Synów Światłości. Zagnali z powrotem na morze powracające armie Artura Hawkwinga. Te dziesięć tysięcy to były powracające armie Artura Hawkwinga. W stronę gór jechali, w stronę świtu.

A jednak jedna rzecz była dla tych wszystkich opowieści wspólna. Zbrojnych wiódł człowiek, którego twarz widziano na niebie ponad Falme, zbrojni zaś jechali pod sztandarem Smoka Odrodzonego.

*I wzywali ludzie Stwórcę, mówiąc: o Światłości Niebios, o Światłości Świata, pozwól Obiecanemu urodzić się na górze, jak oznajmiają proroctwa, jak było to w wiekach przeszłych i będzie w nadchodzących. Daj Księżciu Poranka zaśpiewać ziemi, by zazieleniła się, a doliny wydały jagnięta. Niech ramię Pana Świtu chroni nas przed Ciemnością, a jego wielki Miecz Sprawiedliwości niechaj nas broni. Daj Smokowi wędrować znów na wichrach czasu.*

(z: Charal Drianaan te Calamon, *Cykl Smoka*. Autor nieznany, Czwarty Wiek)

# GLOSARIUSZ

## Uwagi o datach w poniższym glosariuszu

Od Pęknięcia Świata zasadniczo stosowano trzy systemy zapisywania dat. Na początku rejestrowano lata, które upłynęły Od Pęknięcia (OP). Z powodu nieomal całkowitego chaosu, w jakim upłynęły lata Pęknięcia, a także te lata, które nastąpiły bezpośrednio po nim, jak również dlatego, że ten kalendarz przyjęto po upływie dobrych stu lat od końca Pęknięcia, jego początek został wyznaczony arbitralnie. Wiele zapisów uległo zniszczeniu podczas Wojen z Trollokami, z takim skutkiem, że pod koniec wojen wybuchł spór odnośnie do poszczególnych dat liczonych według starego systemu. Opracowany zatem został nowy kalendarz, którego początkiem był koniec Wojen z Trollokami i który uświetniał rzekome wyzwolenie spod zagrożenia ze strony trolloków. Każdy odnotowany w nim rok określano jako Wolny Rok (WR). Po tym jak Wojna Stu Lat przyniosła z sobą ogólną destrukcję, śmierć i zniszczenia, pojawił się trzeci kalendarz. Kalendarz ten, zapisujący lata Nowej Ery (NE), jest obecnie w powszechnym użytku.

**a'dam (AYE-dam):** Urządzenie składające się z obręczy i bransolety, połączonych smyczą ze srebrzystego metalu, dzięki któremu można podporządkować sobie, wbrew jej woli, kobietę, która potrafi przenosić Moc. Obręcz nosi *damane*, bransoletę *sul'dam*. Patrz również: *damane*; *sul'dam*.

**Aes Sedai (EYEZ seh-DEYE):** Władający Jedyłą Mocą. Od Czasu Szaleństwa jedynymi pozostałymi przy życiu Aes Sedai są kobiety. Budzące powszechną nieufność, strach, a nawet nienawiść, są przez wielu ludzi obwiniane za Pęknięcie Świata; uważa się powszechnie, iż mieszają się do polityki poszczególnych państw. Jednocześnie niewielu władców obywateli bywa się bez rad Aes Sedai, nawet w tych krajach, w których istnienie takich koneksji musi być utrzymywane w tajemnicy. Patrz również: Ajah; Tron Amyrlin.

**Agelmar, lord Agelmar z domu Jagad (AGH-el-mar), (JAH-gad):** Władca Fal Dara. Jego godłem są trzy rude lisy w biegu.

**Aiel (eye-EEL):** Lud żyjący na Pustkowiu Aiel. Waleczny i odważny. Zanim zabiją, osłaniają twarz woalem, stąd powiedzenie: "zachowuje się jak zamaskowany Aiel", które odnosi się do człowieka postępującego gwałtownie. Wojownicy, którzy walczą na śmierć i życie, za pomocą broni albo nawet gołych rąk, nie dotykają jednak mieczy. Przed bitwą dudziarze grają im taneczne melodie, Aielowie nazywają bitwę "tańcem".

**Ajah (AH-jah):** Społeczności Aes Sedai, do których należą wszystkie Aes Sedai z wyjątkiem Zasiadającej na Tronie Amyrlin. Swoje nazwy biorą od poszczególnych barw: Błękitne Ajah, Czerwone Ajah, Białe Ajah, Zielone Ajah, Brązowe Ajah, Żółte Ajah i Szare Ajah. Wszystkie wyznają odrębne filozofie korzystania z Jedynej Mocy i inny im też przyświeca cel, służąc Aes Sedai. Na przykład Czerwone Ajah całą swoją energię koncentrują na wyszukiwaniu i poskramianiu mężczyzn, którzy próbują władać Mocą. Brązowe Ajah, dla odmiany, odmawiają zaangażowania się w świat i poświęcają się poszukiwaniu wiedzy. Krążą pogłoski (zawzięcie dementowane i nigdy nie wspomniane otwarcie w obecności jakiegokolwiek Aes Sedai) o istnieniu Czarnych Ajah, które poświęciły się służbie Czarnemu.

**Alanna Mosvani (ah-LAN-nah mos-VANH-nie):** Aes Sedai z Zielonych Ajah.

**alantin (ah-LANH-tin):** W Dawnej Mowie "brat"; skrót od *tia avende alantin*, "brat drzewom"; "Drzewny Brat". Alar (AYE-lahr): Najstarsza ze starszych w Stedding Tsofu. Aldieb: W

Dawnej Mowie "Zachodni Wiatr", wiatr, który przynosi wiosenne deszcze.

**al'Meara, Nynaeve (ahl-MEER-ah, NIGH-neev):** Kobieta z Pola Emonda, należącego do prowincji Dwie Rzeki w królestwie Andor (AN-door).

**al'Thor, Rand (ahl-THOR, RAND):** Młody mężczyzna z Pola Emonda, były pasterz.

**al'Vere, Egwene (ahl-VEER, eh-GWAIN):** Młoda kobieta z Pola Emonda.

**Amalisa, lady:** Mieszkanka Shienaru z domu Jagad; siostra lorda Agelmara.

**Anayia (ah-NYE-yah):** Aes Sedai z Błękitnych Ajah. **angreal (ahn-gree-AHL):** Niezwykle rzadki przedmiot, dzięki któremu każdy, kto jest zdolny do przenoszenia Jedynej Mocy, może bezpiecznie zaczerpnąć większą jej ilość, niż to jest możliwe bez wspomagania. Pozostałość po Wieku Legend; sposób jej wytwarzania nie jest już znany. Patrz również: sa'angreal; ter'angreal.

**Arad Doman (AH-rahd do-MAHN):** Kraina położona nad oceanem Aryth.

**Arafel (Ah-rah-fehl):** Kraj należący do Ziemi Granicznych. **Avendesora (Ah-vehn-deh-SO-rah):** W Dawnej Mowie Drzewo Życia. Wymieniane w wielu opowieściach i legendach.

**Aybara, Perrin (ay-BAHR-ah, PEHR-rihn):** Młody mężczyzna z Pola Emonda, były czeladnik kowalski.

**Ba'alzamon (bah-AHL-zah-mon):** W mowie trolloków "Serce Ciemności". Uważa się, że trolloki tak właśnie nazywają Czarnego. Patrz również: Czarny; trolloki.

**bard:** Wędrowny gawędziarz, muzyk, zongler, akrobata i wszechstronny artysta. Rozpoznawani dzięki swym tradycyjnym płaszczom uszytym z kolorowych łątek, bardowie dają swe przedstawienia głównie po wsiach i mniejszych miejscowościach.

**Barthanes, lord z domu Damodred (bahr-THAN-nehs):** Lord z Cairhien, drugi po królu w hierarchii władzy. Jego osobistym godłem jest szarżujący dzik. Godłem rodu Damodred jest korona i drzewo.

**Bel Tine (BEHL TINE):** Wiosenne święto na cześć końca zimy, kiełkowania przyszłych plonów i narodzin jagniąt. **Biała Wieża:** Pałac Zasiadającej na Tronie Amyrlin w Tar Valon, a także miejsce, w którym szkoli się Aes Sedai. **Białe Płaszcze:** Patrz: Synowie Światłości.

**Birgitte (ber-GEET-teh):** Złotowłosa bohaterka legendy i stu opowieści bardów, ma srebrny łuk i srebrne strzały, którymi nigdy nie chybia celu.

**bittern (BIHT-tehrn):** Instrument muzyczny wyposażony w sześć, dziewięć lub dwanaście strun, kładzie się go płasko na kolanach, gra polega na szarpaniu lub uderzaniu strun.

**Bornhald, Geofram (BOHRN-hahld, JEHF-rahm):** Lord, Kapitan Synów Światłości.

**Byar, Jaret (BY-ahr, JAH-ret):** Oficer Synów Światłości.

**Caemlyn (KRYM-lihn):** Stolica Andoru.

**Cairhien (KEYE-ree-EHN):** Nazwa kraju położonego przy Grzbiecie Świata i jednocześnie nazwa jego stolicy. Miasto zostało spalone i złupione podczas Wojny o Aiel (976-978 NE). Godłem Cairhien jest złote słońce o licznych promieniach, wschodzące na samym dole tła, którym jest niebo.

**Carallain (KAH-rah-layn):** Jedna z krain oderwanych siłą od imperium Artura Hawkwinga podczas Wojny Stu Lat. W późniejszych latach Carallain traciło siły, a ostatnie ślady po nim zniknęły około 500 r. NE.

**Cauthon Matrim (Mat) (CAW-thon, MAT):** Młody mężczyzna z Dwu Rzek.

**Corenne (koh-REEN-neh):** W Dawnej Mowie "Powrót".

**Córka Nocy:** Patrz: Lanfear.

**cuendillar (CWAIN-der-yar):** Znany również jako prakamień. Patrz: prakamień.

**Cykl Karaethon (ka-REE-ah-thon):** Patrz: Proroctwa Smoka. Czarny: Powszechnie używane

we wszystkich krajach imię Shai'tana: źródło zła, antyteza Stwórcy. Uwięziony przez Stwórcę w momencie Stworzenia w więzieniu Shayol Ghul. Próba uwolnienia go z tego więzienia wywołała Wojnę o Cień, skażenie *saidina*, Pęknięcie Świata i koniec Wieku Legend.

**Czas Szaleństwa:** Nazwa okresu, który nastąpił po tym, jak przeciwuderzenie Czarnego skaziło męską połowę Prawdziwego Źródła. Aes Sedai mężczyźni popadli wówczas w obłęd i spowodowali Pęknięcie Świata. Dokładny czas trwania tego okresu nie jest znany, uważa się jednak, iż było to blisko sto lat. Jego całkowity koniec nastąpił dopiero po śmierci ostatniego Aes Sedai mężczyzny. Patrz również: Stu Towarzyszy; Prawdziwe Źródło; Jedyna Moc; Pęknięcie Świata.

**Czerwone Tarcze:** Patrz: Społeczności wojowników Aiel.

**Daes Dae'mar (DAH-ess day-MAR):** Wielka Gra, znana również jako Gra Domów. Nazwa nadana knowaniom, spiskom i manipulacjom uprawianym przez arystokratyczne domy. Wysoko ceni się wyrafinowanie, polegające na dążeniu do jednej rzeczy pod pozorem, iż dąży się do innej, a także osiąganie celu przy użyciu jak najskromniej szych środków.

**Dai Shan (DYE SHAN):** Tytuł nadawany w Ziemiach Granicznych, oznacza Koronowanego Przywódcę Armii. Patrz również: Ziemie Graniczne.

**damane (dah-MAHN-ee):** W Dawnej Mowie "Wzięta na Smycz". Wzięte do niewoli kobiety, które potrafią przenosić Moc i które Seanchanie wykorzystują do rozlicznych zadań, przede wszystkim jako broń używaną podczas bitew. Patrz również: Seanchanie; *a'dam*; *s'uldam*.

**Damodred, lord Galadedrid (DAH-oh-drehd, gah-LAHD-eh-drihd):** Przyrodni brat Elayne i Gawyna. Jego godłem jest zakrzywiony srebrny miecz, skierowany ostrzem w dół.

**Do Miere A'vron (DOH-me-EHR a-VRA,WN):** Patrz: Obserwatorzy nad Morzem.

**Domom Bayle (DOH-mon, BAIL):** Kapitan "Spray", kolekcjoner staroci.

**Draghkar (DRAGH-kahr):** Istoty, które Czarny stworzył z ludzkiej rasy poprzez zniekształcenie w nich cech człowieczych. Draghkar przypomina wyglądem rosnącego mężczyznę obdarzonego nietoperzymi skrzydłami, o zbyt bladej skórze i zbyt wielkich oczach. Pieśń Draghkara potrafi przywabić ofiarę i złamać jej wolę. Jest takie powiedzenie: "Pocałunek Draghkara oznacza śmierć". Stworzenie to nie gryzie, lecz swym pocałunkiem najpierw pochłania duszę ofiary, potem jej życie. druciarze: Patrz: Tuatha'an.

**Drzewny Pieśniarz:** Ogir, który posiada umiejętność śpiewania drzewom (tak zwanych "drzewnych pieśni"), dzięki czemu je uzdrawia albo pomaga im rosnąć i kwitnąć, czasami wykonuje też rozmaite drewniane przedmioty, nie uszkadzając przy tym samego drzewa. Dzieła powstałe w ten sposób zwane są "wyśpiewanym drzewem" i są wysoko cenione. Drzewnych Pieśniarzy pozostało obecnie niewielu wśród ogirów; talent ten wydaje się zanikać.

**dziedziczka tronu:** Tytuł nadawany spadkobierczyni tronu Andoru. Najstarsza córka królowej dziedziczy po niej prawo do zasiadania na tronie. Jeżeli nie ma żadnej córki, wówczas sukcesja przechodzi na najbliższą krewną królowej.

**Elaida (eh-Ly-da):** Aes Sedai z Czerwonych Ajah, doradczyni Morgase, królowej Andoru. Czasami potrafi głosić przepowiednie.

**Elayne (ee-LAIN):** Córka królowej Morgase, dziedziczka tronu Andoru. Jej godłem jest złota lilia.

**Fain, Padan (FAIN, PAHD-ahn):** Człowiek uznany za Sprzymierzeńca Ciemności i uwięziony w twierdzy Fal Dara.

**Falszywy Smok:** Pojawiający się od czasu do czasu mężczyzna, który twierdzi, że jest Smokiem Odrodzonym. Zdarza się, że uzyskuje silne poparcie, w związku z czym trzeba zgromadzić armię,

która go pokona. Kilka takich postaci było powodem wybuchu wojen, wciągających wiele narodów. Przez całe stulecia większość nie potrafiła korzystać z Jedynej Mocy, niemniej jednak niektórzy rzeczywiście byli w stanie to osiągnąć. Wszyscy albo znikali, albo brano ich do niewoli i zabijano, zanim spełnili którekolwiek z proroctw dotyczących Odrodzenia Smoka. Takich mężczyzn nazywa się fałszywymi Smokami. Do najpotężniejszych, spośród tych, którzy potrafili przenieść, zaliczali się Raolin Darksbane (335-362 OP), Yurian Stonebow (ok. 1300-1308 OP), Davian (WR 351), Guaire Amalasan (WR 939-43) i Logain (997 NE). Patrz także: Smok Odrodzony.

**Far Dareis Mai (FAHR DAH-rize MY):** Dosłownie "Panna Włóczni". Jedna ze społeczności wojowników Aiel; w odróżnieniu od innych, przyjmuje w swe szeregi tylko i wyłącznie kobiety. Żadna Panna Włóczni nie może wyjść za mąż i pozostać członkinią społeczności, nie może także walczyć, jeśli spodziewa się dziecka. Każde dziecko urodzone przez Pannę jest oddawane na wychowanie innej kobiecie, w taki sposób, by nikt się nie dowiedział, kim była matka dziecka. ("Nie będziesz należała do żadnego mężczyzny ani żaden mężczyzna nie może należeć do ciebie. Włócznia jest twym kochankiem, twym dzieckiem i twym życiem".) Takie dzieci strzeżone są jak skarb, bowiem zostało przepowiedziane, że dziecko zrodzone z Panny zjednoczy klany i przywróci Aielowi wielkość, jaką ten kraj się szczycił podczas Wieku Legend. Patrz także: Aiel; Społeczności Wojowników Aiel.

**Gaidin (GYE-deen):** Dosłownie "Brat Bitew". Tytuł, który Aes Sedai nadają strażnikom. Patrz również: strażnik.

**Galad (gah-LAHD):** Patrz: Damodred, lord Galadedrid. Galldrian su Riatin Rie (GAHL-dree-ahn soo REYE-ah-tin REE): Dosłownie Galldrian z dynastii Riatin, król. Król Cairhien. Patrz również: Cairhien.

**Gawyn (GAH-wihn):** Syn królowej Morgase i brat Elayne. Jego godłem jest biały dzik.

**Goaban (GO-ah-banki):** Jedna z krain oderwanych siłą od imperium Artura Hawkwinga podczas Wojny Stu Lat. W późniejszych latach Goaban traciło siły, przestało istnieć około 500 r. NE. Patrz również: Hawkwing, Artur; Wojna Stu Lat.

**Gra Domów:** Patrz: Daes Dae'mar.

**Grzbiet Świata:** Wysokie pasmo górskie z bardzo niewielką liczbą przełęczy, które dzieli Pustkowia Aiel od ziem położonych na zachodzie.

**Hailene (heye-LEE-neh):** W Dawnej Mowie "Ci, Którzy Przybyli Wcześniej" albo "Zwiastuni".

**Hardan:** Jedna z krain oderwanych siłą od imperium Artura Hawkwinga, dawno już zapomniane. Położone było między Cairhien i Shienarem.

**hajd:** Jednostka miary powierzchni, równa kwadratowi o boku wynoszącym sto kroków.

**Hawkwing, Artur:** Legendarny król (lata panowania WR 943-994), który zjednoczył wszystkie ziemie na zachód od Grzbietu Świata, a także niektóre krainy położone za Pustkowiec Aiel. Wysłał nawet wojska za ocean Aryth (WR 992), jednakże po jego śmierci utracono z nimi wszelki kontakt, co wywołało Wojnę Stu Lat. Jego godłem był złoty jastrząb w locie. Patrz również: Wojna Stu Lat.

**Hurin (HEW-rhin):** Shienaranin, który posiada zdolność wykrywania za pomocą węchu dokonanej przemocy i tropienia po zapachu tych, którzy tej przemocy dokonali. Zwany "węszycielem", służy królewskiemu wymiarowi sprawiedliwości w Fal Dara, w Shienarze.

**Illian (IHL-lee-ahn):** Wielkie miasto portowe położone nad Morzem Burz, stolica kraju o tej samej nazwie.

**Ingтар, lord Ingтар z domu Shinowa (IHNG-takir, shih-NOH-wah):** Wojownik rodem z

Shienaru, jego godłem jest szara sowa.

**Ishamael (ih-SHAH-may-EHL):** W Dawnej Mowie "Zdrajca Nadziei". Jeden z Przeklętych. Przydomek nadany przywódcy tych Aes Sedai, którzy przeszli na stronę Czarnego podczas Wojny o Cień. Mówi się, że nawet on zapomniał swoje prawdziwe imię. Patrz także: Przekłęci.

**Jedyna Moc:** Moc przenoszona z Prawdziwego Źródła. Przeważająca większość ludzi jest całkowicie niezdolna do przenoszenia Jedynej Mocy. Niewielu z nich można nauczyć przenoszenia jej, a zupełnie nieznaczna liczba ma tę zdolność wrodzoną. Tych nielicznych nie trzeba uczyć, dotykają Prawdziwego Źródła i przenoszą Moc, czy tego chcą, czy nie, być może nawet sobie nie uświadamiając, co robią. Ta wrodzona zdolność objawia się zazwyczaj pod koniec okresu dojrzewania lub tuż po osiągnięciu dojrzałości. Jeżeli taki człowiek nie zostanie nauczony kontroli albo uczy się sam (co jest nadzwyczaj trudne, sukces osiąga jedynie jedna na cztery osoby), jego śmierć jest pewna. Od Czasu Szaleństwa żaden mężczyzna nie potrafił przenosić Mocy i nie popaść w rezultacie w straszliwy obłąd, a następnie, nawet jeśli nabył umiejętność kontrolowania, to umierał na wyniszczającą chorobę, która powoduje, że cierpiący na nią gnije za życia - chorobę, podobnie jak obłąd, powodowała skaza, jaką Czarny dotknął *saidina*. W przypadku kobiet śmierć, która następuje z powodu braku panowania nad Mocą, jest mniej straszna, jednakże jest równie nieunikniona. Aes Sedai wyszukują dziewczęta z wrodzonymi umiejętnościami, by ratować im życie, a także by powiększać zastępy Aes Sedai, wyszukują także mężczyzn, chcąc nie dopuścić do wszystkich tych straszliwych czynów, jakich oni w swoim obłądziej dopuszczają się dzięki Mocy. Patrz również: przenosić Jedyną Moc; Czas Szaleństwa; Prawdziwe Źródło.

**Kamienne Psy:** Patrz: Społeczności Wojowników Aiel. Koło Czasu: Czas jest Kołem wyposażonym w siedem szprych, każda szprycha to Wiek. Koło Czasu obraca się, a Wieki nadchodzą i mijają, pozostawiając wspomnienia, które stają się legendą, a potem mitem i są zapomniane wraz z ponownym nadejściem tego Wieku. Wzór Wieku zmienia się nieznacznie za każdym razem, gdy ten Wiek nastaje i za każdym razem ulega większym zmianom, aczkolwiek jest to zawsze ten sam Wiek.

**Kopuła Prawdy:** Wielki dwór Synów Światłości, znajdujący się w Amadorze (AH-mah-door), stolicy Amadicii (AH-mah-DEE-cee-ah). Istnieje ktoś taki jak król Amadicii, faktycznie jednak władzę sprawują Synowie Światłości. Patrz również: Synowie Światłości.

**Kumotrzy:** Bliscy przyjaciele i znajomi.

**Laman (LAY-malm):** Król Cairhien, z dynastii Damodred, który utracił swój tron i życie podczas Wojny o Aiel.

**Lan, al'Lan Mandragoran (AHL-LAN man-DRAG-or-an):** Strażnik połączony więziami z Moiraine. Niekoronowany król Malkier, Dai Shan i ostami pozostały przy życiu malkierski lord. Patrz również: Dai Shan; Malkier; Moiraine; strażnik.

**Lanfear (LAN-fear):** W Dawnej Mowie "Córka Nocy". Jedna z Przeklętych, być może najpotężniejsza po Ishamaelu. W odróżnieniu od pozostałych Przeklętych, sama wybrała dla siebie to imię. Twierdzi się, że Lanfear była zakochana w Lewsie Therinie Telamonie. Patrz również: Przekłęci; Smok.

**Leane (lec-AHN-eh):** Aes Sedai z Błękitnych Ajah i Opiekunka Kronik. Patrz również: Ajah; Opiekunka Kronik.

**Lews Therin Telamon; Lews Therin Kinslayer:** Patrz: Smok.

**Liandrin (lec-AHN-drihn):** Aes Sedai z Czerwonych Ajah, rodem z Tarabonu.

**liga:** Patrz: miary odległości.

**Logain (loh-GAYN):** Fałszywy Smok, poskromiony przez Aes Sedai.

**Loial (LOY-ahl):** Ogir ze Stedding Shangtai.

**Luc;** lord Luc z dynastii Mantear (LUKS, MAN-tee-ahr): Brat Tigraine. Uważa się, że jego zniknięcie w Wielkim Ugorze (971 NE) jest w jakiś sposób związane z późniejszym zniknięciem Tigraine. Jego godłem była żółty.

**Lud Morza:** Bardziej właściwa nazwa Atha'an Miere (a-tha-AHN-mee-AIR), Morski Naród. Mieszkańcy wysp położonych na oceanie Aryth (AH-rihth) i Morzu Burz, spędzają niewiele czasu na tych wyspach, żyjąc przede wszystkim na statkach. Handel morski kwitł głównie dzięki statkom Ludu Morza.

**Luthair:** Patrz: Mondwin, Luthair Paendrag.

**Łza:** Wielki port nad Morzem Burz.

**Mallcier (mahl-KEER):** Kraina, niegdyś należąca do Ziem Granicznych, obecnie wchłonięta przez Ugór. Godłem Malkier był złoty żuraw w locie.

**Manetheren (mann-EHTH-ehr-ehn):** Jeden z dziesięciu krajów, które utworzyły Drugie Przymierze, a także stolica tego kraju. Zarówno miasto jak i kraj zostały całkowicie zniszczone podczas Wojen z Trollokami.

**marath'damane (MAH-rahth'dah-MAHN-ee):** W Dawnej Mowie "Te, Które Należy Wziąć na Smycz". Termin używany przez Seanchan na określenie tych kobiet, zdolnych do przenoszenia Mocy, których jeszcze nie schwytano. Patrz również: *a'dam*; damane; Seanchanie.

**Masema (mah-SEE-mah):** Shienarański żołnierz, który nienawidzi Aielów.

**Mashiara (mah-shee-AH-rah):** W Dawnej Mowie "ukochana", oznacza jednak utraconą miłość, która już nigdy się nie spełni.

**Merrilin, Thom (MER-rih-lihn, TOM):** Bard.

**miary odległości:** 10 cali = 3 dłonie = 1 stopa; 3 stopy = 1 krok; 2 kroki = 1 piędź; 1000 piędzi = 1 mila; 4 mile = 1 liga.

**miary wag:** 10 uncji = 1 funt; 10 funtów = 1 kamień; 10 kamieni = 1 cetnar; 10 cetnarów = 1 tona.

**mila:** Patrz: miary odległości.

**Min (MIN):** Młoda kobieta, która potrafi widzieć poświaty otaczające ludzi i czytać z nich.

**Moiraine (mwah-rain):** Aes Sedai z Błękitnych Ajah. Mondwin, Luthair Paendrag (LEW-thair PAY-ehn-DRAG MON-dwihn): Syn Artura Hawkwinga, dowodził armiami, które Hawkwing wysłał na drugi brzeg oceanu Aryth. Na jego sztandarze widniał złoty jastrząb z rozpostartymi skrzydłami, ściskający w szponach błyskawice. Patrz również: Hawkwing, Artur.

**Mordeth (MOOR-death):** Radny miejski, który przemienił miasto Aridhol, chcąc stosować metody Sprzymierzeńców Ciemności wymierzone przeciwko nim samym, doprowadzając je w rezultacie do destrukcji i zdobywając dla niego nową nazwę, Shadar Logoth ("Gdzie czeka Cień"). W Shadar Logoth ocalała tylko jedna rzecz oprócz nienawiści, która zabiła to miasto, a jest nią sam Mordeth, od dwóch tysięcy lat związany więzią z ruinami, czeka na nadejście kogoś, kogo duszę będzie mógł pożreć i w ten sposób zdobyć nowe ciało.

**Morgase (moor-GAYZ):** Królowa Andoru, dziedziczka dynastii Trakand (TRAHK-ahnd).

**Myrddraal (MUHRD-draal):** Twór Czarnego, dowódcy trolloków. Pomiot trolloków, w którym ujawniły się cechy ludzkiej rasy, użyte do stworzenia trolloków, lecz skażone przez zło, dzięki którym powstały trolloki. Fizycznie przypomina człowieka, tyle że nie posiada oczu, ma jednak sokoli wzrok zarówno przy świetle jak i w mroku. Dysponuje pewnymi mocami wywodzącymi się od Czarnego, między innymi zdolnością do paraliżowania samym swoim

widokiem i umiejętnością znikania wszędzie tam, gdzie jest cień. Jedną z jego nielicznych, poznanych słabości jest niechęć do zanurzania się w wartkiej, płynącej wodzie. W różnych krajach nadano mu różne przydomki, między innymi: Półczłowiek, Bezoki, Zaczajony, Człowiek Cień i pomor.

**Niall, Pedron (NEYE-awl, PAY-drohn)** : Lord, Kapitan Komandor Synów Światłości. Patrz również: Synowie Światłości.

**Nisura, Lady (nih-SOO-rah)**: Shienarańska arystokratka i jedna z dam dworek lady Amalisy.

**Obserwatorzy nad Morzem**: Stronnictwo ludzi przekonanych, że armie Artura Hawkwinga posłane na drugi brzeg oceanu Aryth powrócą któregoś dnia i dlatego wypatrują ich z miasta Falme (FAHL-may) położonego na Głowie Tomana.

**Opiekunka Kronik**: Druga w hierarchii władzy po Zasiadającej na Tronie Amyrlin wśród Aes Sedai, spełnia również funkcję sekretarza Amyrlin. Wybierana dożywotnio przez Komnatę Wieży, zazwyczaj wywodzi się z tych samych Ajah co Amyrlin. Patrz również: Tron Amyrlin; Ajah.

**Pęknięcie Świata**: Podczas Czasu Szaleństwa mężczyźni Aes Sedai, którzy popadli w obłęd i potrafili władać Jedyńą Mocą w stopniu obecnie nie znanym, zmienili oblicze ziemi. Spowodowali wielkie trzęsienia, zrównanie górskich łańcuchów, wypiętrzenie nowych gór, powstanie suchych łądów w miejscach, gdzie przedtem były morza, zalanie przez morza dawnych łądów. Wiele części świata uległo całkowitemu wyludnieniu, a ocalali rozproszyli się jak pył na wietrze. O tych zniszczeniach wspomina się w opowieściach, legendach i historii jako o Pęknięciu Świata. Patrz również: Czas Szaleństwa.

**Pięć Mocy**: Od Jedynej Mocy ciągną się wątki i każda osoba, która potrafi korzystać z Jedynej Mocy, może chwycić niektóre wątki lepiej niż inni. Wątki te mają swoje nazwy, pochodzące od tego, co można z nimi zrobić Ziemia, Powietrze, Ogień, Woda i Duch - i nazywa się je Pięcioma Mocami. Każdy władający Jedyńą Mocą nabywa więcej siły dzięki używaniu jednej bądź dwóch z nich, a dzięki innym ową siłę traci. Nieliczni dysponują wielką siłą dzięki użyciu trzech mocy, niemniej jednak od Wieku Legend nikt nie zdobył wielkiej siły dzięki wszystkim pięciu. Nawet wtedy były to niezmiernie rzadkie przypadki. Zasięg tej siły jest różny w zależności od danej osoby, tak więc ci, którzy potrafią z niej korzystać, bywają znacznie silniejsi od innych. Wykonywanie pewnych czynów przy użyciu Jedynej Mocy wymaga zdolności władania jedną lub więcej z Pięciu Mocy. Na przykład rozpalanie lub władanie ogniem wymaga Ognia, a wywieranie wpływu na pogodę wymaga Powietrza i Wody, z kolei uzdrawianie potrzebuje Wody i Ducha. O ile Ducha wykrywano zarówno u mężczyzn jak i u kobiet, wielkie zdolności w odniesieniu do Ziemi i/lub Ognia wykrywano częściej u mężczyzn, a w odniesieniu do Wody i/lub Powietrza u kobiet. Zdarzają się wyjątki, często jednak uważano Ziemię i Ogień za Moce męskie, natomiast Powietrze i Wodę za żeńskie. Zasadniczo nie uważa się, by któraś z tych zdolności była silniejsza od pozostałych, mimo że Aes Sedai znają powiedzenie: "Nie ma takiej skały, której woda i wiatr naruszyć nie mogą, nie ma ognia tak dzikiego, by woda nie mogła go ugasić albo wiatr zdmuchnąć". Warto zauważyć, że tego powiedzenia zaczęto używać dawno potem, jak umarł ostatni Aes Sedai. Podobne powiedzenia używane przez Aes Sedai mężczyzn zagięły.

**piędź**: Patrz: miary odległości.

**Plomień Tar Valon** : Symbol Tar Valon, Tronu Amyrlin i Aes Sedai. Stylizowany wizerunek ognia, biała łąza ustawiona czubkiem do góry.

**Poskramianie**: Uprawiany przez Aes Sedai akt unieszkodliwiania mężczyzny, który potrafi korzystać z Jedynej Mocy. Jest on niezbędny, ponieważ każdy mężczyzna, który nauczy się to robić, popada w obłęd pod wpływem skazy na *saidinie* i w swoim szaleństwie nieuchronnie będzie dokonywał straszliwych rzeczy z Mocą. Mężczyzna, który został poskromiony, nadal może wyczuwać



Prawdziwe Źródło, jednak nie może go dotykać. Wszelkie oznaki szaleństwa, które dają się zauważyć przed poskromieniem, zostają powstrzymane przez akt poskramiania, mimo że samo szaleństwo nie zostaje uleczone, jednak jeśli wykona się ten akt dostatecznie szybko, można zapobiec śmierci. Patrz również: Jedyna Moc; Ujarmianie.

**półczłowiek:** Patrz: Myrddraal.

**prakamień:** Niezniszczalna substancja stworzona podczas Wieku Legend. Wszelka znana energia użyta w próbie jego rozbicia zostaje wchłonięta, sprawiając, że prakamień staje się jeszcze mocniejszy.

**Prawdziwe Źródło:** Siła napędzająca świat, która obraca Kołem Czasu. Jest podzielona na męską połowę (*saidin*) i żeńską połowę (*saidar*), które jednocześnie pracują razem i przeciwko sobie. Jedynie mężczyzna może czerpać moc z *saidina*, tylko kobieta z *saidara*. Na początku Czasu Szaleństwa *saidin* został skażony przez dotknięcie Czarnego. Patrz również: Jedyna Moc.

**Proroctwa Smoka:** Niewiele jest informacji i niewiele się mówi o Proroctwach podanych w *Cykle Karaethon*. Przepowiadają one, że Czarny ponownie się uwolni i wtedy dotknie świat oraz że Lews Therin Telamon, Smok, Sprawca Pęknięcia Świata, odrodzi się, by stoczyć Tarmon Gai'don, Ostatnią Bitwę z Cieniem. Patrz również: Smok.

**Przekłęci:** Przydomek nadany trzynastu najpotężniejszym Aes Sedai, jakich kiedykolwiek znano, którzy przeszli na stronę Czarnego podczas Wojny z Cieniem w zamian za obietnicę nieśmiertelności. Zgodnie z legendą, a także szczątkowymi zapisami, zostali uwięzieni razem z Czarnym, kiedy na mury jego więzienia ponownie nałożono pieczęcie. Wciąż wykorzystuje się ich imiona do straszenia dzieci.

**Przekłete Ziemie:** Bezludne tereny otaczające Shayol Ghul, za Wielkim Ugorem.

**przenosić Jedyną Moc:** kontrolować przepływ Jedynej Mocy. Patrz również: Jedyna Moc.

**Przymierze Dziesięciu Narodów:** Unia powstała po Pęknięciu Świata (około 300 OP), gdy na nowo tworzyły się kraje, w celu pokonania Czarnego. Przymierze rozpadło się po Wojnach z Trollokami. Patrz również: Wojny z Trollokami.

**Pustkowie Aiel:** Dzika, nierówna i zupełnie pozbawiona wody kraina na wschód od Grzbietu Świata. Niewielu ludzi z zewnątrz odważa się zapuszczać w głąb Pustkowia, nie tylko dlatego, że ktoś, kto się tam nie urodził, nie jest w stanie znaleźć wody, lecz również dlatego, że Aielowie uważają, iż prowadzą wojnę z innymi narodami i niechętnie witają obcych.

**Ragan (rah-GAHN):** Shienarański wojownik.

**Renna (REEN-nah):** Seanchanka; sul'dam. Patrz również: Seanchanie; sul'dam.

**Rhyagelle (rheye-ah-GEHL):** W Dawnej Mowie "Ci, Którzy Wracają" albo "Powracający do Domu".

**Róg Valere (vah-LEER):** Legendarny cel Wielkiego Polowania na Róg. Uważa się, iż za pomocą Rogu można wezwać z grobu legendarnych bohaterów, aby walczyli z Cieniem.

**sa'angreal (SAH-ahn-GREE-ahl):** Nadzwyczaj rzadki przedmiot, który pozwala posiadającej go osobie korzystać ze znacznie większej ilości Jedynej Mocy niż to w innym przypadku możliwe albo bezpieczne. *Sa'angreal* jest podobny, lecz znacznie potężniejszy od *angrealu*. Ilość Mocy, którą można władać za pomocą *sa'angrealu* jest porównywalna z ilością Mocy, z której można korzystać za pomocą *angrealu* w takim samym stopniu, w jakim ilość Mocy, którą można władać z pomocą *angrealu* ma się do ilości Mocy, którą można władać bez wspomagania. Pozostałość po Wieku Legend, sposób jego tworzenia nie jest już znany. Egzemplarzy *sa'angrealu* pozostała już jedynie garstka, znacznie mniej niż *angreali*.

**saidar, saidin (sah-ih-DAHR, sah-ih-DEEN):** Patrz: Prawdziwe Źródło.

**Saldaea (sahl-DAY-ee-ah):** Jeden z krajów należących do Ziem Granicznych.

**Sanche, Suan (SAHN-chay, swahn):** Aes Sedai uprzednio należąca do Błękitnych Ajah. Wyniesiona na Tron Amyrlin w 985 NE. Zasiadająca na Tronie Amyrlin należy do wszystkich Ajah i jednocześnie nie należy do żadnych.

**Seanchan (SHAWN-CHAN):** Kraina, z której przybyli Seanchanie.

**Seanchanie:** Potomkowie armii wysłanych przez Artura Hawkwinga na drugi brzeg oceanu Aryth, którzy powrócili, by ponownie przejąć we władanie ziemie swych przodków. Patrz również: Hailene; Corene; Rhyagelle.

**Seandar (Shawn-DAHR):** Stolica Seanchan, gdzie cesarzowa zasiada na Kryształowym Tronie Sądu Dziewięciu Miesiący.

**Selene (seh-LEEN):** Kobieta napotkana podczas wyprawy do Cairhien.

**Seta (SEE-tah):** Seanchanka; *sul'dam*. Patrz również: Seanchanie; *sul'dam*.

**Shadar Logoth (SHAH-dahr LOH-goth):** Miasto opuszczone i omijane przez ludzi od czasu Wojen z Trollokami. Jest to skażony teren, nawet najmniejszy kamyk jest niebezpieczny. Patrz również: Mordeth.

**Shai'tan (SHAY-ih-TAN):** Patrz: Czarny.

**Shayol Ghul (SHAY-ol GHOOL):** Góra w Ziemiach Przeklętych, teren więzienia Czarnego.

**Sheriam (SHEER-ee-ahm):** Aes Sedai należąca do Błękitnych Ajah. Mistrzyni nowicjuszek w Białej Wieży. **Shienar (shy-NAHR):** Kraj należący do Ziem Granicznych. Godłem Shienaru jest atakujący czarny jastrząb. **shoufa (SHOU-fah):** Część ubioru noszona przez Aielów, tkanina, zazwyczaj koloru piasku lub skały, którą owija się głowę i szyję, pozostawiając odsłoniętą jedynie twarz.

**Smoczy Kiel:** Stylizowany znak, zazwyczaj czarny, w kształcie łyży ustawionej na czubku. Narysowany na drzwiach lub ścianie domu stanowi oskarżenie przebywających w środku ludzi o czynienie zła, względnie próbę zwrócenia uwagi Czarnego, by w ten sposób zaszkodzić tym ludziom.

**Smok:** Przydomek, pod jakim Lews Therin Telamon był znany podczas Wojny z Cieniem. Kierowany obłędem, jaki opanował wszystkimi mężczyznami Aes Sedai, Lews Therin zabił wszystkich, w żyłach których płynęła choć kropla jego krwi, a także wszystkich, których kochał, zyskując sobie w ten sposób miano Zabójcy Rodu. Patrz również: Smok Odrodzony; Fałszywy Smok; Proroctwa Smoka.

**Smok Odrodzony:** Zgodnie z przepowiednią i legendą Smok narodzi się ponownie w godzinie największej potrzeby ludzkości, by zbawić świat. Ludzie bynajmniej nie oczekują tego z utęsknieniem, jako że przepowiednie mówią, iż Smok Odrodzony wywoła nowe Pęknięcie Świata. Stąd też Lews Therin Zabójca Rodu, Smok, to imię, na dźwięk którego każdy się wzdryga, mimo że upłynęły już trzy tysiące lat od jego śmierci. Patrz również: Smok; Fałszywy Smok; Proroctwa Smoka.

**Splot Przeznaczenia:** Patrz: *ta'maral'ailen*.

**Spoleczności wojowników Aiel:** Wszyscy wojownicy Aiel są członkami społeczności, takich jak: Kamienne Psy, Czerwone Tarcze albo Panny Włóczni. Każda społeczność posiada własne obyczaje, niekiedy poświęca się wypełnianiu specyficznych obowiązków. Na przykład Czerwone Tarcze funkcjonują jako rodzaj policji. Kamienne Psy często ślubują nie wycofywać się z bitwy, do której już raz przystąpili; spełniają tę przysięgę, choćby mieli wyginać do ostatniego człowieka. Klany Aielów często walczą między sobą, jednakże członkowie tej samej społeczności nie prowadzą

z sobą walki, nawet jeśli robią to ich klany, dzięki czemu klany zawsze utrzymują z sobą kontakt, mimo otwartej waśni. Patrz również: Aiel; Pustkowia Aiel; Far Dareis Mai.

**Sprzymierzeńcy Ciemności:** Wyznawcy Czarnego, którzy wierzą, że zdobędą wielką władzę i nagrody, a nawet nieśmiertelność, po tym, jak on zdoła uwolnić się ze swego więzienia.

**stedding (STEHD-ding):** Siedziby, strony rodzinne ogirów (OH-geer). Wiele *stedding* zostało porzuconych po Pęknięciu Świata. W jakiś sposób, obecnie już nie pojmowany, są one zabezpieczone, dzięki czemu żadna Aes Sedai nie potrafi w nich korzystać z Jedynej Mocy ani nawet wyczuwać istnienia Prawdziwego Źródła. Próby władania Jediną Mocą z zewnątrz *stedding* nie przyniosły żadnych efektów wewnątrz granic *stedding*. Żaden trollok nie wejdzie do *stedding*, chyba że zostanie tam zapędzony, nawet Myrddraal robi to tylko pod wpływem najwyższej potrzeby, a i wtedy z niechęcią i obrzydzeniem. Nawet Sprzymierzeńcy Światłości, jeśli są naprawdę oddani, czują się nieswojo w *stedding*.

**strażnik:** Wojownik połączony zobowiązaniem z Aes Sedai. Zobowiązanie zostaje utrwalone za pomocą Jedynej Mocy, dzięki czemu strażnik jest obdarzony zdolnością szybkiego odzyskiwania zdrowia, długiego obywatelstwa bez jedzenia, wody albo wypoczynku, a także wyczuwania z dużej odległości skazy Czarnego. Dopóki dany strażnik żyje, dopóty Aes Sedai, z którą jest połączony zobowiązaniem, wie, że on żyje, niezależnie od tego, jak duża dzieli ich odległość, gdy zaś umiera, Aes Sedai zna dokładnie moment i sposób, w jaki umarł. Więz zobowiązania nie mówi jej natomiast, jak daleko od niej znajduje się strażnik, ani też w której stronie świata. Większość Aes Sedai jest zdania, że mogą być połączone zobowiązaniem z tylko jednym strażnikiem, przy czym Czerwone Ajah nie chcą więzi z żadnym, natomiast Zielone Ajah uważają, że Aes Sedai może być połączona więzią z tyloma strażnikami, ile tylko zechce. Zgodnie z etyką strażnik winien wyrazić zgodę na połączenie go zobowiązaniem, znane są jednak przypadki, gdy czyniono to wbrew woli. To, co Aes Sedai zyskują dzięki więzi zobowiązania, jest utrzymywane w ścisłej tajemnicy. Patrz również: Aes Sedai.

**Stu Towarzyszy:** Stu Aes Sedai mężczyzn, najpotężniejszych z całego Wieku Legend, którzy pod wodzą Lewsa Therina Telamona dokonali ostatecznego uderzenia, kończącego Wojnę z Cieniem poprzez ponowne zapieczętowanie Czarnego w jego więzieniu. Przeciwwuderzenie Czarnego skaziło *saidin*; Stu Towarzyszy popadło w obłęd i spowodowało Pęknięcie Świata. Patrz również: Czas Szaleństwa; Jedyne Mocy; Pęknięcie Świata; Prawdziwe Źródło.

**sul'dam (SUHL-DAHM):** Kobieta, która zdała sprawdzian wykazujący, że może nosić bransoletę i za jej pomocą kontrolować *dawane*. Patrz również: *a'dam*; *dawane*.

**Suroth, Czcigodna (SUE-roth):** Seanchańska arystokratka zajmująca wysokie miejsce w hierarchii władzy. Synowie Światłości: Społeczność wyznająca surowe, ascetyczne reguły, powstała w celu pokonania Czarnego i zniszczenia wszystkich Sprzymierzeńców Ciemności. Założona podczas Wojny Stu Lat przez Lothaira Mantelara (LOH-thayr MAHN-tee-LAHR) w celu nawraca nia rosnących rzesz Sprzymierzeńców Ciemności; przekształciła się podczas wojny w organizację całkowicie militarną, nadzwyczaj sztywno trzymającą się swych reguł, zrzeszającą ludzi całkowicie przekonanych, że tylko oni znają prawdę i prawo. Nienawidzą Aes Sedai, uważając je i wszystkich, którzy je popierają albo się z nimi przyjaźnią, za Sprzymierzeńców Ciemności. Pogardliwie nazywa się ich Białymi Płaszczami, ich godłem jest promieniste słońce na białym tle.

**śledczy:** Społeczność należąca do Synów Światłości. Celem śledczych jest odkrywanie prawdy na drodze dysput i demaskowanie Sprzymierzeńców Ciemności. W poszukiwaniu prawdy i światłości, w należyty ich zdaniem sposób, są jeszcze bardziej gorliwi niż pozostali Synowie Światłości. Ich normalną metodą prowadzenia śledztwa jest zadawanie tortur, zazwyczaj z góry znając prawdę i potrzebując tylko zmusić swoją ofiarę do jej wyznania. Śledczy nazywają samych siebie

Ręką Światłości i czasami zachowują się tak, jakby działali całkowicie niezależnie od Synów Światłości i Rady Pomazańców, która przewodzi Synom. Przywódcą śledczych jest Czcigodny Inkwizytor, który zasiada w Radzie Pomazańców. Ich godłem jest kij pasterski barwy krwi.

**Tai'shar (TIE-SHAHR):** W Dawnej Mowie "Prawdziwa krew".

**ta'maral'aillen (tah-MAHR-ahl-EYE-lehn):** W Dawnej Mowie "Splot Przeznaczenia". Wielka zmiana we Wzorce Wieku, której ośrodkiem jest jeden lub kilku ludzi będących *ta'veren*. Patrz również: *ta'veren*; Wzór Wieku.

**Tanreall, Artur Paendrag (tahn-REE-ahl, AHR-tuhr PAYehn-DRAG) :** Patrz: Hawkwing, Artur.

**Tarmon Gai'don (TAHR-mohn GAY-dolin) :** Ostatnia Bitwa. Patrz również: Smok; Proroctwa Smoka; Róg Valere.

**Tar Valon (TAHR VAH-lon):** Miasto położone na wyspie na rzece Erinin. Centrum władzy Aes Sedai i siedziba Tronu Amyrlin.

**ta'veren (tah-VEER-ehn):** Osoba, wokół której Koło Czasu oplata wątki losów otaczających ją ludzi, a może nawet wątki losów wszystkich ludzi, tworząc w ten sposób splot przeznaczenia. Patrz również: Wzór Wieku.

**Telamon, Lews Therin (TEHL-ah-mon, LOOZ THEHrihn):** Patrz: Smok.

**ter'angreal (TEER-ahn-GREE-ahl):** Jedna z kilku pozostałości po Wieku Legend, służących do korzystania z Jedynej Mocy. W odróżnieniu od *angrealu* i *sa'angrealu*, każdy *ter'angreal* został wykonany w specyficznym celu. Istnieje na przykład taki, który sprawia, iż przysięgi, składane przez osobę wprowadzoną do jego wnętrza, stają się wiążące. Niektóre są używane przez Aes Sedai, aczkolwiek ich pierwofie przeznaczenie jest zasadniczo nie znane. Są też takie, które mogą zabić zdolność do przenoszenia Mocy u kobiety, która ich użyje. Patrz również: *angreal*; *sa'angreal*.

**tia avende alantin (TEE-ah ah-VEN-day ah-LAHN-tin):** "Brat Drzew".

**Tia mi aven Moridin isainde vadin:** W Dawnej Mowie "Nie jest grób przeszkodą na moje wezwanie". Napis na Rogu Valere. Patrz również: Róg Valere.

**Tigraine (tee-GRAIN):** Jako dziedziczka tronu Andor poślubiła Taringaila Damodreda i urodziła mu syna Galadedrida. Jej zniknięcie w 972 NE, krótko po tym, jak jej brat Luc zaginął w Ugorze, wywołało w Andorze zbrojny spór zwany sukcesją i stanowiło przyczynę wydarzeń w Cairhien, które ostatecznie wywołały Wojnę o Aiel. Jej godłem była kobieca dłoń ściskająca kolczastą gałązkę krzewu różanego kwitnącego na biało.

**trolloki (TRAHL-lohks):** Istoty stworzone przez Czarneego podczas Wojny o Cień. Potężnego wzrostu, nadzwyczaj podstępne, stanowią skrzyżowanie zwierząt z rasą ludzką i zabijają dla czystej przyjemności zabijania. Przebiegłe, zakłamane i zdradzieckie, nieufne wobec tych, których się boją. Dzielią się na podobne do plemion bandy, główne to: Ahf'frait, Al'ghol, Bhan'sheen, Dha'vol, Dhai'mon, Dhjin'nen, Ghar'ghael, Ghob'hlin, Gho'hlem, Ghraem'lan, Ko'bal i Kno'mon.

**Tron Amyrlin (AHM-ehr-lin):** (1) tytuł przywódczyni Aes Sedai. Przyznawany dożywotnio przez Komnatę Wieży, najwyższą Radę Aes Sedai, w skład której wchodzi po trzy przedstawicielki wszystkich siedmiu Ajah. Tron Amyrlin dzierży, przynajmniej w teorii, nieomal nadrzędną władzę nad wszystkimi Aes Sedai. Rangą dorównuje tytułowi królewskiemu. (2) tron, na którym zasiada przywódczyni Aes Sedai.

**Tuatha'an (too-AH-thah-AHN):** Wędrowny lud, znany również jako druciarze i lud wędrowców, który mieszka w jaskrawo pomalowanych wozach i wyznaje pacyfistyczną filozofię, zwaną Drogą Liścia. Rzeczy naprawione przez druciarzy są często lepsze od nowych. Należą do tych

nielicznych, którzy mogą bez przeszkód przeprowiać się przez Pustkowie Aiel, bowiem Aielowie unikają wszelkich z nimi kontaktów.

**Turak, Jego Lordowska Mość, z domu Aladon (TOO-rak; AL-ah-dohn):** Seanchański arystokrata, dowódca Hailene. Patrz również: Seanchanie; Hailene.

**Ugór:** Patrz: Wielki Ugór.

**ujarzmianie:** Uprawiany przez Aes Sedai akt unieszkodliwiania kobiety, która potrafi korzystać z Jedynej Mocy. Kobieta, która została ujarzmiona, nadal wyczuwa Prawdziwe Źródło, jednak nie może go dotykać.

**Verin (VEHR-ihn):** Aes Sedai należąca do Brązowych Ajah.

**wędrowcy:** Patrz: Tuatha'an.

**Wiedząca:** Kobieta wybierana w wioskach przez Koło Kobiet na podstawie jej wiedzy o takich sprawach jak leczenie i przepowiadanie pogody, jak również za ogólny, zdrowy rozsądek. Stanowisko połączone z wielką odpowiedzialnością i autorytetem. Wiedzącą uważa się na ogół za równą burmistrzowi, podobnie jak Koło Kobiet za równe Radzie Wioski. W odróżnieniu od burmistrza, Wiedząca jest wybierana dożywotnio i rzadko kiedy pozbawia się ją stanowiska. W zależności od kraju może używać innego tytułu, na przykład Prowadząca, Uzdrawiająca, Mądra Kobieta albo Wieszcza.

**Wiek Legend:** Wiek zakończony Wojną o Cień i Pęknięciem Świata. Czasy, w których Aes Sedai czyniły cuda, o jakich dzisiaj nikomu nawet się nie śni. Patrz również: Koło Czasu; Pęknięcie Świata; Wojna z Cieniem.

**Wielka Gra:** Patrz: Daes Dae'mar.

**Wielki Ugór:** Obszar położony na dalekiej północy, całkowicie zniszczony przez Czarne. Kryjówka trolloków, Myrddraali i innych stworzeń Czarne.

**Wielki Wyż:** Symbol czasu i wieczności, starszy niż początek Wieku Legend, przedstawiający węża pożerającego własny ogon. Pierścień w kształcie Wielkiego Węża dawany jest tym kobietom, które Aes Sedai wyniosły do godności Przyjętej.

**Wielki Władca Ciemności:** Przydomek, którego Sprzymierzeńcy używają mówiąc o Czarnym, twierdząc, że używanie jego prawdziwego imienia byłoby bluźnierstwem.

**Wielki Wzór:** Koło Czasu tką Wzory Wieków w postaci Wielkiego Wzoru, który stanowi całość istnienia i rzeczywistości, przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Znany również jako Osnowa Wieków. Patrz również: Wzór Wieku, Koło Czasu.

**Wielkie Polowanie na Róg:** Cykl opowieści na temat legendarnych poszukiwań Rogu Valere w latach od zakończenia Wojen z Trollokami do początku Wojny Stu Lat. Opowiedzenie całego cyklu zabrałoby wiele dni.

**Władcy Strachu:** Ci mężczyźni i kobiety, którzy, zdolni do korzystania z Jedynej Mocy, przeszli na stronę Cienia podczas Wojen z Trollokami, prowadząc działalność dowódcy wojsk trolloków.

**Wojna o Moc:** Patrz: Wojna z Cieniem.

**Wojna Stu Lat:** Ciąg nakładających się w czasie wojen między wiecznie zmieniającymi się sojuszami, których wybuch przyśpieszyła śmierć Artura Hawkwinga i wynikła z niej walka o jego imperium. Trwała od WR 994 do WR 1117. Wojna ta była przyczyną wyludnienia dużych obszarów ziem położonych między oceanem Aryth i Pustkowie Aiel, od Morza Sztormów do Wielkiego Ugoru. Zasięg zniszczeń był tak ogromny, iż ocalały jedynie fragmentaryczne zapiski z tamtych czasów. Imperium Artura Hawkwinga zostało rozdarte na mniejsze części podczas wojen, dając początek krainom istniejącym obecnie. Patrz również: Hawkwing, Artur.

**Wojna z Cieniem:** Znana również jako Wojna o Moc, zakończyła Wiek Legend. Zaczęła się krótko po próbie wyzwolenia Czarnego i wkrótce ogarnęła cały świat. W świecie, w którym całkowicie zapomniano o wojnie, odkryto na nowo każde jej oblicze, często wypaczone przez dotknięcie Czarnego spoczywające na świecie, jako broni użyto Jedynej Mocy. Wojna zakończyła się przez ponowne zapiecztowanie Czarnego w jego więzieniu. Patrz również: Stu Towarzyszy; Smok.

**Wojny z Trollokami:** Wiele wojen, które rozpoczęły się około 1000 OP i trwały ponad trzysta lat, w trakcie których armie trolloków siały zniszczenie po całym świecie. Ostatecznie trolloków wybito albo zapędzono z powrotem na Ugór, jednak kilka krajów przestało istnieć, inne zaś zostały całkowicie wyludnione. Wszystkie zapisy z tamtych czasów są jedynie fragmentaryczne. Patrz również: Przymierze Dziesięciu Narodów.

**Wyśpiewane Drzewo:** Patrz: Drzewny Pieśniarz. Wzięte na Smycz: Patrz: dumane.

**Wzór Wieku:** Koło Czasu wplata wątki ludzkich losów we Wzór Wieku, często zwany po prostu Wzorem, który tworzy istotę rzeczywistości dla danego Wieku. Patrz również: ta'veren.

**Wzywanie Czarnego:** Wypowiedzenie prawdziwego imienia Czarnego (Shai'tan) powoduje ściąganie jego uwagi, nieuchronnie będąc w najlepszym przypadku przyczyną nieszczęścia, w najgorszym klęski. Z tego powodu używa się rozlicznych eufemizmów, takich jak: Czarny; Ojciec Kłamstw; Ten, który Odbiera Wzrok; Władca Grobu; Pasterz Nocy; Zmora Serc; Jad Serca; Zguba Traw; Ten, Który Zabija Liść. O kimś, kto zdaje się kusić los, mówi się, 'że "wzywa Czarnego"'.  
**Zaczajony:** Patrz: Myrddraal. Zdrajca Nadziei: Patrz: Ishamael.

**Zaczajony:** Patrz: Myrddraal. Zdrajca Nadziei: Patrz: Ishamael.

**Ziemie Graniczne:** Kraje graniczące z Wielkim Ugorem: Saldaea, Arafel, Kandor i Shienar.

# Spis treści

<a href="#">STRONA TYTUŁOWA..</a>	<a href="#">1</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 1 NOWI PRZYJACIELE I STARZY WROGOWIE..</a>	<a href="#">3</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 2 CAIRHIEN..</a>	<a href="#">16</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 3 WAŚŃ..</a>	<a href="#">28</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 4 CIENŃ POŚRÓD NOCY..</a>	<a href="#">42</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 5 NOWY WĄTEK WZORU..</a>	<a href="#">56</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 6 SEANCHANIE..</a>	<a href="#">64</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 7 DAES DAE'MAR..</a>	<a href="#">82</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 8 PO ZAPACHU..</a>	<a href="#">95</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 9 NIEBEZPIECZNE SŁOWA..</a>	<a href="#">108</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 10 PRZESŁANIE Z MROKU..</a>	<a href="#">120</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 11 KOŁO OBRACA SIĘ..</a>	<a href="#">136</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 12 STEDDING TSOFU..</a>	<a href="#">152</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 13 WŚRÓD STARSZYCH..</a>	<a href="#">165</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 14 CO MOŻE BYĆ..</a>	<a href="#">175</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 15 NAUKA..</a>	<a href="#">188</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 16 UCIECZKA Z BIAŁEJ WIEŻY..</a>	<a href="#">201</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 17 DAMANE..</a>	<a href="#">215</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 18 NIEPOROZUMIENIA..</a>	<a href="#">232</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 19 FALME..</a>	<a href="#">241</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 20 PLAN..</a>	<a href="#">252</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 21 POJEDZIE PIĘCIU..</a>	<a href="#">261</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 22 MISTRZ MIECZA..</a>	<a href="#">271</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 23 WYJŚĆ Z CIENIA..</a>	<a href="#">292</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 24 NIE JEST GRÓB PRZESZKODĄ NA MOJE WEZWANIE..</a>	<a href="#">306</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 25 PIERWSZE ROSZCZENIA..</a>	<a href="#">318</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 26 CO MIAŁO BYĆ..</a>	<a href="#">323</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 27 POTEM..</a>	<a href="#">330</a>
<a href="#">GLOSARIUSZ..</a>	<a href="#">331</a>